

Hemingway Amanda

Pożar duszy

„Śledztwo” to cieszący się ogromną popularnością brytyjski program telewizyjny, stawiający sobie za cel demaskowanie niekoniecznie zgodnych z prawem działań, czy wręcz manipulacji dokonywanych przez ludzi na świecie.

Michelle Murphy - młoda, niezwykle zdolna dziennikarka - jest niewątpliwą gwiazdą tego programu. To właśnie jej szef „Śledztwa” zleca zbadanie przeszłości nieprzyzwoicie bogatego potentata w dziedzinie handlu nieruchomości, Vincenta Scarpia Savage'a. Michelle leci więc na Karaiby, by spotkać się z tym nietuzinkowym człowiekiem.

Po kilku spędzonych z nim dniach, odcięta od świata na jednej z karaibskich wysepek, Michelle nie ma już pewności, czy jest bezkompromisową dziennikarką, czy zwykłą dziwką, wykonującą dla pieniędzy brudne zlecenia.

Część pierwsza

Poszukiwanie prawdy

Rozdział pierwszy

W zawodzie dziennikarza najtrudniej jest nauczyć się obojętności. Leo Sands, redaktor „Ely Watchman”, mój pierwszy mentor, ciągle mi powtarzał:

- I znowu jesteś sentymentalna, Micky. Przesadnie uczuciowa. Ckliwa. - Walił grubym paluchem w leżące przede mną papiery, a jego śniada, zastygła w smutku twarz stawała się karykaturą potępienia. - Skup się na faktach, słyszysz? Fakty, fakty, fakty. - Łup, łup, łup. - Własny punkt widzenia zniekształca rzeczywistość. Twój stronniczy mózg działa jak wypukła, przydymiona soczewka. Nie polegaj na swoim rozumie, tylko staraj się minimalizować zniekształcenia. Prawda sama się obroni. Pozwól jej błyszczeć przez czyste szkło. Nie rób skrótów i nie zabarwiaj. Staralam się, jak mogłam. Miałam osiemnaście lat, odpracowywałam rok między maturą a uniwersytetem. Serce krwawiło mi z powodu każdej staruszki obrabowanej z pieniędzy ciułanych w czajniczku, lokatora wyrzuconego na bruk przez bezdusznego gospodarza, nieślubnego dziecka, kozła ofiarnego, kaleki, dziwaka, marzyciela. Krwawiło tak strasznie, że gdyby nie rada Leo, wykrwawiłoby się na amen. Ale ambicja, żeby zostać dobrą dziennikarką, wzięła w końcu górę nad odruchami serca.

Wiele lat później, gdy z „Sunday Timesa” przenosiłam się do programu telewizyjnego „Śledztwo”, inny redaktor napisał o mnie: „Pragnienie poznania prawdy jest w Murphy silniejsze od współczucia.” Nie mówiłam o tym nikomu, ale byłam z tego dumna. Czułam się wysłanniczką Pallas Ateny, nieugiętą, o bystrym spojrzeniu i niewzruszonej twarzy. Nauczyłam się trzymać na wodzy naturalną u nastolatki sympatię do całego świata i odruchy miłosierdzia; moje serce, organ w innych okolicznościach niezawodny, już

z byle powodu się nie ścisnęło, nie podskakiwało. Byłam, jak sądzę, nie egoistką, lecz egocentryczką: zamkniętą w sobie, pewną siebie, polegającą na sobie. Zosią Samosią. W pracy, niby naukowiec wyłuskujący guz z doświadczalnego szczura, poddawałam drobiazgowej analizie życie innych, ale mój prywatny czas był wypełniony wyłącznie mną. Żyłam w cnotliwej samotności, oddając się poszukiwaniu prawdy. Prawdy za wszelką cenę. Shirley Posser spotkałam na początku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku w sklepie firmy Sainsbury przy stoisku delikatesów. Z mojego punktu widzenia sprawa Shirley Posser zakończyła się wiele miesięcy wcześniej. Telewizja przeprowadziła dochodzenie, gazety nadały mu odpowiedni rozgłos, w parlamencie padło kilka pytań. W końcu podejrzany wyższy oficer Scotland Yardu przeszedł dyskretnie na emeryturę, zaś Guy Posser i jego dwaj kumple wylądowali za kratkami pod zarzutem prania brudnych pieniędzy. Duży dom w St John's Wood, motorówka w Brighton Marina, Porsche, BMW żony oraz Scalextric * syna niewątpliwie poszły pod młotek. Ani mi w głowie było płakać z tego powodu.

Shirley wyglądała o wiele gorzej niż wtedy, gdy widziałam ją po raz ostatni. Na wargach miała tę samą perłową różową szminkę, na rzęsach tusz z poprzedniego dnia, wszelako cienie pod oczami były naturalne, a spod utlenionych włosów wzywały ciemne odrosty. Nie mam pamięci do twarzy i nie poznałabym jej, gdyby nie zaczęła wykrzykiwać do mnie. Ludzie poodwracali głowy i zaczęli się na nas gapić z niesmakiem zabarwionym ciekawością. Obrzuciła mnie stekiem wyzwisk i komunałów, ja zaś stałam jak skamieniała, marząc o miotaniu piorunów, wściekła na siebie za swoje zahamowania, niewzruszoną twarz i wrodzone poczucie winy. Wyczuwałam, że w głębi duszy Shirley jest bardziej zaskoczona moim zachowaniem niż ja jej. Ale nie mogła się pohamować. Los zrzucił, ja zrzuciłam, że stała się jedną z tych osób, które robią sceny w sklepach, nie panują nad sobą, wygłaszają kazania, wrzeszczą. Z ładnej drobnomieszczańskiej żoneczki przedzierzgnęła się w grubiańskie babsko z podkrążonymi oczyma, posługujące się słownictwem pokątnego maklera giełdowego. Nie mogła się pohamować.

- Robimy zakupy? Ciekawe, co też sobie jadamy, może wędzonego

* **Zdalnie sterowane samochodziki wyścigowe - gra dla synków i tatusiów (przyp. tłum.).**

łososia i kawior? Ooo... zupa szparagowa... zupa szparagowa dla smakoszy. Pierdolę zupę szparagową. Całym życiem zapłaciłam za tę zupę... popierdolone życie za pierdoloną puszkę zupy! Co myśmy ci takiego zrobili? No powiedz! Czemu się na nas uwzięłaś? Przyznaj się, zrobiłaś to dla tej pierdolonej zupy! - „Pierdolona... pierdolony... pierdolę.” Normalnie nie używała tego słowa, nie należało do jej słownika. Posłużyła się nim jak nie znana sobie bronią. - Pierdolę takie dziwki bez serca!

Bez serca. Tak właśnie powiedziała. Pamiętam doskonale. To *d propos* mojego niezawodnego serca.

Wcale się na was nie uwzięłam. Wykonywałam tylko swoją pracę...

Nie mogłam tego powiedzieć.

- Masz to w nosie, co? Ty i twój pierdolony wścibski program telewizyjny, który chełpi się, że jest taki moralny, taki obiektywny... a tym, że przy okazji niszczy życie ludziom, w ogóle się nie przejmuje. Ciebie oczywiście nie obchodzi, kogo krzywdzicie... ty po prostu masz to w nosie. A co z nim? Co on zawinił? Czy nie jest ważniejszy od puszki zupy szparagowej?

Wypchnęła przed siebie syna. Miał z dziewięć lat. Kurczył się, jak gdyby chciał się schować - przede mną, matką, litościwymi spojrzeniami całego świata. Jego twarz była czerwona ze wstydu, nabiegła krwią. Nie ma gorszego wstydu od tego, który czują dzieci upokarzane przez dorosłych.

- Czy wiesz, co mu zrobili w szkole? Powiedzieli, że trzeba go naznaczyć, bo jego ojciec siedzi w więzieniu, więc zdjęli mu ubranie i wymazali całe ciało. Namalowali aresztanta, kryminalistę, dupę, gówna i kutasa. Dziesięcioletnie dzieciaki. Nie potrafiły napisać aresztant i kryminalista, ale świetnie poradziły sobie z dupą, gównem i kutasem. A on stał pokornie... i nawet nie próbował się bić czy uciekać... stał, bo myślał, że mu się to należy. Myślał, że zasłużył. Zjawił się nauczyciel, ale on dalej tam stał i dygotał. I co na to szanowna pani redaktor, wyrocznia sprawiedliwości? Czuje się pani szczęśliwa? Wkroi to pani sobie do zupy szparagowej i zje z apetytem?

- Bardzo mi przykro. - Wiedziałam, że cokolwiek powiem, zabrzmi idiotycznie i nie na miejscu. Zabrzmiało. Naprawdę było mi przykro, cholernie przykro, ale czy mogło to być jakimś pocieszeniem dla Shirley Posser lub jej syna? Zresztą ona wcale nie chciała, żeby ją pocieszać. Utraciła wszystkie naturalne hamulce cywilizowanego człowieka - lęk przed odsłonięciem się, zranieniem, publicznym

ośmieszeniem. Pragnęła jedynie dać upust swemu rozgoryczeniu. Posłużyła się nawet przejściami Marka w szkole, nie dbając o to, co on czuje. Postępowała niemądrze. Musiałam jej o tym powiedzieć.

- Niech pani przestanie. Mnie to ani ziębi, ani grzeje, ale robi pani krzywdę sobie i swoim dzieciom. Musi pani...

- Ty dziwko! - Powiedziała to tak jadowniczo, że niemal się cofnęłam. Stała teraz bardzo blisko mnie. Wściekłość odbierała jej rozum. - JAK ŚMIESZ MNIE POUCZAĆ! Więc mój ból, ból Marka ciebie ani ziębi, ani grzeje! Panią redaktor to ani ziębi, ani grzeje. No to niech pani redaktor sama się przekona, jak to boli. I to! I to!

- Zaczęła rzucać we mnie zawartością swojego wózka. Tym razem odsunęłam się, ale za późno. Jakaś puszka trafiła mnie w ramię, a coś, co pewnie było paszтетem, na szczęście owiniętym w folię, plasnęło mnie w policzek. - Niech się pani redaktor naje! To jest ból, mój ból, ból Marka! Zjedz go sobie!

W tym momencie zjawił się kierownik sklepu. Taktowni ekspedienci otoczyli nas, rozdzielili. Bezwiednie zaczęłam zbierać sprawunki Shirley Posser i wkładać z powrotem do jej wózka. Młodzieniec w firmowym fartuchu grzecznie acz zdecydowanie ujął ją za ramię. Rozpłakała się. Wy tłumaczyłam na stronie kierownikowi całe zajście i uznałam, że najlepiej będzie, jeśli wyjdę, uświadamiając sobie ze smutkiem, że moje opanowanie, wielkoduszność, całe postępowanie musi być dla Shirley kielichem goryczy. Lecz ona nie zwracała już na mnie uwagi. Starsza pani ze złośliwym błyskiem w oku powiedziała:

- Złakomiłaś się na jej starego, co? Wyszłam.

Na parkingu z dziesięć minut czekałam, aż wyrówna mi się puls i miną mdłości. Przez całą drogę do domu miałam przed oczyma twarz Marka Possera i wyobrażałam sobie, że to, co dojrzałam pod potarganą grzywką, było nie farbą, lecz zaschniętą krwią. Jechałam o wiele za szybko.

W mieszkaniu już na mnie czekały Skrupuły. Spodziewałam się ich. Kiedy zamknęłam drzwi, usiadłam i zabrałam się do ściągania botków, poczułam znajome klepięcie w ramię. Przez dobrą chwilę

- pół godziny, godzinę - byłam kompletnie zagubiona. Zdjęty jeden but zgarbił się smętnie na brzegu kanapy, znieruchomiał jak ja. Naturalnie Skrupuły nękały mnie już w przeszłości, ostatnio jednak jakby nieco rzadziej. Tym razem - czułam to w kościach - zamierzały dłużej zabawić. Nie było na to rady. Chciałam wyciągnąć je na światło, stawić im czoło, rzucić wyzwanie, ale jak można rzucić

wyzwanie czemuś tak nieuchwytnemu jak Skrupuły, czemuś, co tylko wzdycha i jęczy, dogaduje z ukrycia, dręczy podświadomość i nie może się zdecydować, żeby wejść. Nie wolno ich ponaglać. Kiedy uznają, że są gotowe, same wejdą. Czekając, aż urosną im głowy i nabiorą czytelnych rysów, powtarzają wyświechtane frazesy. A nad ranem, kiedy wykończona bezsennością poczuje, że ciemność nieskończonego wszechświata napiera na moje kruche okna, nabiorą wreszcie głosu i zaczną oskarżać, ostrzyć sobie zęby na moją duszę. Teren był znajomy, co jednak wcale nie ułatwiało sprawy.

Wreszcie zdrętwiała mi noga i przypomniałam sobie o drugim **bucie**. Byłam wdzięczna losowi za katusze związane z przywróceniem krążenia. Kiedy już mogłam wstać, przebrałam się w rajtuzy, luźny swetr i zrobiłam sobie kawę. Upiłabym się, gdybym była mężczyzną. Albo kobietą. Ale już od dawna nie czułam się kobietą. Byłam Micky Murphy, imię i nazwisko rodzaju nijakiego, dusza też nijaka - zimna niczym szron w kwietniu i niepewna jak warstwa ozonowa. Kawę zrobiłam czarną i gorzką, choć **wolę** z mlekiem. O szóstej włączyłam wiadomości BBC. Burzono mur berliński. Widok oszalałych ze szczęścia twarzy, na których łzy mieszały się ze śmiechem, na chwilę zasłonił mi obraz Marka Possera. Na krótką chwilę.

Wszyscy mi mówią, że miałam fart z tym mieszkaniem. „Powinnaś je trochę urządzić, Micky - doradzają znajomi z dobrego serca. - Wtedy będzie tu n a p r a w d ę miło.” Ale ja nie chcę nic urządzać. Nie stać mnie na to ani finansowo, ani czasowo, poza tym zależy mi przede wszystkim na spokoju. Mieści się ono w domu zbudowanym na miejscu dawnych stajni nieopodal Kensington High Street i składa się z trzech małych pomieszczeń oraz jednego dużego nad garażem, który użytkuję do spółki z sąsiadem. Te trzy małe pomieszczenia to kuchnia, łazienka i sypialnia; duży pokój spełnia podwójną **rolę** - salonu i gabinetu do pracy. W głębi stoi biurko, regały sięgają od podłogi do sufitu, a palisada szuflad na akta broni tej części pokoju od reszty świata. Tam, gdzie nie ma regałów, wiszą starannie dobrane i oprawione w ramki widoczki podwórek prażących się we włoskim słońcu, gołego pejzażu zalanego bladym światłem poranka, piramidy *frutti di mare* z Morza Martwego oraz lasu

spaghetti pokropionego maciupenkimi różowymi rybkami. Na półkach stoją butelki wina - mojego ulubionego Pouilly Fuisse i Vinho Verde dla nieproszonych gości, książki natomiast leżą obok klo, kuchenki i przy łóżku, słowem wszędzie, gdzie akurat może zachcieć mi się czytać. Kafelki w łazience pękają, szafa się nie domyka. Ale ja tak lubię. Wzdłuż linii Darwina wytworzył się chaos, który pozostaje w takim samym związku z moimi szczególnymi potrzebami jak gdzie indziej ze zmianami środowiska czy klimatu; dla zlokalizowania dowolnej notatki lub fiszki wystarczy mi kilka minut. Porządek w nieporządku, metoda w mym szaleństwie. Nie byłabym w stanie pracować ani odpoczywać w elegancko zaprojektowanym mieszkaniu, gdzie teczki z notatkami chowałoby się do szafy, a wystrój sypialni wymagałby ubierania się do snu w koronkowe kreacje Janet Reger.

Tego wieczora wszelako tęskniłam za wygodą. Skrupuły przeczekiwały cierpliwie wiadomości o szóstej, o siódmej i o dziewiątej, kawę, następną kawę, ledwo co tkniętą kolację, budzące niechęć łóżko. W końcu zaczęły się zestalać - istoty z ektoplazmy stopniowo przybierały określoną postać obdarzoną głosem. Jedna z nich, co było nie do uniknięcia, miała głos mojej matki - mojej kochanej wspaniałej matki, która swym motylim wdziękiem potrafiła oczarować każdego - mojego ojca, ojczyma, jego dwóch synów, wikarego, dochodzącą gosposię, ogrodnika, właściciela sklepu rybnego, każdego z wyjątkiem mnie. Na mnie bowiem jej urok nie działał. Coś takiego się działo, że czar pryskał, instrument muzyczny zamiast słodkiego srebrzystego dźwięku wydawał fałszywy ton.

Nie potrafiła się oprzeć słabościom macierzyństwa. Ganiła, krytykowała, czepiała się; była na przemian melancholijna, ufna, smutna i pesymistyczna. „Dziennikarstwo? O Boże - rozpaczła, kiedy byłam jeszcze nastolatką. - Picie whisky w spelunkach, naprzykrzanie się miłym ludziom, wywlekanie brudów. Ja na przykład nie lubię wiadomości. Są zanadto przygnębiające. Kochanie, musisz koniecznie wymyślić coś innego." Wprawdzie nie udało się jej zmienić mojego postanowienia ani wpłynąć na moje postępowanie, ale jej gładkie zdania zapadały mi w podświadomość i wylażyły na wierzch w najmniej odpowiednich momentach. Przez te wszystkie lata wracało do mnie uparcie jedno szczególne oskarżenie: „Robisz się taka twarda, kochanie. Pewnie pod wpływem tych krwiopijców. Dobrze

ich nazywają, prawda? Wysysają krew ze swych biednych ofiar. Życzyłabym sobie..." Czego życzyłaby sobie, pozostawało niedopowiedziane, w domyśle. Życzenie, nic więcej. Tej nocy nie było wcale inaczej. Przycupnąwszy na grzędzie moich myśli, krucha, lekka, cedziła słowa niczym Joan Greenwood, a srebrzyste włosy zwiewał jej z czoła jakiś tajemniczy zefirek, który zdawał się wiać tylko dla niej. „Taka twarda... kochana moja Michelle... taka twarda..." Nigdy nie nazywa mnie Micky.

Powiedziałam sobie, że z matką dam sobie radę. Nie pierwszy raz zresztą. W tle krążył nieżyjący od dwóch lat ojczym, starszy urzędnik państwowy z Orderem Imperium Brytyjskiego i odziedziczonym dochodem, o zachowaniu zawsze bardzo oficjalnym, osobowości jasnoszarej jak jego garnitur z Savile Row *. Był nie tyle słaby, co pełen rezerwy, nie twierdził niczego, a tylko przytakiwał. Wydawało się, że myślami jest gdzieś daleko. Występował zawsze z tyłu; najwyraźniej tło było jego duchowym domem. Matce chyba się wydawało, że on tam wciąż jest, bo ilekroć coś powiedziała, odwracała głowę jakby w oczekiwaniu potwierdzenia, a nie doczekawszy się go, robiła nieco zdziwioną minę. Kiedy chodziłam do szkoły, nieraz słyszałam jego mruczenie: „Kurs dla sekretarek... taka błyskotliwa dziewczyna... mam znajomego w ministerstwie." Dziękowałam mu, zawsze mu dziękowałam i szłam własną drogą. Mruczenie teraz wróciło, jak zwykle w tle - cicha szara obecność promieniująca cichą szarą dezaprobatą. Postanowiłam ją zignorować.

Mój prawdziwy ojciec był trudniejszy. Przez długie okresy nie potrafiłam przypomnieć sobie jego twarzy, tylko blizny. Posiadane przeze mnie zdjęcia zostały zrobione przed wojną, kiedy był młody, klasycznie przystojny, wyprostowany, nieustraszony; po wojnie unikał fotografowania. Czulałam na sobie jego spojrzenie - klarowne i uporczywe jak angielski deszcz; smutne, budzące zaufanie oczy, nieustraszone mimo strachu, jaki przeżył, patrzyły na mnie z cienia w mojej pamięci, z głowy zaglądały mi w serce. To klarowne jak deszcz i uporczywe jak deszcz spojrzenie przewiercało mnie na wylot, sprawiając niewypowiedziany ból - nie dlatego, że go straciłam, zapomniałam jak wyglądał lub że nie spełniłam jego oczekiwań, lecz ze wszystkich tych powodów po trosze i jeszcze czegoś, czegoś głębszego, jakiegoś niepokoju, uczucia podobnego do snu, który

* **Ulica w centrum Londynu znana z drogich krawców (przyp. tłum.).**

znika przy przebudzeniu, zostawiając wspomnienie obrazu boleśnie pięknego. Gdy w grę wchodził ojciec, zacierała się granica między pamięcią a wyobraźnią - jego spojrzenie w miarę upływu lat stawało się coraz głębsze i klarowniejsze, a słowa, które potencjalnie mógłby powiedzieć, dźwięczały mi w głowie tak samo wyraźnie jak te, które faktycznie powiedział. Kiedy umarł, miałam jedenaście lat, byłam więc za młoda, by przyswoić sobie jego filozofię. Ale wiedziałam, że z całą pewnością powiedziałby mi: „Żyj zgodnie ze swymi przekonaniem, Mila, ale nie zapominaj zrobić miejsca na przekonania innych. Zawsze słuchaj. Staraj się zrozumieć inny punkt widzenia. Bądź otwarta. Przede wszystkim jednak staraj się nikogo nie krzywdzić. To właśnie jest najważniejsze, a jednocześnie najtrudniejsze. Życie nie krzywdząc innych...” Latał Lancasterem nad Niemcami, rzucał bomby, zabijał ludność cywilną, pisał o tym wiersze i wiedział lepiej od innych, że najważniejszą rzeczą w życiu jest nie krzywdzić. Spojrzałam w talerz, w którym krzepła zupa szparagowa - na gęstym zielonym płynie utworzyła się gruba zielona skorupa. „To jest ból, mój ból, ból Marka - powiedziała Shirley Posser. - Zjedz go sobie! Zjedz go!” W tym talerzu byli wszyscy: ojciec, ojczym, matka, Shirley, Mark, znajomi, obcy. Oskarżali mnie. Na zewnątrz, za gwarem ruchu ulicznego czaiła się noc, ogromna i cicha. Odnosiłam wrażenie, że wrzaskliwe głosy odpływają i zostają połknięte przez groźną ciemność. Cisza, która następowała, była straszniejsza od wszelkich oskarżeń. To też znałam. Noc na zewnątrz i noc wewnątrz. Przepaść, która się otwiera, kiedy zagładasz w siebie w poszukiwaniu własnej duszy. Już tam kiedyś byłam - pół uśpiona, pół przebudzona - i nie wiedziałam, czy moje doznanie jest słodkim marzeniem, czy koszmarem. Zawsze to samo. Pograżona samotnie w mroku, odarta z imienia, tożsamości, osobowości, wszystkich tych opakowań, które czynią z nas ludzi, czegoś szukałam. Wtem ujrzałam światełko, samotną iskierkę na tle nieskończonej czarnej otchłani. Przybliżywszy się zobaczyłam mały ognek, jak gdyby płomień świecy bez świecy, pojedynczy pełgający pyłek jasności. W jakiś sposób wiedziałam, że to jestem ja, moja dusza, przedmiot moich poszukiwań. Płomyczek wydawał się wąty i nikły, ciemność zaś przepastna. Otoczyłam go dłońmi, co sprawiło, że moje palce nabrały złotoróżowej barwy. Na krótką chwilę, ułamek wieczności, wystrzelił wysokim płomieniem, smukłym niczym źdźbło trawy. Wiedziałam jednak, że z głębin pustki za chwilę powieje straszny wiatr, dmuchnie na mój płomień i zgasi go na zawsze.

Rozdział drugi

Nazajutrz był piątek. Nie pojechałam do pracy, bo wcześniej załatwiłam sobie dzień wolny, by spędzić długi weekend z matką. Po nocy prześladowań przez duchy wprawdzie przeszła mi ochota do oglądania niektórych z nich w cielesnej powłoce, ale już obiecałam, że przyjadę, zmuszona psim przywiązaniem czy też psią powinnością. Pojechałam.

Z Londynu wyruszyłam koło południa. Po drodze jak zwykle zatrzymałam się w kilku sklepach: po kwiaty dla matki, po trufle z szampanem dla teści, po wino do obiadu. Było nie było, jechałam do domu. Cokolwiek bym mówiła o moim wygodnym zabałaganionym mieszkaniu, za dom wciąż uważałam Szare Facjatki. Należały do mojego ojca, po jego śmierci przeszły na matkę. Gdy wyszła ponownie za męża, ojczym przeniósł się do niej, sprowadzając swoją elegancką rezydencję w Chelsea do statusu garsoniery. Moi przyrodni bracia, Nigel i Jeremy, przyjeżdżali do Szarych Facjatek na wakacje, jeśli akurat nie włączyli się autostopem po Europie, paląc trawkę i sypiając z dziewczynami. Kiedy już z tego wyrosli i zaczęli prowadzić osiadły żywot solidnych obywateli, przywozili do Szarych Facjatek swe żony i dzieci. Dzieci huśtały się na mojej huśtawce, spadały z mojego drzewa, zdzierając skórę z kolan i drąc ubrania, jak wszystkie dzieci w pewnym wieku. Żony zwracały się do mojej matki per Droga Weroniko lub zgoła Wero i nie protestowały, gdy ich mężowie - w jej obecności - stawiali je na drugim miejscu. Ojczym objął wakat po ojcu i zasiadł w jego fotelu. Podśluchałam kiedyś, jak wraz z roztargnionym sąsiadem ubolewał nad tragiczną śmiercią dowódcy eskadry Annesleya. „To był wspaniały człowiek, a jakież utalentowany” - mówił, jak gdyby mój ojciec był jego drogim krewnym, a nie poprzednikiem. Trzeba przyznać, że matka bardzo

się starała - pochowała fotografie ojca w mundurze, zrobione jeszcze nim go zestrzelili, przedstawiała się jako pani Annesley-Cloud i nalegała, bym ja również do swego nazwiska dodała nazwisko ojczyma. Ale czy nie starczyło jej determinacji, czy może dom był zanadto przesiąknięty obecnością ojca, dość, że on tam pozostał. Dziwne, ale dopiero po śmierci Jolyona Clouda poczułam, że ojciec mi się wymyka, jak gdyby żyjący człowiek umacniał wszechobecność zmarłego przez to, że zajmował jego fotel, miejsce przy stole, przestrzeń życiową, wcielając się w jego rolę dyskretnie i dokładnie niby dubler. A kiedy odszedł, zniknął też duch - teraz panuje tam niepodzielnie matka. Co nie zmienia faktu, że Szare Facjatki pozostały domem, w którym wre życie i ciągle coś się zmienia; gdzie można znaleźć spokój i azyl; domem, w którym jest miejsce na wspomnienia i ludzi. Domem, nie dziurą od pioruna. Znajduje się on kilka kilometrów za Cambridge, w wiosce Askham. Wśród drzew, które boksują się z niebem, wielkich łaciatych trawników, przypadkowych klombów i zabłąkanych krzewów stoi zaprojektowany przez jakiegoś entuzjastę Lutyensa budynek o długim dachu pokrytym dachówką i z facjatkami na usprawiedliwienie swej nazwy. Czy zawsze były szare, trudno dociec; może to deszcze i wiatry doprowadziły je do nieokreślonej barwy, ni to szarej, ni to brązowej. Po murze pną się rozmaite rośliny, nad którymi dawno stracono panowanie. Z ich powodu niektórych okien nie sposób w ogóle otworzyć, zaś okiennice, jeśli zostawi się je otwarte na całe lato, nie dadzą się potem zamknąć, bo wąsy dzikiego wina skwapliwie okręcą klamki, wdrapią się na parapet. Za domem rosną warzywa, na które nie ma amatorów; maliny płożą się niczym wrzosa, a schodki porasta mech, udając miękki chodnik. Kiedyś matka zatrudniała na kawałek etatu niedołęznego ogrodnika, którego długo nie potrafiła skłonić do przejścia na emeryturę, a w weekendy przychodził uczeń strzyc trawniki. Niewiele to pomagało. Ludzie, którzy mnie odwiedzają, śmieją się, słysząc, że nie znoszę zaniedbania. Szare Facjatki nie są zaniedbane, lecz naturalne, dzikie, kochane. Tam, podobnie jak w moim mieszkaniu, zawsze wiem, gdzie czego szukać - danego zapachu, wspomnienia, cienia w lecie. W domu matka w kółko przestawia bibeloty, zmienia zasłony i tapicerkę. Ostatnio przejęta tym, co piszą w „Country Living”, zaczęła na stole kuchennym rozsypywać owoce w charakterze martwej natury, a gliniany dzban z bazią stawiać w miejscu, gdzie się na pewno

0 niego potknę. Ale to są szczegóły. Dotarłam tam w ów piątek tuż przed trzecią, nie dając jej szansy do biadolenia, że nie zjem lunchu. Nastawiłam się, że przez cały weekend będę leniuchować, co miało na krótko wyleczyć mnie z bezsenności. Tęskniłam do bezczynności, jednocześnie odnosząc się do niej nieufnie. W końcu byłam dziennikarką, która miała odsłaniać szpetotę rzeczywistości, a nie chować się przed nią w Szarych Facjatkach. Potrzebny był mi jednak odpoczynek.

Szczęście się ode mnie odwróciło. Kiedy parkowałam samochód, z frontowych drzwi wyłoniła się matka, z wyglądu podobna do tej, która prześladowała mnie w nocy. Lekki wietrzyk rozwiewał jej włosy, na twarzy torował sobie drogę najbardziej uroczy z jej uśmiechów. Ledwo widoczne zmarszczki podkreślały tę wesołość; ledwo widoczne wgłębienia uwydatniały jej olbrzymie oczy i drobne kości. Z punktu dostrzegłam w uszach kolczyki, na policzkach puder

I to, że uśmiech był zabarwiony na różowo. Goście.

- Kochanie, tak się cieszę, że przyjechałaś na czas! Obawiałam się... och, nie, nieważne. Przecież możesz przyjeżdżać, kiedy ci się żywnie podoba. Chodzi tylko o to, że tak strasznie mi zależało, żebyś go poznała!

Wzięłam torbę i weszłam za nią do hallu. „Żebyś go poznała...” Największa słabość mojej matki, słabość wspólna wszystkim matkom niezamężnych córek. Pierwszy raz ujawniła się jakieś cztery lata po moim rozwodzie, gdy do matki dotarło, że nie zamierzam ponownie wyjść za mąż. Teraz miałam trzydzieści dwa lata i sprawa mojego zamążpójścia powracała w regularnych odstępach. Syndrom swatania. Dotknięta nim matka stała się w moich oczach nieznośna, banalna, niemal wulgarna.

MEŹCZYŻNA.

Powiedziałam, starając się zachować obojętny ton:

- Nie spóźniłam się, ponieważ nie umówiłam się na określoną godzinę.

- Nie, kochanie, oczywiście, że nie. - Myśлами była gdzie indziej. - Posłuchaj. On jest swojego rodzaju kolekcjonerem, no wiesz, antyki, obrazy i tak dalej. To ktoś w dobrym tonie, inteligentny, zabawny i z całą pewnością nie homoseksualista. Prawie się zakochałam. Jeśli go nie zechcesz, to może ja spróbuję... a nuż się okaże, że lubi starsze panie.

Zawsze tak mówiła chcąc zapalić mnie do współzawodnictwa. Nie

zapaliła. Stała już w progu jadalni, śmiejąc się niedyskretnie, nie dbając, że ten ktoś w środku słyszy jej słowa. Weszłam za nią, spięta, niezłomna, chłodno uprzejma. Stawiając torbę na krześle, zatrzymałam wzrok na pozostałościach zakąski przygotowanej najwyraźniej dla trzech osób.

- Kochanie, jeśli jesteś głodna...

- Nie jestem.

Miała rację co do tego mężczyzny. Zawsze miała rację. Jej ocena była bezbłędna, irytująco trafna, niewybaczalna. Wyglądał na kogoś w dobrym tonie, inteligentnego, zabawnego i prawdopodobnie heteroseksualnego. Nie zapamiętałam, jak się nazywa. Powiedział to, co wszyscy:

- Jesteś bardzo podobna do matki. - Byłam od niej wyższa o pół głowy, mimo że miałam na nogach pantofle na płaskim obcasie, ona zaś pięciocentymetrowe szpilki. - O, czemu obcięłaś włosy? - To przed fotografią z czasów, gdy miałam włosy do pasa. I dodał: - Słyszę, że jesteś pisarką.

Matka niezmiennie przedstawiała mnie jako pisarkę. Wydawało się jej, że to brzmi lepiej. „Jestem dziennikarką - prostowałam spokojnie. - Dziennikarką telewizyjną. Od wypowiedzi polityków i tanich sensacji.” „Naprawdę? To bardzo interesujące.”

- Myślę jednak, że przesadzasz. Nie wyglądasz na osobę, która goni za tanimi sensacjami.

Z rozpaczy poszłam do samochodu po wino, czekoladki i kwiaty. Matka przyjęła je udając zaskoczenie. Zawsze przywoziłam jej wino, czekoladki i kwiaty; gdybym raz tego nie zrobiła, poczułaby się głęboko dotknięta. Jej urok oblepił nas jak pajęczyna - nieuchwytna, nie dająca się strzepnąć, wywołująca podniecenie. Facet został na herbacie; zaproszenie na obiad wisiało w powietrzu. Coś trzeba było z tym zrobić.

- Bardzo przepraszam - powiedziałam - ale jestem okropnie zmęczona. Muszę się zaraz położyć.

Poskutkowało. Kiedy poszedł, stwierdziłam, że dygoczę - ze złości, z nagromadzonego napięcia, kilku godzin zmuszania się do uprzejmości. Przygotowałam sobie kąpiel, z uczuciem błogości zanurzyłam się we wrzątku.

Weszła matka. Chciała niby poplotkować, ale doskonale wiedziałam, że toczy w sobie walkę z pokusą zbesztania mnie. Prawie się modliłam, żeby ją przegrała.

- Strasznie miły - zaczęła ostrym głosem. - Nie uważasz?

- Strasznie. - Zastanowiłam się. - Tak. Miły. Mile straszny. Inteligentny i w dobrym tonie. Jak również zabawny. Nienawidzę zabawnych mężczyzn, bo czuję się przy nich nudna. Nienawidzę inteligentnych mężczyzn, bo czuję się przy nich głupia. Z zasady nienawidzę mężczyzn w dobrym tonie. Następnym razem poproszę 0 idiotę. Najlepiej, żeby grał w piłkę nożną i nie miał za grosz poczucia humoru. I niech będzie pedałem. Matka przestała z sobą walczyć.

Później, w sypialni, nacierałam się przed lustrem kremem, studiując dość obojętnie swoje odbicie. To dziwne, że tak trudno zobaczyć siebie dokładnie, nawet w najlepszym lustrze. Czy faktycznie jestem podobna do matki? Brak mi jej zniewalającego czaru, żywego uśmiechu, ogromnych oczu z fiołkowymi cieniami, wysokiego głosu, który łamał się ochryple, jak gdyby ciągle była na granicy zapalenia krtani. Głos mam zwykły, oczy głęboko osadzone i szare po ojcu; zawsze byłam bardzo dumna, że odziedziczyłam coś po ojcu. Nie potrafię się uśmiechnąć naturalnie do lustra, nigdy nie ćwiczyłam przed lustrem wdzięcznego zachowania. Sylwetkę mam wąską, lecz zbyt wysoką, nieproporcjonalną, same nogi, jak Wenus Cranacha. Kości policzkowe zdają się być na swoim miejscu, brak mi jednak subtelności układu kostnego matki. Włosy, płowe w dzieciństwie, teraz myszate, poprzetykane jaśniejszymi pasmami, są ostrzyżone po chłopięcemu z kilkoma dłuższymi kosmykami opadającymi na czoło. Obcinam je co miesiąc, okupując się w ten sposób próżności. Odkąd przeczytałam w jakimś piśmie, że jeśli włosy dobrze wyglądają, to

1 reszta ujdzie, wiernie trzymam się tej zasady. Przez lenistwo, jak sądzę. Matka usiłuje mnie namówić do noszenia prawdziwych Ubrań, rasowych Ubrań z rodowodem na metkach poprzyszywanych, gdzie się tylko da. Ubrań od Harrodsa projektu Donny Karan, od Browna projektu Gianfranco Ferrago. Za kolejny punkt honoru stawiam sobie opieranie się jej naciskom w kwestii strojów. Lubię obcisłe dzinsy i luźne swetry, a dumna jestem ze starej kurtki lotniczej ojca i czapki RAF-u, nieco na mnie przydużych, lecz bardziej charakterystycznych, bardziej osobistych, niż jakakolwiek *haute couture*. Ostatnie oficjalne zdjęcie zrobiłam sobie właśnie w tej czapce, włożonej na bakier. Na wewnętrznej stronie obrębka widnieje nazwisko ojca: dowódca eskadry Michael Annesley. Moje nazwisko. Zanim je zmieniłam.

Nie chcę być podobna do matki. Powodem jest to, co mi kiedyś

opowiedziała o ojcu, którego kochała na swój sposób bardzo gorąco. Prawie za każdym razem jej miłość jest gorąca - gorąca, lecz niezbyt głęboka i lekka jak wata na patyku zrobiona z cukru i powietrza. Lecz mimo całej tej lekkości i płytkości uczuć matka bezbłędnie wykrywa w ludziach prawość lub jej brak, często na pierwszy rzut oka. Garnie się do siły i dobroci, jak ćma do światła, ceniąc w innych to, czego sama nie posiada. Dlatego poślubiła mego ojca, on zaś, niewątpliwie oczarowany nią jak wielu innych mężczyzn, darzył ją miłością, a na końcu pewnie się nad nią litował. Tak ja to widzę.

- Wiesz - zwierzyła mi się wówczas - tych jego blizn nie byłam w stanie znieść. Kochałam go, naprawdę go kochałam, ale na te blizny nie mogłam nawet patrzeć. Na samą myśl, że miałabym pocałować, czy choćby dotknąć tamtej strony jego twarzy, robiło mi się niedobrze. Nie potrafiłam się przemóc, taka już jestem. Nienawidzę szpetoty, zwłaszcza u ludzi. On to rozumiał. Michael zawsze wszystko rozumiał. Był najcudowniejszym i najbardziej wyrozumiałym człowiekiem na świecie. Wiesz, co zrobił? Obiecał, że będziemy ze sobą tylko po ciemku i że nie pocałuje mnie w pełnym świetle. Ani razu nie złamał tej obietnicy, do końca naszego małżeństwa. W nocy kazał mi wyobrażać sobie, że jego twarz jest doskonała. Tak też robiłam i byliśmy szczęśliwi. Widzisz, kochanie, jaki był nadzwyczajny?

- Nie powinnaś mi o tym opowiadać - odparłam. - O takich rzeczach nie mówi się nikomu.

- Ależ, Michelle - matka była szczerze zaskoczona. - Słoneczko, chciałam, żebyś wiedziała, jaki był wspaniały...

- Kochałam jego blizny - powiedziałam. - Kiedy się kocha kogoś naprawdę, kocha się go w całości, jego piękno i brzydotę. Jeśli się kocha wystarczająco mocno, to to, co jest brzydkie, staje się w końcu dla nas piękne, cenne i nie chcemy tego zmienić. Całowałam jego blizny. Nawet kiedy byłam mała, miałam cztery lub pięć lat, czułam, że były czymś istotnym, potrzebnym, niepowtarzalnym. Pragnęłam je całować. Były mi drogie jak jego usta czy oczy.

- Jeśli się kocha wystarczająco mocno... - powtórzyła powoli matka. - Myślę, że nie potrafię kochać wystarczająco mocno. Kocham kogoś, ale kiedy znika, uczucie blednie, po czym zaczynam kochać kogoś innego. Widzisz, kochanie, twój ojciec to rozumiał. Zgadzał się na to. Był wyrozumiały, wielkoduszny, niezwykły. Chciałam, żebyś o tym wiedziała. Może... jesteś do niego podobna.

Pewnego dnia pokochasz kogoś wystarczająco mocno, może za mocno. Mówią, że wielka miłość jest cudowna, ale z tego, co widzę, przynosi wyłącznie ból. Powinnaś być bardziej podobna do mnie, kochana moja Michelle. Kochać

troszkę i często, nigdy za mocno. Nie jest dobrze kochać kogoś za mocno.

Nie powiedziałam nic więcej. Bałam się, że odkryję, iż jestem do niej podobna, nie z wyglądu, lecz z usposobienia - bałam się, że odkryję w swym charakterze coś z jej zimnej rrrzpiotowatości, miłości przypominającej błędny ognek. Uświadomiłam sobie, że tajemnica jej wdzięku polega na tym, że ona nie potrafi kochać; jest istotą nazbyt eteryczną, by kochać miłością śmiertelnika. Czasami, kiedy rozglądałam się po moim samotnym mieszkaniu, kiedy myślę o moim egocentrycznym stylu życia podporządkowanym zawodowi, o nie przyśpieszonym pulsie i nie złamanym sercu, odczuwam obawę, że poświęcenie i ideały, którymi się tak chełpię, są zaledwie inną twarzą tego samego niewydarzonego człowieczeństwa. Jestem osobą wypraną ze wszelkich emocji, uprawiającą samotność jako sztukę dla sztuki. Moja matka, mając prawie sześćdziesiątkę, jest wciąż gatunkiem *belle dame sans merci*; co do mnie, to jedyną namiętność od dobrego czasu budzi we mnie prawda - namiętność „silniejszą od współczucia”. Porównanie nie wypadło korzystnie. Chciałam być córką mego ojca, odnaleźć w sobie jego odwagę, siłę i zdolność kochania; wiedziałam jednak, że nigdy nie będę miała jego wyrozumiałości.

Tamtego piątku odbywałam z nim jedną z tych wymyślonych rozmów. Jego głos był stłumiony, ale słowa dawały się rozróżnić. Palił fajkę, bo odkąd obraz jego twarzy zaczął mi się zamazywać, musiałam uciekać się do fajki, by go sobie odnowić. Wyobrażałam sobie, jak nabija ją tytoniem, jak zaciąga się wykrzywając wargi. Cienka strużka dymu unosiła się do góry i rozpływała, zamieniając się w siną mgiełkę przed jego twarzą. Przeświecały przez nią jego oczy, które patrzyły prosto na mnie. Chciałam go spytać... nie o to, jak on jej przebaczył, lecz o to, jak ja mam przebaczyć, usprawiedliwić czy zapomnieć.

- Nie masz prawa przebaczać - mówił. - Nie rozumiesz? Ten rodzaj przebaczenia jest formą arogancji: patrzy się wyniośle na gorsze istoty i ze swej moralnej wysokości osądza je. Kim do diabła jesteśmy, żeby sądzić innych? Słowa „do diabła” wypowiadał delikatnie, bez zapalczywości, co w jakiś sposób sprawiało, że brzmiały bardziej dobitnie. Ale mnie

trudno to znieść, myślałam. Tak trudno, że ilekroć o tym myślę, czuję gorycz. Nic nie powiedział, tylko jego blizny nagle jakby się wyostrzyły i zobaczyłam żywy fragment pofałdowanego czerwonego ciała. Jego Lancaster rozbił się w czasie lotu bojowego w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku, a on ocknął się w szpitalu niemieckim ze spaloną połową twarzy.

- Co komu z goryczy? - powiedział i połowa jego ust, ta, która mogła, uśmiechnęła się. - Gorycz nie leczy, tylko jeszcze bardziej rozjątrza rany. To jest wojna, Mila. Cięży na nas grzech Kaina. Nic tego nie zmieni. Twoja matka dała mi tyle, ile trzeba. Miłość przy zgaszonym świetle. Jakże bym mógł - jak ktokolwiek by mógł

- mieć do niej o to żal? Proszę cię, nie miej do niej żalu z mojego powodu. Kochaj ją ze względu na mnie, jeśli nie możesz inaczej.

- I dodał jeszcze, choć jego obraz już się rozpląnął z dymem fajki:

- Ona cię kocha.

„**Ona** cię kocha.” Te słowa padały czasami, kiedy się nie pilnowałam. Może mówił prawdę; może mnie kochała. Nie tą watą cukrową, bitą śmietaną, którą częstowała facetów, lecz uczuciem niemal głębokim, niemal prawdziwym. Macierzyństwo było jej jedynym obsunięciem się w człowieczeństwo, fatalną słabością, która zredukowała ją do najsurowszego poziomu istnienia. Domyślałam się, jak się brzydziła swego opuchniętego, zniekształconego ciała, jak zawadzał jej ciężki brzuch. Na pewno bała się bólu towarzyszącemu porodowi, ale z większą jeszcze odrazą myślała o brzydocie tego aktu. A potem, gdy trzymała już dziecko przy piersi - maleńkie, gołe, pomarszczone, całkiem od niej zależne - ogarnęła ją czułość, odczuwana podobno przez wszystkie młode matki, i na zawsze odcisnęła na niej piętno. Tak czy owak, jako kobieta była nietykalna, niepokonana, a swym syrenim śpiewem niewoliła wszystkich samców w okolicy. Z kolei jako matka była nietaktowna, omylna, skrepowana i fałszowała kołysanki. Kochałam ją, bo była moją matką, nie robiłam tego dla ojca czy dla siebie - bywam na przemian obowiązkowa, wroga, niecierpliwa i niesprawiedliwa. Rozumienie sytuacji wcale jej nie zmienia.

Noc piątkowa okazała się niewiele lepsza od czwartkowej. Nękana przez Skrupuły spałam nierówno. Obudziłam się wyczerpana snami, które zapamiętałam jako kalejdoskop zamazanych nieprzyjemnych

obrazów. W ogrodzie chór stroił się przed porannym koncertem. Często zadaję sobie pytanie, skąd się wzięła opinia, że na wsi jest cicho i spokojnie. Zateśniłam za delikatnym szumem ulicy Londynu. Kiedy ptaki wreszcie się zamknęły i słońce zaczęło przeświecać przez zasłony, a ja pogodziłam się z myślą, że już nie zasnę, i postanowiłam wstać, niespodziewanie zasnęłam. Tym razem spałam do południa.

Kiedy zeszłam na dół, w kuchni zastałam kawę, w salonie wikarego. Zanim matka z wrodzoną delikatnością pozbyła się go, nie omieszkała spytać, co słychać w eleganckim świecie telewizji. Pomyślałam o zagraconym biurze, umeblowanym beżowymi sprzętami i szufladami na akta, o producencie Ałunie Craigu, który wygląda jak skrzyżowanie teriera z łasicą z domieszką szczura kanalizacyjnego. Mój własny wygląd w tej chwili trudno było nazwać eleganckim - włosy z jednej strony miałam przyklepane, z drugiej sterczące, zaś bielizna nocna, którą trzymałam w Szarych Facjatkach, składała się z ciepłego jednoczęściowego wspomnienia po czymś bardzo antycznym i czerwonego szlafroka ze sztucznego misia, wypalonego na rękawie.

Odparłam, że w eleganckim świecie telewizji wszystko dobrze, dziękuję.

Po odejściu wikarego wypiliśmy kilka filiżanek kawy, przerzuciłam gazetę i pomyślałam, że czuję się znacznie lepiej. Skrupuły zbierały się do odwrotu; byłam znowu sobą, czy też kimś, za kogo się uważałam, arcychłodną dziennikarką dochodzeniową, która co bardziej zagmatwane uczucia wrzuca do beżowych szuflad na akta i kontynuuje robotę. Żadnych wyrzutów sumienia. Chwilowo, w każdym razie. Matka przygotowała na lunch wędzonego łososa i grzanek, a że nie namawiała mnie do jedzenia, zjadłam. Wędzony łosoś podpadał przypuszczalnie pod tę samą kategorię co pierdolona zupa szparagowa dla smakoszy, ale czy miałam umrzeć z głodu? Zresztą bardzo lubię wędzonego łososa, a Mark Posser chwilowo znajdował się w szufladzie na akta.

Później zdałam matce skrócone sprawozdanie z konfrontacji z Shirley. Zachowywałam się perwersyjnie, bo przecież wiedziałam, że poczuje się zaszokowana, przygnębiona, a dyskusja o tym spotkaniu nie była mi wcale potrzebna. Musiałam się jednak wygadać.

- Wolałabym, żebyś trzymała się z dala od tych okropnych ludzi - skomentowała płaczącym głosem. - Łobuzy, kryminaliści, dziwki.

Straszne plugastwo. - Najwyraźniej wyobrażała sobie Shirley Posser jako kochankę gangstera.

- Nie są wcale „okropnymi ludźmi” - odparłam. - Gdyby pani Posser mieszkała gdzieś niedaleko, przypuszczalnie spotykałabyś się z nią przy okazji lokalnych imprez. Rzecz jasna, ona jest „miastowa” i niezupełnie z naszej sfery, ale przecież obecnie panuje moda na mieszanie się sfer i, jak cię znam, byłabyś dla niej supermiłą, żeby pokazać, iż wcale tego nie zauważasz. Jej mąż - gdyby akurat nie siedział w więzieniu - grałby w golfa z tym twoim kolekcjonerem antyków, dzieci występowałyby w szkolnym przedstawieniu. Szanowani członkowie społeczności.

- O, Boże - jęknęła matka trochę na wyrost. - Kochanie, czemu to robisz? To znaczy, jeśli już koniecznie musisz być dziennikarką, przeprowadzaj wywiady z gwiazdami filmowymi, pisz krytyki teatralne lub pracuj w którymś z tych nocnych programów, gdzie ludzie opowiadają o swoim życiu. O ileż to przyjemniejsze. Łapanie przestępców należy do policjantów, czyż nie?

- Ci przestępcy akurat przekupili oficera policji - odparłam. - To się zdarza. Policjanci bywają przekupni, zresztą nie ma ludzi nieprzekupnych. Gdyby „Śledztwo” nie przeprowadziło tego dochodzenia, Guy Posser i jego kumple dalej robiliby to, co robili.

- O, Boże - jęknęła znowu matka. I dodała: - A właściwie co takiego robili?

- Prali brudne pieniądze.

- Wolałabym, żeby tak tego nie nazywano - obruszyła się. - Słyszac to, widzę, jak w wielkiej pralni publicznej ładują banknoty do pralki. Zresztą, co to oznacza?

- Machinacje finansowe. Obracanie w kółko wielkimi sumami, by nikt nie mógł się zorientować, skąd pochodzą. Fikcyjne spółki i aktywa dla przykrycia prawdziwego źródła dochodów.

- To nie brzmi tak źle.

- Na jednym końcu jest Guy Posser, inteligencik z aktówką, sympatyczną żoną, miłymi dzieciakami, klubem golfowym. Na drugim - sprzedawcy narkotyków, mordercy oraz rozmaici nieszczęśnicy, którzy są albo bardzo zdesperowani, albo już martwi. Taki jest ten świat, mamó. Samo życie. Prawdziwe życie jest wstrętne. Dlatego muszę to robić. Bywa, że skrzywdzi się kogoś niewinnego, w tym również dzieci. Czasami jest to moja wina. Ale tylko z tego powodu nie mogę się wycofać. Pewność, że się nikogo

nie krzywdzi, można mieć jedynie nic nie robiąc, a jeśli ludzie, którzy wierzą w prawo i sprawiedliwość, wstrzymają się od działania, to sprzedawcy narkotyków, skorumpowani biznesmeni i skorumpowana policja będą mieli wolną rękę.

„Staraj się nie krzywdzić ludzi” - powiedział mi ojciec we śnie, w myślach. Staralam się. Nie mogłam jednak siedzieć z założonymi rękoma.

- Kilka tygodni temu - rzekła matka - wikary wygłosił kazanie

o karze i zemście. Znasz to: „Mnie pomsta, ja oddam - mówi Pan.” Otóż Charles uważa, że jeśli niewinni mają cierpieć, to lepiej niech winni ujdą karze.

- Zawsze ktoś cierpi - odparłam. Nagle poczułam się tym strasznie zmęczona. - Bez względu na to czy coś robisz, czy nie. Na świecie jest tyle cierpienia. On ma rację, ja mam rację i Shirley Posser ma rację, ale nie potrafimy się porozumieć. Rezultat: cierpienie. Brak działania nie jest żadnym rozwiązaniem. Musimy próbować - zakończyłam. Nie mogłam pozwolić, by Skrupuły znowu wzięły górę. Wynegocjowałam sobie powrót do pewnego stopnia normalności

I nie zamierzałam popuścić.

Zastanawiałam się, czy matka to rozumie.

- Kochanie - powiedziała po chwili przerwy - ta rozmowa stała się nazbyt poważna. Było nie było mamy weekend, powinnaś odpocząć. Wiem, że życie jest przeraźliwie smutne i nieprzyjemne, ale, dzięki Bogu, nie w Askham. Co chciałabyś robić po południu?

Na dworze padał deszcz. Po zimie ogród jeszcze świecił pustką - gołe krzaki, drzewa, zszarzała trawa.

- Nic - stwierdziłam. - Raz chciałabym nic nie robić.

o późnym obiedzie zasiadłyśmy w salonie. Matka słuchała ulubionego koncertu fortepianowego, ja kartkowałam książkę. Za całe oświetlenie służył ogień w kominku i mała lampka przy moim łokciu. Ciemne okna połyskiwały od deszczu. Domyśliłam się, że matka zasnęła, bo głowę miała pochyloną i otwarte usta. Przy nikim innym nie pozwoliłaby sobie zasnąć; żadna Lorelei, nawet taka koło sześćdziesiątki, nie drzemie w fotelu z otwartymi ustami. W tej chwili bardzo ją kochałam. Książką na moich kolanach był opublikowany pośmiertnie trzeci wybór wierszy mego ojca. Przed wojną ojciec pracował jako radca prawny, po wojnie wrócił do prawa, ale

na krótko. Bowiem kiedy umarł dziadek, pozostawiając mu spory majątek, ojciec rzucił biuro i poświęcił się wyłącznie pisaniu. Wiersze, z których wiele opublikowano wcześniej w gazetach i czasopismach, zebrał w antologię i wydał razem z głośnym wówczas esejem na temat odreagowywania przeżyć wojennych. Potem napisał jeszcze inne eseje i komentarze, trochę krytyk literackich, analizę poezji elżbietańskiej, biografię Johna Donne'a. Wygłosił serię odczytów, od czasu do czasu udzielał w radiu wywiadu, nie lubił jednak tego rodzaju popisywania się. Jego wczesna poezja mówi, według znawców, o przetrwaniu uduchowionego człowieka na brutalnej scenie współczesnej wojny.

W swoim czasie cieszyła się wielką popularnością: ojciec był jednym z nielicznych

- pokieroszowanym na wojnie bohaterem czerpiącym z głębi osobistego doświadczenia. Jego późniejsze utwory, które wolę, skupiają się na prostych rzeczach, jak życie na wsi i sprawy domowe, a obrazy wojny rozmazują się w obrazach pokoju. Zarówno czytelnicy, jak i krytycy przestali się nim interesować, czym chyba mało się przejął - jeśli w ogóle to zauważył - gdyż rola bohatera wojennego wprawiała go w zakłopotanie. Zachował szacunek ludzi, którzy nie pamiętali, za co go zyskał, a kiedy zmarł w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym roku na raka (rzucił papierosy, ale nie potrafił obejść się bez fajki), kilka gazet zamieściło długie nekrologi, w których rozpisywano się o jego „empatii i wrażliwości”, „pustelniczym życiu” i „tajemniczym talencie”. Błądząc po książce, którą znałam prawie na pamięć, uświadomiłam sobie, jakie to szczęście posiadać coś takiego; ojciec od dawna nie żył, a ja ciągle miałam jego słowa dla karmienia wyobraźni i odświeżania pamięci. Tylko trochę żałowałam, że nie mam jego późniejszej fotografii. Słowa są lepsze od fotografii. Fotografia pokazuje jedynie twarz, słowa wychodzą z duszy.

Ogień przygasł; zarzyły się jeszcze resztki wypalonego polana. Zgasłam lampę. Na pokój spłynęła ciemność, którą zmiękczała czerwona poświata w kominku. Na zewnątrz czaiła się Noc. Nie słyszałam już deszczu. Podeszłam do tylnych drzwi, otworzyłam je. Noc. Noc nade mną, noc wokół mnie - nie taka noc jak w mieście, płaska ciemność zmieszana z żółtawym światłem lamp ulicznych i neonów, lecz noc na wsi, żywa i magiczna, z ruchem drzew,

dyszeniem wiatru, szumem deszczu. Kłęb chmur przesunął się i odsłonił niebo, na które wpłynął księżyc w trzeciej kwadrze, srebrząc brzegi zbierających się do odwrotu kumulusów. A za nimi była nie pustka moich najgłębszych lęków, lecz mnogość gwiazd, nieskończona, niepoliczalna liczba gwiazd, miliony nieznanych światów połyskujących pod baldachimem jedyne wszechświata. Wziąwszy głęboki oddech odniosłam wrażenie, że wraz z wilgotnym powietrzem wciągnęłam do płuc odległy pył gwiazdny, że zostałam wypełniona przez Noc i na zawsze rozświetlona.

Późnym niedzielnym popołudniem pojechałam z powrotem do Londynu. Zanim wyruszyłam w drogę, matka spróbowała jeszcze raz z kolekcjonerem antyków.

- Mogłabym zaprosić go na drinka. - Ton jej głosu był prawie błagalny. - Tylko na drinka. Jak przyjedziesz następnym razem...

- Jeśli go zaprosisz - zagroziłam jej niezbyt serio - nigdy już nie przyjadę.

- Ależ kochanie - upierała się. - Masz prawie trzydzieści lat...

- Trzydzieści dwa.

- Tyle czasu upłynęło, odkąd...

- Dziesięć lat.

- Dziesięć lat! Sama więc widzisz. Nie można umartwiać się przez dziesięć lat. Co to ma być, powieść wiktoriańska?

Wasze pokolenie szczyli się tym, że jest takie diabelnie nowoczesne. Mamy lata dziewięćdziesiąte - czy jeszcze osiemdziesiąte? Nigdy tego nie pamiętam, w każdym razie jesteście tacy wyzwoleni, macie tyle romansów i mogłabyś...

- Złapać AIDS? Dziękuję, postoję.

- Ależ nie! - obruszyła się. Obruszenie się nie pasowało do niej, ale przy mnie o tym zapominała. - Przecież nie namawiam cię, żebyś sypiała z kim popadnie, doskonale wiesz, że nie o to mi chodzi. Z drugiej strony macie te wszystkie kondomy i inne takie... kochanie, chcę tylko, żebyś trochę poflirtowała, nim trafisz na właściwego mężczyznę. Jeśli nikogo do siebie nie dopuścisz, w jaki sposób się znowu zakochasz? Jesteś bardzo ładna i marnujesz się. To takie miłe być zakochaną. Powinnaś być zakochana, powinnaś być kochana. Michelle, spróbuj być bardziej... frywolna i romantyczna. Od czasu do czasu. Wiesz, że zależy mi wyłącznie na twoim szczęściu.

- Jestem romantyczna - odparłam spokojnie. - W tym cały kłopot. Romantyczna, nie frywolna. Nie potrafię zakochać się na zawołanie. Ale pewnego dnia spojrzę przez zatłoczony pokój i ujrzę Go - Go przez duże G - i to będzie to. Szast. Prast. Miłość. Na razie możesz zatrzymać sobie kolekcjonera antyków.

- A jeśli nic takiego się nie zdarzy?

- To się nie zdarzy. Mam pracę. Praca znaczy teraz dla mnie więcej niż miłość. Nie umartwiam się: ani z powodu Patricka, ani nikogo innego. Po prostu... miłości nie można sobie narzucić. Mamo...

- Wiem. - Przytuliła mnie i nie powiedziałam tego, co chciałam: przepraszam, że jestem inna, przepraszam, że nie jestem podobna do ciebie. Zresztą to nieprawda i dobrze, że tego nie powiedziałam. Rozczuliłybyśmy się, co dla niej było nienaturalne, dla mnie zaś nieznośne.

Powiedziała:

- Życzyłabym sobie...

W Londynie, w moim nie urządzonej mieszkanie wypełnionym głównie segregatorami, pomyślałam sobie, że bardzo jestem zadowolona, że nikt mnie nie wita, nie nudzi, nie zawraca głowy. Poszłam do łóżka z książką - z książką można się obejść bez kondomu

- i zasnęłam przy drugim rozdziale. Po raz pierwszy od wieków śnił mi się Patrick. Mój były mąż. Jako znawca antyków próbował ocenić wiek puszki zupy szparagowej. Działo się to na aukcji antyków, które poddawał bardzo szczegółowym oględzinom, przez lupę. „Ta rzecz jest stuprocentowo autentyczna! - wykrzyknął naraz tryumfalnie.

- Widzisz znak firmowy? Sainsbury..."

Otworzywszy oczy poczułam się jak królowa Wiktoria. To nie było zabawne. Wśród Skrupułów nigdy nie występował Patrick ani żaden inny kochanek. Nie życzyłam go sobie - a już zwłaszcza we snach.

Przeczytałam jeszcze jeden rozdział i znowu zasnęłam, tym razem bez poczucia winy i duchów.

Rozdział trzeci

Odczuwałam brak kochanka. Nie tyle ja, co moje ciało, które w regularnych odstępach czasu dokuczało mi napadami bezsenności lub perfidnymi reakcjami na umięśnionych aktorów, o których wiedziałam skądinąd, że w normalnym życiu by mnie nudzili. Co miesiąc ogarniała mnie też przedmiesiączna gorączka; robiło mi się wtedy na przemian zimno i gorąco, a towarzyszyły temu takie fantazje erotyczne, że zgorszyłyby samego Bunuela. Masturbacja przynosiła tylko chwilową ulgę. Coś jak podrapanie po ugryzieniu komara - na minutę czy dwie swędzenie mija, ale potem wraca, jeszcze bardziej dokuczliwe. Ja jednak nie zamierzałam pozwolić, by rządziło mną libido. Praca zżerała całą moją energię, zajmowała myśli, dyktowała program dnia. Pracowałam ciężko.

Oczywiście po rozwodzie spotykałam się z tym i owym, ale te historie nie miały większego znaczenia. Zwykle byli to starzy znajomi, którzy na krótko stawali się czymś więcej niż znajomymi; chwilowe zauroczenia, mijające przy obiedzie lub w łóżku - dwuletni maraton seksualny, który nie zaowocował porozumieniem dusz. Odczuwałam przywiązanie, sympatię, krótkie pożądanie, przyjaźń - ale nie miłość. Ani krzty miłości. Jak powiedziałam matce, tego nie można sobie narzucić. Po dwuletnim uganianiu się za tylko i wyłącznie seksem, zmęczyło mnie szukanie go w niewłaściwych łóżkach. Gdy jednak od ostatniego spotkania — pewnej weekendowej historii, która rozczarowała mnie psychicznie i fizycznie — minęło sześć miesięcy, zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem nie jest mi pisana przyszłość zakonnicy. Odczuwałam straszny głód, który sprawiał, że zupełnie zapomniałam o zachowaniu rezerwy, powściągliwości, zdrowego rozsądku, ale gdy tylko znalazłam się z mężczyzną w łóżku, cała namiętność gdzieś się ulatniała. Robiłam się zimna,

obojętna, niezainteresowana. Czasami zastanawiałam się, czy przypadkiem nie było tak zawsze, tyle że początkowo nadrabiałam to młodzieńczym zapalem, a potem tłumaczyłam urazem pierwszych doświadczeń po rozwodzie. Nawet po zaspokojeniu pożądanego nie czułam euforii ani wewnętrznego ukojenia, a jedynie pustkę. Nie tęskniłam za Patrickiem, tęskniłam za tym, co z nim robiłam. Tęskniłam za kochaniem się z nim.

Poznałam go na studiach. Byłam na trzecim trymestrze w Uniwersytecie Hrabstwa Sussex. Miałam dziewiętnaście lat, Patrick dwadzieścia jeden. Uczęszczał na jeden z tych skomplikowanych kursów, które obejmują bardzo różne przedmioty - filozofię i psychologię albo socjologię, albo antropologię; szczegółów już nie pamiętam. Łatwo się zapalał i łatwo nudził, więc ciągle się przenosił; po drodze nawet liźnął trochę orientalistyki, a stopień naukowy uzyskał ostatecznie z filozofii. Mało się do czegokolwiek przykładał, nie musiał. Posiadał ten rodzaj żywej inteligencji, że przyswoiwszy sobie jakąś ideę lub fakty, pomyślał o nich, pobawił się, ewentualnie wykorzystał, a potem odrzucał, a wszystko tak od niechcenia. Potrafił dyskutować na każdy temat, niszcząc przeciwnika salwami ognistej elokwencji, choć myślę, że często ci mniej od niego wymowni wyczuwali, że jego argumentacji czegoś brakuje - głębi lub szczerości - ale przez swą ślamazarność nie byli w stanie tego wykazać. Jeśli o mnie chodzi, to oślepiła mnie jego powierzchowna efektywność, żarliwość, błyski cynizmu. Na naukę miał niewiele czasu, ponieważ bez reszty pochłaniała go działalność studencka - zebrania, kampanie, pisanie odezw, wygłaszanie mów. Był przewodniczącym związku studentów, ale to później. Pochodził z irlandzkich robotników; stąd przypuszczalnie wzięła się cała ta lewicowość i buntowniczość. Przeszawiał się z anarchizmem na socjalizm lub komunizm w zależności od nastroju, w każdej chwili był gotów obsadzić ludźmi barykadę w dowolnej sprawie lub bez sprawy, organizować forszę, odrzucać autorytety. Katolicyzm wyrobił w nim niechęć do innych religii, bieda pogardę dla bogactwa. Zadurzyłam się w nim z punktu pewnego wieczora w barze, gdzie jak zwykle nie dawał nikomu dojść do głosu. Niezdecydowanych, jękających się oponentów rozkładał na łopatki na oczach świadków, którzy słuchali go z najwyższym uwielbieniem. Przyłączyłam się do nich.

Był przystojny w stylu typowym dla naturalnego buntownika. Miał coś z pochylenia Kasjusza oraz głodne spojrzenie i krzywy uśmiech,

nadający jego twarzy filuterny wyraz - ironiczny, przemądrzały, nieco okrutny uśmiech prowokatora. Ciało miał wąskie, szczupłe, umięśnione, twarz składała się z samej skóry i kości. Grzbiet nosa, plecy i ramiona obsypane były cynamonowymi piegami, które przyciągały moją uwagę, kiedy kochając się z nim gryzłam go w ramię i potem, gdy zostawiał na mych piersiach bezwładną rękę. Kochałam te piegi. Oczy miał wąskie, migdałowe i bardzo błyszczące, roziskrzane, jedną brew uniesioną, włosy do szyi. Mówił z lekkim irlandzkim akcentem - zamazaniem głosu miękkim jak irlandzka mgła - nasilającym się, gdy był pijany lub podniecony. Kochałam go, każdy centymetr kwadratowy, każdy pieg, każdą komórkę jego ciała. Lubiłam robić z nim to, co nie sprawiało mi przyjemności z innymi mężczyznami - brać jego penisa do ust, smakować go, bawić się nim, prowokować, szukać językiem najwrażliwszych miejsc, uczyć się jego reakcji, póki nie stały się niemal moimi własnymi. Po wszystkim kładłam głowę na jego brzuchu, słuchałam, jak mu w nim burczy i śmiałam się, on zaś wciągał mnie całą na siebie i zrzędził, że jest głodny - zawsze był głodny - więc później, dużo później, zabieraliśmy się do jedzenia. Nie ma nic lepszego jak kochać i być kochaną, dokazywać w łóżku z przerwą na koktajl i kolację. Po której następował znowu seks, sen i jeszcze raz seks. To się udaje tylko z właściwą osobą i we właściwych okolicznościach. Wystarczy jednak najdrobniejsze zafałszowanie, lekkie udawanie, by na pięknej kruchej strukturze zaczęło się rozchodzić cieniutkie jak włos pęknięcie, stopniowo prowadzące do jej zniszczenia. Czasem ta rysa - niewidoczna, nie zauważona - istnieje od samego początku.

Ślub cywilny zawarliśmy pewnego letniego dnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku. Panna młoda wystąpiła w dzinsach, pan młody podobnie. Zaśmiewaliśmy się przy tym do łez. Dla Patricka ślub ten był, jak sądzę, impulsem, gestem, jakimś nowym doświadczeniem. Dla mnie, mimo dzinsów i śmiechu, oznaczał coś poważnego i na zawsze. „Na zawsze” trwało niewiele ponad rok. Częściowo sama ponosiłam za to winę. Byłam młodą idealistką i wierzyłam, że Patrick podziela moje zasady. Nie sprawdzałam, co się kryje pod połyskliwym płaszczykiem jego przekonań. Prawdą było to, że potrafił uwierzyć w każde credo, wziąć udział w każdej krucjacie, bronić dowolnego poglądu. Aż do znudzenia. Jeśli robił to niezbyt szczerze, to tylko dlatego, że jego żarliwość była zbyt płytka,

by mógł zrozumieć, czym jest szczerłość. Dla niego wszystko było grą, która podniecała, rzucała wyzwanie; grą, w którą - dzięki swym licznym talentom - świetnie grał. A jak już pograł i trochę wygrał, uważał, że czas zagrać w coś nowego. To, co ja brałam za blask szlachetności, było po prostu fałszywym polorem, wdziękiem - wdziękiem mojej matki, wdziękiem elfów, które dla rozrywki mieszają się z ziemskimi śmiertelnikami, ale nie potrafią czuć czy kochać głęboko. Z tą różnicą, że Patrick nie posiadał jej dobrego smaku ani świadomości swych wad. Kochał we mnie - jeśli była to miłość - moje uprzywilejowane pochodzenie, długą zasłonę z włosów, siebie, swoje odbicie w moim umyśle. Był dobry w łóżku, ale był dobry we wszystkich sportach: piłce nożnej, krykiecie, tenisie i seksie. Gdy go przejrzałam na wylot - gdy w końcu zobaczyłam ten jego czar, płyciznę, puste serce - moje uczucia zmieniły się nieodwołalnie. Ale odkochywanie się jest procesem powolnym i bolesnym. Przez pewien czas nienawidziłam siebie za to, że go zdradziłam, za niestałość, którą odkryłam w swym własnym charakterze. Wszak on nie zamierzał mnie oszukać, sama się oszukałam. Wiedziałam, że powinnam kochać jego słabości, ale nie mogłam. Moja wielka namiętność skurczyła się do zadurzenia, a to całkowite i bardzo zwykłe rozczarowanie sprawiło, że poczułam się „tania”. Otrząśnięcie się z Patricka zajęło mi dużo czasu, ale jeszcze dłużej leczyłam się z niesmaku do samej siebie. - Kłopot z Patrickiem polega na tym - powiedziała mi jego siostra Ailean przy okazji jednej z rzadkich wizyt w jego domu - że od urodzenia wszyscy go psuli. Trzęsło się nad nim pięć starszych sióstr włącznie ze mną i ogłupiała matka. Co zaś do ojca, to najpierw ciągle modlił się o syna, a kiedy Bóg wreszcie go wysłuchał, nie był w stanie uwierzyć w cud. Rodzina, znajomi, sąsiedzi - wszyscy traktowali Patricka jak prezent gwiazdkowy. Byliśmy dość biedni, ale jemu na niczym nie zbywało. Jeśli my nie mogliśmy dać mu na podwieczorek ciastka, robił to ktoś inny. Przy tym, zauważ, nie jest wcale mięczakiem. Jest twardy, ale taki już się urodził, nie wynika to bynajmniej z wychowania. Zawsze był niesłuchanie błyskotliwy, bardzo pewny siebie i miał mnóstwo wdzięku. Wystarczy jeden jego uśmiech, a każdemu serce topnieje jak wosk. Po śmierci przechytry diabła i gadaniem załatwi sobie wejście do Królestwa Niebieskiego, choć jego grzechy są czarne jak kapelusz Baby Jagi. Znam ja go dobrze. Przerwała, jakby w oczekiwaniu, że coś powiem, ale milczałam. Myślałam chyba, że przemawia przez nią zazdrość. Wprawdzie w jej

wyglądzie i głosie nic na to nie wskazywało, ale czym innym można było wytłumaczyć jej stosunek do brata?

- Słuchaj - podjęła. - Opowiem ci pewną historię, to zrozumiesz, jaki on jest. Kiedy miał dziewięć lat, przelazł wraz z innymi dziećmi przez płot do ogrodu pani Tranter narwać sobie jabłek. Rosło u niej takie duże drzewo, z którego jabłka były wspanialsze od tych z rajku i było ich tyle, że sama nie mogła ich zjeść, ale z nikim się nie dzieliła. Była bogata, niesympatyczna i skąpa jak Scrooge. Przyłapała tylko Patricka, bo inne dzieci czmychnęły bojąc się, że zawoła ogrodnika, a ten wygarbuje im skórę. Patrick zrobił minę, którą wzruszyłby nawet Świętą Inkwizycję i powiedział, że te jabłka chciał zanieść chorej umierającej matce. Pani Tranter wyciągnęła z niego, gdzie mieszka, po czym odprowadziła go do domu, prosto w objęcia matki czekającej na niego w swej całej liczącej siedemdziesiąt pięć kilogramów okazałości, promieniującej zdrowiem, rumianej na policzkach jak te jabłka, które niby dla niej kradł. Myślisz, że pani Tranter wybuchnęła gniewem? Nie. Normalnie nie obesłoby się bez dyscypliny. Ale nie w przypadku Patricka. Śmiała się tak, że mało nie pękła, i zaprosiła go na podwieczorek w następnym tygodniu. Od tego czasu co miesiąc gościł u niej na podwieczorku. Pożyczała mu książki, namówiła na studia, powiedziała, że jest za mądry, by całe życie tkwić w takiej dziurze jak Kilkeny. Nawet zapisała mu w testamencie jakieś pieniądze. A wszystko zaczęło się od kradzieży jabłek i łgarstwa! Widzisz, Patrickowi zawsze wszystko łatwo przychodzi. Niektórym się w życiu udaje. Mają to zapisane w gwiazdach.

- On jest nietuzinkowy - powiedziałam, bo coś w końcu musiałam powiedzieć.

- Niech ci będzie - odparła Ailean.

Patrząc wstecz, nie jestem pewna, czy chodziło jej o to, by mnie ostrzec, czy zachęcić. „Patrickowi zawsze wszystko łatwo przychodzi.” Usprawiedliwiał go, toleruj, przymykaj oczy na jego wady - tak jak on to robi. On jest nietuzinkowy.

Za późno zrozumiałam, o co jej chodziło.

Patrick zrobił dyplom i zaczął doktorat, ja pisywałam do gazet. Byliśmy ciągle związani z uniwersytetem, ale większość naszych znajomych już stamtąd odeszła i Patrick wycofał się z działalności

związkowej. Wynajmowaliśmy dom wspólnie z trzema studentami, z których dwóch oddawało się nauce, trzeci zaś grze w rugby. Był rok osiemdziesiąty, początek thatcheryzmu; polityczne agitacje wychodziły z mody. Patrick stał się drażliwy i zgorzkniały. Mówił, że nie czuje się na swoim miejscu, że odnosi wrażenie, iż cały świat poszedł naprzód, a on został z tyłu, jak gdyby powracająca fala uniemożliwiała mu dopłynięcie do brzegu. Pisanie doktoratu uważał za zajęcie pozbawione sensu, od rzeczy, ot, ćwiczenie się w akademickiej megalomanii. Pomyślałam, że tęskni za przyjaciółmi i zaproponowałam, żebyśmy spędzili weekend w Londynie z jego kumplem Jamesem Lombardem. James był przeciwieństwem Patricka pod każdym względem; miał bogatych rodziców, konserwatywne poglądy, był chronicznie pijany, ideologicznie zblazowany. Spierali się bez przerwy - James zawsze przegrywał, ale znosił to pogodnie. Nie przepadałam za nim specjalnie, podobała mi się jednak ich wzajemna tolerancja; widziałam w tym dowód na to, że przy całym swym rewolucyjnym zapale Patrick nie jest fanatykiem. James miał mieszkanie w południowo-zachodniej części Londynu i posadę urzędnika w banku handlowym swego ojca. Spędziliśmy z nim dwa dni. W poniedziałek musiałam przeprowadzić jakiś wywiad dla czasopisma. Umówiliśmy się, że spotkamy się wieczorem w Brighton.

Wrócił później, niż się spodziewałam, podekscytowany jak przed demonstracją lub publiczną debatą.

- Dostałem pracę - zakomunikował.

- Co takiego?

- Dostałem pracę. - Przytulił mnie machinalnie, pocałował w policzek. Był podniecony, czujny, zadowolony z siebie. Ja też miałam być zadowolona. On nie wiedział co to Skrupuły. - Rzucam w diabły doktorat, to i tak tylko strata czasu. Pojedziemy do Londynu, znajdziemy jakieś przyzwoite mieszkanie. Koniec ze studentami, współlokatorami, tylko my dwoje i garaż na służbowy samochód. Wyobrażasz sobie! Ja i służbowy samochód! - Uśmiechnął się trochę ponuro, trochę filistersko. - Bąbelkujemy, kochanie. Najwyższy czas. Mam dość akademickiego biedowania. Oboje nie znosimy tego domu. Jak się dobrze zastanowię, to dochodzę do wniosku, że nie znoszę też Brighton. Wszystkie angielskie kurorty nadmorskie są takie same - pełne przeraźliwie nudnych ludzi. Nienawidzę Brighton. Wyjeżdżamy do wielkiego miasta. Nowy dom, nowa praca, starzy znajomi. Co ty na to? Podoba ci się ten pomysł?

- Co to za praca? - spytałam, choć doskonale znałam odpowiedź.

- Bank, cóż by innego? James wszystko nagrał, gdy dowiedział się, że przyjeżdżamy. Byłem dziś na rozmowie. Naprawdę chodziło tylko o formalność. Jego tata z punktu zaproponował mi posadę. Widzisz, James już dawno namawiał mnie, żebym spróbował pracy w banku, ale ja naturalnie nawet nie chciałem o tym słyszeć. Zresztą mniejsza o to, wszystko się zmieniło. Powiedział, że jak tylko mnie zobaczył, domyślił się, że mam dość. Spójrzmy prawdzie w oczy

- nie jestem stworzony do spokojnego życia naukowca.

- Nie było znowu takie spokojne - zauważyłam.

- Kiedy byliśmy studentami. Ale zesliśmy ze sceny i staliśmy się szacowni. Siedzimy na ławce, a gra toczy się dalej, ale już bez nas

- a w dodatku strasznie nudna jest ta gra. Jeszcze trochę, a zostanę tym modnym młodym wykładowcą, który przychodzi na zajęcia w obcisłych dżinsach i sypia z co ładniejszymi studentkami. Nie chciałabyś, żebym sypiał ze studentkami, prawda? Kupiłem butelkę szampana. Uczymy to sobie.

Nie sądzę, żeby kiedykolwiek rozumiał, co było nie tak. Staralam się mu wytłumaczyć, naprawdę się starałam, ale spływało to po nim jak woda po gęsi. Z taką inteligencją powinien był zrozumieć mój punkt widzenia, ale on, choć własne poglądy zmieniał jak skarpetki, cudzych nie był w stanie przyjąć. Czułam się chora, skręcało mi kiszki, jak wtedy, gdy się boję. Człowiek, którego kochałam. Pierwszy raz zobaczyłam go takim, jakim naprawdę był; co gorsza, wiedziałam, że zawsze był taki. Znalazły się brakujące elementy łamigłówki. Ailean w Kilkenny i James - James, który właściwie ocenił jego niezbite argumenty. Oto prawdziwy Patrick, zepsute przez los dziecko, dla którego wszystko było grą. Kiedy spojrzałam na niego, odniosłam wrażenie, że jego wspaniała nieskazitelna fasada pęka i zapada się; oto stał przede mną chudy zwyczajny facet o tanim uśmiechu i błyszczących oczach, i gadał bzdury. Człowiek, którego kochałam. Tej nocy leżałam obok niego, nie dotykając go. Nie byłam w stanie spać ani się kochać. Przerazała mnie myśl o opuszczeniu go. Nad ranem wiedziałam jednak, że muszę to zrobić.

Nie było wyboru czy dylematu. Nie próbowałam Patricka zmienić, bo ludzi nie da się zmienić. On był sobą, ja byłam sobą. Koniec, kropka. Musiałam odejść. To była tylko kwestia zebrania odwagi. Choć w głębi serca czułam, że dalsza dyskusja jest daremna, próbowałam wytłumaczyć, wyjaśnić moje stanowisko. Trudno jednak

wyjaśnić cokolwiek, kiedy ma się mętlik w głowie. Poza tym Patrick mógł łatwo wykazać, że jestem w błędzie, nawet nie wysłuchawszy, co mam do powiedzenia. Był dla mnie zbyt mądry, dla siebie zresztą też. Już po odejściu wyobrażałam sobie, jak się rozgląda zdziwiony po pustej sypialni, wciąż nie pojmując, co się właściwie stało. Kilka lat później rozwiedliśmy się przez pocztę. Potem on ożenił się z córką dykcji banku. To znaczy z córką jednego z dyrektorów, ale chyba nieważne którego. Moja matka, która nie lubiła Patricka, powiedziała, że nie jest wcale zdziwiona.

- Martwię się natomiast, że przyjmujesz to tak... chłodno - dodała.

- Zbytne opanowanie nie dodaje ci kobiecości. Od czasu do czasu mogłabyś się rozplakać. - Nie powiedziałam jej, że wstydziłam się płakać z jego powodu, wstydziłam się, że wyszłam za niego. Płakałam tylko raz, w swoim pokoju w Szarych Facjatkach, kiedy nikt nie mógł mnie zobaczyć. - Nie rozumiem twojego pokolenia

- uskarżała się matka. - To tak łatwo odejść od męża?

Bardzo łatwo. Mniej więcej tak, jak wyrwać sobie rękę. Ręka jest zakażona, zgangrenowana i wiesz, że trzeba się jej pozbyć. Ale jak to strasznie boli. A potem dalej ci się zdaje, że zaciskasz palce, choć już ich tam nie masz.

Kilka miesięcy temu znajoma powiedziała mi, że spotkała Patricka na jakimś przyjęciu.

- Nie widziałam go od chwili rozstania. Ciekawe, jak wygląda?

- zainteresowałam się.

- W porządku. Ma trochę podkrążone oczy, nieco obwisłą brodę. Ale poza tym...

- Nie utył ani nie wyłysiał?

- Och, nie. On się regularnie gimnastykuje. Dużo o tym mówił. Właśnie, on należy do ludzi, którzy regularnie się gimnastykują i ciągle o tym mówią. Pewnie ma dres i szorty pod kolor oraz różne akcesoria. To ten rodzaj faceta. Czy był bardzo przystojny?

- Chyba tak.

- Zastanawiałam się nad tym. Bo widzisz, on ma ten chłopięcy urok, który jest dobry u dwudziestolatka, ale u mężczyzny w jego wieku wskazuje na niedojrzałość. To tak, jak gdyby się przebrał za nastolatka. Ale niektórym kobietom się podobał. Gospodyni domu nie kryła, że uważa go za atrakcję swego przyjęcia.

- Czy on... - zawahałam się. - Wiesz, kiedyś był bardzo zabawny. Dusza towarzystwa...

- Jeśli mam być szczerą - powiedziała znajoma bez ogródek - wydał mi się dość nudny. Zna się na winach i na pewno dużo o nich wie. Niepotrzebnie jednak upiera się dzielić tą wiedzą ze wszystkimi, czy tego chcą, czy nie. Przy każdej butelce uznawał za wskazane wygłosić prelekcję. Tak mnie znudził, że mało nie zasnęłam. Jego żona wyjaśniła, że mąż „namiętnie interesuje się” winami, ale sama wyglądała mi na namiętnie znudzoną, czemu wcale się nie dziwiłam. Pomyśl, musi znosić to jego namiętne zainteresowanie na co dzień. W łóżku był dobry?

- Namiętny - odparłam z krzywym uśmiechem.

- Więc widać się skończył - skonstatowała. - Czytało się to z twarzy jego żony. On jest zblazowany, ona też, ale ze względu na dzieci lub jej tatusia muszą dalej być razem. Jak rozumiem, jej tatuś ma forszę. I wpływy w banku. Tak czy owak, Micky, dobrze, że się z tego wyplątałaś.

- Wiem - odparłam.

Patrick ze swą błyskotliwością i inteligencją został dyżurnym nudziarzem na przyjęciach. Plus małżeństwo bez miłości i teść wagi ciężkiej, który decyduje o jego losie. W jakiś sposób zabołało mnie to bardziej, niż tamto dawne rozczarowanie i rozwód. Patrick niczego nie osiągnął, nigdzie się nie wspiał. Miłość mojego życia. Czy stałoby się inaczej, gdybym wtedy została? Nie, nic by to nie zmieniło. A jednak czułam, że jego niepowodzenie jest częściowo moim, że ponoszę za nie odpowiedzialność. Ta myśl była mi gorzka jak lekarstwo.

Rozdział czwarty

Do pracy wróciłam w poniedziałek.

- Udał ci się weekend? - spytał Jeff Salter, asystent producenta. Odpowiedziałam uśmiechem, który mógł ewentualnie wziąć za potwierdzenie.

Jeff Salter zaliczał się do bardzo miłych mężczyzn - tych nieodmiennie rzucanych przez żony, kiwanych przez dziewczyny; tych, którzy zawsze wyciągają rękę po rachunek. Był przystojny, ale nie seksowny, dowcipny, ale nie złośliwy. Lubiłam go i żałowałam, a raz czy dwa późnym wieczorem nad ostatnim kieliszkiem w pustym barze dałam mu kosza. Jak inne miłe dziewczyny.

Miał to do siebie, że pytał, nawet jeśli tylko grzecznościowo, czy udał mi się weekend. Ałun Craig miał to do siebie, że nie pytał.

- Aaa, słuchajcie - powiedziałam. - W zeszłym tygodniu napatoczyłam się u Sainbury'ego na Shirley Posser.

- Shirley Posser? - Ałun zmarszczył czoło. Żonami nie zaprzątał sobie głowy, chyba że zgadzały się mówić.

Rodzinami, jeśli nie należały do mafii, również się nie interesował. Zresztą sprawa Possera była zamknięta i dawno o niej zapomniał. Musiałam mu przypomnieć.

- Zona Guya Possera - podsunęłam. - Jeff składał zeznania przed komisją. Pamiętasz?

Pierwszy zaskoczył Jeff.

- No i co? Zrobiła ci awanturę?

- Jeszcze jaką. Strasznie wrzeszczała. W końcu kierownik ją wyprowadził - zakończyłam relację. Nie widziałam powodu, żeby opowiadać im o Marku.

- Czy to była czynna napaść? - Ałun zmarszczył czoło.

- Można to tak nazwać. Zaatakowała mnie śmiercionośną bronią...

pasztetem bodajże. I innymi podobnymi obiektami. Rzuciła nimi we mnie.

- Odniosłaś jakieś obrażenia? - Doskonale wiedziałam, że pyta nie z troski o mnie ani nawet nie z ciekawości, lecz po prostu, by wiedzieć, czy zdarzyło się coś, co mógłby wykorzystać, gdyby w przyszłości sprawa Possera jakoś wróciła.

- Zapachu czosnku niełatwo się pozbyć - odparłam.

- Szkoda - rzekł myśląc o czymś innym. - Nagrywałaś?

- Wyobraź sobie, że nie nagrywałam - odparłam nader grzecznie. - Nie chodzę po sklepach z magnetofonem w ręce.

- A powinnaś - warknął. Bynajmniej nie żartował. Tradycyjnym wizerunkiem dziennikarza dochodzeniowego jest przebiegły, pozbawiony zasad, nie przebierający w środkach, ostro pijący nonkonformista; nieprzekupny, bez reszty oddany sprawie, podstępny, nowoczesny Robin Hood wrogo nastawiony do bogatych bonzów i establishmentu. Rzeczywistość jednak wygląda bardziej prozaicznie. Tylko nieliczni z nas są naprawdę oddani sprawie, jeszcze mniej jest nieprzekupnych, za to bardzo wielu ma trudności z utrzymaniem kieliszka. „Pismaki”, jak nazywał nas Leo Sands, samotni kowale słowa, wyprawialiśmy się do miasta, by oczyścić je z łajdaków. Byliśmy kłamcami, oszustami, obdartusami większymi od łobuzów, z którymi walczyliśmy. Babraliśmy się w gównie. Porównanie to bardzo dobrze pasowało do „Śledztwa”, które nie celowało w wielkie bezosobowe instytucje, lecz w pojedynczych osobników. „Źli ludzie robią dobrą telewizję” - mawiał Ałun Craig, mający wyraźną słabość do uogólnień. Brał na celownik jedną lub dwie osoby i robił o nich program. W przypadku niektórych sław, takich jak Derek Hatton czy Ernest Saunders, nie wahał się wykorzystać przeciw nim ich własnego charyzmatu. Początkowo „Śledztwo” zamierzało wzorować się na tradycji rycerskiej - mieliśmy być białym skoczkiem w pogoni za czarnym, synem drwala, który morduje smoka, ewentualnie współczesnym Don Kichotem walczącym z wiatrakami. Ale pewnego dnia cała ta rycerskość wylądowała w biurowych koszach na śmieci. Odtąd wyprawialiśmy się na smoki nie z magicznymi mieczami, lecz z ukrytymi mikrofonami i kamerami wideo. I ani Jeff, ani Ałun nie pasowali do modnego wizerunku dziennikarza-antybohatera, a już zupełnie nie mieli w sobie nic z białego skoczka. Jeff Salter służył za popychadło. Był sumienny, uparty, pracowity,

pozbawiony fantazji. Nie zdarzyło mu się przeoczyć żadnego szczegółu, choćby najbardziej trywialnego. Potrafił godzinami wyszukiwać w spisie wyborców czyjeś nazwisko, przetrząsać zawartość kosza na śmieci w poszukiwaniu wyrzuconego listu lub kartkować akta z dwudziestu lat śledząc drobne oszustwo. Alkohol i rozwód sprawiły, że stał się wojowniczy, z natury jednak był cierpliwy i opanowany. Dzięki swemu bliżej nie określönemu wyglądowi - przeciętny wzrost, przeciętne rysy, przeciętne ubarwienie - łatwo wtapiał się w tło. Ludzie nie poznawali go, nawet spotykając się z nim wielokrotnie, mógł więc chodzić za kimś nie zauważony przez długi czas. Zawsze dostawał najnudniejszą robotę. Zwykle obstawiał Aluna, który na nikim innym tak nie polegał. Stanowili zgraną parę, przy czym Jeffowi przypadało chodzenie, Alunowi zaś, jako obdarzonemu genialną intuicją, kierowanie ich tandemem. Jednocześnie Jeff, choć nieśmiały, był przez wszystkich, poza swą żoną, bardzo lubiany, Alun Craig natomiast uchodził za niesympatycznego, nieludzkiego typu.

Pół-Szkot, pół-Walijczyk, przywodził mi na myśl zwrotkę piosenki Flandersa i Swanna, która nosiła bodaj tytuł *Pieśń o patriotycznym uprzedzeniu*. Według jej autorów, Szkot „jest, jak wszyscy wiedzą, skąpy oraz kościsty, krościaty i włochaty”, z kolei Walijczyk jest „mały, ciemny i bardziej podobny do małpy niż człowieka”. Otóż jeśli złożyć te dwa opisy, otrzymujemy Aluna Craiga. Miał metr sześćdziesiąt sześć wzrostu, dość bladą cerę; włosy były z boku krótko ostrzyżone, na czubku sterczące i kojarzyły się nie tyle z dziełem fryzjera punków, co z nastroszoną na karku sierścią zwierzęcia wężącego ofiarę. Na szczęce, tam gdzie jej nie dogolił, czerniały łaty szczeciny, nad górną wargą ciemniał cień wąsów, którym nigdy nie dawał szansy wyrosnąć; kępy brwi po obu stronach nosa pięły się ku czołu, nadając mu wygląd osoby będącej bez przerwy w stanie wilczego oblędu. Kości policzkowe miał małe i guzowate, oczy - paciorki, ożywione guziczki od butów, uśmiech (nieczęsty) - głodny, szelmowski, wyprany z radości. Był świetnym dziennikarzem, pozbawionym wszelkich skrupułów, powszechnie znienawidzonym i prawie w równym stopniu podziwianym. Miewał natchnione przeczucia, które zawsze dokądś prowadziły; wzięte z powietrza domysły sprawdzały się w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach. Do złożenia pełnego obrazu wystarczyło mu kilku osobnych kawałków, a gdy już go sobie złożył, nie wahał się przed

niczym, by zdobyć niezbędne dowody. Zdobywając „materiał” dziennikarze na ogół odczuwają moralne zahamowania, dla osobowości Aluna Craiga charakterystyczny był zupełny brak moralności. Nie wahał się przed szantażem i łapówką, kijem i marchewką, kupnem i sprzedażą. Cel uświęca środki, wszystkie chwytły dozwolone. Raz, kiedy usiłowałam wyciągnąć pewną bardzo ważną informację od izczególnie powściągliwego w mowie świadka, Alun najpoważniej w świecie poradził mi, żebym przespała się z gościem, to mu się język rozwiąże. Nie wściekłam się, bo nic by to nie dało. Nie zrozumiałby, że zaproponował mi coś poniżającego i jednocześnie niemoralnego - dla Aluna nie istniało poniżenie czy niemoralność. Pozostawał w ciągłym konflikcie ze swymi przełożonymi, ale wiedział - i oni wiedzieli - że bez względu na to, co wyrabia, jest zbyt dobry, by go wyrzucić. Prawnikom z Biura Legalności Alun Craig śnił się po nocach.

To właśnie za sprawą Aluna „Śledztwo” było znane z brawurowych szarż i pedantycznej dokładności. Owszem, złożono na nas kilka skarg. Nie obeszło się bez pociągnięcia odpowiednich sznurków i legalnego przekupstwa, po czym dokonaliśmy przeprosin, których poza osobą przeproszoną nikt nie pamiętał. Jedną głośną sprawę o zniesławienie przegraliśmy, dzięki Bogu z małymi stratami, co świadczyło o tym, że co najmniej sędzia nie był na sto procent przekonany o naszej winie. (W tym przypadku mieliśmy i tak szczęście; zwykle sędziowie z góry żywią uprzedzenie do dziennikarzy dochodzeniowych.) W efekcie sprawa ta zrobiła nam reklamę. Na ogół „Śledztwo” budziło postrach, a u kolegów i rywali szacunek (niechętny). Byłam tam od początku. Najpierw traktowano mnie trochę jako maskotkę i posługiwano się - jakby powiedziała moja matka - „do wyłudzenia informacji” od mężczyzn wrażliwych na kobiece wdzięki lub gdy zachodziła potrzeba kobiecego podejścia do żon, narzeczonych i sekretarek. Później przestano dobierać mi robotę pod tym kątem, a teraz Alun Craig w ogóle nie pamiętał, że jestem kobietą, co z jego strony było wielkim komplementem. Posługiwał się mną, ponieważ wierzył we mnie, jakkolwiek moje zasady sprawiały mu nieraz kłopoty. Alun zawsze miał kłopoty z zasadami innych.

Na początku go nie znosiłam. Przystałam do ich zespołu, bo rwałam się do czegoś nowego i czułam, że ta praca będzie dla mnie wyzwaniem, ale Alun tak mnie mierzył, że nie wyobrażałam sobie,

bym mogła długo z nim wytrzymać. Jednakże stopniowo nabrałam podziwu dla jego dziennikarskiego talentu, a chwilami, gdy się nie pilnowałam, zaczynałam go lubić co najmniej za to, że lekcewał ważniaków i miał niebywały tupet. Kto z kim przestaje, takim się staje, powiedziałyby matka z przekazem. Ja przestawałam z Ałunem. Czasem łapałam się na tym, że śmieję się z jego obrzydliwych dowcipów albo że cieszę się wraz z nim, widząc, jak przygwożdżona ofiara wije się i skręca. Ałun bynajmniej nie stał się mniej obmierzły, tylko mnie przestało to razić. Taki się już urodził, wytłumaczyłam sobie. Czy można winić ropuchę za to, że jest ropuchą, albo szczura za buszowanie w śmietniku? Mają to w naturze. Ałun był sobą, czyli uczciwym, bezlitosnym, amoralnym facetem - a przy tym wyjątkowym dziennikarzem. Ja byłam Micky Murphy, trzecią osobą w programie, kobietą bez serca, której pasją było poznanie prawdy. Dobrze nam się razem pracowało.

Tamtego poniedziałku czekało nas kilka nowych spraw. Z materiału, który przeważnie nadsyłano nam pocztą, anonimowo lub nie, Ałun wybierał to, co uznał za najbardziej interesujące i przeprowadzał wstępne dochodzenie. Sprawa musiała spełniać trzy warunki: po pierwsze powinna nadawać się do telewizji; po drugie - być prawdziwa; po trzecie i najważniejsze - my powinniśmy być w stanie znaleźć dowody, które zadowolą naszych prawników. W pierwszych dwóch punktach instynkt Aluna nie zawodził, ale przez jego nonszalancję wiele naszych przedsięwzięć spaliło na panewce w trzecim punkcie, często po tygodniach pracy. Przegrana była więc dla nas chlebem powszednim. Niekiedy Ałun wypuszczał się na łowy samotnie, korzystając z siatki informatorów nie znanych nawet Jeffowi - szukał haka na kogoś z upatrzonych czarnych charakterów. Poprzysiągł prywatną wendetę pewnym dobrze znanym osobnikom, nie tracąc nadziei, że pewnego dnia uda mu się ujawnić ich mroczną przeszłość i brzydkie postęпки. Szczególnie zawział się na kilka współczesnych bożyszczy - Richarda Bransona, Boba Geldofa - ludzi obdarzonych inteligencją, charyzmą, cieszących się nieposzlakowaną opinią i uznaniem na świecie. Często zastanawiałam się, czy nie kierowała nim nieświadoma zazdrość, o którą nikt, łącznie z nim samym, by go nie podejrzewał. Miał łeb na karku i na swój sposób wiele mógł, ale choćby nie wiem jak się starał, nigdy nie zostanie przystojnym, popularnym gwiazdorem. Głosił więc pogląd, że popularność jest oszustwem, wdzięk służy do manipulacji-

wania, a ulubieńcy mas są hochsztaplerami, którzy za fasadą hipokryzji ukrywają swe szpetne „ja”, karierę zaś zrobili dopuszczając się najgorszych podłości, jakie tylko można sobie wyobrazić. Według Aluna święci nie istnieli. Istniały idole ze stopami nie z gliny, lecz z gówna.

Nie byłam zaskoczona, kiedy zobaczyłam świeżo założoną teczkę opatrzoną nazwiskiem: Vincent Scarpia Savage. Wprawdzie nic mi ono nie mówiło, ale pomyślałam, że to kolejny dynamiczny biznesmen, których nagłe pojawienie się na firmamencie budziło w Alunie diabła. W teźce znalazłam kilka listów, ryzę maszynopisu nadesłaną przez jakąś małą grupkę obrońców środowiska oraz plik wycinków z gazet. Zaczęłam je przeglądać.

Alun służył mi gotowym podsumowaniem.

- ... mało wiemy o jego pochodzeniu, ale to, co mamy, wystarczy. Był obiecującym chłopciakiem świeżo po studiach w Cambridge, kiedy został zamieszany w oszustwo z hipoteką, za co trafił do mamra. Forsę zrobił w Kalifornii na handlu nieruchomościami. Teraz chciałby się tutaj obłowić. Ojciec Anglik, członek parlamentu. Zdaje się, że już nie żyje. Matka jest włoską primadonną. To urodzony w niedzielę cwaniak, który myśli, że wszystko mu się należy.

- Powiedziałaś, że jego matka jest primadonną?

- Tak - uciał. Opera nie wchodziła w zakres jego zainteresowań.

- A czy to przypadkiem nie Jolanda Scarpia?

- Zgadza się. Sądzę, że dzięki niej miał wejście na salony w Los Angeles. Według „National Enquirer” przeleciał połowę aktorek z Hollywood. Prawdziwy macho, który lubi szybkie samochody i szybki seks. Powinien obrazić twoje feministyczne uczucia i dlatego rzucam go tobie na pożarcie.

Alun wszystko brał bardzo osobiście i spodziewał się, że inni są tacy sami. Ale ja wciąż miałam w pamięci, co mówił Leo Sands

o nieangażowaniu się.

- Słusznie - mruknęłam.

- Przeczytaj materiały od tej „środowiskowej” bandy. To organizacja o zasięgu lokalnym. Napisała do nas jej sekretarka. Z oczywistych powodów sami niewiele mogą zrobić. Opuść głędzenie

1 masz piękną historię. Ten Savage wydaje się należeć do klik, która zamierza zbudować centrum handlowe niedaleko Ashford w hrabstwie Kent. Wiesz, supermarkety, biurowce, nowa linia kolejowa połączona z tunelem pod kanałem, nowe miejsca pracy. Zwykle mydlenie oczu.

Lokalizacja też wypadła w uroczym zakątku obok jakiejś wioski. Wobec czego mieszkańcy zaczęli urządzać manifestacje, pisać petycje, robić raban. Na ich czele stanęła żona prezesa komitetu planowania, jedna z tych wojowniczych zaniedbanych bab, co to przekroczyły czterdziestkę, mają dwoje dzieci i niewiele do roboty. Znalazła więc sobie zajęcie. Zorganizowała lokalną partię Zielonych, wywalczyła poparcie od dużych organizacji, różnych Przyjaciół Ziemi, Obrońców Dzikiego Życia. Jak rozumiem, przepływa tamtędy rzeka, a na jej brzegach gniazduje jakiś rzadki gatunek ptaków czy coś w tym rodzaju. Abstrahując od ptaków, rzeka jest bardzo malownicza i dlatego wszyscy się na nią tak uparli. Komitet planowania najpierw bardzo oponował przeciw budowie tego centrum, a potem nagle zrobił woltę. Bez oficjalnej przyczyny. Napisali tylko: „Prowadzimy elastyczną politykę uwzględniającą warunki społeczne i sytuację na rynku pracy.” Zawracanie gitary. Ale zgodnie z tym, co twierdzi ta sekretarka, Savage załatwił sprawę z tamtą kobietą. Najpierw się z nią przespał - pewnie była zaniedbana również seksualnie - a potem zaczął szantażować ją i jej męża. Ona się przestraszyła, co ludzie o niej powiedzą, mąż - że wyjdzie na rogowca. Nawet gdyby sama się jakoś wybroniła, skandal zaszkodziłby jej szanownemu mężulkowi. Kto wie, może będzie skora do mówienia. Centrum handlowego jeszcze nie zbudowano, małżeństwo się chwieje, facetka kipi. Daj jej do zrozumienia, że takie postępowanie jest typowe dla Savage'a. To zresztą może być prawdą, bo gość mi wygląda na oszusta matrymonialnego. Zobaczysz, ona zrewanżuje ci się z nawiązką. Czuję to w kościach. Ałun tak mówił na początku każdej sprawy, węsząc krew nowej ofiary.

- Napuściłem na niego Dempstera. Ten gość to wielka gwiazda na międzynarodowej scenie, gruba ryba, w pierwszej dziesiątce w Beverley Hills. Ty znasz tam kilku ważniaków, prawda? Podpytaj ich, może trafi się jakaś plotka, która rzuci trochę światła na to i owo. Zdobądź koniecznie jego zdjęcie z księżniczką Dianą. Głowę dam, że istnieje takie zdjęcie. - Przerwał, mażąc wściekle po notesie, zakupionym przez naszą sekretarkę specjalnie do tego celu. - Mam co do niego przeczucia - powtórzył. - Ta burza w szklance wody, seks i szantaż, to tylko początek. Sprawdź jego pochodzenie, życie prywatne, wszystkie szczegóły, choćby najdrobniejsze. Pogadaj, z kim się da. Ten facet to... dziewiczy łąd. - Delektował się tym pomysłem

jak wampir, który oblizuje wargi na myśl o świeżej krwi. - Nikt go jeszcze nie zaczepił. Amerykanie obwąchali tylko jego życie erotyczne. Odkąd wyszedł z pudła, operuje poza krajem, ale teraz chce wrócić. Cóż, zaczekamy na niego. Dziewiczy ład. A więc o to mu chodziło. Ktoś, kogo inni przeoczyli. To lubił - sprzątnąć ofiarę sprzed nosa rywalom, wbić kły w jej tętnicę szyjną. Jego podniecenie miało w sobie coś erotycznego. Wtedy jednak, jak pamiętam, pomyślałam, że dał się ponieść optymizmowi; powątpiewałam, czy coś się w tym kryje. Seks i szantaż to bardzo dobre, ale tanie szykany nie wystarczą na program emitowany w porze największej oglądalności. Oszustwo na hipotece było sprawą przeszłą, Savage zresztą za to zapłacił. Powiedziałam sobie, że postaram się coś znaleźć, a jeśli nic więcej się nie zmaterializuje, Ałun dla zachowania twarzy prędko o wszystkim zapomni.

- Może powinnam polecieć do Los Angeles - zasugerowałam słodziutko. Nasz budżet dopuszczał wspaniałe podróże zagraniczne dopiero wtedy, gdy sprawa była już dobrze zaawansowana i widać było jej olśniewające rezultaty. Ałun puścił mimo uszu mój sarkazm.

- Zabieraj się do roboty, Micky - rzekł. - Chcę dostać tego faceta. Zbyt długo żył sobie bezkarnie.

Typowe gadanie Aluna Craiga. Zwrócił się do Jeffa z jakąś inną sprawą, a ja wzięłam teczkę Savage'a i wróciłam do swego biurka, by spokojnie zapoznać się z jej zawartością.

Stwierdzenie, że pomysłodawcą lub zgoła autorem listów (wszystkich anonimowych) oraz maszynopisu jest jedna i ta sama osoba, nie zajęło mi dużo czasu. Maszynopis był przypuszczalnie dziełem sekretarki stowarzyszenia o ciut przydługiej nazwie „Akcja na Rzecz Ochrony Środowiska w Walmsley”; dołączyła do niego list obiegowy i podpisała nieczytelnie. Czytając to sprawozdanie odkryłam w nim nie tylko ślad ducha Emmeliny Pankhurst * i bolesne rozczarowanie towarzyszką, która zdradziła sprawę. O Savage'u pisała ze zjadliwą nienawiścią, jaką kobiety jej pokroju żywią dla większości przedstawicieli płci męskiej. Ałun liczył, że poczuje to samo. Ilekroć przypominał sobie, że jestem kobietą, co nie zdarzało się zbyt często, automatycznie zakładał, że jestem wojującą feministką. Nie opono-

* **Emmeline Pankhurst, z domu Goulden, 1858-1928, angielska sufrażystka (przyp. tłum.).**

wałam. Nie lubię etykietek, ale szkoda mi było tracić energię na tłumaczenie mu tego. Przeglądając wycinki z gazet starałam się zachować obiektywizm. Widać było, że Savage ma zarówno forszę, jak i kontakty - jego nazwisko pojawiało się obok nazwisk osób znanych, wpływowych, często bardzo sławnych. A to jadł z kimś kolację, a to był na randce, na przyjęciu, a to ubił jakiś interes. Fotografie pokazywały go na pokładzie jachtu lub w eleganckim towarzystwie - czarna muszka i kociak. Zdjęcia nie należały do udanych, ale można było się zorientować, że jest ciemny, przystojny, ma grube brwi i wąski rzymski nos. Nigdy się nie uśmiechał do aparatu. *Paparazzi* fotografowali go albo z profilu, albo gdy się schylał lub odwracał głowę. Wykręcał się, udawał tajemniczego, czy był znudzony - tego nie potrafiłam rozstrzygnąć. Takie zdjęcia nie dostarczają wielu informacji. Zwykle chodzi o to, by złapać ofiarę, gdy się nie pilnuje, wyeksponować ją i wprawić w zakłopotanie. Wyeksponowanie to jest jednak dość powierzchowne, a poza tym Vincent Scarpia Savage nie robił wrażenia człowieka, który choć na moment przestaje się pilnować. To samo w sobie było dość intrygujące. Po krótkim namyśle wyciągnęłam notesik z adresami i zasiadłam do telefonu.

Ranek się jeszcze nie skończył, a ja już miałam umówione spotkanie z panną Arbuckle z „Akcji na Rzecz Ochrony Środowiska w Walmsley”, a także z kipiącą gniewem Jan Horrocks, żoną prezesa komitetu planowania. Prezes natomiast uchylił się od rozmowy, nie chciał mnie nawet widzieć. Znajomy z City rozgadał się na temat uczciwości ojca Vincenta, sir Johna Savage'a, który przed kilku laty zginął w wypadku samochodowym. Nagle zaczęło mi coś świtać, coś sobie przypominałam... jakiś skandal w wyższych sferach, plama na reputacji szacownego biznesmena i nieposzlakowanego posła do parlamentu. Zadałam pytanie, które okazało się niezbyt na miejscu, bo mój znajomy nagle stał się nieufny.

- Sir John Savage był człowiekiem o staroświeckich zasadach - powiedział twardo. - Miał moment słabości. To wszystko było bardzo tragiczne.

- To wszystko? Ale właściwie co? - spytałam bez złych intencji, lecz tamten odwiesił już słuchawkę.

- Oczywiście! - zawołał Jeff. - Savage! Że też od razu nie skojarzyłem. Alun był wtedy chyba za granicą, boby pamiętał. Historia z kronik towarzyskich, nie dla ciebie, Micky. Członek

parlamentu sypiał z sekretarką lokalnej partii. Mąż tej kobiety był inwalidą chorym chyba na stwardnienie rozsiane, więc nie było to ładne. Raptem zaczęto mówić, że kobieta jest w ciąży, a jej mąż nie mógł być ojcem. Oskarżycielski palec wskazał na sir Johna. On zaś nabrał wody w usta. Biedaczysko. Ktoś nadał sprawę do prasy i już.

- I wtedy - powiedziałam - on umarł...

Nagle wszystko mi się przypomniało. Jeff chrząknął.

- Wyślij Fizzy, żeby to sprawdziła - poradził mi. Fizzy, dla innych Felicity, była naszym pełnomocnikiem. - Gdzieś muszą być jakieś dokumenty. W wiadomościach rozprawiano o jego śmierci z dziesięć minut. Dochodzenie chyba wykazało, że był to wypadek. Uznano, że z powodu zmartwień stracił panowanie nad kierownicą. W jego stronach, oczywiście, bardzo mu współczuli. Ale nie wiem, gdzie to było.

- Pił?

- Tego nie pamiętam. Raczej wątpię. W każdym razie, on się zabił, dziecko się nie urodziło, kochanka odmówiła sprzedania historii do „New of the World” za sto tysięcy, nikt nie skarżył

o zniesławienie. Sprawa stopniowo przyschła, jej miejsce zajął kolejny skandal.

- Nie sądzę, żeby miało to jakiś związek - rzekłam. - Równie dobrze...

- Chcę mieć wszystko - Ałun wkroczył w stosownym momencie. Wrócił właśnie z codziennej potyczki z prawnikami. - Wszystko!

Wróciłam do telefonu. Wysłuchałam narzekań maklera mojego ojczyma na deficyt w handlu, odbyłam rozmowę z informatorem w pośrednictwie kupna i sprzedaży nieruchomości, który poczęstował mnie długą i zupełnie nie na temat sagą o Nicku Van Hoogstratenie. Ani jeden, ani drugi nie wiedział zbyt wiele o Vincencie Scarpia Savage'u. Tylko tyle, że to facet z Hollywood, skąpy, humorzasty

i złośliwy. Raz, zdaje się, przyszedł na spotkanie w garniturze od Armaniego, co było poważnym uchybieniem etykiety, opóźniło negocjacje o cały miesiąc, spowodowało spadek indeksu udziałów o kilka punktów i doprowadziło prezesa konkurencyjnego konsorcjum do śmierci na zawał serca. Inny informator jednak twierdził, że ta historia musi być mocno przesadzona, bo nikt, bez względu na to, jak długo przebywał w Ameryce, nie przyszedłby na ważne spotkanie w garniturze od Armaniego.

Godziną przerwę na lunch zużyłam na zdobywanie numeru

telefonu Jolandy Scarpia, a wczesnym popołudniem zadzwoniłam do Nowego Jorku. Moja szkolna przyjaciółka Phyllida Khorman, z domu Benz, wiedziała więcej o „odrzutowcowych biznesmenach” amerykańskich niż jakikolwiek informator w City. Zdażyła już być żoną większości z nich.

- Kochana! - zapiszczała. - Naprawdę chodzi ci o Vincenta? Cudownego Vincenta? To twój nowy facet? Ależ bomba! Wprost nie mogę uwierzyć, bo on gustuje głównie w pięknotkach z okładek „Mirabelli”. Nie chcę przez to powiedzieć, że nie jesteś wystrzałowa, Micky, tylko że dobrze by było, gdybyś się trochę ubrała.

Phyl, podobnie jak matka, usilnie próbowała zainteresować mnie ciuchami.

- Nie bądź idiotką - odparłam. - Moja ciekawość jest czysto zawodowa, nie osobista. Dobrze go znasz?

Zapanowało krótkie milczenie, bardziej świdrujące w uszach niż pisk Phyl.

- Niezbyt dobrze - odrzekła z wahaniem. - Ale jak się chwilę zastanowić, to kto zna go dobrze? Nawet w Los Angeles ludzie wiedzą jedynie o jego dziewczynach, samochodach i życiu na najwyższych obrotach. Nie ma bliskich przyjaciół. Kilkakrotnie spotkałam go na przyjęciach, przeważnie w Kalifornii. Zostaliśmy sobie przedstawieni, podaliśmy sobie ręce, wymieniliśmy uwagi na temat pogody. Jest uprzejmy w taki minimalistyczny sposób. Nie wdaje się w pogawędki, nie prawi komplementów, mówi tylko tyle, ile wymaga grzeczność. Nie jest ani specjalnie ożywiony, **ani** zblazowany. Trudno zgadnąć, o czym myśli. Chciałabym wierzyć, że pod tą chłodną maską kryje się włoski temperament, ale wiesz, naprawdę tego się nie da powiedzieć. Czy zdarzyło ci się poznać jego słynną matkę?

- Nie.

- Mnie też nie, ale dużo o niej słyszałam. Mówią, że na jej temperamencie można by smażyć jajka. Może jego chłód to reakcja na jej temperament. Mój psychoanalityk twierdzi, że niektórzy w ten sposób reagują na swoje matki.

- Wiem - odparłam. - Mniejsza o jego matkę. Nazwałaś go cudownym Vincentem. Dlaczego? Wyobrażałam go sobie jako kogoś gładkiego, z takim trochę oleistym latynoskim czarem...

- On nie stara się czarować - odparła Phyl obojętnie. - Nie potrzebuje. Taka niewzruszona twarz jest o wiele bardziej fascynująca.

Widziałam kiedyś, jak poderwał dziewczynę na przyjęciu. Nie jakąś tam dziewczynę, ale dość znaną aktorkę. Powiedział do niej raptem trzy słowa. Przysięgam, Micky, trzy słowa.

- Zazdrościłaś jej? - spytałam wesoło.

- Coś ty? Spędzili ze sobą kilka nocy, a na balu dobroczynnym sześć tygodni później udawał, że jej nie zna. Nie sądzę, żeby chodziło o zawiedzione uczucie. Pieprzy wiele kobiet, ale myślę, że traktuje to jako sport. Moim zdaniem on się nie angażuje. Puchatek mówi, że on jest pedałem, ale Puchatek mówi tak o każdym facecie, który mi się podoba. Znasz Puchatka.

- Nie, nie znam - rzekłam zdecydowanie. Tylko Phyl mogła sobie pozwolić na nazywanie przyjaciela Puchatkiem. Jego prawdziwe imię, o ile sobie przypomi nałam, brzmiało Winthrop. - Do rzeczy, Phyl. Wiesz coś o jego interesach? Czy Farzad gdzieś się na niego natknął? - Farzad to był pan Khorman.

- Chyba nie prowadzili ze sobą żadnych interesów, za to raz grali w tenisa - stwierdziła Phyl. - Farzad mówi, że Vincent nie przepada za tenisem, ale uparł się, żeby wygrać, i walił w piłkę jak wściekły. To niewątpliwy znak, że ma instynkt mordercy. Farzad mówi, że on działa jak krokodyl - bardzo cierpliwie patroluje brzeg, udając kłodę, a jak jest gotów, to nagle wyskakuje i zanim się zorientujesz, nie masz nogi ani ręki.

Z tego, co wiedziałam, tak właśnie działał Farzad, ale nic nie powiedziałam.

- Jest oszustem?

- Tego nie wiem - przyznała Phyl. - O takich rzeczach Farzad nigdy nie mówi, sama rozumiesz. Spróbuję coś z niego wyciągnąć, ale muszę być ostrożna. On cię lubi, kochanie, lecz nie popiera.

- Jasne - mruknęłam do siebie.

- Mówi, że powinnaś rzucić tę robotę i zająć się trochę bardziej sobą. - Westchnęła głęboko. - W tych sprawach straszny z niego macho. Wiem, że nie ma racji, ale uwielbiam go.

- Jeszcze do ciebie zadzwonię - obiecałam i odwiesiłam słuchawkę.

Nazajutrz pojechałam do Walmsley. Była to jedna z tych wiosek, które zaśmiecają południowe hrabstwa. Bogate domy ukryte są za przyszyżonymi żywopłotami, na soczystozielonej od częstego

zraszania trawie swawolą kudłate psy z reklamy farby „Dulux” Plebs zamieszkuje szereg dość brzydkich chatynek od kościoła do poczty po jednej stronie i od „Herbaciarni w Staromodnym Stylu” do pubu „Pod Jeleniem i Chartami” po drugiej. Panna Arbuckle miała mały domek za kościołem z widokiem na pola ciągnące się do fotogenicznej rzeki. Posłusznie wyraziłam zachwyt, ale odmówiłam robienia zdjęć. Nad strugą schylały się wierzby, których siwe liście o właściwej porze dnia odbijały się w połyskliwej wodzie nie sądziłam jednak, że zrobią one wrażenie na Alunie Craigu, a telewizzowie dość się już napatrzyli na różne wierzby. Przyjęłam zaproszenie na filiżankę herbaty i bez wstępów przystąpiłam do wyjaśnienia celu mej wizyty. Szybko doszłam do wniosku, że to nie panna Arbuckle była motorem całej sprawy. Na pytania dotyczące jej towarzyszy walki odpowiadała powściągliwie, ale poza tym była dość rozmowna. „Postanowiliśmy” - mówiła. I: „Uznaliśmy, że tak będzie najlepiej.”

- Kto „my”? - spytałam wprost.

- No... my. My wszyscy. To znaczy, z wyjątkiem Jan. Żeby pani wiedziała, jak mnie sprawa Jan zasmuciła. Zasmuciła i zaszokowała. Widzi pani, ja ją naprawdę szanowałam...

I tak dalej.

Im dłużej tego słuchałam, tym bardziej byłam przekonana że w całej historii nie ma nic takiego, co kwalifikowałoby ją na temat „Śledztwa”. Taki tam lokalny skandalik. Trochę seksu, trochę pieprzu ale nic specjalnie poza prawem, w każdym razie nic na pierwsze strony gazet. Romans na wsi, myślałam, pod płaczącą wierzwą na brzegu rzeki. Po co, do diabła, przysłałeś mnie tu, Alunie? A na drugim planie jest pewnie jakiś wiejski ważniak, który ma pretensje do tych od centrum handlowego, czemu nie kupili jego zabagnionej doliny, rzadkich ptaszków, no i w ogóle.

W porze lunchu wpadłam do pubu, gdzie daremnie nasłuchiwałam jakichś plotek. W końcu zdecydowałam się wyłożyć karty na stół ale nie wywołało to specjalnej reakcji. Rzeka była cacy, centrum było be, ci, którzy zamierzali je zbudować, byli wstrętnymi dorobkiewiczami i kichali na środowisko, ale Bogiem a prawdą to „potrzebne są nam miejsca pracy”.

- Tak czy owak - szepnął mi barman na stronie - tego środowiska nam jeszcze trochę zostanie.

- Gdyby mnie kto pytał - rzekł ochryplym głosem rasowy

wieśniak zezując groźnie w moją stronę - zamęt robią głównie dziennikarze. Ża dużo ich, panie. Gazety od nich pękają. Trudno było zaprzeczyć.

Wywiad z Jan Horrocks okazał się bardziej interesujący, ale bezużyteczny, bo odmówiła wystąpienia w programie. Była przystojna w taki rzucający się w oczy sposób; miała burzę nie uporządkowanych włosów i niezadowoloną minę, która mogła być jej nowym nabytkiem. Robiła wrażenie wściekłej, a zarazem zgorzkniałej, ale jej niechęć wydawała się być skierowana najbardziej na męża, może dlatego, że był pod ręką.

- A co pani powie o Savage'u? - spytałam. I dodałam: - Wykorzystał panią, okłamał...

- O, wcale nie. - Ku memu zaskoczeniu uśmiechnęła się. - Nie okłamał mnie. On nie potrzebuje kłamać. To godny przeciwnik. Walczyliśmy do upadłego, a walka z Vincentem to czysta przyjemność. Wierzyłam w to, co robiłam, i nienawidziłam wszystkiego, co on reprezentował, a mimo to świetnie się bawiłam. A teraz... cóż, zostałam z Davidem. Nie domaga się rozwodu chyba ze względu na dzieci. Może boi się awantur, a może po prostu mnie kocha, nieważne. Kiedyś uważałam, że jest miły, nieśmiały, ostatnio wydaje mi się już tylko nieudolny. Nie chodzi o to, że ludzie zmieniają się z wiekiem, bo w gruncie rzeczy wcale się tak nie zmieniają. Człowiek odpowiedzialny staje się staroświecki, ostrożny zaczyna być paranoikiem, bezpieczny okazuje się nudny. Nie byłam zakochana w Vincencie, proszę pani. Ale dzięki niemu dowiedziałam się, że w ogóle w nikim nigdy nie byłam zakochana. Przeszedł przez moje życie jak huragan, obracając je w perz. Wszystko mi jedno. Naprawdę jest mi wszystko jedno.

Podczas wywiadu zrobiłam kilka notatek; nie sprzeciwiała się. Również nagrywałam - w torebce miałam mały magnetofon, którego mikrofon wystawał niewinnie spod klapy - ale nic jej nie powiedziałam, tym bardziej że nie zamierzałam zrobić z tego użytku; nagrywałam tylko dla porządku.

- Proszę mnie nie cytować - zaznaczyła. - Nie chcę być w to zamieszana. Chętnie pomogę, ale nie chcę, żeby o mnie pisano. Zgodziłam się na spotkanie z panią, bo chyba miałam ochotę porozmawiać z kimś o Vincencie. Ale teraz to już pani walka. Życzę powodzenia. Choć nie sądzę, że ktokolwiek go pokona.

Walka? Jakbym słyszała Aluna Craiga. Byłam zimną jak lód

poszukiwaczką prawdy. Walka mnie nie pociągała. Nie życzyłam sobie niczego tak osobistego jak walka. W biurze zastałam nową porcję wycinków dostarczonych przez Fizzy. Dalsze szczegóły na temat oszustwa dokonanego przez Savage'a, obejmującego imponującą liczbę zer i kilka towarzystw budowlanych cieszących się dobrą opinią. Zdjęcie młodocianego Vincenta przed sądem - z długimi włosami, jakie się nosiło w latach siedemdziesiątych-jego twarz zastygła w maskę, która została mu już na zawsze! Kontrastujące z tym zdjęcie uśmiechniętego absolwenta Cambridge (jedyne uśmiechy w całej kolekcji) i zdjęcie Vincenta mniej więcej dwudziestoletniego w towarzystwie niesłychanie pięknej modelki Zdjęcie samej modelki. Kilka rzeczy o sir Johnie, jego nieposzlakowanej opinii, jego życiu bez skazy, o nieszczęściu, które jedno życie złamało drugie skończyło. Długi nekrolog napisany przez Piersa Percivala' „znanego kolekcjonera sztuki i bliskiego przyjaciela zmarłego”.

- Doszłaś już do czegoś, Micky? - spytał Alun, zaglądając mi przez ramię. Wyobraziłam sobie, że porusza nozdrzami jak pies który szuka tropu.

- Kupa skandali, ale nic poza tym - odparłam krótko. - Myślę, że to nie dla nas. Z tego, co wiem, oszustwo na hipotece jest jego jedynym przestępstwem w tym kraju i odkiblował za nie sześć miesięcy. Zdaje się, że nie powtórzył swego błędu. Jeśli robi nieczyste interesy, to materiały na ten temat są w Stanach Spróbuję jeszcze raz z Phyl Khorman, ale Farzad nie powie nic dla zasady-obaj z Savage'em mają podobne upierzenie - sępów. Tak czy owak wspomniała angielska publika nie przejmie się łotrowskimi czynami w Ameryce, jeśli nie wiążą się one z czymś w kraju Zawsze podkreślasz, iż ważne są powiązania z Anglią. Te nie są dość silne

- A co z jego rodziną? - Alun zaczął przewracać wycinki leżące na biurku. - Masz tu wszystko na temat sir Johna. Czy to nie jest powiązanie z Anglią?

Czułam jego głód i frustrację. Nie puszczał sprawy, dopóki sam nie wbił w nią zębów.

- Nie byli ze sobą blisko - odparłam. - Wiem to od przyjaciółki w City. Ojciec Vincenta wyrzekł się syna, kiedy ten podpadł prawu Zerwano rodzinne stosunki. Potem próbowano ich pogodzić, ale się nie udało, Vincent został nawet wykreślony z testamentu. To interesujące, ale nie ma cech przestępstwa.

Alun miał minę coraz bardziej zawiedzioną.

- A matka? - szczechnął. - Ta diwa?

- Uciekła, kiedy Vincent miał cztery lata - odparłam. - Na wszelki wypadek próbuję złapać z nią kontakt, ale chyba tracę czas.

Alun zmiął kupkę wycinków w neurotycznej garści.

- Dlaczego w tych śmieciach nic o niej nie ma? - spytał.

- Śmieci na temat Jolandy Scarpia - wyjaśniłam - wystarczyłoby na wytapetowanie ścian w całym budynku. I to nawet dwa razy. Proszę mnie dopuścić do mojego biurka.

Alun wydał z siebie coś między prychnięciem a sapnięciem i oddalił się, ale nie krokiem tygrysa, lecz szczura, poruszał się bowiem jak gryzoń w poszukiwaniu czegoś, a raczej kogoś, na kim można by poostrzyć sobie siekacze. W ręce wciąż trzymał fotografię Vincenta Scarpia Savage'a - przystojnego, czujnego, lakonicznego - na tle kalifornijskiego bogactwa. Wiedziałam, że pocznie się wnikliwie w niego wpatrywać, a w jego duszy będzie fermentowała ciemna skryta nienawiść, nadając jego istnieniu gorzki smak. Obawiałam się, że trudno będzie go przekonać, żeby dał sobie spokój.

Podeszłam z westchnieniem do telefonu. Zanosilo się na to, że przyjdzie mi spędzić pół życia przy telefonie.

Straciłam sporo energii na odnalezienie jednego z kolegów Savage'a ze studiów, który oświadczył, że tak naprawdę to go nie znał, a po chwili dodał, że na dobrą sprawę nikt go nie znał. Potem znowu zadzwoniłam do City, by porozmawiać ze znajomym znajomego, który stwierdził, że sir John zszedł przedwcześnie z powodu szoku, jaki przeżył, gdy się dowiedział o metodach prowadzenia interesów przez syna. Standardowe postępowanie Vincenta, praktykowane przez niego obecnie na terenach Zachodniego Wybrzeża, polegało na dowiadywaniu się niezbyt legalnymi metodami, kiedy ceny posiadłości w danym miejscu z tych czy innych powodów nagle skoczą w górę. Wykupywał slumsy, burzył je, wyrzucał na ulicę starych ludzi i dzieci, budował w tym miejscu wieżowiec, który następnie sprzedawał lub wynajmował za straszne pieniądze. Po czym udawał się na bal dobroczynny w Beverly Hills z najnowszą wschodzącą gwiazdą na ramieniu, i z pokerową twarzą wpłacał dotację na Trzeci Świat.

- Nie można pozwolić, żeby stosował swoje metody u nas - rzekł znajomy znajomego poprawiając buńczucznie stary studencki krawat i dodał już mniej hardo: - Mamy tu już wielu skurwysynów, którzy robią to samo.

- Chodzi mi jednak o to - powiedziałam - czy on już tutaj narozrabiał? Takie informacje są mi potrzebne. Ale poza aferą we wsi Walmsley niczego nie było. A tam Savage pastwił się me nad zdesperowanym marginesem społecznym lecz nad komitetem zadowolonych z siebie świętoszków i przywódczynią miejscowych Zielonych, którą poniosły jej jeszcze bardziej zielone namiętności.

Bez większych nadziei zatelefonowałam ponownie do Phyl

- Kochanie, to się nie uda. Zadałam Farzadowi kilka pytań bardzo delikatnie ale on od razu nabrał podejrzeń. Kiedy wyjaśniłam, że robię to dla ciebie, mało nie wyskoczył ze skóry. Powiedział, że nie wolno mi z tobą rozmawiać o niczym poza ciuchami, gotowaniem i dziećmi

- Co takiego?

- Wiem, wiem. Wcale nie zamierzam go posłuchać, ale muszę udawać, że on jest tu panem. Wiesz przecież, kochanie, że dla ciebie zrobię wszystko, co w mojej mocy. Za wiele jednak nie oczekuj

- Alez skąd - odparłam sucho, ale Phyl i tak tego nie zauważyła W piątek rano zawiesiłam na kołku dalsze poszukiwania i udałam się na rozmowę do Aluna. Powiedziałam mu, że Savage z pewnością jest draniem, ale nie draniem odpowiednim dla nas. Jeszcze nie w każdym razie. Dyplomatycznie zaproponowałam, żeby na razie odłożyć sprawę do szuflady i poczekać na jakiś jego ruch. Podczas gdy mówiłam, Alun przeglądał materiał dostarczony mu przez Jeffa - notatki na temat pewnego inżyniera od zbrojeń z Londynu który co wstrętniejsze projekty sprzedawał przez Cardoena w Chile Saddamowi Husseinowi w Iraku. Prawie czułam, jak drży z niecierpliwości. Alun zawsze trochę wyprzedzał modę.

- Uhm - mruknął niecierpliwie. - Jaki znowu Vincent? Wróciłam do biurka, teczkę włożyłam w inną teczkę, a potem wstawiłam je na koniec szuflady z aktami pod literę S. Dziesiątki podobnych spraw zapychały szuflady, ogryzione końcówki starych spisków, które nigdy nie zaowocowały. Przypomniałam sobie słowa Jan Horrocks: „Teraz to już pani walka” - ale postanowiłam, że nie dam się sprowokować. Nie byłam łowczynią, odwołaną wbrew swej woli z polowania; moim wzorem była Atena - chłodna i beznamiętna sędzina. Niepotrzebne emocje wetknęłam do szuflady z teczkami Naprawdę sądziłam, że to koniec.

Rozdział piąty

Minęło kilka tygodni poświęconych innym sprawom. Zapomniałam o Vincencie Savage'u i prawie przestałam myśleć o Shirley Posser, choć do zupy szparagowej nabrałam niechęci raz na zawsze. Lato przyszło nie tak delikatnie jak ongiś, lecz gwałtownie, niemal znienacka; z dnia na dzień odsłoniło się nad nami elektrycznie niebieskie niebo i skwarne słońce. Wszyscy zaczęli mówić o „efekcie cieplarnianym”, a mieli przy tym takie miny, jakby uważali to za coś złego. Rada do Sprawy Wody zaczęła w panice przepowiadać kolejną suszę, licząc przewrotnie, że wywoła w ten sposób ulewne deszcze. W biurze wysiadła nam klimatyzacja. Alun Craig siedział przy biurku w stanie gorączkowego skupienia. Od potu miał wilgotne plamy na koszuli i błyszczącą twarz. Wokół głowy sterczały mu tłuste kosmyki włosów niczym igły na wystraszonej jeżu. Krawat wyglądał tak, jak gdyby przed chwilą ktoś się na nim powiesił.

- Micky! - zawołał.

Odkleiłam się od krzesła i podeszłam do niego.

- Vincent Scarpia Savage. - Nim wypluł, chwilę poobracał te imiona na języku, jak masochista, który delectuje się smakiem czegoś obrzydliwego. - Co nowego? Proszę o relację.

- Jeśli pamiętasz - zaczęłam ostrożnie - ustaliliśmy, że odłożymy to na jakiś czas. Nie mamy się zanadto do czego przyczepić, jako że działał głównie w Kalifornii. To robota dla Amerykanów.

- Jeśli zostawimy go Amerykanom, to gość będzie wkrótce kandydował na prezydenta - zauważył Alun zjadliwie. „Śledztwo” uchodziło może za poważne dziennikarstwo, ale jego producent zachowywał się jak dziennikarz brukowej gazety. - Zawiodłem się na tobie, Micky. Daję ci pierwszorzędnego drania - prywatna szkoła, ekskluzywny uniwersytet, więzienie, łajdaka, który wykorzystuje

wszystkich i wszystko, by dostać, czego chce, łącznie z kobietami i co słyszę? „To robota dla Amerykanów.” Tak, tak, odłóżmy schowajmy, zapomnijmy, to nie nasza działka. Robota dla Amerykanów! Czy tylko na to cię stać? Pogarda w jego głosie miała mnie zmiażdżyć. Nie chcąc zrobić mu przyjemności, słuchałam jego tyrady nieporuszona. Trafił na coś nowego, pomyślałam. Tylko to tłumaczyło nagły powrót jego entuzjazmu.

- No spójrz na niego - rzekł Ałun i sięgnawszy zza biurka przyciągnął mnie do ścianki szafy na akta, gdzie w miejscu zajmowanym poprzednio przez Dereka Hattona, Geralda Ronsona i Guya Possera wisiała nowa błyszcząca fotografia. - Przyjrzyj mu się dobrze. Przecież to widać, wszystko widać na tym zdjęciu. Spójrz na jego oczy. Przystojna twarz i dobrze skrojony garnitur skrywają duszę hieny. Jego spinki do mankietów pewnie kosztują tyle co ty zarabiasz przez rok. Dla tych spinek ludzie stracili dach nad głową, pracę, ich życie zostało zrujnowane. A teraz do spinek dodaj jedwabną koszulę szytą na miarę, zegarek Rolex, złoty sygnet auta koktajle, domy, dziwki. Czy pozwolimy, żeby uszło mu to bezkarnie? Pozwolisz, Micky, by uszło mu to bezkarnie?

Nie odrywając wzroku od oczu Savage'a, westchnęłam. Patrzył na fotoreporterów z pogardą, nie drapieźnie. Z drugiej strony, czy hiena nie patrzyłaby na fotoreporterów lekceważąco, gdyby doszło między nimi do spotkania?

- W porządku, Ałun - odparłam. - Daruj sobie tę gadkę. Mam rozumieć, że w tej sprawie pojawiło się coś nowego, tak?

- Faktycznie - przyznał Ałun. - Mówiłem ci, żebyś sprawdziła jego rodzinę. Przeoczyłaś połowę materiału. Jeśli nie więcej.

- Zdobyłam numer Jolandy we Włoszech, ale wciąż uważam, że

- Nie chodzi o Jolandę. To są nazwiska, które mi podano - rzekł wręczając mi kartkę. - Elizabeth Savage, siostra sir Johna, ciotka Vincenta. Wychowała go. Była mężatką, ale została przy panińskim nazwisku. Masz tam jej adres. Dalej, Richard Garoghan, jej syn. Jego adresu nie znam.

- A ta Crystal Winter? - spytałam rozbawiona.

- Jakaś modelka. Była dziewczyną Vincenta, ale wyszła za Richarda. Teraz są rozwiedzeni. Porozmawiaj z całą trójką. Nagraj ich na magnetofon, na wideo. Obiecuj im za to, co tylko zechcą Z tego, co słyszałem, *Dallas* przy tej historii jest *Misiem Uszatkiem*

- Kto ci to powiedział? - spytałam nie licząc na odpowiedź. Gdy szło o informatorów, Ałun był z nas wszystkich najdyskretniejszy.

- Koński łeb - uciał, starając się, by zabrzmiało to jednocześnie wszechwiedząco i wymijająco.

Jesteś pewny, że nie zad? - pomyślałam odchodząc.

Dwa dni później udałam się do Elizabeth Savage. Przez telefon wydawała się bardzo chętna do rozmowy, ale na tym etapie trudno było stwierdzić, czy przed kamerą wykaże równą gotowość. Najpierw należało wy badać, co ewentualnie może mi powiedzieć. Wciąż nie byłam przekonana, czy ta sprawa kwalifikuje się na program. Jednakże Ałun znowu nabrał na nią apetytu, a zdjęcie Savage'a przyklejone do szafy na akta, na „miejscu hańby”, gdzie Ałun przez cały dzień dopatrywał się w jego oczach spojrzenia hieny, dowodziło, że obsesja zaczęła kiełkować. Jak król szkocki, Robert I Bruce, będę musiała próbować i próbować.

Targały mną sprzeczne uczucia. Kiedy dostałam to zadanie, z umiarkowanym entuzjazmem przystąpiłam do metodycznych i dokładnych

- na tyle, na ile czas pozwolił - poszukiwań. Próby Aluna podniecenia mnie do walki przyjął z odpowiednio chłodnym rozbawieniem. Ale podskórnie, wbrew swojej woli i rozsądkowi, czułam się zaintrygowana. „Nie ufaj rozumowi” - mawiał Leo Sands, jednak w tym przypadku figle płatał mi nie rozum, lecz trzewia, siedlisko prymitywnych uczuć, które rzadko się we mnie budziły i nigdy nie brały nade mną góry. Przemawiały przeze mnie nie krwiożerczy instynkt Aluna czy feministyczna zawziętość, lecz uczucia do tamtych niebezpiecznie zbliżone: chęć podjęcia wyzwania, stawienia się do walki z procą w rękę, Dawid przeciw Goliatowi. Wielu spośród naszych wcześniejszych przeciwników wydawało mi się słabymi zachłannymi dziećmi, moralnie niedorozwiniętymi, rzucającymi się na nie swoje zabawki. Savage jednak zdawał się należeć do innej kategorii - zgłodniałych, zawziętych, ostrożnych bestii, obojętnych, kogo skrzywdzą czy to w interesach, czy podczas zabawy. Nie hieną, lecz panterą w skórze zaprojektowanej przez znanego dyktatora mody, przemykającą dżunglę, nie uznającą żadnych praw poza ustalonymi przez siebie. A może był na tyle inteligentny, że w pewnym ważnym momencie życia dokonał świadomego wyboru

- odrzucił za Nietzschem wszelką ludzką dobroć, postawił na przetrwanie w tym okropnym świecie. Tak czy owak, wyczuwałam

w tym wyzwaniu, które sprowadzało mnie z drogi obiektywnego dziennikarstwa. Przypomniały mi się słowa Jan Horrocks: „Walka z Vincentem to czysta przyjemność.” Alun Craig miał rację, a zdarzało mu się to o wiele za często. Do diabła z obojętnością, beznamietnością i niezaangażowaniem. Chciałam tej walki. Ciągnęło mnie, żeby przykleić fotografie Savage'a do szafy na akta i pasować się dzień po dniu z jego zimnym spojrzeniem. Wiedziałam, że Leo nie byłby ze mnie dumny, sama nie byłam z siebie dumna, ale nie potrafiłam nakazać emocjom wynieść się zupełnie z mego życia. Miałam ochotę wziąć się za bary z Vincentem Scarpia Savage'em i wygrać. Jak w najlepszych dreszczowcach. Zastanawiałam się, co powiedziałby na to mój ojciec; ojciec wpajał mi zasady i uczył w nie wątpić. Poszukałam go w pamięci - ku memu największemu zdumieniu śmiał się. Ten obraz pochodził pewnie z czasów, kiedy jako bardzo małe dziecko zmagalam się z jakimiś domowymi przeszkodami, a ojciec śmiał się do rozpuku na widok mojego skonfundowania i determinacji. Jestem już dorosła, cierpko przypominałam swej pamięci.

Przeszkody się zmieniły. W jakiś sposób poczułam się uspokojona.

Złapałam samolot do Newcastle, na lotnisku wypożyczyłam samochód. Elizabeth Savage mieszkała w Ridpath, gdzie znajdowała się posiadłość rodzinna sir Johna i gdzie dorastał Vincent. „Posiadłość została sprzedana - wyjaśniła. - Mieszkam w wiejskim domku.” Podane przez nią wskazówki, jak tam dojechać, okazały się precyzyjne i trafiłam od razu mimo obaw, że zabłądzę.

Wiejski domek okazał się gustownym, otynkowanym na biało bliźniakiem. Dzięki grubym murom panował tam chłód, otwarte drzwi i otwarty kominek zapewniały cyrkulację powietrza. Z miejsca dostałam dreszczy, ale Elizabeth Savage najwyraźniej nie szkodziły przeciągi i skoki temperatur. Była dużą, dobrze zbudowaną kobietą, o szerokich ramionach i umięśnionych od pracy w ogrodzie rękach. Miała siwe, zaniedbane włosy, jej cera przypominała korę dębu. Zdefasonowane i spłowiałe ubranie przystosowało się do jej potrzeb niby znoszony habit starego mnicha. Zauważyłam w niej podobieństwo do sir Johna, znanego mi z fotografii, wszelako jak na kobietę miała za grube kości, za silną szczękę i za wysokie czoło. Nie dbała o to, jak wygląda i co o niej sądzą inni; ta cecha właściwa jest wyłącznie włóczęgom i arystokratom. Przyjęła mnie herbatą w salonie z widokiem na ogród - ten właśnie, w którym wyrobiła sobie bicepsy. Za ogrodem rozciągała się łąka z wiatrochronem drzew

iglastych, majaczył jakiś dom. Potem teren wznosił się ku niebu; łysawą ziemię tu i ówdzie przebijały skały. Przypomniła nu się legenda o żyjącym wśród lodów olbrzymie o imieniu Ymir, którego cielsko bóstwa Północy wciągnęły do środka ziemi. Odnosiłam wrażenie, że w tym dzikim, ponurym krajobrazie dostrzegam zarysy martwego potwora, nędzne cielsko odchodzące od sterczących kości. Nawet w słoneczną pogodę okolica wydawała się pusta i nieprzyjemna.

W pewnym miejscu grań rozdzielała się, ukazując pagórek w kształcie idealnego stożka. Kopiec wydawał się dziełem nie bogów, lecz ludzi, którzy go usypali w nie znanym nam celu - ni to szaniec, ni kurhan. Na jego szczycie rosła kępa drzew o ciemnych liściach; tuliły się do siebie, jak gdyby chciały coś ukryć.

- Co to jest? - spytałam Elizabeth Savage.

- Co? - Jej wzrok w zamyśleniu podążył za moim. - Nazywamy to Usypiskiem.

- Wygląda jak zaczarowane miejsce - powiedziałam wesoło.

- W noc świętojańską człowiek zasypia pod tymi drzewami i śni, że jest w krainie baśni, a po przebudzeniu się stwierdza, że przez tę jedną noc upłynęło sto lat.

Roześmiała się.

- Też tak kiedyś myślałam - odparła. - Jako dziecko wierzyłam, że jeśli obiegnie się te drzewa przeciwnie do ruchu wskazówek zegara siedem razy po siedem okrążeń, to otworzą się drzwi prowadzące do wnętrza wzgórza. Niestety, nigdy nie miałyśmy z przyjaciółką pewności, czy biegamy w dobrym kierunku i ile naprawdę jest siedem razy siedem. Pewnie dlatego nie dostałyśmy się do środka wzgórza.

- Przerwała na chwilę, po czym dodała: - Samotnie też tam chodziłam. Wmówiłam sobie, że nic mi nie grozi, jeżeli nie wejść między drzewa. Jeśli coś miało się zdarzyć, to tylko między drzewami. Poszłam tam pewnego wieczora tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku. Miałam wtedy trzynaście lat. Tam go znalazłam. Wśród drzew. Spojrzałam pytająco.

- Pamiętam, jak jego twarz wyłoniła się z cienia... sama twarz. Odniosłam wrażenie, że unosi się w powietrzu. W świetle księżyca wydawała się niebieska, oczy były podkrążone, ale jakby od środka. Pomyślałam więc, że to duch. Dygocząc ze strachu pobiegłam do domu. Gdy wróciłam tam rano, nikogo nie zastałam. Czułam jednak, że nie była to zjawa. Tym bardziej że na ziemi leżało opakowanie

po papierosach. Zabrałam je w charakterze talizmanu. Szukałam go przez cały dzień.

Wydawała się kontemplować swe młodsze wcielenie z dziwną mieszaniną tęsknoty i tolerancji; starsza, mądrzejsza kobieta przywoływała w pamięci relikty niezapomnianej młodości. Usiłowałam wyobrazić ją sobie jako chudą - tak, tak, chudą - trzynastoletnią dziewczynkę. Wystające kolana i łokcie, proste włosy odgarnięte do tyłu ze wspaniałego poważnego czoła, żywe oczy, wargi wyrażające determinację.

- Odnalazłam go w szopie na farmie, ukrytego między belami siana. Oczywiście był dezertorem. Służył w RAF-ie jako pilot bombowca. Praktycznie od samego początku. Potem zdarzył się wypadek, zginął jego przyjaciel, któryś z rzędu. Poczuł, że przebrała się miarka. W jednej chwili. Sądzę, że dziś psychiatrzy mają już na to nazwę. W każdym razie ja go rozumiałam.

- Mój ojciec służył w RAF-ie - powiedziałam. Świadomie posłużyłam się nim, żeby nawiązać nić porozumienia. Zresztą była to prawda. - Latał na bombowcach. Pod koniec wojny rozbił się w Niemczech. Miał spaloną połowę twarzy.

Spojrzała na moją czapkę, która leżała na stole. Może sobie tylko wyobraziłam, ale na jej twarzy odmalowało się niedowierzanie.

- Kiedyś był taki poeta - powiedziała powoli. - Pani może go nie znać, nie ta epoka. Był bardzo znany pod koniec lat czterdziestych. Czytałam jego wiersze. Prędko wyszły z mody.

- Michael Annesley - powiedziałam. - Mój ojciec. Noszę nazwisko po mężu.

- Ach tak. - Tym razem przyjrzała mi się z niemą aprobatą, jak gdyby mówiła: „Masz właściwe pochodzenie, odpowiednie koligacje, jesteś Jedną z Nas.”

Poczułam się cyniczna.

- Co było dalej z tym dezertorem? - podsunęłam. Może nie należało to do sprawy, ale sądziłam, że dobrze pozwolić jej dojść do wszystkiego powoli. Elizabeth Savage nie należała do osób, które udzielają suchych odpowiedzi, bez związku i celu.

- Pomogłam mu się ukryć, zaniósłam jedzenie. Uciekał już od dwóch tygodni i był bardzo zmęczony. Chciał się dostać do Szkocji, do kuzynów mieszkających na Zachodnim Wybrzeżu, którzy udzieliliby mu schronienia. Na opakowaniu po papierosach napisał adres matki w Newcastle. Prosił, żebym ją zawiadomiła, że czuje się

dobrze. Jeszcze dziś mam przed oczyma jego drżącą rękę z ołówkiem. Domyśliłam się, że jest chory, ale nie zgodził się, bym poszła po lekarza. Trzy dni później przyszli i zabrali go do więzienia. To pewnie uratowało mu życie.

Popiła herbaty, ja też. Nie sprawiała wrażenia poruszonej swoją historią; relacjonowała ją chłodno, z lekkim rozbawieniem. Opowiadanie podjęła takim samym lekko oficjalnym tonem, bez gniewu czy żalu.

- Nasza rodzina często związana była z wojskiem - rzekła. - Jeden Savage walczył pod Waterloo, inny pod Mafeking. Jeden z moich przodków zginął w masakrze w Chartumie, wraz z Gordonem. Mój ojciec był emerytowanym pułkownikiem; John służył w czterdziestym czwartym, a Richard, nasz brat, zginął pod Arnhem. Neil, najmłodszy, bał się, że wojna się skończy, zanim on dorośnie do wojska. Dezercja, według mojego ojca, była strasznym przestępstwem, o wiele gorszym niż dajmy na to gwałt czy morderstwo. Tchórzostwo w obliczu wroga. Wziął pasek i bił mnie, póki nie zaczęły mi krwawić ramiona. Tak strasznie krzyczałam, że mało nie umarłam - nie z bólu, lecz z tej okropnej pustki po płaczu, kiedy człowiekowi zabraknie łez. Nigdy nie miałam wątpliwości, że postąpiłam słusznie.

- Barbarzyńca - stwierdziłam. Uśmiechnęła się.

- Pani jest bardzo nowoczesna. Mój ojciec... był staroświecki. O, tutaj jest jego zdjęcie. - Podła mi z komody zdjęcie mężczyzny w mundurze z edwardiańskim wąsem i niezłomnym jak Gibraltar profilem. Druga fotografia przedstawiała trzech braci, dwaj starsi byli w mundurach. Wszyscy krótko ostrzyżeni, wygoleni, przystojni.

- Czy Neil jeszcze żyje? - spytałam.

- Nie, nie. W czterdziestym piątym zaciągnął się i prawie natychmiast poległ. Gdzieś w Niemczech. Prawdę mówiąc, był to głupi wypadek. Stał nie tam, gdzie należało, i najechał go cofający się czołg. Biedny Neil, zawsze był roztargniony. Ta śmierć, taka bezcelowa, zniszczyła mojego ojca. Gdyby go pani wtedy zobaczyła, nie nazwałaby go pani barbarzyńcą... Tak czy owak - ciągnęła - po wojnie John wrócił do domu. Postanowił wystąpić z wojska i zająć się interesami. Dużo ze mną o tym rozmawiał. O tym, jak zamierza zbudować lepszy świat, w którym nie będzie już ani biednych, ani głodnych. Pracował nad ubezpieczeniami społecznymi, emeryturami i tym podobnymi. To pewnie pani świetnie zna. W tamtych czasach panował straszny bałagan, ale powszechnie wierzono, że jak się go

uprzętnie, wszystko będzie dobrze. Świetlana przyszłość. John naprawdę w to wierzył. Był może idealistą, ale sprytnym. Szkoci powiedzieliby, że był obrotny. Mój pradziad poślubił córkę młynarza, stąd nasz majątek. Więc, widzi pani, John w genach miał zarówno zdolności do interesów, jak zamiłowanie do wojska. Zarobił dużo pieniędzy i pomógł wielu ludziom. To nie zawsze idzie w parze.

- A pani?

- Ja robiłam to, co inne dziewczęta z dobrych domów. „Bywałam”, to znaczy chodziłam na odpowiednie przyjęcia, tańczyłam z odpowiednimi mężczyznami. Kiedy skończyłam osiemnaście lat, spakowałam torbę i pojechałam do Newcastle. Wciąż miałam to pudełko po papierosach z adresem jego matki. Przechowywałam je, jak przechowuje się zasuszony kwiat. - Słaby uśmiech wytrawił zmarszczki na jej ogorzałym policzku. - Nie miałam pewności, że go tam zastanę, ale pojechałam. Był, czekał na mnie. Po opuszczeniu więzienia pod koniec wojny wrócił do domu. Stałam w progu i oświadczyłam, że za niego wyjdę.

Wyobraziłam ją sobie bez trudu jako osiemnastoletnią chudą niezdarną dziewczynę - żadnej trwałej, makijaż co najwyżej symboliczny. W tamtych czasach była nierozważna, serdeczna, boleśnie szczerą i na pewno pozbawioną poczucia humoru.

- Nie powiedziała pani, jak miał na imię.

- Michael, jak pani ojciec. Wołali na niego Mike. Mike Garoghan. - Uśmiech, który znowu wykwitł na jej twarzy, nadawał jej łagodność, a jednocześnie postarzał. - Biedny Mike. Kochałam się w nim od trzynastego roku życia. Od chwili, kiedy ujrzałam go między drzewami na Usypisku, wiedziałam, że należy do mnie. Nie przyszło mi do głowy, że on może czuć co innego. Opowiedziałam mu wszystko, i o biciu, i o odpowiednich młodzieńcach. Tydzień później pobraliśmy się. Ukrywałam go, opiekowałam się, byłam mu wierna; pomyślał pewnie, że ma obowiązek się ożenić. A może wynikało to z jego słabego charakteru? Ja byłam silna. Miał dziewczynę, Doreen czy Maureen, ale przestała się liczyć. Ojciec oczywiście mnie wydziedziczył, ale John nie zerwał kontaktu. Mike pochodził z bardzo zwykłej rodziny, sam był mechanikiem samochodowym, mnie to jednak nie przeszkadzało. Choć w życiu nie pracowałam, wtedy poszłam do pracy, najpierw w sklepie, potem w fabryce. Dla niego byłam gotowa na wszystko, absolutnie wszystko.

Denerwował mnie jej nieświadomy snobizm. Biedny Mike, myślałam, biedny zwyczajny Mike, zmuszony żyć z takim szlachetnym poświęceniem. Pewnie odbierał to jako dożywotnią karę za dezercję.

- Richard urodził się w pięćdziesiątym pierwszym roku. Ojciec już tego nie doczekał, matka zmarła wkrótce. John ożenił się z Jolandą. Jej dziecko przyszło na świat w listopadzie pięćdziesiątego, dokładnie pół roku przed moim. Tak naprawdę to tamten chłopiec powinien otrzymać imię Richard, mój - Neil, ale Jolandzie nie podobały się nasze rodzinne imiona, chciała coś bardziej egzotycznego. Wołała na niego z włoska, Vincente. Nie poszłam na jego chrzest, za to John przyszedł na chrzciny Richarda. W tym czasie zaczęły się już kłopoty z Mike'em. Opuszczał pracę, pił, ale na razie tylko siedział i rozmyślał. Bywało, że nie odzywał się do mnie przez kilka dni z rzędu. Nie kłóciliśmy się, bo ja nie znosiłam awantur i nie robiłam mu wymówek. Tylko wtedy, gdy zaniedbywał dziecko. Parę lat później wyszedł pewnej nocy do pubu i nie wrócił. Znalazłam go z dziewczyną, tą Doreen czy Maureen. Dziwne, ale nie pamiętam jej imienia. Wtedy zrozumiałam, że widywał się z nią przez cały ten czas. Wróciłam do domu, a rano spakowałam torbę - tę samą, z którą przyjechałam; wzięłam Richarda i wsiadłam do autobusu do Ridpath. I koniec.

Zastanawiałam się, czy powinnam coś powiedzieć. Była odważną, stanowczą kobietą, która podejmowała odważne, stanowcze decyzje. Kobieta nie mającą Skrupułów. Nie oczekiwała ode mnie sympatii, ale czułam, że spodziewa się szacunku. Szanowałam ją. Dawno zmarły pułkownik przekazał część swej nieugiętości córce, którą okropnie zbił, ale nie był w stanie zastraszyć. Przyszło mi do głowy, że kiedy była młodsza, musiała być podobna do jednej z tych niezłomnych średniowiecznych świętych.

- Wróciła pani do panińskiego nazwiska?

- Nie była to świadoma decyzja - wyjaśniła. - Tutejsi ludzie znali mnie jako Elżbietę Savage. Kiedy wróciłam do domu z dzieckiem, przez kurtuazję zaczęli się do mnie zwracać „pani Savage” zamiast „panno Savage”. Zawsze Savage. Richard też był dla nich Savage'em. Co prawda zatrzymał nazwisko ojca, bo uważałam to za właściwe, ale jednak był moim synem. Moją krwią.

- A Vincent? .

- Vincent był... inny. Bardzo ciemny, bardzo śmiały, przesadnie cichy. Był podobny do Jolandy, przynajmniej z wyglądu, ale John miał obawy, że odziedziczył po niej również charakter. Niech pani nie myśli, że jej nie lubiłam. Chcę tylko powiedzieć, że me była... wiem, że to staroświeckie określenie... nie była damą. Udawała, że jest arystokratką, ale podobno pochodziła z tokańskich wieśniaków.

Była jak dziecko, które nigdy nie dorosło. Wciąż czegoś chciała. Wczesny sukces nie podziałał na nią dobrze. Potrafiła być bardzo słodka, nawet przez wiele dni z rzędu. Widać było, że się stara. I nagle zamieniała się w straganiarę. Takim ludziom obce jest poczucie moralności. Po tym, jak uciekła z producentem, John postanowił zabronić jej widywać się z Vincentem. Uważał, że jeśli nie będzie miała wpływu na chłopca, to on ukształtuje go na swój sposób, zwalczy w nim złe skłonności. Dziedzictwo wzięło jednak górę. Zresztą może było za późno. W każdym razie Vincent okazał się czarną owcą. Oczywiście był o wiele bardziej opanowany od Jolandy, która należała do osób prostolinijnych, o niezbyt złożonej psychice. W Jolandzie można było czytać jak w książce. Vincent od małego był nienaturalnie zamknięty, temperament i głód fermentowały w nim, by pewnego razu nagle wybuchnąć. Był też bardzo inteligentny. Jolanda była utalentowana, ale bardzo ograniczona, naprawdę.

- Kochała go pani?

Sądziłam, że tym pytaniem zaskoczę ją, ale choć wyglądała na zdziwioną, nie straciła spokoju.

- Nie... nie, zupełnie nie. Chciałam, ale to nie był miły chłopiec. Pomyślałam, że Elizabeth Savage nie miała w sobie dużo miłości.

Kochała Mike'a Garoghana, potem przeniosła uczucie na syna. Widać nie potrafiła kochać kilku osób naraz.

- Richard go kochał - dodała. Uśmiech na jej twarzy, uśmiech na myśl o Richardzie, zamiast postarzyć, na moment ją odmłodził.

- Przekorna natura Richarda kazała mu kochać każdego, kto był samotny, trudny, nielubiany. Miał dobre serce. To niebezpieczny dar, niebezpieczny dla obdarowanego. Ze względu na Johna starałam się być rada, że chłopcy są tak z sobą życzliwi, ale równocześnie niepokoiło mnie to. Kobiety są pragmatyczne, nie jesteśmy sentymentalne. Nie potrafiłam kochać Vincenta tylko z tego powodu, że był synem mojego brata. Nie chciałam też, żeby Richard go kochał... niemądrze. Zawsze uważałam, że na Vincencie nie można polegać. Że nie można mu zawierzyć.

- Oni jednak pozostali przyjaciółmi, choć pani tego nie aprobowała

- powiedziałam.

- To nie była kwestia aprobaty. Martwiłam się, to wszystko. Po ucieczce Jolandy oboje z Richardem przeprowadziliśmy się do Uroczyska. John błagał, bym mu pomogła. Pamiętam, że powiedział coś w tym rodzaju: ja będę ojcem dla Richarda, jeśli ty zgodzisz się być matką dla Vincenta. John mocno wierzył, że rodzina powinna się

trzymać razem. To, że oboje wychowywaliśmy w pojedynkę swoje dzieci, wydawało mu się zrzędzeniem losu - było nam przeznaczone pomagać sobie nawzajem. Razem byliśmy w stanie stworzyć w miarę normalny dom dla naszych synów. W zasadzie się z nim zgadzałam, ale nie jestem fatalistką. W każdym razie robiłam, co mogłam. Byłam zawsze sprawiedliwa. Wtedy Vincent był jeszcze bardzo młody i chyba myślałam jak John, to znaczy, że uda się nim pokierować, jeśli Jolanda będzie się trzymała od niego z daleka.

- A co z Mike'em Garoghanem? Czy pozwoliła mu pani widywać się z Richardem? - ostrożnie sformułowałam pytanie, starając się nie zdradzić ze swymi myślami.

- Nie powiem, żeby mu na tym zależało. Czasami go zabierał. Po rozwodzie ożenił się z tamtą dziewczyną i wyemigrowali do Australii... Myślę, że Richard od czasu do czasu do niego pisuje - dodała ostrożnie tonem zwierzenia.

- Czy jest podobny do ojca? - nie ustępowałam.

- Nie. On jest Savage. - Przerwała i na chwilę zacisnęła wargi. Skrzywiła się. - Richard ma smykałkę do mechaniki. Na pewno po Mike'u, bo żaden Savage...

Żaden Savage, zdążyłam pomyśleć ironicznie, nie zmieniałby komuś koła, nie regulowałby gaźnika.

- Od małego był zwariowany na punkcie pojazdów. Zwłaszcza samolotów. Po całym domu pałętały się modele, które robił. Kiedy miał dwadzieścia lat, John opłacił mu lekcje latania. Richard chciał mu zwrócić te pieniądze, nie znosił dobroczynności, ale odwiodłam go od tego zamiaru. John poczułby się dotknięty. W Richardzie widział syna bardziej niż w Vincencie. Dlatego zapisał mu Uroczysko. To był tylko gest; doskonale wiedział, że Richarda nie stać na utrzymanie posiadłości. Richard sprzedał dom, a za te pieniądze założył firmę. Interesował się projektami samolotów - aerodynamiką, takimi rzeczami. Ja się na tym nie znam, ale zdaje się, że zyskał międzynarodowy rozgłos. Dobrze mu szło.

- Ico?

- Zbankrutował.

Nagle wstała i podeszła do tylnych drzwi. Skorzystałam z okazji i zmieniłam taśmę. Magnetofon leżał na widoku, wcześniej spytałam, czy mogę nagrywać, ale wołałam, żeby o nim zapomniiała. Stała patrząc na ogród. Na tle zamglonego światła słonecznego ciemniała jej sylwetka, olbrzymia, nieruchoma i w jakiś sposób wieczna jak

skała lub drzewo. Nawet jej ręce nie zdradzały napięcia. Wróciła na krzesło, usiadła z miną, w której czytało się zdecydowanie.

- Jest pani dobrą słuchaczką - stwierdziła. - Nie mam okazji, by dużo mówić, a szczególnie o sobie. Spodziewałam się, że będzie to czymś w rodzaju wizyty u dentysty. Badanie, borowanie, opiłowywanie - słowa są mniej więcej tym samym. Ale pani robi to niemal bezboleśnie. Jak dotąd. Jest pani dobrą słuchaczką.

- To część mojej pracy - powiedziałam zastanawiając się, do czego zmierza.

- Wie pani... Spodziewałam się kogoś zupełnie innego. Kogoś bardziej... twardego.

- Jestem jak jajko ugotowane na twardo. Nie uwierzyła mi.

- Słuchała pani bardzo cierpliwie. Pewnie dużo z tego, co powiedziałam, wydało się pani nie na temat. Ale musi pani' coś zrozumieć. Panią interesuje Vincent, mnie nie. Mnie interesuje Richard. Chciałam, żeby poznała pani całą historię i to, jaki był w niej mój udział. Chciałam, żeby pani nas zrozumiała - Johna, Richarda, nawet Mike'a, i żeby nasz los nie był pani obojętny. Pani wygląda mi na osobę wrażliwą.

Skądś już to znałam. Znowu odzywały się dzwonki alarmowe.

- Jajka nie są wrażliwe.

- Może nie. Matki jednak są wrażliwe. Czy psychologowie nie mówią, że troszczymy się zwłaszcza o synów? Bardzo się starałam nie być nadopiekuńcza, zaborcza. Ale Richard jest wszystkim, co mam, i chciałabym go odzyskać.

Myślę, że mi pani pomoże.

- Czy to dlatego tapla się pani w mętnej wodzie telewizji dochodzeniowej? - spytałam delikatnie.

- W mętnej wodzie... tak, chyba tak. Jak to dobrze, że pani okazała się taka miła. To bardzo ułatwia.

Jesteś Jedną z Nas, pomyślałam w nowym przypiływie cynizmu. Niemal to powiedziałam.

- Nie popieram tego, co robicie, ale trzeba iść z duchem czasu. Jak mówiłam, nie wierzę w przeznaczenie, lecz kiedy pani zadzwoniła, odebrałam to jako wskazówkę, drogowskaz. Wiem, że takie programy mogą czynić dobro. Więc...

- Więc rozmawia pani ze mną - podsumowałam. - Z powodu Richarda.

Pokiwała potakująco.

- Z powodu Richarda. - Maska humoru i tolerancji zniknęła. Twarz miała teraz drewnianą, nieruchomą; malowała się na niej ponura determinacja.

Naszedł czas na bezpośrednie pytania.

- Co się właściwie zdarzyło?

- Nie znam szczegółów... Richard nic mi nie powiedział... ale wiem, że Vincent był w to zamieszany. Wrócił krótko przed śmiercią Johna. W gabinecie Johna w Uroczysku odbyła się nieprzyjemna rozmowa. We wsi mówiono, że Vincent zaproponował zgodę, a John odmówił, ja w to jednak nie wierzę. John nie odrzuciłby gałązki oliwnej, a już na pewno nie od własnego syna. W każdym razie parę tygodni później ciąża Hester trafiła do gazet. Na pewno pani czytała. To musiał być zbieg okoliczności... Vincent mógł się czegoś domyślać, ale z pewnością nie znał szczegółów... jakkolwiek zastanawiająca jest ta zbieżność wypadków. Nie wiem, może Vincent tylko przyniósł pecha. Dziennikarze od jakiegoś czasu starali się coś wywęszyć. John i Hester... wszyscy o nich wiedzieli, lecz nikt nic nie mówił. Zachowywali wielką dyskrecję. Podejrzewam, że sami nie wiedzieli, że coś jest między nimi, póki sprawa nie stała się głośna. Gdyby nie prasa, wszystko dobrze by się skończyło. To było naprawdę smutne. Lubiłam Hester Bradley. To bardzo rozsądna kobieta. - Zawahała się, zmarszczyła brwi, uśmiechnęła się lekko. - Zdaje się, że znowu odbiegłam od tematu. Vincent... Pamiętam go na pogrzebie Johna, w naszym kościółku. Zachowywał się bardzo poprawnie, nic nie mówił. Na jego twarzy nie było smutku, żalu, tylko jakaś zaciętość. Obserwowałam go przez całe nabożeństwo. Przez cały czas miał tę samą minę. Richard powiedział, że się uprzedziłam. Myślę, że wierzył w honor Vincenta. Ja nie.

- Chce pani powiedzieć - zaczęłam ostrożnie - że pani podejrzewała, że Vincent miał jakiś związek ze śmiercią sir Johna? Czy tylko z tym, co napisano w gazetach?

- Nie, nie. Ani z jednym, ani z drugim. Ja o tym nic nie wiem. Miał natomiast związek z bankructwem Richarda. Bo trzeba pani wiedzieć, że po pogrzebie Richard zaczął się z nim znów widywać. Vincent często przyjeżdżał do kraju, zawarli jakąś finansową umowę. Richard mu ufał. Kiedy przedsiębiorstwo upadło, Richard uznał, że to z jego winy. Dlatego wyjechał. Nawet nie miałam okazji z nim porozmawiać. Czuł, że wszystkich zawiódł, więc wyjechał.

Na jej twarzy pojawił się ból, lecz - jak to było z jej macierzyńskimi uczuciami - podział na nią odmładzająco; przez chwilę

widziałam dziewczynę, którą wtedy była - dumną, bezbronną, ciut nieczułą, uczciwą w swej żarliwości.

- Pomyślałam, że gdyby pani mogła wykryć prawdę, gdyby pani zdemaskowała Vincenta... - zająknęła się, ale zaraz zebrała się w sobie i zaczęła dobierać słowa. - Vincent stał za tym wszystkim. Nie mam na to dowodów, ale wiem, że tak było. Richard traktował go jak brata, więcej niż brata - byli razem w Gordonstoun, przyjaźnili się w czasie studiów - a Vincent go zrujnował. Upokorzenie złamało Richardowi życie. Kiedy Crystal go rzuciła, zabrała ze sobą dzieci. Nic mu nie zostało. Kompletnie nic. Vincent wszystko zniszczył.

- Dlaczego? - spytałam.

- Dlaczego? - niemal krzyknęła, ale zaraz się uspokoiła. - Kto to wie? Dlatego, że był zazdrosny, złośliwy, że tyle lat tłamsił to w sobie. John wolał Richarda, choć za wszelką cenę starał się to ukryć. Ale myślę, że Vincent to wiedział; dzieci wiedzą więcej, niż się nam wydaje. Zazdrość kielkuje powoli, czasem latami. Vincent starannie ją pielęgnował.

- A co z Crystal? - spytałam otwarcie. - Czy nie była dziewczyną Vincenta, zanim wyszła za Richarda?

- Tak, ale to nie miało znaczenia. Vincent przebierał w dziewczynach. Najwyżej czuł się pochlebiony, że Richard zbiera po nim odpadki.

Bez zdziwienia skonstatowałam, że Elizabeth Savage nie lubiła swej byłej synowej. Jakby czytała w moich myślach.

- Rzecz w tym - zwierzyła mi się - że nigdy nie uważałam Crystal za odpowiednią kobietę dla Richarda. Oczywiście wszystkie matki mówią to samo o żonach synów, prawda? Robię się coraz bardziej banalna. Chodzi mi o to, że Crystal zostawiła Richarda wtedy, kiedy jej najbardziej potrzebował. Vincent niezbyt ją sobie cenił i było mu obojętne, co i z kim robiła. Traktował kobiety instrumentalnie. Jego styl - to wykorzystać kobietę, a potem wyrzucić jak papierową torbę. Nigdy nie kochał nikogo. Nie ma w nim miłości ani ciepła, jedynie złe namiętności. - Nachyliła się nad stołem, palcami przeczesła rzadkie włosy. - Gdyby udało się zdemaskować Vincenta - podsumowała - gdyby publicznie go zhańbić, to Richard zostałby oczyszczony z zarzutów. Ludzie zobaczyliby, że można mu zaufać. Zaczęłyby wszystko od początku. Wróciliby do domu. - Popatrzyła na magnetofon, potem na mnie. - Pani musi nam pomóc.

- Pani mi dużo powiedziała - zauważyłam - ale nie podała pani żadnych faktów. Potrzebuję prawdziwych danych. Szanuję pani zdanie, wszelako nie zdemaskujemy Vincenta rozgłaszając pani opinię, że już jako dziecko był okropny.

Zapanowała krótka cisza, nabrzmiała wahaniem.

- Muszę porozmawiać z Richardem. Powiedziała pani, że wyjechał. Dokąd wyjechał?

- Nie wiem.

Była złym kłamcą. Niespójność w jej zachowaniu denerwowała mnie, lecz nie wynikała chyba z braku zaufania. Przypuszczalnie musiała najpierw wtajemniczyć syna w akcję, którą podjęła.

- Muszę się z nim zobaczyć - powtórzyłam.

- Przykro mi. - Powiedziała to tonem nieodwołalnym. Skrzywiłam się na myśl o czekających mnie nudnych poszukiwaniach.

- Jak mam pani pomóc - spytałam - gdy pani nie jest w stanie podać mi żadnych dowodów i nie chce skontaktować z jedynym świadkiem, który jest w ich posiadaniu? Dysponuję tylko poszlakami, używając sądowej terminologii. W tej sytuacji nie wiem, czy producent uzna za stosowne, by tę sprawę kontynuować. Jednakże...

- Musicie kontynuować! - wykrzyknęła wstrząśnięta.

- Być może. - Wyłączyłam magnetofon. - Wszystko zależy od tego, czy coś jeszcze znajdziemy.

Nie powiedziałam: wszystko zależy od pani. Elizabeth Savage była wystarczająco inteligentna, by to pojąć.

Późnym popołudniem odbyliśmy spacer do Uroczyska. Była to stara posiadłość rodzinna Savage'ów, nieruchomość, którą sir John zostawił „w formie gestu” Richardowi Garoghanowi, a którą ten natychmiast sprzedał, by wspomóc finansowo swoje przedsiębiorstwo. Tutaj wyrósł Vincent.

- Skąd wzięła się ta nazwa? - spytałam.

- Nazwa jest stara, o wiele starsza od domu. Ten dom został wybudowany przez mojego pradziadka jakieś sto pięćdziesiąt lat temu, gdy ożenił się z majątną panną. To szkaradzieństwo. Sama pani zobaczy. Uroczysko było nazwą domu, który stał tu przedtem. Pradziadek go zburzył, w każdym razie to co jeszcze z niego zostało. Nie miał dachu, zostało kilka ścian i duch. Była gdzieś gawiura... została pewnie sprzedana. Artystyczne ruiny z księżycem wynurza-

jącym się zza chmury i ciemnymi cieniami pokręconych drzew. Jako dziecko byłam nią zafascynowana. Te pokręcone drzewa też wycięto. Pradziadek posadził inne.

Jeszcze jeden prostolinijny, uparty, bezwzględny Savage, pomyślałam. Najwyraźniej ich długa linia wywodziła się od tego małpiszona, który pewnego dnia stwierdził, że ma dość siedzenia na drzewie ze swymi pobratymcami, stanął więc na dwóch nogach i pomaszerował przez równiny w głupim dążeniu do ewolucji. Słabsze naczelne, które poczuły się zmuszone pójść za nim, zostały pożarte przez gigantyczne niedźwiedzie lub tygrysy szabłożeńne, on jednak - zdecydowany iść własną drogą i rozpocząć własne życie - nawet się nie obejrzał. Od małpy do Savage'a. Wieki upłynęły, a on nic się nie zmienił. Zatwardziały, nieustępliwy, walczył ze zdrażliwymi prądami cywilizacji. Pogardzał słabością, czuł wstęt do tchórzostwa, trzymał się z uporem przestarzałego kodeksu moralnego. Jego głowa, którą niezmiennie zachowywał, kiedy inni swe tracili, ociekała krwią, ale się nie schylała. Podobał mi się i nie. Zastanawiałam się, ile z tej pierwotnej małpy żyje w Richardzie Garoghanie i Vincencie Scarpia, Savage'ach współczesnego świata.

Zostawiłyśmy już za sobą wioskę i szłyśmy teraz wzdłuż niskiego muru. Kilka minut później dotarłyśmy do żelaznej furtki - otwartej i zardzewiałej w tym położeniu. Żwirowy podjazd tu i ówdzie porastały chwasty. Na murze nowa kamienna tablica, artystycznie podniszczona, opowiadała o legendzie „Zamku na Pobojowisku”.

- Ostatni właściciele zmienili nazwę - wyjaśniła Elizabeth. - Twierdzą, że kiedyś, jeszcze za Normanów, stał tu zamek. To oczywiście bzdura. Odkąd go sprzedaliśmy, dom już dwa razy zmienił właścicieli. Zajmowali się wewnątrz, zainstalowali centralne ogrzewanie, eleganckie łazienki i tak dalej, ale nie zrobili nic na zewnątrz. O taką posiadłość trzeba dbać. Ludzie z miasta uważają, że na wsi przyroda ich w tym wyręczy.

Weszła przez furtkę bez najmniejszego wahania. A co tam, pomyślałam idąc za nią, przecież jej rodzina wybudowała ten dom i żyła w nim przez cztery pokolenia. Ona tu należy tak samo jak porośnięty perzem podjazd i zardzewiała brama.

Przedarliśmy się przez krzewy, proszące się o przystrzyżenie, na szeroką murawę. W głębi widać było klomby, cyprysy, suchy dziób fontanny nad pustym kamiennym basenem. W skwarnym słońcu cyprysy - płomienne jak na obrazie van Gogha - zdawały się

wibrować. Przebiegłszy trawnik i ogrody, podjazd zatrzymywał się przed domem, masywnym architektonicznym dziwolągiem, robiącym wrażenie muzeum potworności, które zaprojektował reprezentant wiktoriańskiego gotyku. Były tam wieże najeżone kwiatonami, łupkowy dach wykończony frędzlami wypracowanych blanków, masa ostrołukowych okien, a pod gofrowanym kamiennym sklepieniem ciężkie dębowe drzwi, pasujące raczej do opactwa. Dom został zbudowany, powiedziała mi Elizabeth, częściowo z kamieni ciosanych pochodzących z Muru Hadriana, które w tych okolicach często służyły za budulec. W jasnym słońcu kamień wydawał się blado-popielaty, każdy występ i rzeźbienie podkreślone było cieniem. Z tyłu ciemniała linia drzew, a za nią wznosił się poszarpany grzbiet skarpy. Jeszcze dalej widać było inne wzniesienia, bardziej strome i dziksze, migocące w gorącej mgiełce, która znaczyła krawędź nieba.

Odwróciłam się do Elizabeth. Przyglądała mi się rozbawiona, czekając na moją reakcję.

- Robi wrażenie - odparłam dość wstrząśnięta. - Szkaradzieństwo, jak sama pani powiedziała. A jaki jest w środku?

- Jeszcze gorszy. W każdym razie był gorszy - poprawiła się. Przeciągi, mrok, staroświecka kanalizacja. Pamiętam, że będąc dzieckiem godzinami nie spałam, nasłuchując bulgotania w rurach. Matka czytała nam *Baśnie z tysiąca i jednej nocy*. Było tam o dżinie uwięzionym w butelce. Wierzyłam, że w zbiorniku na wodę też jest uwięziony dżin i wścieka się, że nie może się wydostać. *Baśnie z tysiąca i jednej nocy* nie są najodpowiedniejszą lekturą dla małych dzieci... Ale z tym już koniec. Dwaj młodzi ludzie, którzy kupili od nas dom, zamierzali urządzić w nim coś w rodzaju hotelu z restauracją

- piękna sceneria, dobre jedzenie w malutkich porcjach, wszystko przeraźliwie drogie i wyszukane. Zdaje się, że jeden z nich był szefem kuchni, drugi kelnerem od win. Zapraszali mnie na herbatę, niby żeby się poradzić, co myślę o takim układzie kolorystycznym,

o tych zasłonach, czy nie zechciałabym się znowu pofatygować

I zobaczyć, jak wszystko urządzili. Oni właściwie zrobili z tego miejsca coś bardzo ładnego. Mieli dobry gust i znali historię sztuki o wiele lepiej ode mnie. Czy od kogokolwiek w naszej rodzinie, jeśli już o tym mowa. - Na jej twarzy mignął postarzający uśmiešek.

- John., ilekroć zamierzał kupić obraz, zasięgał rady u Piersa.

- Piersa Percivala?

- Właśnie. To był bliski przyjaciel Johna... i całej rodziny.

- Jak się poznali? - spytałam.
- W wojsku. Wiem, że to nie brzmi prawdopodobnie, bo Piers był z tych bardzo wrażliwych i delikatnych, ale tak naprawdę to on jest również dość odważny. Pod ogniem zachowywał zimną krew. Kiedyś go trafiło, ale nigdy o tym nie mówi. Odniósł jakieś obrażenia wewnętrzne, które ciągle dają o sobie znać. Czasami spotykałam go na przyjęciach, już po moim powrocie. Zawsze był dla mnie bardzo uprzejmy. Stałyśmy teraz dokładnie przed domem. Przyglądałam się fasadzie i w pierwszej chwili prawie nie zwróciłam uwagi na jej następne słowa.
- Jest ojcem chrzestnym Richarda.
- Tak? - Byłam zdumiona. Coś mi mówiło, że zawdzięcza ten zaszczyt bratu.
- To był pomysł Johna - wyjaśniła. - Razem przyjechali na chrzciny. John powiedział, że dobrze Piersowi zrobi, jeśli będzie musiał się troszczyć nie tylko o antyki. Ale Richard niewiele go widywał. Mało ich łączyło. Czasami się zastanawiam, czy byłoby inaczej, gdybyśmy w odpowiednim czasie wciągnęli Piersa w kłopoty Richarda! W myśli dodałam i natychmiast odjęłam Piersa Percivala z listy ewentualnych rozmówców - cała ta operacja trwała może minutę.
- A wracając do Uroczyska - powiedziałam - dlaczego nie udało się z tą restauracją?
- Bo jeden z tych młodych mężczyzn uciekł z miejscowym chłopcem - odparła. - Bardzo ładnym, w typie cygańskim. Żywcem z E. M. Forstera. Ten drugi stracił chyba serce do całego przedsięwzięcia. Dom został sprzedany jakiemuś arabskiemu biznesmenowi. Z tego co wiem, nawet tu nie był. Potem stracił pieniądze i dom został znowu sprzedany. Obecni właściciele to amerykański reżyser - kobieta - oraz jej mąż. To właśnie oni zmienili nazwę. Pewnie sądzili, że „zamek” brzmi bardziej romantycznie.
- Mnie się podoba Uroczysko - stwierdziłam.
- Tutejsi ludzie zaczęli mówić, że ten dom jest pechowy - ciągnęła Elizabeth. - Rozbite małżeństwa, rodziny, bankructwa. Podobno niektórzy ludzie przynoszą nieszczęście. Nowi właściciele zmienili jego nazwę pewnie po to, by odwrócić fatum.
- Pomogło? - spytałam leniwie.
- Mówiłam już pani - odparła Elizabeth Savage tonem brzmiącym prawie jak westchnienie - że ja nie wierzę w takie rzeczy.

Rozdział szósty

I co? - spytał Ałun Craig, kiedy następnego dnia zjawiłam się w biurze. Nie było to zdawkowe, wypowiedziane z roztargnieniem „I co?”, lecz dziarskie, nacechowane żywym zainteresowaniem. Streściłam stosowne fragmenty historii opowiedzianej mi przez Elizabeth.

- Wszystko opiera się na podejrzeniach, nie na faktach. Dalej odnoszę się do tej sprawy bez wielkiego entuzjazmu. — Kłamałam w żywe oczy, czego Ałun prawdopodobnie się domyślał, ale pewny nie był.

- Cóż... - Przeciągnął to słowo do granic możliwości. - Może masz rację. Podejrzenia to dla nas za mało.

Przypuszczalnie należy jeszcze poczekać.

Ałun też kłamał jak najęty. Uciekł się do nowej taktyki, by sprowokować mnie do obrony mego stanowiska, ale nie miałam ochoty na jego gry. Rzadko dawałam się w nie wciągać. Czekałam i Ałun czekał. Kto kogo przetrzyma?

Wreszcie wykrzywił usta w pozbawionym humoru diabolicznym grymasie, ukazującym jego krzywe zęby.

- Daj spokój, Micky. A Richard Garoghan? A ta Crystal Jak-jej--tam? Choć raz zdejmij maskę chłodnej obojętności i pokaż twarz prawdziwej dziennikarki. Jest za gorąco na odstawianie bryły zamrożonego znudzenia. Może byś zabrała się do roboty, co? Nie zaszkodzi, jak się trochę spocisz.

- Ona nie może - powiedział Jeff. - Im jest goręcej, tym ona jest chłodniejsza. Cała nasza Micky.

- Bzdura. - Ałun przez minutę przyglądał mi się spode łba, po czym przywołał na twarz ten swój niby-uśmiech. -

Wiesz, gdybyś nie była bystra, uważałbym cię za zwykłą pinde z wyższych sfer.

Chcąc nie chcąc uśmiechnęłam się. Złośliwościom Aluna czasami trudno było się oprzeć tak samo, jak gremlinsom Stevena Spielberga.

- No dobrze, Craig - powiedziałam. - Ona się nazywa Crystal Winter, nie Crystal Jak-jej-tam, o czym świetnie wiesz, i jestem z nią umówiona w piątek po południu. Entuzjazmuj się, a ja się zajmę całą resztą. Odpowiada ci? Gorsza sprawa z Richardem Garoghanem. Odpłynął w siną dal, ale nie wiem, w którą siną dal. W każdym razie jest pilotem, a to już jest jakiś punkt zaczepienia. Skoro tak ci zależy, to może coś z tego weźmiesz?

- Oszczędzam siły na ostatni akt - uciał. - W Kalifornii. - Uniosłam brwi. - Savage jest współnikiem faceta o nazwisku Carson - odpowiedział po chwili na moje nieme pytanie - siedemdziesiąt kilka lat, częściowo na emeryturze. Judas Carson.

- Ach, te amerykańskie imiona. - Pokręciłam głową. - Chociaż pasuje do niego?

- Chyba tak. Ale on nie sprzeda Savage'a. To bezdomny kot, który wałęsał się po śmietnikach, dopóki nie znalazł miejsca przy kominku, skąd nie zamierza się już nigdzie ruszyć. - W swych scenariuszach Ałun nie używał metafor, natomiast w codziennych dyskusjach lubił popisywać się krasomówstwem. - Dobrze mu tam, nie życzy sobie zamieszania. Mieli jednak jeszcze jednego współpracownika, który, zdaje się, jest o wiele mniej szczęśliwy. Odszedł, czy też go wyrzucili, nie wiem. W każdym razie niewykluczone, że zechce z nami porozmawiać.

- Jak się nazywa?

- LeSueur - odparł Ałun z nie ukrywaną niechęcią.

- Jeśli nie jest szczęśliwy - zastanawiałam się głośno - to czemu nie porozmawia z Amerykanami?

Ałun wzruszył ramionami.

- Może nikt się do niego nie zwracał. A zresztą, czy to ważne? Jeśli ma ochotę puścić farbę, to trzeba z tego skorzystać, nie?

- Aha, czuję nosem podróż służbową. - mruknął Jeff. - Dziesięć dni w Mieście Aniołów na koszt firmy.

- Ta rozmowa może być cholernie ważna, może nawet najważniejsza ze wszystkich. Jestem producentem, więc rezerwuję ją dla siebie.

- Wolnego - powiedziałam. - Jeśli masz jechać do Los Angeles, to żądam, żebyś mnie wysłał na poszukiwania Richarda Garoghana. Bez względu na to, gdzie przebywa.

Ałun nabrał wody w usta.

Na moim biurku Fizzy zostawiła teczkę z informacjami o Crystal

Winter. Znajdowały się w niej głównie zdjęcia. Większość stanowiły fotografie twarzy reklamującej makijaż firmy Recamier; zamglone zbliżenia twarzy przez artystyczne zabiegi zredukowanej do rysów namalowanych na polaci nieprawdopodobnie idealnej skóry. Kolor jej oczu zmieniał się od modrego błękitu do srebra, podobnie jej cera.

- Przez wiele lat była Twarzą Recamiera - wyjaśniła mi przez telefon przyjaciółka, Annabel Purdey, redaktorka działu mody w jednym z wiodących ilustrowanych tygodników dla kobiet. - Gdy miała dwadzieścia sześć lat, zamienili ją na jakąś osiemnastkę, lecz badania rynku wykazały, że był to zły ruch, więc sprowadzili ją z powrotem. Jej imieniem nazwano całą serię kosmetyków: tonik Kryształowa Przejrzystość, mleczko Kryształowa Czystość i tak dalej. Ciąg do powiek nazywał się Krystaliczny Błękit, podkład - Beż Zimowy. Musiała dobrze zarabiać. Takim modelkom płacą krocie, żeby mieszkaly na wsi, wdychały nieskażone powietrze i jadły jogurt, a potem mówi się, że to kolagen i liposomy.

- Ona jest bardzo ładna - stwierdziłam przyglądając się fotografii, na której Crystal reklamująca modną w latach sześćdziesiątych konturówkę do oczu przedstawiona była w pełnej postaci z zielonym połyskującym rybnym ogonem. Długie loki skromnie przysłaniały jej nagie piersi. - Czemu, na Boga, przebierali ją za syrenę?

- Kolekcja „Syrena” - usłyszałam w słuchawce. - Pianka do kąpieli, balsam do ciała i inne. Ta kampania reklamowa naprawdę uczyniła ją sławną. Na miłość boską, Micky, toż to klasyka w dziedzinie reklamy! Ogon zaprojektował sam Cecil Beaton. Czy ty nic nie czytasz?

- Czytam „The Economist” - pochwaliłam się.

- Nie wiem, jak zamierzasz się w czymkolwiek połapać - powiedziała Annabel surowo. Debiutowaliśmy razem na Fleet Street. Annabel prowadziła kącik mody z tym dziennikarskim nerwem, który ja rezerwowałam dla poważnych wiadomości. O świecie miała dość ograniczone pojęcie. Gdyby ją spytać o ważnego polityka, umiałaby prawdopodobnie powiedzieć, gdzie kupuje krawaty, ale nie z jakiej jest partii. Nazywała to skupianiem się na sprawach zasadniczych. Zastanawiałam się niekiedy, czy aby nie ma racji, przynajmniej gdy szło o polityków.

- Nie mogę znaleźć żadnych zdjęć z pokazów mody - zauważyłam, wracając do właściwego tematu naszej rozmowy.

- Czy Crystal nie „robi” w ubraniach?

- Oczywiście, że nie. Jest za niska. Na wybiegu musisz liczyć co najmniej metr siedemdziesiąt dwa, a ona ma metr sześćdziesiąt pięć. Głównymi atutami jej urody jest twarz i włosy.

- A osobowość? - zaryzykowałam.

- Pytasz, czy ma osobowość? Nie bądź głupia - to modelka. Wszystkie przeciętnie atrakcyjne kobiety, nie wyłączając mnie, zgodzą się przyznać rywalce pierwszeństwo pod względem urody pod warunkiem, że siebie uważają za inteligentniejsze.

- 'No to weźmy jej charakter - ustąpiłam. - Jest zepsuta do szpiku kości, ma mózdzek wielkości zielonego groszku i bardzo wygórowane mniemanie o sobie? A może nie wiesz?

Była to celowa prowokacja. Annabel miała informatorki we wszystkich salonach piękności - jeśli tylko Claudia Schiffer przytyje dziesięć deko, ona pierwsza się o tym dowie.

- Oczywiście, że wiem - obruszyła się. - Nie chciałam być obrzydliwą plotkarą. Jeśli jednak naprawdę interesuje cię Crystal Winter, to ci o niej opowiem.

- Słucham.

- Więc tak. Po pierwsze, Crystal nie jest zupełnie typowa, wiesz, błyskawiczny sukces, kilka lat w światłach rampy, zapobiegawcze małżeństwo i wdzięczne zejście ze sceny. Jej kariera trwała dość długo, a do tego potrzeba coś więcej. Wyjątkowa uroda nie wystarczy, trzeba mieć jeszcze szczęście, wigor, czynnik x - cokolwiek by to było. Crystal nie jest gwiazdą pokroju Jeny Hall lub Marie Helvin, ale chce taką być. Obecnie próbuje dostać się do filmu, zwolniła męża, wynajęła agenta. Nie wiem, czy odniosła już jakiś sukces, ale raczej nie. Widzisz, Marie cechuje żywotność i wdzięk. Jerry ma nogi i Micka Jaggera. Crystal przypuszczalnie może się poszczycić jedną z najpiękniejszych twarzy w okolicy, ale co z tego? Piękna twarz może cię zaprowadzić na okładki magazynów i na tym koniec. Crystal nie jest zepsuta i nie jest głupia. Każdy, kto z nią pracował, mówi, że jest przemiła i bardzo, aż do przesady skromna, zupełnie bez pretensji, co w tym fachu zalicza się bardziej do wad niż zalet. Miała szczęście z tym Recamierem. Teraz potrzebne jej będzie jeszcze coś.

- Myślisz, że nie ma talentu? - dopytywałam się.

- Zamierzasz się z nią spotkać, prawda? - rzekła Annabel. - Osądzisz sama.

Na spotkanie byłyśmy umówione w jednym z domów wzniesionych

tarasowato przy stromej uliczce w Knightsbridge, hen od nieskażonego wiejskiego powietrza zalecanego jej kiedyś przez Recamera. Na Crystal Winter nie widać było jednak oznak rozpadu. Nawet nie fotografowana przez pończochę była nieprzyzwoicie śliczna - mała trójkątna twarzyczka jak u syjamskiego kota, skośnawe niebieskie oczy ponad skośnawymi kośćmi policzkowymi, usta wyrzeźbione w idealny pączek. Cerę miała jasnopłową (czyżby Zimowy Beż?), a długie, długie włosy były koloru czarnej czekolady i gładkie niczym wyprasowany jedwab. Wiedziałam, że zbliża się do czterdziestki, ale po wyglądzie trudno było określić jej wiek, zaś słabiutki ślad zmęczenia czy płaczu wydawał się jedynie podkreślać piękno jej rysów.

Poczułam do niej antypatię od pierwszego spojrzenia.

- Czy może pani chwilę zaczekać? W tej chwili wróciłam ze szkoły tańca i muszę się przebrać.

Ubrana była w prostą czarną spódnicę włożoną na czarny trykot. Wyglądała i poruszała się z pewną precyzyjną elegancją, niby balerina poza sceną. Była niemożliwie szczupła, a przy tym tu i ówdzie subtelnie zaokrąglona, niby nimfa nowoczesnego artysty. Nie myślałam o swej figurze, od czasu kiedy byłam nastolatką, teraz, przy Crystal, nagle poczułam się za wysoka i niezgrabna. Nie wystarczyło jej chodzić do szkoły tańca, musiała jeszcze o tym mówić, by dać do zrozumienia, że jest osobą zdyscyplinowaną, wygimnastykowaną i ma artystyczne potrzeby. Ja uprawiam jogę z wideokasety, a od czasu do czasu wpadam do pobliskiej sali gimnastycznej trochę poćwiczyć na przyrządach. Jak większość ludzi, regularnie przyrzekam sobie, że będę się więcej gimnastykować i z taką samą regularnością stwierdzam, że nie mam na to ani czasu, ani sił.

Odparłam uprzejmie, że chętnie zaczekam.

Cudzoziemce, która pracowała u niej jako gosposia, Crystal poleciła, żeby wprowadziła mnie do salonu i podała herbatę. Kiedy gosposia wyszła, obejrzałam książki na półkach. Jane Austen, siostry Brónte w wydaniach Pinguina, komplet Szekspira, książka Stanisławskiego o metodzie Stanisławskiego i Oliviera o Oliyierze. Najwyraźniej Crystal poważnie traktowała swe aktorskie ciągoty. Ponadto nieunikniona Jackie Collins i Jilly Cooper oraz kilka biografii sławnych kobiet: Callas, Gelsey Kirkland, Imeldy Marcos. Poza półkami na książki w pokoju było biurko, na którego blacie

stało kilka fotografii w ramach. Zaczęłam je studiować ze zwykłą dla siebie ciekawością. Uwielbiam oglądać fotografie nie egzotycznych krajobrazów i ruin rzymskich, lecz ludzi, sepiowe odbitki przodków z epoki królowej Wiktorii, fotki pijanych znajomych na wakacjach, ślubne zdjęcia znudzonych druzhen i rozanielonych państwa młodych, którzy w przyszłości niechybnie się rozwiodą. Utrwalone na kliszy historyczne momenty, uchwycone w migawce miny. Crystal z podstarzałymi rodzicami, Crystal z latoroślą, po jednej każdej płci. Wykonany przypuszczalnie w ramach ostatniego kontraktu z Reca-mierem portret studyjny Crystal wraz z córką, na którym cera matki podobna do cery córki miała stanowić dowód efektywności najnowszego kremu, powstrzymującego starzenie się. Crystal miała wtedy ze trzydzieści trzy lata, wkrótce ograniczyła się do roli żony i matki, którą grała, dopóki jej mąż nie zbankrutował i nie odjechał w niewiadomym kierunku. Sam odjechał, czy go do tego zmuszono? - zastanawiałam się. Nie było tu zdjęć Richarda Garoghana. Nie było ich u Elizabeth Savage. To tak, jak gdyby po jego wyjeździe na zesłanie obie nieświadomie postanowiły zniszczyć ślady jego istnienia, doprowadzić, by o nim zapomniano. Elizabeth niewątpliwie zerkała na jego fotografię, gdy nikt nie widział, Crystal prawie na pewno wycięła go ze wszystkich zdjęć rodzinnych i wyrzuciła do śmieci. Pierwszy raz poczułam się oburzona w jego imieniu.

To tyle co do mojego nieangażowania się.

Cudzoziemska gosposia wniosła herbatę i niemal jednocześnie pojawiła się Crystal przebrana w luźne spodnie i taką tunikę, z włosami ściągniętymi wysoko w koński ogon. Przywodziła na myśl stylizowanego kulisa. Wdałyśmy się w zwykłe narzekanie na upał i gadanie, jakby to było miło, gdyby człowiek mógł wyjechać z Londynu. Potem włączyłam magnetofon.

- Zanim przejdziemy do innych spraw, proszę opowiedzieć mi coś o sobie - zachęciłam ją.

Jeśli czuła się pochlebiona, nie okazała tego. Uroda może być maską skrywającą nie tylko niedostatki charakteru, lecz również sam charakter. Przypomniałam sobie trajkotanie Annabel: „...i bardzo, aż do przesady, skromna, zupełnie bez pretensji.” Szkoda, że nie słuchałam jej uważniej. Wśród zdjęć nie było żadnej fotografii Crystal z jej najlepszych czasów, w towarzystwie sławnych osób. Wyrachowanie czy autentyczna skromność? Crystal nie wyglądała mi na skromną.

- Czy Crystal Winter to pani prawdziwe imię i nazwisko?
- spytałam, choć wiedziałam, że nie.
- Nie bardzo. Na świat przyszedłam jako Christine Farrow. - To zdanie dystansowało ją od tamtego wydarzenia. - Moja matka z domu była Winter, a „Crystal” po prostu samo się narzucało. Brzmi podobnie do Christine. Nie mam nic przeciwko temu, żeby przyjaciele nazywali mnie Chrys. - Uśmiechnęła się swym trójkątnym uśmiechem, który pasował do jej pięknej trójkątnej twarzy. - Jako Christine Farrow nie zaszłabym daleko, prawda? Etykiety są szalenie ważne.

Mądra uwaga. Ja również z powodu mojej - jakże innej pracy

- wolałam być plebejską Micky Murphy niż zalatującą lepszymi sferami Michelle Annesley Cloud.

- Czy pani w ogóle nie używa nazwiska męża?

- Nie.

Tym pytaniem dałam jej do zrozumienia, by zaczęła opowiadać o swym małżeństwie, ale ona mój sygnał zignorowała. Odnosiłam wrażenie, że wcale go nie zauważyła.

Spróbowałam jeszcze raz.

- Wyszła pani za mąż bardzo młodo, prawda?

- Miałam dwadzieścia jeden lat.

- A przedtem - nie ustępowałam - spotykała się pani z Vincentem?

- Ach, Vincent. - Z tonu, jakim to powiedziała, wynikało, że domyśla się, iż chce rozmawiać o Vincencie. Zmieniła pozycję, a ja odniosłam wrażenie, że przygotowuje się - przybierając odpowiedni wyraz twarzy i kładąc dłonie na sofie - do ciężkiej próby lub do odegrania roli. Tancerka przed rozpoczęciem solówki. - Nie wiem, czy pani mnie zrozumie. Kiedy go poznałam, miałam dziewiętnaście lat i byłam bardzo... podatna. To był początek mojej kariery, robiono wokół mnie tyle zamieszania. Wydawało mi się, że w życiu jest jak w romantycznej książce. Vincent był przystojnym, bogatym arystokratą, takim markizem Vidal z domieszką Heathcliffa. Czy pani czytuje Georgette Heyer? Uśmiechnęłam się ostrożnie.

- Czasami.

- To zna pani ten typ. Cieszył się złą reputacją u kobiet, wszystkich ludzi miał za nic. Młodym dziewczętom tacy mężczyźni szalenie imponują. - Starym też, pomyślałam ironicznie. - Czułam, że moralnie jest... nie zrównoważony, lecz wierzyłam, że zmieni się, bo mnie kocha. Wiem, że było to bardzo głupie. - Nie mówiła z sympatią do siebie jak Elizabeth Savage, lecz z chłodną zadumą

nad swą przeszłością. - Był po prostu słodkim kłamcą. I jest nim w dalszym ciągu. Faceci na ogół z tego wyrastają, z chłopców stają się mężczyznami. Ale nie Vincent. Vincent w środku był mroczny i pokrecony. Zawsze.

Przez chwilę w jej głosie brzmiała prawda, przebijała przez grę. I jeszcze coś. Może złość. Wzburzenie, głęboka niechęć. Nie byłam pewna. Zauważyłam, że jedna z dłoni, starannie ułożona na sofie, zacisnęła się.

- Pani nie wiedziała, że to, co robił, było nielegalne? - spytałam.

- Nie. A skądże. Owszem, opowiadał mi o swych interesach. Słabo się na tym znałam, myślałam więc, że jest po prostu sprytny. On też tak myślał. Nawet kiedy go aresztowano, uważałam, że wszystkiemu winny jest jego amerykański partner. Dopiero później otworzyły mi się oczy.

- Czy byliście sobie bardzo bliscy? - spytałam starannie dobierając słowa.

- Chodzi pani o to, czy byliśmy formalnie zaręczeni? - Przerwała, by zastanowić się nad odpowiednimi słowami. Instykt podpowiedział mi jednak, że prawie wszystko, co mówiła, przemyślała wcześniej. Staralam się nie okazać zdziwienia. - Kto pani powiedział? Tego w gazetach nie było.

- Słyszałam - skłamałam.

- Rozumiem. To oczywiście nieprawda. Kiedy Vincent został aresztowany, chciałam wykonać taki gest, by pokazać, że nie odwróciłam się od niego. Był to rodzaj brawury z mojej strony. Richard mi odradzał. Powiedział, że dziennikarze z kronik towarzyskich rzucą się na mnie jak sępy. Potem Vincent został zwolniony za kaucją i... i jemu ten pomysł też nie przypadł do gustu. Zrozumiawszy, co się szykuje, odciął się od wszystkich. Nawet nie chciał, żebym odwiedzała go w więzieniu. - Zamilkła znowu, jak gdyby się zająknęła, lecz nie zadrżały jej ani wargi, ani głos. - Uparł się odgrywać samotnego wilka.

- Czy... poprosił Richarda, by zaopiekował się panią?

Skośne oczy spojrzały na mnie, rejestrując złośliwość. Gdybym nie byłam zahartowaną dziennikarką, zrobiłoby mi się głupio.

- Nie - odparła cicho. - Nie dbał o to. Przypuszczam, że od momentu aresztowania w ogóle przestał o mnie myśleć. Wyobrażam sobie, że był zaszokowany tym, co mu się przydarzyło. Chyba liczył, że sir John go wyciągnie, ale...

- Ale?

- Nie wyciągnął.

- Wobec czego pani zaczęła spotykać się z Richardem. - Zawiesiłam głos, po czym kontynuowałam. - To było chyba nieuniknione. Zbliżyły was okoliczności, Vincent był wam drogi, oboje się o niego martwiliście. Czy wcześniej podobała się pani Richardowi? Jak pani sądzi?

Zastanawiałam się, czy ulegnie pokusie i będzie próbowała przedstawić siebie w roli bezbronnej syreny nieświadomie wabiącej wszystkich mężczyzn w okolicy. Lecz Crystal pokazała, że jest ponad wulgarną samoreklamę. Była na tyle ładna, by wiedzieć, że nie potrzebuje uciekać się do tanich chwytów.

- Nie wiem. Zawsze był bardzo miły, ale to u niego normalne. Gdy wychodziliśmy dokądś większą grupą, rozmawiał głównie z Vincentem. Był dla mnie uprzejmy, to wszystko. - Intuicja podpowiadała mi, że uparła się mówić prawdę, więc nie przerywałam.

- Dopiero po aresztowaniu zaczął... po prostu był cudowny. Nie mogłam znaleźć sobie miejsca, a on się mną zaopiekował, radził, co robić, osłaniał przed dziennikarzami. Zachowywał się niezwykle, zważywszy że w oczach rodziny Vincenta byłam nikim, kolejną dziewczyną. Vincent nie powiedział ojcu, że... mieliśmy poważne zamiary. Richard pokazał im, że nie jestem pierwszą lepszą z ulicy.

Zaskoczyła mnie nagła szorstkość w jej głosie i wyczułam, że ją samą to zaskoczyło. Jak gdyby przemówił przez nią dawny żal.

- Zabrał mnie na weekend do Uroczyska. Wcześniej tam nie byłam. Nie spodobałam się Elizabeth. Z powodu Richarda, rzecz jasna. Czują, co się święci, i chyba od początku była o mnie zazdrosna. Niektóre matki nie potrafią rozstać się z synami, prawda?

- A sir John?

- Najpierw był nieco sztywny, lecz kiedy Richard wyjaśnił mu to i owo, trochę się rozluźnił. Chyba było mu przykro, że nie od razu zrozumiał moje położenie. Potem już był bardzo uprzejmy, naprawdę.

- Na chwilę zamilkła i jak kot wbiła swe niebieskie oczy w pustkę gdzieś w końcu pokoju. - Byłam wtedy bardzo samotna. Mój świat runął, nie miałam się do kogo zwrócić.

Co z rodzicami, znajomymi? — zastanawiałam się w duchu. Widocznie jednak nie wchodzili w rachubę.

- Miałam tylko Richarda. Był zawsze tam, gdzie go potrzebowałam. Powiedział, żebym dzwoniła do niego do domu choćby w środku nocy, jeśli nie będę mogła spać, i do pracy, gdybym nie dawała sobie rady z jakimś nachalnym reporterem. Do tego był taki zabawny.

Vincent był ekstra, ale nie był zabawny. Któregoś dnia na przykład Richard pożyczył motocykl i wypuściliśmy się na wieś, do pubu nad rzeką. Piliśmy piwo i jedliśmy, co tam akurat mieli. Pierwszy raz w życiu piłam piwo. Richard powiedział, że tego dnia mam się o nic nie martwić, nawet o figurę. - I dodała z miną, jakby było to coś niezwykłego: - Ależ mnie wtedy rozśmieszył.

Usilnie starałam się wyobrazić sobie młodszą Crystal - twarz, powiedzmy, bez makijażu, pocieniowana naturalnymi barwami młodości — jak śmiała się bez troski nad wiejską potrawą i kuflem piwa. Nie potrafiłam. Jeśli Richardowi Garoghanowi rzeczywiście udało się doprowadzić do takiej przemiany, musiał być czarodziejem.

- O sobie i Vincencie mówił na półwesoło, na półpoważnie. „Vincent to spadkobierca” - powtarzał. „Nie dość, że jest przystojny i bogaty, to ma jeszcze łeb na karku. Dobra szkoła, studia w Cambridge. Ja zaś jestem tylko biednym krewnym, a mojego ojca nawet matka nie uważała za człowieka na poziomie. Nie mam klasycznego profilu i nie otrzymałem klasycznego wykształcenia. Znam się tylko na maszynach. Ale jestem szalenie czarujący. Nie sądzisz?”

- Powinna uśmiechnąć się do wspomnień, które wywoływała, lecz nie uczyniła tego. - Był również - zakończyła - szalenie czarujący.

- Czy rzeczywiście lubił Vincenta? - spytałam, mając w pamięci wypowiedź Elizabeth.

- Tak, lubił. To właśnie utrudniało nam... - Zawahała się, ale nie z zakłopotania. Potem zwróciła na inny tor. - Wie pani, razem chodzili do szkoły. Richard mi opowiedział, jak Vincent zbił chłopca, który się nad nim znęcał... to znaczy nad Richardem... stłukł go na kwaśne jabłko. Vincent zawsze się stawiał i pakował w kłopoty. Richard twierdził, że był nieustraszony i lojalny. Tak właśnie, lojalny. - Powtórzyła to słowo z miną bardziej nieodgadnioną niż dotychczas. - „W Vincencie siedzi diabeł, który popycha go do szaleństw, czasem nawet do zła” - powiedział mi kiedyś. „Vincent dąży do celu po trupach. Stąd to wszystko”. To znaczy ta sprawa z oszustwami na hipotecę. „Tak bardzo chciał zrobić wrażenie na swym ojcu, a moim wuju, że nie zastanawiał się, czy to, co robi, jest moralne. Czasami... miewa takie zaćmienia.” Chyba tak właśnie się wyraził. Vincent był mu bardzo bliski. Łączyło ich nie tylko pokrewieństwo, ale również przyjaźń. Nie miał jednak co do niego złudzeń. Dlatego było to takie grupie z jego strony, że...

Przerwała nagle, zerwała się z kanapy, podeszła do półki z książ-

kami i wróciła. Kiedy znowu usiadła, zobaczyłam, że wzięła papierosa ze srebrnej szkatułki na biurku.

- Myślałam, że modelkom nie wolno palić - zdziwiłam się. - Czy to nie szkodzi na cerę?

- Nie pracuję już dla Récamera - odparła niemal niegrzecznie. - Mogę sobie palić, ile mi się żywnie podoba.

Trzymała papierosa jak czternastolatka, która chce się wydać dorosła. To był jedyny moment, kiedy czułam do niej sympatię.

- Co Richard zrobił takiego głupiego? - sondowałam delikatnie. Jak dentysta, żeby użyć słów Elizabeth.

Crystal paliła ostrożnie.

- To było wtedy, kiedy zakładał nową firmę. Sir John zostawił mu spadek, miał więc trochę własnych pieniędzy, ale nie dość. Poza tym przeprowadzaliśmy się. Poprzednia firma Richarda znajdowała się w Coventry, ale chciał przenieść się bliżej Londynu. Dom był mniej więcej tej samej wielkości co ten w Sherbourne, kosztował jednak oczywiście dużo więcej. Richard zamierzał właśnie zwrócić się do banków o kredyt, kiedy Vincent zaczął robić awanse. Nie znam warunków tej umowy, wiem tylko, że dawała ona Vincentowi duże uprawnienia. Richard powiedział, że oferta jest świetna i że musi mu zaufać. Tak właśnie się wyraził - musi mu zaufać. Wiedział, że Vincent nigdy mu nie zapomni... mnie, mimo to dał się mu omamić. Sam dał Vincentowi możliwość zrujnowania go. „Oczywiście, że Vincent mnie nienawidzi - powiedział po fackie - ale również kocha. To była loteria.” Powiedział to obojętnie, jak gdyby to, co się stało, nie miało większego znaczenia. Poświęcił nasze życie, bo zachciało mu się dać Vincentowi drugą szansę.

Jej rozczarowanie Richardem było oczywiste. Póki jej pomagał, uważała go za czarującego i opiekuńczego, ale nie podobało jej się, gdy okazywał miłosierdzie komuś innemu. Wciąż jednak nie rozstrzygnęłam, jaki faktycznie był jej stosunek do Vincenta.

- Pani mu nie ufała, prawda? - podsunęłam.

- Nie wiem. Ja też byłam głupia. - Znowu mówiła chłodno, jakby dystansując się od tego, co opowiadała; wyłączyła emocje, które mogłyby ją zdradzić. Papieros zapomniany w zabytkowej popielniczce sam się dopalał. - Przez chwilę, owszem, ja też chciałam wierzyć, że Vincent się zmienił. Ja też.

Zamknęła swe piękne usta bez jakiegś szczególnej emfazy, lecz przedłużające się milczenie uświadomiło mi, że muszę się wtrącić.

- Jak rozumiem, Richard wyjechał z kraju - powiedziałam. - Czy ma pani z nim kontakt?
- Tylko przez naszych prawników.
- Muszę nawiązać z nim kontakt. Pani na pewno...
- Nie mogę pani pomóc - powiedziała bezbarwnym tonem. - Przysyła mi pieniądze, dzieci piszą do niego. Wszystko przechodzi przez naszych prawników. Tak sobie życzył.
- Dlaczego?
- Cóż, jest mężczyzną. - Przez chwilę wydawała się taka jak inne kobiety, łącząc się z nami, czy tylko próbując, w powszechnym dyskredytowaniu płci przeciwnej. - Nie potrafi pogodzić się z porażką. Jego męskie ego nie przyjmuje jej do wiadomości. Poza tym wie, że sam zawinił.
- Skąd wie? - zdziwiłam się. - Od pani?
- Gdyby wrócił do domu - odparła - musiałby stawić czoło swej porażce i winie.

Podwójnej winie.

- Czy jednak nie mogła pani mu jakoś pomóc? Na pewno ma pani własne pieniądze. W końcu tyle lat pracowała pani dla Recamera...

Jej mina powiedziała mi, że wtykam nos w nie swoje sprawy. Na szczęście w tej chwili nam przerwano. Otworzyły się drzwi i do pokoju weszła mniej więcej dziesięcioletnia dziewczynka z telefonem bezprzewodowym.

- Bardzo przepraszam, że przeszkadzam - powiedziała z przesadną grzecznością. - Mamusiu, to Brendan. Chciałby z tobą porozmawiać. Mówi, że to ważne.

Porozmawiać o mnie, domyśliłam się, bo Crystal rozejrzała się niespokojnie na boki.

- Mój agent - wyjaśniła zasłaniając słuchawkę. - Pozwoli pani, że... To jest moja córka. Snow, dotrzymaj towarzystwa pannie Murphy.

Ze słuchawką przy uchu wyszła z pokoju, zamykając za sobą energicznie drzwi. Zostałam sama z dziewczynką.

Snow. Śnieg. Najwyraźniej Crystal nabrała amerykańskiej manieri nadawania dzieciom wymyślonych imion.

Księżyc, Gwiazda, Firmament - takie imiona były modne w świecie Pięknych Ludzi. Crystal niewątpliwie uważała się za jedną z nich. Dać dziewczynce na imię Snow nie było najlepszym pomysłem, gdyż słowo to nie zawsze dobrze się kojarzyło, ale widać Crystal niewiele sobie z tego robiła. Zastanawiałam się, co sądzi o swym imieniu jej córka.

Dziewczynka usiadła na kanapie, zgarbiła się, palcami u nóg zaczęła przeczesywać dywan. Nie miała w sobie nic z wystudiowanego wdzięku Crystal ani naturalnego wdzięku dziecka - jej ruchy były niezgrabne, dobre maniery wymagały jeszcze podszlifowania. Spod długiej koszulki trykotowej, która zdaje się była jedyną rzeczą, jaką miała na sobie, sterczały pałkowate cienkie nóżki, które pęczniały tylko w kolanie i kostce. Po matce odziedziczyła skośne kości policzkowe i rysy, lecz układ ich był lekko zdeformowany - milimetr tu, milimetr tam - i zamiast być śliczną, była nieco dziwną, prawie zwyczajną dziewczynką. Ze swoją wydłużoną szyją i krzywymi oczyma przywodziła na myśl portrety Modiglianiego. Jej włosom nie dostawało czekoladowej głębi włosów Crystal; były po plebejsku ciemnobrązowe, ściągnięte gumką na czubku głowy w pędzel czy raczej fontannę. Oczy miała nie niebieskie, lecz bladoszare, prawie srebrne, jak dzieci z obcych planet w książkach fantastycznonauko-wych. Jej wzrok wędrował do mnie, ale ilekroć nasze oczy się spotkały, przenosiła go prędko w bok. Często mówi się o dzieciach, że są otwarte i śmiałe - mówią to głupi dorośli, którzy dawno zapomnieli, co to znaczy być małym człowiekiem w wielkim świecie, którego zasad się jeszcze nie poznało. U Snow, jak u każdej innej dziewczynki, pozostawionej przez bezmyślnego rodzica w towarzystwie obcej osoby, onieśmienie walczyło z zaciekawieniem.

- Mam na imię Michelle - powiedziałam, żeby przełamać lody. - Wołają na mnie Micky.

Wyciągnęłam do niej dłoń. Potrząsnęła nią, ale raczej bez przekonania.

- Ile masz lat? - Rutynowe pytanie, na początek jednak uszło.

- Jedenaście i sześć miesięcy. - Była jeszcze w wieku, w którym liczą się nie tylko lata, ale i miesiące.

- Wyglądasz na starszą - skłamałam gładko, wiedząc, co sprawi jej przyjemność.

Przemyślała komplement. Najwyraźniej przypadł jej do gustu, bo powiedziała:

- A Laura Williams jest innego zdania. Ona ma jedenaście lat i dziewięć miesięcy, a jeden chłopiec myślał, że trzynaście. Tak powiedziała.

- Laura Williams to twoja przyjaciółka, prawda?

- Nie.

Zdawało się, że to koniec rozmowy, tym razem jednak Snow podjęła ją:

- Chciałaby pani jeszcze herbaty? Nie chciałam, ale powiedziałam:

- Poproszę. - Pomyślałam, że może ją to ośmieli.

Nalewała bardzo ostrożnie, jakby bała się, że dzbanek zacznie się nagle źle zachowywać, kaszleć i wypluwać zawartość. Kiedy przyjąłem od niej filiżankę i zaczęłam posłusznie pić, niespodziewanie stwierdziła:

- Micky to imię chłopca. Dlaczego nazywa się pani jak chłopiec?

- Widzisz, dostałam je po swym ojcu, który miał na imię Michael. Bardzo go kochałam, więc... lubię to imię. On sam nazywał mnie Miłą, ale inni mówią do mnie Micky.

Milczała, po dziecięcemu zmagając się w myślach z jakimś problemem. Zauważyłam, że w wyrazie jej twarzy było coś z nie-odgadnionej miny Crystal.

- Mój tata mówi na mnie Penny - powiedziała w końcu. - Jo też. Tak samo wołają do mnie w szkole. Tylko mama nazywa mnie Snow.

Cholerna mama.

- Kto to jest Jo?

- Mój brat. Jo od Jonas. Tak jak w Biblii.

- Dlaczego mama nazywa cię Snow?

- Bo tak mam na imię. Mam mnóstwo imion. Penelope Snow Crystal Garoghan. Tata powiedział, że kiedy się rodziłam, na dworze była zamieć. A mama mówi, że jak urosnę i zostanę modelką, to mogę nazywać się Snow Crystal. Mama mówi, że to dobre imię dla modelki.

- Chcesz zostać modelką?

- Nie.

Penny - wołałam Penny od Snow - sięgnęła po herbatnika, ugryzła go i odłożyła.

- Chcę zostać inżynierem, jak tata. Jo mówi, że dziewczynka nie może być inżynierem, ale on nie ma racji, prawda?

- Oczywiście. Możesz zostać, kim tylko zechcesz. Jo też chce zostać inżynierem?

- Nie. On chce zostać pilotem i skakać z samolotu na spadochronie, ale to dlatego, że niedawno widział taki film w telewizji. Ma tylko dziewięć lat. Co można wiedzieć, jak się ma dziewięć lat? Kiedy ja miałam dziewięć lat, chciałam zostać podróżnikiem i wyruszyć na wyprawę w górę Amazonki. Teraz, kiedy jestem starsza, wiem, że byłam głupia.

Inżynier to prawdziwy zawód.

- Żeby zostać inżynierem, musisz być dobra z matematyki

- zauważyłam. - Jesteś? Skrzywiła się.

- Nie bardzo.

- Nie przejmuj się. Winston Churchill był słaby z matematyki, a wygrał drugą wojnę światową. - Było to wielkie uproszczenie historii, ale Penny wyraźnie się spodobało. - Twój tata gdzieś wyjechał, prawda? Na pewno za nim tęsknisz.

- Tak. - Jej mała twarzyczka ściągnęła się i zbladła.

- Wiesz, dokąd wyjechał?

Okropnie się czułam, wyciągając informacje od łatwowiernego dziecka, w którego łaski podstępnie się wkupiłam. Nie pomagało wmawianie sobie, że ta mała jest w innej sytuacji niż Mark Posser, że szukam dowodów, które mają oczyścić Richarda Garoghana, a nie pogrążyć go. Przecież to czysty przypadek. Byłam dziennikarką, która wykonywała swój zawód, wykorzystując każdą nadarzącą się okazję zdobycia wiadomości. Nie czułam się z tym za dobrze. Penny rozpromieniła się na to pytanie.

- Pewnie, że wiem. Pisuje do mnie bardzo długie listy. Do Jo też pisuje, ale nie tyle. I przysyła nam zdjęcia. Palmy i w ogóle. Jest na Barbados. - I jeszcze dodała: - Barbados to wyspa karaibska. Sprawdziłam w atlasie. Tata pisze, że tam jest strasznie gorąco i parno. I że po sypialni pełzają jaszczurki.

Najwyraźniej było to dla niej niesłychanie egzotyczne.

- Znasz adres?

- Nie. Listy posyłamy do prawników. - Zamyśliła się. - Nienawidzę prawników - dodała po chwili.

- Bardzo słusznie. Opowiedz mi jeszcze o Barbados.

- Podoba mi się ta nazwa. Wyspa koralowa. To znaczy, że jest cała z koralu, skały, plaża, wszystko. Myślałam, że koral ma kolor różowy, ale tata pisze, że piasek na plaży jest biały, gruboziarnisty, jak cukier. Są tam też rekiny, kolibry i żaby wielkie jak bułki.

- Penny najwyraźniej wyobrażała sobie, że ojciec pławi się w faunie i florze. - Czy słyszała pani, że kiedyś był tam Ocean Hiszpański?

- Chyba słyszałam. To nielogiczne, prawda? Ocean Hiszpański powinien być gdzieś w okolicach Hiszpanii.

Penny, przyznawszy mi rację, poczęstowała mnie opowieścią, przeczytaną zapewne w liście od taty, jak doszło do tego, że Ocean Hiszpański znalazł się w tropikach.

- Roilo się tam od piratów - rzekła - tylko że nazywali się korsarzami. Byli Anglikami i walczyli z Hiszpanami, więc właściwie napadali legalnie. Tata mówi, że na tych wyspach wciąż jest wielu piratów i przemytników, ale już nie takich romantycznych, tylko złych i zachłannych. Nigdy nie będę brała narkotyków. Tata mówi, że od narkotyków się głupieje.

- Ma rację - potwierdziłam. - Po narkotykach ludziom wydaje się, że życie jest cudowne. Żyją w świecie fantazji i nie próbują niczego zmienić. To właśnie jest głupie.

- Życie nie jest cudowne, prawda? - spytała ostro.

Siedziała na sofie z podwiniętymi nogami - mała, krucha. Siedząc w ten sposób przypominała konika polnego. Jej rysy zastygły w wyrazie intensywnego myślenia. Mała i krucha. Krucha i silna. Miała jeszcze tyle przed sobą; tę wielką górę, która czekała, żeby się na nią wspięła - dojrzewanie, młodość, trwający całe życie nieprzyjemny proces dorastania. Musi być silna. Dzieci na ogół nie budzą we mnie macierzyńskich, sentymentalnych uczuć, nie roz-tkliwiam się nad zaślinionymi niemowlętami i nie wyciskam siłą pocałunków na berbeciach, które ich wcale nie pragną, lecz w tamtej chwili kochałam tę dziewczynkę, czułam nieopanowany przypływ uczuć, który kompletnie mnie zaskoczył. Powiedziałam:

- Chciałabyś, żeby tatuś już wrócił, prawda? - To było oczywiste.

- Uhm.

- Wiesz, nie mów tego mamie ani Jo, ale zamierzam go odnaleźć. Postaram się go namówić, żeby wrócił do was. - Po czym dodałam bezmyślnie, idiotycznie: - Obiecuję ci.

Nigdy, przenigdy nie obiecuj. A zwłaszcza nie składaj obietnic dzieciom, które je zapamiętają, będą nosić przy sobie, co noc zasypiać z nimi, tygodniami, miesiącami. Nic mnie nie usprawiedliwiało. Penny nie była z maltretowana, zagłodzona, nie wlepiła we mnie czarnych smutnych oczu. Jej żal nie był niczym wyjątkowym; był przyziemnym smutkiem, jej doczesne nieszczęście nie umywało się do cierpień, jakie niekiedy muszą znosić inne dzieci. Nic mnie nie usprawiedliwiało.

Spojrzała na mnie skośnymi dziwnymi oczyma, z których nie potrafiłam wyczytać, czy mi uwierzyła.

Crystal zastała nas pogrążone w milczeniu.

- Mam nadzieję, Snow, że zabawiałaś pannę Murphy - mruknęła machinalnie.

- Oczywiście - odpowiedziałam za Penny.

Penny wstała, rzuciła mi ostatnie powłóczyście spojrzenie, po czym wyszła z pokoju.

- Przepraszam, że kazałam pani czekać - powiedziała Crystal.

- Zdaje się, że ostatnio nie potrafię się zorganizować. - Dla mnie wszystko było w niej zorganizowane, łącznie z niedbałym dotknięciem palcami poduszki leżącej na sofie. - Mój agent chce, żebym pojechała na zdjęcia próbne do filmu. Nie wiem, czy coś z tego wyjdzie. Gra na planie filmowym to nie to samo co pozowanie do reklam.

- Słyszałam, że zamierza pani grać.

- Nie byłabym pierwsza w rodzinie - wyjaśniła Crystal. - Moja matka była aktorką. Mona Winter. Prawdę mówiąc, nie odniosła wielkich sukcesów. Największym jej powodem do chwały było wygłoszenie jednej kwestii w pewnym wczesnym filmie. Potem wyszła za mojego ojca i zrezygnowała z kariery aktorskiej.

- Pani na pewno pójdzie lepiej. - Chciałam być uprzejma, ale nie bardzo mi się udało.

- Pani nie rozumie. - W głosie Crystal zabrzmiała znowu irytacja.

- Nie mogę spędzić życia siedząc w domu, czując się jak warzywo, włączyć się po supermarkecie i sprawdzać, co dziś przecenili, chodzić na nudne przyjęcia z nudnymi ludźmi. Muszę coś robić.

Ile razy już to słyszałam. Jestem wyzwoloną kobietą, nie gospodynią domową. Chcę mieć zawód. Być kimś. W jej słowach, choć tak wyświechtanych, brzmiał prawdziwy głód, autentyczna rozpacz.

- Zazdrość pani - oświadczyła ku memu wielkiemu zdumieniu.

- Ma pani pracę, która podnieca. Stymuluje. Zazdrość pani. Jeśli chciała w ten sposób zaskarbić sobie moją sympatię, to się

jej nie udało. Chciałabyś, żeby w życiu było jak w książce, pomyślałam. Zamieniłaś Vincenta na Richarda, wyszłaś za męża, żyłaś długo i szczęśliwie przez piętnaście lat. Życie długie i szczęśliwe ma to do siebie, że jest nudne.

Klasyczna sytuacja kobiet z bogatszych krajów, które nie muszą się martwić o pieniądze i odczuwają przesyt szczęściem domowym. Chcą Spełnienia. Jakiegokolwiek, byle Spełnienia.

- Nie ma mi czego zazdrościć - odparłam. - Dziennikarstwo nie jest znowu takie podniecające. Dużo w tym nudnej dłubaniny.

- Wyłączyłam magnetofon na znak, że wywiad dobiegł końca.

- Życzę pani udanych zdjęć próbnych.

- Dziękuję.

- Niech pani potraktuje naszą rozmowę jako próbę. W przyszłości będziemy chcieli panią sfilmować. - Byłam pewna, że mówiąc to sprawię jej przyjemność.

Wstała, by mnie odprowadzić.

- Gdyby pani chciała jeszcze o coś...

- O, tak, jeszcze jedno. - Od chwili, gdy sprawa ta została wspomniana, chodziło mi po głowie pytanie, którego w końcu nie zadałem; drobna sprawa, prawdopodobnie mogłam to sobie darować.

- Chodzi o to oszustwo na hipotece. Pani powiedziała, że Vincent miał partnera.

- Zgadza się. Amerykanina. Wystawił Vincenta do wiatru, zwiął do Stanów z całą forszą. Zresztą i tak nic by mu nie zrobili. Na wszystkich dokumentach figurował tylko Vincent.

- Czy pamięta pani, jak się nazywał ten Amerykanin?

- Oczywiście. Miał imię, które wyjątkowo do niego pasowało.

- To znaczy?

- Judas Carson - odparła Crystal. - Przyzna pani, że trudno o bardziej odpowiednie imię. Instynktownie ukryłam zdziwienie.

- Przyznaję.

- Judas Carson! - Na dźwięk tego nazwiska Alun Craig tak podskoczył, że o mało nie przebił głową sufitu. - Dopiero teraz mi to mówisz? Dlaczego nie słyszałem o nim wcześniej? Wiem, wiem, Savage odsiedział, stara sprawa.

Odcierpiał za grzechy, dajmy mu spokój. Bądźmy prawdziwymi Anglikami i zachowujmy się jak dżentelmeni wobec łajdaka, który nigdy w życiu nie zachowywał się jak dżentelmen. Nie jesteśmy policjantami, tylko dziennikarzami

i cholernymi dżentelmenami. Dlaczego nie sprawdziłaś tego wcześniej, Micky?

- Dlatego, że sprawdziłam to teraz - odparłam. - Podaję ci tę informację i podaję ci ją z wielkim wyprzedzeniem. Co z niej wynika?

Alun skarcił mnie wzrokiem i dopiero potem pogrążył się w zadumie. Brał płataninę różnych danych i wyławiał z niej to to, to tamto, jakby wyciągał nitki kolorowej wełny, to żółtą, to zieloną, oddzielając błękit od fioleto, szkarłat od karmazynu. - Judas Carson w Anglii

- mrucał. - Załatwia Savage'a. Zwija szmal, partnera zostawia na pożarcie. Pewnie od początku miał ten zamiar. Był starszy, doświad-

czony, a poza tym oszust od urodzenia. Założę się, że pomysł był jego. Wykorzystał Savage'a - nowicjusza, który ledwo co skończył studia i próbował wbić swe młode zęby w zdobycz dla niego za wielką. Carson go wykorzystał i wrobił w kłopoty. A potem co? Znowu są kumplami. Robią wspólnie interesy. Partnerzy na całe życie. Tym razem w Los Angeles. Carson był nauczycielem Savage'a - tak, jego nauczycielem... Czy ufają sobie wzajemnie? Czy hiena ufa szakalowi? Nie, one tylko przypadają do tego samego ścierwa i razem szarpią je na sztuki.

- „Pójdziemy razem - zacytowałam - pysk przy pysku.”

Ałun, który literaturę uważał za zawracanie głowy, puścił moje słowa mimo uszu.

- Jesteście pewni, że to ten sam facet? - spytał inteligentnie Derek Binns. Był najmłodszym członkiem naszego zespołu; kipiał młodzieńczym optymizmem i świeżo nabytymi mądrościami. Według Aluna miał mleko pod wąsem i wyjątkowo gruby czerep, który izolował go niemal od wszystkiego.

- Oczywiście, że ten sam - odparłam. - Dwóch o takim imieniu nie może istnieć nawet w Ameryce. Jak ci leci? Został oddelegowany do wyszukania numerów telefonu czegoś, co by miało związek z pilotami, inżynierią i Barbados. Stawiałam na coś w guście samolotów-taksówek.

- Jakby to... - Derek sprawiał wrażenie nieudolnego, co zdaniem Aluna było tym, co robił najlepiej.

- Pomogę ci - powiedziałam, zostawiając Aluna sam na sam z jego węzłem gordyjskim.

Pod koniec tygodnia ustaliłam, że Richard Garoghan pracuje dla firmy o nazwie Windhover Air Taxis z bazą w Bridgetown.

- Dwa razy zostawiłam dla niego wiadomość - powiedziałam Ałunowi. - Nie oddzwonił. Gdy zadzwoniłam trzeci raz, on tam był, głowę dam, ale nie chciał ze mną rozmawiać. W ten sposób daleko nie zajdziemy. Sytuacja jest zbyt delikatna. Trzeba porozmawiać z nim osobiście.

- Pytanie brzmi - zastanawiał się głośno Ałun dziobiąc długopisem w notatnik - czy warto? Od innych niezbyt wiele wyciągnęłaś.

Wzruszyłam ramionami, niesprawiedliwość należała bowiem do jego stylu pracy.

- Żeby dostać Savage'a - powiedziałam - potrzebny jest Garoghan. Ale on nie przyleci na gwizdnięcie, trzeba go zwabić. - I podsumowałam zdecydowanym tonem: - Lecę na Barbados.

Tydzień skończył się gigantyczną awanturą. Mimo mojej determinacji Ałun jak zwykle wyskoczył z innymi pomysłami. Stwierdził, że bilety samolotowe dla dwóch osób zanadto obciążą nasz budżet, wobec czego on w drodze powrotnej z Los Angeles zahaczy o Barbados i sam przeprowadzi ten wywiad. Przypomniałam mu, że przecież to mnie wyznaczył do zbadania życia osobistego Vincenta. A Richard Garoghan jest moim gołębiem i chcę osobiście się nim zająć. Pomijając fakt, że i tak niewiele zaoszczędzi, bo bilet kombinowany jest zawsze znacznie droższy od biletu bez żadnych udziwnień. A w ogóle to chcę jechać na Barbados. Ałun miał zupełnie nieznośny zwyczaj wysyłania siebie w najwspanialsze podróże zagraniczne i tłumaczenia nam, że tak właśnie będzie najlepiej. W tym przypadku nie zamierzałam ustąpić. Upał był nie od wytrzymania, co chwila ktoś wybuchał, atmosfera w biurze tak zgęstniała, że aż się prosiło, by pokroić ją w kostki i owinąć w papierki.

Sobota zastała mnie w ogrodzie w Szarych Facjatkach. Opalałam się.

- Wolałabym, żebyś przywoziła z sobą bikini - stwierdziła zbolalym głosem matka. - Co by było, gdyby nagle zjawił się tu Barraclough? Jest bardzo stary. Mógłby dostać ataku serca.

Barraclough był owym zramolałym ogrodnikiem, którego zatrudniała.

- Jest sobota - odparłam. - W weekendy tu nie przychodzi.

- W takim razie... Charles może wpaść na herbatę. Wikary.

- To mu powiem, że wracam do źródeł. Do czasów przed wygnaniem ludzi z Raju. Liczę, że w ten sposób poczuję się niewinna jak Adam. Ścisłej mówiąc, jak Ewa.

- To nie jest takie śmieszne, jak ci się wydaje, kochanie. Charles pewnie poczułby się w obowiązku potraktować twoje słowa poważnie. Ciągle się boi, że nie nadaża za swymi czasami. Któregoś dnia na kanale czwartym był program „Kościół a społeczeństwo”. Od tego czasu biedaczek zamartwia się, że zostanie zepchnięty w cień przez ewangelistów. Bóg w wydaniu ewangelistów cieszy się większym popytem. Religia Charlesa jest duszną staromodną odmianą, której nie da się sprzedawać, dodając słoik dżemu pomarańczowego.

- Dobrze mu tak - odparłam czując, że mówię od rzeczy.

W domu zadzwonił telefon i matka nieśpiesznie poszła go odebrać.

Wiedziała, że znajomy cierpliwie odczeka przynajmniej dwadzieścia dzwonek, nim odłoży słuchawkę. Bezprzewodowe telefony nie podbiły jeszcze Szarych Facjatek. Matka zapowiedziała, że nie zgodzi się na telefon, z którym się wszędzie chodzi, „nawet do wygodki, to się w głowie nie mieści, kochanie. Człowiek przecież potrzebuje trochę spokoju.” Dwie minuty później zawołała mnie.

- To Charles, tak? Ale nie licz, że włożę sukienkę - ostrzegłam ją.

- Telefon do ciebie - powiedziała z naganą w głosie. - Phyllida z Ameryki.

Wzięłam od niej słuchawkę.

- Phyl!

- Jak się masz, Micky? - zapiszczał znajomy głos. - Tu jest istne piekło, mimo że leżę przy basenie na Long Island i popijam mrożoną herbatę. Mówię ci, prawdziwe piekło. Wilgotność osiągnęła taki stopień, że czuję się jak zdechła ryba. Słaba, lepka. Nie jestem w stanie rozmawiać dłużej niż przez dwie minuty. Muszę co chwila wchodzić do basenu.

Przez kilka minut rozmawialiśmy o głupstwach. Potem spytała:

- Słuchaj, czy ciebie wciąż interesuje Cudowny Vincent?

- Taak...

- Chciałabyś go poznać?

- Jak to, poznać? On nie zechce ze mną rozmawiać, chyba że jest kimś w rodzaju van Hoogstratena z mentalnością Napoleona i duszą ołówka z grafitem. Nie narazi swego publicznego obrazu. Zasłoni się formułką „Nie mam nic do powiedzenia” i odeśle mnie do swych adwokatów. A już na pewno nie podejździe do kamery.

- Nie, nie, nic nie rozumiesz. Miałam na myśli nieoficjalne spotkanie. To znaczy... on by nie wiedział, że ty.... - Jej głos opadł o oktawę, z czego domyśliłam się, że pochyliła się nad basenem, by zanurzyć w wodzie okulary słoneczne.

- Phyl...

- Słuchaj uważnie. W przyszłym tygodniu jadę z Puchatkiem na wyspę. Ashleyowie mają tam dom, a Langelaanowie wydają przyjęcie. Nagle przyszło mi do głowy, że przecież będzie tam Vincent.

- W tym domu? Czy na wyspie? Co to za wyspa? Na oceanie jest ich zatręśnienie.

- Vincent będzie na przyjęciu. Słuchaj uważniej, Micky, przecież chcę ci pomóc. Vincent i Pete Langelaan są kimś w rodzaju

partnerów, obaj robią w nieruchomościach, tyle że Pete obstawia Wschodnie Wybrzeże, a Vincent Zachodnie. Rzec w tym, że Langelaanowie co roku o tej porze wydają na wyspie przyjęcie - tylko nie pytaj z jakiej okazji - i Vincent zawsze bierze w nim udział. Prawda jest taka, że przyjeżdża tam każdy, kto wystara się o zaproszenie. Pete jest kretynem, za Deirdre też nie przepadam, ale ubaw będzie bomba. Mogłabyś przyjechać. Zatrzymasz się ze mną u Ashleyów, a potem z Puchatkiem zabierzemy cię na przyjęcie. Nie mówiąc nikomu, kim jesteś. Rozumiesz? Czy to nie genialny plan? Nie musisz mówić, że jesteś dziennikarką, w ogóle nic nie musisz mówić. Jesteś po prostu moją dobrą znajomą. Odegraj Matę Hari. Nad kieliszkiem szampana, wśród hibiskusów Vincent zdradzi ci wszystkie swe tajemnice.

- Wątpię.

- Poza tym musimy się w końcu zobaczyć. - No, to był argument nie do odparcia. - Nie widziałyśmy się od lat.

Zobaczysz, będzie cudownie. Nareszcie się nagadamy. Co ty na to?

- Phyl, bardzo bym chciała, ale...

- Ale co?

- Zacznijmy od tego, kim są ci Langelaanowie? I co to za wyspa?

- Dominika - odpowiedziała najpierw na drugie pytanie. - To jedna z Grenadin. Chyba najmniejsza. Nie, nie Dominikana. Zupełnie nie to samo. Kapitan, który ją odkrył, nadał jej imię swej narzeczonej, w każdym razie tak mówią. Jest tam nieprawdopodobnie drogo, nie ma hoteli i kompletnie żadnych turystów. Wyłącznie prywatne domy, luksusowe jachty i wioski z tubylcami. Wszyscy są bogaci, nie wyłączając tubylców, którzy zarabiają krocie na doglądaniu tych domów i jachtów, kiedy ich właściciele są gdzie indziej.

- Raj dla uprzywilejowanych - zauważyłam. - Coś jak Mustique, bardziej niż Mustique. Znam to ze słyszenia. A ci Langelaanowie? Wnioskuje, że należą do superuprzywilejowanych. Mają jacht czy dom, czy może jedno i drugie?

- Jedno i drugie - odparła Phyl bez wahania. - Kilka. O nich też powinnaś była słyszeć. To są bardzo stare pieniądze. Ich przodek w swoim czasie kupił od Indian połowę stanu Nowy Jork za sznurek nanizanych muszelek i paczkę cebulek tulipanów. Od tamtego czasu Langelaanowie robią wyłącznie takie interesy. Pete jest niewiarygodnie skąpy, ale musi bulić, bo Deirdre uwielbia organizować rozmaite spedy. On sobie to odbija chwając się, ile wydał na szampana

i kawior. Mówię ci, wylicza wszystko co do centa. Moja manikiurzystka zna kelnera od Raoula i od niego wie, że Pete daje nędzne napiwki.

- Nie mam nic przeciw bogatym ludziom - zauważyłam - ale nie lubię, kiedy są skąpi.

- Jestem bogata, ale...

- ... nie jesteś skąpa.

- Oczywiście, że nie. Poza tym nie jestem taka bogata jak Langelaanowie - zakończyła z dumą w głosie Phyl.

- Nie skrzywią się, jeśli przywieziesz ze sobą nieznajomą?

- Nie mrugnęliby okiem, nawet gdybym przywiozła ze sobą tuzin nieznajomych. Deirdre uważa mnie za cenny nabytek. Wychodzę za mąż wyłącznie za właściwych ludzi.

- *A propos...*

- Farzad będzie w Hongkongu - pośpieszyła z wyjaśnieniem. - Dlatego właśnie wymyśliłam tę historię. On by się nigdy na to nie zgodził. Kocham go do szaleństwa, ale przyznaję, że na twoim punkcie ma hysia. Z drugiej strony, nie mogę pozwolić, żeby dyktował mi, jak mam żyć i z kim się przyjaźnić. Przyjedziesz, kochanie, prawda?

- To zależy - odparłam.

- Od czego? - Phyl nie lubiła zagadek.

- Jeśli okaże się, że Grenadiny leżą blisko Barbados - powiedziałam - to uznam, że diabeł mi sprzyja. Wtedy przyjadę.

Odłożywszy słuchawkę, wzorując się na Penny Garoghan sięgnęłam po atlas. Wokół Karaibów leżało wiele maleńkich wysepek, z których część ledwo dawało się odróżnić od morza. Barbados znalazłam stosunkowo łatwo, natomiast Dominika była za mała lub zbyt ekskluzywna, by występować w atlasie. Niewykluczone też, że jej bogaci mieszkańcy dogadali się z kartografami. Inne wyspy jednak wymieniono: Grenada, Bequia, Mustique, Carriacou, Canouan. Magiczne romantyczne nazwy wywoływały przed oczyma czarowne obrazy miotłowatych palm, białych idealnych plaż, szmaragdowego morza z ciemnoszafirowymi cieniami. Wystarczyła minuta, żebym zaczęła sobie wyobrażać, jak wędruję po takiej plaży w wymyślonym bikini, składającym się z ciupeńkich trójkącików, których oryginalny kolor dawno już spełził, zbliżając się barwą do papiirusu. Grenadiny, rozstrzygnęłam, leżą wystarczająco blisko Barbados.

- Na miłość boską, co ty robisz? - spytała matka.

- Jadę na Karaiby - odparłam - spotkać się z mężczyzną.

- Jak się cieszę!
 - To praca, mam, tylko praca. „Śledztwo”, choć Alun jeszcze o tym nie wie, wysłała mnie w tropiki.
 - Mówiłaś, zdaje się, że producent nie zgodził się zapłacić za twoją podróż.
 - Teraz się zgodzi. Jadę na przyjęcie. Alun Craig może wszystko, ale przecież nie włoży szpilek i nie zrobi sobie makijażu, żeby wziąć udział w przyjęciu dla „lepszych państwa”. Okaże się to pewnie stratą czasu, lecz nie możemy przepuścić żadnej szansy. Tak czy owak, muszę się koniecznie przekonać, czy podejrzenia Aluna są słuszne.
 - Jedziesz na przyjęcie specjalnie, by spotkać się z tamtym mężczyzną - stwierdziła matka takim tonem, jak gdyby mówiła: Połknęła pajaka, żeby złapać muchę.
 - Zgadza się.
 - Co to za mężczyzna? Czy aby nie jakiś oszust?
 - Owszem. Oszust, który należy do *beau monde* i tarza się w nieuczciwie zdobytych pieniądzech. Ciemny ponury przystojniak o ciemnej ponurej osobowości. Zbija forszę wyrzucając na bruk miłe starsze panie i budując na miejscu ich domów wieżowce dla młodych, wykształconych, zdolnych, dobrze opłacanych urzędników.
 - To straszne - powiedziała matka. - Czy nie możesz znaleźć sobie pracy, w której spotykałabyś się z miłymi ludźmi?
 - Nie ma miłych ludzi - odparłam myśląc o czymś innym. - Są tylko mniej wstrętne i to niewielu.
- W** pracy zjawiłam się w poniedziałek akurat wtedy, kiedy Alun wyszedł na rozmowę z Biurem Legalności.
- Ktoś ma nas skarżyć. Czy to nie podniecające? - spytał Jeff. Nie wydawał się podekscytowany bardziej niż miska leguminy ryżowej.
 - Jeśli Alun nie będzie się miał na baczności - odparłam - to tym kimś będę ja.
 - Zupełnie nie rozumiem, czemu ci tak zależy na tych Karaibach. Tam jest tak gorąco, że można zwariować.
 - I bardzo dobrze. Bo ja właśnie chcę się ochłodzić. Na plaży, ubrana w bikini, obserwując, jak fale liżą piasek - rzekłam rozsiadając się w fotelu Aluna. Zbierałam siły do stoczenia z nim bójki, kiedy Fizzy położyła na jego biurku paczkę korespondencji. Poczta Aluna

była rzeczą świętą, nic więc dziwnego, że Fizzy zrobiła wielkie oczy, widząc, jak zaczynam przerzucać listy, zresztą bez zamiaru ich otwierania.

- Wezwania do sądu jeszcze nie ma - stwierdziłam. - O, a co to? Była to koperta - nie w kolorze bladej sraczki, jakie upodobały

sobie (dość trafnie) agencje rządowe, lecz w delikatnym odcieniu *cafe-au-lait*; gruby, luksusowy papier, adres wydrukowany kursywą. Paluszki lizać. Korespondent Aluna był nie tylko estetą, ale miał również komputer zaprogramowany do adresowania kopert. Siedziałam zamyślona nad tą kopertą, kiedy wkroczył Alun.

Wyrwał mi kopertę z ręki. Wtedy nie przywiązywałam do tego specjalnej wagi. Nietykliwość jego prywatnej poczty była jednym z objawów jego paranoi.

- Zabieraj się z mojego fotela - warknął.

- Jeśli obiecasz, że wyślesz mnie na Barbados. Opowiedziałam mu o przyjęciu. Jeff wystąpił z rozsądnym moralnym poparciem; Derek otworzył usta, ale zobaczywszy moją minę natychmiast je zamknął, Fizzy złagodziła sytuację podając kawę. Alun wolno, jak gdyby się obawiał, że stworzy precedens, ustępował. Wyjaśniwszy w czym rzecz, specjalnie nie nalegałam, nie było potrzeby. Istniała znikoma szansa, że coś z tego przyjęcia wyjdzie, jednak Alun zawsze lubił znikome szanse, strzelanie do dołka z dużej odległości i fuksy. Wiedziałam z góry, że tej nie przepuści.

- Cały czas nagrywaj - powiedział. - Może powinnaś mieć przypięty mikrofon.

- Nie da się. Będę w wieczorowej sukni z wieloma wycięciami.

- Uda ci się ukryć gdzieś kamerę?

- Nie bądź śmieszny. Wystarczy magnetofon. Zostaw to mnie.

- Wiem, że to wyrzucone pieniądze - stwierdził patrząc z nienawiścią na swój notes do bazgrania.

- Być może.

- Radzę ci jednak wykorzystać sytuację, Micky. Zapomnij o swych dziewiczych zahamowaniach. Nie oszczędzaj się.

- Nie oszczędzaj się - powtórzył po nim Jeff z uśmiechem.

- Łajdak - rzuciłam do Aluna. Powiedziałam to bez złości.

Część druga

Achilles i Patroklos

Rozdział pierwszy

Vincent Scarpia Savage przyszedł na świat rankiem dwunastego listopada tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku w Uroczysku. Jolanda wprawdzie wolałaby powić dziecko w prywatnej klinice pośród licznych bukietów kwiatów i kart z życzeniami, ale John Savage nalegał, by syn - że będzie to syn, nie wątpił - urodził się w domu rodzinnym, w którym miał dorastać, a w końcu go odziedziczyć, podobnie jak jego ojciec, dziadek i inni przodkowie w wielkim wyborze, którzy tu się rodzili i dorastali. Obiecał, że sprowadzi do niej lekarzy, pielęgniarki i kogo tylko zechce, więc ustąpiła. Bardzo się kochali i ustępowanie mu wciąż miało dla niej urok. Z jej późniejszych opowiadań wynikało, że wszystko odbyło się jak w operze: przyszedł ojciec miotał się po korytarzach wydając urywanym głosem polecenia, których nikt nie słuchał, ona zaś, na pierwszym planie, podtrzymywana przez dwóch lekarzy, tenora i barytona, oraz chór złożony z pielęgniarek, położnych i Bóg wie kogo jeszcze, rodziła. Gdy nad ranem dziecko przyszło na świat, odśpiewała triumfalnie arię *All'alba vincerô!**

Fama głosiła, że stąd właśnie wzięło się jego imię, Vincent. Jolanda opowiadała tę historię tak często, że z czasem przyjście Vincenta na świat nabrało cech legendy, a bardziej przyziemne szczegóły tego aktu zostały przez wszystkich wtajemniczonych posłusznie wymazane z pamięci.

Niemowlę okazało się przeciętnym okazem, nie za dużym, nie za małym, kompletnie łysym, za to okropnie wrzeszczącym, zdolnym przekrzyczeć z dziesięć arii. Nad okrągłymi jędrnymi policzkami miało wąskie szparki z wciśniętymi w nie oczyma, a za usta służył

* *All'alba vincerô!* (wł.) - **O świcie zwyciężył! (przyp. tłum.).**

mu okrągły otwór, z którego wydobywał się ów nieproporcjonalny do niemowlęcych strun głosowych wrzask. Było czerwone niczym pomidor ze złości, że wyciągnięto je z przytulnej macicy na ten ogromny obcy świat, gdzie powietrze siłą wdzierało się w płuca i jakieś istoty z wytrzeszczonymi oczyma pochylały się nad nim idiotycznie cmokając. Umyto je z miłego gąbczastego śluzu, przez co poczuło się nienaturalnie nagie i czyste, zawinięto w szal, by uniemożliwić kopanie prześladowców, po czym podano rodzicom tak, jak się podaje na przyjęciu główne danie. Gdy ogromny ojcowski paluch dotknął wnętrza jego dłoni, zacisnęło wokół niego swe silne giętkie paluszki. John Savage, którego normalne opanowanie zostało poważnie zachwiane przeżyciami związanymi z zostaniem ojcem, poczuł ten uścisk w sercu.

- Ma mocny zdrowy głos - stwierdził starszy i grubszy z lekarzy, baryton w wersji zdarzeń podanej przez Jolandę. - Po mamie. Geny gwiazdy operowej.

- Bzdura - obruszył się John. Miotając się między wielkim wzruszeniem a pragnieniem zachowania powściągliwości, na przemian promieniał i przybierał groźną minę, ale obecni w pokoju byli zanadto zajęci dzieckiem, by to zauważyć.

Spokój zapanował dopiero wtedy, kiedy Jolanda, zwolenniczka naturalnego karmienia, przystawiła nowego syna i spadkobiercę do obnażonej piersi. Działo się to jeszcze przed jej słynną dietą i wzmiankowana pierś była ogromnym kremowozłotym zjawiskiem z ciemnym, wielkim jak śliwka sutkiem. Vincent w mig pojął zasadę jej działania i w akompaniamencie głośnego cmokania zaczął łapczywie ssać. Jolanda zaśpiewała jękliwie, lekarze uśmiechnęli się od ucha do ucha, chór zaćwierkał i zaświergotał. Zbyteczny w tym towarzystwie ojciec, wciąż zakłopotany swym wzruszeniem, zrej-terował do drugiego pokoju, gdzie nalał sobie dużą szklanekę whisky.

W tym wczesnym okresie Vincent był wykapanym synem Jolandy. Potrafił postawić na nogi cały dom, mimo że pokój dziecięcy przeniesiono na samą górę zachodniego skrzydła. Jego skóra, kiedy nie czerwieniała ze złości, żarłoczności czy niestrawności, miała ciepły złotawy odcień, a pierwsze pierzaste włoski, które wykiełkowały na jego łysej czasce, były czarne jak noc. Baraszkował na pulchnym ciele matki niby na stosie poduszek. John, jak przystało mężczyźnie dbającemu o zachowanie autorytetu, wyszcze kiwał rozmaite zakazy, stwierdziwszy jednak, że nikt ich nie przestrzega,

przyłączał się do zabawy, odsuwając zaprowadzenie dyscypliny w domu na odpowiedniejszą chwilę. Czytelne podobieństwo syna do Jolandy wprawiało go w zachwyty. Vincent od początku był ciekawy świata, nienasycony i odważny. Odbywał na czworakach długie wyprawy krajoznawcze, dzielnie pokonując wszelkie przeszkody na swej drodze, wpychając do buzi wszystko, co wydawało się jadalne. Pewnego razu dał wyraz swej niesłuchanej pomysłowości, ściągając na kuchenny stołek drabinę, by następnie wspiąć się do suszarki na naczynia i zrzucić na kamienną podłogę komplet eleganckich talerzy, co oczywiście nie wyszło im na dobre. John zastanawiał się później, czemu ten idiotyczny i niszczyielski wyczyn syna wbił go niemal w dumę.

Ale to właśnie za sprawą Vincenta ich małżeństwo zaczęło się psuć. John kochał te cechy Jolandy, które teoretycznie nie powinny mu się podobać. Nie miała w sobie nic z Angielki - była wieśniaczką, żywym, spontanicznym dzieckiem, które szalało z żalu, gdy róża uroniła płatek, a równocześnie nie przejmowało się prawdziwymi nieszczęściami. Ulegała swym humorom nie dbając o zachowanie godności czy o spokój bliźnich. John widział w niej niedoroślą, wzruszająco nieodpowiedzialną istotę, która potrzebowała męskiej rady i ramienia. Ale wraz z przyjściem na świat Vincenta Jolanda zyskała nie tyle dziecko, co towarzysza zabaw, sprzymierzeńca swych nastrojów, kumpla, z którym wspólnie spiskowała przeciw domowym porządkom. Vincent z niemowlęcia rychło stał się berbeciem. Jego niebieskie oczy nabrały zielonej barwy, głowa porosła czarnymi gęstymi kędziorami, których Jolanda nie pozwalała nikomu obcinać. Bawiła się z nim, pieściła go i psuła, spełniając jego każdą zachciankę. Niania, która odważyła się dać mu klapsa, została z miejsca oddalona, inna, która usiłowała wprowadzić regularny tryb życia, wymówiła sama, będąc na granicy załamania nerwowego. Jolanda potrafiła niespodziewanie wtargnąć do pokoju dziecięcego i porwać Vincenta bez względu na to, czy akurat jadł śniadanie, kolację, czy odbywał popołudniową drzemkę. Któregoś razu wyciągnęła go z wanny i gołego, ociekającego wodą zniosła do salonu, by ożywić nudne przyjęcie koktajlowe. Zabierała go z sobą do Londynu na zakupy u Harrodsa i na śniadania z producentami, na których długo i namiętnie dyskutowano o jej ewentualnym powrocie na scenę.

- Vincente musi być w teatrze, gdy śpiewam - oświadczyła kiedyś. - Będzie miał łóżę wyłącznie do swojej dyspozycji. Vincente jest moim natchnieniem.

Usłyszawszy to producenci, niby przyzwyczajeni do humorów gwiazd, zbledli, a w domu John, czując, na co się zanoszą, uznał za stosowne wygłosić kazanie.

- Kiedy za mnie wychodziłaś, obiecałaś, że rzucisz operę - przypomniał żonie. - Mówiłaś, że właśnie tego pragniesz.

- I bardziej szorstko: - Mój syn nie urodził się w garderobie teatralnej.

Czasem podejrzewał, że Jolanda burzy ich porządek domowy nie pod wpływem impulsu, ale złośliwie i z premedytacją. Każda nowa niania była wrogiem, a matka i dziecko natychmiast zawiązywali przeciwko niej spisek. Gdy John wygarnął Jolandzie, co o tym myśli, skruszona załżała się łzami, które poruszyły go do głębi. Ale kiedy indziej z błyskiem matczynego gniewu w rozognionych oczach zarzuciła mu, że chce zabić w synu naturalną uczuciowość i z ciepłego kochającego włoskiego *bambino* zrobić zimnego, zahamowanego angielskiego chłopca o nienaganych manierach, za to zupełnie bez serca. John niekiedy bardziej dla zasady niż ze złości wymierzał klapsa Vincentowi, ten zaś upokorzony i wściekły wrzeszczał przez godzinę co sił w jego operowych płucach. Kiedy w końcu pięćdziesiątego trzeciego roku do Ridpath wróciła Elizabeth Savage ze swym jakże innym synem, małżeństwo Johna i Jolandy odpowiadało bliżej opisowi wojny niż romantycznej idylli, jaką niegdyś okrzyknęły je gazety.

Wszyscy naturalnie przyjęli, że chłopcy będą się bawić razem. Dla dorosłych było oczywiste, że skoro są kuzynami tej samej płci, prawie tego samego wzrostu i niemal w tym samym wieku, automatycznie się ze sobą zaprzyjaźnią. Dla dorosłych, ale nie dla Vincenta i Richarda. Żaden z nich do tej pory nie bawił się z rówieśnikami. Vincent, pół roku starszy i na własnym terytorium, uznał się za ważniejszego; świadomy swej przewagi przyjął wojowniczą postawę i zazdrośnie strzegł zabawek, którymi prawie nigdy się nie bawił. Richard, normalnie miły, pogodny chłopiec, czuł się nieco zbity z tropu przez nieznane otoczenie i wrogość nowego kuzyna. Porzuceni przez tych, którzy zwykle zapewniali ich o swej miłości, chodzili w kółko po arenie pokoju dziecięcego niczym miniaturowi gladiatorzy i nie spuszczaali się wzajemnie z oczu. Wreszcie Richard nie wytrzymał napięcia i schwycił jakiś samochodzik. Gdy Vincent mu go wyrwał, Richard natychmiast sięgnął po inny. Nastąpiła.

krótka seria ciosów, nie zauważona przez nianię zajęta porządkowaniem szafy w drugim końcu pokoju. Richard, choć nie miał dotąd okazji walczyć, oddał Vincentowi, który wprawdzie narozdawał w życiu niemało ciosów, sam jednak nigdy nie oberwał (klapsy ojca należały do innej kategorii). Pomny, że pozbawieni charakteru dorośli byli bardzo wrażliwi na decybele, otworzył usta do wrzasku, ale spojrzawszy na Richarda prędko je zamknął. Jego rywal nie krzyczał. Przez minutę czy dwie mierzyli się wzrokiem, po czym rzucili się na siebie z pięściami. Przerażona niania skoczyła, by ich rozdzielić, zaalarmowane hałasem matki przybiegły na górę, nastąpiło wzajemne obwinianie się.

- Richard jest spokojnym, dobrze wychowanym chłopcem. Nigdy w życiu nie uderzył żadnego dziecka!

- Vincente! *Poverino*! Czy ten okropny *cattivaccio* zrobił ci krzywdę?

John, który przybył ostatni, zachował zimną krew.

- Chłopcy zawsze walczą - stwierdził. - To normalne. Nie wtrącajcie się.

Ale matki, tulące swe pociechy do drżących łon, nie zamierzały więcej ryzykować. Elizabeth odwróciła się, by z godnością zejść ze sceny. Vincent, siłą rozdzielony ze swym przeciwnikiem, pozostawiony na polu, poczuł nie tryumf, lecz zawód, i nagle pojął, że żadna zabawka nie zastąpi mu Richarda. Uznał, że nadeszła odpowiednia chwila, by ryknąć, więc ryknął, głośno i kategorycznie, co sprawiło, że wszyscy znieruchomieli. Wtedy wyrwał się ze słabnącego uścisku Jolandy i podbiegł do Elizabeth.

- Chcę, żeby wrócił - oświadczył. - I żeby się ze mną bawił. *Giochiamo. Giochiamo* *.

Było to ulubione słowo jego matki. Elizabeth nie wyglądała na przekonaną.

- Mówiłem wam, żebyście się nie wtrącały - stwierdził John z satysfakcją.

Elizabeth niechętnie postawiła Richarda na podłodze. Vincent wziął go za rękę i zaprowadził do kąta, gdzie z dala od nieznośnych dorosłych mogli sami ustalić sobie kolejność dziobania.

- Jeśli tylko nie robią sobie wielkiej krzywdy, lepiej zostawić ich w spokoju - rzekł John do niani.

* ***Giochiamo. Giochiamo* (wł.) - Bawmy się. Bawmy (przyp. tłum.).**

Choć cała trójka rodziców zachęcała chłopców do zażyłości, jaka się następnie między nimi zawiązała, tylko John patrzył na nią przychylnie. Elizabeth twierdziła, mając do pewnego stopnia rację, że Vincent namawia jej syna do psot; Jolanda niezmiennie całą winą obarczała Richarda. Prawda była taka, że chociaż Vincent niewątpliwie przewodził, nie musiał Richarda do niczego długo namawiać. Gąszcz rzeźbionych mebli dębowych w Uroczysku, poroża i tajemnicze obrazy, niezliczone kryjówki, łatwe do uszkodzenia ozdoby dawały o wiele więcej możliwości przeżycia przygody niż dom w Newcastle, w którym Richard żył przedtem. Do tego ogród, gdzie brudzili ubrania, łapali robaki i żuki, nie mówiąc o zarazkach. Elizabeth wynajmowała mieszkanie w miasteczku, ale Richard większość dnia spędzał pod okiem niani Vincenta, by matka mogła szyć, a właściwie partaczyć poszewki i zasłony i dorabiać w ten sposób do skromnej pensji, jaką otrzymywała od brata.

- Nie chcę być całkowicie zależna od Johna - mówiła dumnie. Życzliwe sąsiadki podsyłały jej to i owo do przeszycia, by potem

oddać te rzeczy swym gospośm do poprawki.

- Głupia - mówiła o niej Jolanda w chwilach rozdrażnienia. - Od czego jest rodzina, jak nie od tego, żeby człowiekowi pomóc? Ona po prostu lubi robić z siebie męczennicę.

Na ogół jednak tym dwóm kobietom udawało się współżyć w miarę zgodnie. Starły się nie ujawniać swych uczuć - Elizabeth głębokiej dezaprobaty, Jolanda lekkiej wzgardy - a całą uwagę kierowały na chłopców.

W tym czasie Jolanda odnosiła się z większą rezerwą do Elizabeth niż do jej syna.

- Chłopiec jest brzydki, ale ładnie się uśmiecha - mówiła upewniwszy się, że Richard tego nie słyszy.

Richard brzydki nie był, tyle że przy Vincencie wypadał dość zwyczajnie - ot, chłopiec jakich wielu, o nosie jak kartofel i grubych rysach zdradzających gminne pochodzenie. Kiedy jednak się nad czymś skupiał i marszczył czoło, jego brwi schodziły się ze sobą, a po chwili strzelały w górę, okrągłe oczy zapalały się jak u diabełka, na twarz zaś wpływał uśmiech - uśmiech, któremu nawet Jolanda nie potrafiła się oprzeć. Ten uśmiech miał mu być bardzo przydatny przez całe życie.

Nader delikatną kwestią było obcinanie dzieciom włosów. Elizabeth miała na tym punkcie takiego samego bzika jak Jolanda, tylko wyniki inne. Zabiegu dokonywała osobiście, traktując go jako wyraz

matczynej miłości, ale że do strzyżenia wykazyła taki sam talent jak do szycia, Richard paradował z nierównymi kosmykami i grzywką z jednej strony zawsze dłuższą. Któregoś dnia Jolanda nie wytrzymała, sięgnęła po nożyczki i jednym niedbałym ciachnięciem wyrównała mu grzywkę, co niemal doprowadziło do spięcia między kobietami. Mimo że w takich konfrontacjach Jolanda zwykle była górą, tym razem oddała pole. Upór szwagierki wzbudził w niej szacunek, a będąc sama matką zrozumiała, że złamała pewne niepisane prawo. Przeprosiła, Elizabeth przeprosiny przyjęła i po kilku tygodniach grzywka Richarda wróciła do swego normalnego stanu. Wkrótce jednak macierzyńska łagodność i troskliwość przestały Jolandzie wystarczać. Przypuszczalnie brakowało jej silnych przeżyć Toski i Aidy, ról, w których jej burzliwy temperament znalazłby naturalne ujście. Tak czy owak zaczęła odczuwać coraz silniejszą potrzebę wypełnienia swego życia nie tylko jasnymi uczuciami, takimi jak śmiech, ale także ciemniejszymi - jak zazdrość. Nie mogła już dłużej znieść monotonii życia i szczęśliwego małżeństwa - musiała wybuchnąć. John popełnił błąd podkreślając o jeden raz za dużo, że ma wszystkie powody do zadowolenia. Jolanda, dla której zadowolenie tego rodzaju było przekleństwem, w przypiływie czarnej rozpaczycy zaczęła wrzeszczeć i tłuc bardzo drogą porcelaną, znacznie droższą od tej zbitej niegdyś przez syna. Vincent, któremu udzielał się nastrój matki, stał się trudnym dzieckiem. A kiedy John, chcąc go trochę utemperować, za wzór postawił Richarda, Jolanda znalazła wreszcie powód do pretensji. Zarzuciła Johnowi, że woli siostrzeńca od syna i odtąd wyjeżdżała z tym oskarżeniem, ilekroć zabrakło jej racjonalnych argumentów. Wcieliła się w rolę lwicy chroniącej swe lwiątko i tak uwierzyła we własne fantazje, że zaczęła się czepiać każdego nieopatrznie wypowiedzianego przez Johna słowa. W teatrze byłaby wybitną aktorką, w domu stała się fatalną matką. Elizabeth, która była świadkiem zbyt wielu takich scen, stoicko milczała. Prywatnie nie wierzyła, by rozsądny, inteligentny mężczyzna, za jakiego uważała swego brata, po cichu faworyzował Richarda. Na tym etapie nie czuła jeszcze antypatii do Vincenta, uważała tylko, że jest do gruntu zepsuty. Johnowi, który wobec teatralnego zachowania swej żony nauczył się skrywać swe uczucia, nie przyszło do głowy powiedzieć synowi, że go kocha. Vincent uwierzył więc w wymysł matki i nawet po latach, już jako dorosły syn, żywił do ojca zaszczepiony przez nią w dzieciństwie żal.

Franka Cavalcanti Jolanda poznała w pięćdziesiątym czwartym roku w Londynie na przyjęciu bożonarodzeniowym. Wiosną opuściła dom, męża i syna. Włosko-amerykański impresario, który wpadł na pomysł filmowania oper, odniósł już *succès d'estime* z *Cosifan tutte* i *Czarodziejskim fletem*, a teraz chciał się zmierzyć z tragedią. Do tego celu potrzebna mu była primadonna o wyjątkowym talencie, która miałaby nie tylko głos, ale także zdolności aktorskie i filmową urodę. Wszystkie te warunki spełniała Jolanda. Jej napady złości świadczyły o temperamencie, a zmysłowość należało nieco oskrobać, by uzyskać akceptowaną powszechnie normę urody. Kamera miała dokonać reszty, czyli zrobić odpowiedni użytek z jej olbrzymich zielonych oczu, wystających kości policzkowych, którymi mogła rywalizować z Loren oraz aroganckiego wykrzywienia warg. Cavalcanti wmówił Jolandzie, że małżeństwo ją ogranicza, ona tymczasem powinna pójść za swą gwiazdą, nie dać się zniewolić burżuazyjnej moralności i konwencjonalnej miłości. Wyprzedzając czasy (lata sześćdziesiąte miały dopiero nadejść), Cavalcanti mówił lirycznie o tym, jak to artysta musi odrzucić społeczeństwo i być przez nie odrzuconym, by móc służyć sztuce w stanie całkowitej wolności, nieskrępowany zwyczajami czy zasadami. Jolanda, która rozumiała z tego tylko połowę, łatwo dała się uwieść jego słowom. Cavalcanti z producenta stał się jej guru, jej Svengali * i, co było nieuniknione, kochankiem. Aby nic nie odwracało jej uwagi od sztuki, przetransportował ją do Beverly Hills, gdzie mogła z klasą odrzucić społeczeństwo. Podarował jej meksykańskiego pieska oraz zespół drogich prawników; piesek miał zająć jej uczucia, prawnicy przekonać - po przydługich machinacjach prawnych - że nie wywalczy prawa do opieki nad dzieckiem. Pisała do Vincenta listy, konfiskowane przez Johna, które nie były zwykłą pogawędką matki z synem, lecz listami miłosnymi pełnymi najskrytszych zwierzeń i czułych słówek, szokujących Johna do jego angielskiego szpiku kości.

Vincente, carissimo, strasznie tęsknię za Tobą. Przyrzekam Ci, że wkrótce będziemy razem. Ci przekłęci awocati, którzy gadają tyle o wpływach i nakazach sądowych, nie zdołają nas rozdzielić. Twój ojciec nie może być tak okrutny, tak sadico, by odebrać mi Ciebie na zawsze. Minęło dziewięć miesięcy, nie, dziesięć, od czasu, gdy Cię

*** Svengali - despotyczna postać z powieści George'a du Maurier (przyp. tłum.).**

widziałam i na pewno bardzo wyrosłeś. Usiłuję sobie Ciebie wyobrazić, kochany, kochany chłopczyku, wyobrazić sobie, że trzymam Cię w ramionach. Zeszłej nocy przyśniło mi się, że ta stupida Elizabeth obcięła twoje śliczne włosy. Obudziłam się i płakałam, i płakałam. Franco nie rozumiał dlaczego...

Franco rozumiał, i to aż za dobrze. Uznawszy eksperyment z pieskiem za nieudany, ułożył jej taki rozkład zajęć, zorganizował tyle spotkań, by nie miała czasu na sny. Jolanda, nie będąc w stanie przestrzegać diety, zdecydowała się w końcu połknąć tasiemca. Zjadana przez tasiemca, wysysana przez swe zagubione ego, stała się niebawem nieprawdopodobnie szczupłą istotą, bezbronną, a równocześnie niebezpieczną, o ogromnych oczach, które potrafiły wyrazić dowolne uczucie, i głosie, który wstrząsał światem. Na scenie świeciła jak spadająca gwiazda, zmierzająca do samounicestwienia. Kinomani, którzy o Puccinim nie słyszeli, zakochiwali się w niej na zabój, gazety nazywały ją aniołem lub potworem w zależności od redakcyjnej idiosynkrazji. Wróciła do Włoch, by wystąpić w La Scali. W noc poprzedzającą występ nie była w stanie spać, bo gwałtownie zachorowała. Rano udała się do Duomo, uklękła w cieniu wiecznych sklepień, by pomodlić się do Boga, z którym często traciła kontakt. Tamtego wieczora, kiedy wielbiciel Callas zaczęli rzucać w nią zgniłymi pomidorami, Jolanda sięgnęła do przygotowanego naczynia i zaczęła rzucać pomidorami w widownię. Widownia złożona z arcykrytycznych znawców opery z miejsca przyjęła ją do swego zbiorczego serca. Występ zmienił się w tryumf, Jolanda zaś przeszła do nieśmiertelności. Frank Cavalcanti miał powody, by czuć się zadowolonym ze swego dzieła, nim je porzucił.

Zanim Jolanda opuściła Uroczysko, między nią a nową nianią doszło do pewnego zbliżenia. „Niania Dixon” brzmiał jej oficjalny tytuł, ale chłopcy przewali ją Dixy i tak się przyjęło. Dixy jakoś nie odeszła. Była młodą, zwyczajną, niezbyt pewną siebie osobą z rodzaju tych, które porozumiewają się lepiej z dziećmi niż z dorosłymi. Nikt jej nie uprzedził, że pracodawczyni jest bazyliżkiem w ludzkiej skórze, Jolanda zaś, wahając się między ucieczką a zostaniem, miała głowę zbyt zaprzątniętą własnymi problemami, by ją terroryzować czy knuć przeciw niej. Dixy była oczarowana jej egzotyczną urodą i przyływami serdeczności okazywanej jakby w roztargnieniu. Tamtej nocy przed ucieczką Jolanda poszła do pokoju dziecięcego. Gdyby wcześniej potraktowała nową nianię niesprawiedliwie i nie-

uprzejmie, to pod wpływem silnej potrzeby i tak by o tym zapomniała. Na szczęście nic takiego się nigdy nie zdarzyło.

- Wyjeżdżam - zakomunikowała. - Ale to tajemnica, więc nic nikomu nie mów. Nie pożegnałam się nawet z Vincentem. Dlatego właśnie muszę cię o coś prosić. Kiedy mnie tu już nie będzie, powiedz mu, że go kocham i że wrócę po niego. Nie wiem kiedy, ale postaram się zrobić to jak najprędzej. Muszę wyjechać, bo wzywa mnie moja sztuka. Zamknięta w klatce nie potrafię śpiewać. Muszę być wolna, muszę śpiewać, ale Vincenta kocham najbardziej na świecie. Powtórz mu to. I że wkrótce będziemy razem. *Fra poco*, powtórz mu to koniecznie. Polegam na tobie, rozumiesz? *Mia cognata* Elizabeth zrobiła z siebie ofiarę i teraz będzie się starała zrobić ofiarę z biednego Johna. Będzie bardzo moralna i bardzo nudna i wmówi mu, że jestem złą kobietą i być może oboje będą próbowali wmówić to Vincentowi. Ale ty powiesz mu prawdę. Wytłumaczysz mu, że go kocham i wkrótce wrócę po niego. Nie zawiedziesz mnie, prawda? Nie możesz mnie zawieść!

Wobec tak rozpaczliwego błagania - i tak wielkiej odpowiedzialności - nieszczęsna dziewczyna poczuła się zupełnie zagubiona. Czy mogła nie ulec Jolandzie? Tym bardziej że tamta wbijała paznokcie w jej chude ramię, a jej biust falował jak ziemia podczas trzęsienia. Ale Johnowi Savage'owi Dixy też winna była lojalność.

- Postaram się - wyjąkała wiedząc, że to nie wystarczy. Jolanda też wiedziała.

- Musisz zrobić więcej, niż tylko się postarać - naciskała. - Ufam ci. Ze względu na mnie i Vincenta nie wolno ci zawieść mojego zaufania. Przysięgnij - tak, na Biblię - przysięgnij, że będziesz opiekowała się moim synem i że codziennie mu powiesz, że go kocham i nie pozwolisz im buntować go przeciwko mnie. Przysięgnij!

W wyposażeniu pokoju dziecięcego była Biblia - skrócona wersja dla dzieci, zawsze jednak Biblia. Dixy, metodystka, religię traktowała nader poważnie. Książka jednak została już jej wetknięta w ręce, które usiłowały się jeszcze przed tym bronić, sztormowa fala podniecenia Jolandy zbiła ją z nóg i nim się spostrzegła, drżącym szeptem powtarzała słowa nic nie znaczącej przysięgi. Za oknami zapadał wieczór, w pokoju paliła się lampka, której światło nie docierało do kątów. Przez całe swoje spokojne życie Dixy nie spotkała się z podobnym tragizmem i nastrojem nadchodzącej katastrofy. Czowała się tak, jakby nagle znalazła się na scenie, nie

znając treści sztuki, zaś słowa, które miała wypowiedzieć, nie pasowały do niej.

Następnego dnia Jolandy już nie było. John, choć odejście żony nie powinno stanowić dla niego zupełnego zaskoczenia, odczuł je jako straszliwy cios. Na dwanaście godzin zamknął się w gabinecie ze swymi myślami i karteczką, którą Jolanda zostawiła za całe wyjaśnienie. W porze kolacji wyszedł z wyrazem niewzruszonego opanowania oraz brakiem apetytu. Elizabeth uściśnęła mu dłoń, co bardzo rzadko robiła, po czym usiedli w milczeniu do stołu. Wniesiono zimnego kurczaka, by zabrać go, gdy jeszcze bardziej ostygł; dyżurny kieliszek wina stał nie zauważony przez Johna obok jego talerza. Jolanda przy jedzeniu zwykle bez przerwy mówiła i zapominając co chwila o dobrych manierach brała kości w palce, jak było w zwyczaju na kontynencie. Z kolei, jeśli czuła się przygnębiona lub nieszczęśliwa, nic nie jadła, póki John pochlebstwami nie doprowadził jej z powrotem do stanu, w którym przyjmowała pożywienie. Teraz jej krzesło było puste i nikt nie zakłócał tradycyjnego spokoju czasu kolacji. Elizabeth zamierzała powiedzieć „Wiem, co czujesz” i „To minie” oraz inne banalne słowa pocieszenia, ale zrezygnowała. Bardzo kochała brata.

Następnego rana John ogłosił domownikom swój edykt. Mieli starać się w miarę możliwości nie wspominać o Jolandzie, zwłaszcza w obecności chłopców. Odeszła z własnej nieprzymuszonej woli, porzucając męża, choć ślubowała mu przed Bogiem miłość i szacunek, oraz syna, którego miała obowiązek kochać. Wybrała sztuczny blichtr teatru (John nie słyszał o filmach Cavalcatego) i uroki życia sprośnej cudzoziemskiej rozpustnicy. Nie był w stanie wymazać jej z pamięci ani pewnie z serca, ale potrafił dopilnować, by jej zły wpływ nie przeszkadzał więcej w wychowaniu jego spadkobiercy. W następnych latach będzie go oblewał zimny pot na myśl, że kiedyś zachwycał się widząc w dziecku cechy Jolandy. Jej naiwność, brak rozwagi, łakomy apetyt na życie - pozornie nieszkodliwe cechy przekształciły się, niestety, w słabość charakteru, która, nie przezwyciężona, musi doprowadzić do jakiegoś nieszczęścia. Nawet gdy w kamiennej masce dorosłego syna trudno było się dopatrzeć zdradliwego ducha Jolandy, John starał się uchwycić błysk jej spojrzenia, echo jej głosu.

Jolanda odcisnęła na domu zbyt głębokie piętno, by można było łatwo wymazać ją z pamięci; przez długi czas ponura atmosfera

Uroczyska wydawała się nosić ślad jej obecności, podobny do smaku cytryny w ciężkim cieście. Dixy, miotając się między okropną przysięgą a wyrzutami sumienia w stosunku do pracodawcy, widziała Jolandę dosłownie wszędzie. A kiedy kładła się spać, pełne wyrzutu oczy patrzyły na nią z ciemności. Raz była to grzeszna Furia, kiedy indziej szlochająca nieszczęśliwa istota, której głos docierał do niej we śnie. „Powiedz Vincentowi, że go kocham... wkrótce po niego przyjadę... powiedz Vincentowi... wkrótce, wkrótce...” Gdy słowa cichły, Dixy czuła się okropnie. Bóg, jej jedyny Bóg, który był świadkiem przysięgi, stał w tle i wymachiwał Biblią dla dzieci. Chwilami biednej dziewczynie wydawało się, że nie położyła ręki na Biblii, lecz złożyła podpis własną krwią.

W końcu zapukała do gabinetu Johna. Kiedy zgłosiła swą rezygnację, po czym zalała się wielkimi łzami i wyznała, że była w Uroczysku jak nigdzie szczęśliwa i bardzo lubi obu chłopców, John wziął ją na spytki i słowo po słowie wyciągnął z niej całą historię. Biorąc na siebie rolę Boga - rolę, którą od tego czasu miał grać ciągle z niewielkimi przerwami - zwolnił Dixy z przysięgi, oczyścił jej sumienie z wyrzutów, uwalniając ją za jednym zamachem od wszelkich niepokojów. Powiedział, że Jolanda ją wykorzystała, zmusiła do złożenia przysięgi, ale niech już o tym nie myśli. Co zaś do jej rezygnacji, to nie ma o czym mówić. Wkrótce sprowadzi się tu Elizabeth z Richardem, ale jego siostra sama nie da sobie rady. Mimo że Dixy jest z nimi zaledwie kilka tygodni, dzieci już się do niej przywiązały. Teraz potrzebują jej bardziej niż kiedykolwiek. Jak zresztą wszyscy w tym domu. O jej odejściu nie może być mowy. Lepiej niech wytrze oczy i porozmawia z kucharką o kolacji dla dzieci. Kucharka jest w złym nastroju, więc trzeba to zrobić taktownie.

Wyspowiadawszy się i otrzymawszy rozgrzeszenie w stylu bardziej katolickim niż metodystycznym, Dixy odeszła szczęśliwa. Wymówki Jolandy miały jeszcze długo nękać ją we śnie, ale ufała Johnowi. Raz czy dwa Jolanda napisała do niej histeryczny list, w którym w jednym zdaniu oskarżała ją o zdradę, a w następnym błagała o pomoc. Listy te John przechwytywał, rozpoznając je po charakterze pisma. To przypominanie Dixy o nie spełnionej obietnicy przypieczętowało jego decyzję: Jolandzie nie wolno zbliżyć się do syna. Zachowała się haniebnie wciągając niewinną Dixy w swe machinacje. Jego prawnicy wykorzystali potem te listy do udowodnienia sądowi, że Jolanda jest psychicznie niezrównoważona i dlatego należy odseparować ją od

wrażliwego dziecka. Co zaś do Jolandy, to nawet jako stara kobieta pamiętała, że Dixy zawiodła jej zaufanie, i posyłała jej duszę do piekła.

Dixy została w Uroczysku aż do czasu, gdy chłopcy skończyli trzynaście lat i poszli do Gordonstoun. Roztaczała ciepło, które wypierało stopniowo blednące wspomnienie o matce. W każdym razie w świadomości Vincenta. Ale kilka miesięcy przed jej odejściem podsłuchał rozmowę ojca z ciotką - naradzali się nad referencjami dla Dixy - w której wypłynęła znów sprawa nieszczęsnej przysięgi. John chwalił Dixy za jej lojalność, Elizabeth kipiała oburzeniem na Jolandę. Nie zauważyli Vincenta stojącego w ciemnym kącie, w które Uroczysko obfitowało. Wysłuchał ich rozmowy w milczeniu i w milczeniu odszedł. Nie wszystko było dla niego jasne, zrozumiał jednak, że Dixy obiecała coś jego matce - coś bardzo ważnego - i obietnicy tej nie dotrzymała. Ciepłe miejsce, jakie miał dla niej w sercu, w jednej chwili zrobiło się zimne.

Rozdział drugi

Kiedy matka odeszła, Vincent miał cztery i pół roku. Był za mały, by długo ją pamiętać, a jego charakter - jak sądził optymistycznie ojciec - nie został jeszcze ostatecznie uformowany. Po latach Vincent powie, że choć nie zachował wspomnienia twarzy matki, zapamiętał rozmaite szczegóły, jak jej uśmiech, od którego w pokoju robiło się jaśniej; łzy kapiące rzęsście; szeroką gamę śmiechu - od kontraltu po sopran; woń perfum z nutką gryzącego w nos drzewa sandałowego i balsamicznej ambry. Kiedy jako dorosły mężczyzna pojechał w końcu się z nią zobaczyć, pierwszą rzeczą, której nie poznał, był zapach jej perfum. Przede wszystkim jednak zapamiętał wrażenie ciepła, jakim emanowała - niespożycie żywotna, serdeczna, urocza, niezwykła. Potem tego ciepła nic nie zastąpiło. John, który z dnia na dzień stał się jeszcze bardziej srogi i przestał w ogóle bawić się z synem, ani przedtem, ani potem ciepła nie roztaczał. Elizabeth była autorytatywna, skrupulatnie sprawiedliwa, czasem nawet miła, ale chłodna, zaś promyczek Dixy świecił zbyt nikło, by rozjaśnić mrok duszy Vincenta. Kiedy pojął, że Jolanda naprawdę odeszła, przestał się awanturować. Przez kilka dni prawie nie jadł i zupełnie nic nie mówił, w nocy zaś chodził boso z pokoju do pokoju i suchymi oczyma patrzył na miejsca, gdzie normalnie powinna być jego matka. Wezwany do niego miejscowy lekarz, jak to lekarz, narobił dużo wrzawy, ale Elizabeth starała się pocieszyć Johna, powtarzając mu raz po raz: - To nie twoja wina. Ty nic na to nie poradzisz. Daj mu trochę czasu. Richard, zbyt młody, by pojąć, co się dzieje, zdał się na instynkt. Towarzyszył kuzynowi w jego bezowocnych poszukiwaniach, trzymając się zawsze trochę z tyłu, a gdy Vincent z niezrozumiałego

powodu odpływał myślami, pociągał go za rękaw. Boksował, kopał i próbował się z nim po przyjacielsku szamotać, podbierał mu jego ulubione zabawki, chcąc sprowokować go do gniewu. Uparcie błaznował, jak krnąbrne dziecko, które nie chce przyjąć do wiadomości, że zabawa skończona. Dzięki jego uporowi Vincent wrócił stopniowo do rzeczywistości i w następnych latach, jeśli kogoś kochał, to tylko Richarda i jemu jednemu wierzył bez zastrzeżeń. John nie potrafił stwierdzić, w jakim stopniu na zmiany, jakie się dokonały w Vincencie, wpłynęło odejście matki, a na ile były one uwarunkowane po prostu dorastaniem. W każdym razie humory się skończyły. Owszem, zdarzało się, że Vincent wpadał w złość, że nie potrafił zapanować nad sobą, ale było to wynikiem zdenerwowania, a nie rozkapryślenia. Zresztą wobec dezaprobaty Elizabeth i rodzącego się Obłądu Johna coraz częściej zagryzał zęby i milczał. W przeszłości tak samo jak matka dawał się ponieść wszelkim emocjom; teraz zawinał je w papier, zakorkował w butelce. Nauczył się trzymać swe uczucia na wodzy. Dyscyplinę narzuconą przez dom wzmocniła szkoła. Nie dzielił się z nikim swymi myślami; ukrywał je, bo był w nich głuchy bunt. Nikt nie wiedział, czy myślał

0 Jolandzie.

W szkole jego złość znalazła ujście w sporcie. Gordonstoun idealnie się dla niego nadawało, gdyż oferowało mnóstwo zajęć dla wzmocnienia ciała. I o ile za pobicie kolegi z klasy bez powodu groziła surowa kara, o tyle grając w rugby mógł tłuc swych przeciwników bez żadnej przyczyny i nikt mu nie miał tego za złe, zwłaszcza jeśli przy okazji zdobył piłkę. Nie nadawał się do kolektywnego działania, więc uczyniono go kapitanem drużyny. I póki koledzy go słuchali, póty wygrywali. Lubił wygrywać, bo o to w końcu szło, a nie dlatego, że miał duszę sportowca. Nawet jeśli czuł zwycięską euforię, to skrywał ją jak inne uczucia za narzuconą sobie małomównością. Pewnego razu, kiedy ojciec przyjechał do niego w odwiedziny, Vincent posunął się do tego, że po meczu pobiegł za nim. John, choć dostrzegł roziskrzoną dumą oczy syna, nie omieszkał skrytykować gry jego drużyny, która sport dżentelmenów przeobraziła, jak się wyraził, w bójkę chuliganów ze slumsów. Błysk w oku Vincenta zgasł. Odwrócił się na pięcie i odszedł.

- Wuj John nie chciał nic złego - usiłował ratować sytuację Richard, który był świadkiem zajścia - on po prostu nigdy nikogo nie chwali. Całe ich pokolenie jest takie. „Ach ta dzisiejsza młodzież!

My byliśmy zupełnie inni. Ci młodzi pojęcia nie mają, na czym polega prawdziwa gra" - zakończył basem. Zart Richarda jednak Vincenta nie rozśmieszył.

- Mam gdzieś prawdziwą grę - warknął.

John tymczasem rozmawiał z Piersem Percivalem, który przyjechał z nim, żeby rzucić okiem na swego syna chrzestnego, co czynił nader rzadko.

- Być może byłem dla niego za srogi - przyznał. - Z drugiej strony, nie mogę pozwolić, by wyrósł na chuligana.

Celem sportu uprawianego w szkole jest przyswojenie zasad honorowego współzawodnictwa, pojęcia koleżeństwa i *esprit de corps*. Cała koncepcja gry Vincenta sprowadza się do wysłania przeciwników na oddział intensywnej terapii. Trener powinien wymagać od nich większego opanowania. Boję się, czy...

- Boisz się, czy Vincent nie wrodził się w matkę. - Pierś dokończył nie wypowiedziane zdanie z pewnego rodzaju eleganckim namysłem. - Czy to tak źle? Gorzej, gdyby wdał się w was oboje. Istnieją takie substancje - w tej chwili nie pamiętam ich nazwy

- które same w sobie są względnie nieszkodliwe, za to po zmieszaniu stają się bardzo wybuchowe. - I po chwili dodał jakby bez związku:

- Jesteś okropnym głupcem, John. Zawsze byłeś. Nie powinienem był poznać was ze sobą.

- Przyznaję, że gdy szło o nią, byłem głupcem. Może gdybym był bardziej stanowczy... W każdym razie nie chciałbym popełnić tych samych błędów w stosunku do syna.

- Dlatego popełniasz inne. - Pierś zaryzykował uwagę, na którą mógł sobie pozwolić tylko stary przyjaciel.

John puścił ją mimo uszu.

- Vincent jest człowiekiem, nie związkiem chemicznym.

- Każdy człowiek jest związkiem chemicznym - zauważył Pierś.

- Ni mniej, ni więcej.

John nic nie odpowiedział, a Pierś na chwilę się zadumał.

- To śliczny chłopiec - przerwał w końcu ciszę.

- Dość ładny.

- Richard nie jest taki przystojny, ale pasują do siebie. Achilles i Patroklos. Chyba są bardzo zżyci. Wychowani razem, chodzą do tej samej szkoły... to było nie do uniknięcia.

John mimowolnie się zaczerwienił.

- O Boże, nie sądzisz chyba...

Piersowi zrobiło się go żal.

- Nie, nie sądzę - zaprzeczył stanowczo.

- Gdybym choć przez jedną chwilę pomyślał...

- Powiedziałem: nie - rzekł Piers. - To się skończy, kiedy na horyzoncie pojawi się odpowiednia kobieta. Lub nieodpowiednia. Wolałbym, żebyś kończył zdania, stary. Znudziła mi się ta czkawka.

Nie zauważywszy przygany John kontynuował spokojnie:

- Zawsze mnie cieszyło, że chłopcy tak się ze sobą zgadzają. Vincent nie ma wielu przyjaciół, jeśli w ogóle ich ma. Uważam, że Richard ma na niego dobry wpływ.

- Richard - zaczął Piers zastanawiając się nad doborem słów - jest tak zwanym miłym chłopcem. Niewątpliwie będzie coraz miłszy. Jest koleżeński i ma *esprit de corps*, który tak lubisz. Zdaje się, że jest zdolny, ale na sztukę nie traci czasu. Przyłapano go na przedrzeźnianiu nauczyciela i na... jakby to powiedzieć... chłopięcych wybrykach. Chłopcy na pewno go lubią, a później będą lubiły go dziewczęta. Obawiam się jednak, że nie jest w moim typie. Oczywiście w czysto duchowym sensie. Nie wyobrażam sobie, żebyśmy mieli sobie wiele do powiedzenia.

- Jest twoim synem chrzestnym - przypomniał mu John.

- Dlatego tu przyjechałem. Czuję ciężącą na mnie odpowiedzialność, a poza tym chciałem ci sprawić przyjemność. A także twojej siostrze. Zawsze miałem do niej słabość. Powinna być królową. Jej poczucie obowiązku jest niewspółmierne do jej obowiązków. Gdy była dziewczyną, była wzruszająco poważna. Sympatia, jaką czuję do was obojga, nie wywołuje we mnie jednak sentymentu do młodego Richarda. A co do Vincenta, to jeśli chcesz poznać moje zdanie...

- Nie chcę - zapewnił go John.

- Mimo to je poznasz. Otóż Vincent moim zdaniem jest zanadto opanowany jak na swój wiek. Milczy, kiedy powinien wybuchnąć, trzyma się z boku, nawet w towarzystwie Patroklosa. On wam - tobie i innym ludziom - sprawi jeszcze dużo kłopotu. Najpierw będzie się dąsał w swym namiocie, a zaraz potem zabije pocziwego Hektora. Dobry wpływ Richarda spłynie po nim jak woda po przysłowiowej kaczce.

- Powiedz mi, że nie ma na to rady - rzekł John.

- Nie ma na to rady - stwierdził posłusznie Piers.

Vincent nie dąsał się jeszcze w swoim namiocie. W Gordonstoun

nie miał na to czasu. Kiedy nie grał w rugby i nie masakrował drużyny przeciwnika, uprawiał lekkoatletykę, grał w tenisa, krykieta, wspinał się na skały, brał udział w biegu na orientację. Ale nawet gdy grał w tenisa, którego uważał za grę dla dziewcząt, i w krykieta, który podobno go usypiał, walił w piłkę zajadle, czym zdobył sobie opinię zawodnika o atomowym serwie. Na naukę poświęcał resztę czasu, którego nie pozostawało mu zbyt wiele, ale dostawał dobre stopnie. To jeszcze bardziej niepokoiło jego ojca. Dowiadując się z cokwartalnych sprawozdań nauczycieli o nadzwyczajnych uzdolnieniach Vincenta

i jego kłopotach ze skupieniem uwagi, John marszczył czoło. Żaden Savage nie wyróżniał się w szkole; zadowalali się jaką taką znajomością przedmiotu i ograniczonymi zdolnościami, mniej więcej tak jak Richard. Ponieważ Jolanda inteligencją zanadto nie grzeszyła, szkolnych osiągnięć Vincenta nie dawało się złożyć na karb genów odziedziczonych po niej. W grę mogła wchodzić tylko mutacja, w którą John niezbyt wierzył. On sam był dobrym studentem, powyżej średniej, ale nie wyjątkowym; przygotowanie się do egzaminu kosztowało go zawsze sporo pracy. W Oxfordzie grał w rugby według ścisłych sportowych zasad. Nie był, uchowaj Boże, zazdrosny o zdolności syna. Owszem, chciał być z niego dumny, stać wyprostowany między innymi, mniej uprzywilejowanymi rodzicami i przyjmować ich gratulacje z udanym zakłopotaniem. Lecz ilekroć próbował pochwalić Vincenta, słowa nie przechodziły mu przez gardło i gdyby wtedy komuś przyszło do głowy pogratulować mu, byłby prawdziwie zażenowany.

Richard nie miał w sobie nic z bezkrytycznego Patroklosa. Wzorem Vincenta uprawiał sporty, bardziej i mniej ortodoksyjne, miał trochę własnych pomysłów, rzadko dawał się wyprowadzić z równowagi i nigdy nie tracił głowy. Ze względu na poczucie humoru był bardziej lubiany niż kuzyn, w każdym razie przez kolegów, bo personel szkoły miał inne upodobania. Vincent liczył się tylko z jego opinią wiedząc, że Richard zawsze stanie w jego obronie, nawet gdyby miało mu to nie wyjść na zdrowie.

W pierwszym okresie w Gordonstoun zdarzył się incydent z klasowym osiłkiem. Ktoś puścił plotkę, że Richard jest bękartem, a kilku chłopców uznało to za dobry pretekst, by obrzydzić mu życie. Ich przywódcą był niejaki Flashman - chłopak ze złośliwym uśmieszkiem na stałe przylepionym do głupawej twarzy, cieszący się

reputacją twardziela, opartą zresztą głównie na jego przechwałkach. Miał nie lubiane przez powieściopisarzy rude rzęsy, duże pięści i mały rozum. Bojąc się zdrzeć z Vincentem, który wyglądał na dużego i ostrego, potencjalną ofiarę dojrzał w jego mniejszym, mniej groźnym kuzynie. Przewyższali Richarda liczebnie i wagowo, więc zdążyli poddać go młodzieżowej odmianie tortur, zanim na scenę wkroczył Vincent. W wyniku bójki, która nastąpiła, Flashman zakwalifikował się do separatki, a Vincent został na placu boju z podobitym okiem, rozciętą wargą i sześcioma chwataami. Richard wyrównał porachunki z kolegami i od tej chwili nikt nie próbował się nad nim znęcać. Czasami i Vincenta nachodziła ochota kogoś podręczyć, a ponieważ Richard zawsze stawał po stronie słabszych, dochodziło między nimi na tym tle do konfliktów. Od czasu do czasu zdarzały im się również rękoczynny - bójki niczym nie przypominające ich naparzenia się w dzieciństwie. Vincent walczył nieczysto, Richard zaciekle. Chłopcy obserwowali ich z zapartym tchem, spodziewając się tragedii, ale koniec był zawsze taki sam. Vincent opuszczał pięści, na spuchniętą twarz Richarda wypływał jego zwykły uśmiech, po czym obaj szli gdzieś opatrzyć zadrapania i wymyślić odpowiednią bajkę dla opiekuna w internacie.

- Ale z ciebie sukinsyn - mawiał niekiedy Richard. - Wszyscy tak gadają, a ja to wiem.

- *Va fan culo.* *

Vincent nie pamiętał już prawie nic ze swego dwujęzycznego dzieciństwa, ale nauczył się przeklinać po włosku, z czego był dość dumny.

- Wuj John uważa, że jestem dla ciebie dobrym towarzystwem. Słyszałem, jak mówił to matce. Powiedział, że jestem miłym chłopcem. Ty jesteś przystojny i łebski, a ja miły. Fajne, co?

Vincent uśmiechnął się, pomyślawszy, że z dala od napięć Uroczyska Richard nie musi uciekać się do żartu, by dać wyraz swym kompleksom.

- Co on tam wie - odparł.

Gdy chłopcy mieli po osiemnaście lat, ich drogi się rozeszły. Richard, od dawna zdecydowany na inżynierię lotniczą, poszedł do Imperial College w Londynie. Vincent wybrał Cambridge, ponieważ

* *Va fan culo.* (wł.) - **Idź do dupy (przyp. tłum.).**

ojciec sugerował mu Oxford. Nie zależało mu na kontynuowaniu nauki, ale pomyślał, że życie uniwersyteckie obfituje w rozmaite atrakcje, poza tym dyplom może się w życiu przydać. Wybrał historię niby tylko dlatego, że łatwa, ale jak się zapomniał, zaczynał z ożywieniem rozprawiać o intrygach dworskich Cesare Borgia czy o przemianach Napoleona od korsykańskiego kaprala do obalonego idola. („Z wyspy na wyspę, a po drodze imperium” - dowcipkował.) Kiedyś w czasie wakacji przeczytał *Księcia Machiavellego*; potem, dziesięć lat później, twierdził, że ta lektura odmieniła jego życie. Richard inteligentnie zauważył, że *Księżę* po prostu wskazał mu kierunek, w którym przedtem zmierzał po omacku. Pytany, co chce robić, Vincent odpowiadał niezmiennie: „Pieniądze”. John, sam przedsiębiorca, nie był tym zbudowany. Próbował zaszczepić synowi swoją ideologię, którą były powszechna wolność i ekonomiczne bezpieczeństwo stworzone i gwarantowane przez uczciwy wielki biznes. Jego idealizm Vincent uważał jednak za hipokryzję. „Jesteś bogaty i silny. I tylko to się liczy” - mówił. Ich długie spory działały domownikom na nerwy. John wpadał w rozdrażnienie, nawet gniew. Z zaciętą twarzą i kręgosłupem prostym jak wycior bronił swych zasad przed Vincentem, który był zbuntowany, nieczuły. Patrząc na niego John widział nie odbicie swego uporu, lecz dziwaczne geny Jolandy, które wróciły, by uprzykrzać mu życie. Wielką firmę ubezpieczeniową stworzoną z takim staraniem przez Johna Vincent traktował jako środek do uzyskania pewnego celu; dla Johna była ona celem samym w sobie.

- Służyłem na wojnie - powiedział synowi. - Moi bracia jej nie przeżyli. Wojna uczy, co w życiu jest ważne: zaufanie, honor, poczucie wspólnoty. Żeby każdy człowiek miał dość jedzenia

1 miejsce do spania. Mój osobisty majątek to sprawa przypadku. Wojna uczyniła ze mnie odpowiedzialnego dorosłego człowieka. Ty ciągle jesteś dzieckiem - dla ciebie świat jest pokojem dziecięcym pełnym zabawek, którymi w zależności od kaprysu bawisz się lub walisz o ścianę. Nie znasz niczego poza własnym łakomstwem. Żaden szanujący się biznesmen nie wejdzie z tobą w spółkę.

- Myślisz, że potrzebna mi wojna! - wściekał się później Vincent. Jego słuchaczem był jak zwykle Richard. - Słuchaj, nie wywołałbyś wojny? Bo żeby zostać mężczyzną, muszę najpierw zostać postrzelony i wysadzony w powietrze! Ciągłe bredzi o chrzcie bojowym i o swych towarzyszach z okopów. Razem ze swymi kumplami walczył o lepszy

świat dla nas - tę aseptyczną wyspę na zamulonym morzu - a teraz, proszę ciebie, zabraniają nam w nim żyć. Mamy siedzieć w kojcach i być grzecznymi dziećmi. Całe nasze pokolenie jest skazane na wieczną niedojrzałość z tego tylko powodu, że Anglia nie prowadzi wojny z sąsiadami. Nader inspirujące, prawda? On nawet me dyskutuje, on wygłasza mowę.

- Krzyczysz na mnie - zauważył Richard. - Na niego też krzychałeś?

- Nie. - Vincent nagle ochłódł. - Nie mogę na niego krzyżeć, wiesz o tym dobrze. Gdybym to zrobił, wiedziałby, że wygrał. Kiedy jestem spokojny i przekonujący, jego szlag trafia. On tego... nienawidzi.

- Przekonujący?

- Przekonuję - rzekł Vincent oschle. - Czyli jestem przekonujący. Do takich sprzeczek wnętrza Uroczyska stwarzały odpowiednią

atmosferę. Oświetlenie elektryczne skrywało się pod abażurami z frędzlami lub w zasłoniętych alkowach; przewody i przełączniki były ukryte w szczelinach boazerii. Na umeblowanie składały się głównie solidne meble z epoki wiktoriańskiej, mahoniowe stoliki, fotele wysłane łysiejącym aksamitem lub pogryzionym przez mole brokatem. Zarówno John, jak i Vincent spali w łóżkach ze słupami do podtrzymywania baldachimu lub kotary. Dywany spłowieły albo ściemniały w zależności od tego, gdzie padało słońce, a srebra stołowe zmatowiały. Kiedyś ochmistrzynie odkurzały i polerowały, jak potrafiły najlepiej, lecz teraz po pierwsze było o nie coraz trudniej, a po drugie, nawet jeśli się jakaś w końcu trafiła, to nikt od niej tego nie wymagał, bo ani Jolanda, ani Elizabeth nie miały smykałki do prowadzenia domu. Na efekty dźwiękowe składało się głucho walenie ciężkich drzwi, skrzypienie pustych schodów, żwawe przemykanie pajaków w ciemnych korytarzach. Wodę w staroświeckich toaletach spuszczało się przez pociągnięcie ciężkiego łańcucha, a odgłos przypominał wodogrzmoty w oddali. Nawet w środku nocy dawało się słyszeć stękanie i piski, jak gdyby cały dom był prześladowany przez złe sny. Liczne portrety rodzinne patrzyły groźnie na potomnych, z większym lub mniejszym potępieniem malującym się nad sumiastymi wąsami lub wyzierającym z błyszczącego monokla. Kilku przodków nosiło mundur, jeden siedział na koniu. Ich kobiety pozowały w krynolinach i turniurach, z ramionami gołymi lub przykrytymi szalami, niewątpliwie starając się dostosować

do standardów wyznaczonych przez ich królową, czego można było się domyślić po ich dość zaciętych minach. Prapraciotkę Caroline, podobno wielką piękność, wdzięczny pędzel Val Prinsepa przedstawił jako preraphaelową grację z luźnymi lokami fruującymi wokół skroni, wargami zaś pełnymi i czerwonymi jak rozgnieciona piwonia; ale nawet on nie poradził sobie z jej bezkompromisowym spojrzeniem! Ten sam wyraz oczu mieli nie tylko John i Vincent, gdy jeden z nich nie szczędził krytyk, drugi zaś przyjmował to wyzywająco i pogardliwie, ale również Elizabeth, gdy usiłowała nie okazać rozczarowania, i Richard, gdy po cichu upierał się przy swoim. Mieli inny kolor oczu, ale ich wyraz był zawsze taki sam. Elizabeth starała się ukryć swój zawód Richardem, który nie wyrósł z dziecięcej obsesji na punkcie maszyn, natura była jednak silniejsza. Richard unikał poważnej rozmowy na ten temat wykrcając się żartami, ale dość często dawał się zaskoczyć. Wtedy oczy matki i syna przybierały teri odziedziczony po prapraciotce wyraz. John, skupiony na Vincencie, nie starał się zrozumieć, o co chodzi siostrze.

- Inżynieria to przecież nic złego - powiedział jej kiedyś. - Praktyczna. Aeronautyka, tak? Wiesz co? Chłopiec powinien nauczyć się latać. W odpowiednim momencie coś wymyślimy. Może niech to będzie prezent na jego dwudzieste pierwsze urodziny. Liz, przestań się nad nim trząść. On jest już mężczyzną.

Tylko Vincent, myślał potem Richard, mógł uznać ten pomysł za wyraz jakichś szczególnych uczuć i karmić tym swe skrywane przed światem demony.

W Imperial College Richard dużo się bawił i jeszcze więcej pracował. Czas przeznaczony na zabawę spędzał zwykle w Cambridge z Vincentem, który był studiami znudzony i prawie wcale nie pracował. Nie było to Gordonstoun, tu nie musiał iść na kompromis z wymaganiami szkoły. Człowiekowi światowemu, za jakiego się uważał, nie wypadało się entuzjasmować i wysilać. Wciąż grał ostro w rugby i niesportowo w krykieta, ale spora część jego energii szła w nowe, o wiele bardziej zajmujące ćwiczenie fizyczne, czyli dziewczyny. W Gordonstoun dziewczyny do programu nauki nie wchodziły, a w czasie wakacji obawa przed rodzicami zmuszała chłopców do tarzania się w mokrej trawie z co przystępniejszymi służącymi. Zwykle umawiali się kolejno z tą samą dziewczyną,

a potem porównywali wrażenia ze szczerością rzadką u mężczyzn. Richard naturę miał hojną, również w seksie; Vincent był urodzonym eksperymentatorem. Orgazm kobiecy odkryli razem u wiejskiej dziewczyny o imieniu Catriona, pulchnej piersiastej szesnastolatki przezywanej Kocią i cieszącej się zasłużenie najgorszą opinią. Po butelce wina Romanee-Conti, które Vincent podwędził z ojcowskiej piwnicy i które nie smakowało żadnemu z nich, a już najmniej Catrionie, zwabili ją w zarośla i wygodnie usadowili w rowie, w którym jakieś dwadzieścia lat wcześniej ukrywał się Mike Garoghan. Catriona chichotała i sapała, chłopcy tylko sapali. Do tej pory nie byli jednocześnie z tą samą dziewczyną (Vincent przyprowadził Richarda na jej życzenie), a ponieważ robiła wrażenie niezbyt zdecydowanej, nie śpieszyli się, lecz całowali jej piersi, każdy po jednej, gmerając jednocześnie w jej luźnych majtkach. Raptem Catriona wstrzymała oddech, a po chwili wstrząsana z sejsmiczną gwałtownością eksplodowała, szarpiąc ich boleśnie za włosy.

- Nie miałem pojęcia, że u dziewczyn tak się to odbywa - rzekł Vincent zachwycony i podniecony.

- Ani ja - rzekł Richard. - O rany.

W domu Vincent sięgnął po egzemplarz *Kochanka Lady Chatterley*, który służył im za podręcznik seksu. Książka otwarła się na jednej z zaznaczonych stron. - „... cudowne, coraz silniejsze fale wznosiły się i przetaczały przez jej ciało...” * - przeczytał. - Bzdury. Nie żadne fale, tylko ten galaretowaty guzik po środku... jak to się nazywa? Już wiem, łechtaczka. Connie Chatterley chyba w ogóle jej nie ma. Ta książka jest do kitu.

- Masz rację, to ta łechtaczka - potwierdził Richard. Uzbrojeni w to doniosłe odkrycie, pożeglowali ku beztróskiemu życiu studenckiemu, którego zawołaniem było wino i róże, wolność i szansa. Rodzice już nie komplikowali im życia, nie zmuszali do tarzania się w trawie w nie sprzyjającą pogodę. Była to epoka wyzwolenia seksualnego, AIDS jeszcze nie wypełził z nory, a wszystkie kobiety stosowały pigułkę. Vincent postawił na ilość; Richard, który miał romans z wykładowczynią, opowiedział się za jakością. Swoją niepoprawny uśmiech ukrył w brodzie, którą zapuścił, licząc na to, że go postarzy; postrzępione loki opadały mu na ramiona. Broda

* **D. H. Lawrence *Kochanek Lady Chatterley*, tłum. Zofia Sroczyńska, Almapress 1987.**

przeszła do historii wraz z wykładownicą, lecz włosy zostały, działając na nerwy matce, która twierdziła, że modę tę wymyślono jej na złość. Kiedy nie miała się do czego przyczepić, przypominała sobie o włosach i zaczynała wymachiwać sekatorem jak nożyczkami w czasach, gdy obcinała jego krzywą grzywkę. Richard wybuchął śmiechem, cmokał ją w policzek i żartobliwie potrząsał lokami tuż przed jej twarzą. Elizabeth, która od syna nauczyła się śmiać, potrafiła być wesoła tylko w jego towarzystwie. Richard właściwie przystojny nie był, ale miał wyjątkowy wdzięk, którym urzekał nie tylko przyjaciół czy nieznajomych, lecz również najbliższych. Na ogół wdzięk nie działa na domowników, bo więdnie w atmosferze codziennych kontaktów. Ale nie w przypadku Richarda, którego wdzięk sprawiał, że matka nie była w stanie niczego mu odmówić, a wuj traktował bardziej tolerancyjnie niż własnego syna. Na szczęście Vincent kochał Richarda i nie był o niego zazdrosny. Oczywiście, wszystko ma dwie strony. Richard łatwo zdobywał sobie miłość, ale też sam potrafił kochać nie powierzchownie, lecz całym sercem, bez wahań i wątpliwości. Jedynie Elizabeth przewidziała, że w przyszłości ten dar stanie się przyczyną jego kłopotów.

Vincent - zdaniem ciotki - nie był zdolny do miłości. Nawet John, obserwując jego oziębłość, buntowniczość, rozgoryczenie, cynizm i ani krztyny miłości do kogokolwiek czy czegokolwiek, zastanawiał się niekiedy, czy jego syn w ogóle potrafi kochać. Richard raz czy dwa próbował stanąć w obronie Vincenta, ale że nie potrafił zwerbalizować tego, co intuicyjnie wyczuwał, dorośli brali jego próby za rycerski gest i pobłażliwie puszczały je mimo uszu. Tymczasem Vincent po prostu nie pozwalał sobie na uczucia. W przypadku Richarda nie bał się zdrady ani zawodu, ale matka go porzuciła, a jego uczucia do ojca uległy spaceniu z powodu ciągłych nieporozumień. Poza tym ojciec zbyt często upakarzał go i sprawiał mu ból. Co zaś do dziewcząt, to były tylko obiektem pożądania, a nie miłości. Wybierając je kierował się ich wyglądem, spotkania z nimi traktował jako wyzwanie, rozrywkę, ale nie związek. Nie miał kłopotów z podrywaniem i jeśli tylko alkohol nie pokrzyżował mu szyków, zaspokajał je, podniecony poczuciem władzy, jaką posiadał nad nimi.

- Potrafisz je przyciągnąć - rzekł mu Richard pewnego dnia - lecz czy potrafiłbyś je zatrzymać? Założę się, że nie wiedziałbyś, jak to zrobić.

- Tak się jakoś dzieje - powiedział Vincent leniwie - że rano rozmowa już się nie klei.
- To twoja wina, nie ich - upierał się Richard.
- Czy chcesz przez to powiedzieć, że jestem nudny?
- Chyba tak. Ale nie martw się. Jestem pewny, że tylko dziewczyny tak myślą. Co do mnie to od czasu do czasu lubię twoje towarzystwo.

Vincent roześmiał się. Błysk w oku Richarda rozbroił go.

- Twój kłopot polega na tym, że jesteś chronicznie zakochany - rzekł przemądrzale. - I życzysz mi tego samego. To typowe. Miłość jest taką chorobą, że dotknięci nią ludzie są szczęśliwi tylko wtedy, gdy inni też są chorzy. Nie wstydzą się wtedy, że cierpią, bo jakaś dziewczyna nie zadzwoniła, chociaż obiecała, albo poszła do kina z innym. Niech skonam, jeśli miałbym zrobić z siebie kretyna tylko po to, żebyśmy mogli obaj chodzić z maślanymi oczyma i papką w głowie.

- Odwracasz kota ogonem - stwierdził Richard. - Nie jestem chronicznie zakochany, po prostu poważnie traktuję dziewczyny. Spróbuj zmienić podejście do nich. Abstrahując od wszystkiego, dziewczyny to też ludzie.

- Dziewczyny to też ludzie! - przedrzeźniał go Vincent. - Każ wydrukować to na koszulce.

- Każę - zgodził się Richard - jeśli obiecasz, że będziesz ją nosił. Niedługo po tej rozmowie na przyjęciu w Londynie Vincent

poznał Crystal Winter. Impreza była typowa dla tamtych czasów, uczestniczenie w niej mogło poważnie odbić się na zdrowiu. Goście zostali wtłoczeni do pokoju, który z uwagi na panującą tam temperaturę sauny i oświetlenie stroboskopowe, wywołujące ataki epilepsji, do złudzenia przypominał Czarną Dziurę w Kalkucie. Od muzyki na żywo w wykonaniu zespołu rockowego, używającego jak na takie małe pomieszczenie zbyt wielu wzmacniaczy, pękały bębny w uszach. Serwowano poncz zrobiony z taniego wina z domieszką przypuszczalnie terpentyny (jeden z gospodarzy był malarzem); w obiegu były też rozmaite nielegalne substancje, wśród nich żywica konopi indyjskich, sprawiająca wrażenie przetworzonej przez żuki gnojaki, oraz rozmaite kolorowe pigułki, których przeznaczenia w normalnym życiu nikt nie potrafił sobie przypomnieć. Kancerogenne dymy tytoniowe wisały ciężko w tym, co pozostało tam jeszcze z powietrza. Nic dziwnego, że pewien znany neurolog,

piszący dziesięć lat później, stwierdził, iż pokolenie, które przeżyło takie przyjęcia, jest zdolne do wszystkiego. Crystal nie bywała na nich często, bo obawiała się o cerę. Nie należała do modelek, które do maksimum wykorzystują swoje pięć minut w światłach reflektorów, nie martwiąc się specjalnie o przyszłość. Crystal nawet w wieku dziewiętnastu lat zachowywała się przezornie i powściągliwie. Nie chciała wypalić się w ciągu kilku lat, zamierzała przetrwać. Cera była najdelikatniejszą składową jej urody, dlatego dbała o nią, pieściła, karmiła pożywieniem dla skóry, budziła płynem zamykającym pory, do snu otulała kremem na noc. Rzadko piła alkohol, nigdy nie paliła. Nie szukała taniej popularności, nawet w rubryce Dempstera*. Nie pragnęła jednodniowej sławy. Zaledwie kilka tygodni wcześniej odmówiła chwilowemu gwiazdorowi rocka spędzenia z nim weekendu, czując, że to ślepa uliczka. Nie chciała, żeby ją wykorzystywano, źle traktowano, zraniono. Znajomy, z którym przyszła na przyjęcie, był tylko znajomym, nikim więcej. Upił się od razu na początku i gdy zrejterował do klozetu, Crystal zaczęła przechadzać się, nie wiedząc, co robić. W ciemności rozjaśnianej błyskami nie widziała Vincenta. On też nie zwróciłby na nią uwagi, gdyby jakaś znajoma nie powiedziała o niej „ta modelka” i nie dodała, że to niewątpliwie najpiękniejsza kobieta na tym przyjęciu.

- Czyżby? - Vincent rzucił okiem w stronę oddalającej się Crystal. Ubrana była swobodnie - w dżinsy i trykotową koszulkę od Biby. Rozpuszczone włosy otulały jej ramiona niby peleryna. - Ma piękne włosy - zauważył. - Dlaczego powiedziałaś „ta modelka”?

- No wiesz - obruszyła się jego informatorka. - W zeszłym miesiącu jej twarz była na wszystkich okładkach. Z powodu hałasu rozmawiali krzycząc wprost do ucha słuchacza. Richard, któremu przychodziło to z trudem, powiedział do kuzyna:

- Wygląda na porządną dziewczynę. Nie w twoim typie.

Jeśli był w tym ton złości, utonął w ogólnej kakofonii. Vincent podjął wyzwanie. Gdy następnym razem Crystal przechodziła obok nich, ujął ją pod ramię, uśmiechnął się i poprowadził w stronę wyjścia.

- Tu się nie da normalnie rozmawiać - wyjaśnił. - Trzeba wrzeszczeć. Co za cholerny jubel.

* **Nigel Dempster prowadzi kronikę towarzyską w „Daily Mail” (przyp. tłum.).**

- Czy. my się znamy?

- Jeszcze nie.

Stali w otwartych drzwiach; światło z hallu załamywało się na jego kościach policzkowych i rzucało tragiczne cienie na rozmaite zagłębienia twarzy. Przechyliła głowę, żeby mu się przyjrzeć; pomyślała, że facet ma przynajmniej metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, może nawet więcej. Jego przystojna ciemna twarz obudziła w niej czujność.

- Jestem tu ze znajomym - powiedziała.

- Gdzie on jest?

- Choruje.

- Nie powinna być pani przy nim i wycierać mu czoła? Czy nie jest to aż tak bliski znajomy?

- Nie bardzo bliski - przyznała.

- To chodźmy.

- Chodźmy? Nawet pana nie znam!

- Pozna mnie pani, jeśli wyjdziemy razem - zauważył Vincent. - Na tym przyjęciu można się naćpać, zalać albo kochać na podłodze. Nie wygląda mi pani na dziewczynę, która miałaby ochotę na coś z tych rzeczy, chyba że...

- Nie, nie mam na to ochoty - przerwała mu Crystal - ale też nie mam ochoty być poderwana.

- Ja pani nie podrywam - odparł Vincent. - Ja panią porywam. Pojechali do nocnego klubu, wypili w kącie po kieliszku, a potem

tańczyli przytuleni na bardzo małym parkiecie. Crystal wyczuwała pod jego koszulą twarde mięśnie. Nie używał płynu po goleniu, więc jego rozgrzane ciało wydzielalo erotyczny zapach. Crystal po raz pierwszy poznała zapach męskiego ciała. W pracy miała do czynienia z fotografami, homoseksualistami, którzy pracowali jako modele, dyrektorami od reklamy w stalowych garniturach i o ostrych stalowych zapachach, a od czasu do czasu przy okazji jakichś oficjalnych wydarzeń - z kimś sławnym. Wszyscy oni traktowali ją jak rekwizyt. Vincent, ze swymi długimi czarnymi włosami i niedwuznacznym błyskiem w oczach, wydawał się dziki i egzotyczny niczym wojownik indiański, nieprzyzwoicie męski, niemożliwie niebezpieczny. Taniec i ścisk na parkiecie zbliżył ich do siebie. On drżał, ona drżała i czuła brzuchem pręgę jego twardego penisa. Była niemal dziewicą, niedoświadczoną i nie pobudzoną; jeszcze nie wiedziała, co to orgazm. Ale przywierała do niego udami z własnej woli, zaś ciepło

jego lędźwi zdawało się przenikać jej ciało, powodując dziwne omdlenie. Ucieszyła się, gdy wyszli i nocne powietrze ochłodziło jej ciało i głowę.

- Nie chcę się zaangażować - oświadczyła mu w taksówce.

- Moja praca na to nie pozwala.

Ta odzywka wielokrotnie już odniosła pozytywny skutek. W ten sposób tłumaczyła mężczyźnie swój brak zainteresowania, dając jednocześnie przytyczka w nos jego pewności siebie. Poza tym

- przekonywała samą siebie - właściwie była to prawda.

Pod domem rodziców nie zaproponowała mu kawy ani nie spytała, kiedy się znowu zobaczą, mimo że wymagało to od niej pewnej siły woli, co ją nieco zaniepokoiło. Jej wola i opanowanie nigdy jeszcze nie zostały poddane poważnej próbie. Vincent spytał o jej numer telefonu, ale ani go nie zapisał, ani nie obiecał, że zrobi z tej informacji użytek, i po celowo chłodnym pocałunku na dobranoc

- odjechał. Crystal stała na progu czepiając się swego zdrowego rozsądku, Vincent tymczasem na tylnym siedzeniu w taksówce powtarzał w kółko jej numer telefonu, bo nie miał na czym go zapisać.

- I co? - zainteresował się Richard, kiedy Vincent wrócił do domu. - Doszedłeś do czegoś?

- Do czegoś - odparł Vincent, wyciągając się na śpiworze. W pokoju Richarda nie było zapasowego łóżka.

- Powiedziałem ci, że to porządna dziewczyna.

- Nie bądź staroświecki. „Porządne dziewczyny” istniały w latach pięćdziesiątych. Ona wymaga pewnej... wytrwałości.

- A ty będziesz? - dopytywał się Richard. Vincent zamknął oczy udając znużenie.

- Co będę?

- Wytrwały.

- Może. - Nie patrząc na Richarda wyczuł na jego twarzy uśmiech. - Tylko nie wyobrażaj sobie za dużo. To nie miłość, to inny rodzaj pożądania.

- Mam nadzieję, że złamie ci serce - odparł Richard. - Jak się nazywa?

- Crystal Winter. To pseudonim. Naprawdę nazywa się Christine Jakaś-tam.

- Crystal Winter. Zima. Pewnie odmarzną ci jaja - zauważył Richard wesoło.

- Och, śpij już, dobrze?

Kolejne weekendy zastawały albo Crystal w pociągu do Cambridge, albo Vincenta w pociągu do Londynu. Oboje zakłopotani nowym dla siebie uczuciem nie bardzo wiedzieli, jak się zachować w sytuacji, w której się znaleźli. Rozdarty między szaleńczą miłością a odrazą do siebie Vincent traktował Crystal obojętnie, czasem okrutnie, by nie wpaść w pułapkę zaangażowania. Crystal sądziła, że się zakochała, wobec czego robiła wszystko, by nie pokazać tego po sobie. Vincent był bardzo pociągający, a tym samym niebezpieczny. Crystal doskonale wiedziała, że jak tylko będzie jej pewny, to albo zacznie ją wykorzystywać, albo przestanie się nią interesować. Jednocześnie wierzyła, że Vincent w głębi duszy ją kocha i jeśli ona zachowa zimną krew, to jego miłość wypłynie na powierzchnię. Nie widziała w tym żadnej sprzeczności. Miała dziewiętnaście lat, była trochę romantyczna i wcale nie tak ostrożna czy mądra, jak sądziła. Jej myślenie nacechowane było pobożnymi życzeniami, na świat patrzyła przez pryzmat marzeń. Jej najlepszą bronią było dziwne opanowanie, którego nauczyła się już w dzieciństwie, kiedy to zauważyła, że niewzruszony spokój na jej małej twarzyczce intryguje jej rówieśników i fascynuje dorosłych. „Ciekawe, o czym ona myśli? - zastanawiali się. - Pensa za twe myśli!” Inne dzieci mogły się zamyślać do woli, ale nikt tego nie zauważał, gdyż wszyscy byli skupieni wyłącznie na małej Christine. „To gdzie ten pens?” - pytała rzeczowo. Wybuchali śmiechem, chwalili jej dziecięce poczucie humoru i nic nie dawali. Vincent nie próbował dowiedzieć się, o czym ona tak дума, ale przecież niemożliwe, żeby go nie intrygowała jej kamienna twarz, dla której ojciec ochrzcił Christine „małym sfinksem”. Sztuczność przychodziła jej łatwo. Ukrywała zarówno swe smutki, jak i radości. Nawet uśmiech, który rozświecał jej twarz, niczego nie wyrażał. Był dekoracją, nie objawieniem.

Rodzice nie rozpieszczali Crystal. Po opłaceniu czynszu oraz rachunku za gaz ledwo wiązali koniec z końcem i niewiele zostawało na kieszonkowe dla dzieci czy prezenty. Przez pewien czas Crystal, podpuszczona przez koleżanki, kradła u Woolwortha szminkę i gumę do żucia. Normalnie ekspedientki nie spuszczały z oczu lepkich paluszków dziatwy szkolnej, lecz kiedy wchodziła Crystal z nie-odgadnioną miną, którą u takiej małej dziewczynki brano za niewinność, i bardzo grzecznie prosiła o coś z końca sali, odchodziły

niczego nie podejrzewając. Później opowiadała o tym, jak o czymś normalnym dla wieku dorastania, jak o fazie, przez którą każdy musiał przejść. Nie żyła w luksusie, ale w domu była najważniejsza. Ojciec i brat ją uwielbiali, a Mona od dzieciństwa szykowała ją do kariery gwiazdy, której sama nie zrobiła. Crystal zwyciężała w konkursach na najładniejszą niemowlę, zerkała spod kapelusza z kwiatami jako przesadnie afektowana Wiosenka, pozowała jako panna młoda do katalogu sprzedaży wysyłkowej i jako dobra wróżka w reklamie proszku do prania. W szkole zdobyła nieprawdopodobny prestiż, gdy sfotografowano ją do „Jackie”, sportowej mody dla bogatych trzynastoletek. To jej powierzano wiodące role, gdy ze swą grupą baletową występowała na festynach urządzanych przez Kościół w celach dobroczynnych, to ona wręczała bukietami odwiedzającym szkołę dygnitarzom. Nim zdążyła sobie uświadomić, że z powodu niskiego wzrostu nigdy nie wystąpi na wybiegu, firma Nympheline zatrudniła ją do reklamowania szamponu, a zaraz po tym nastąpiły kontrakty z Récamiérem. I tak została Crystal Winter, sławną dziewczyną z okładki, idealnym wytworem swych ambicji. Sukces też jej nie zepsuł, co wszyscy potwierdzali. Nie spóźniała się, nie stroiła fochów, nie zachowywała się jak słodka idiotka. Nie miewała kaca ani napadów chandry. Vincent zaburzył jej równowagę, ale ona postanowiła nie dać się. Inne dziewczyny narzucały się facetom przez telefon, płakały, robiły sceny, aż w końcu zostawały na lodzie. Ale nie Crystal. Nie, nie Crystal. Romans z Vincentem nie zapowiadał się na łatwy, lecz co komu po łatwym romansie? I Vincent - przystojny, nonszalancki - był niewątpliwie odpowiednim bohaterem jej życia. Dzięki stanowczości i wyrachowaniu zawsze zdobywała to, czego chciała. Nie zamierzała stracić głowy teraz, kiedy Kupidyn wkroczył do gry.

Przy kilku okazjach próbowała nakłonić Vincenta, by opowiedział jej o swym domu i rodzinie, licząc, że w takich zwierzeniach znajdzie klucz do jego uczuć. Była dobrym słuchaczem, w każdym razie miała taką opinię; nie przerywała, słuchała z zapartym tchem. Ale Vincent nie lubił mówić o sobie. Przez całe życie zwierzał się ze swych myśli, i to nie wszystkich, jedynie Richardowi. Nie umiał się otworzyć.

- Jesteś bardzo zżyty ze swym kuzynem, prawda? - sondowała ostrożnie Crystal.

- Bardzo. Razem się wychowaliśmy. Jest kuzynem w pierwszej

linii, ale dla mnie był jak brat. Nie, to nie tak. Jako bracia moglibyśmy być do siebie podobni, a wtedy od urodzenia darlibyśmy koty. Na szczęście jesteśmy zupełnie różni. Richard jest moim... najlepszym przyjacielem, moim lepszym wcieleniem. A ty nie masz przyjaciółki? Takiej od serca, której zwierzałabyś się z najskrytszych sekretów? Dziewczeta zawsze mają przyjaciółki.

- Nie - odparła Crystal. - Ja się nie zwierzam.

- Wiesz, jesteś wyjątkową kobietą - powiedział Vincent cicho, jakby z roztargnieniem, ale przyglądał się jej intensywnie. - Kiedyś tak właśnie wyobrażałem sobie Helenę Trojańską. Jak stoi na murze miasta i obserwuje bitwę. Nieporuszona. Tam na dole Menelaus walczy o nią z Parysem, Achilles zabija Hektora i wlecze jego ciało po ziemi, a wyraz jej twarzy nie zmienia się. Jest zimna jak lód, nieporuszona, obca. „Jak po wodzie długonogi owad, tak po ciszy ślizga się jej myśl.” * - Było nie było miał tylko dwadzieścia jeden lat, studiował w Cambridge i mimo flirtów był bardziej wykształcony niż doświadczony.

Crystal nie całkiem wiedziała, o co chodziło z tą Heleną, Yeatsa też nie czytała, ale domyśliła się, że ostatnie słowa były cytatem. Milczała więc, by dopasować się do metafory. Vincent, niezbyt przejęty przerwą w rozmowie, też nic nie mówił.

Kiedy poczuła, że jej umysł przestał już płynąć wraz z ciszą i mogła zstąpić na ziemię, zaproponowała:

- Opowiedz mi coś o swych rodzicach. Wiem, że z ojcem ci się nie układa, ale go lubisz, prawda?

- Czy go lubię? Przede wszystkim on za mną nie przepada. Natomiast zawsze miał słabość do Richarda. Z drugiej strony, czy można mieć do niego o to pretensje? Jestem bardzo nieudanym synem.

- I to wszystko, co masz do powiedzenia na ten temat?

- A co tu jeszcze można powiedzieć? To hipokryta, dlatego nim pogardzam. On z kolei nie aprobuje tego, że mówię prawdę w oczy. Przepis na konfrontację. Facet, który najpierw opowiada, jak się zachowywał, kiedy był chłopcem, a potem chce wiedzieć, dlaczego ty się tak nie zachowujesz. Więc mówisz mu, że od tamtych czasów świat się nieco zmienił, i wiesz, co on na to? „Nie na lepsze.” Zresztą, co mnie tak wypytujesz? Sprawy rodzinne są śmiertelnie nudne. Nie sądzę, żeby moja rodzina mogła cię zainteresować.

* **W. B. Yeats, *Długonogi owad*, tłum. S. Barańczak.**

- Ty mnie interesujesz - odparła Crystal.
 - Rozumiem. Chcesz, żeby wyszły ze mnie moje małe kompleksy, a wtedy weźmiesz je pod lupę. Nic z tego. Ja w to nie gram.
 - Dlaczego? - dopytywała się Crystal. - Czego się boisz?
 - Tylko nie to, na miłość boską!
- Crystal otworzyła już usta, żeby go przeprosić, ale prędko je zamknęła, uświadomiwszy sobie, że przeprosiny mogą mieć fatalne skutki. Byłoby to przyznaniem się do słabości. Spróbowała więc z innej strony:
- A jaka jest twoja matka? Nigdy o niej nie mówisz.
 - Przecież wiesz, że uciekła, jak miałem cztery lata. Sama widzisz, że niewiele jest do opowiadania.
 - Nie chcesz wiedzieć, co się z nią dzieje?
 - A powinienem?
 - W końcu to twoja matka. - Crystal obiecała sobie, że niczemu nie będzie się dziwić. - Wielka gwiazda i do tego piękna kobieta. Mama mówi, że w każdych wiadomościach coś o niej mówią. Nie pamiętasz jej?
 - Słabo - uciął Vincent. - Jeżeli coś o niej wiem, to tylko z gazet.
 - Nie obchodzi cię ona? - spytała cicho.
 - Dlaczego ma mnie obchodzić? - Ten pomysł był mu zupełnie obcy. - Nic mnie nie obchodzi. Czuję się jak Marsjanin, który dwadzieścia lat po wyemigrowaniu na Uran czyta o wydarzeniach na swej rodzinnej planecie. W zeszłą sobotę w telewizji zapowiedzieli jej powrót na scenę. Krytyk nie miał złudzeń. Pozwolił sobie na sformułowanie: „Tragiczna ruina wspaniałego głosu.” Przejąłem się tym tyle, co prognozą pogody. Jeśli skończyłaś dochodzenie, chodźmy gdzieś. Chętnie bym się napił. Po opowiedzeniu ci historii mego dzieciństwa czuję się cholernie wypompowany. Czy nie wystarczy, że to przeżyłem? Muszę jeszcze opowiadać?
 - To dobrze robi - odparła Crystal.
 - Ty biedna krowo, czytałaś Freuda. Nigdy bym cię o to nie posądził.
 - Nie mów tak do mnie.
 - To przestań mnie analizować. - Jego twarz była ciągle twarda, ale ton głosu się zmieniał, stając się bardziej szorstki i jednocześnie łagodniejszy. - Nie jestem łamigłówką, którą musisz rozwiązać, byśmy mogli być razem. Przeszłość nie ma znaczenia, tak samo jak przyszłość. Żyj chwilą obecną. Czerp przyjemność... z teraźniejszości.

- Przyciągnął ją do siebie, a ona zauważyła, że szyja mu pulsuje, poczuła jego gorące ciało pod koszulą. - Nie musisz mnie znać. Ja nie muszę znać ciebie. Kocham cię, ponieważ jesteś zimna i nieosiągalna jak księżyc. Chcę dotknąć księżycy, chcę go potrzymać nie zdejmując z nieba. Ja wszystko niszczę. Zniszczę cię, jeśli mi na to pozwolisz. Wiesz o tym. Nie pozwól mi. Chcę cię posiadać, być w tobie, a nie... a nie... - Mówił z ustami w jej włosach, w zagłębieniu na skroni, w szparce między jej wargami. Słyszała tylko słowo „miłość”, magiczne słowo - wszystkie pozostałe były bełkotem. Omdlenie opanowało jej członki, osłabiło ją, kości zmieniło w wodę, krew w ogień. Tym razem nie walczyła. Nie od razu wyszli z domu.

Dwa tygodnie później Vincent pojechał z kolegą na wyścigi do Newmarket. Nie zabrał z sobą Crystal. To, że pragnął mieć ją w łóżku, nie oznaczało, że zamierzał ciągnąć ją na każdą imprezę. Zaprosił go ojciec tego kolegi, jego koń biegał w Guineas *. Poza Vincentem w skład gości wchodziłi rozmaici biznesmeni, kilka żon, ale żadnych innych młodych ludzi. Do tego morze szampana. Vincent, który uważał, że w dobrym tonie jest udawanie zblazowanego wszędzie poza boiskiem, z punktu zrozumiał, że tutaj przyjdzie mu to nader łatwo. Zakuci w garnitury dyrektorzy przedsiębiorstw unosili brew na widok jego dzinsów i skórzanej kurtki z frędzlami. Jego kolega, który wzorem swych rówieśników był z rodzicami w wiecznej wojnie, postanowił czym prędzej się upić. Zirytowany karcącymi spojrzeniami starszych, Vincent postawił na konia, który żadną miarą nie mógł wygrać, po czym odwrócił się tyłem do toru.

- Savage - powiedział łysiejący orzeł jurysdykcji, polerując staromodne okulary. - To chyba niemożliwe, żebyś był synem Johna Savage'a. Tego od firmy ubezpieczeniowej Srebrna Tarcza?

- Niemożliwe - zgodził się Vincent. Koń Winter's Chill, na którego postawił kierując się jego imieniem, przyszedł na metę szósty.

- Porządny chłop ten John Savage - grzmiał prawnik, nie zważając na wrogość Vincenta. - Studiował w Oxfordzie z moim wujem. Cieszył się doskonałą opinią. Szalenie uczciwy. Ani jednej skazy. Spłaca wszystkie twoje długi, prawda?

* „2000 Guineas” - słynne wyścigi konne (przyp. tłum.).

- Spytaj go. - Vincent, sztywny ze złości, hamował się jedynie dlatego, że interlokutor w oczywisty sposób chciał go wprowadzić z równowagi.

Prawnik, mając za sobą dwadzieścia lat pyskówek w sądach, tylko się uśmiechnął, a potem odszedł.

- Dobrze mu powiedziałeś - rzekł jakiś Amerykanin za Vincentem.

- Nie jego zakichany interes. W twoim wieku człowiek lubi trochę pograć. W każdym razie ja lubiłem. I dalej lubię, skoro już o tym mowa. - Nie zrażony milczeniem Vincenta, ciągnął: - Twój ojciec to ktoś ważny, co?

Vincent wzruszył ramionami.

- W porządku. Nie mój zakichany interes. Brawo, mały. Niewielu chłopców w twoim wieku potrafi trzymać język za zębami. Ile ci zostało do końca studiów?

- Jestem na ostatnim roku.

- Jak będziesz w Londynie, przekreśl do mnie - zaproponował podając mu niedbałym gestem wizytówkę. -

Zamierzam trochę tu zabawić. Zafunduję ci lunch. Lubię ludzi małomównych. Są dobrymi słuchaczami.

Vincent, któremu ojciec niejednokrotnie wyrzucał, że nie słucha, co się do niego mówi, schował wizytówkę do kieszeni nawet na nią nie spojrzawszy. Nie podziękował, bo czemu miałby dziękować za coś, o co nie prosił.

- Zadzwoń do mnie - powtórzył Amerykanin niezrażony. - Będę o tobie pamiętał.

- To Carson - wyjaśnił kolega Vincenta, z lekka wytrzeźwiawszy.

- Kumpel ojca. Znajomy taty. Tatoznajomy. Przy każdym spotkaniu z nim tata mówi: „Pozwól, że przedstawię cię kilku gościom, którzy rzucą ci się do gardła.” „Dzięki chłopie - odpowiada Carson - ale to już może ja rzucę się im do gardła.” To ten rodzaj znajomości. Zapraszają się wzajemnie do drogich restauracji i szczerzą do siebie krokodyle zęby.

- Nie wyglądał mi na niebezpiecznego - zauważył Vincent.

- Tacy są najgorsi. Nie pamiętasz *Alicji*? „Jak mile paszcza ta uśmiechnięta i ładnie sterczą szpony, kiedy do środka małe rybięta zaprasza pysk wyszczerzony.” *

* **Lewis Carroll, *Alicja w krainie czarów*, tłum. Robert Stiller, Alfa 1986.**

- Nie jestem rybą - obruszył się Vincent. - Nie zauważyłeś? Jak dorosnę, będę krokodylem. A skąd on jest?
- Nie z Nowego Jorku.
- Dziękuję za informację.
- Możliwe, że z Teksasu. Lub z Chicago. Albo.... Już wiem, z Kalifornii. Tak, z Kalifornii. Złoty Stan. Stąd żółta opalenizna i idealne krokodyle zęby. Jest kimś ważnym w... w...
- W czym?
- W czymś. Bardzo ważny. Musi być, bo tata nie zawraca sobie głowy kimś, kto nie jest ważny.
- Jesteś ubzdryngolony - rzekł Vincent i wyjął z kieszeni wizytówkę, która już zdążyła się pognieść. - Judas Carson. Judas, psiakrew. Niewykluczone, że zaczynał interesy od trzydziestu srebrników.
- W tamtych czasach trzydzieści srebrników było kupą szmalu - zauważył kolega Vincenta. - Zważ na inflację. A co zrobisz z tym zakładem? Zakopałeś się chyba po uszy. Czy twój ojciec to pokryje? Mój nie ruszyłby palcem. Twój może zgodzi się zapłacić, ale wypruje z ciebie flaki.
- Nie zamierzam go prosić - odparł Vincent.
- To co zrobisz?
- Coś wymyślę. - Bez powodzenia próbował wyprasować wizytówkę między palcami. - Coś... dużego.

Rozdział trzeci

Judas Carson przybył do Ameryki jako Yehude Karzhinski, ale znużony urzędnik imigracyjny na Ellis Island, gdzie wysiadł, przechrzcił go na Judasa Karzina. Po śmierci ojca Judas zangielszczył nazwisko na Carson. Pochodził z małej wyspy na Bałkanach o nazwie składającej się z samych spółgłosek. Prawa do wyspy zgłaszali na przemian Serbowie, Chorwaci i Bośniacy, w zależności od tego, kto akurat był w posiadaniu większej liczby karabinów. Od czasu do czasu, znudzeni strzelaniem do siebie, urządzali pogrom Żydów. Umierając na gripę pierwszej zimy po ich przybyciu do Nowego Jorku matka zdążyła szepnąć Judasowi, że nie wie, czy jego ojcem jest na pewno Karzinski, jako że mniej więcej dziewięć miesięcy przed jego przyjściem na świat została zgwałcona w czasie jednego z takich pogromów. Młodsza siostra Judasa nie przeżyła podróży, tak więc mając dziesięć lat został sam w obcym mieście z mężczyzną, który prawdopodobnie nie był jego ojcem. Był rok tysiąc dziewięćset dwudziesty dziewiąty. Naród zataczał się pijany kupowanym pokątnie alkoholem. Stylem życia stał się marny dżin i wielka zbrodnia. Judas, zamiast siedzieć w szkole, był gońcem u gangsterów, którzy nie mogli sobie odmówić zatrudnienia smarkacza o takim imieniu. Jacob Karzin, krawiec, od rana do wieczora śmigał igłą, wydając wszystko, co zarobił, na niewydarzonego syna. Zszedł z tego padołu łez jakieś cztery lata po żonie, ale Judas poradził sobie, jak zawsze. Nauki pobierał nie w szkole, lecz na ulicy, awansując po kolei z kieszonkowca na drobnego złodziejaska, paskarza, szantażystę, komiwojażera, wykorzystując każdą szansę podniesienia kwalifikacji. Kiedy wybuchła wojna, zmobilizowano go i wysłano do Europy, gdzie jego przedsiębiorczość znalazła nowe pole do popisu. Mając pośrednika w Prywatnej Sieci Telefonicznej dostarczał umordowanym

wojną Włochom i świeżo wyswobodzonym Francuzom to, za czym tęsknili najbardziej, czyli szynkę w puszkach, papierosy i whisky. Dla galijskich piękności, które dawno utraciły narodowy szyk, zorganizował wymianę ich erotycznych usług na nylony, a w pewnym *manoir* nad Renem sprzedał parę befsztyków za upatrzony obrazek namalowany przez jakiegoś Corota. Obrazek ten w końcu powiesił sobie w domu w Bel-Air wśród innych wysmakowanych dzieł o podobnej wartości i za każdym razem zanudzał gości opowiadaniem, w jaki sposób wszedł w jego posiadanie. Gdy dotarł do Berlina, zawarł spółkę z jednym Rosjaninem, który zaopatrywał go w kawior do kantyny oficerskiej. „Kawior dla ich podniebień”* - zażartował wykształcony sierżant-magister. Judas Szekspira nie czytał, ale cytował odszukał; w przyszłości miał go wskrzesić i popisywać się nim, podobnie jak obrazkiem Corota, by pokazać, jaki jest kulturalny.

Po wojnie śladem pionierów udał się na Zachód w poszukiwaniu szczęścia. W Los Angeles nawiązał kontakt z kumplem z wojska. Nie zadowalał się już byle czym, chciał mieć duże pieniądze i było mu wszystko jedno, czy je zarobi, ukradnie, zdefrauduje czy podrobi. Odczuwał głód typowy dla emigranta, wyrwanego z korzeniami ze swego kraju, dręczonego wspomnieniem pustego żołądka, zdecydowanego za wszelką cenę wdrapać się na szczyt. Zajął się handlem nieruchomościami na wsi, przekonując tubylców do opuszczania ziemi nie karabinem, lecz dolarami.

Działkę kupioną za pisi grosz sprzedawał za worek złota, na czym się dobrze upaś. Na początku lat siedemdziesiątych otoczony był już cudzymi sprzętami, posiadał liczący aż pięćdziesiąt lat dwór z epoki Tudorów, w którym z belek pod sufitem zwisały egzotyczne rośliny, a dno basenu zdobiły ułożone z połyskujących kamyczków fragmenty arrasów z Bayeux. Do tego zafundował sobie brzuch wypełniający miejsce między nim a kierownicą Porsche, opalenizną na coraz wyższym czole, drogie zęby błyszczące w sztucznym uśmiechu. Miał słabość do Anglii, przynajmniej tak twierdził, dlatego stanął w ekskluzywnym hotelu „Dorchester”. Zachwycał się Europą, że taka cywilizowana, i mówił, że powrót do korzeni sprawił mu prawdziwą przyjemność. Jeśli ktoś z tego wnosił, że tymi korzeniami jest Irlandia, nie wyprowadzał go z błędu. Zakładał firmę handlu nieruchomościami z siedzibą w Lon-

* „Był to kawior dla jej podniebień.” *Hamlet*, akt II, scena 2. Tłum. Józef Paszkowski, PIW 1961.

dynie. Na swego pełnomocnika poszukiwał kogoś o dobrej opinii i nazwisku budzącym zaufanie zarówno współpracowników, jak i firm budowlanych. Sprawdziwszy to i owo, wiedział już, że John Savage cieszy się nieposzlakowaną opinią, a Vincent nosi jego nazwisko.

Odczekawszy trochę Vincent zadzwonił do Carsona, udając średnio zainteresowanego, ale Judas, pamiętając jeszcze, jak sam zaczynał, nie dał się nabrać. Udał natomiast, że nie wie, z kim rozmawia, czym zdenerwował Vincenta do tego stopnia, że zaczął odpowiadać monosylabami. Gdy wściekły Vincent miał już rzucić słuchawkę, Judas bez dalszych ceregieli zaprosił go na lunch. W restauracji z rozbijającą szczerością zwierzył mu się, że szuka kogoś, kto zapewniłby jego firmie wiarygodność na angielskim rynku. Uciekał się do półprawd, gdyż wymagały o wiele mniej wysiłku niż kłamstwa.

- Nie masz doświadczenia, ale to nieważne; mojego doświadczenia wystarczy na nas obu. Nosisz nazwisko Savage, a to bardzo dużo. Wiem - jesteś młody i ambitny, i chciałbyś dokonać czegoś sam. Nie bądź jednak dziecinny, nie odrzucaj czegoś, co może ci przynieść korzyści. To byłoby, głupie, a ty przecież jesteś bystry chłopak. Jak zrobimy kilka szybkich interesów, będziesz mógł się wypiąć na rodzinę, na czym ci tak zależy. Osobiście uważam to za idiotyzm, ale to nie moja sprawa. Powiem ci tylko, że jesteś za bardzo dumny. Mój stary umarł, kiedy miałem czternaście lat. Zostawił trzy dolary osiemnaście centów i marynarkę z nie przyszytymi rękawami. Był krawcem i tyrał po nocach za marne grosze. Nie zostawił szmalu, ale czegoś mnie nauczył. Nie bądź frajerem. Zapamiętaj to, mały. Nie tyraj za marne grosze i nigdy, przenigdy nie gardź pieniędzmi. Pieniądze to pieniądze, nieważne skąd pochodzą. Nie byłeś głodny, to nie wiesz, a ja wcześniej dostałem szkołę. Żyłeś sobie jak u pana Boga za piecem, więc teraz musisz to nadrobić. Szybko. Nie czekaj, aż cię przyciśnie. Dumą się nie najesz.

Te słowa miały jeszcze wrócić do Vincenta, ale wtedy powiedział najbardziej lodowatym tonem, na jaki się zdobył:

- Nigdy w życiu nie poproszę o nic ojca. Nigdy. Więc jeśli chce pan mnie użyć, żeby go wykrwawić, nie mamy o czym mówić.

- Skądże znowu. - Między kęsami krwistego befsztyka Judas wykonał kilka włoskich gestów, które przejął bardzo dawno od

swych nisko urodzonych kumpli. Wyczuwszy słaby punkt Vincenta postanowił nie celować w niego zbyt otwarcie i nie naciskać chłopaka zbyt silnie. - Podobasz mi się, mały. Podoba mi się nawet ta twoja duma. Prawdziwa angielska arystokracja. Jesteście tacy sztywni, że nie możecie się schylić. Podoba mi się to. Zupełnie jakbym czytał książkę. Ty, Vincencie, jesteś jak z jakiejś książki. Ale coś ci poradzę, a ty to sobie przemyśl: zacznij żyć prawdziwym życiem.

Każdy dwudziestolatek, tylko pozornie twardy, woli jednak wyobrazić sobie, że żyje w bajce.

- Dziękuję za wykład - odparł Vincent chłodno. - Jeśli kiedyś będę potrzebował rady, zwrócę się do pana.

Judas roześmiał się bezgłośnie, niczym krokodyl, do którego go porównywano.

- Nie zwrócisz się - powiedział. - I nie poprosisz ojca o pomoc nawet stojąc przed plutonem egzekucyjnym. Coś ci powiem, mały. Jeszcze nie wiem, jak nam wyjdzie, ale już cię lubię. Pamiętaj o tym. Cokolwiek by się stało. - I tym razem nie kłamał. Lubił ludzi, ale to mu nie przeszkadzało wbijać im nóż w plecy. Wygłaszał truizm o niemieszaniu sentymentów z interesami takim tonem, jak gdyby wypowiadał własną oryginalną myśl.

- No więc co pan robi? - spytał Vincent.

Potem twierdził, za namową adwokatów, że od początku tego dobrze nie rozumiał. Ale Vincent nie był głupi. Za nieco mętną argumentacją prawną i zręcznymi frazesami ekonomicznymi dojrzał bez trudu nie tylko arytmetykę przedsięwzięcia, lecz również jego wątpliwą etykę. Jedyny szczegół, który jakoś umknął jego uwadze to to, że ewentualnie zostanie pociągnięty do odpowiedzialności. Jego nazwisko widniało w nazwie firmy, jego podpis na wszystkich kontraktach. Nigdy by się do tego nie przyznał, ale fakt ten sprawiał, że czuł się ważny, potrzebny. Oto należał do świata interesów, który według przewidywań jego ojca miał go nigdy do siebie nie przyjąć. Chciał pokazać Johnowi, że nie tylko zbija forszę, ale zrobi to kosztem kołtuńskich, obłudnych korporacji, których hipokryzję zawsze piętnował.

- Towarzystwa budowlane nikomu nie pomagają - głosił. - Są pazernymi tłustymi Shylockami, którzy najpierw zachęcają ludzi do pożyczania, pożyczania i jeszcze raz pożyczania, a potem wykańczają ich procentami. Nawet nazwa jest jawną kpina. Przecież te towarzys-

twą niczego nie budują, tylko pasożytują na pracy innych. Stworzyły społeczeństwo właścicieli domów, którzy faktycznie nie są żadnymi właścicielami, społeczeństwo kredytobiorców zakopanych po uszy w długach. Zasługują, żeby dać im popalić.

Do głowy mu jednak nie przyszło, że to właśnie owym biednym właścicielom, nad których sytuacją tak się uzał, przyjdzie zapłacić za łajdactwo Carsona. Na czele każdego banku, towarzystwa budowlanego i towarzystwa ubezpieczeniowego widział pękatego prezesa w starym szkolnym krawacie, czerpiącego zyski z szeleszczących umów.

- Poza tym - tłumaczył Crystal - wycena jest tylko wyceną. Jeśli chcą pożyczać wielkie sumy na takiej podstawie, to ich sprawa. Jeden gość powie, że miejsce jest warte trzydzieści tysięcy, inny, że siedemdziesiąt tysięcy. My zarabiamy na różnicy w wycenach.

Plan był prosty. Rzeczoznawca, figurujący u Carsona na utajnionej liście płac, znacznie zawyżał wartość rozmaitych nieruchomości, towarzystwa budowlane udzielały pożyczki na hipotekę firmie Carsona, czyli przedsiębiorstwu Vincenta Savage'a, które wykupywało te nieruchomości „w celach rozwojowych”, a Judas i jego wspólnicy zgarniali nadwyżkę do kieszeni. Dla udowodnienia wiarygodności płacili kilka rat hipotecznych, ale, jak zauważył Judas, inwestorzy w końcu i tak kładli łapę na danej nieruchomości, więc nie mieli powodów do narzekania. Przepłacali, ale przy takiej inflacji, jaka była, cena domów w ciągu kilku lat doganiała ową zawyżoną wartość. Kiedy mieli za sobą około trzydziestu transakcji, posypały się pytania i Judas uznał, że czas przejść na emeryturę. Wrócił do Los Angeles, zabierając z sobą swego rzeczoznawcę, prawnika i zyski. Vincentowi zostawił krótki liścik.

Naprawdę Cię lubię, mały, ale to nie zmienia reguł gry. Chciałeś się nauczyć robienia interesów, to Cię nauczyłem. Nie popełnij drugi raz tego samego błędu.

Przeczytawszy go w opustoszałym biurze Vincent zamiast zmiąć kartkę w kulkę i cisnąć ją pogardliwie do śmieci, wpatrywał się w nią tak długo, aż słowa zlały się w jedno i zdanie straciło sens. Z korytarza dobiegł go odgłos powolnych ciężkich kroków, ale nie była to policja. Jeszcze nie. To portier przyszedł spytać, czy Vincent zwalnia biuro i czy zostawi adres na wypadek, gdyby o niego pytano. Vincent odparł, że jak ktoś będzie chciał go znaleźć, to i tak znajdzie. Na ulicy powtarzał sobie, że panika jeszcze nikomu nie pomogła.

Z drugiej jednak strony wiedział, że zachowanie spokoju też nie na wiele się zda. Chciał pojechać do domu - od opuszczenia Cambridge wynajmował dom w Chelsea do spółki z Richardem i jeszcze jednym znajomym - ale bał się, że kuzyn wyczyta z jego twarzy, że coś się stało i zacznie go wypytywać, a on nie miał ochoty wysłuchiwać ani krytyk, ani pocieszeń. Teraz ani nigdy. Potrzebował się napić. Puby były jeszcze zamknięte, więc wszedł do taniego barku kawowego, za którymi nie przepadał, usiadł na plastikowym stołku przy plastikowym kontuarze, po czym wlał w siebie dwa kubki czarnej luty z masą cukru. Węglowodany prawdopodobnie zrobiły swoje, bo kiedy skończył, choć w dalszym ciągu był otepiały, wiedział już, co robić. Jedynym konstruktywnym działaniem w tej sytuacji było znalezienie adwokata.

Minęło sporo czasu, nim Vincent zrozumiał, że rzeczywiście może wylądować w więzieniu. Po aresztowaniu sądził, że nie spotka go już nic gorszego od bezwzględnego traktowania przez policję i dziennikarzy. Walczył z nimi, bo widział w nich wrogów, usiłujących zastraszyć go swą liczebnością; wrogów, których należało pognać i pokonać. Ale oślepiające flesze przed budynkiem sądu, wyciągnięty ku niemu las mikrofonów, wrzawa, okrzyki „Za nim!”, gdy zanurzył się w czekającym samochodzie - wszystko to przypominało zły sen. Wiedział, że powinien zachować kamienną twarz, nie kryć się i nie przepychać przez motłoch jak *zombie*, ale był zupełnie ogłuszony. Czuł się jak byk na arenie, jak bokser, który leży na linach i słyszy wrzask tłuszczy domagającej się krwi dla samej krwi, bez żadnej przyczyny. Prasa poczuła, że może z tej sprawy zrobić sensację. Wzięto pod lupę jego pochodzenie i życie prywatne. W pierwszorzędnym gazecie relacjonowano je z wyniosłą pogardą, w tygodnikach ilustrowanych z sensacyjnym posmaczkim. Sprawa sądowa jeszcze się nie odbyła, wyrok nie zapadł, ale dziennikarzom to nie przeszkadzało grzebać się w jego życiu („astronomiczne sumy stawiane na konie”), życiu rodziny i znajomych. Crystal, w pierwszej chwili znęcona rolę wiernej narzeczonej, potem zaczęła odcinać się od niej kapeluszami o wielkich rondach, ciemnymi okularami i milczeniem. Jej lekkomyślne oświadczenie o spodziewanych zaręczynach Vincent prędko wymazał z pamięci. W tym położeniu, które przyprawiało go o grozę, nie pragnął publicznych gestów,

deklaracji lojalności, demonstracji uczuć. Nieoceniona pomoc Richarda była jedyną rzeczą, którą przyjął. Kiedy został zwolnionym z aresztu za kaucją, zjawił się John. Ze zdenerwowania był sztywny jak kij. Torturowany poczuciem osobistej klęski, gotów był wygłaszać kazania, ale też i wybaczyć. Vincent jednak nie prosił o przebaczenie. Nie bronił się, w ogóle nic nie mówił. Jego milczenie wywołało wściekłą tyradę, a to z kolei sprawiło, że Vincent jeszcze bardziej zamknął się w sobie. Ich kłótnie przypominały potyczkę dwóch królów, z których żaden nie może przegrać i żaden zwyciężyć.

- On jest w stanie ci pomóc - powiedział adwokat Vincentowi. - Jesteś jego jedynym synem. Poproś go. Jeśli odda te pieniądze lub przynajmniej ich część...

- Mowy nie ma - odparł Vincent apatycznie. - Wolałbym pójść do więzienia.

- Pewnie tym się skończy.

I wtedy zaczął rozumieć. Bez pomocy ojca pójdzie do więzienia. On, Vincent Scarpia Savage, absolwent Cambridge i Gordonstoun, zostanie zamknięty w celi jak byle złodziejasek z ulicy. Niewyobrażalne, niemożliwe. Jednak w miarę jak zbliżał się proces, mury więzienia rosły w jego myślach, kładły się plamą na przyszłości. Adwokat, który chcąc zdobyć jego zaufanie na początku kipiał optymizmem, przestawił się na pesymizm, by pokonać jego upór.

- Co komu po dumie? - pytał naśladując nieświadomie Judasa Carsona. - Duma nie zrobi wrażenia na przysięgłych. Trzeba spróbować wzbudzić ich współczucie. Na początek mógłby pan poćwiczyć na ojcu.

Ale duma Vincenta była nieodłączną cechą jego charakteru i nie potrafił tak łatwo wyzbyć się jej. Pamiętał inne niedawne słowa Judasa, pewien dwuznaczny komplement, który - zapewne zgodnie z zamierzeniem autora - połechtął jego próżność. „I nie poprosisz ojca o pomoc nawet stojąc przed plutonem egzekucyjnym.” Próżnością, podobnie jak dumą, nikt się jeszcze nie najadł. Próżność też nie zrobi wrażenia na przysięgłych. Ale on właśnie chciał pokazać między innymi, że jest niezależny. Nie potrafił paść do nóg niby syn marnotrawny, pokorny, pełen skruchy, i zaprzeć się siebie, dopasować do wzoru syna, jakiego prawdopodobnie pragnął jego ojciec. Tygodnie mijały, rozprawa była coraz bliżej. Vincent myślał już tylko o kratkach więziennych, zza których nie ma wyjścia. W końcu jednak kuzynowi udało się go przekonać.

- Pójdiesz do więzienia z powodu uporu - powiedział Richard. - Do tego to się sprowadzi. Obaj z wujem jesteście uparci jak osły. Ty nie poprosisz go o pomoc nawet w ostateczności, on natomiast nie pomoże ci, jeśli go nie poprosisz. Pierwszy raz widzę, żeby dorośli ludzie tak się zachowywali. Jeśli cię zamkną, pęknie mu serce, ale jest stary i głupi, i nie schyli się do ciebie. Daj mu szansę. Poproś go. Ile cię to będzie kosztować?

- Wszystko - odparł Vincent.

- Nic - rzekł Richard.

Następnego dnia Vincent pojechał do Uroczyska. John już się go prawie nie spodziewał. Napięcie towarzyszące długiemu oczekiwaniu sprawiło, że zasklepił się jak ślimak w skorupie. Ponuro przywitał Vincenta, nie przyznając się nawet przed sobą samym, że poczuł ulgę. Próba pojednania od samego początku była skazana na niepowodzenie. Vincent, który przyszedł do ojca nie tyle wbrew swej woli, co wbrew swemu charakterowi, natychmiast się usztywnił. Miał się ukorzyć, a zamiast tego z kamienną twarzą, niechętnie, monosylabami przyznał, że popełnił przestępstwo. Kiedy John zaczął domagać się od niego okazania skruchy, wycofał się nawet z tego twierdząc, że w swym postępowaniu brał przykład z ojca - jego grzechem była nie nieuczciwość, lecz błąd. John, przedtem gotów winić siebie na równi z synem, był tym przerażony. Prześladowany wspomnieniem niezdyscyplinowanego dziecka i zdzienniałej, nieudolnej, rozwiązłej matki, nagle zobaczył, że wychowanie Vincenta było ciągłym folgowaniem jego kaprysom. „Zepsułem go - zwierzał się później Elizabeth. - Należało być surowszym. Jestem równie winny co on." Nie potrafił wysławiać się jak syn, więc jego zdenerwowanie znalazło ujście w podniesionym głosie, waleniu pięścią, wypowiedaniu ciętych zdań, które Vincent lekceważąco nazwał banałami.

- To co, że banały? - wykrzyknął John. - Banał to często powtarzana prawda. To dla twojego pokolenia typowe: jeśli coś jest dobre i trwałe, musicie to oczernić i przykleić tanią etykietkę. Honor, wiara, zasady, to są tylko banały.

Banały! Proszę bardzo. Jestem prostym człowiekiem i wierzę w banały. Przeżyłem życie kierując się staroświeckimi zasadami i dopilnuję, żebyś ty też tak żył, póki nie wróci na nie cholerna moda! Dobro jest dobrem, a zło złem, bez względu na to, jakie nadasz im nazwy. Odrzuć eufemizmy, a kradzież pozostanie kradzieżą. Mam syna złodzieja i nie zamierzam słucać

wierzyieli, żeby zachować twarz. Poniosę konsekwencje i klnę się na Boga, że ty też je poniesiesz! Może więzienie nauczy cię moralności, bo ja nie zdołałem.

Vincent otworzył usta i zaraz je zamknął, zaciskając wargi. W pokoju panowała podminowana cisza. John był czerwony na twarzy, jego syn wściekły. Sepiowy mrok gabinetu Johna, otoczony sięgającymi pod sufit grzbietami nie przeczytanych książek i cieniami rzucanymi przez zasłony i gzymsy sprawiał, że wyglądali obaj jak z innej epoki - oto wiktoriański patriarcha wydziedzicza niegodnego spadkobiercę. Światło padało głównie na Vincenta i wydobywało z mroku bladość jego zapadłego policzka. Przypuszczalnie atmosfera Uroczyska, zalatująca melodramatem, udzieliła się im obu. Ich kłótnia była nowoczesna, ale ich upór był staroświecki, utrwalony przez czas, nie do podważenia jak te antyczne meble.

W końcu Vincent się odezwał.

- Węzienie nie uczy moralności, tato.

Jego głos zabrzmiał jednocześnie szorstko i młodo, i John na moment zmiękł. Vincent prawie nigdy nie zwracał się do niego per tato.

Vincent wyczuł niewidzialną reakcję Johna, wiedział, że sprowokował ją odwołując się do słowa, którego nigdy nie używał, zacisnął więc drżącą dłoń, zacisnął wargi i patrzył na ojca z największą zuchwałością, na jaką potrafił się zdobyć. Nie wolno mięknąć, nie wolno się narzucać, bez względu na cenę, jaką przyjdzie za to zapłacić. Oczy Savage'a spotkały oczy drugiego Savege'a i czar chwili prysnął.

Po powrocie do Londynu Vincent powiedział Richardowi:

- Nie da rady. - Starał się powiedzieć to lekko, jak gdyby chodziło o jakąś zwykły niewiele znaczącą sprawę, lecz w środku czuł się chory. Nawet nie strzepnął z ramienia ręki Richarda. Zawsze się szczycił, że jest samotnikiem, trzyma się na uboczu i nie potrzebuje nikogo; teraz, pierwszy raz odkąd sięgnął pamięcią, poczuł się autentycznie osamotniony, świadomie samotny, odcięty od innych szklaną ścianą, przez którą nie mógł wyciągnąć ręki ani się porozumieć. Jak gdyby już był w więzieniu stworzonym przez siebie samego. O Crystal prawie zapomniał, należała do grona byłych dziewcząt, które zjawiały się i znikaly, nie zostawiając żadnego trwałego śladu. Nawet gest Richarda wydawał się nieco odległy, jak gdyby ta dłoń należała do innego wymiaru, innego czasu. Niemal

zaraz po rozprawie życie Vincenta jakby się zatrzymało. Uświadomił sobie wtedy, że strach to ta zimna pustka w środku. Wiedział, że strach jest słabością i dziecinadą, walczył więc z nim, ale nie mógł go w sobie zdusić. Był mężczyzną, kiedyś miał się za silnego, a mimo to jak dziecko bał się pójścia do więzienia. Potrafił jedynie powstrzymać się od dygotania.

W ostatniej chwili John zmienił decyzję. Ale było już za późno

- za późno, by spłacić rozjuszone towarzystwa budowlane, za późno, by zatrzymać niewzruszoną maszynę sądową. Prawnik Johna sapał i stękał, lecz sąd już się zebrał, przysięgli byli wybrani, sędzia w peruce i todze - sprawiedliwości już nie dałoby się włożyć kagańca, zwekslować na inne tory. John chodził nerwowo i gotował się. Chodził tak w pałacyku Piersa Percivala Surreya, dokąd się udał po ostatniej wizycie w biurze adwokata. To, co mówił Piers, też nie podnosiło go na duchu.

- Za późno to gorzej niż nigdy. Miałeś szansę, ale odtrąciłeś ją. Teraz już nic nie możesz zrobić. Zostaw to swemu biegowi.

- Jutro muszę być w sądzie.

- Dziennikarze zjedzą cię na śniadanie, a Vincent - jeśli będzie w stanie cię zauważyć - przypuszczalnie uzna, że przyszedłeś rozkoszować się jego klęską.

- Tak czy inaczej pójdę. Pójdiesz ze mną?

- Nie, nie pójdę. To twój syn, nie mój. Nie jest nawet moim chrześniakiem. Na szczęście Richard okazał się mniej absorbujący. Nie zamierzam być męczennikiem z powodu Vincenta. Jemu nawet do głowy nie przyszłoby mi za to podziękować.

- Myślałem, że go lubisz - zauważył John.

- Nigdy tego nie powiedziałem. - Piers był przesadnie dokładny.

- Uważam go za interesujące studium, trochę jak obraz Goi. W Vincencie jest coś, co intryguje, fascynuje, a zarazem odpycha. Nie chciałbym, żeby wisiał w pokoju, w którym często przebywam.

- Nie mów o wiszeniu - obruszył się John. - I bez tego jest źle.

- No, nie przesadzaj - odciął się Piers.

W sądzie, tak jak przewidywał Piers, dziennikarze rzucali się tłumnie na Johna, gdy wchodził i gdy wychodził, syn natomiast nie zaszczycił go ani jednym spojrzeniem. Vincent zachowywał się w czasie procesu jak automat, wstając i siadając na rozkaz, od-

powiadając swemu adwokatowi i prokuratorowi zwięźle i monotennie, patrząc ślepo przed siebie podczas zeznań świadków. Przysięgli uznali jego zwięźłość za szorstkość, monotony ton za obojętność, niewidzące spojrzenie za dowód złych zamiarów. Sędzia, który jakieś pięćdziesiąt lat wcześniej sam wysłał syna do Gordonstoun, uważał, że Vincent zdradził spartańskie ideały tej szkoły i gdyby prawo na to zezwalało, najchętniej skazałby go na karę chłosty. Jak większość sędziów uważał, że wkładając aksamit i gronostaje, wkłada płaszcz Salomona; nie wystarczyło mu, że wykonuje zawód i odczytuje wyrok, żałował, że nie może bardziej tego celebrować. Powiedział, że Vincent nie potrzebował sprzeniewierzać pieniędzy, bo był bogaty i uprzywilejowany, a nawet mądry, że wszystkie drzwi stały przed nim otworem, wspaniałe możliwości leżały u stóp. Nie może usprawiedliwiać swego przestępstwa potrzebą, ciężkim życiem; dopuścił się go z czystej zachłanności i braku skrupułów moralnych! Postępując tak zawiódł zaufanie, jakie pokładała w nim szkoła, uniwersytet, a przede wszystkim rodzice, porządni obywatele o nieposzlakowanej opinii, którzy mieli prawo oczekiwać po swym dziecku czegoś więcej. (Sędzia na operach zwykle spał, nie domyślił się więc, że matką Vincenta jest Jolanda Scarpia.) Miejmy nadzieję, zakończył że czas spędzony w więzieniu oskarżony wykorzysta do przemyślenia swych błędów.

John skrzywił się na tak mu okazaną sympatię i pompatyczne echo swego własnego bezkompromisowego oświadczenia. Richardowi, który chciał dotrzeć przez tłum do kuzyna, nim go zabiorą, udało się tylko zobaczyć go nad głowami strażników. Skrzyżowali spojrzenia, ale nie zdążyli już zamienić ani słowa, a na uścisk dłoni stali za daleko od siebie. Teraz Richard poczuł się chory, chory i wściekły, choć wiedział, że Vincent jest sam sobie winien. Co zaś do Vincenta! to prawie nie słyszał pompatycznej jeremiady sędziego. Od początku uważał ten proces za przedstawienie, sędziego za postać wziętą żywcem z Dickensa, przysięgłych za bandę głupców, którzy myśleli i słyszeli tylko to, co im kazał Wysoki Sąd. Kiedy przystąpiono do ogłoszenia wyroku, Vincent niemal się spodziewał, że ktoś zawoła „Ściąć go!”, a przedstawiciele sądu zamienią się w talię kart. Chciał się głośno roześmiać, by pokazać, jaką pogardę żywi do nich wszystkich, ale usta miał zaciśnięte, a struny głosowe sparaliżowane. Nierzeczywistość stała się rzeczywistością, teatr okazał się sądem, a talia kart wydała na niego wyrok skazujący. Nie mógł się śmiać,

a nie wolno mu było się rozplakać. Pozostała mu jedynie godność. Nim strażnicy wyprowadzili go z sali, zdążył jeszcze spojrzeć na ojca, który torował sobie drogę ku niemu. Kiedy spytano go, czy chce się pożegnać z rodziną, odpowiedział, że nie. Wsadzono go do furgonu, zatrzaśnięto drzwi. Nim John zdążył powiedzieć, że chce zobaczyć się z synem, furgon odjechał.

Crystal usłyszała wiadomość przez radio, kiedy siedziała w domu z odłączonym telefonem. Włosy wysunęły się jej spod ręcznika i spłynęły na plecy jak wodorosty. Nie poszła dziś do sądu, bo wystąpiła już we wszystkich swych kapeluszach z dużym rondem, a poza tym nie miała ochoty zobaczyć siebie w tygodnikach. Wobec tego została w domu i umyła włosy. Dlaczego nie? - powiedziała do matki. Życie toczy się dalej. Mycie włosów było jednym ze sposobów zabicia czasu, który włókł się dla niej niemiłosiernie, gdy czekała na to, czego się najbardziej obawiała. Richard uprzedził ją, jak cała ta historia może się skończyć - parę miesięcy wcześniej - a mimo to ubrana w suche słowa wiadomość w radiu zaszokowała ją. Winny. Osiemnaście miesięcy w więzieniu. A więc to koniec. Koniec jej romansu, koniec jej ostrożnych marzeń. Jeśli w ogóle był jakiś romans. Los od jakiegoś czasu rozsypywał płatki, rwał różę na kawałki, aż w końcu został pusty kielich i kilka ziarenek bólu. Powiedziała sobie, że zaczekałaby na niego - osiemnaście miesięcy lub osiemnaście lat - gdyby tylko poprosił ją o to, ale nie poprosił. Zmyślając w sądzie te ich zaręczyny, uczyniła *beau geste*, a on go zignorował. Wymowa tego faktu była boleśnie oczywista. Usiłowała zobaczyć siebie, jak czeka na niego pod więzieniem w dniu, w którym wyjdzie, ale to nawet trudno było sobie wyobrazić. Crystal Winter, jedna z najmodniejszych modelek, o idealnej twarzy i idealnych manierach, nie mogła przecież czekać pod więzieniem przestępując z nogi na nogę na pozbawionego przyszłości byłego skazanego, który w dodatku przypuszczalnie nie rzuciłby się jej w ramiona, może nawet nie zwróciłby na nią uwagi. Skończyli czytanie wiadomości i wróciła znajoma muzyka rozrywkowa, wystukująca rytm w jej głowie. Crystal oparła czoło na dłoni w pozie podpowiedzianej przez instynkt. Zadrżała jej dolna warga.

- Masz, napij się herbaty. - Mona Winter, w przewidywaniu nieszczęścia, od pory lunchu przed każdymi wiadomościami parzyła świeżą herbatę.

- Wiesz, myślę... że dobrze się stało, że nie wyszłaś za niego. Crystal milczała.

- Będiesz pisać do niego? Nie sądzę, żeby...

- Jeszcze się zastanowię - Crystal uniosła głowę ukazując suche oczy. - W tej chwili nie wiem. Po prostu nie wiem. Wątpię, żeby ostatnio w ogóle o mnie myślał. W miarę jak proces się zbliżał, był coraz chłodniejszy. Wiesz, to śmieszne, naprawdę śmieszne - powiedziała, nie wyglądając jednak na rozbawioną - kiedy jego rodzina zdawała się mnie akceptować, Richard zachowywał się tak wspaniale, my... zaczęliśmy się od siebie oddalać. Myślałam, że go kocham, naprawdę tak myślałam, lecz... - przerwała.

Chciałam go kochać, chciałam go, lecz mnie odepchnął. Tego nie mogła powiedzieć, a nawet pomyśleć. Nikt nigdy nie odepchnął Crystal. Nagle zaczęła płakać, bardziej ze złości niż z żalu, jej pierś rozrywały silne nieregularne łkania. Mona zaczęła głaskać ją po wilgotnych włosach i mruzczyć banalne pocieszenia. Nie ruszyła się, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi.

Crystal siłą woli odzyskała panowanie nad sobą.

- Lepiej idź - powiedziała. - To na pewno tylko dziennikarze, mimo to... Nie, nie będę z nikim rozmawiać. Nie chcę nikogo widzieć. Chyba tylko Richarda.

Mona wstała.

- Richard to miły młody człowiek - zauważyła.

W furgonie więziennym Vincent, jak słusznie przypuszczała Crystal, nie myślał o niej. Richard o niej myślał.

Zamierzał towarzyszyć wujowi, choćby tylko dla okazania solidarności, ale kiedy John dał nura do prowadzonego przez szofera Royce'a Piersa Percivala, Richard pozostał sam z sobą. Umknął nacierającym fotoreporterom, złapał taksówkę i podał adres Crystal. Dla Vincenta nie mógł już nic zrobić, dla Johna też niewiele, ale Crystal go potrzebowała. W ostatnich miesiącach stało się to ogromnie ważne. Crystal go potrzebowała. Taksówka, stosownie zachęcona, wiozła go do niej.

Rozdział czwarty

Vincent odsiedział sześć miesięcy ze swego wyroku, sześć miesięcy, które, jak później twierdził, odmieniły go na zawsze. Ale mylił się. Charakter się nie zmienia, tylko wyrabia. Silny staje się silniejszy, słaby słabszy. W trudnych sytuacjach zaczynają dominować wrodzone cechy charakteru. Odcięty od luksusu i swego środowiska, wyizolowany i wyobcowany, Vincent został zmuszony do polegania wyłącznie na sobie, do nauczenia się, kim naprawdę jest. Początkowo umieszczono go w Wormwood Scrubs*, a ponieważ jego wyrok był stosunkowo krótki, postanowiono go tam pozostawić. Vincent nie miał pojęcia, czego się spodziewać. Nawet w furgonie nie myślał jeszcze o więzieniu. Był tak oszołomiony wydarzeniami, że z trudem przychodziło mu dożyć kolejnej minuty. W areszcie miał celę dla siebie, więc automatycznie przyjął, że w więzieniu będzie tak samo - że niczym współczesny Edmund Dantès znajdzie się w godnym odosobnieniu będącym nieco bardziej cywilizowaną odmianą zamku If. Wyobrażał sobie dużą celę umożliwiającą odbywanie nerwowych spacerów, gołe ściany, twarde łóżko, kilka dodatkowych urządzeń stosownych dla dwudziestego wieku. Będzie spoglądał przez „mały okratowany otwór, za którym widniał tylko skrawek nieba" **, i bez przeszkód snuł swe ponure rozmyślenia. Tymczasem zaprowadzono go do pokoiku tak wąskiego, że dwie prycze niemal nakładały się na siebie, ściany były wytapetowane zdjęciami nagich kobiet, a dodatkowe urządzenia sprowadzały się do wiaderka. - Nie dysponujemy apartamentami i schłodzonym szampanem

* **Więzenie w zachodniej części Londynu (przyp. tłum.).**

** **Aleksander Dumas, *Hrabia Monte Christo*, przeł. Julian Rogoziński, Książnica 1989.**

- oświadczył strażnik, któremu nie przypadła do gustu oksfordzka wymowa Vincenta. Współlokator spojrział na niego matowymi oczyma z wyćwiczonym brakiem zainteresowania. Wyglądał na o parę lat starszego i osiem-dziesięć centymetrów wyższego. Był nieprawdopodobnie szeroki w ramionach, które, gdy leżał na łóżku z podwiniętymi nogami, sięgały niemal od ściany do ściany, zajmując znacznie więcej miejsca, niż mu przysługiwało. Miał posagowe rysy Karaiba, na które nakładała się czujność londyńczyka, strukturę kostną stalowego słupa trakcji elektrycznej, włosy ogolone do łysej czaszki. Nie raczył się przywitać. Vincent, który z reguły nie dawał się łatwo zastraszyć, poczuł się nieswojo. Współlokator zapalił papierosa i oddał się tej czynności z wielkim skupieniem. Nie poczęstował Vincenta. Nie orientując się, że w więzieniu wszystko podlega wymianie, Vincent uznał go za nieuprzejmego. Nie pozostawało mu nic innego jak położyć się na swojej pryczy z rękoma pod głową i gapić w sufit. Głos rozsądku mówił mu, że to jest rzeczywistość, do której musi się przystosować, bo inaczej zginie, ale inny głos wewnętrzny ciągle go buntował. Niemożliwe, że mu się to zdarzyło, każdemu, tylko nie jemu. Czy to naprawdę on znajduje się w ciasnej celi między wrogo usposobionym czarnym olbrzymem a zdjęciem Chesty Morgan, pilnowany przez strażników, otoczony przez kraty, wewnątrz murów, i nasłuchuje pobrzękiwania kluczy, odgłosu zatraskiwanych drzwi? Na pewno ktoś zaraz przyjdzie, wypuści go stąd przepraszając gorąco i powie, że wszystko było strasznym nieporozumieniem. Ale nikt się nie pojawiał. Czyjeś kroki minęły ich celę i stopniowo ucichły. Nikt nie przyszedł.

- No to jak cię nazywają? - spytał w końcu jego współlokator.

- Vincent Savage. - Chwila nie wydawała się odpowiednia, żeby podać nazwisko w pełnym brzmieniu.

- Wołają na ciebie Vin?

- Nie. Nienawidzę tego. Tamten coś rozważał.

- Cześć, Vin - powiedział po chwili ni to zaczepnie, ni to złośliwie, ale nie wyglądał na złośliwego. Był zbyt duży i zbyt czarny.

Vincent na próżno czekał, że Murzyn odplaci mu stosowną informacją o sobie. W końcu sam musiał spytać:

- A ty jak się nazywasz?

- Hannibal Baker. Dla przyjaciół Han.

- Cześć, Han.

- Czy powiedziałem, że zaliczam cię do przyjaciół?

Początek nie był obiecujący. Dużo później Vincent próbował odpłynąć w sen, nie zawsze jednak udaje się to osiągnąć staraniem. Chwilami nawet odpływał, ale nie zasypiał. Zatrzymywał się na granicy zapomnienia, w półmroku krainy cienia, gdzie nie liczyły się kraty i zamki. Za każdym razem, gdy już miał osunąć się w mrok, jakaś zmiana rytmu płynących snów przywracała mu świadomość, raz tak gwałtownie, że prycza chyba się pod nim zatrzęśła. Czuł się zarazem wyczerpany i napięty, jak gdyby jego układ nerwowy został rozciągnięty na wewnętrznej pustce. Przestał myśleć o przeszłości i przyszłości, funkcjonował jedynie w teraźniejszości, w zamglonej przestrzeni w połowie drogi między snem a jawą. Raptem wydało mu się, że słyszy pohukiwanie sowy, dźwięk, który pasował raczej do Uroczyska niż do Londynu, a już na pewno nie do więzienia. Temu dźwiękowi odpowiedział inny, i jeszcze inny, warknięcie lisa, wycie szakala, śmiech hieny, a wkrótce cały budynek rozbrzmiewał głosami zwierząt, lepiej lub gorzej naśladowanych, zwielokrotnionych przez ludzkie zoo wokół. Słyszał małpie narzekania, skrzek papug, miarowe tupanie i szczęk kubków uderzanych o kraty. Potem już wiedział, że to młodzi więźniowie wyładowywali nadmiar energii - częściowo protestując, częściowo po prostu błaznując - ale tej pierwszej nocy pomyślał, że zwariowali; że przez pomyłkę z normalnego świata trafił do domu wariatów, którym się wydaje, że są zwierzętami. Gdy harmider po jakimś czasie ucichł, zastąpił go inny denerwujący dźwięk, mianowicie chrapanie Hannibala. Pierś Murzyna unosila się i opadała, a z nozdrzy wydobywało się głębokie bulgotanie podziemnego potoku. Wreszcie Vincent nie wytrzymał. Wyciągnął rękę i stuknął go pod żebra. Hannibal przewrócił się na bok i dla odmiany zaczął pochrząkiwać. Chrapał dalej, tyle że w innej tonacji. Vincent do świtu zastanawiał się, czy przeżyje te wszystkie kręgi piekła.

Oczywiście przeżył, bo nie miał innego wyboru. W Gordonstoune nauczył się znosić rygory, tu nie pozostawało mu nic innego. W pewnym sensie więzienie przypominało szkołę z internatem: rządy autorytarne, rozmaite obostrzenia, nieuniknione frustracje, erotyczne dowcipy charakterystyczne dla środowiska osobników tej samej płci. Podobnie jak w szkole tu też Vincent wyżywał się w sporcie, ćwicząc codziennie w siłowni w towarzystwie doborowych zbirów, którym po wyjściu z więzienia marzył się awans z bijatyk z nożem na napady z bronią. Z przyzwyczajenia trzymał się na

uboczu i na początku większość więźniów traktowała go wrogo i nieufnie. Był dla nich dumnym, zarozumiałym palantem z wyższych sfer, który za dużo czytał, przy jedzeniu nie opierał łokci na stole i starannie wymawiał słowa. Niekiedy dokuczali mu wartownicy, przypuszczalnie z tego samego powodu.

- Widzę, że klawisze się na ciebie uwzięli - zauważył Hannibal. - Wiesz czemu?

- Drobiazg. Pewnie zapomniałem o napiwkach - odparł Vincent. Hannibal roześmiał się.

- Nie, to nie to. Odgrywasz wielkiego pana. Lorda. O to im chodzi. Bo weźmy na ten przykład tego Clauda z końca korytarza, co to go przezywają Lizusem. On też gada jak wielki pan, ale nie odstawia lorda. Podlizuje się i nie traktuje nikogo z góry. Jak dajmy na to ty. Więźniowie za tym nie przepadają, a co dopiero klawisze. Jak myślisz, czemu ktoś chce być klawiszem? My jesteśmy tutaj, bo tak zachciało się sędziemu, a klawisz, bo lubi tę robotę. Lubi mieć mundur, rozkazywać i odstawiać waźniaka. Jak gliny. Wśród klawiszów znalazłoby się kilku porządnych facetów, ale nie w pudle takim jak to. Ci to świnię. Mają władzę, a nas traktują jak gówno. Lepiej bądź ostrożny, Vin. Przyjacielska rada. Myślisz, żeś szczwany? Więc powiem ci: jesteś niewinny jak dzieciak.

- Straszysz mnie? - spytał spokojnie Vincent, zamykając Lena Deightona, którego wypożyczył z biblioteki.

- Nie. Nie słuchałeś. Gdybym chciał cię przerobić, nie traciłbym czasu na gadanie. Jesteś w porządku. Na początku myślałem, że będziesz bardziej upierdliwy, ale powoli się do ciebie przyzwyczajam. Już nawet przywykłem do twojego mówienia. Może jak stąd wyjdę, sam będę mówił jak w telewizji. Przynajmniej nie psujesz powietrza jak Evans i nie dłubiesz łyżką w nosie jak Dooley. Mówiłem mu, że nieładnie tak dłubać. Mama mnie nauczyła. Wiem, jak się zachować.

- I co? Posłuchał? - zainteresował się Vincent.

- Niechby nie posłuchał - odparł Hannibal bez fałszywej skromności. Vincent, który już też przyzwyczał się do swego współlokatora, mimowolnie się uśmiechnął.

- Dużo czytasz, co? - podjął Hannibal.

- To pozwala zabić czas.

- Dobry jesteś w czytaniu?

Zbity z tropu tym pytaniem, Vincent uniósł głowę nad książki i zmarszczył czoło.

- Nie rozumiem...

- No, czy potrafisz czytać pisane litery, czy tylko drukowane?

- To zależy.

- Bo wiesz, dostałem list od narzeczonej. Nie pisze najwyraźniej. Jakżeś taki mądry, to spróbuj go przeczytać. W tonie Hannibala zabrzmiało udawane niedowierzanie. Ale Vincent nie dał się nabrać. Wziął list i najpierw go obejrzał. Były to dwie strony papieru w linie, pokryte starannym dzieciennym pismem, które wydawało się wyjątkowo czytelne. List podpisała Lexy.

Odczytał go bez komentarza.

- Dobrze czytasz - pochwalił go na końcu Hannibal. - Pewnie chodziłeś do szkoły dla lepszych ludzi.

Vincent skrzywił się.

- Zgadza się. Ale poziom nie był wygórowany. Byłem dobry, więc myśleli, że jestem zszikowany.

- Wiesz co? Mój nauczyciel też uważał mnie za przygłupa. Miałem dwanaście lat i byłem z piętnaście centymetrów wyższy od niego. Masz tylko mięśnie, ale brak ci mózgu, powiedział. No to mu przywaliłem. - Po chwili zastanowienia Hannibal dodał: - Nie za wiele mnie nauczył.

- Nic dziwnego.

- Właśnie. Nie miałem czasu na naukę. Byłem zajęty czym innym. Tera sobie myślę, że dzieciaki powinny się uczyć. No, ale jak nauczyciel uważa cię za matoła, przeżywa, to co zrobić? Gdybym miał nauczyciela w porządku, tobym dziś czytał tak samo dobrze jak ty. Masz, spróbuj jeszcze ten. To od drugiej narzeczonej. Ta pisze naprawdę okropnie.

Tym razem jego ocena była trochę usprawiedliwiona. Jayne, w przeciwieństwie do Lexy, kichała sobie na linijki. Jej słowa wiły się i skręcały niczym glisty, to wznosząc się, to opadając. Wszelako obie wyrażały swe uczucia podobnie, posługując się wyświechtanymi frazesami na temat namiętnej miłości, które przetykały chaotycznie różnymi wiadomościami. Judi urodziła dziecko. Doli została aresztowana za nagabywanie na ulicy. niesprawiedliwie. Tylko dlatego, że jest czarna i nosi krótką spódniczkę. W chińskiej knajpie z jedzeniem na wynos zapaliła się smażalnica i wszystko się sfajczyło. Tęsknię jak nie wiem.

Nasunąwszy dolną wargę na górną Vincent usiłował wyobrazić sobie list od Crystal. Ale Crystal nie pisała. Ostatnio częściej o niej

myślał, zwykle w nocy. Przywołał wargi do porządku. Widać pod wpływem stresu zrobił się uczuciowy, skoro te banały dziwnie go wzruszyły.

- Co w tobie jest takiego, czego ja nie mam? - spytał, żartując sam z siebie.

Hannibal uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Zgadnij. Czarni faceci mają wszystkiego więcej.

Hannibal miał, jak się okazało, trzy narzeczone - Jayne, Lexy i Di. Pisały do niego raz w tygodniu, a odwiedzały na zmianę. Hannibal bał się jedynie, czy nie pokręcą kiedyś dat. Twierdził, że kocha wszystkie, ale każdą za co innego

- Jayne za dobry charakter, Lexy za romantyczną naturę, Di za urodę. Niebawem nadeszły fotografie. Jayne była pulchna, miała bardzo szeroki uśmiech i błyszczące kasztanowe piersi. Z kolei Lexy była chuda, bardziej żółta niż czarna i włosy sterczały jej jak druty. Di była obłądną blondynką o figurze lalki Barbie, co miało ją upodabniać do Diany Ross.

- Dlatego wołam na nią Di. Naprawdę na imię ma Helen. Jayne miała dziecko z poprzednim narzeczonym, Di męża. Z nich

trzech Vincentowi najbardziej spodobała się Lexy, ta od czytelnego charakteru pisma, pewnie dlatego - jak twierdził Hannibal - że nie miała biustu.

- Wszyscy jesteście podobni - oświadczył. - Chcecie, żeby dziewczyny wyglądały jak deski. To przez te zasrane prywatne szkoły, które robią z was pedałów.

- Uważaj, co mówisz, kochanie - mruknął Vincent.

- Tutaj - odparł Hannibal - to wcale nie jest żart. Vincent przejrzał jeszcze raz zdjęcia.

- Odpisujesz im? Masz sporo roboty.

- Nieee. To ja siedzę w kiciu i potrzebuję listów. Pociechy. One są na wolności. I bez czytania listów mają dość roboty. Vincent zawahał się, po czym zaryzykował pytanie:

- Nie potrafisz ani czytać, ani pisać, prawda?

- To przez oczy. Bo widzisz, ja...

- Pieprzysz. Wzrok masz tak samo dobry jak ja. Ciemną nocą potrafiłbyś policzyć zmarszczki na sutkach Chesty Morgan. Nie potrafisz pisać ani czytać. Przeszedłeś szkołę nie przyswoiwszy sobie nawet podstawowych rzeczy. To tak *à propos* państwowych szkół. - Vincent słyszał o analfabetach, ale dotąd nie znał żadnego, a już na pewno się nimi nie przejmował. Ale wstrząsnęło to nim, podobnie

jak jego dziadkiem wstrząsnęła dezercja, a ojcem oszustwo. Dla Vincenta było oczywiste, że ludzie potrafią pisać, czytać i liczyć.

- Nie mów nikomu - rzekł Hannibal pochylając się do przodu.

- Daj słowo honoru, kolego. Tak samo powiedziałem Evansowi Pierdzielowi. Zacznieś kłapać jadaczką poza celą...

- Nie bądź idiotą - warknął Vincent. - Przecież sam mi wytykałeś, że się wynoszę i z nikim nie rozmawiam. - Po czym naumyślnie dodał niegramatycznie: - Już ja tam nikomu nie bede gadał.

Założyłby się, że wszyscy wiedzieli, tylko albo było im to obojętne, albo woleli nie wygadać się z tym przed Hannibalem.

Hannibalowi natomiast nie było obojętne, że jest analfabetą. Widać to było aż nadto wyraźnie. Siedział na pryczy z trudem dochodząc do siebie.

- No dobra - powiedział w końcu. I: - Jesteś w porządku, Vin.

- A po chwili: - Pomógłbyś mi napisać list? To znaczy, gdybym kiedyś czuł taką potrzebę.

- Jasne. - Vincent otworzył Lena Deightona i zaraz znowu go zamknął. - Teraz?

Hannibal znał prawie cały alfabet - mylił się tylko przy M, N i O - i potrafił przeczytać kilka prostych słów. Ale nie poza tym. Vincent nie chciał całkowicie wyręczać go w pisaniu listu, bo uważał, że nawet tylko przepisując, Hannibal czegoś się nauczy. I tak Hannibal zaczął się uczyć, Vincent zaś mimo woli został nauczycielem. Nie należał do cierpliwych, filantropia go nie pociągała, ale zajęcie to, podobnie jak thriller Deightona, pomogło zabić czas. A czas w więzieniu wyjątkowo się dłuży. Po wyciskających ostatnie poty szaleńczych treningach kipiał energią, której nie miał gdzie wyładować. Zamknięci w celi milczeli lub rozmawiali, opowiadali sobie anegdoty ze swych różnych światów, nacechowane zastanawiająco podobnym sarkazmem. W końcu jednak rozmowa urywała się ustępując miejsca wlokącym się sekundom, ociągającym się minutom, a szara nuda zamieniała się w czarną rozpacz. Wtedy Vincent sięgał po długopis i papier mówiąc: „No dalej. Napiszmy jeszcze jeden list. Tym razem może do Jayne." Lub Di, albo znowu do Lexy. Zmuszanie Hannibala do obcego jego naturze wysiłku umysłowego i skupienia myśli dawało nieprzewidziane wyniki. Minęło wiele dni, całe miesiące dni zrywanych ze ściennego kalendarza z sobowtórem Raquel Welch w przepasce na biodrach ze skóry lamparta. Teraz pobyt w celi wydawał się Vincentowi łatwiejszy, a zarazem trudniejszy niż na

początku. Łatwo znosił obecność Hannibala, poza chrapaniem oczywiście, trudne natomiast okazały się bezsenne noce, kiedy myśli, które usiłował odsunąć od siebie, wyłaziły ze swych nor, by go prześladować.

- Jak to robisz, że tak dobrze śpisz? - spytał kiedyś Hannibala.

- Jestem tu po prostu dłużej, nie? Przywykłem. Najważniejsze to przyzwyczaić się. Mówię ci. A poza tym ja zawsze dobrze sypiam. Mam czyste sumienie.

Vincent chciał spytać, za co więc trafił do więzienia, ale zmienił zamiar. Nauczył się już, że takich pytań tutaj się nie zadaje. Hannibal jednak czytał w jego myślach.

- Robota nożem - powiedział. - Tyle tylko, że facet rzucił się na mnie i nie miałem wyboru. Ale kiedy jesteś czarny, na zasiłku, a gliny mówią, że przywaliłeś policjantowi, który cię aresztował] sędzia cię nawet nie wysłucha.

- Ten facet, którego potraktowałeś nożem - zaczął Vincent siląc się na obojętny ton - umarł?

- Coś ty. Był za duży, a nóż za mały. Miał kałdun jak dynię. Upuściłem mu trochę krwi, co pewnie wyszło mu na zdrowie.

Vincent się zamyślił. Po chwili Hannibal przerwał ciszę:

- Ty tu jesteś za oszustwo, tak?

- Zgadza się.

- To słabo. Oszustwo to chłam. Robota nożem to co innego. Dlatego się tu ze mną liczą. Chociaż nie tak jak z zabójcą gliniarza. Taki to dopiero gość. Ale mnie też szanują. Oszustwo to nic nie jest. Przepięstwo dla urzędniczyny.

- Ale to było oszustwo na dużą skalę - pochwalił się Vincent. -No, mam nadzieję. Nie chciałbym siedzieć z jakimś pętakiem. Vincent roześmiał się.

- Tak naprawdę to nie zrobiłem nic złego - rzekł. - Po prostu trochę mi nie wyszło. Przegapiłem jeden drobny szczegół. Byłem... jakby to powiedzieć... uczciwie nieuczciwy, jawnie zamaskowany. Gdybym był hipokrytą, poklepaliby mnie po plecach i życzyli dalszych sukcesów.

- Wiem, wiem, jesteś czysty jak łąza - zgodził się Hannibal. - Tu są sami czyści. Takie obowiązują tu przepisy.

Potem, gdy wrócili do pisania, zauważył:

- Nie dostajesz zbyt wielu listów.

- Bo mi nie wolno - odparł Vincent. - To zalecenie lekarza. Nie wolno mnie denerwować.

Ponieważ Richard nie należał do ludzi piszących listy, umówili się, że nie będzie się zmuszał. W listach ze szkoły ograniczał się do zdań: „Pogodę mamy ładną” i „Życzę zdrowia”. „Daj sobie spokój. To przecież nie ma sensu” - powiedział mu Vincent, nie zdając sobie sprawy z tego, że w pewnych okolicznościach takie proste zdania mogą być ważnym wydarzeniem dnia. Raz napisał John, ale ten list Vincent odesłał bez otwierania. Do tej pory nie przyszło nic od Crystal. Jolanda, dowiedziawszy się poniewczasie o sytuacji syna, przysłała całą ryzę poplamionych łzami kartek zabazgranych chaotycznymi deklaracjami miłości. Wiele zdań było po włosku, a że Vincent zapomniał wszystko z wyjątkiem kilku przekleństw, skonfundował się nie mniej niż Hannibal listami od narzeczonych. Słowniczek kieszonkowy, pożyczony od nieuczciwego handlarza antykami, który zamierzał prysnąć do Europy, jeszcze bardziej sprawę zagmatwał. „Chyba bym zwariował, gdybym odpisał” - z punktu zastrzegł się Vincent, tydzień później jednak odpisał, na jedną stronę, chłodno, ale nie zimno. Był to jego jedyny epistolarny wysiłek po ów dzień.

- Mało kto cię odwiedza - nie dawał za wygraną Hannibal.

- Ściśle mówiąc, nikt. Powiedziałem ci, jestem incommunicado. Narobiłem wstydu rodzinie, a teraz nie chcę, żeby oni robili wstyd mnie. Poza tym nie życzę sobie, żeby klawisze się ślinili na widok mojej dziewczyny.

- Nic nie mówiłeś, że masz dziewczynę - zauważył Hannibal. - Ładna?

- Miałem dziewczynę - odparł Vincent z naciskiem.

Minał kolejny miesiąc. Nie prędzej niż poprzedni. Vincent spodziewał się, że stopniowo czas zacznie biec szybciej, ale nic takiego się nie stało, bo czas spędzany w nudzie nie przyspiesza, lecz wlecze się niemiłosiernie. Mimo to Vincent czuł się coraz swobodniej, niemal jak w domu, czemu towarzyszyło poczucie przynależności, jeśli nie koleżeństwa, gdy sprzeczał się z innymi więźniami, ogrywał ich w Monopol, przyswajał sobie bezwzględnie praktyczne zasady moralne więziennego życia. Co zaś do Hannibala, to zaprzyjaźnili się nie zauważywszy nawet kiedy. Vincent mówił mu o sprawach,

o których nigdy nie powiedziała by Richardowi, o wstydliwym strachu i wściekłych nadziejach, które to zwierzenia wylewał z siebie

w napadach rozpaczy, zwykle wieczorami, kiedy poczucie bezsilności i osamotnienia wydawało się wysysać z niego siłę woli. W takich chwilach miał żal do rodziny, że jego życzenie, by nikt go nie odwiedzał, potraktowała dosłownie. Równocześnie, kiedy Elizabeth poczuła się w obowiązku spytać go, czy chciałby, żeby przyjechała, odpowiedział odmownie - uprzejmie, ale zimno. Twardego udawał przed wszystkimi z wyjątkiem Hannibala. Wśród więźniów byli tacy, których pociągała jego śródziemnomorska uroda. Należał do nich niejaki Higgs - kłocowate, umięśnione, pokryte pryszczami indywiduum, które zaproponowało mu dwie uncje tytoniu i ćwiartkę marihuany za stosunek seksualny. Gdy Vincent odmówił, Higgs dorzucił słoik dżemu.

- Pewnie ten cholerny czarnuch dostaje wszystko - rozłościł się, gdy Vincent odesłał go do diabła.

- On nie jest w moim typie - rzekł Vincent - ale ty też nie. Krótko mówiąc, żeby nawet był zgięty w pół, nie pozwoliłbym twojemu śmierdzącemu kutasowi zbliżyć się do mojej dupy. Bóg jeden wie, co mógłbym od ciebie złapać.

Świadkowie tej sceny parsknęli śmiechem, a Higgs odszedł mrużąc coś pod nosem. Vincent nie bardzo się tym przejął.

- Z Higgsem to ty lepiej bądź ostrożny - rzekł Hannibal wysłuchawszy relacji Vincenta. - To kawał drania, a jego kumple są jeszcze gorsi. Z takimi trzeba delikatnie.

- Ciekawe, co mogą mi zrobić? - wruszył ramionami Vincent. Tydzień później dowiedział się. Brał akurat prysznic, kiedy przyszli

po niego, Higgs i dwóch innych, z których jeden był mordercą - o czym Vincent wiedział - i miał tyle do odsiedzenia, że było mu wszystko jedno, co robił. Dyżur miał akurat klawisz, który drwił z Vincenta w dniu jego przybycia do więzienia. Po prostu odwrócił się plecami. Może został przekupiony, a może jego antypatia do absolwentów Cambridge wzięła górę nad nielicznymi zasadami. Tamci trzej, ciężcy i groźni, otoczyli Vincenta, zablokowali mu wyjście, zapędzili w ciasny kąt. Higgs, który z podniecenia aż się spocił, wycierał dłonie o ubranie, zostawiając mokre ślady.

- Nie dasz, to sam wezmę - mruknął, połykając słowa w pośpiechu, jak gdyby nie chciał tracić sił na gadanie.

Vincent od razu się domyślił, po co przyszli, ale czuł większą odrazę niż strach. Na domiar złego był nagi. Chciał sięgnąć po ręcznik, pomyślał jednak, że straciłby czas, a nic by to w efekcie nie

dało. Przypomniawszy sobie, że antyczni Grecy walczyli nago, w każdym razie jeśli wierzyć posągom. Tamci nacierali, Vincent się cofał, szukając ich słabego punktu i starając się lekceważyć swą nagość. Raptem znalazł się pod ścianą i nie mógł się już dalej cofnąć. Wtedy Higgs, oblizując się, przesuwając różowym językiem po bladych wargach, ruszył ku niemu. Stereotyp, zarejestrował z pogardą i wstrętem Vincent tą częścią mózgu, która wciąż chłodno myślała. Odczekawszy, aż Higgs zbliży się na tyle, że będzie mógł policzyć jego krosty, złapał go za jądra i ścisnął. Z całej siły. Higgs zawył, jego kumple przyskoczyli i nie było już czasu na rozmyślenia. Najgorzej, że broniąc się i celując w ich genitalia, nie mógł zasłaniać swoich. Było ich jednak trzech, w dodatku cięższych, więc Vincent praktycznie nie miał żadnych szans. W pewnej chwili stało się dla niego jasne, że przegrał. Poczł uderzenie w nerki, zacisnął pięści i zanim się spostrzegł, leżał na podłodze. Rzucili go na brzuch, jeden z nich przypuszczalnie ukląkł mu na plecach. Uznał, że najwyższy czas zacząć krzyczeć, ale nie zdążył, bo wyrznięli go twarzą o kafelki. Poczł w ustach krew. Pomyślał: oto co czuje gwałcona kobieta

- rozgoryczenie i straszliwą bezsilność. Od niemowlęstwa nie zaznał fizycznej bezsilności. Wściekły gniew, który zawsze czynił go silniejszym i bardziej rozjuszonym od każdego przeciwnika, nagle okazał się gwałtownym, lecz daremnym trzepotaniem skrzydełek ćmy o oświetloną szybę. Naprężył wszystkie mięśnie, usiłując jeszcze walczyć, wykręcać się, kopać, ale ciężar na plecach przypierał go do podłogi, nogi zaś były skrępowane. Cudze ręce gmerały mu między udami udając pieszczotę. Ogarnęły go mdłości. Poczł smak strachu

- bał się nie bólu, lecz gwałtu, skalania, splugawienia. Usłyszał zgrzyt suwaka i poczł palce przebierające między pośladkami. Był bezbronny, do niczego, słaby jak kobieta. Zabiłby się teraz, gdyby mógł.

Miał taką pustkę w głowie, że chwilę trwało, nim dotarła do jego świadomości zmiana w zachowaniu napastników. Ktoś biegł, potem raptownie zapanowała cisza, którą przerwał czyjś głos, głęboki jak warknięcie. Głos Hannibala. Czując, że nacisk na jego plecy zelżał, Vincent złożył się z prędkością sprężynowego noża i poderwał na nogi. Higgs też wstał. Doprowadzał do porządku ubranie przenosząc wzrok z Hannibala na Vincenta i z powrotem. Po jego minie widać było, co myśli - że wraz ze swymi przybocznymi każdemu z nich z osobna dałby radę, ale nie obu na raz. Byłaby to mniej więcej wyrównana walka.

Hannibal zignorował go.

- Nic ci się nie stało? - spytał Vincenta.

Vincent tylko odchrząknął. Nie spuszczał przeciwników z oczu, czym prędzej się ubierał. Kiedy doszedł do zapinania guzików, miał nadzieję, że tamci nie zauważą, jak trzęsą mu się ręce. Nie odzywał się, bo wiedział, że głos by go zdradził.

Hannibal odbywał teraz rozmowę z klawiszem. Vincent nie słuchał jego dosadnych krótkich słów, lecz marzył, by czym prędzej znaleźć się w zaciszu ciasnej, zamkniętej bezpiecznej celi. Instynktownie zachowywał kamienną twarz, ale z trudem nad sobą panował - wystarczyłoby dać mu teraz kuksańca, żeby się rozplakał. Jego dobre mniemanie o sobie brało się z niczym nie uzasadnionej pychy. Wcale nie był twardym, tajemniczym antybohaterem filmu swego życia, lecz bezbronnym, nieudolnym facetem, takim samym jak inni. Wszelako nie poczuł się solidarny z resztą ludzkości. Przeciwnie, zobaczył siebie jako kogoś nieważnego, jedną z wielu ofiar, istotę mniej znaczącą niż którykolwiek ze współwięźniów. Przypomniawszy sobie, co mówił jego ojciec o moralności i pobożne życzenie sędziego, że w więzieniu przemyśli swe błędy. Z goryczą, która nagle w nim wezbrała, pomyślał, że ojciec i sędzia żyją na innej planecie. Wtedy poczuł przypływ energii i stwierdził, że jedynie negatywne uczucia dają mu siłę. Później wykorzystał tę gorycz, by odbudować osłonę swego ja, odzyskać godność i równowagę ducha. Najpierw jednak chciał się ukryć i wylizać rany.

W celi Hannibal jeszcze raz go spytał:

- Jesteś pewny, że nic ci nie jest?

- Mniej więcej. - Vincent uciekł w dość labilny sarkazm. - W każdym razie uniknąłem czegoś, co jest gorsze od śmierci.

Człowiek nie uwalnia się łatwo od wspomnienia całkowitej bezsilności. Zapytał:

- Skąd właściwie wiedziałeś?

- Usłyszałem, nie? Wiesz, jak tu jest. Nie musi się jeszcze coś zdarzyć, żebyś już usłyszał. Ktoś powiedział, że Higgs i jego dwaj kumple szukają ciebie. No to poszedłem szukać Higgsa.

- Dzięki - mruknął Vincent. Wdzięczność była uczuciem praktycznie mu nie znanym.

- Nie ma za co. Pomogłeś mi pisać listy, to teraz ja ci pomogłem. Coś za coś. Jesteśmy kwita.

- Pomogłem ci, ale nie dlatego, że liczyłem na rewanż - obruszył się Vincent. - Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi.

- No jasne, że jesteśmy przyjaciółmi. Tak jak mówię. Ty zrobiłeś coś dla mnie, ja zrobiłem coś dla ciebie. Teraz znowu twoja kolej. Tutaj takie są zasady. Tam zresztą też, z tą jednak różnicą, że tutaj mówimy o tym wprost. Nie łapię się na lep czułych słówek. Przyjaźń to umowa jak każda inna. Ty podrapiesz mnie po plecach, ja podrapię ciebie. Kapujesz?

- Uhm, rozumiem. - Vincent zaczął się trochę rozluźniać. Udało mu się nawet słabo uśmiechnąć. - Drapiemy się wzajemnie po plecach.

Później rozmawiali jeszcze o klawiszu, który będąc na dyżurze udawał, że niczego nie widzi. Vincent chciał złożyć na niego oficjalną skargę, ale Hannibal zawetował ten pomysł.

- Nie złożysz żadnej oficjalnej skargi. To by było źle widziane. Tutaj sam się o siebie martwisz, nie prosisz o pomoc zaszranych władz. Oni to oni, my to my, kapujesz? Większość więźniów myśli teraz, że jesteś jeden z nas. Zaczynasz się skarżyć, gadać z władzami, to staniesz się jednym z nich. Zresztą to bez sensu. Higgs cię nie poprze, prawda? Jak myślisz, czyje słowo będzie się liczyć, twoje czy klawisza? Stracisz tylko czas.

- Niedobrze mi się robi - Vincentowi wracał nie tylko humor, ale i wściekłość. - Ten skurwiel jest urzędnikiem państwowym. Płacę na jego pensję podatki. Nie wywiązuje się obowiązków. Powinni go wywalić.

- Płacę na jego pensję podatki! - Tym razem Hannibal był rozbawiony. - Do kurwy nędzy, jesteś w pudle, Vin, nie w parlamencie. Jak żyję, czegoś takiego nie słyszałem! Cóż ci powiem. Jak stąd wyjdiesz, powinieneś kandydować. Będę na ciebie głosował. Władza w ręce tych, co krwawią!

- Nie powiedziałem nic śmiesznego - upierał się Vincent. - Jestem obywatelem, nawet w więzieniu. Mam te same prawa.

- Praw się nie ma - rzekł Hannibal głębokim głosem. - Prawa trza sobie wywalczyć.

Kiedy Vincent odsiadywał piąty miesiąc, Hannibala przeniesiono do innego więzienia. Odsłużył rok ze swego wyroku w Wormwood Scrubs i władze w swej mądrości uznały, że dobrze mu zrobi zmiana otoczenia. Nieporadnie pożegnał się z Vincentem, najwyraźniej uważając, że zdradzanie uczuć nie pasuje do jego wizerunku twardego faceta. Vincent był zakłopotany w równym stopniu.

- Niedużo ci pozostało - rzekł Hannibal. - Za miesiąc wyjdiesz.
- Mmm.
- Wiesz, będzie mi ciebie brakowało. Przywychaiłem się do ciebie. Grunt to się przyzwycząić.
- Byłem lepszy od Evansa Pierdziela?
- No... chyba tak.
- Życzę ci, żebyś znowu na niego nie trafił.

Zapanowała cisza - ciężka cisza, nabrzmiąta nie wypowiedzianymi słowami i stłumionymi uczuciami. Hannibalowi angielskość została wpojona przez wychowanie, Vincent miał tylko połowę genów anglosaskich. Mimo to tradycyjna angielska flegma stłumiła zarówno ciepło Karaibów, jak i żywiołowość Włochów. W końcu Vincent powiedział:

- No to do zobaczenia. Jak wyjdiesz.
- Nie sądzę. Będziesz jednym z tych cwaniaków trzęsących giełdą, a ja matolem, który zwędzi radio z twojego Royce'a. Założysz się? Spójrz prawdzie w oczy. Co nas łączy? Tutaj ta cela, a tam nic. Żyjemy w różnych światach. Bądź realistą...
- Jesteś moim najlepszym przyjacielem - uciał Vincent.

To Richard należał teraz do innego świata, starej bajki o dwóch chłopcach, którzy dorastali razem w swym królestwie, nie mając pojęcia o innej - gorszej - stronie życia. Zamglone odległe Uroczysko wydawało się baśniowym zamkiem, nostalgiczną wizją, którą zaciemniło odrzucenie i zdrada, słodycz zaprawiona goryczą. Ale dla Vincenta zawsze już miała przeważać gorycz. Pomyślał: „Richard powinien był mnie odwiedzić, nie zważając na to, co mówiłem. A przynajmniej napisać...” Nawet nie zauważył, kiedy zrodziła się w nim antypatia do Richarda. Nie chciał jej, ale co mógł zrobić? Z trudem radził sobie z niechęcią do siebie.

- Zgoda - mówił Hannibal. - Tutaj jesteśmy kumplami. Na zewnątrz zabawa jest w inną mańkę. Mówię ci, że...
- Ja się nie zmienię - powiedział Vincent.
- Miło, że tak myślisz. - Hannibal starał się nie wypaść z roli. - To się właśnie liczy, no nie?
- Odpieprz się.

Jednocześnie podali sobie ręce. Żadnych „żegnaj”, żadnych „*au revoir*”. Po prostu „odpieprz się”. Jeszcze tego samego dnia do celi wprowadził się nowy więzień, rudy paser z Birmingham, który nie chrapał. Po tygryskich pomrukach Hannibala delikatny rytm jego

oddechu wydawał się Vincentowi nie do zniesienia. Vincent leżał w nienaturalnej ciszy, prawie marząc, by menażeria rozpoczęła nocne śpiewy i raz po raz wracał do dawnych wątków swych myśli. W więzieniu, myślał, nie chroni człowieka od jego uczuć - bezradności, samotności, przywiązania. Czekają tylko, kiedy się przestaniesz pilnować, żeby cię dopaść. Fizycznie jest się w porządku, ale psychiczne bariery pękają. Więzień przypomina człowieka rozebranego do naga, pozbawionego starannie dobranego opakowania, pod którym się ukrywa, publicznego wizerunku, za którym się chowa, *bella figura*, do której przywiera. Staje się wyizolowany i bezbronny. Vincent boleśnie tęsknił za Hannibalem. Choć wiedział, że to słabość, od tego bólu oczy go szczypały jak od płaczu. Dziecinada. Mógł płakać za matką, kiedy miał cztery lata, chociaż sobie tego nie przypominał, ale dorosły mężczyzna nie płacze po nocach dlatego, że zabrano mu przyjaciela. Czuł się, jak gdyby go odarto ze skóry. Leżał otwarty na dowolne uczucie, które zechciałoby zagościć w jego duszy. Nieracjonalny ostry ból tęsknoty wbijał się niczym nóż w jego serce - tęsknoty nie tylko za Hannibalem, ale również za Richardem, Crystal, a nawet za ojcem. Hannibal był jego prawdziwym przyjacielem, owszem, tamtej trójce natomiast nie mógł przebaczyć nie tego, że go porzucili, ale że mimo to ich kochał.

Ta noc ciągnęła się jak wszystkie inne noce. Został mu jeden miesiąc. Miał to być najdłuższy miesiąc ze wszystkich.

Czesc trzecia

Truczna

Rozdział pierwszy

Zgodnie z życzeniem Vincenta w dniu zwolnienia nikt po niego nie przyjechał. Gorycz wzbierała w jego sercu, kiedy wysyłał instrukcje do swego prawnika, wszelako kiedy brama więzienna zamknęła się za nim w sposób ostateczny, poczuł się naprawdę zadowolony, że nikt mu nie przeszkadza w smakowaniu pierwszych chwil wolności. Miała towarzyszyć im wiosna - słońce wysoko na niebie, śpiew ptaków, powiewanie liści na drzewach - tymczasem witało go szare angielskie lato, bezdrzewne ulice, szum deszczu, przepychanie się i zaczepianie o siebie parasoli. Jadąc taksówką do Chelsea rozmyślał leniwie o Richardzie i powoli mijał mu żal do niego. Jak to miło być znowu wolnym. Pójdą gdzieś razem się napić, najlepiej ciepawego piwa w jakimś dusznym obskurnym barze w centrum. Później kolacja, powiedzmy, krwisty stek i czerwone wino pod kolor. A jeszcze później dziewczyna - jeśli Crystal okaże się nieosiągalna, to znajdzie sobie jakąkolwiek inną dziewczynę - i tak długo będzie się pieprzył, aż zaśnie. Nie chciał robić planów na przyszłość, jeszcze nie. Zbyt wiele było niewiadomych. Ale w tej chwili taki jeden mały plan nie wydawał mu się przesadnie ambitny.

W domu spotkał go pierwszy zawód. Richard się wyprowadził.

- W pokoju pana nikt jeszcze nie mieszka - poinformował go nowy lokator. - Zdaje się, że ojciec pana płacił czynsz.
- Ładnie z jego strony - mruknął Vincent. - Gdzie jest Richard?
- Mieszka teraz z dziewczyną. Dam panu numer.
- Z jaką dziewczyną?
- No, z dziewczyną.
- Ale z jaką?

Znał odpowiedź. Klóciła się z logiką, z lojalnością, ale innej być nie mogło. Nie pamiętał już, że przed procesem praktycznie wyparł

się Crystal, pamiętał natomiast, że była jego dziewczyną. Przez ostatnie sześć miesięcy co noc na deser przywoływał wspomnienie jej włosów z czarnej czekolady i ciała z białej. Szczegół po szczególe przeanalizował jej anatomię, zgłębił jej sekret, którym była doskonała twarz plus tajemniczość. Kiedyś na pewno zdarzyło mu się powiedzieć, że ją kocha - w tych odległych czasach Cambridge, gdy dał się ponieść poezji Yeatsa lub rozmiarowi erekcji. Tak więc choć nie pisała do niego, wierzył, że będzie na niego czekać; upewniał się w tym rozpamiętując jej słowa, fragmenty nocnych rozmów. Nawet jeśli widział ją oczyma wyobraźni z innymi mężczyznami, byli to wyłącznie przygodni znajomi, towarzystwo na jeden wieczór lub jedną godzinę. Nikt ważny. A już na pewno nie Richard. Mimo to od razu zgadł. Tylko Richard mógł mu ją zabrać, tylko ona mogła mu ukraść Richarda. Tylko Crystal.

Pojechał pod podany przez nowego lokatora adres kuzyna. Drzwi otworzył Richard. Popatrzyli na siebie, jak gdyby od ostatniego spotkania dzieliło ich nie sześć miesięcy, tylko sześć lat. Richard był nie ogolony, w postrzępionych dżinsach, nie uprasowanej koszuli. Jego wygląd w wyobrażeniu Vincenta był wyrazem domowego szczęścia, jak gdyby intymność wykluczała żelazko i brzytwę.

- Wejdz - powiedział bez rozbajającego uśmiechu i konwencjonalnego powitania. Skryta nadzieja, że powie: „Słuchaj, poznałem cudowną dziewczynę”, umarła, nim jeszcze się urodziła.

Przy kawie Vincent spytał:

- Co nowego?

- Zakładam, że już wiesz.

Vincent nie zamierzał mu tego ułatwiać.

- Co wiem? - Jego twarz - naprężona skóra, napięte mięśnie - zastygła w przybieranym przez lata wyrazie nieustępliwości. Richard pomyślał, że Vincent się postarzał. Nie to, żeby przybyło mu zmarszczek, po prostu stwardniał. Zabolą go ta myśl, ale cóż mógł na to poradzić.

Powiedział:

- Na miłość boską! Naprawdę nic nie wiesz? Nie bawmy się w ciuciubabkę.

- O czym miałbym wiedzieć?

- O Crystal i o mnie.

Vincent nie wyrzekł ani słowa. Kiedy człowiek odczuwa strach, rozpacz albo ból, najbardziej zdradza go głos.

Vincent chciał, wpaść

w szal, zwymyślać Richarda, sprać go po gębie, ale nie potrafił. Był na to zbyt otumaniony.

- Nie mogliśmy się oprzeć - dodał Richard po krótkiej przerwie. - Przepraszam, to cholernie banalne. Nie chcieliśmy, to było od nas silniejsze, tak się jakoś stało. Klasyczne wymówki. Prawda natomiast jest taka, że Crystal czuła się bardzo nieszczęśliwa i samotna. Potrzebowała kogoś. Kiedy spostrzegłem, że się w niej zakochuję, było już za późno. Ona z kolei...

- Zakochała się w tobie?

- Ty jej nie kochałeś - rzekł Richard.

Tak samo było kiedyś z zabawkami. Póki Richard nie zaczynał się nimi bawić, Vincent ich nie chciał. Siłąc się na spokój Vincent powiedział:

- Zawsze twierdziłeś, że potrafię podrywać dziewczyny, ale nie potrafię ich zatrzymać. W końcu udało ci się to udowodnić.

- Czy naprawdę sądzisz, że po to związałem się z Crystal? Posłuchaj, Vincent, tobie na niej nie zależało, a mnie tak. Po aresztowaniu zupełnie przestałeś się nią interesować. Z więzienia ani razu do niej nie napisałeś. Mieliśmy szlachetnie wyrzec się siebie po to tylko, żebyś po wyjściu z więzienia mógł się z nią przespać, a potem znowu zostawić? Przecież to absurd. Wiem, że to nie był najodpowiedniejszy moment, ale czy musimy robić z tego dramat? Przecież zdarzało się już, że mieliśmy tę samą dziewczynę. Tym razem jest o tyle inaczej, że kocham Crystal i zamierzam z nią zostać. Ty za miesiąc lub dwa zamieniłbyś ją na inną. No, Vincent, powiedz, że jestem świnią, uderz mnie, jeśli chcesz. A jak zbiorę zęby z podłogi, skoczmy na piwo.

Napić się z Richardem - punkt pierwszy jego planu na ten dzień. Richard odzyskał swój wdzięk, znowu się uśmiechał w znajomy sposób. Ale nie byli już chłopcami, którzy szkolne nieporozumienia załatwiają bójką. Vincent pomyślał, że kuzyn dorósł, zmeźniał i nabrał pewności siebie, skoro swą perfidię usprawiedliwiał własnymi zachciankami i potrzebami. W przeszłości Vincent podświadomie zdawał się na altruizm Richarda, jego wspaniałomyślność i miłość. Wiedział, że jest dla niego najważniejszy. Tym razem jednak Richard na pierwszym planie postawił siebie - siebie i Crystal. Człowiek, któremu ufałem najbardziej ze wszystkich na świecie, wykorzystał moją nieobecność, żeby mnie zdradzić, pomyślał Vincent.

Miałbym uścisnąć mu dłoń i powiedzieć: w porządku, wypijmy za przyjaźń, rodzinę i szczęście domowe? Najgorsze jednak było to, że jakaś część jego anatomii - nadwężony nerw, słaba żyłka w sercu - domagała się od niego, by uległ wdziękowi Richarda i przebaczył Crystal w imię starej sympatii i za kufel piwa. To napawało go wstrętem. W końcu gniew wziął górę nad otumanieniem, hamowaną wściekłością, która zmieniała wszystko w piołun. Wstał.

- Zatrzymaj swoje zęby - rzekł. - 1 piwo.

Chciał powiedzieć coś innego. Nigdy ci tego nie zapomnę, nie wybaczę. Pewnego dnia się z tobą porachuję. Przyślij mi rachunek za kawę.

Ale wydało mu się to zbyt melodramatyczne. Richard odprowadził go do drzwi.

- Odczekaj kilka tygodni - rzekł dobrodusznie. - Jak się już przyzwyczaisz do sytuacji, zadzwoń. - Jego słowa wyrażały nadzieję, ale minę miał markotną i robił wrażenie niezbyt zdziwionego obrotem rzeczy.

Vincent popatrzył na niego, a potem nie oglądając się za siebie zszedł po schodach na ulicę.

Tego wieczora znalazł dziewczynę. Jakaś dziewczynę. Kochał się z nią niezdarnie, wściekłość przekładając na namiętność, bez tej szalonej słodyczy, o jakiej marzył. Potem zasnął bardziej wyczerpany niż zaspokojony, ona natomiast leżała z szeroko otwartymi oczyma i zastanawiała się, co też takiego widziała w nim jej współlokatorka.

Rano Vincent zaczął myśleć o wyjeździe z Anglii. Nie miał tu pracy ani pomysłów na pracę, mógł tylko posypać głowę popiołem, udać się do ojca i błagać go o łaskę - o pieniądze i pomoc w zrobieniu kariery. To zaś nie wchodziło w rachubę. W Londynie oddalił się od swego środowiska; dawni przyjaciele byli już tylko zwykłymi znajomymi.

Richarda, jedyną bliską osobę, stracił. Zwykłą koleją rzeczy zaczął myśleć o matce. Nie przestała pisać do niego listów, w których myląc języki i gramatykę - włoski z angielskim i amerykańskim - zapewniała, że zawsze go kochała, że nie porzuciła go z własnej woli i że wszystko było winą zimnych angielskich manier Johna i tej podstępnej *traditrice*, to znaczy niani. Vincent wspominał Dixy dość ciepło, choć dyskusja na jej temat, którą podsłuchał w mrokach Uroczyńska, pozostawiła w nim niesmak. Był za stary,

żeby uwierzyć matce - ojcu nigdy nie wierzył - uznał jednak, że właściwie nie ma to znaczenia. Przyjeźdź i zamieszkać ze mną, błagała go Jolanda w kolejnych listach. Tu, we Włoszech, które są twoim prawdziwym domem, odkryjesz na nowo ciepłą południową witalność, którą John za wszelką cenę starał się w tobie zdusić.

Vincent zasadniczo nie ufał wylewności matki, węszył w niej pułapkę, z drugiej strony jednak Jolanda proponowała mu coś, czego potrzebował - bezgraniczne przywiązanie, ślepe oddanie, a przede wszystkim zmianę otoczenia.

Szansę na rozpoczęcie nowego życia, ucieczkę od starego. Vincent chciał uciec, choć nie przyznawał się do tego.

Do Uroczyska nie pojechał. Nie odwiedził drugi raz Richarda ani nie próbował zobaczyć się z Crystal. Dostał list od Johna i drugi od Elizabeth; list Johna odesłał bez czytania, list Elizabeth wyrzucił do śmieci. Zanim John osobiście pofatygował się do Londynu, Vincent zdążył wyjechać z kraju.

Na lotnisku Malpensa do Vincenta podszedł blade młodzieniec, który niepewną angielszczyzną zaproponował, że poniesie mu walizkę, którą, jak się zaraz okazało, z trudem mógł udźwignąć. Vincent wziął go za szofera czy kogoś w tym rodzaju, choć nie nosił liberii, a jego stremowana życzliwość nie pasowała do tej roli. Ufnie wyciągnął do Vincenta rękę, przedstawiając się jako Sebastiano Dandolini.

- Rozpoznać pana nie jest łatwo - wyjaśnił starannie dobierając słowa. - La signora nie ma zdjęcia, od kiedy pan był *bambino*. Mówi: „Poznasz go *subito*, ponieważ on jest mój syn. Wygląda jak ja.” Pan sam widzi, to jest bardzo trudne.

- Wyglądam jak matka? - zainteresował się Vincent.

- Myślę... może tak. Ale pan również wygląda *molto inglese*. Vincent poczuł się trochę dotknięty jego spostrzeżeniem.

- Pod jakim względem?

Sebastiano wykonał serię chaotycznych gestów, które zapewne miały oddać istotę angielskości Vincenta.

- *Espressione... maniera...* - Zakończył bezradnym wzruszeniem ramion pokonany przez własną niemożność wysłowienia się.

Na parkingu wsiedli do Lancii, której najlepsze czasy przypadają prawdopodobnie na wczesne lata sześćdziesiąte. Sebastiano prowadził auto podtrzymując przerywaną rozmowę o podróży Vincenta, pogo-

dzie w Anglii, pogodzie we Włoszech, urokach Mediolanu. Poświęcał pasażerowi dużo więcej uwagi niż drodze przed nimi i innym kierowcom. Nie, to jednak nie szofer, skonstatował Vincent. Z początku sądził, że Sebastiano jest od niego starszy zaledwie kilka lat, ale przyglądając mu się z bliska odkrył sieć zmarszczek wokół oczu, ściągnięte w dół wargi, zamazanie płaszczyzn, które kiedyś były wyraźnie określone. Uroda Sebastiano była delikatna, chłopięca, która normalnie ma to do siebie, że prędko się zużywa, w tym przypadku jednak proces starzenia został jakby zatrzymany, przynajmniej częściowo, być może za sprawą psychicznej niedojrzałości. U mężczyzny po trzydziestce nieśmiałość, niezręczność, życzliwość rażą jako zbyt młodzieńcze. Vincent bez przekonania zaryzykował wniosek, że Sebastiano jest kimś w rodzaju sekretarza matki. Niespecjalnie go to zachwyciło.

Jechali ponad godzinę pod górę do wioski o długiej nazwie - Mirafiore-Tripodina - na skraju której stał dom Jolandy. - Wielki dom - zapowiedział Sebastiano usiłując poprzeć swe słowa stosowną gestykulacją. - Dużo miejsca. Ja mam jedna część, Mariangela i Tommaso druga, la signora cała reszta.

Vincent zmarszczył lekko brwi, ale nic nie powiedział. Do tej pory był przekonany, że matka jest bardzo bogata, teraz jednak zaczynał mieć wątpliwości. Wszak minęło sporo czasu, od kiedy była gwiazdą.

Skręcili w alejkę. Na prawo stał dom Jolandy - rozsypująca się willa za rozsypującym się murem. Vincentowi wychowanemu w Uroczysku wydał się on bardzo mały jak na wiejski dom. Spęłzły kolor, popękany tynk, widoczne popadanie w ruinę - to wszystko nie robiło zbyt imponującego wrażenia. Po obu stronach ganku zwisały grube sploty dzikiego wina przywodzące na myśl skamieniałe zwoje jakiegoś przedwiekowego boa dusiciela, a pomiędzy liści na zwiotczałych ogonkach gron kształtem podobnych do wahadeł wyzierały brzoskwiniowe stiuki. Gąszcz róż porastał ogród. Ogromny cedr rzucał drżący cień na frontową ścianę - kolaż krzywych okiennic, poobijanych kafelków, wyblakłej farby, splątanych pnączy wistarii i jaśminu o strzępiastych i cieniowanych płatkach.

Nieokielznana przyroda kontrastowała z rozpadem domu. Istne marzenie malarza lub zły sen ogrodnika. Vincent na próżno szukał czegoś, co by świadczyło o tym, że dom jest w przeddzień remontu lub przynajmniej, że ktoś się o niego trochę troszczy. Wreszcie, pozostawiwszy wniesienie

bagażu Sebastiano, ruszył w górę ścieżki. W jednym z okien coś się poruszyło, a po chwili w drzwiach frontowych ukazała się ona. Matka. Podbiegła do niego, objęła go z żarliwością, która wydała mu skądś znana. Przyszło mu do głowy, że od czasu, kiedy ich opuściła, nikt go tak nie obejmował. Nagle dziwnie się poczuł, słońce go oślepiało, upał dusił. Zaprzagnął wejść do środka, gdzie panował chłód, i usiąść.

- Vincente! **Caro** - w niegdyś melodyjnym głosie Jolandy pobrzmiwała teraz jakaś chrapliwa nuta, zgrzyt pilnika, pęknięcie dzwonu. - Wejź do domu, zrobię ci herbaty. Ale nie mdłej angielskiej herbaty z mlekiem, kolorem podobnej do błota. Nie, nie. Dla ochłody zrobię ci mrożonej herbaty w wysokiej szklance... a może wolałbyś szampana? Mam mrożoną herbatę, mam szampana, mam angielski dzin i tonik...

Przyglądał się jej uniesionej twarzy szukając w niej czegoś znajomego, ale nie znajdował. Dzieciństwo było zbyt odległe. W pamięci zachował zamazane wspomnienie śmiechu, radości, ciepłego okrągłego policzka, ciepłego okrągłego biustu, otaczających go pulchnych rąk. Z ekranu znał burzliwą istotę, która na skinienie pałeczki dyrygenckiej potrafiła z westalki przeobrazić się w megierę - ta Jolanda również zniknęła. Kobieta, która patrzyła na niego, była niższa, niż się spodziewał, przeraźliwie chuda, spalona słońcem, o zapadniętych policzkach pod wystającymi kośćmi. Mimika przedwcześnie wytrawiła na jej twarzy zmarszczki - linie śmiechu, linie rozdrażnienia, linie gniewu - skomplikowaną mapę jej zmiennych nastrojów. Pachniała nie perfumami o ostrym zapachu, za którym tęsknił, lecz Chanelem, którym musnęła się specjalnie na jego cześć. Ubranie miała drogie, ale zupełnie niemodne i pozbawione stylu,

0 źle dobranych kolorach i wzorach, które jeśli nie raziły, to dlatego, że miała własny styl. W jej oczach błyszczała niekłamana radość, ale on jej nie rozpoznawał.

Wprowadziła go do salonu, usadziła go na sofie, objęła jego dłonie. Vincent poczuł się zakłopotany. Jej palce - pęczki kruchych kości zakończone zbyt długimi szkarłatnymi paznokciami, opatrzone kilkoma pierścieniami, których wielkie kamienie zachodziły jeden na drugi - skojarzyły mu się ze szponami. Pomyślał: to absurdałne, nawet się nie znamy. Jolanda, wcale tym nie speszona, ronila łzy wzruszenia w przerwach między pokrzykiwaniem na Sebastiano

1 ciężko zbudowaną kobietę w ludowej czerni. Mariangela, tak było

jej na imię, zdawała się pełnić jednocześnie rolę gospodyni, lokaja i pokojówki. Sebastiano, któremu w końcu udało się wtaszczyć bagaż Vincenta do hallu, wydobył butelkę *spumante*, zaś Mariangela przyniosła komplet kieliszków z weneckiego szkła, dopraszających się o wypolerowanie.

- Teraz jest pan we Włoszech - rzekł Sebastiano - więc musi pan pić włoskie wino.

Vincent zastosował się do jego słów i natychmiast zatęsknił za Anglią. Jolanda powiedziała:

- Powinniśmy byli napić się szampana, Krug jest najlepszy. Dlaczego nie kupiłeś Kruga? To smakuje jak lemoniada - co stwierdziwszy piła je dalej. Jak lemoniadę. Mariangela, jak na srogą wieśniaczkę przystało, upiła łyk, odstawiła energicznie kieliszek na tacę, po czym wróciła do kuchni. Sebastiano to w uprzejmy sposób gwałcił angielski, to płał się we włoskim, ale Jolanda nie zwracała na niego uwagi. Po winie przestawili się na dzin i tonik, to znaczy Jolanda głównie na dzin, Sebastiano na tonik. Obiad zmaterializował się zbyt późno, by poprawić sytuację.

Po co ja tu przyjechałem? - zaczął się zastanawiać Vincent w połowie butelki Barolo. Nie znam tych ludzi, moje pokrewieństwo z matką jest genetycznym przypadkiem. Nie mówię ich językiem. Nie mam pracy. Co do diabła będę tu robił?

Bliżej dna butelki jego wątpliwości zaczęły sprowadzać się do pojedynczego zwrotu, bez znaku zapytania: Do diabła!

Do sypialni na piętrze udał się chwiejnym krokiem dobrze po północy. Tym razem sam niósł swą nie otwartą walizkę. Z tyłu Sebastiano wykrzykiwał: - Wyżej, wyżej... tak, jeszcze tamte schody. *A destra...* tym korytarzem. Nie, nie te drzwi. Tamte drzwi! - Vincent wtoczył się do środka i przekreślił kontakt. Światło zapaliło się, po czym znowu zgasło.

- *L 'eletticitd* - mruknął Sebastiano tonem ni to wyjaśnienia, ni przeproszenia.

- Pewnie spaliła się żarówka - podpowiedział Vincent.

- Pewnie - zgodził się jego towarzysz, ale nie poszedł po nową, tylko zabrał się do szukania po omacku nocnej lampki. W jej mrocznym świetle obaj mężczyźni zmierzli się wzrokiem. Vincent wciąż nie wiedział, jaką rolę pełni Sebastiano w domu Jolandy. Zachowywał się dziwnie; był zdenerwowany, niespokojny, na prze-

mian przyjazny i wrogi. Powiedział: - Życzę dobrej nocy. Nie jest h/wygodnie, ale...

zawsze lepiej niż w więzieniu - dokończył beztrąsko Vincent. Sebastiano wybuchnął śmiechem, zaraz jednak się zreflektował. Widać było, że się zastanawia, czy nie popełni gafy.

- Pan zamierza zostać tu długo? - zaryzykował pytanie. Spodziewa się, że zaprzeczę, pomyślał Vincent. Chciałby, żebym

wyjechał. To przesądza sprawę. Zostaję. Głośno powiedział:

- Może. Zobaczę, jak się będę czuł. To znaczy, gdy przejdzie mi kac.

- Kac?

- Jutro będę miał kaca.

- O, już rozumiem. Angielski humor. - Tym razem Sebastiano śmiał się nieskrępowanie, sumiennie. Wreszcie skierował się do wyjścia. Przy drzwiach jeszcze się odwrócił, a Vincent odniósł wrażenie, że przymierza się do jakiejś złośliwej uwagi. - La signora, ona jest taka szczęśliwa z pana przyjazdu. Ale ona jest artystka, więc ma *umori*. Jeśli jutro ona nie jest szczęśliwa, proszę się nie przejmować.

- Będę pamiętał - odparł Vincent. - Dziękuję za radę.

Starął się, żeby nie zabrzmiało to ironicznie, ale nie bardzo mu się udało. Sebastiano wyszedł zatrząskując za sobą drzwi. Jego chwiejne kroki oddaliły się i stopniowo ucichły na schodach. Vincent zdjął buty, położył się w koszulce i dżinsach, zgasił lampkę. Łóżko, jak uprzedził Sebastiano, nie należało do wygodnych - pęknięte sprężyny skrzypiały niemiłosiernie przy każdym ruchu, a to, czym wypełniony był materac, najwyraźniej zbiło się w kamień. Vincent miał umysł dostatecznie jasny, żeby zauważyć te wszystkie szczegóły, nie był jednak na tyle trzeźwy, by miało mu to przeszkodzić w zaśnięciu. Ostatnim dźwiękiem, jaki zarejestrował, było cykanie cykady gdzieś w pokoju. Wkrótce zasnął.

Obudził się przed świtem. W głowie mu się kręciło, rozsadzało pęcherz. Uświadomił sobie, że nie ma pojęcia, gdzie na piętrze jest ubikacja, a ta na dole, z której korzystał wieczorem, o ile dobrze pamiętał, znajdowała się w części domu zajmowanej przez Sebastiano. W końcu wysikał się przez okno, nieomal na głowę męża Mariangeli, Tomasso, który wstał wcześniej, by przed nastaniem upału wywiązać się ze swych ogrodniczych obowiązków. Vincent zamknął wiszące na słowo honoru okiennice i wrócił do łóżka.

Minął prawie rok, nim Vincent zrozumiał hierarchię w Villa Mirafiore. Zaczął właśnie pracować w mediolańskim barze prowadzonym przez dalekiego kuzyna Mariangeli, biorąc jednocześnie lekcje włoskiego u pewnej Angielki, żony lokalnego księcia, znajomego Sebastiano. Praca w barze miała urok czegoś nowego, nie • mówiąc o uroku córki owego kuzyna - pomagała im, gdy nie mogli nadażyć z robotą. Lekcje włoskiego zaczęły się od najbardziej elementarnych ćwiczeń, które przypominały Vincentowi dukanie Hannibala, a skończyły spacerami po pięknych ogrodach wspaniałej posiadłości nauczycielki - ramię w ramię, ręka w rękę, policzek przy policzku - i opowiadaniem o życiu w więzieniu. Dowiedziawszy się o poczynaniach Vincenta Sebastiano wpadł w popłoch, Mariangela w dziką furję. Vincent zaś po prostu uważał, że musi nadrobić sześć miesięcy seksualnej abstynencji, przy czym usilnie starał się nie myśleć o Crystal. Na ogół mu się udawało. Atmosfera w willi natomiast groziła wybuchem. Na szczęście Sebastiano jakoś się uspokoił, zaś ponurej Mariangeli, która miała wyraźną słabość do rodzinnych szalapatów, złość szybko minęła. Co do Jolandy, to oczywiście była zachwycona. Dorosłe przygody Vincenta bawiły ją tak samo jak psoty trzylatka. „*Mio figliol* Czyż nie jest wspaniały? Taki duży, taki przystojny, że szaleją za nim wszystkie kobiety. On zaś kocha tylko swą matkę.” Kocham ją? - zapytywał siebie w myślach Vincent. Jolanda była egzaltowana, irytująca, zaborcza, zapalczywa, nie bardzo już piękna, zupełnie nierozsądna. Miała skłonności do napadów rozpaczliwego płaczu oraz wybuchów nieokiełznanej radości. Nie przeszkadzało to Mariangeli tyranizować ją swym oddaniem, a Sebastiano uwielbiać, więc również Vincent zapomniał o swych początkowych obawach i wcielił się w rolę rozpieszczanego syna. Tak samo ktoś mógłby wyciągnąć z kufra swą starą odzież, która przeleżała w naftalinie kilka sezonów i stwierdzić, że pasuje jak ulał, a w ogóle jest fajna. Teoretycznie byli dla siebie obcy, w praktyce świetnie się rozumieli. Jolanda uważała za rzecz naturalną, że dla Vincenta nikt się bardziej od niej nie liczy, Vincent zaś, nie zastanowiwszy się nawet, czy ma do tego prawo, oczekiwał tego samego od niej. Stąd konflikt z Sebastiano. Oczywiście wiedział, że Dandolini jest jej mężczyzną - ten niemiły fakt dotarł do niego w czasie pierwszych dni pobytu w willi. Nie był tym zachwycony, ale nakazał sobie daleko idącą wyrozumiałość. Pomyślał o swym ojcu, o Franku Cavalcanti i innych mężczysz-

nach, z którymi łączono jej nazwisko - aktorze filmowym, sławnym barytonie, gangsterze, dyrygencie, senatorze. Wydawało się więc pewnym jej upadkiem, że związała się z Sebastiano, którego cechował zwiędły wygląd, brak pewności siebie i kłopoty z płucami, uniemożliwiające mu, jak powiedziano Vincentowi, śpiewanie i dźwiganie ciężkich przedmiotów. Vincent był przekonany, że Sebastiano doi Jolandę, jakież więc było jego zaskoczenie, kiedy dowiedział się, że odziedziczył on pieniądze, które przeznaczył na subwencjonowanie swej miłości do opery.

Sebastiano marzył, by zostać kompozytorem. Był, jak twierdziła Jolanda, niesłuchanie utalentowany, potrzebował tylko impresaria, który wykazałby dość odwagi i wyobraźni, żeby go finansować, a niestety tacy trafiali się coraz rzadziej. W tych czasach wszyscy byli *affaristi*, zainteresowani wyłącznie pewną dywidendą, wciąż tym samym Verdim i Puccinim. Sebastiano natomiast pracował nad nową operą, w której główną partię miałyby śpiewać (czysty przypadek) Jolanda. Ona z całą pewnością oczaruje nawet zupełnie pozbawionego duszy producenta. Niech tylko skończy, a jego imię stanie się sławne, Jolanda zaś triumfalnie powróci na scenę. O powrocie Jolandy na scenę mówiło się tam z taką pewnością, jak komuniści na Zachodzie mówili o rewolucji, do której dojdzie bez wątpienia, choć nikt jeszcze nie wie kiedy. Ale dojdzie na pewno.

Tymczasem Vincent zgadzał się niechętnie, by Sebastiano siedział u stóp Jolandy, patrzył na nią z uwielbieniem, konsultował z nią układ arii lub dramaturgię duetu, załatwiał sprawunki, robił wokół niej mnóstwo zamieszania i przekonywał, zazwyczaj przy obiedzie, że powinna ograniczyć picie. Jolanda puszczała jego uwagi mimo uszu, przyjmowała natomiast - w każdym razie na początku tak się wydawało - dyktat syna. Minęło trochę czasu, nim Vincent się zorientował, że nie pijąc w jego obecności, wyrównywała to sobie za jego plecami i że Sebastiano bynajmniej nie ograniczał się do siedzenia u jej stóp, tylko po prostu z nią sypiał. Któregoś razu między mężczyznami doszło do nieprzyjemnej sceny, gdy Vincent nieopatrznie skrytykował gust matki, wywołując u niej atak hysterii, Sebastiano zaś nie wytrzymał i wtrącił się w najmniej odpowiednim momencie.

- Ty nie kochać jej! - zarzucił Vincentowi. Ze złości stracił swe niewielkie władanie angielskim. - Dwadzieścia lat ty jej nie widzisz, nie telefonować, nie pisać. Teraz ty przyjechać i chcieć wszystko zmienić, rządzić jej życiem.

Wykrzykiwać rozkazy jak *fascista*

Tobie na niej nie zależeć. Ja ją kochać, ja się nią opiekować, *io io iol* - Jego wystąpienie było tak żarliwe, nieskładne, żalotne, że Vincent, który miał ogromną ochotę go uderzyć, machnął tylko ręką i wyszedł z pokoju trzaskając drzwiami.

- On ją kocha - tłumaczyła mu potem Mariangela. - A ty powinienes klócić się z nim po włosku. Przecież już dobrze mówisz w naszym języku. Po włosku jest łatwiej.

- On ją kocha - powtórzył Vincent szyderczo. - I co z tego? Ona nie musi zadawać się z każdym mięczakiem, który wzbudza w niej namiętność. To poniżające.

- Nie myślisz. - Mariangela, która właśnie siekała warzywa na chwilę przerwała rytmiczny ruch noża. - Czasami, Vincente, jesteś jak dziecko. Twoja matka nie jest już ani młoda, ani piękna. Straciła *la voce*. Niewielu mężczyzn ma ochotę na jej łóżko. Sebastiano natomiast jej pragnie. Kochają za to, czym była, i za to, czym jest. Wierzy w nią. Tak jak ona wierzy w niego. Oboje są szczęśliwi ze swymi złudzeniami. W jej oczach on jest wielkim kompozytorem - ona w jego oczach wciąż jest diwą, gwiazdą. Razem są zadowoleni z życia. Przetrwają.

- Ona za dużo pije - stwierdził Vincent.

- Bez Sebastiano - powiedziała pewnym tonem Mariangela - piłaby o wiele więcej.

Vincent odpuścił na jakiś czas. Stary znajomy Jolandy znalazł mu pracę w firmie zajmującej się handlem nieruchomościami i po początkowym szoku, który wywołało w nim przychodzenie do pracy na określoną godzinę w określonym ubraniu, z przyjemnością uruchomił swe zastale szare komórki. Wsparty pożyczką od matki kupił używanego Motoguzzi 750. Przemierzał na nim z rykiem ulice Mediolanu przyprawiając mieszkańców o palpacje. Pewnego dnia zaproponował Jolandzie przejażdżkę, na co Sebastiano, który pod względem *umori* nie ustępował signorze, gwałtownie się temu sprzeciwił. Sebastiano w roli głównego samca w ich małym stadzie był tak nieprzekonujący, że aż śmieszny, o czym Vincent nie omieszkał mu powiedzieć. Jąkając się nawet we własnym języku Sebastiano wygarnął Vincentowi prosto w oczy, że motocykl nie jest bezpieczny, on nie jest bezpieczny, a gdy z matką na tylnym siedzeniu i bez kasku, jak z tymi dziewczynami, które podrywał

wyjedzie z za zakrętu po niewłaściwej stronie drogi, matka na pewno przyplaci to życiem. Gdyby ją kochał...

- Albo go oddalisz - zapowiedział matce Vincent zapominając o słowach Mariangeli - albo ja odejdę.

- Ależ Vincente!

- Jak możesz znieść jego obecność?

- Vincente... - skubiąc strzępiący się obrębek chustki od Gucciego Jolanda odwróciła się, by nie mógł zobaczyć jej twarzy. - Postaraj się go polubić. Proszę. Ja, twoja matka, proszę cię o to. To nie takie trudne polubić kogoś.

Sebastiano to miły chłopak. Widzisz, ja... nie mogę go oddalić. Nie mogę.

- A to niby dlaczego? - spytał Vincent bez ogródek. Ten jeden raz Jolanda zdecydowała się na szczerość.

- To jest jego dom.

- Co takiego?

- Nie chciałam ci tego mówić. Widzisz, nie jestem bogata. Kiedyś miałam dużo pieniędzy, ale się rozeszły. Wtedy Sebastiano powiedział: „Mój dom jest twoim domem. Dam ci, co tylko zechcesz. Zaopiekuję się tobą”. Tak więc zamieszkałam z nim. Sebastiano ma osobne pokoje. Udajemy.

Odwróciła się do Vincenta, wyciągając do niego ręce w geście na poły błagalnym, na poły skruszonym.

- I ja tu mieszkam - powiedział Vincent powoli. - W jego domu. Ja też mam udawać?

Jolanda milczała.

- A te pieniądze na motocykl? To również pożyczka od Sebastiano?

- Nie, nie. - Jolanda najwyraźniej odczuła ulgę, że wreszcie może udzielić zadowalającej odpowiedzi. - Na motocykl sprzedałam wisiołek. Ten duży szafir, który dostałam od Franco za to, że *Traviata* w moim wykonaniu łamała mu serce. Serce łamała krótko, ale konto w banku napychała długo. I za to właśnie dał mi ten wisiołek. Franco był bardzo sentymentalny w sprawach pieniędzy. Kiedy mnie opuścił, tak się rozzłościłam, że odesłałam mu futro z szynszyli, Lamborghini i wiele, wiele brylantów, ale o szafirze zapomniałam. No i przydał się. Mam teraz szklany kamyk, nie taki drogi, ale czy ktoś to pozna? Zobacz!

Zanurzywszy dłoń między zwiędłe piersi wyciągnęła wisiołek z błyszczącym niebieskim kamieniem, który w bardzo ciemną noc

mógł ująć za szafir. Lecz Vincent nie patrzył. Pod śródziemnomorską opalenizną był bardzo blady.

- Nie powinnaś sprzedawać biżuterii tylko po to, żeby mi pomóc. Ten motocykl nie był aż taki ważny. Poza tym mogłem pożyczyć pieniądze od kogoś innego - powiedział.

Ojciec miał zawsze mnóstwo pieniędzy, tylko niechętnie - w opinii syna - się z nimi rozstawał. Vincentowi trudno było przyzwyczaić się do nowej sytuacji.

- Nie, nie. Dobrze, że przyszedłeś z tym do mnie - uspokoiła go Jolanda. - Poza tym ja często sprzedaję biżuterię. Skąd miałabym brać pieniądze na swoje wydatki? Sebastiano chciał nawet płacić mi pensję, ale na to nie mogłam się zgodzić. Co innego mieszkać w jego domu, a co innego brać jeszcze od niego pieniądze jak jakaś *puttana*.

- Czy on daje ci biżuterię? - wyrwało się Vincentowi.

- Oczywiście, że nie! Nie miałoby to wielkiego sensu. Co komu po biżuterii, jeśli nie można jej sprzedać. Wyrzucone pieniądze. Sebastiano nie jest milionerem. - Wzięła Vincenta za ramię i popatrzyła na niego tymi swoimi wielkimi oczyma, które wciąż potrafiły rzucać ogień jak oczy Toski lub topnieć jak oczy Violetty. - Proszę cię, Vincente, spróbuj to zrozumieć. Jesteś moim synem i kocham cię najbardziej na świecie, ale lubię Sebastiano. I... potrzebuję go.

Vincent nic nie odpowiedział. Zaciśnął wargi nie ze złości bynajmniej, lecz z powodu innego, bardziej złożonego i nie znanego mu uczucia - oburzenia pomieszanego z rozdrażnieniem i bólem. Ojciec też go złościł, ranił, nigdy jednak nie pokonał; Jolanda ze swą pokrętną logiką, upadkami, do których sama się przyznawała, tragicznymi oczyma... była jak ściana. Co z tego, że popękana, krusząca się, z dziurami między kamieniami, skoro nie był w stanie ani jej pokonać, ani zburzyć.

- Poza tym - ciągnęła Jolanda zmienionym głosem - on jest niezwykle utalentowany. Ja, która pracowałam z najlepszymi, mówię ci, że pewnego dnia Sebastiano zostanie uznanym kompozytorem. Wtedy wszyscy zrozumieją, jak mądrze postąpiłam, zachęcając go, pomagając w zrobieniu kariery. Zobaczysz. *Coro...*

Vincent strzepnął gwałtownie jej rękę i odszedł. Nie mógł sobie poradzić nie z matką, lecz z sobą. Przy obiedzie obaj mężczyźni byli dla siebie bardzo uprzejmi. Vincent spodziewał się, że jedzenie z kuchni Sebastiano stanie mu w gardle, ale toskańska potrawa Mariangeli smakowała mu jak zwykle. Po obiedzie Sebastiano poprosił go na słówko.

- La signora bardzo cię kocha - zaczął po angielsku. Zwracał się do Vincenta niezmiennie po angielsku. Trzymał go w ten sposób na dystans, traktując jako obcego, dając do zrozumienia, że nie jest domownikiem. - Ona się boi, że z powodu głupiej kłótni wyjedziesz.

- Nie powiedział, którego z nich uważa za głupiego. - Proszę, zostań

- zakończył niezgrabnie.

Vincent wykonał niewyraźny ruch ramionami, który można było wziąć za gest pogardy lub przytaknięcie.

- Jeśli zostaniesz - ciągnął Sebastiano - postaram się me... postaram się... - Chciał powiedzieć „nie być o ciebie zazdrosny lecz albo nie starczyło mu odwagi, albo w środku zdania zawiodła go znajomość angielskiego.

Vincent go zrozumiał, nie przyszło mu jednak do głowy, że mógłby zdobyć się na podobną obietnicę.

- W porządku - odrzekł.

Przez kolejne tygodnie Vincent dużo myślał o problemie - bo ciągle widział w tym problem - zależności matki od Sebastiano. Wydawało mu się, że ponosi teraz odpowiedzialność za Jolandę i chociaż ta myśli dość go przerażała, nie odbierała odwagi. Poczucie odpowiedzialności za inną osobę było dla niego świeżym doświadczeniem, posiadało urok nowości. Wkrótce nowość przestała być nowością, a odpowiedzialność została Usiłując zbadać rzecz ze wszystkich stron, Vincent zaczął wypytywać Jolandę o jej włoską rodzinę i bynajmniej się nie zdziwił usłyszawszy, że nie utrzymują ze sobą kontaktów. Rodzina Scaparych (Jolanda faktycznie nazywała się Giulia Scapara) należała do konwencyonalnych katolików, parających się uprawą winogron. To matka namówiła Jolandę na karierę śpiewaczki, po czym zeszła z tego świata nie poczekawszy na sukces córki. Ojca, braci, wujów i ciotki natomiast przeraził rozgłos, jaki towarzyszył jej życiu.

- Kiedy opuszczałam Johna, *mio padre* napisał, że mnie wyklął. Pisał także potem, ilekroć przeczytał coś na mój temat w gazetach. Jest bardzo religijny; jego Bóg jest surowy, potępiający, taki nauczyciel w szkole. Mój Bóg jest bardziej ludzki. To On sprawia, że ludzie są omylni, więc nie zachowuje się jak *stupito*, kiedy zbłądzimy. Przebacza nam. Za każdym razem. Prawdziwie chrześcijański Bóg przebacza ludziom. *Mio padre* nie przebacza nikomu. Już dziesięć lat do siebie nie piszemy. Przestał mnie nawet wyklinać.

- Może nie żyje - zasugerował Vincent.

- Nie sądzę. Zawiadomiliby mnie. Włożyłabym czarny kapelusz z welonem i pojechałabym na pogrzeb.

Zawiozłabym drogi wieniec. Droższy od innych wieńców. I to ja bym mu przebaczyła.

Nie było więc większego sensu szukać pomocy u Scaparych - nawet gdyby zaproponowali pomoc, Jolanda z pewnością by jej nie przyjęła. Vincent zauważył, że rozwiązanie każdego problemu sprowadzało się do tego samego - zdobycia forsy. Potrzebował pieniędzy. Wielkich pieniędzy. Szybkich pieniędzy. Dużej wygranej w grze znaczone kartami. Już wiedział, jak to się robi, potrzebna mu tylko była druga szansa. W mediolańskim biurze robił, co do niego należało, i zbierał informacje. Spokojnie przemyślał swoją „przygodę” z Judasem Carsonem. Wściekając się na ojca, na system jurysdykcyjny, na Richarda, na Crystal, zapomniał o głównym sprawcy swej niedoli. Z drugiej strony, kim był Carson? Kimś prawie obcym, instruktorem przy stole gry, który w sposób bolesny, lecz skuteczny zapoznał go z jej zasadami. Carson nie był mu nic winien. Nigdy niczego nie podpisuj, nigdy nikomu nie ufaj. Judas z imienia i Judas z charakteru, zauważył Vincent niezbyt błyskotliwie. Filozof mógłby się zastanowić, co by było, gdyby urzędnik imigracyjny z Ellis Island nie obdarzył biednego smarkacza imieniem, do którego ten przez całe życie starał się dopasować, ale Vincenta nie pociągały bezowocne spekulacje. Jemu potrzebny był guru od interesów, przewodnik po świecie błyskawicznych transakcji i błyskawicznego szmalu. Carson miał doświadczenie i rozeznanie w tym świecie, a poza tym chętnie, jak podejrzewał Vincent, odgrywał rolę Svengali, sączył krople mądrości do ucha pilnego ucznia, wprowadzał go w sekrety swego rzemiosła. Niewątpliwie łechtano to jego próżność, bo próżność lubi być łechtana. „Jeszcze nie wiem, jak nam wyjdzie, ale już cię lubię” - powiedział wtedy Vincentowi. Puste słowa. Cukier do gorzkiej pigułki. Czy jednak, czy nie dałoby się zrobić z nich użytku? Wszak kłamcy wierzą w swe kłamstwa, dyktatorzy we własną propagandę. Wobec odpowiednio zuchwałego wyzwania Carson może przypomnieć sobie, że darzył Vincenta sympatią. Tak, pobić Carsona jego własną bronią. Ale sama bezczelność nie wystarczy. Na pewno Jolanda ma znajomych w Hollywood, a jak nie, to można zablefować. Potrzebował jednak pieniędzy. Bez kapitału Carson nie potraktuje go poważnie. Tak oto wrócił do punktu wyjścia. Pieniądze. Do zrobienia

pieniędzy potrzebne były pieniądze. Jego obecna praca nie pozwalała liczyć na duże pieniądze; nie zawierali transakcji na wielką skalę, a brzęk drobnych lirów nie przyśpieszał Vincentowi bicia serca. Sprzedawszy motocykl mógłby opłacić podróż do Los Angeles, ale nic więcej. W wyniku poszukiwań przeprowadzonych w czasie wolnym od pracy znał już adres biura Carsona, domu i garść szczegółów o jego życiu prywatnym. Popadłszy we frustrację Vincent stał się małomówny i zaczął obracać się w nie najlepszym towarzystwie. Zaniepokoiło to Sebastiano, o czym poinformowała go Jolanda, kiedy pewnego popołudnia zostali sami.

- Czyżby? - zaczął Vincent niebezpiecznie.

Żadnemu z nich - matce, jemu ani przypuszczalnie Sebastiano - nie przyszło do głowy, że Vincent ma większy wpływ na mediolańskich chuliganów niż oni na niego. Vincent nie ulegał łatwo wpływom, a jego więzienna przeszłość, brawurowa jazda na motocyklu miejskimi ulicami i stosunek do świata, który Richard nazwał kiedyś postawą pod tytułem „odpieprz się ode mnie”, z pewnością budziły szacunek u słabszych od niego. Vincent dostawał szału, gdy Sebastiano wtrącał się do jego spraw. Paradoks polega na tym, myślał Vincent, że Sebastiano, który wolałby mnie już nie oglądać, ze względu na Jolandę prosi, żebym został, a ja na złość mu zostaję, zamiast wyjechać i cos wreszcie zrobić ze swym życiem. Absurd. Wziąwszy wszystko pod uwagę byłoby naprawdę głupio ciągnąć to dalej.

W końcu Vincent zabrał Jolandę na obiad do restauracji, by odbyć z nią poważną rozmowę.

- Nie robię tu żadnych postępów - oświadczył jej. - Nie chcę już tracić czasu na siedzenie za biurkiem, które nie należy do mnie, na zarabianie pieniędzy, które też nie są moje. Czy też wydawanie. Jeśli przed trzydziestką mam zostać milionerem, najwyższy czas się tym zająć. Czeka mnie daleka droga.

- Zostaniesz milionerem! - stwierdziła Jolanda z pełnym przekonaniem. - Jesteś taki bystry, *caro*. Będziesz prawdziwym milionerem, dolarowym. - Lirowi milionerzy byli we Włoszech dość powszechni.

- Ale, Vincente, czemu nie miałbyś zostać w Mediolanie? Znajdę ci lepszą pracę. Mam jeszcze innych znajomych, starych przyjaciół. Niektórzy już umarli, ale nie wszyscy. Jest jeden bardzo stary przyjaciel... . .

- A masz może jakichś znajomych w Los Angeles? - przerwał jej Vincent.

- Oczywiście. Nie widziałam ich już kilka lat, ale przecież byłam wielką gwiazdą. *In veritá* wciąż jestem wielką gwiazdą! W Hollywood miałam wielki dom z basenem, masę strojów, mnóstwo służby. A także wielu przyjaciół. *Naturalmente*. Nie jestem jednak pewna, czy zechcą załatwić ci pracę. Napiszę do nich listy, dużo listów. Potem zobaczymy. Ale dlaczego chcesz jechać do Ameryki? Nie jesteś tu szczęśliwy? Tak dobrze się bawimy. A Ameryka... Ameryka jest daleko.

- Jak już będę bogaty - odparł Vincent - przyjedziesz i zamieszkaż ze mną. W domu z basenem.

- Wiesz... nie jestem pewna, czy spodobałoby się to Sebastiano.

- Sebastiano... - zaczął Vincent, ale w porę ugryzł się w język. Zapanowała niezręczna cisza.

Po czym Jolanda powiedziała smutno:

- Nie mogę opuścić Sebastiano. Jestem jego natchnieniem. Beze mnie nie napisze tej opery. W Ameryce nie czułby się dobrze. I nie mógłby pisać. On ma artystyczny temperament.

Vincent miał po uszy artystycznego temperamentu.

- *Mamma*, to wszystko i tak tylko hipoteza. Za wcześnie się tym martwić. Wrócimy do tej rozmowy, jak zarobię mój pierwszy milion. A teraz posłuchaj. W Los Angeles jest facet, który mi pomoże... naprawdę pomoże, jeśli zaproponuję mu coś w zamian. Myślę, że gdyby zobaczył, jakie mam znajomości... To dość ryzykowne, ale lepsze od siedzenia na dupie i beczynności. Nic nie tracę. - Poza nerwami, pomyślał. I pieniędzmi na bilet samolotowy. - Napisz do swych przyjaciół, uprzedź o moim przyjeździe. Nie szukam pracy, wyłącznie kontaktów. Czegoś, co by zainteresowało Carsona. Wiem, że jest bogaty i odnosi wielkie sukcesy, ale idę o zakład, że nie zna nikogo z kręgu gwiazd filmowych. To pomoże mi się z nim dogadać. Wywęszy forszę. - Wcześniej Judas widział jako atut Vincenta jedynie nazwisko ojca, teraz trzeba go przekonać, że nazwisko matki też jest dużo warte.

- Zrobię, co tylko zechcesz, Vincente - rzekła Jolanda z pewnym powątpiewaniem w głosie. - A ten Carson? To twój przyjaciel?

- Nie. - Vincent uśmiechnął się krzywo. - Wróg.

- Ależ to jest *stupido*! Przecież wróg ci nie pomoże. *Caro*, kocham cię, ale ty oszalałeś.

- Przyjaciele mi nie pomogli - odparł Vincent. Opowiedział jej cześć swojej historii, tę część, która dotyczyła ojca i Richarda, przemilczał jednak swą kryminalną naiwność i nie powiedział nic

o Crystal. - Skończyłem z przyjaciółmi. Z wrogami przynajmniej wiadomo, na czym się stoi.

- Oszalałeś - powtórzyła Jolanda patrząc na niego zdumiona. Wypiła wino, Vincent machinalnie dołą.

- Może oszalałem - powiedział. - Zresztą cały ten pomysł jest palcem na wodzie pisany. Jeśli miałbym pojechać, potrzebowałbym forsy. W tym problem. Pieniądze rodzą pieniądze, ale trzeba mieć coś na początek. Dorabianie się jest kosztowne. **Mamma**, nie znasz kogoś, kto dałby mi pożyczkę? Oddam oczywiście z procentami. Po prostu potrzebny jest mi pewien kapitał.

- Chodzi ci o dużą pożyczkę? - spytała Jolanda.

- Wiesz...

- Jasne, to muszą być duże pieniądze. Dla przyjaciela wystarczyłyby małe albo wcale. Dla wroga musisz mieć kupę forsy. Zeby cię nie splawił. - Niespodziewanie Jolanda stała się praktyczna i bystra. Vincent czuł, że ona musi być zdolna do takich kalamburów, choć do tej pory nie miał okazji poznać jej od tej strony.

- Właśnie - przyznał Vincent.

- **AUora** - Jolanda wzięła głęboki oddech i spojrzała na niego wzrokiem, z którego promieniowało zaufanie - nie do końca pojmuję, na czym polega twój plan, ale to nieważne. Ufam ci. Jesteś moim synem. Wiem, że chcesz to zrobić z myślą o mnie. Załatwię pieniądze. Nie pożyczkę. **Non è necessario**. Mam jeszcze biżuterię.

- Co to to nie - zaprotestował głośno Vincent nie dając sobie czasu na wahanie. Możliwość, że Jolanda zaproponuje mu coś w tym rodzaju, przyszła mu wcześniej do głowy, ale jej nie rozważał, bo bał się, że się skusi.

- Teraz ty jesteś **molto ostinato**. Po co miałbyś pożyczać pieniądze, płacić procent? Twój ojciec mówił, że ten, kto pożycza, nigdy się nie bogaci. Czy lepiej...

- Może i tak mówił - przerwał jej Vincent. - To byłoby dość do niego podobne. Ale nie pozwolę ci sprzedać biżuterii. Na pewno nie zostało ci jej za dużo.

- Mam pierścionek. Pierścionek, który dał mi John na zaręczyny. Diament, bardzo dobra jakość, dużo, dużo karatów. To pierścionek zaręczynowy matki Johna, **tua nonna**, i pewnie również jej matki. Bardzo długo w rodzinie, bardzo stary, bardzo tradycyjny. Nie jestem już signora Savage, ale ty jesteś Savage. Ten pierścionek należy bardziej do ciebie niż do mnie. Jeśli go sprzedam, pieniądze są twoje.

- **Stronzate** - odparł Vincent. - Ojciec dał go tobie, ze mną nie ma to nic wspólnego. Jeśli zależy ci, żeby się go pozbyć, sprzedaj go i kup sobie dom. **In campagna** domy są tanie.

- Nie chcę własnego domu. Lubię Villa Mirafiore. Poza tym... jestem szczęśliwa z Sebastiano.

Póki nie odejdzie, pomyślał Vincent, ale nie powiedział tego głośno.

- Tak czy siak - ciągnęła Jolanda - chcę, żebyś ty został sławnym potentatem. Jak Agnelli. Jeśli nie widzisz dla siebie możliwości w Mediolanie, jedź do Ameryki. Postanowione. Nie będziemy do tego wracać.

- Nie, nie będziemy - zgodził się Vincent. - Zatrzymaj swoją cholerną biżuterię i wypij to cholerne wino. Jedziemy do domu.

Miesiąc później Jolanda, nie informując Vinceta, sprzedała pierścionek. Diament, choć nie miał aż tylu karatów, ilu się spodziewała, był okazałego rozmiaru i w dobrej jakości staroświeckiej brzydkiej oprawie, a suma uzyskana ze sprzedaży odpowiednia, by ułatwić Vincentowi start. Wziął te pieniądze, bo raz, że ich potrzebował, a dwa, że było już za późno na odmowę. Opierał się, ale tak naprawdę zawsze był skłonny je wziąć. Kolejnym nowym doświadczeniem dla Vincenta było oszukiwanie samego siebie.

- Kupię ci coś w zamian, jak zarobię na mojej pierwszej dużej transakcji. Coś bardzo wyjątkowego.

Jolanda roześmiała się, ucałowała go i uрониła kilka łez. W dniu jego wyjazdu płakała o wiele więcej.

- Kocham cię - powiedział Vincent ku swemu zdziwieniu i wbrew swej woli. Nie przypominał sobie, żeby mówił jej to wcześniej.

Jolanda rozpromieniła się.

- Kiedy wrócisz - powiedziała - będziesz milionerem!

- **Magari** - rzekła Mariangela.

Objął ją na chwilę, uśmiechnął się kącikami ust i wrócił w ramiona matki. W ostatniej chwili pożegnał się z Sebastiano.

- Opiekuj się nią - powiedział, choć go nie lubił i nie ufał mu, a jego zdolność do opiekowania się Jolandą często podawał w wątpliwość. Ale te słowa, szczere przynajmniej w treści, wyrwały mu się sprowokowane okolicznościami. Podali sobie ręce po raz drugi w życiu. Po czym Vincent wsiadł do taksówki, która odwiozła go na lotnisko.

Rozdział drugi

Początkowo Los Angeles budziło w Vincencie mieszane uczucia. Spodziewał się nowoczesnego miasta, czegoś w gęście Nowego Jorku, wieżowców przypominających skalne urwiska i wąwozów ulic między nimi, w których pojazdy i pieszki płyną rwącym, spienionym potokiem, a nie gigantycznej wioski letniskowej z nieskończonymi rzędami bungalowów, palmą na każdym rogu, szerokimi zakurczonymi ulicami i wyludnionymi chodnikami. Mimo ogromnych rozmiarów miało ono charakter tymczasowości - bungalowy wyglądały tandetnie, niewiele solidniej od tych z prefabrykatów; tu i ówdzie wyzierały łaty oryginalnej pustyni, podobne do kawałków płótna na nie dokończonym obrazie. Wille w Santa Monica i Little Venice przypominały zabawki, domki z piernika i marcepanu pokryte kolorowym lukrem, za to w bogatszych dzielnicach takich jak Beverly Hills, Bel-Air, Canyons panował galimatias architektonicznych fantazji ze wszystkich stylów i epok. Różowiuśki pałacyk wersalski stał obok pałacu mauretańskiego; zlepek wieżyczek w kolorze farbki do wybielania bielizny, istny zamek z bajki, sterczał nad kawałkiem lasu. Nieprawdopodobnie zielone, nawadniane sztucznym deszczem, obsadzone egzotycznymi roślinami ogrody raziły menaturalnością. Wszystko razem przywodziło na myśl olbrzymie studio filmowe; nietrwale, karykaturalne, łatwe do rozebrania i przestawienia w inne miejsce przypadkowo sąsiadujące ze sobą dwory, dziedzińce, kolumnady, chałupy i chaty. Gips, tektura i farba. Plus trawniki, które można w każdej chwili zwinąć i złożyć na stertę. Żadnej kolei podziemnej, centrum miejskiego, a wieżowców jak na lekarstwo. Bez tradycji, historii, zakorzenienia w przeszłości. Czas wyłącznie terażniejszy. Cygańska stolica tych, którzy porzucili domy rodzinne, by tu rozbić swe namioty i zacząć od nowa. Ludzi wolnych,

swobodnych, w nikim nie zakochanych. Przywykły do architektury Los Angeles Vincent też poczuł się współczesnym pionierem, który przybył do Kalifornii w poszukiwaniu złota, pozostawiając za sobą dawne życie - środowisko, rodzinę, błędy i niepowodzenia. Tu obowiązywały inne zasady, karty nie były znaczone - wszystko mogło się zdarzyć.

Ale przeszłość nadal się przydawała. Znajomi matki w większości powitali go z właściwą sobie wylewnością, na którą miała też pewien wpływ uroda Vincenta, jak również otaczająca go aura szkoły prywatnej i więzienia - we właściwych proporcjach. Chętnie widziano go na koktajlach serwowanych na tarasach na zboczu wzgórza, poniżej którego rozciągała się Dolina - niebieska o zmroku, z daleka zamglona, połyskująca tyłoma światełkami, że wystarczyłoby ich na Drogę Mleczną. Zapraszano go na kolacje - raz do domu na palach na plaży w Malibu, zbudowanym nad skałami, o które rozbijały się z hukiem fale. Jadł też lunch u Chasena z Frankiem Cavalcanti, którego słynny na cały świat uśmiech utrwalił się w postaci sardonicznych bruzd na policzkach, a czarne i srebrne włosy świadczyły o triumfie nauki nad biologią. Wszyscy pytali o Jolandę, nawet Cavalcanti. Ach, jaka była śliczna, co za osobowość, co za uroda filmowa, no i oczywiście ten Głos - boski Głos! Pewnie nie jest już taki silny, ale przecież nie stracił swej głębi, rezonansu, namiętności. Jolanda musi koniecznie wrócić do Los Angeles. Wydadzą wspaniałe przyjęcie, a ona znowu dla nich zaśpiewa. Strasznie się cieszą z poznania Vincenta, wszelako cieszyliby się jeszcze bardziej, gdyby Jolanda z nim przyjechała. Kiedy przyjedzie? Chyba nie zamierza zakopać się w Europie do końca życia? Vincent odpowiadał uprzejmie, ale wymijająco. Przez cały czas swego pobytu we Włoszech nie słyszał, by matka śpiewała, jeśli nie liczyć nucenia lub krótkich tryli, które więzły jej w gardle z powodu utraty tchu lub braku siły. Wyobrażał ją sobie fetowaną przez tych przemiłych Kalifornijczyków, o starannie zadbanej skórze, dandysowatych strojach, twarzach naciągniętych za uszy - Jolandę o dzikim spojrzeniu, spalonej słońcem skórze, byle jak ubranej, ze sztuczną biżuterią na nadgarstku i szyi, pochłaniającą morze szampana ze strachu, że za chwilę poproszą ją, by zaśpiewała. Nie, tego obrazu nie mógł znieść, za wszelką cenę starał się odepchnąć go od siebie. - Myślę, że niedługo przyjedzie. Jak tylko zorganizuję jakieś mieszkanie. Nienawidzi hoteli - mówił. Nie miał pojęcia, jaki jest stosunek Jolandy do hoteli, ale uznał to za zgrabną wymówkę.

- Och, przecież może zatrzymać się u nas - zapewniali go wszyscy z wyjątkiem Cavalcantiego.

- Jestem zaborczy - odpowiadał wesoło Vincent. - Chcę, żeby mieszkała ze mną.

Po tygodniu pobytu w Los Angeles wybrał się do Judasa Carsona. Tyle mu było potrzeba, by poczuć to miasto, nabrać pewności siebie i otrząsnąć się z początkowego szoku kulturowego. Do biurowca w La Cienega przybył około jedenastej. Porę dokładnie sobie przemyślał; gdyby przyszedł wcześniej, mogłoby wyglądać, że mu bardzo zależy, późniejsza godzina z kolei kolidowałaby z lunchem. Carsona jednak w biurze nie było. Sekretarka, niezbyt urodziwa, za to bardzo kompetentna, poinformowała go oschle, że pan Carson wróci pół do czwartej. Spytała kim jest i w jakiej sprawie przyszedł. Vincent, któremu zależało na zrobieniu Carsonowi niespodzianki, odmówił podania tych informacji. Sekretarka stała się jeszcze bardziej oschła. Obdarzyła go pogardliwym spojrzeniem, jak gdyby był plażowym obibokiem, który przypląnął na desce surfingowej z kwalifikacjami w spodenkach kąpielowych, i powiedziała z naciskiem, że pan Carson jest człowiekiem bardzo zajęтым i nie przyjmuje nikogo, kto nie został wcześniej umówiony lub przedstawiony.

- Mnie przyjmie - zapewnił ją Vincent, choć sam nie był o tym wcale przekonany. - Przyjdę później.

Wrócił o czwartej. Carson był w gabinecie. Vincent posłusznie podał sekretarce nazwisko, żałując, że nie zaopatrzył się w wizytówki. Sekretarka wyszła i nie było jej przez dobre dziesięć minut, z których jedną zajęło jej zaanonsowanie Vincenta, dziewięć czekanie na decyzję Judasa. Wreszcie wróciła.

- Proszę tędy.

Wprowadziwszy Vincenta do głównego biura zamknęła za nim drzwi. Carson podniósł się na jego powitanie. Przez długą nieprzyjemną chwilę stali tak twarzą w twarz, mierząc się wzrokiem z ostrożną wrogością. Po czym Carson uśmiechnął się uśmiechem sympatycznego krokodyla.

- No dobrze, mały - powiedział. - Co mogę dla ciebie zrobić?

- Zaproponuj mi drinka - odparł Vincent.

Uśmiech jeszcze się powiększył. Carson otworzył barek, zadzwonił kostkami lodu, chlapanął burbonem do dwóch szklanek.

- Dobrze wyglądasz - zaczął towarzyską rozmowę.

- Właśnie wróciłem z Włoch.

- Wakacje?
 - Byłem u matki. Moja matka jest Włoszką... Jolanda Scarpia.
 - **Ręka** z butelką znierachomiła. A więc coś mu to mówiło.
 - Śpiewaczka operowa.
 - Taaa. Słyszałem o niej. Nie wiedziałem, że to twoja matka. Niczego sobie rodzina.
- Vincent zignorował jego ostatnią uwagę. Przyjął szklanekę, usiadł. Teraz, kiedy mieli za sobą wstęp, poczuł się pewniejszy jeśli nie Judasa, to w każdym razie siebie.
- Moi rodzice rozeszli się, kiedy miałem cztery lata - wyjaśnił.
 - Nie widziałem matki ponad dwadzieścia lat. Carson potrząsnął głową.
 - To smutne. - Gdyby wiedział, gdzie jest grób jego matki, położyłby na nim kwiaty. - W końcu jednak ją zobaczyłeś. Założę się, że radość była wielka. Gdzie mieszka twoja matka? W Rzymie?
 - Pod Mediolanem.
 - Włochy, piękny kraj - rzekł melancholijnie Carson. Przypuszczalnie wspominał z rozrzewnieniem tamtejszy czarny rynek, na którym działał w czasie wojny. - Piękni ludzie. Ciepło.
- Vincent poczuł się znudzony przedłużającą się rozmową o niczym.
- Napisała do mnie do więzienia - powiedział. - Po wyjściu pojechałem się z nią zobaczyć.
- Nawet jeśli Carson poczuł się zakłopotany wzmianką o więzieniu, nie dał nic po sobie znać.
- Słyszałem, że cię wsadzili - rzekł takim tonem, jak gdyby informacja o tym odległym w czasie fakcie przyплыnęła do niego przez Atlantyk w zalakowanej butelce i niespecjalnie go zainteresowała. - To było brutalne zerwanie. Powinieneś być wtedy pójść do ojca, wykupiłby cię. Ostrzegłem cię, mały, że nie da się wyżyć z dumy. Ale też nie byłem specjalnie tym zdziwiony. Zawsze miałem cię za uparciucha. Prawdziwego staroświeckiego angielskiego arystokratę.
- Vincent nie był staroświecki, nie był też arystokratą, ale nie zaprzeczył. Nie rzucił też światła na zachowanie się ojca.
- Więzienie tak bardzo mi nie zaszkodziło - powiedział beztrósco.
 - Sześć miesięcy nudy, kilka bójek, to wszystko.
 - Potrafisz się bić?
 - Na szczęście.
 - Co robiłeś od tego czasu?

- Niewiele. Pracowałem w firmie handlującej nieruchomościami w Mediolanie, ale to była mała firma i bardzo... nobliwa. Bez żadnych perspektyw na przyszłość. Dlatego przyjechałem tutaj. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych matka wystąpiła w kilku ekranowych wersjach wielkich oper, takich jak *Tosca*, *Carmen* i inne. Pewnie widziałeś którąś z nich. - Judas przypuszczalnie nie widział żadnej, ale Vincent wiedział, że powiew kultury zrobi na nim wrażenie. - Matka wciąż ma w Hollywood wielu dobrych znajomych, niektórzy są wpływowi, inni tylko sławni. Bardzo miło mnie przyjęli. Uczyłeś mnie, że należy wykorzystywać atuty. - Wypił łyk burbona, nabrał powietrza przed zanurkowaniem. Kiedy odezwał się znowu, jego głos był opanowany, mistrzowsko chłodny. - Wiesz, posłuchałem twojej rady. W więzieniu miałem mnóstwo czasu do rozmyślań. Ucz się na błędach, mówiłeś. Nauczyłem się.

- No i? - spytał Judas.

- Kiedy zdecydowałem się na przyjazd do Kalifornii, pomyślałem, że potrzebna mi będzie pomoc. Kolegi, doradcy, kogoś, kto może nauczyć mnie prowadzenia interesów. Od razu pomyślałem sobie o tobie.

- Podoba mi się twój tupet - stwierdził Carson po dłuższej przerwie. Minę miał dość zaskoczoną i nie wiadomo było, co wyrażała. - Niestety, mały. Gdybym szukał młodego wspólnika, byłbyś pierwszy na liście, ale w obecnej sytuacji...

- Nie zapominaj, że mam kontakty - powtórzył Vincent. - Jestem także inteligentny, prężny i doświadczony - w szerokim zakresie. Naturalnie, posiadam kapitał. Jeśli ty mnie nie weźmiesz, zrobi to ktoś inny. Ale...

- Ale?

Vincent wzruszył ramionami, uśmiechnął się.

- Lepszy diabeł, którego się już zna. Judas roześmiał się.

- Przynajmniej szczerze. Do diaska, mały, prawie mnie skusiłeś. Rzecz jednak w tym, że gdy dwóch ludzi pracuje razem, muszą mieć do siebie zaufanie. Może nie we wszystkim, ale w każdym razie powinna ich cechować pewna podstawowa... prawość. Coś w rodzaju wspólnej wiary. Jeśli nie wobec innych, to przynajmniej wobec siebie muszą być uczciwi. A ty, po tym, jak cię urządziłem, będziesz starał się mnie dopaść. Ja natomiast będę przez cały czas oglądał się za siebie. I będę próbował cię złapać. My sobie nie zaufamy. Rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć?

- Bzdura - rzekł Vincent. - Miałeś tu po wojnie partnera. Zaszantażowałeś go i wypchnąłeś z interesu. Zupełnie bez powodu. Wbijesz mi nóż w plecy, jak tylko je nadstawię. Aleja tego nie zrobię.

- Pamiętam, że kiedy byłem mały - odparł Carson - moja babcia mawiała: „Kurczaka można ugotować na wiele sposobów.”

- Nie jestem kurczakiem - odciął się Vincent. Nie wierzył w te wszystkie mądrości, które Judas przypisywał swej babce. Ani w samą babkę.

- Dobrze, dobrze, mały. Słuchaj, pomyślę o tym. Tyle mogę ci obiecać. To i tak dużo.

- W imię dawnej przyjaźni? - spytał Vincent ironicznie.

- Podoba mi się twój tupet - powiedział Judas - ale co za dużo, to niezdrowo. Teraz mam robotę. Przyjdź za kilka dni, to jeszcze porozmawiamy. Wiesz, co ci powiem? Zjedźmy razem lunch. Czemu by nie? Czwartek, dwunasta trzydzieści.

- O ile będę wolny - odrzekł Vincent.

Zjedli razem lunch, rozmawiali, a kilka dni później Vincent został zaproszony na obiad do rezydencji Carsona w Bel-Air, gdzie obejrzał obrazy, wysłuchał anegdot, wyraził stosowne uznanie dla historii z Corotem. Porzuciwszy ostrożne rozbawienie i wesołą ostrożność Judas łatwo się wcielił w poprzednią swą rolę zawodowego mentora.

Woził Vincenta po okolicy pokazując mu potencjalnie bardzo cenne kawałki pustyni czy budowane właśnie fabryki i bloki mieszkalne. Gdy przyzwyczajono się do jego obecności w biurze w La Cienega, a szorstka sekretarka złagodniała, Vincent poprosił, żeby mu dali jeśli nie partnerstwo to przynajmniej biurko.

- Kiedy tu przyjechałem jako żółtodziób, zeskoczyłem z wozu i zobaczyłem w oddali czmychających Indian - opowiadał swe niestworzone historie Carson. - Myślałem, że ulice w Los Angeles będą wybrukowane złotem. I wiesz co, mały? Faktycznie tak jest. Każdy metr kwadratowy tego piasku tutaj i skał to złoto. Rosjanie mają zboże, Arabowie ropę, a my, żyjąc w kraju umiłowanym przez Boga, ten piach pod nogami, który jest wart wielkie pieniądze. Przemysł to sobie, co?

Vincent, który do mądrości Carsona podchodził obecnie z większym sceptycyzmem niż kiedyś, skłonny był jednak dać im trochę wiary.

- Spójrz na to - rzekł Judas pewnego popołudnia, zatrzymując się za górskim zakrętem, skąd rozciągał się rozległy widok na jałową

ziemię. - Sucha jak Sahara. Dobra tylko dla węży i robaków. Ale doprowadź tu wodę, mały, a będziesz miał Rajski Ogród. Ludzie zapłacą krocie za kawałek Rajskiego Ogródu.

- Kto ma kran, ten ma władzę - zauważył Vincent.

- Ty to powiedziałeś - ucieszył się Carson, jak zawsze kiedy uczeń wychwycił w mig najważniejszy aspekt sytuacji.

- Nie bez powodu z Departamentem Wody i Energii liczą się bardziej niż z Białym Domem. - Był to jego ulubiony dowcip; roześmiał się sam tym swoim bezgłośnym śmiechem.

Vincent uśmiechnął się smutno.

- A więc potrzebujemy - rzekł w zamyśleniu - kogoś w tym departamencie, kto albo załatwi, że doprowadzą tu wodę, jak już kupimy tę ziemię, albo... zawiadomi nas, gdzie planują kłaść rury, żebyśmy zdążyli zrobić zakupy przed innymi.

- Dyrektor departamentu, facet od kranu, jest najlepiej opłacanym urzędnikiem w stanie. Oczekują po nim, że będzie Panem Czystym. Czystym jak jego własna woda. Ale podoba mi się twój tok rozumowania. - Gotów do kontynuowania przejażdżki Carson zapuścił silnik. - Wiem, że nie pomyliłem się co do ciebie, mały. Szybko się uczysz. Od razu wiedziałem, że tak będzie.

Tym razem Vincent ubawił się szczerze, ale zachował to dla siebie.

Miał w pamięci słowa Carsona, gdy kilka miesięcy później poznał na jakimś przyjęciu Richmond LeSueur.

Z końca sali widział jej triumfalne wejście - kobiety średniego wzrostu ubranej w taki sposób, by wyglądać na wysoką, pod jedną rękę ze starszym, pod drugą z młodym mężczyzną. Znajomy powiedział mu, kim ona jest i dodał, że starszy mężczyzna jest jej kochankiem, a młodszy prawnikiem, lub na odwrót. Vincent już o niej trochę słyszał. Resztę wieczoru spędził na porównywaniu plotek na jej temat. Inne dziewczyny przyjechały do Los Angeles, żeby dostać się do filmu, Richmond LeSueur interesowały wyłącznie nieruchomości. Pojawiła się tu przed dziesięciu czy piętnastu laty jako dziwka, której się nie udało na ulicy, bez wyglądu i zupełnie bez wdzięku. Ręce miała zniszczone jak robotnik, nos złamany, szczękę wystającą, rysy ujawniające mieszane pochodzenie rasowe. Jedni twierdzili, że jest Hiszpanką, inni, że Włoszką, jeszcze inni, że Murzynką, trochę Chinką, a trochę Indianką z plemienia Apaczów.

Namówiona przez spekulanta od nieruchomości wykupiła na niego slums, w którym mieszkała, a potem skłoniła do tego samego, prośbą i groźbą, innych lokatorów, zapewniając ich, że robią świetny interes. Otrzymawszy należny jej procent włożyła go do banku. Speculant poszedł z torbami, wielu z jej sąsiadów straciło dach nad głową, ona jednak zarobiła. Jedni mówili o niej, że jest zachłanna i nieprawdopodobnie skąpa, inni określali ją jako egoistkę o skłonnościach sadystycznych, jeszcze inni jako ekstrawagancką nimfomankę. Nikt nie wiedział, czy Richmond LeSueur jest jej prawdziwym nazwiskiem. Przyjaciele nazywali ją Rich, wrogowie LeSutener. Ci drudzy byli znacznie liczniejsi. Do tej pory zaliczyła dwa lukratywne rozwody, ostatnio zaś sprzedała własną agencję. Podobnie jak Judas Carson miała pociąg do sztuki, z tą różnicą, że rozumiała wartość zbieranych przez siebie przedmiotów, jak gdyby własna brzydota budziła w niej głęboki tajemniczy głód piękna, pragnienie posiadania go i rozkoszowania się nim niczym wagnerowski karzeł skarbami. Mówiono, że posiada obrazy, których nikomu nie pokazuje, filizankę Borgii skradzioną we Włoszech przed dziesięciu laty, Goyę, który należał niegdyś do Hermana Goeringa. Dziedzictwo prostytutki, która prowadziła interesy tylko z tymi mężczyznami, których nie stać było na ładniejszą dziewczynę.

Teraz zresztą nie była już brzydka. Stała się produktem Hollywood. Dzięki diecie, gimnastyce i silikatom uzyskała idealną figurę, chirurg plastyczny cofnął jej szczękę i przemodelował nos. Składane co dwa tygodnie wizyty w salonie piękności pomagały trzymać w ryzach lekki wąsik, a grube ciemne włosy przemieniać w jasną czuprynę złożoną ze srebrnobrązowych, beżowych i platynowych pasemek. Ubrania nosiła skromne, ale bardzo, bardzo drogie. Vincent zobaczył kobietę, która jeśli nie była przystojna, to w każdym razie interesująca, z indiańskimi kośćmi policzkowymi, odętymi wargami, karmelową cerą i postawą boksera przed walką. Przy poznaniu okazała się oschła, gdyż najwyraźniej uznała, że Vincent jest za młody na kogoś ważnego. Przesunęła wzrokiem po sali w poszukiwaniu kogoś bardziej interesującego. Mechanicznie, bez najmniejszego zastanowienia, odrzuciła jego zaproszenie na lunch.

- W porządku - rzekł Vincent takim tonem, jak gdyby to on szedł na ustępstwo. - Odeślij swoją eskortę i zamiast lunchu zjemy kolację. Dzisiaj.

Zaskoczył ją do tego stopnia, że wreszcie obdarzyła go spojrzeniem. Roześmiała się.

- Nic z tego. Podoba mi się pański tupet - ulubione powiedzenie Carsona - ale nie aż tak.
- Ale ja nie ciągnę pani do łóżka - wyjaśnił Vincent. - Do tego wolę kobiety bardzo młode, bardzo ładne i niezbyt błyskotliwe. Z panią chciałbym porozmawiać o interesach. - Mówiąc to patrzył jej prosto w oczy - małe, twarde jak bazalt, przedłużone tuszem, zmiękczone cieniem. Nie zdziwiło go, że ta twardość wydała mu się seksowna. Wyczuwał pod jej gładką syntetyczną fasadą rdzeń z litej skały, szorstki, z ostrymi występami. Jak bardzo pragnął skłonić ją do uległości, zmusić do delikatności, która nie leżała w jej charakterze, stępić ostre krawędzie. Zgasił czym prędzej swe spojrzenie, czując, że zachował się zbyt hałaśliwie, arogancko i bez potrzeby brutalnie. Richmond bawiła się kieliszkiem od szampana, zginając swe metaliczne paznokcie. W ten sposób patrzyło już na nią wielu mężczyzn, którzy chcieli wykorzystać jej mózg lub uzyskać dostęp do jej konta bankowego. Kończyło się na tym, że to ona wyciągała informacje lub pieniądze.
- A co ty możesz mi zaproponować? - spytała z lekkim akcentem na „ty”.
- Pieniądze. - Richmond miała duży kapitał, ale postępowała z nim nader ostrożnie, bojąc się wyklądać większe sumy. Przyjemnie byłoby podzielić się z kimś ryzykiem, nawet jeśli pociągnęłoby to za sobą dzielenie się profitem. Może nauczyła ją tego historia jej pierwszego wspólnika?
- Pieniądze mamusi i tatusia? - spytała z jawną pogardą. Vincent uśmiechnął się lekko.
- Wszystkie wyglądają tak samo.
- Ty jesteś tym zdolnym uczniem Carsona, prawda? - powiedziała, przesunawszy znowu wzrokiem po sali. - Pewnie kazał ci mnie ugadać.
- Powiedział, żebym unikał pani za wszelką cenę - odparł Vincent. - On nie chce angażować się z kimś, kto jest zbyt szybki, zbyt ostry i zawsze spija całą śmietankę. Znowu krótki śmiech.
- Jakbym go słyszała!
- Vincent był z siebie dumny, bo wszystko zmyślił.
- A twój akcent? - Jej akcent, z więcej niż jedną nutką południa, mimo wysiłków logopedy przypominał terkot derkacza.
- Angielski.

- Słyszałam, że twoja mama jest włoską śpiewaczką operową.
- Mówię po włosku, ale wychowałem się w Anglii.
- Nienawidzę opery. Te grubasy z podwójnymi podbródkami w roli namiętnych młodych kochanków. I długie nudne kawałki, gdzie tylko śpiewają, śpiewają i nic się nie dzieje.
- Interesy będziesz robiła ze mną, nie z moją matką - zauważył Vincent.
- A co dla mnie przewidujesz?

- Myślałem o partnerstwie. Ty, ja, Carson. Oczywiście, gdyby pojawiła się jakaś duża rzecz... w odpowiednim miejscu. - Nie zamierzał od razu wyklądać kawy na ławę. Chciał tylko, żeby ona wiedziała, że on wie. „Rzecz” opatrzona była etykietką „tajne, nie podawać do wiadomości publicznej”. Vincent dostał tę informację od prawnika Carsona, asa wywiadu na polu nieruchomości, który otrzymał ją od swej sekretarki, ona zaś od sprzątaczkę w biurze, zaprzyjaźnionej z dziewczyną z kwiaciarni, której pewien pan zlecił dostarczyć pewnej pani bukiet czerwonych róż, a przy okazji tę tajną informację.

Richmond LeSueur miała romans z Panem Czystym Carsona, dyrektorem Departamentu Wody i Energii.

- Otrzymałam ostatnio kilka takich ofert - oświadczyła Richmond. - Czemu miałabym przyjąć właśnie twoją?
- A czemu nie? - odbił piłeczkę Vincent.

Ich znajomość potoczyła się tym samym torem co wszystkie takie negocjacje - lunch, nieformalne spotkanie, znowu lunch, spotkanie w barze, kolacja plus seks. Vincent nie śpieszył się, gdyż doszedł do wniosku, że opóźnianie jest dobrą taktyką, udawał słabo zainteresowanego, trzymając Richmond - w każdym razie miał nadzieję, że ją trzyma - w napięciu. Kiedy w końcu wziął ją do łóżka stwierdził, że Richmond uczestniczy w tym tylko fizycznie; robiła wszystko, co trzeba, zadrzała w chwilę po jego orgazmie, ale psychicznie pozostała niezaangażowana. Gdy się to powtórzyło, zażądał:

- Powiedz, że było ci dobrze.
- Było mi dobrze.
- Więc przestań udawać.
- Kochanie, nie udawałam - zamruczała jak kocica. - Z każdym, ale nie z tobą.

- Nie chrzań. Jednoczesny orgazm zdarza się cholernie rzadko. Niewielu ludziom udaje się taka synchronizacja, zwłaszcza na początku. Może za często cię używano, może nie chcesz stracić przewagi nad facetem. On sapie, ty jesteś zimna jak lód. Ale nie ze mną takie numery. Kobiety, które ja pieprzę, szczytują albo nie, ale nie muszą udawać. Jeszcze raz tak zrobisz, to cię spiorę.

- Ty cholerny draniu...

- Zamknij się. Za długo byłaś dziwką i to wychodzi. Nie broń się. Czego się boisz?

Dzięki aerobikowi była silna, ale Vincent był silniejszy. Wykręcił jej rękę, jedną ręką przytrzymał je za plecami, drugą rozsunął jej nogi. Ciężarem ramion unieruchomił jej uda. Przeklinała, ale on nic sobie z tego nie robiąc lizał ją powoli i dokładnie, aż w końcu ucichła, a wtedy poczuł, że jej ciało zmiękło, złagodniało, wahając się, czy nie skapitulować. Kiedy była już blisko orgazmu i napięła mięśnie, Vincent odsunął się, mrużąc:

- Zaraz, kochanie. Nie śpiesz się. Jeszcze troszeczkę. - Po czym zaczął od początku penetrować ją językiem, otwierając jej labia i ssać ją do momentu, w którym nie była już w stanie się powstrzymać.

Po wszystkim spytał:

- Pierwszy raz w życiu miałaś orgazm, prawda?

- Tak - przyznała Richmond. Miała trzydzieści osiem lat i za sobą więcej bezsensownego seksu, niż była w stanie ogarnąć pamięcią.

- Zawsze udawałaś?

- Nie zawsze. Wielu mężczyzn w ogóle nie zwraca na to uwagi. Vincent milczał. Podniecenie jej wbrew jej woli, zapanowanie nad

nią jego samego podekscytowało do punktu, w którym stało się to niemal nie do zniesienia. Pragnął w nią wniknąć, głęboko i silnie, i pieprzyć do upadłego, wiedział jednak, że niewiele mu potrzeba, by osiągnąć orgazm, a opanować się już nie mógł. Pozwoliwszy Richmond wyrównać oddech, wtoczył się na nią i wszedł bez dalszych wstępów. Po szczytowaniu była zupełnie inna, mokra własną wilgocią, a nie posmarowana wazeliną jak przedtem, ciepła i chętna. Podała się, o czym tak marzył, niemal natychmiast.

- Tak jest znacznie lepiej - mruknął, wsuwając się w nią, czując ją wokół siebie miękką i napiętą, falującą wewnątrz w odpowiedzi na jego pchnięcia. - Tak... lepiej... o wiele lepiej... - Nie mógł zapanować nad swym ciałem - orgazm, który przyszedł szybko, opadał powoli, delikatne dreszcze wstrząsały jego penisem jeszcze

przez jakiś czas. Pozostał w niej rozkoszując się intymnością, posiadaniem, przejęciem inicjatywy, uprzednio jednak rozsunął jej nieprawdopodobnie twarde piersi, by ich nie zgnieść. Później rozmawiali o interesach.

- Nie zamierzam się w tobie zakochać - zapowiedziała Richmond. - Seks jest zbyt użyteczny, by miał służyć tylko przyjemności.

- Tym bardziej że przyda się w kontaktach z twoim przyjacielem z Departamentu Wody - zauważył Vincent. - W jakim celu wzięłem cię do łóżka? Nie sądzisz chyba, że dla przyjemności?

- No dobrze. Słyszałam o czymś nader interesującym. Czymś za dużym dla mnie samej. Między nami mówiąc, obstawiamy cały rynek - ty, ja i Carson. Muszę mieć jednak powód, żeby wybrać ciebie, a nie kogoś innego. Na przykład, procent od twoich dochodów.

- Jeszcze czego.

Zadrzała pod jedwabnymi prześcieradłami, które widać uważała za niezbędne do odbycia stosunku.

- To mój warunek. Przyjmujesz go czy nie?

- Za mniejsze pieniądze mógłbym przekupić jakiegoś nie dopłacanego urzędnika.

- Gdybyś mógł, to już byś przekupił. Słuchaj, robię brudną robotę i biorę za to dolę. Ciekawe, czy gdyby był pedałem, dałbyś mu dupy?

Vincent udał, że nie słyszy.

- A nie chciałabyś, żebym płacił ci twój procent w łóżku?

- Chyba sobie kpisz.

- Więc czym jest to, co robimy? Richmond znowu zadrzała.

- Deserem.

- Rozumiem - odparł Vincent. - Ale dla kogo?

W tym samym tygodniu otrzymał zaproszenie na ślub Richarda i Crystal. Ze stempla wynikało, że już długo wędrowało za nim po świecie. Zaadresowano je na jego stary adres w Londynie, stamtąd przesłano do La Scali w Mediolanie, gdzie przypuszczalnie przeleżało jakiś czas na biurku stropionej sekretarki, zanim ostatecznie trafiło do Willi Mirafiore. Tam ręką Jolandy zostało przeadresowane na Kalifornię. Po drodze ktoś otworzył kopertę, nie czyniąc z tego tajemnicy, bo zakleił ją taśmą. Żadna inna korespondencja z Anglii nie przysłała. Vincent domyślił się, że to matka nie oparła się

ciekawości. Powinien był przesłać ojcu czy Richardowi swój aktualny adres, ale myśl o jakimkolwiek kontakcie z nimi napawała go odrazą. Zostawił przeszłość za sobą, kilka tysięcy kilometrów za sobą i wyciągnięcie ręki oznaczałoby sięganie do przeszłości, cofnięcie się w rozwoju, rozdrapywanie zabliznionych ran. Dawno już nie musiał walczyć z sobą, by nie myśleć o Crystal. Czytając zaproszenie mimo woli uśmiechnął pod wąsem, próbując wyobrazić ją sobie w białej sukni i w welonie do ziemi. Zamglona postać w zwojach jedwabiu z naręczem pomarańczowego kwiecia. Postać musiała być zamglona, gdyż Vincent uświadomił sobie bez specjalnej przykrości, że nie pamięta dokładnie, jak Crystal wygląda. Jej podobizna w posrebrzanej ramce w kształcie serca trafiła na półkę nad kominkiem pełną różnych bibelotów i fotografii, rodzaj albumu łatwego do przewidzenia stylu życia - młodsze dziecko, starsze dziecko, dziecienniała babcia, pies. I Richard. Richard obok niej w srebrnej ramce, ubrany absurdalnie - w cylinder i frak, patrzący na swego kuzyna z uśmiechem, który nie zniknął ani się nie zmienił. Uśmiech na twarzy Vincenta zgasł, została tylko złość; zamierzał przedrzeć zaproszenie na pół, opanował się jednak. Postanowił, że zostawi je na stole, na półotwarte jak życzenia urodzinowe, i będzie ćwiczył obojętność. Stół stał na wprost drzwi; będzie patrzył na to zaproszenie, ilekroć wejdzie do domu. Tyle czasu go szukało, że zostały niecałe dwa tygodnie do ślubu. W kościele w Ridpath, zauważył. Przyjęcie ślubne w Uroczysku. Feudalna uroczystość, przybędzie cała wieś. Z tyłu Crystal dopisała: „Proszę Cię, przyjeźdź. Będzie nam bardzo miło Ciebie zobaczyć.” Crystal, nie Richard. Niewątpliwie tak wymagała etykieta. Mimo że wesele nie odbywało się w domu Crystal, jej rodzice byli oficjalnymi gospodarzami, Crystal więc sporządzała listę gości, dopisywała się do zaproszeń. „Ty się tym zajmij, kochanie” - powiedział zapewne Richard. Zaproszenie stało na stole do dnia ślubu. To idiotyczne, złościł się Vincent, gdyż ten kawałek tekturki nie dawał mu spać, męczył go przez sen. W dzień ślubu spalił go nad popielniczką, zdając sobie sprawę z patetyczności tego gestu, czując się głupio z powodu tej patetyczności, swej bezsilności i bólu. Pewnego dnia tam pojedę, obiecał sobie. Jak już będzie mi to obojętne. Ale gorycz i szaleństwo fermentowały w nim i chociaż na wierzchu nie miał blizn, to zadry tkwiły w jego sercu, kłując je

boleśnie na każde wspomnienie. Żeby zapomnieć, energię swą skierował na nieruchomości oraz Richmond LeSueur. Judas, któremu zwierzył się ze swych metod, był tym dość ubawiony.

- Uważaj, mały - przestrzegał go. - Ty jesteś przystojniak, ale ta LeSutener nie traci tak łatwo głowy. Byłbyś bezpieczniejszy w łóżku z wężem.

- Zoolog w Cambridge uczył mnie, że jeśli połaskotać pytona w ogon w odpowiednim miejscu, to się nie okręci.

- Tylko że ty masz do czynienia z nie pytonem, lecz z grzechot-nikiem. Próbowaleś kiedyś łaskotać grzechotnika? Kiedy jednak Vincent dowiedział się o projekcie w Poco Hondo, wiedział, że Richmond nie wykołuje go. Był to kawałek ziemi na przedmieściu, suchy jak jego nazwa, która znaczy Rzeczka. Faktycznie Rzeczka, która tam była w czasach przybycia hiszpańskich misjonarzy, wyparowała dawno temu. Misjonarze przenieśli się na bardziej zielone pastwiska, a nawróceni Indianie podążyli za nimi. W latach sześćdziesiątych ziemię tę kupił bogaty hipis, który założył na niej komunę. Bez kanalizacji, wody, elektryczności i innych wrogów środowiska, by wrócić do natury i odizolować siebie oraz swych nieszczęsnych naśladowców od pożąłowania godnego wpływu społeczeństwa. Zmarł w następstwie przedawkowania naturalnych substancji, takich jak alkohol i heroina, zapisując komunę i należącą do niej ziemię swym uczniom. Mieszkali tam, ale z roku na rok malała ich liczba, w miarę jak zepsuty świat skusił wielu z powrotem; usiłowali coś uprawiać na wysuszonej ziemi, ale nic im nie wyrastało poza kaktusami i krzaczkami marihuany. Nie słyszeli jeszcze o rurach, kiedy przybył tam z książeczką czekową, wyglądający bardzo młodo długowłose i niezwykle przekonujący Vincent - zsiadł ze zniszczonego mustanga w dżinsach pamiętających lepsze dni. Tylko dwoje czy troje nie zgadzało się sprzedać ziemi, zdecydowani zachować wierność szlachetnym celom Mistrza, z którego namowy zapuścili tam korzenie. Przypuszczalnie był to tylko przypadek, że krótko po tej wizycie zjawiała się policja, by rzucić okiem na plantację marihuany, oraz pracownicy socjalni, by sprawdzić za-wszczenie dzieci i uczęszczanie do szkoły. Gdy następnym razem Vincent wpadł tam z książeczką czekową, nie było odszczepieńców. Hipisom, którzy nie śledzili inflacji, oferta wydała się wcale wysoka. Pewnie nigdy się nie dowiedzieli, że jak tylko opuścili tę ziemię,

doprowadzono do niej wodę, zamieniając ich pustynne pole w dzielnicę willową. Vincent nie miał w stosunku do nich żadnych wyrzutów sumienia. Życie, jak wiedział, polega na tym, żeby chwytać okazję; bogactwo i powodzenie nie przychodzi samo do tych, którzy siedzą na czterech literach i czekają. Manewr ten doprowadził do oficjalnego partnerstwa z Carsonem i scementował jego związek z Richmond, w sferze interesu i w sferze seksu. W późniejszych latach, gdy Carson się postarzał, Richmond też została partnerem, póki oboje nie uświadomili sobie, że dwa rekiny nie mogą się czuć wygodnie w jednym stawie. Do tego czasu jednak dalej regularnie sypiali ze sobą, bez zaangażowania i wierności, po seksie dyskutowali o interesach z zajadłością, którą przenosili do sali posiedzeń rady.

- Od początku wiedziałam, że masz w sobie coś - powiedziała mu Richmond przy kolacji w Beverly, którą uczcili sprzedaż POCO Hondo z ogromnym zyskiem. Tak mówi reżyser filmu, gdy nieznany aktor, którego zaangażował, został gwiazdą.

- Ty nie wiedziałaś, ja wiedziałem - sprostował Vincent. - To się liczy.

Następnego ranka, w jej łóżku, przyglądał się badawczo jej twarzy na poduszce obok niego, nagiej bez makijażu - prawdziwej Richmond LeSueur, brzydkiej i bezbronnej, ziemista cera, zwichrzony pęk włosów, opuchnięte wargi. Wiedział, że po przebudzeniu będzie wojownicza - dziwnie nieporadnym gestem starała się włosami zasłonić nie umalowane oczy, po czym odrzuciła je do tyłu, by pokazać, że nie dba o to. To były chwile, kiedy lubił ją najbardziej, choć nigdy nie zadał sobie pytania - dlaczego. Nie potrafił wyobrazić sobie Richmond za mgiełką, pod spływającym welonem i by jej obraz w miarę upływu czasu zatarł się w jego pamięci i zredukował do fotografii w srebrnej ramce. Richmond będzie zawsze sobą, twarzą, przebiegłą, zachłanną, nie żałującą swych czynów. Przyglądał się jej przez kilka minut z uczuciem, którego nie potrafił nazwać, czymś w rodzaju czułości. Potem wszedł na nią i w nią bez wysiłku - była wciąż wilgotna po tym, co robili przed zaśnięciem - budząc ją. Skłęła go jak zwykle, bardziej z irytacji niż z gniewu, usiłując go odepchnąć. Vincent się tylko roześmiał, bo wzbudzała w nim największe pożądanie, kiedy miała zły humor.

- Psiakrew! Muszę się wysikać.

- Dobrze, ale pośpiesz się. I nie myj zębów.

- Z gęby mi jedzie.

- Mnie też. Wracaj do łóżka.
- Nienawidzę seksu rano. Wiesz o tym. Nienawidzę ranków.
- Wracaj do łóżka.

Następnego dnia pojechał do jubilera na Rodeo Drive i kupił matce wisiołek z czarną perłą, na który miał oko już od pewnego czasu. Zabrał go z sobą jadąc tego lata do Włoch - pierwszy raz od wyjazdu, choć telefonował z rozsądną regularnością, Jolanda natomiast często pisała w swym rozwlekłym, nieuporządkowanym, wielojęzycznym stylu. Na lotnisku wypożyczył samochód - Alfa Romeo Spider - i pojechał do Mirafiore-Tripodina. Powitanie było zgodne z przewidywaniami. Jolanda objęła go z całej siły i rozplakała się. Mariangela i Sebastiano zajęli się podziwianiem auta, pierwsze z nich z ponurą pochwałą, drugie ze zdecydowanym podziwem; Tommaso zaś zniknął za domem, podobno w poszukiwaniu parasola.

- Ładny samochód - powiedział uprzejmie Sebastiano.

- Ładna zabawka - stwierdziła Mariangela. - Zawsze głośne motocykle, prędkie samochody. Chłopcy nigdy nie dorastają. - I dodała ze zwykłym sceptycyzmem: - Mam nadzieję, że cię na niego stać.

- Oczywiście, że go stać! - zdenerwowała się Jolanda. - Jest teraz bardzo bogaty, odnosi sukcesy. Wkrótce będzie miał samochód na każdym lotnisku, tak na wszelki wypadek. Chodźmy do cienia, *caro*, uczymy twój przyjazd. Mamy szampana. Francuski. Krug, najlepszej jakości. Sebastiano!

Napili się *spumante*. Vincent dał jej wisiołek, zatrzymując na chwilę potok uśmiechów i łez.

- To imitacja, co? - upierała się, patrząc na perłę szeroko otwartymi oczyma.

- Nie.

- Ale czarna perła... czarne perły są strasznie drogie. Żeby kupić taki wisiołek trzeba być prawdziwym milionerem. Vincente, przez całe życie, nigdy, przenigdy nie miałam czegoś tak wspaniałego, ale...

- To dobrze. - Ucałował ją w policzek. - Nie sprzedawaj tego. Sebastiano, któremu nie w smak było ewidentne bogactwo Vin-

centa, patrzył na niego niechętnie. Kiedy kilka dni później Vincent zapełnił piwnicę Krugiem dobrego rocznika, doszło między nimi do nie uniknionej sprzeczki. Jolanda wcześniej się położyła, zmęczona

swymi uniesieniami, pozostawiając dwóch mężczyzn swego życia w ryzykownym *tete-d-tete* nad resztkami wina.

- Po co to kupiłeś? - zaczął Sebastiano oskarżycielskim tonem.

- La signora, ona pije za dużo, dostaje fioła, traci przytomność. To dla niej bardzo niedobrze.

- I tak pije za dużo - odparł Vincent z rezygnacją, świadom, że tego problemu nie jest w stanie rozwiązać. - Równie dobrze może więc pić to, co kupiłem. Dobry szampan mniej jej zaszkodzi niż tanie *spumante*.

- Wcale nie jest tanie! Ty jesteś *ignorante*, nie znasz się na włoskich winach. Bertolucchi *spumante* jest doskonałe!

- Niech ci będzie.

- Przyjeżdżasz, szastasz forszą na prawo i lewo... Skąd masz te pieniądze? Może kradniesz? - Sebastiano upił się i sam już nie wiedział, co mówi.

Vincent, który pił wolniej i miał mocniejszą głowę, podtrzymywał swe słabnące opanowanie.

- Nie kradnę, robię interesy - odparł szorstko. Sebastiano nie słuchał go.

- Przedtem jesteś w więzieniu, jesteś *criminale*. Wypuszczają cię, jesteś biedny, przyjeżdżasz do Italii, wysysasz swą matkę. Teraz, *subito*, jesteś znowu bogaty...

- Ja wysysam matkę! - Opanowanie Vincenta się skończyło. Poderwał się na nogi, złapał nad stołem Sebastiana za kołnierz, przewracając kieliszek, wprawiając talerz w ruch obrotowy. Kieliszek przez chwilę toczył się po stole, talerz spadł na podłogę i rozbił się.

- To ty jesteś pasożytem. Nawet płacąc rachunki, żyjesz z niej, wykorzystując jej talent i dobroć. Posłuchaj więc. Od dziś wszystko się zmieni. Będę płacił jej pensję. Będę płacił za wszystko. I co wtedy zrobisz? Przegrany żigolak, który traci wygląd, czepia się z rozpaczą kobiety, która już go nie potrzebuje. Co ty możesz jej dać, Sebastiano? Swój operowy geniusz? Nieszczęsny urok? Byłeś tylko dobry w płaceniu rachunków, a ja położę temu kres. Naprawdę sądzisz, że ona będzie cię jeszcze chciała mieć przy sobie? - Puścił to, co pozostało z kołnierza Sebastiano, i odepchnął silnie słabszego mężczyznę, aż krzesło się przesunęło. Kieliszek dotoczył się do krawędzi stołu i podzielił los talerza.

Hałas sprowadził Mariangelę z miotłką i szufelką.

- Chcecie się bić, to idźcie do ogrodu - krzyknęła. - *Fortunatamente* nie jest to nasze najlepsze szkło.

- Nie będziemy się bić - odparł Vincent. - Z nim nie warto.
- No, to zobaczymy, czy nie warto! - Sebastiano, mimo swej fizycznej słabości, trząsł się z gniewu, nie ze strachu. Jak zwykle, ze zdenerwowania tracił głowę. - **Bastardo... io ti ammazzo...**
- Myślę, że powinienes iść do łóżka - stwierdziła Mariangela. - Ty też, Vincente. Nieraz dobrze się pokłócić, to oczyszcza atmosferę, ale już wystarczy. Idźcie teraz spać, a rano podacie sobie ręce i o wszystkim zapomnicie.
- Zapomnisz, zapomnę - oświadczył Vincent.
- Ty też, Vincente.
- Dlaczego?

Mariangela spojrzała na niego porozumiewawczo.

- Ze względu na swoją matkę.

Rano wprawdzie nie podali sobie rąk, ale bez specjalnych dyskusji zaczęli znowu iść na ustępstwa. Jolanda dalej żyła w domu Sebastiano. Vincent ustalił dla niej pensję, którą ostatecznie postanowił płacić przez Sebastiano, gdy odkrył, że czek, które posłał jej wcześniej, przewiązane wstążeczką leżały na toaletce, by wybrani goście mogli się sami przekonać o przywiązaniu do niej syna, a także o jego przedsiębiorczości.

- Gdybyś pisał listy - powiedział Sebastiano oskarżycielskim tonem - nie musiałaby zbierać tych czeków na pamiętkę.

- Nie umiem pisać listów - warknął Vincent. - Wolę telefonować. Raz czy dwa poruszyli w rozmowie możliwość jej powrotu do Los

Angeles, Vincent jednak wiedział, że nigdy do tego nie dojdzie. Jej starzy i jego nowi znajomi regularnie o nią pytali, wyrażając przekonanie, że na pewno wciąż jest piękna, a jej **vibrato** dalej chwyta za serce. Jolanda była śpiewaczką, a zarazem aktorką. Tak jak u Callas jej śpiew wydobywał się nie z przepony, lecz z duszy. Ale w śpiewie Jolandy czuło się stłumiony gniew, ciemne moce, samozagładę i zagrożenie, które sprawiały, że jej **Vissi d'Arte-jak** mówiono - było nawet lepsze od Callas. Jolanda miała głos niemal bez skazy, podczas gdy głos Callas był daleki od doskonałości, o czym wszyscy świetnie wiedzieli. I tak dalej. Spory na temat, która z nich była wybitniejsza, ciągle jeszcze potrafiły ożywić niejedno przyjęcie w Beverly Hills, w przerwach między dyskusjami o filmach. Większość wołała Jolandę. Była ich gwiazdą. Jej obecny status pustelnicy, rezydującej, jak sądzili, w jakimś egzotycznym **palazzo**, do którego wstęp miała jedynie garstka wybranych przyjaciół na

wytworne pogawędki o muzyce, dodawał jej osobie tajemniczej aury. Vincent nie pozbawiał ich złudzeń ze względu na Jolandę, która na pewno nie chciałaby nikogo rozczarować.

- Namów ją na operację plastyczną - poradziła mu Richmond, gdy jej to wszystko opowiedział. - Próbowales porozmawiać o jej głosie z jakimś specjalistą? Oni potrafią teraz robić cuda. Sama wiem o tym najlepiej.

- Chyba żartujesz. Wyobrażam sobie, jaką zrobiłaby minę, gdybym zaproponował jej operację plastyczną - rzekł Vincent. - To tak, jakbym dał jej do zrozumienia, że nie jest piękna. W każdym razie tak by to przyjęła. Co zaś do głosu, to nie ma na to żadnego lekarstwa. Płukała gardło różnymi miksturami, bez skutku. Kiedy dzwoni pięknie, nie da się go skleić. Na zawsze pozostanie pęknięty.

W końcu jednak powtórzył Jolandzie, co mówiono o niej w Los Angeles, jak tęskniono tam za nią, za jej śpiewem. Z jej reakcji domyślił się, że dalsza rozmowa jest zbyteczna.

- To prawda - przyznała Jolanda. - Może moja uroda trochę zwiędła, mój głos nie jest już taki wspaniały, ale wciąż jestem primadonną, *femme fatale*, a w Hollywood, ach tam, odzyskałabym

1 głos, i urodę. Niestety, nie mogę pojechać. Wiem, że moja odmowa złamie im serca, ale cóż, jestem okropnie zajęta. - Nie wspomniała czym. - Zresztą i tak nie mogłabym pozostawić Sebastiano. Może za rok.

Albo za dwa, albo za trzy. Teraz, kiedy go było na to stać, Vincent odwiedzał ją często. Czasami kilka razy w roku. Powrót Jolandy do Ameryki należał obecnie do tej samej kategorii, co jej powrót na scenę - któregoś dnia na pewno miało do tego dojść.

Jolandzie wprawdzie nigdy nie przyszłoby do głowy radzić się kogokolwiek w sprawie zmarszczek, zwróciła się jednak do jakiegoś specjalisty o ratunek dla swego głosu. Dzentelmen, o którym tu mowa, miał czarno-srebrne włosy, którymi mógłby rywalizować z Frankiem Cavalcanti, i dość wątpliwe kwalifikacje medyczne. Był gładki w obejściu i bardzo, bardzo drogi. Jego wpływ na Jolandę doprowadził do nieoczekiwanego zbliżenia między Sebastiano a Vincentem, gdy pierwszy z nich napisał do drugiego długi rozpaczliwy list. Tak zwany doktor wkupił się w łaski Jolandy, a to nie jest żaden doktor tylko oszust, *truffatore*, i co najgorsze - Anglik. (Przypuszczalnie z powodu związków Jolandy z Anglią Sebastiano był zatwardziałym anglofobem.) Jeśli Vincente choć trochę ją kocha,

powinien natychmiast przylecieć i porozmawiać z nią, bo la signora zupełnie nie chce słuchać oddanego jej Sebastiano. Vincent, pierwsza rzecz, zatelefonował do matki. Manda zapewniła go, że sam byłby tym *dottore* oczarowany. To taki inteligentny człowiek, a jaki przy tym wrażliwy i *simpaticol* Na biednego Sebastiano nie należy zwracać uwagi, on po prostu jest trochę zazdrosny. Vincent zaniepokoił się nie na żarty i zarezerwował bilet na pierwszy możliwy lot. Zanim jednak doleciał, doktor wziął nogi za pas i umknął prawdopodobnie do Anglii. Najwyraźniej doszedł do wniosku, że nie ma ochoty poznać syna Jolandy. Jolanda wprost nie mogła w to uwierzyć; wyjazdu doktora nie potrafiła zakwalifikować inaczej niż jako nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Przystudiowała sumy, które ze swej pensji matka wypłaciła doktorowi, Vincent aż się zagotował. W roztargnieniu uściśnął rękę Sebastiano, kazał mu uspokoić Jolandę, sam zaś znowu wszedł do samolotu, tym razem do Londynu. Błyskawiczny przyjazd Vincenta i niemal natychmiastowy odjazd tak zaskoczył Jolandę, że zapomniała go opłakiwać. Ponad pięć lat minęło, odkąd Vincent wyjechał z Anglii. Powitał go deszcz, prawdziwy angielski deszcz i beznadziejnie szare niebo. Świat za szybą taksówki przypominał akwarelę, na której rozpląnęły się farby. To głupie, żeby Londyn w deszczu budził w nim sentymentalne uczucia (do tej pory zupełnie mu nie znane), ale patrząc na ulice Vincent doznał nagle bolesnego ukłucia świadczącego o jakimś dziwnym przywiązaniu, które powinno było odejść w przeszłość wraz z młodością. Poczul się niepewnie i nieswojo. W hotelu „Dorchester” skontaktował się z agencją detektywistyczną „Quid-nunc”, poleconą mu przez znajomego w Stanach. Poprosił ich o wytropienie rzekomego doktora. Czekał na wyniki, zastanawiał się, od kogo mógłby się dowiedzieć - nie ryzykując, że o jego zainteresowaniu zostanie powiadomiona rodzina - co robi ojciec, czy w Uroczysko przypadkiem nie trafił piorun i czy Richard i Crystal splodzili już statystyczne dwoje i cztery dziesiąte dziecka. Jakiś czas temu wysłał swój adres do prawników ojca, co nie zaowocowało wymianą listów, nawet nie otwartych. Odziedziczonych jeszcze po przodkach prawników trudno byłoby namówić do plotkowania. Był zły na siebie, że poświęca temu tyle myśli; w Los Angeles na ogół potrafił zdystansować się do przeszłości, w Londynie natomiast przeszłość robiła wrażenie bliskiej i żywej, jak gdyby gorycz i żal tkwiły w nim przez cały ten czas i tylko czekały na odpowiedni

moment, by dać o sobie znać. Początkowo zamierzał wyjechać, jak tylko „Quidnunc” odnajdzie fałszywego *dottore*, ale nawet gdy już się z nim rozprawił - krótko, za to ostro - jeszcze kilka dni zwlekał. *Dottore* na widok zaciśniętych warg Vincenta i przygotowanego przez detektywów raportu o swej wcześniejszej działalności westchnął, wzruszył ramionami i zabrał się do wypisywania czeku, którą to czynność przerwał, by zaprotestować przeciw oskarżeniu, że oszukiwał Jolandę.

- Jak tylko zrealizuję czek, możesz uważać się za wolnego. Ale nie wcześniej - powiedział Vincent.

Żeby tak jeszcze samemu się uwolnić, pomyślał. Opętała go bowiem zgubna, obsesyjna ciekawość. W końcu zlecił detektywom z „Quidunca” jeszcze jedno zadanie - zebranie informacji, o które nie mógł prosić znajomych.

W ten sposób dowiedział się, że jego ojciec otrzymał tytuł „sir”. Pewnie w nagrodę za działalność charytatywną, bo miał jej sporo na swym koncie, skonstatował Vincent. Mężczyźni w ich rodzie z dziada pradziada byli szlachetnymi i sprawiedliwymi panami, przykładnymi oficerami - John po prostu przeniósł właściwe ich rodzinie poczucie odpowiedzialności na współczesnych biedaków. Ponieważ na jego posiadłość nie napadali już głodni rozbójnicy, musiał sam poszukać ich w slumsach. Biznes o ludzkiej twarzy. Ojciec nie żałował czasu ani pieniędzy na bezimiennych biedaków, ale nie miał ich dla własnego syna - za syna bowiem nie dają szlachectwa. Z jednej strony Vincent był dziko dumny ze swej pozycji materialnej, do której doszedł o własnych siłach, bez finansowego czy też moralnego wsparcia ojca, z drugiej zaś fakt odrzucenia ciągle dotykał go do żywego, irytował, budził starą złość tym silniejszą, że irracjonalną. Vincent nie potrafił ani przebaczyć, ani zapomnieć; nie leżało to w jego charakterze.

Uważał siebie za pragmatyka, praktycznego i chłodnego faceta, niekiedy jednak jego reakcje były tak żywiołowe, że zaburzały zarówno jego chłodne rozumowanie, jak i obiektywne widzenie. Zdaniem Vincenta ojciec zbudował swą reputację na hipokryzji, a najwyższe wyróżnienie przyjął ze szczerym samozakłamaniami. Był podporą establishmentu i establishment poklepał go po ramieniu, podkpiwał sobie Vincent. Drwina stała się już jego odruchem. Nie przynosiła mu ulgi, ale dzięki niej czuł, że jest w zgodzie z samym sobą. Szlachectwo - cha, cha, cha! Honor, uczciwość, zasady - cha, cha, cha! Tak długo podsyczał szyderstwem złość, do której nigdy by

się nie przyznał, dopóki nie poczuł, że luksusowy pokój w hotelu „Dorchester” stał się kolejnym więzieniem, w którym siedział jak zwierzę w klatce. Wyszedł więc, zabierając z sobą swą złość, by poszukać jakiegoś wspomnienia, nie smakującego tak kwaśno.

Gdzieś musiał przecież grasować z nożem w ręku Hannibal Baker, Murzyn-wielkolud, który przez kilka krótkich miesięcy był jego' przyjacielem. Na pewno już wyszedł i teraz bije się, pije, kradnie oraz rżnie tę swą Lexy, Jayne czy Di. Vincent życzył mu wszystkiego najlepszego. O, Hannibal, ten dopiero był prawdziwym pragmatykiem-każdy związek traktował jak układ, zaś zaufanie i lojalność były po prostu walutą. Nic za darmo. Vincent przez długi czas w ogóle o nim nie myślał. Hannibal oczywiście miał rację - po drugiej stronie muru niewiele mieli ze sobą wspólnego. Ale to wspomnienie przynajmniej nie smakowało zdradą, utratą. Niewiele myśląc Vincent zatrzymał taksówkę. W pamięci majaczyła mu nazwa pubu w południowej części Londynu, którą Hannibal kiedyś wymienił. Głowa Króla? Noga Królowej? W każdym razie coś w tym rodzaju. Niewykluczone, że taksówkarz będzie wiedział, o co chodzi. Taksówkarz nie wiedział, ale zachęcony dziesięciofuntowym banknotem zawiózł Vincenta do Brixton i tam przeprowadził poszukiwanie. W końcu trafili do pubu o nazwie „Głowa Królowej”, który przypuszczalnie był tym, czego szukał. Budynek z trzema czy czterema barami, od frontu świeżo pomalowany na obrzydliwy kolor angielskiej musztardy. Z jednego końca dochodziła wrzaskliwa muzyka, z drugiego okropny harmider. Vincent, który spodziewał się małego cichego lokalu, gdzie mógłby zadać kilka dyskretnych pytań, poczuł, że jego zapał do szukania Hannibala mija z minuty na minutę. Zapłaciwszy taksówkarzowi niechętnie wszedł do środka. Wnętrze było słabo oświetlone i zatłoczone. Dym papierosowy, nie znajdując ujścia, wisiał w powietrzu jak smog. Vincent precyzyjnie przeszedł do baru, jak najdalej od szafy grającej, i czekał cierpliwie - zbyt cierpliwie jak na niego - na obsłużenie. Był świadom, że mu się przyglądają, nie z otwartą wrogością, jeszcze nie, lecz ostrożnie i podejrzliwie. Dojrzał kilka białych twarzy, te jednak, jak się domyślał, były tu już znane i akceptowane. On natomiast przybywał z innego świata; jego dzinsy miały jeszcze ślady po złożeniu, skórzana kurtka była uszyta na zamówienie, portfel zaś pękaty, wypchany do granic możliwości kartami kredytowymi. Świadomość, że mięśnie ma tak samo twarde jak sąsiad, przynosiła mu słabą

pociechę; sąsiadów tych bowiem było bardzo wielu. W więzieniu jednak nabrał pewności siebie, której byle pub nie był w stanie mu odebrać. Doczekawszy się w końcu na barmana zamówił piwo i spytał o Hannibala Bakera. Reakcja była niezupełnie taka, jakiej się spodziewał. Atmosfera, zamiast żeby się rozluźnić, stała się jeszcze bardziej napięta. Barman przestał nalewać i obdarzył go lodowatym spojrzeniem. Rozmowy w zasięgu jego głosu gwałtownie ucichły. Poprzednia ostrożność przeszła we wrogość.

- Kto pyta? - Ton barmana nawet bardziej niż słowa zdradzał rodzaj obronnej wojowniczości.

Vincent uniósł butnie brew.

- Ja pytam. - Zupełnie nie rozumiał, czemu jego pytanie sprowokowało taką ostrą reakcję - chyba że klientela „Głowy Królowej” składała się z większej liczby paranoików niż przeciętnie występuje. Wiedział jednak, że trafił we właściwe miejsce.

Z tłumu odkleiło się dwóch rodowitych londyńczyków i oskrzydliło go z prawa i z lewa.

- Tu go nie ma - powiedział jeden. - On nie życzy sobie z nikim się widzieć - zapewnił drugi.

- Skoro go tu nie ma, to skąd wiesz? - spytał Vincent. Przyśpieszone szeptem, torując sobie drogę wśród rozmów, dotarły

do końca baru, gdzie zrobił się jakiś ruch, po czym w zbitym ciasno zbiorowisku ludzkim nastąpiło przegrupowanie. Wyłoniła się z niego niewidoczna przedtem bardzo duża, bardzo ciemna sylwetka, górująca nad głowami i ramionami otoczenia. Vincent poczuł drżenie w żołądku, które mogło być wywołane zarówno ulgą, jak i radością. Na twarzy Hannibala malowała się wojowniczość, podyktowana przypuszczalnie niepewnością, kiedy jednak poznał kolegę z celi, mina powoli złagodniała, szczęka opadła, oczy niemal wyszły z orbit. Wreszcie Hannibal uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Vin! Vin Savage! Ja cię pieprzę! Ej, wy tam - to do prawej i lewej flanki - odsuńcie się, dobrze? To mój kumpel Vin Savage. Siedzieliżwa razem w pierdlu. Najlepszy kumpel w życiu. - A do Vincenta: - Bez urazy. Oni każdego białego uważają za śmieć. Ale tu nie chodzi o dyskryminację.

- Tak też myślałem.

- Dobra, co by tu... hej, ale masz katanę. No, no, no. Komu ją zwinąłś?

- Uszyta na zamówienie.

- To znaczy, że ci dobrze idzie, co? To jasne. Zawsze byłeś sprytny. Szukałem twojego Royce'a... no wiesz, żeby podpieprzyć radio ale nie znalazłem. Raz już nawet myślałem, że cię mam Wielki kremowy Royce z osobistą tablicą rejestracyjną. VIN 100 Sto to po francusku *cent*. Wiem, bo miałem kiedyś dziewczynę z Martyniki. Zdążyłem pomyśleć, że to bardzo w twoim stylu - VIN 100 - a tu ci za kierownicę ładuje się jakiś gruby, a złota ma na sobie tyle, że wystarczyłoby na katedrę Świętego Pawła. Ale się rozczarowałem, mówię ci.

- I nie podpieprzyłeś mu radia?

- Neeee.

Zapanowało milczenie. Przyglądali się teraz sobie, porównując wspomnienia ze stanem rzeczywistym. Potem Hannibal przywołał barmana i zamówił następną kolejkę. Rodowici londyńczycy odsunęli się, wymieniwszy z nimi uścisk dłoni, i wrócili do przerwanych rozmów.

- No więc tak - rzekł Hannibal, kiedy skierowali się do kąta ku dwóm miejscom siedzącym, które na ich widok w pośpiechu zwolniono. - Gdzie się podziewałeś?

- Pojechałem szukać szczęścia w Kalifornii - odparł Vincent

- Swojego kraju miałem już po dziurki w nosie.

- Znalazłeś?

Vincent wzruszył ramionami.

- Obłowiłem się, to pewne. A tego zawsze chciałem. Za forszę kupisz wszystko, w każdym razie rzeczy materialne. A tylko to się liczy. ^v

- A miłość? - spytał Hannibal. - Miłość też kupujesz?

- Rzadko. Po co kupować, skoro tyle jej za darmo? Hannibal uśmiechnął się.

- Ten sam stary Vin. Zawsze mówiłeś, że świat jest po to stworzony, żeby go pieprzyć. Nie w ten sposób, to w inny.

- Tego akurat nauczyłem się od ciebie. Pieprz, bo inaczej będziesz pieprzony. W pewnych sytuacjach bardzo dobra zasada moralna

- Wziął haust piwa. - Kto jak nie ty wbijał mi to do głowy" Praw się me ma, prawa trzeba sobie wywalczyć."

Posłuchałem cię "

Zapadło milczenie. Vincent czuł, że Hannibal zastanawia się co by tu jeszcze powiedzieć. ~ A co z tamtą dziewczyną? - spytał w końcu. - Tą, która

nie pisała, kiedy siedziałeś. Jak zresztą cała twoja rodzina. Widujesz się z nią?

- Nie. - Nawet jeśli Vincent miałby ochotę na zwierzenia, pub nie był odpowiednim miejscem. - A ty widujesz Lexy, Jayne albo Di?

- Widuję Jayne. Ma dwoje dzieci, ale nie ze mną. Di przeprowadziła się do Birmingham. - Ton jego głosu mówił, że równie dobrze mogłaby przenieść się do Timbuku. - Lexy zrobiła się strasznie religijna.

- Psiakość.

- Ty to powiedziałeś.

Zapanowało kolejne milczenie, nie milczenie kumpli w więzieniu, lecz milczenie spowodowane niezrozumiałym skrępowaniem. Przerwał je Hannibal.

- A słyszałeś o Claudzie? Pamiętasz go, Claud Cicha Nóżka. Więc on...

- Daj spokój - przerwał mu Vincent. - Daj spokój z tym głupim wspomnianiem. Żadnemu z nas to nie leży.

Oczywiście, że nie słyszałem o Claudzie Cicha Nóżka. Przecież byłem w Kalifornii. Co więcej, gównu mnie on obchodzi. Jeśli coś ci nie pasuje, powiedz mi wprost. Kiedy spytałem o ciebie, mieli miny, jakbym rzucił granat na bar. Kogo się spodziewałeś?

- Nikogo - mruknął Hannibal. - Przeprosiłem cię za to zamieszanie, nie? Wy biali wszyscy jesteście do siebie podobni. Jeśli nie rozwinie się przez wami czerwonego chodnika, zaraz myślicie, że to wojna. - Skrępowanie wyraźnie mu minęło, Hannibal był znowu sobą. - Myślałem, że zainteresuje cię Claud Cicha Nóżka. Siedział razem z nami.

- Przestań już nudzić z tym Claudem. Jeśli masz na myśli tego rudego z głębi korytarza, to wiedz, że nigdy za nim nie przepadałem. Słuchaj, jeśli nie chcesz powiedzieć, co się dzieje, to nie mów, przestań jednak udawać, że wszystko jest w porządku. Może już nie pamiętasz, ale mam łeb.

- Łeb to i ja mam - odparł Hannibal. - Tylko nie miałem forów. Nie jestem pieprzonym facetem z pieprzonej klasy wyższej. Od wyjścia z pudła żyję z zasiłku. Nie stać mnie było, żeby pojechać do pieprzonej Kalifornii szukać pieprzonego szczęścia.

- Nauczyłem cię czytać - odciął się Vincent. - Nie sądzisz, że najwyższy czas przyswoić sobie więcej przymiotników.

- Odpieprz się.

- Sam się odpieprz.

Raptem między nimi było wszystko jak dawniej. Pamiętali o istniejących różnicach, ale nie robili z nich problemu.

- No więc o co chodzi? - nie dawał za wygraną Vincent.

- Mógłbym ci jakoś pomóc?

- Nieee. To nie twoja sprawa, stary. Sam sobie poradzę.

W końcu jednak Vincent wycisnął z Hannibala, co go gryzie. A gryził go dług u lichwiarza na astronomiczny procent i wężące za nim psy tamtego. Hannibal nie powiedział, na co mu były te pieniądze, Vincent zaś nie zadawał zbytecznych pytań.

- Załatwię to - powiedział krótko. - Muszę tylko zorganizować gotówkę. Jutro.

- Nie chcę żadnych przysług. Ale tak czy inaczej dzięki.

- **Cazzate**. Jak chcesz, to możesz być mi winien tę forszę. Oddasz kiedyś w przyszłości. Wszystko jedno kiedy.

Jesteśmy teraz obaj wolni. - I dodał żartobliwie: - Ulżyłoby trochę mojemu portfelowi.

- Powiedziałem ci, że nie. - Na ciemnej twarzy Hannibala zastygł upór.

- Naprawdę mnie wkurwiasz - zdenerwował się Vincent. - Dlaczego nie? Miałbyś tamtych z głowy.

- Nie naciągam kumpli.

Vincent wypił do końca piwo i zatopił się w swych własnych myślach, podczas gdy Hannibal rozmawiał z kimś na stronie. Wreszcie Vincent spytał:

- A wziąłeś tę forszę a konto pensji?

- Jakiej znowu pensji? Ja nie mam pensji.

- Podoba ci się tutaj?

- O czym ty mówisz?

- O tym pubie. O Brixton. O Anglii. Zimą tu zimno, latem mokro. Podoba ci się to?

- Ujdzie. Nie jest to pieprzona Kalifornia, ale...

- No właśnie. - Uśmiech jak nóż sprężynowy rozjaśnił twarz Vincenta. - Słuchaj, olej to. Jedź ze mną do Kalifornii i pracuj dla mnie.

- Robisz sobie jaja. - Vincent pokręcił przecząco głową. - Co znaczy, pracuj? Co niby miałbym robić? Ty tam kantujesz, robisz szwindle, a ja się na tym nie znam.

- Między nami mówiąc, to, co robię, jest jak najbardziej legalne

- sprostował Vincent. - Potrzebuję natomiast kogoś, na kim będę

mógł polegać, gdy zaczynają się wyboje. Widzisz, współpracuję z dwiema osobami, z facetem o nazwisku Carson i kobietą o nazwisku LeSueur i żadnej z nich zanadto nie ufam. Chciałbym, żebyś został moim asystentem, gorylem, szoferem, giermkim, kim chcesz. Żadnych pytań, żadnych odpowiedzi. Jeśli jesteś gotów zabrudzić ręce, dobrze ci zapłacę. Co ty na to? - Po chwili milczenia kontynuował: - W Kalifornii jest bardzo ładnie. Palmy, słońce, długie piaszczyste plaże. Niebieskie morze.

- Wiem, wiem - odparł Hannibal. - Widziałem w telewizji.

- I stała dostawa pięknych kobiet.

- Rzecz w tym - rzekł Hannibal - że byliśmy kumplami. No wiesz, byliśmy równi. Wszystko się zmieni, kiedy będziesz moim szefem.

- Nie żądam, żebyś mówił do mnie „sir” - mruknął Vincent.

- Jeszcze czego.

Vincent przelotnie pomyślał o swym ojcu. Sir John Savage. Ma pewno wszyscy - równi mu pozycją i klasowo niżsi - zwracali się do niego per sir John i nikt się nie buntował.

- Wiesz co, Han? - powiedział. - Mieszkam w hotelu „Dorchester”. Zostanę 'tu jeszcze parę dni. Daj mi znać, co postanowiłeś. Nawet jeśli odpowiedź będzie „nie”.

Hannibal przytaknął. .

- Tylko nie zrozum mnie źle, Vin. To, co mi proponujesz, brzmi oczywiście świetnie i jestem ci wdzięczny. Chodzi jednak o to, że nie lubię...

- Być wdzięczny? Chrzań to. Powiedziałem ci, że cię potrzebuję.

- Przemyślę to sobie.

Następnego popołudnia Hannibal wkroczył do hotelu „Dorchester” i skierował się prosto do recepcji. Lęk, który budziło w nim to otoczenie, sprawił, że zachowywał się bardzo potulnie. Otoczenie zaś, odczuwając taki sam lęk przed nim, zachowywało się zgoła uniżenie - oddźwierny przytrzymał uprzejmie drzwi, recepcjonistka słabym głosem udzieliła mu informacji, zastanawiając się jednocześnie czy nie powinna wezwać facetów z ochrony. Na szczęście w porę zjawił się Vincent i zaprosił Hannibala do baru. Hannibal starał się być nonszalancki i bardzo się pilnował, żeby nie unosić brwi.

- No i? - spytał Vincent.

- Myślałem o tym, co mi powiedziałeś. Palmy, plaże, słońce. Szmal. Mnóstwo panienek, no i w ogóle. A potem sobie pomyślałem, że będziesz moim szefem. .

- Rozumiem - rzekł Vincent. - Wolisz pozostać niezależny. Potrafię to zrozumieć - zakończył z pewnym wysiłkiem.
- Gówno - powiedział Hannibal. - Myślisz, że przepuszczę taką okazję? Nie jestem pieprzonym idiotą. Miło mi będzie pracować u pana... sir.

W końcu tygodnia dług Hannibala został spłacony, jego nieliczne rzeczy albo spakowane, albo oddane do przechowalni, i oto obaj siedzieli w samolocie lecącym do Los Angeles. Przed wyjazdem Vincent jeszcze zlecił detektywowi z „Quidnunca”, żeby przysyłał mu kwartalne raporty o jego rodzinie, bo nie wymyślił innego sposobu śledzenia ich poczynąń. Nie napisał do nich, nie zatelefonował, pojęcia więc nie mieli, że był w Anglii. Z jednej strony cieszył się z ich ignorancji, z drugiej czuł się nią zraniony, jak gdyby to oni, nie on, byli winni, że nie doszło między nimi do spotkania. Między innymi drobnymi informacjami dostarczonymi mu przez detektywów była wiadomość o tym, że Crystal jest w ciąży. Nie potrafił wyobrazić jej sobie w tym stanie, za to nie miał najmniejszych trudności z wyobrażeniem sobie Richarda jako szczęśliwego przyszłego ojca. To właśnie jest szczęście, myślał Vincent, zgubne, mieszczańskie, banalne codzienne szczęście; szczęśliwy ojciec, szczęśliwa matka i babka, i przypuszczalnie szczęśliwy dziadek--wujek, sir - wszyscy promienieją szczęściem, tylko on, nieudacznik, czarna owca, jest gdzieś daleko, nikt nie wie gdzie. Nieobecny, wymazany z pamięci. Może na poszukiwania Hannibala, jedynego człowieka w życiu, który go nie zawiódł, udał się nie pod wpływem impulsu, a zaproponowanie mu pracy nie było tylko gestem?

Tak czy owak nie żałował. Hannibal nazywał go „sir” wyłącznie dla żartu, za to krytykował, ilekroć przyszła mu na to ochota. Ale jako uliczny zabijaka z południowego Londynu nie miał nic do zarzucenia jego metodom załatwiania interesów i gotów był wziąć udział w każdym jego przedsięwzięciu, choćby najbardziej wątpliwym. Znajomi w Los Angeles wierzyli, że Vincent Hannibala po prostu wyczarował; uważali go za tajemniczego wiernego mu ducha odznaczającego się mityczną siłą. Przypisywano mu o wiele więcej, niż życzyłby sobie Vincent, w tym również morderstwo. Podrywane przez Hannibala kobiety w zdecydowanie elegantszych barach i nocnych klubach od „Głowy Królowej” były z kolei tak oczarowane jego muskulaturą, boskimi przymiotami, finansową i seksualną rozrzutnością, że traktowały go jak kogoś w rodzaju idola. Carson go

tolerował, Richmond unikała. Być może wskrzeszał w mej jeszcze dość świeże wspomnienie jej własnej przeszłości. Hannibal niczym się nie przejmował i dobrze bawił. W miarę jak przyzwyczajał się do swojej roli, coraz rzadziej krytykował Vincenta i potrzebował coraz mniej dowodów swej niezależności. W końcu zamieszkała z piosenkarką z nocnego klubu, Smokey Brown, która rzuciła śpiewanie, by rodzić mu dzieci (pięcioro) i gotować. Hannibal jadł niczym zgłodniały tygrys, a potem, by zwalczyć skutki obżarstwa, gimnastykował się jak każdy prawdziwy Kalifornijczyk. W Londynie nie był od ponad dziesięciu lat, ale wciąż dumnie głosił, że jest londyńczykiem, faktycznie jednak na wzór wielu imigrantów zamerykanizował się. Zachowywał się jak Murzyn z Jamajki, mówił zaś z akcentem charakterystycznym dla Zachodniego Wybrzeża. Jego wspomnienia z Londynu zasnęła sentymentalna mgiełka, podobnie jak czasy, kiedy siedział z Vincentem w jednej celi, a wzrost i doświadczenie dawały mu ogromną nad nim przewagę. Teraz rządził Vincent. Hannibal był jego kumplem, podpora, podwładnym. Nie żeby mu to specjalnie przeszkadzało. Nie przeszkadzałoby też Vincentowi, gdyby zauważył, że się coś zmieniło. Zresztą Hannibal jeszcze od czasu do czasu mu wymyślał, wciąż nazywał go „Vin” i dalej mógł mu robić wymówki i uwagi. Gdyby Vincent się zastanowił, uznałby pewnie za rzecz naturalną, że środek ciężkości ich przyjaźni cokolwiek się przesunął.

Ale on przywiózł Hannibala do Stanów, ponieważ potrzebował przyjaciela, równego sobie, a nie tylko poplecznika.

Rozdział trzeci

Lata mijały. „Quidnunc” rzetelnie wywiązywał się z zadania, dzięki czemu Vincent wiedział o przyjściu na świat Penelopy Snow Crystal, jej brata Jonasa, o postępach zawodowych Richarda, o wejściu sir Johna do polityki. Kiedy „Country Living” zamieściło zdjęcia kwietnika Elizabeth Savage, przysłano mu odbitki. A także brudnopis pierwszego przemówienia ojca w Izbie Gmin, które Vincent zakwalifikował jako wystąpienie niskiego lotu, w staroświeckim torysowskim stylu, od razu nieaktualne, nie wnoszące nic nowego, szczere, płynące z głębi serca. Bardziej nadawałoby się do Izby Lordów, pomyślał. Powinni zrobić z niego para i wsadzić do muzeum starożytności, bo tam jest jego miejsce. Póki Crystal pracowała dla Récamera, „Quidnunc” przysyłał mu kopie jej reklam, lecz te błyszczące, podretuszowane, zamglone, cieniowane fotografie mało mu ją przypominały. Kiedy próbował wyobrazić sobie, że się z nią kocha, pamiętał jedynie jej wspaniałe włosy. Nawet w Los Angeles, dokąd przyjeżdżały młode dziewczęta sprzedać swe ciała za krótką chwilę utrwalenia ich na celulooidzie, nie zdarzyło mu się zobaczyć równie długich, grubych, przypominających zimny jedwab włosów. Założę się, że je obcięła, myślał z żalem. W końcu zawsze to robią. Kiedyś kosztowało go dużo wysiłku, żeby wymazać Crystal z pamięci, teraz z trudem ją sobie przypominał. I wcale nie było mu z tym dobrze. Obraz ojca i Richarda uzupełniany materiałami dostarczanymi przez „Quidnunca” - sprawozdaniami wystukiwanymi na maszynie, zdjęciami robionymi z ukrycia, wycinkami z gazet lub czasopism - ulegał może zniekształceniu, ale nie bladł. Kiedy partyjne obowiązki zaczęły wymagać od sir Johna częstego bywania w restauracji w towarzystwie sekretarza lokalnej partii, w kwartalnych sprawozdaniach zaczęły się pojawiać fotografie. Hester Bradley nie

była ani przystojna, ani szykowna, więc Vincent z początku niczego nie podejrzewał. Poleciał agencji, żeby ją sprawdziła, ale tylko dla zasady. Dopiero po rozmowie z Richmond zmienił stosunek do tej kobiety.

Z Richmond przestali robić wspólnie interesy, kiedy ona wyszła za męża, tym razem za błyskotliwego młodzieńca, który według Vincenta zamierzał oskubać ją do ostatniego centa. Ponieważ Vincent powiedział jej wprost, co o nim myśli, ich napięte ostatnio stosunki zawodowe uległy zerwaniu, a nie rozmawiali ze sobą chyba jeszcze cały rok. Błyskotliwy młodzieniec wyleciał na zbity pysk po pół roku pożycia, kiedy to zaczął rozpowiadać na prawo i lewo, że Richmond odmówiła mu dostępu do swego konta bankowego i przez jej skąpstwo musiał sprzedać „wazon” Paula Klee. Twierdził też, że gdyby nie obłudny handlarz dziełami sztuki, Richmond nigdy nie zauważyłaby ich zniknięcia. Przekonawszy się, że Vincent miał rację, Richmond jeszcze bardziej się na niego wściekła, odrzuciła propozycję ugody i jeszcze przez jakiś czas chowała do niego urazę. Ale że stara przyjaźń nie rdzewieje, wkrótce znowu się widywali, jeśli nie w sypialni, to przynajmniej w restauracji. Była wciąż jedyną kobietą, której Vincent zwierzał się czasem albo radził.

Rzuciwszy okiem na zdjęcia sir Johna i Hester Bradley, Richmond powiedziała:

- Miej na nich oko. Jeśli jeszcze mu nie dała, to wkrótce da. Spójrz tylko na nich. Na każdym zdjęciu wyglądają tak samo.

- To znaczy?

- On mówi, ona słucha. Zobacz, z jaką uwagą. Musi być idealną słuchaczką. To działa na mężczyzn, a nie uroda, wdzięk, seksapil. Kobieta na tym zdjęciu dosłownie pochłania jego słowa, a od czasu do czasu - nie za często, żeby nie wyjść na pochlebczynię - we właściwym momencie mówi mu, że jest wspaniały. I o to właśnie chodzi.

Nauczyłam się słuchać mężczyzn, szczególnie gdy rozprawiają o pieniądzach, ale ta cała Bradley ma to w naturze. Nie potrzebuje makijażu, eleganckich ciuchów. Jej wystarczą uszy. Jeśli twój ojciec jest normalnym facetem, próżnym i egocentrycznym, zakocha się w niej jak dwa i dwa.

- Oczywiście, że jest normalnym facetem - odparł Vincent lekko dotknięty.

- Więc jest próżny i egocentryczny. To zawsze idzie w parze.

- A ty się nic nie zmieniasz - zauważył cierpko Vincent. Skoro

jednak spytał ją o zdanie, głupio byłoby je zignorować. Wysłał więc do „Quidnunca” fax z żądaniem natychmiastowego dostarczenia mu uzupełniających danych Hester Bradley. Bezdzienna, mąż inwalida, cieszy się opinią odpowiedzialnej obywatelki. (O, to na pewno bardzo podoba się ojcu, pomyślał Vincent.) Na razie nie ma dowodów, że łączy ich związek fizyczny; gdyby mu zależało na dokładniejszych obserwacjach, musiałby ponieść dodatkowe koszty, ale prawdopodobnie byłyby to stracone pieniądze.

Vincent bez wahania upoważnił agencję do dokładniejszych obserwacji. W końcu chodziło tu o jego rodzinę, jego podwórko i choć był daleko i nie utrzymywał z ojcem kontaktów, nie życzył sobie, by zaskoczył go niepożądany rozwój wypadków. Wprawdzie ojciec kierował się w życiu surowymi zasadami, ta cała Hester Bradley przypuszczalnie też. Vincent przewidział, co się dalej stanie, i czekał zacierając cynicznie dłonie. Podobnie Lucyfer skryty za jabłonią czekał, by Adam ugryzł jabłko, licząc, że upadek Człowieka usprawiedliwi jego własny upadek, a grzech Człowieka odkupi jego grzech. Taka degradacja była naturalna jak oddychanie, nieunikniona jak śmierć, a w każdym razie Vincent w to wierzył - jeśli się pokaże Adamowi jabłko, to on się w końcu złamie i zacznie je jeść. Nie definiując swych uczuć czuł, że w jakiś sposób upadek ojca zakończyłby pewną epokę. Zamknęłoby się koło. Gdyby zobaczył koniec, gdyby już powiedział do siebie, w myślach, z odległości kilku tysięcy kilometrów: „A nie mówiłem”, mógłby władać piekłem wolny od sumienia czy skrupułów. Mógłby również powtórzyć za Szatanem Milтона: „Zegnajcie wyrzuty sumienia: nie ma już dla mnie dobra. Teraz Zło będzie mi Dobrem.” A jednak, kiedy otrzymał materiały, na które czekał, nie czuł radości, co najwyżej ponurą satysfakcję. Nawet słowa „A nie mówiłem” straciły dla niego swój smak. To nudne, pomyślał, mieć zawsze rację w sprawach ludzkiej natury, wiedzieć z góry, że jest słaba, omylna, zakłamana. By móc się zatrzymywać w czasie sesji parlamentu w Londynie, sir John kupił sobie mieszkanie w Belgravii, do którego pewnego dnia weszła z nim Hester Bradley. Tylko raz, ale to wystarczyło. Jednorazowy wyskok? - zastanawiał się Vincent. Chwila słabości, zapomnienia? Przez kilka minut patrzył na fotografie i raport detektywa, po czym schował wszystko do prywatnego, niedostępnego nawet dla sekretarki sejfu, gdzie trzymał dokumenty. Nie miał co do nich żadnych planów. To prawda, że jego ciekawość była obsesyjna, ale on

w przeciwieństwie do Lucyfera pozostał bierny - nie uczynił nic, by pchnąć tamtych dwoje do skonsumowania jabłka. Najgorsze stało się bez jego zachęty.

Wtedy przyszedł ten list. Vincent zupełnie się go nie spodziewał. List od ojca. Same frazesy, które Vincent często wyśmiewał, w rodzaju „co się stało, to się stało, krew nie woda, tyle wody (krwi?) upłynęło, że czas zacząć od nowa”. Vincent nie mógł oczywiście wiedzieć, że do napisania listu namówiła Johna Hester Bradley, która choć bezdzielna wiedziała, że rodzicielstwo jest czymś cennym, a potomstwa, nawet grzesznego, nie wolno odtrącać. Czytał ten list i czytał, patrzył na niego nieufnie, zastanawiał się. Z nikim o nim nie rozmawiał. Mówiąc Hannibalowi i Carsonowi, że wyjeżdża do Anglii zataił cel tej podróży. Poleciał na Heathrow, tam przesiadł się na samolot krajowych linii do Newcastle. Na lotnisku, jak zwykle, wypożyczył samochód. Nie uprzedził ani ojca, ani ciotki o swej wizycie. Jechał po prostu do domu.

Dom. Uroczysko. Uroczysko w szare popołudnie. Zapomniał już, jak złowroźnie wygląda na tle ciemniejącego nieba. Bo właśnie od strony Szkocji nadciągała burza; chmury formowały nad wzgórzami chwiejne kolumny, zbijały się w kłębowiska, wisiały ciężko niczym napełnione deszczem wory. Wtem w szczelinie między chmurami a ziemią pokazało się zachodzące słońce, posłało nisko nad ziemią długie promienie, które wszystkie cienie wyciągnęły do nedorzecznej długości. Światło dosięgło ściany frontowej, zapaliło koniuszek kwiatonu, obrysowało jasną kreską niektóre krawędzie rzeźb, ale że dom zwrócony był na południe, okna pozostały matowe i ciemne. Dom - puste słowo. Uroczysko przestało być jego domem w dniu, w którym ojciec odmówił mu pomocy, skazując go tym samym na więzienie. Uroczysko było przedpotopowym białym słoniem, anachronizmem w nowoczesnym świecie; w środku ponurym, ciemnym, pełnym przeciągów, z zewnątrz smagany wicherami. Zamiast osunąć się z wdziękiem w starość jak inne podobne domy, Uroczysko opierało się czasowi i pogodzie; belki robiły się coraz sztywniejsze, kamienie zwierały szeregi, tylko staroświecka kanalizacja trochę utyskiwała. Kiedy go odziedziczył, pomyślał Vincent, pozbędę się go raz na zawsze. Kicham na tradycję rodzinną. Nienawidzę jej. Starannie wystrzegał się wspomnień o sobie i Richardzie, o wspólnych wyprawach na strych i do piwnicy, o uciekaniu przez drzwi piwniczne i okno kuchenne, o walkach ze smokami i wrogimi tubylcami, z sobą

nawzajem. Oficjalnie nienawidził tych zabaw. Zatrzymawszy się przed frontowymi drzwiami przez kilka minut siedział w samochodzie, czekając, aż słońce schowa się za wzgórzami i wszystko okryje zimna szarość. Z oddali dochodziło stłumione bębnienie, które równie dobrze mogło być odgłosem nadciągania burzy co rydwanu bogini Wisznu. Na szybie samochodu rozplasnęły się dwie lub trzy krople deszczu. A więc jednak burza.

Vincent wysiadł z samochodu, wszedł po schodach, zbliżył się do drzwi wejściowych i nacisnął dzwonek.

Nikt się go nie spodziewał. Sir John, w głębi duszy bardzo zadowolony, że ktoś go namówił do napisania tego listu, z charakterystyczną dla siebie niecierpliwością oczekiwał odpowiedzi, ale kiedy ta nie nadchodziła, równie nerwowo porzucił nadzieję na nią. Tego dnia był w Londynie i jadł lunch z Piersem Percivalem, któremu postanowił zwierzyć się ze swego niepokoju o syna. W chwili przybycia Vincenta do Uroczyska siedział jeszcze w pociągu, którego opóźnienie zmieniało się ze zwykłą dla Kolei Brytyjskich częstotliwością. Hester Bradley, którą od czasu do czasu można było zastać w Uroczysku, akurat była u lekarza, a detektyw z „Quidnunca” wyławiał z głębin jej kubła na śmieci zużyty zestaw do samodzielnego przeprowadzenia próby ciążowej. Elizabeth Savage nie miała bladego pojęcia o liście sir Johna do Vincenta.

To właśnie Elizabeth otworzyła mu drzwi i z ociąganiem wpuściła go do środka.

- Skąd się tu wzięłeś? - spytała jak zwykle bez ogródek. Uświadomiwszy sobie, że zachowała się niezbyt uprzejmie, dodała: - Napijesz się herbaty?

Elizabeth zawsze lubiła herbatę, przypominał sobie Vincent. On nie, ale przyjął zaproszenie, bo pomyślał, że to ją trochę zajmie i uspokoi. Parzenie herbaty, taki mały rytuał, dobrze jej robi. Poszedł za nią do kuchni, usiadł przy stole, wyciągnął przed siebie długie nogi. Dziwaczna postać w drogim ubraniu, które nosił z właściwą sobie nonszalancją. Elizabeth pomyślała, że Vincent ma za długie włosy i że na opalonej kalifornijskim słońcem twarzy zostały ślady częstego mrużenia oczu, zaciskania warg, naprężania mięśni policzkowych. Za to ani uśmiechu, ani łagodności. Czas go nie zmienił, stał jedynie młodość, odsłaniając osobowość ostrą i twardą jak jego kości..

Herbata, dumal Vincent, cokolwiek by się działo - herbata. Szampan? A skąd! W szczęściu i nieszczęściu zawsze mają na podorędziu zbiorniki z herbatą. Barbarzyńcy u bram - zaproponujmy im po filiżance herbaty. Powrót syna marnotrawnego - herbata. Drugie przyjście Chrystusa - herbata... zaparzona święconą wodą.

- Jeśli chciałeś, byśmy wydali przyjęcie na twą cześć - rzekła Elizabeth - powinieneś był nas uprzedzić o swym przyjeździe.

Vincent spojrzal na nią zdziwiony. Ironia nie była w stylu ciotta, którą pamiętał. Nie powiedział nic o liście.

Zrozumiał, iż Elizabeth nie wiedziała, że ojciec do niego napisał. Poczul się nagle niepewny stracił wiarę w całe to przedsięwzięcie, co go dość przeraziło. Zaczal pić herbatę po prostu, żeby się czymś zająć.

Elizabeth przez chwilę siliła się na rozmowę. Zrelacjonowała mu dotychczasowy przebieg kariery politycznej sir Johna, opowiedziała o podziwieniu, jaki żywiła dla pani Thatcher i o trudnościach ze znalezieniem przyzwoitej pomocy domowej. W pewnej chwili stwierdziła że jeśli Vincent zamierza zostać na noc, to lepiej, żeby poszedł do swego pokoju i rozpakował się. Niewątpliwie z powodu trudności, o których mówiła, sama zajęła się jego łóżkiem. Vincent, przyzwyczajony do obsługiwania przez hiszpańską służącą, potraktował to jako normalną rzecz. Kiedy skończyła, zawahała się chwilę. Zastanawiała się, co powiedzieć na powitanie bratankowi, którego nigdy nie lubiła.

- Szkoda, że wcześniej nie przyjechałeś - stwierdziła szorstko, ale w dobrej intencji. Vincentowi jednak było to zupełnie obojętne. - Twój ojciec tęsknił za tobą. Jestem tego pewna - zakończyła bez przekonania.

- Czyżby? - Nie wiedząc, co jej odpowiedzieć, Vincent odwrócił się tyłem i udał, że ziewa. Elizabeth zeszła na dół, pozostawiając go samego.

Tymczasem w pociągu sir John myślał o synu. Nie były to radosne myśli.

- Tak więc napisałeś do niego - rzekł Pierś kontemplując swe wymanikiurowane paznokcie. - Wiedziałem, że to kiedyś zrobisz.

- Mówisz, jakbyś tego nie aprobował - zauważył sir John.

- To nie jest kwestia aprobaty czy dezaprobaty, mój drogi. Po prostu nie jestem przekonany, czy mądrze postąpiłeś.

- A wtedy, gdy Vincent stawał przed sądem, twierdziłeś, że byłem zbyt surowy. I to od samego początku - przypomniał mu sir

John. - Uważałeś, że źle go potraktowałem. Niewykluczone, że miałaś rację. Dlaczego teraz, gdy usiłuję naprawić...

- Nie, nie - przerwał mu Piers. - Jestem głęboko przekonany, że ojcowskie obowiązki wypełniałeś zawsze nader odpowiedzialnie. Może nawet zbyt odpowiedzialnie. Oczywiście, ja się na tym nie znam i do głowy by mi nie przyszło cię osądzać. Występuję w charakterze... jakby to powiedzieć...

- Adwokata diabła? - podpowiedział sir John.

- Wolałbym, żebyś wyrażał się bardziej subtelnie - skrzywił się Piers. - Czasami lepiej nie nazywać rzeczy po imieniu. Odpowiednio użyte niedopowiedzenia łagodzą wyboistą ścieżkę stosunków międzyludzkich.

- Odbiegliśmy jednak bardzo od tematu - rzekł sir John. - Dlaczego sądzisz, że nie postąpiłem mądrze pisząc do Vincenta?

- Słyszysz się to i owo. - Zwykła dla Piersa elokwencja tego dnia jakoś go zawodziła. Stał się dziwnie tajemniczy. - Długo go tu nie było. Nic o nim nie wiesz.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Dopiero co wróciłem z Los Angeles...

- I co?

- Vincent odnosi tam wielkie sukcesy. W handlu nieruchomościami, jak rozumiem. Odnosi wielkie sukcesy, świetnie mu się powodzi finansowo.

- Słyszałem o tym - przyznał sir John. - Ale nie ma kłopotów z prawem. Najwyraźniej wyciągnął wnioski z lekcji, jaką dostał. Chyba nie oczekujesz, że będę krytykował mojego syna za to, że z własnej inicjatywy i bez mojej pomocy - w jego głosie zadźwięczała nuta dumy i już w nim pozostała - odnosi sukcesy i jest bogaty? Piers nie podjął wyzwania.

- Natknąłem się na kogoś, kto z nim współpracował - ciągnął nie przestając oglądać rąk. - Richmond LeSueur. Osoba, która była jego partnerem i dalej, jak rozumiem, jest z nim dość ściśle związana. Swojego rodzaju kolekcjoner, madame LeSueur. Powiedziałbym, dość notoryczny kolekcjoner.

- Madame? Zdawało mi się, że wymieniałeś imię Richard.

- Richmond. Chyba je sobie wymyśliła. Przypuszczalnie od francuskiego *riche monde*. Bogaty świat. Widać, do czego ją ciągnęło. Nazywają ją też madame LeSutener. Mówi się, że w skład jej kolekcji wchodzi pewne przedmioty zdobyte w dość... dyskusyjny

sposób. Oczywiście, w dzisiejszych czasach człowiek narażony jest na tyle pokus. Uzyskanie pozwolenia na wywóz nie jest sprawą łatwą, czasami trzeba przekupić odpowiedniego urzędnika. W pewnych krajach zresztą jest to przyjęte. I dawania pieniędzy nie uważa się tam za żadne przekupstwo, lecz grzeczność. Weźmy na przykład blok wschodni. Na rynku znajdują się przedmioty, które nie powinny być na sprzedaż, ale co na to poradzisz? Ludziom potrzebne są pieniądze, poza tym mnóstwo tych rzeczy i tak pochodzi z kradzieży. Niestety, świat sztuki kieruje się bardziej pożądaniem niż uczciwością, a nie ma większego pożądania niż pożądanie piękna. To rodzaj żądzy, jak sądzę, u tych, którzy uważają, że żądze bardziej cielesne zbyt łatwo dają się zaspokoić. O czym to ja mówiłem?

- Bóg jeden wie.

- Aha. Richmond LeSueur. W świecie sztuki na naprawdę złą reputację trzeba sobie ciężko zapracować. Otóż przed kilku lary skradziono pewien szczególny obraz, Palma Vecchio. Nie będę cię zanudzał szczegółami. Plotka głosi, że jest on w jej posiadaniu.

Również... .

- Ale co to wszystko ma wspólnego z Vincentem? - zniecierpliwił się sir John.

- Nic, mój drogi, absolutnie nic. Po prostu staram się za wszelką cenę nie dojść do sedna sprawy. Otóż Richmond LeSueur jest kolekcjonerem, którego metod działania lepiej nie znać. Domyślam się, że to samo dotyczy jej metod prowadzenia interesów. A ona jest, czy też była, koleżanką po fachu Vincenta.

- Mam informacje z wiarygodnego źródła - rzekł sir John oschle - że mój syn jest szanowanym członkiem społeczności Hollywood.

- Och, to na pewno. Zważ jednak, że wszyscy kiedyś byli szanowanymi członkami społeczności Hollywood. I to wcale nie jest takie dziwne. Nie chciałbym rozsiewać plotek, John. Napisałeś do niego, on nie zareagował. Zanim napiszesz drugi raz, powinieneś się dowiedzieć pewnych rzeczy. Zawsze lepiej, by ktoś powiedział ci prawdę, niż żebyś sam ją odkrył. Z tego, co pamiętam, Vincent potrafi zwrócić się przeciw tobie. Nie chcę, drogi przyjacielu, żebyś drugi raz został zraniony.

- Nie złamał prawa - powtórzył sir John przez zęby.

- Jest wiele różnych praw - westchnął Pierś - i wiele sposobów, żeby je obejść.

Gdyby Pierś wiedział, że Vincent jest właśnie w Uroczysku,

przypuszczalnie nie zacząłby tej rozmowy. Ale nie wiedział. Sir John dotarł do domu w środku burzy. W hallu Elizabeth przywarła do jego mokrego rękawa i szepnęła mu coś do ucha, ale jej słowa zostały zagłuszone przez grzmoty. Nie zdążyła ponowić swej próby przekazania mu jakiejś informacji, bo John już wszedł energicznym krokiem do salonu, gdzie na jego widok podniósł się z kanapy Vincent, blady i napięty, zaciskający wargi z obawy, że się zdradzi ze swym zdenerwowaniem. Sir John, mając w uszach słowa Piersa, również zacisnął wargi i dłoń w obawie przez nagłym przypiływem wzruszenia. Za oknami chmury zmieniły wieczór w noc. Przetoczył się grzmot. Salon, podobnie jak wszystkie pokoje w Uroczysku, był słabo oświetlony. Grube kamienne ściany tłumiły szum wiatru i łoskot deszczu. Cisza, która nagle zapadła w salonie, była straszna.

- A więc wróciłeś - rzekł w końcu sir John.

Przecież mnie zaprosiłeś, pomyślał Vincent. Gardło miał ściśnięte. Oczekiwał cieplejszego powitania, w nastroju listu, lecz ojciec był szorstki i sztywny jak zawsze. Nie podał mu ręki, nie objął go. Vincent, który również się usztywnił, nie dał po sobie poznać, że tego oczekiwał!

- Wróciłeś - rzekł sir John zmagając się z sobą. Walczyły w nim nakazy moralności z emocjonalną słabością. Na chwilę górę wzięła słabość, zmienił mu się wyraz twarzy, głos zadrżał zdradliwie, zagłuszył go jednak powracający grzmot.

- To był twój pomysł - odparł Vincent. Zabrzmiało to jak wyzwanie, nie obrona.

- Tak - potwierdził sir John. - Tak, wiem. Ale nie przypuszczałem... to jest, przestałem już cię oczekiwać. Tak długo nie odpowiadałeś.

- Wychodzę - rzekł Vincent.

- Nie bądź śmieszny. - Teraz górę wzięło w nim rozdrażnienie. - Nigdzie nie pójdziesz w taką pogodę. Zresztą już za późno.

0 ósmej trzydzieści jemy kolację. - Dopiero teraz zauważył, że wciąż ma na sobie prochowiec i buty, które przemoczył gdzieś między stacją a samochodem lub samochodem a domem. - Muszę się przebrać. Piłeś już coś?

- Herbatę.

- Elizabeth! - Elizabeth czekała w hallu powściągając ciekawość

1 niepokój, surowa jak sir John. Weszła bez słowa. - Muszę się przebrać. Powiedz pani Gurney, żeby przygotowała o jedną porcję więcej...

- Już to zrobiłam.

i na miłość boską, daj chłopcu whisky. Kolacja się spóźniła, ponieważ aktualna kucharka i gospodyni w jednej osobie po pierwsze wróciła później z wychodnego twierdząc, że zatrzymała ją burza, pod drugie została zaskoczona zamówieniem na dodatkową porcję. W połowie kolacji zgasły światła. Sir John zapalił świece. Vincent pomyślał, że Uroczysko stara się żyć zgodnie z neogotyckimi standardami i uśmiechnął się do siebie, choć przedtem go to nie bawiło. A może uśmiechnął się tylko dlatego, że mało było innych powodów do śmiechu. W każdym razie nikt tego nie zauważył, ani ojciec, ani ciotka. Elizabeth znosiła mężnie sytuację, może nawet zbyt mężnie. Rozmowę prowadził sir John. Zagadywał na wszystkie tematy po kolei, często pytał syna o zdanie, uważnie wysłuchiwał jego odpowiedzi, po czym wpadał w głębokie zamyślenie i trwał w nim przez kilka minut. Prędko zszedł na politykę. Teraz temperatura rozmowy podniosła się o kilka stopni, gdyż sir John zaczął wygłaszać swe dość naiwne, bo podyktowane wąskim widzeniem sądy na temat prawa i sprawiedliwości, a czynił to jak zwykle tonem mentorskim, napuszonym, nie znoszącym sprzeciwu, Vincent zaś na tyradę ojca reagował chłodno, lekceważąco, cynicznie. Byk weteran ciężko kroczył po ziemi muskany peleryną toreadora. Staroświecka ideologia na próżno szarżowała na niewiarę Nowego Wieku. Dziewczyna ze wsi, która przyszła pomóc podawać do stołu, a po kolacji pozmywać, powiedziała wesoło:

- Wzięli się za łby. Ciekawe, czy się pobijają?

- Skąd - odparła pani Gurney, która lepiej знаła się na mężczyznach. - To tylko polityka.

- Nic się nie zmieniłeś, chłopcze - dość smutno stwierdził sir John przy końcu kolacji.

- Ty też nie - odciął się Vincent.

Z ich rozmowy, gdyby się uprzeć, dałoby się wysnuć nic wzajemnej sympatii, a nawet szacunku, ale żaden z nich tej możliwości nie zauważył.

- Chodźmy do gabinetu - zaproponował sir John.

W miarę jak schodzili po schodach, niosąc każdy po lichterzu, wolną ręką osłaniając niepewny płomień, nastrój stawał się coraz bardziej wiktoriański. Vincent zauważył mimochodem, że każdy bard, od Szekspira po Eltona Johna, lubi porównywać życie człowieka do płomienia świecy. Zapewne z powodu jego efemerycznej natury,

ulotności. Małe dzielne źródło światła. Vincent zawsze myślał, że w nim życie pali się o wiele większym płomieniem, lecz wtedy na tych schodach patrząc na malutki stożek jasności, drżący niespokojnie w schronieniu jego dłoni, doznał czegoś w rodzaju objawienia. Odniósł bowiem wrażenie, że coś mu się przypomina, jakieś słowo, które ma na końcu języka, uczucie *déjà vu*, jak gdyby przeżywał coś, co wcześniej mu się śniło, lub śnił o czymś, co dopiero miał przeżyć; ale - jak to zwykle bywa - chwila ta minęła, nim zdążył uświadomić sobie jej znaczenie. W gabinecie ustawił lichtarz na półce nad kominkiem, sir John tymczasem swój postawił na biurku. Ze ścian wyszły im na spotkanie cienie. Vincent, mając w pamięci rozmowę odbytą w tym pokoju przed wielu laty, poczuł nieprzyjemne ukłucie wrogości, choć na razie nie miał powodów do takich uczuć. Sir John, by nie poddać się słabości, zaatakował bez wstępów wątpliwą - jak wynikało z niedomówień Piersa Percivala - etykę zawodową Vincenta. Vincent odparł, że ojca nie powinno to obchodzić. Sir John na to, że nieuczciwość powinna obchodzić wszystkich, a poza tym Vincent jest jego synem, krwią z jego krwi, nieudanym owocem jego wychowania. Jego geny i jego odpowiedzialność.

- Późno sobie o tym przypomniałeś! - odgryzł się Vincent, sprowokowany przez ojca. - Nie pouczaj mnie, nie jestem już dzieckiem. Zrobiłem forszę i zrobiłem to swoimi sposobami, bez twojej pomocy i twojej fałszywej moralności. Ludziom dzieje się krzywda. I co z tego? Nie obchodzi mnie to i nie udaję, że jest inaczej. Nie istnieje coś takiego jak naturalna sprawiedliwość. Sprawiedliwość to pojęcie wymyślone przez ludzi tobie podobnych, żebyście mieli o czym gadać. Lubisz nazywać swoje ego sumieniem i karmić je filantropią. Kiedy jednak ty się bogacisz, inni biednieją i nie może być inaczej. To właśnie jest naturalna sprawiedliwość, ale ty nie chcesz spojrzeć prawdzie w oczy. Różnimy się tylko sumami, które wypisujemy na czekach dla organizacji charytatywnych.

- Tak. Słyszałem, że dajesz dużo pieniędzy na cele charytatywne - przyznał z bólem sir John.

- Bo to jest teraz modne - odparł Vincent. - Jak już dawać, to dużo. Nie obchodzi mnie, kto dostanie te pieniądze. To czysto towarzyski zwyczaj. Jak palenie papierosów czy picie szampana.

- Towarzyski zwyczaj! - powtórzył sir John. - Dobry Boże, co z ciebie za człowiek? I to ma być mój syn? Czy niczego cię nie nauczyłem?

- Wysłalesz mnie do więzienia! - odparował Vincent. - Czego niby miałem się tam nauczyć? Braterskiej miłości? W tym momencie burza, która wcześniej odeszła na wschód, wróciła szturchając po kolei wszystkie wzgórza, gderając, jakby miała już dość tej poniewierki. Za oknami, w których nie było zasłon, rozwidlony piorun rozszczępił niebo na krótką chwilę, napelniając pokój oślepiającym blaskiem. Bezpośrednio nad głowami mężczyzn rozległ się grzmot, od którego niemal zatrzęsł się sufit. Ich nieprzyjemna rozmowa i burza jednocześnie osiągnęły punkt kulminacyjny. Vincent zapomniał, że postanowił nie robić użytku z informacji zebranych przez „Quidnunca”. Za wszelką cenę musiał przekłuć balon samozadowolenia ojca, zmusić go do przyznania się, że jest człowiekiem jak inni, omylnym, ulegającym słabościom i pokusom - takim samym jak jego syn. To oczywiste, że w tej sytuacji sięgnął po Hester Bradley.

- A co z twoją kochanką? - zaatakował. - Czy twoje zasady moralne, z których jesteś tak dumny, przewidują jakieś wyjątki? Meżatka, mąż nieuleczalnie chory, stwardnienie rozsiane, zdaje się. Rywal co się zowie!

- Kto ci o niej powiedział? - Wyraz twarzy sir Johna zastygł w połowie drogi między gniewem a szokiem; wyglądał przerażająco - przerażająco nawet dla Vincenta, którego to dodatkowo zdopingowało.

- Kto, kto? Po prostu wiem. Aby przeżyć, musisz być o wszystkim poinformowany. Moja praca sprowadza się do zdobywania informacji. Ty też masz swe brudne małe tajemnice. Kto więc dał ci prawo...

- Kto ci powiedział?!

- Wynająłem detektywów, żeby cię śledzili.

- Detektywów!

- A niby skąd miałem wiedzieć, co tu się dzieje? Mogłeś na przykład ożenić się bez powiadomienia mnie.

- Chcesz powiedzieć, że płacisz jakiejś brudnej agencji detektywistycznej, żeby mnie śledziła... i Hester? Mój własny syn!

- Mówisz to, jakbyś łykał truciznę! - Wściekłość Vincenta zacierała wszelkie ślady bólu. - Tak, jestem twym synem. Nie zmienisz tego. Nie jesteś w stanie zdrapać mojej krwi ze szlachetnego rodu Savage'ów, który nawiasem mówiąc nie wypada już tak szlachetnie. Brudny romansik z seksualnie wyposzczoną żoną inwalidy to sprawa w sam raz dla takich brudnych agencji detektywistycznych, nie sądzisz?

- Wynoś się! - Nie było już mowy o pogodzie i późnej porze. - Wynoś się w tej chwili! Nie chcę cię już nigdy widzieć. Nigdy, rozumiesz? Nigdy!

Vincent wyszedł. Z furją zatrzasnął za sobą ciężkie drzwi i zbiegł na oślep po ciemnych schodach. Elizabeth usłyszała, jak pędził przez hall, poszła za nim, ale już zdążył wybiec. W świetle błyskawicy zobaczył podjazd, cisy, ogromne masy chmur kłębiące się na niebie. Gdy błysnęło drugi raz, obejrzał się na dom - potwór nie dom, z tymi wszystkimi blankami, rzygaczami, lasem kominów, żebrowaniami, żłobieniami, rzeźbioną kalenicą. Zły sen kamieniarza, fantazja reżysera filmowego. Dom Savage'ow. Nie jego dom. Koniec z okłamywaniem siebie. Przyjechał z ręką wyciągniętą do zgody, a co go spotkało? Ojciec wyrzucił go, definitywnie. Vincent drugi raz już się nie obejrzał.

Potem zastanawiał się, czemu nie wsiadł do samochodu, ale wtedy nawet nie przyszło mu to do głowy. Brnął w deszczu, nie wiedząc dokąd i po co idzie. Po dwudziestu minutach dotarł do „Zielonego Ludzika”, głównego pubu w Ridpath. Stary i zramolały, podobnie jak jego klientela, pub miał bar z drzewa dębowego, ściemniały od dymu, okupowany godzinami przez kilku tubylców, łącznie z miejscowym policjantem. Posiadał też dwa czy trzy pokoje do wynajęcia. Właściciel bez trudu rozpoznał Vincenta i natychmiast zaczął przygotowywać dla niego gorący grog, jego żona zaś powiedziała, żeby czym prędzej zdjął z siebie to mokre ubranie, bo inaczej umrze. Gdy owinięty pożyczonym szlafrokiem Vincent zasiadł przy kontuarze i z rozkoszą wdychał zapach cytryny, goździków i Lagavulina, ostatni z wieśniaków zabrał się do wyjścia mrucząc pod nosem rozmaite domysły. Tej nocy w pubie wyjątkowo gościł jeszcze jeden przyjezdny, przybysz z południa, który twierdził, że pisze książkę historyczną o tym regionie; mieszkał pod „Zielonym Ludzikiem” już od jakiegoś czasu i hojnie fundował wszystkim, co we właścicielu pubu budziło głębokie podejrzenia. Teraz przysiadł się do Vincenta, obdarzył go przymilnym uśmiechem, po czym wbił w niego spojrzenie dziwnie czujne jak na wypitą ilość alkoholu.

- Nazywam się Hibbert - oświadczył zalotnie. - Gerald Hibbert. Dla przyjaciół Gerry.

- Dobrze im tak - odparł Vincent.

Wypił drugą porcję gorącego grogu i poszedł do łóżka. Gerry Hibbert, nie zrażony jego zachowaniem, zastukał do gospodarza poplotkować, po czym udał się do swego pokoju.

Vincent spał źle. Wiatr, wysmagawszy Uroczysko, teraz jęczał i skamlał pod podstrzeszem pubu. Deszcz przychodził nad wieś falami - to walił w szyby okienne z siłą ognia artyleryjskiego, to zamieniał się w mżawkę, zbierając siły do nowego zaciekłego ataku. Burza pomrukiwała do rana. Vincent tak się wystrzeżał analizowania kłótni z ojcem, że ani się spostrzegł, jak wpadł w inną niepożądaną koleinę myśli. Chrapanie Gerry'ego Hibberta przeplatało się z odgłosami burzy, przy czym nie było to głębokie, jakby wydobywające się spod ziemi chrapanie Hannibala Barkera, lecz cichszy nosowy gwizd, kojarzący się ze świnią ryjącą w kupie śmieci. Denerwował Vincenta, ale mu nie przeszkadzał. Wśród wszystkich niepożądanych myśli nie było ani jednej, która by dotyczyła tego drugiego gościa.

Gerry Hibbert natomiast spał świetnie snem dziennikarza, który błdził, błdził, aż w końcu trafił na jakiś ślad. Dopiero po jakimś czasie Vincent odtworzył, co się zdarzyło następnego ranka. Wstał wcześnie, za wcześnie, by udać się do Uroczyska po bagaż i samochód. O tej porze ani chybi natknąłby się na ojca. Dla zabicia czasu wybrał się więc na Usypisko, w które poprzedniej nocy uderzył piorun. W kępie drzew wypalona była dziura, jak gdyby rzeczywiście odbywał się tu sabat czarownic, i jakby w końcu zgubiły je ich własne czary.

- O, pan patrzy, ślad diabelskiej racicy - wskazując na wypaloną ziemię powiedział wieśniak, który przyszedł obejrzeć zniszczenia.

Vincent przypomniał sobie obrzęd inicjacji seksualnej z Kocicą w jamie pod liśćmi, jedyny pogański obrzęd, który przemawiał do jego wyobraźni.

- Szatan to ja - odparł, ale wieśniak uznał, że się przesłyszał. Jeszcze przez kilka minut Vincent przyglądał się z bladym uśmiechem znajomemu miejscu, po czym zszedł ze wzgórza.

Posłaniec od „Quidnunca”, który dotarł do Uroczyska przed siódmą rano, został odesłany do pubu. Instrukcje Vincenta były dokładne: „Zostanę w Anglii mniej więcej przez tydzień. Gdyby zdarzyło się coś ważnego, proszę mnie natychmiast zawiadomić, a opłatę za posłańca dopisać do rachunku.” Pod „Zielonym Ludzikiem” nie mieli recepcji ani niczego w tym guście; odebrawszy od posłańca dużą szarą kopertę, właściciel zaniósł ją do pokoju Vincenta. Geny Hibbert, który miał wielką ochotę przeszukać jego rzeczy, już

wcześniej znalazł okazję, by dogadać się ze sprzątaczką co do klucza. Rozerwał kopertę, przeczytał oraz sfotografował jej zawartość, a potem wysłał barmana na pocztę po identyczną kopertę, którą zaadresował na własnej walizkowej maszynie do pisania. Gdy Vincent wrócił, Geny wręczył mu ją jak gdyby nigdy nic.

- To do ciebie, stary. Leżała na barze, to pomyślałem, że lepiej jej popilnuję.

Vincent podziękował. Raport „Quidnunca” przeczytał z niewielkim zainteresowaniem. Cięża Hester przedtem może by go wystraszyła, teraz już nie miała znaczenia. Jego dom, życie, przyszłość to Ameryka. Starannie unikając ojca pożegnał się z ciotką, by w ten sposób zapomnieć o Uroczysku i wszystkim, co było z nim związane.

Motywy jego działania była teraz wściekła złość, która nie opuściła go w czasie długiego lotu do Kalifornii i nie wyparowała w balsamicznym słońcu. Wykorzystując przeciek na temat planowanej fuzji kupił tanio część udziałów, by zaraz drogo je sprzedać. Poleciał Hannibalowi wyrzucić pół tuzina rodzin kubańskich z ich naprędce skleconych domów, gdyż na ich miejscu postanowił wybudować luksusowe bloki. Przespał się ze ślicznym stworzeniem, które właśnie zagrało w jakimś filmie i zostało gwiazdą na piętnaście minut oraz ślicznym, lecz nieco starszym stworzeniem, które nad forszę przedkładało dobre recenzje. Nie poczuł się wcale lepiej. Aktorka--intelektualistka okazała się tak samo głupia jak gwiazdeczka, do tego strasznie gadatliwa. Typ finansowego zamachu, który kiedyś był dla niego zastrzykiem adrenaliny, teraz mu nie wystarczał. Wmówiwszy sobie, że przynależy do Ameryki, poczuł przekorną tęsknotę do nowych pastwisk, choć nie wiedział jeszcze jakich. Obaj z Carsonem robili interesy w Europie, głównie typu „bierz forszę i uciekaj” na francuskiej i niemieckiej giełdzie papierów wartościowych, z oczywistych jednak powodów nie zapuszczali się na rynek angielski, gdzie się niegdyś poznali. Ojciec na pewno zrobiłby wszystko, żeby mnie tam nie wpuścić, myślał Vincent, którym powodowała teraz szeroka gama uczuć, od negatywnej urazy do pozytywnego zapału, od wahania po zdecydowanie. Nie posunął się poza zdecydowanie, gdy „Quidnunc” przysłał mu wycinki z gazet.

Kiedy zauważył w końcu nazwisko Gerry'ego Hibberta, przez chwilę nie mógł pojąć, jak do tego doszło. Później „Quidnunc” obiecał wyrzucić na zbitą twarz kuriera, ale co się stało, to się stało - ojciec został publicznie upokorzony i skompromitowany. Vincent

zdziwił się, że nie sprawia mu to żadnej przyjemności. Zainteresowanie mediów nim samym w czasie rozprawy zostało zdławione częściowo maszynierią prawną: przez policjantów, prawników i adwokatów, częściowo przez krzyki o zakazie ujawniania tajemnicy sądowej, a w końcu - najskuteczniej - przez mury więzienne. Ojciec był w gorszej sytuacji. Vincent wyobraził sobie, jak dziennikarze z mikrofonami i sprzętem alpinistycznym oblegają Uroczysko, zmuszając sir Johna kipiącego daremnym gniewem do zaszycia się w gabinecie, a Hester Bradley do wyjazdu chyłkiem w bezpieczne miejsce na dalekich Hybrydach. W parlamencie zapewne padnie wiele pytań z ust świętoszkowatych laburzystów z tylnych ławek, a w poważnej prasie pojawią się wstępniaki na temat obowiązków, jakie nakłada na człowieka zasiadanie w wysokim urzędzie i lamenty z powodu rozpadu komórki społecznej. Widmo Cecila Parkinsona niechybnie podniesie swój wstrętny łeb. Przez chwilę Vincent rozważał napisanie listu z wyrazami ubolewania, oczywiście w tonie stosownym do faktu, że sir John właśnie wyrzucił go ze swego domu raz na zawsze, ale ponieważ nie przychodziły mu do głowy odpowiednie zwroty, uznał, że w tej sytuacji nie da się nic napisać. Ani nic zrobić czy to w sensie konstruktywnego działania, czy moralnego wsparcia. Po nocach zastanawiał się, co się tam dzieje i jak postąpi Hester. Urodzi dziecko, sprzeda pamiątniki, czy wstąpi do zakonu? Ale nie poprawiało mu to humoru. *Paparazzi* fotografowali sir Johna, ich zaś fotografował „Quidnunc”. Wygłoszono rozmaite oświadczenia - od lapidarnych do wymijających. Sir John, prawdomówny nawet w obliczu katastrofy, nie zaprzeczał niczemu, o czym wiedział, że to prawda. Jego polityczni koledzy nie wiązali już z nim żadnych nadziei. Minęło znowu kilka tygodni. Którejś nocy wyrwał Vincenta z nierównego snu dzwonek telefonu. „Hallo?” burknął zirytowany, na co w uchu zadudnił mu głos ciotki, która niepotrzebnie z góry założyła słabą słyszalność. Elizabeth Savage niepomna satelitarnej technologii zawsze usiłowała przekrzyczeć ocean. Ponieważ Vincent był półprzytomny, albo dlatego, że jej głos odbijał się echem, co zbijało z tropu, zrozumienie jej słów zajęło mu przynajmniej minutę.

- Twój ojciec.

- Co?

- Tak mi przykro, Vincencie, tak mi bardzo przykro. - Później uświadomił sobie, że jedną z przyczyn tego, że tak krzyczała, była rozpacz.

- Co się stało?
- Zdarzył się wypadek, wypadek samochodowy. Zabrano go do szpitala.
- Jak się czuje? - Vincent był już zupełnie obudzony.
- Nie żyje.

Ludzie nie powinni tak umierać, myślał Vincent na pogrzebie. Nie wtedy, gdy się pogniewali i nie wybaczyli, nieodwołalnie zerwali więzy i gdy wszelkie nieszczęścia piętrzą się jak liście jesienią. Śmierć w tych okolicznościach jest zbyt łatwa; to rodzaj ucieczki, oszustwo, wymknięcie się do wieczności tylnymi drzwiami. Dochodzenie wykluczyło możliwość samobójstwa, nie przeszkodziło to jednak plotkarzom plotkować, a wężycielom skandalu węszyć skandal. Vincent wiedział, że ojciec nie popełniłby samobójstwa - sir John uważał samobójstwo za czyn niemoralny i przejaw słabości charakteru - ale z drugiej strony... A może tej fatalnej nocy coś go zdekoncentrowało - głębokie zmęczenie, nie fizyczne, lecz psychiczne, spowodowane wyrzutami sumienia po spóźnionej i beznadziejnej historii miłosnej, po obniżeniu wysokich ideałów. Vincent wspominał ich ostatni popis, burzę, i to, jak patrzył na płomień świecy uświadamiając sobie własną żywotność. Bez zastanowienia założył, że również życie ojca bucha silnym płomieniem - płomieniem, który nie dałby się tak łatwo zdmuchnąć w chwili nieuwagi, na opustoszałej drodze, w nocy, przez przejeżdżający samochód. A jednak poeci mieli rację. Wypał się, wypał, ogarku! - i płomień zniknął, prawdopodobnie na zawsze. Vincent nie wierzył w życie pozagrobowe. Śmierć ojca była odejściem pozbawionym godności, pośpiesznym i wymuszonym, i pozostawiła wiele nie dokończonych wątków. Jak powieść, której ostatnie rozdziały zaginęły. Zerwanie z synem, związek z Hester, nadszarpnięta reputacja i nie spełniona kariera polityczna - tematy, które pozostaną na zawsze nie dokończone. Za pozno. W tamtej chwili Vincent żałował, że w nic nie wierzy w cokolwiek - w Boga, którego mógłby przekląć, w niebo, które zatrzasnęłoby przed nim drzwi, w piekło, z którego mógłby wykrzycheć swój bunt. Ale nie było ani Boga, ani nieba, ani piekła. Jedynie błyszcząca trumna pod poduchą kwiatów i czcza gadanina nekrologów. Koniec. Kościół w Ridpath był, rzecz jasna, wypełniony po brzegi.

Okoliczni mieszkańcy, znajomi, politycy, korespondenci gazet zajmowali wszystkie ławki i klęczniki, tłoczyli się po trzech-czterech do jednego śpiewnika. Przynieśli wieńce, chusteczki do nosa, aparaty fotograficzne i notesy. „Boże, Sędzio sprawiedliwy” - śpiewali we wszystkich możliwych tonacjach lub zgoła bez. Pastor, zapewne zainspirowany liczebnością słuchaczy, rozgadał się o zasługach zmarłego, co akurat w tym przypadku nie wymagało od niego tyle inwencji co zwykle. Choć duża część tych pochwał była w pełni zasłużona, Vincent uznał je za wytarte frazesy, banały, które wszystkie rozsądne osoby muszą przyprawiać o mdłości. Przejęty niesmakiem stał nieruchomo, z niewzruszoną twarzą przeczekując śpiewy, nabożeństwo i modlitwy. Inni żałobnicy jego postawę na pewno brali za bezdusność, ale jemu było wszystko jedno. By uniknąć niezręcznych spotkań, zjawił się w ostatniej chwili, dwa słowa zamienił z Elizabeth, jedno z Piersem Percivalem. I z nikim więcej. Hester Bradley wśród żałobników nie było, co wskazywało na jej ostrożność i dyskrecję, które z wielu jej zalet sir John zapewne cenił najbardziej. Richard i Crystal należeli do grupy, która idąc za nim wysunęła się na czoło zgromadzenia - teraz stali dokładnie po drugiej stronie nawy. Gdy oczy kuzynów się spotkały, na twarzy Richarda pojawił się cień znajomego grymasu zastygłego w zmarszczkach mimicznych, ale zaraz znikł. Abstrahując od wszystkiego, uśmiech Richarda nie nadawał się na pogrzeb.

Co zaś do Crystal, to Vincent ani szukał jej spojrzenia, ani go unikał; kierowany pustą ciekawością przyjrzał się jej z ukosa, czemu towarzyszyło uczucie lekkiego klucia w sercu. Nie obcięła włosów. Były zaczesane w skomplikowany system warkoczyków i zebrane z tyłu głowy w coś w rodzaju węzła, przypuszczalnie z powodu kapelusza z dwoma sterczącymi do góry piórami i mgiełką woalki. Efekt przywodził na myśl ikebanę. Woalka sięgała od brwi do nosa, dzięki czemu Vincent mógł stwierdzić, że rysy Crystal się wyostrzyły, a wydęte wargi nabrały wyrazu jeszcze większego zdeterminowania. Jej sztuczna tajemniczość osiągnęła szczyt, została wypolerowana do doskonałej gładkości. Widząc, jak podczas wychodzenia z kościoła łagodnie odwracała twarz od aparatów fotograficznych, Vincent nie mógł pojąć, że Richard zakochał się w takiej kobiecie. Dopiero niedawno zrezygnowała z pracy, nie zdążyła jeszcze zmienić sposobu ubierania się i zachowania. Na pewno dba o siebie jak gwiazda filmowa, pomyślał Vincent. To zupełnie nie pasowało do żony Richarda.

Po pochówku udali się do Uroczyska. Miejscowy policjant przeżywał wielkie chwile w swej karierze broniąc tłoczącym się dziennikarzom wstępu na teren posiadłości. Członkowie parlamentu i ich goryle odjechali tłumacząc się obowiązkami wobec ojczyzny i długą drogą do Westminsteru. Wybrani przyjaciele i krewni zostali wpuszczeni do najbardziej ponurego z salonów, gdzie podano im nader wytrawne sherry i nader cienkie kanapki, uznane przez Elizabeth za najodpowiedniejsze na tę okazję.

- Nie zatrzymuj ich zbyt długo - rzekł półgłosem Pierś. - To nie jest żadne cholerne przyjęcie. John był człowiekiem w sile wieku, miał raptem siedemdziesiąt jeden lat, nie starym zbolałym zrzędą jak ja. Gdybym ja umarł, to co innego, od lat gniję po kawałku. - To był jedyny raz, kiedy zrobił aluzję do obrażeń odniesionych w czasie wojny. - Lecz John... Bóg wie, że znalazł się w trudnej sytuacji, ale był twardy, w dobrej formie i miał po co żyć. Lizzy, nie daj sobie wmówić, że Opatrzność jest łaskawa. Jest wiedźmą z głową Gorgony, która dosięgnie każde z nas. Nie nazywał jej tak od czasu, kiedy była panną na wydaniu, niezgrabną i nieśmiałą. Na dźwięk swego dawnego imienia niemal się rozpląkała, jak gdyby znowu była tamtą młodą, wrażliwą dziewczyną. Powiedziała:

- Czas mija teraz tak prędko i zabiera tych, którzy byli nam najdrożsi. Na szczęście ciągle mam Richarda, a w nim oparcie na przyszłość. W nim i jego dzieciach. To bardzo ważne.

- „Ach, jak złote liście zerwane przez wiatr! I tak liczne jak skrzydła drzew są lata” - zacytował Pierś, lecz Elizabeth nie słuchała.

- I ty powinieneś mieć kogoś - upierała się. - Kogoś, dla kogo mógłbyś patrzeć w przyszłość. Richard jest twym synem chrzestnym. Może gdybyś się nim bardziej zainteresował...

- Miałbym to zrobić dla Johna czy dla ciebie? - spytał ironicznie.

- Dla siebie - odparła.

Sięgając po sherry Richard i Vincent spotkali się w końcu twarzą w twarz. Spotkanie to okazało się łatwiejsze, niż można by sądzić. Zaczęli od koturnowych wstępnych grzeczności, rutynowych pytań o zdrowie i powodzenie w interesach, po czym stopniowo, nieświadomie obaj się odprężyli i zaczęli wspominać dawne lata.

- Słyszałem, że dopiero co tu byłeś - rzekł Richard, przechodząc do terażniejszości. - Matka mówiła, że chciałeś naprawić stosunki. - Nie tak się wyraziła, lecz Richard czuł się upoważniony do małej licencji poetyckiej.

- Wobec tego musiała ci też powiedzieć, że wyrzucił mnie do diabła - odparł Richard.

Richard zrobił charakterystyczny grymas.

- Zawsze był cholernie uparty - stwierdził. - Zupełnie jak jego syn. Ale mimo wszystko sędzę, że twój gest dużo dla niego znaczył, nawet jeśli nie dał tego po sobie poznać. Zmienił znowu testament, przed samą śmiercią. Tak, wiem, co mówią, ale on by nie... jestem pewien, że nie...

- Ja też jestem tego pewien - rzekł Vincent.

Na chwilę zapanowała między nimi zgoda, wzajemne poparcie, tym więcej znaczące, że nie dopowiedziane do końca.

- W każdym razie - podjął Richard - jak już mówiłem, zmienił testament.

- Wiesz o tym od matki?

- Mam swoich szpiegów. Widzisz, wygląda na to, że wykreślił cię ze wszystkiego, oczywiście poza tym domem.

- Niczego nie potrzebuję - odparł Vincent. - Niezłe daję sobie radę sam. I tego domu też nie chcę. Co niby miałbym robić z gotyckim potworem w dzikich ostępach Northumberlandu, skoro nie mieszkam w tym kraju?

- Mógłbyś go stąd zabrać - odparł Richard. - Rozebrać, popakować w paczki, wysłać do Kalifornii i tam odbudować. Zdaje się, że Amerykanie uwielbiają takie rzeczy. Zabytkowa posiadłość, importowana. Gwarantuję, że zrobiłoby to wrażenie na twoich znajomych. Zatkąłoby ich z wrażenia.

- Między nami mówiąc, wolę żyć w nowoczesnym komforcie niż w wiktoriańskim majestacie, choćby nie wiem jak zabytkowym.

- Bluźnisz - mruknął Richard z uśmiechem. Ich rozmowa została przerwana przez prawnika, który zapraszał do gabinetu na otwarcie testamentu.

Razem weszli na górę. Elizabeth, Pierś i Crystal już tam byli, a oprócz nich dwóch doradców prawnych, gromada dyrektorów Towarzystwa Ubezpieczeniowego „Srebrna Tarcza” oraz samotny przedstawiciel miejscowej Partii Konserwatywnej. Mogłem się domyślić, że to się tu odbędzie, pomyślał Vincent, czując dziwny niepokój. Dlaczego wszystko zawsze musi się dziać w tym gabinecie? Nawet w dzień i przy elektrycznym oświetleniu było tam ponuro, nie tyle ciemno, jak zawsze mu się wydawało, co smutno i szaro. Pachniało starymi książkami, nigdy nie rozciętymi, skórzaną tapicerką, pastą do

mebli użytą w czasie wiosennych porządków oraz kurzem, do którego nie dawało się dotrzeć odkurzaczem.

Testament zawierał mnóstwo prawnej frazeologii, która bardzo pasowała do tego miejsca. Zaczynał się, jak było do przewidzenia, od zapisu na cele charytatywne, na fundusz powierniczy dla małych Garoghanów i hojnej pensji dla Elizabeth. Wykonawcami testamentu był jeden z prawników ojca oraz Pierś. W testamencie nie wspomniano ani słowem o Hester Bradley; przypuszczalnie sir John rozumiał, że włączając ją do spadkobierców po pierwsze by ją zawstydził, po drugie do reszty pograżył, w każdym razie w oczach opinii publicznej. Zapisał wszelako dużą sumę Partii Konserwatywnej - stąd obecność jej przedstawiciela.

- Dobrze sobie - mruknął Vincent do Richarda.
- Sądziłem, że popierasz konserwatystów - szepnął Richard.
- Prywatne przedsiębiorstwa i w ogóle.
- Wszyscy politycy są tacy sami - zauważył Vincent kaustycznie.
- Różnią się jedynie kolorami krawatów.

Reszta majątku, obejmująca udziały w „Srebrnej Tarczy” i większość zasobów finansowych sir Johna, przeznaczona widać na cele zbyt szlachetne, by je wymieniać, przechodziła na rzecz fundacji, którymi mieli dyskretnie zarządzać wykonawcy testamentu oraz ludzie przez nich wskazani. Vincent nie był tym zdziwiony, ale Richard zmarszczył brwi. W końcu, jak gdyby mimochodem, przeszli do klauzuli dotyczącej Uroczyńska. „Dom wraz z pensją na jego utrzymanie, z uwzględnieniem inflacji, zapisuję mojemu siostrzeńcowi Richardowi Garoghanowi, który spędził w nim całe dzieciństwo, jako jego nieodwołalną i absolutną własność.” Koniec, kropka. Richard zbladł jak ściana, Vincent dzięki opaleniznie tylko zżółkł. Nikt nic nie powiedział. Vincent wprawdzie nie chciał Uroczyńska, ale jako syn sir Johna czuł, że ma do niego prawo. Prawo do spóźnionej miłości ojcowskiej. Poczul ucisk w żołądku. Ze wstydu czy ze złości - tego nie potrafił rozstrzygnąć. Prawnik monotonnym głosem kontynuował czytanie; testament zmierzał do końca nie wymieniwszy ani razu imienia Vincenta.

- Mam tu jeszcze list - powiedział prawnik - zaadresowany do Vincenta Scarpia Savage'a.
- Dziękuję.

Vincent podszedł z listem do okna. Tak naprawdę nie chodziło mu o światło, tylko o to, żeby odwrócić się tyłem do osób w pokoju. Otworzył go i przeczytał z kamiennym spokojem. Ojciec przynajmniej

raz darował sobie drętwą mowę. *Ty sam przyznałeś się - pisał sir John - że wynająłeś detektywa, by mnie śledził. Przebywając pod „Zielonym Ludzikiem” w towarzystwie dziennikarza o nazwisku Hibbert uznałeś za stosowne przekazać mu otrzymaną od detektywa informację. Tego, czy wzięłeś za to jakieś pieniądze, czy też działałeś powodowany złem czy chęcią zysku, czy jednym i drugim, nie wiem i nie chcę wiedzieć, bowiem motywy, które mogły doprowadzić człowieka do takiego czynu są poza moją zdolnością pojmowania. Abstrahując od kłopotów, jakie mi sprawiłeś, zadałeś cierpienie niewinnej i uczciwej kobiecie, a tego nie mogę ci wybaczyć. Wcześniej pomijałem milczeniem twój brak serca i zasad, ale tym razem zachowałeś się jak ostatni łajdak, aż wierzyć mi się nie chce, iż jesteś mym synem z krwi i kości. Nie zdołam zapobiec szarganiu przez ciebie nazwiska Savage i w przyszłości niewątpliwie zrobisz wszystko, by okryć hańbą resztę rodziny, mogę jednak dać wszystkim jasno do zrozumienia, że wypieram się Ciebie całkowicie. Nie będziesz miał dostępu do moich interesów, a mój dom nigdy nie będzie twoim. Nie jesteś wart, by nazywać Cię synem.*

Skończywszy czytać Vincent złożył list rękoma, które nie drżały, choć powinny, i schował go do wewnętrznej kieszeni. Odwrócił się do prawnika, podziękował mu cichym spokojnym głosem, po czym wyszedł z pokoju, zszedł w dół po schodach i opuścił dom, który przestał być jego domem. Oparł się rękoma o niski kamienny mur. Kiedy włosy opadły mu na oczy, podniósł głowę i spojrzał na puste niebo, jak gdyby się dziwił, skąd ten wiatr. Richard obserwował go z hallu, lecz nie miał odwagi podejść do niego.

Rozdział czwarty

Vincent myślał, że łatwiej byłoby mu to znieść, gdyby nie kochał Richarda. Mniej czułby się upokorzony, gdyby nie wchodziły w grę uczucia; gdyby nie doświadczyli tego porozumienia po pogrzebie; gdyby Richard - wielkoduszny, wspaniałomyślny, wstrząśnięty postępkami wuja - nie przyszedł do niego później i nie powiedział, że jeśli chce, to odda mu dom.

- Nie chcę - odparł Vincent. - Przecież ci mówiłem, nie pamiętasz?

Vincent nie pokazał nikomu listu. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że dojmujące uczucie niesprawiedliwości, które go teraz nie odstępowało, było pospolite, a poza tym bezsensowne. W życiu przecież nie istniało coś takiego jak sprawiedliwość, sam to często powtarzał, raz się było na wozie, raz pod wozem; dla życia nie istniał sąd apelacyjny, waga z jej szalami, uniwersalne prawa pokuty i kary. Ludzie się dzielą na dwie kategorie: oszukujących i oszukiwanych. On należał do pierwszej, ojciec do drugiej. To idiotyczne, żeby się aż tak przejmować. Ponieważ złość mu nie mijała, skierował ją do wewnątrz, jak kiedyś, do podświadomości, do najmroczniejszego zakamarka swego serca. Tam pielęgnował ją w tajemnicy, karmił okruchami wspomnień, małymi gestami, fragmentami myśli. Jego nienawiść nie mogła już dosięgnąć ojca, ale przecież był Richard, ukochany siostrzeniec sir Johna. Stary mit wrócił i prześladował Vincenta jak duch, w którego kiedyś trochę wierzył. Kiedy był dzieckiem porzuconym przez matkę, Richard ukradł mu ojca; kiedy znalazł się w więzieniu, na dnie, Richard ukradł mu dziewczynę; kiedy przebywał na wygnaniu, Richard wziął dom prawnie jemu należny. A wszystko bez najmniejszego wysiłku, od niechcienia, dzięki swemu nieodpartemu urokowi. Richard uśmiechał się do życia

i życie się do niego uśmiechało; co mrugnął do losu, to los mu odmrugnął. Gdyby spiskował, chcąc położyć łapę na jego ojcowiznie, gdyby podlizywał się i skradał niczym współczesny Uriasz Heep, to Vincent mógłby nim pogardzać. Lecz Richard nie spiskował. Patrząc na niego przez żółte okulary zazdrości, uwypuklające każdą cechę obiektu zawiści, Vincent dochodził do wniosku, że Richard zawsze był złotym młodzieńcem, ulubieńcem losu, urodzonym w biedzie, by wzrastać w wygodzie i odziedziczyć majątek. Synem drwala, któremu dobra wróżka podarowała buty nieulubianego księcia. I nawet nie musiał zabić smoka - księżniczka sama rzuciła mu się w ramiona. Vincent coraz wyraźniej widział siebie jako satyra, a Richarda jako Hyperiona, i coraz gorzej to znosił. Miłość, doszedł do wniosku, jest najważniejszym składnikiem nienawiści.

Nie zaplanował zemsty. Zemstę zrodziła sytuacja, splot okoliczności. Chwilami czuł się jak bohater jednej z tych ciężkich greckich tragedii, który nieuchronnie zmierza ku swemu przeznaczeniu. Nie pozostawało mu więc nic innego, jak zakryć twarz maską, recytować rolę i czekać, aż intryga sama się rozwinie, bez jego pomocy. Richard tak się cieszył z odnowienia ich przyjaźni, że nie był w stanie dojrzeć ciemności pod maską kuzyna. Vincent teraz częściej odwiedzał Anglię (w poszukiwaniu nowych pastwisk?), nawiązywał kontakty w City, nawet ze starymi znajomymi ojca, którzy chyba nie znali jego przeszłości. Trochę kupował akcje, trochę sprzedawał, a poza tym zaczął obwąchiwać pewien projekt budowlany w Kent, który w pewnym momencie mógł stać się bardzo interesujący. Kiedy miał czas, zjadał z Richardem lunch i wysłuchiwał jego planów i zamierzeń na przyszłość. ,

- Matka jest trochę wstrząśnięta, że postanowiłem sprzedać Uroczysko - zwierzył się pewnego dnia. - Niech żyje tradycja rodzinna. Matka chciałaby, żebym był prawdziwym Savage'em. Kiedy robię coś takiego jak ta sprzedaż, wini za to geny mojego nieszczęsnego ojca. Biedaczysko. Albo wini siebie, że za niego wyszła. To trochę tak jak z tobą i wujem. Jestem pewien, że za wszystkie twoje niedostatki obwiniał twą włoską matkę. To starsze pokolenie Savage'ów stanowi doprawdy śmieszną parę. Miejmy nadzieję, że nie odziedziczyliśmy po nich zbyt dużo.

- Stanowili śmieszną parą - sprostował Vincent. - Zapominasz, że on nie żyje.

- Przepraszam. - Richard odgarnął lok, który tak jak w dzieciństwie

twie spadał mu na jedno oko. - Wciąż nie mogę się do tego przyzwyczać.

- Ani ja - przyznał Vincent. - Traktował cię jak syna, prawda? Był dla ciebie ojcem bardziej niż dla mnie. Dyrzymałki, pomyślał Richard.

- Aż tak to nie. Ale był dla mnie cholernie dobrym wujem. Zapanowało niezręczne milczenie.

- A co się dzieje z twoim prawdziwym ojcem? - spytał obojętnie Vincent. - Tym nieszczęsnym Mike'em Garoghanem. Pisujesz jeszcze do niego?

- Od czasu do czasu. Nie widziałem go już kupę lat. Nie kocham go, nigdy nie miałem do tego okazji. Ale tak czy owak jest moim ojcem. Ważna jest rodzina, a nie tradycja i kurczowe trzymanie się bezużytecznego domiszcza tylko dlatego, że żyli w nim przodkowie. Dla mnie liczą się nie rzeczy, lecz ludzie, żywi ludzie i pewien rodzaj więzi między nimi, która ich łączy, nawet jeśli są na różnych krańcach świata i wiodą zupełnie inne życie, nawet gdy dzieci mówią innymi językami. Ta więź nie przemija.

- Krew? - spytał Vincent. - Chodzi ci o więzy krwi?

- Niezupełnie. - Richard szukał właściwego słowa. - Chodzi mi o empatię. Rodzaj intuicyjnego wzajemnego zrozumienia. Zrozumienia, które nie łączy cię z ludźmi, będącymi tylko znajomymi.

- **Stronzate** - rzekł Vincent. - Czy my rozumiemy się intuicyjnie? Richard bez wahania podniósł rękawicę.

- A jak myślisz?

On wie, pomyślał Vincent. On wie, co ja czuję. Spotkały się ich spojrzenia. Niewzruszone, czujne, wyzywające, a jednocześnie serdeczne.

- Mam nadzieję, że nie - odparł lekko i wracając do właściwego tematu powiedział: - Ty nie chcesz Uroczyńska, ale ciotka tam mieszka. Może dlatego tak jej zależy na podtrzymywaniu tradycji rodzinnej. Na pewno nie uśmiecha się jej przeprowadzka.

- Prawdę mówiąc - odparł Richard - lepiej byłoby jej we własnym małym domku. Uroczyńska wymaga mnóstwa pracy. Nawet jeśli matka ma kogoś do pomocy - ale przeważnie nie ma - to musi tę osobę instruować, pilnować, biegać za nią. Ona się do tego nie nadaje, zawsze miała z tym kłopoty. Uważasz pewnie, że wymyślam to wszystko, żeby usprawiedliwić swój egoizm, ale tak nie jest. Zobaczysz. Matka ma na oku pewien bliźniak. Trochę zmiap, nowa

kuchnia, nowa łazienka i będzie jej o wiele wygodniej niż w tym mauzoleum pełnym przeciągów.

- Zawsze mi się wydawało, że lubiła przeciągi - zauważył Vincent.

- W razie czego - rzekł Richard z uśmiechem - w wiejskim domku też da się zrobić przeciąg. Z tyłu jest wielki nie uporządkowany ogród, będzie miała się w co bawić. Zawsze lepiej dawała sobie radę z roślinami niż z ludźmi.

- Czemu nie namówisz jej, żeby przeniosła się do Londynu? Jak ty i Crystal?

- Wolę, żeby nie przenosiła się do Londynu - odparł szczerze. - One z Crystal nie bardzo się zgadzają. Znasz moją matkę. Stara się nie pokazywać, że uważa mnie za ideał, ale nie zawsze jej to wychodzi. Błogosławione złudzenia rodziców. Żadna kobieta nie jest dla mnie wystarczająco dobra. Poza tym matka, zdaje się, uważa, że Crys wyszła za mnie, bo nie zdołała wydać się za ciebie. Nie powiedziała tego nigdy wprost, ale świadczyły o tym jej reakcje, gdy w rozmowach pojawiała się imię Crys. Mimo dwojga dzieci i faktu, że nasze małżeństwo trwa już ponad dziesięć lat, nie odpuściła ani na jotę. Oczywiście, bardzo się stara i Crys też się stara, a od tych ich starań aż ściany trzeszczą. Nie jestem w stanie panować nad sytuacją na pełen etat. Poza tym, matka lubi wieś. Zawsze mieszkała w Ridpath, ma tam znajomych. Nie czułaby się dobrze w mieście.

- Być może. - Dla podtrzymania dyskusji Vincent zrobił minę nieprzekonanego. - Ale jeśli Uroczysko przejdzie w obce ręce...

- To jej decyzja - utrzymywał Richard. - Jeśli myślisz, że wymusiłem ją na niej, to się mylisz. Po pierwsze, nie zrobiłbym tego, po drugie, nie dałbym rady. Matka jest na tyle twarda, że potrafi oprzeć się naciskom. Mówi, że jeśli sprzedam dom, to ona musi tam zostać, żeby czuć. Przypuszczam, że martwi się głównie tym, co ludzie pomyślą. Któregoś dnia podsłuchałem, jak mówiła komuś przez telefon, że pensja, którą wuj zostawił, nie wystarcza na utrzymanie Uroczyska i dlatego muszę je sprzedać. Jest bardzo solidarna w sprawach rodzinnych ta moja matka. To oczywiście pic na wodę. Po prostu potrzebny jest mi kapitał. Ale ona tego nikomu nie powie, bo tamtym ludziom nie przypadłoby to do gustu.

- A wystarczy ci?

- Pieniądzy? Nie. Do badań, jakie chcę prowadzić, potrzebne jest najnowocześniejsze wyposażenie. To kosztuje kupę forsy. Jeśli jednak ma coś wyjść z moich pomysłów, nie wolno mi oszczędzać. Moja

poprzednia firma miała więcej komputerów niż NASA. Abym mógł być konkurencyjny... przepraszam cię, gadam jak do klienta. Nudzisz ze mnie. Jak widzisz, nie trzeba mnie specjalnie zachęcać.

- Jeśli wszyscy mają najnowocześniejsze symulatory, to co daje ci przewagę?

- Szare komórki. - Twarz Richarda rozpromieniła się dumą zaprawioną odrobiną autoironii. - Pomysły. Pracuję nad projektem aerodynamicznym opartym na całkowicie nowej koncepcji. O Boże, ale to brzmi! Pracuję nad czymś całkowicie nowym. W każdym razie..!

- Mów - zachęcił go Vincent.

- Skoro sam chcesz. Jak R. J. Mitchell inspiracji szukam w przyrodzie.

- R. J. Mitchell? Kto to taki?

- Projektant Spitfire'a. Spojrzał na niezgrabny samolot tamtych czasów i doszedł do wniosku, że trzeba wrócić do ptaków. Mnie interesują ryby. Pomyśl o rai, ojej gracji, opływowej linii i o tym, jak tnie wodę oceanu. Przy prędkościach, jakie dziś uzyskujemy, powietrze staje się gęste jak woda. Pieni się wzdłuż skrzydeł, okłada pięściami i szarpie każdy centymetr kwadratowy kadłuba samolotu. Naturalnie, struktura musi być niewiarygodnie wytrzymała. Jeśli powietrze staje się jak woda, to woda staje się jak... powiedzmy to w ten sposób: po przekroczeniu bariery dźwięku pojedyncza kropla deszczu jest jak pocisk. Najbardziej z tego wszystkiego interesuje mnie jednak wpływ ciśnienia na przyspieszenie i zużycie paliwa. Chcę dokonać zasadniczej zmiany kształtu skrzydeł. Poza samolotami wojskowymi ostatnio tylko Concorde spróbował czegoś innego i zdaje się, że nikt nie wyciągnął z tego żadnych wniosków. Projekty samolotów utknęły w martwym punkcie, między staroświeckimi teoriami a krótkowzrocznością firm, które zajmują się ich budową. Chcę to zmienić.

- Czy z tego będą jakieś pieniądze? - spytał ironicznie Vincent.

- Zredukuj zużycie paliwa, a zredukujesz koszt przelotu. Pierwsza Unia lotnicza, która to zrobi, opanuje rynek. To jest dość oczywiste, tylko banki nie wiadomo dlaczego nie chcą lub nie potrafią tego zrozumieć. Gdy usiłowałem zdobyć jakieś dofinansowanie, usłyszałem, że to zbyt ryzykowne. I domagali się dodatkowych gwarancji. Teraz, jak już sprzedam Uroczysko, zdobędę pewien kapitał i uporządkuję nowy lokal - tuż pod Londynem, musisz wpaść tam któregoś dnia - to będę miał za sobą połowę drogi, a wtedy może znajdę kogoś, kto odkopsnie forszę na drugą połowę.

Vincent odebrał sygnał, ale od razu nie zareagował. Zamówił kawę, za deser podziękował.

- To wszystko jest cholernie trudne - rzekł Richard. - Cholerne banki.

Vincent wciąż się nie wychylał. Wahał się czy zastanawiał?

- Czemu nie poprosiłeś mego ojca?

- Sam nie wiem - westchnął Richard. - Crys też mnie namawiała. Bo był twoim ojcem. Chyba dlatego. Bo był moim wujem. Bo nie chciałem przysług. Tak jak ty, chciałem sam sobie dać radę. A poza tym, jeśli mam być szczery, to nie byłem pewny, czy nie spotkam się z odmową. W przeciwieństwie do matki, nie sprzeciwiał się moim plebejskim zainteresowaniom, ale od niesprzeciwiania się do inwestowania jest daleka droga.

- A twój ojciec chrzestny? To nadziany gość.

- Wiesz, mamy raczej luźny kontakt, ale nawet gdyby było inaczej, nie poprosiłbym go. Nie chcę grzeczności.

- Gdybym ja postanowił zainwestować w ciebie - rzekł Vincent

- nie byłaby to żadna grzeczność.

- Twojej pomocy też bym nie przyjął - obruszył się Richard. Było w tym więcej spontaniczności niż grzecznej odmowy.

- Nie bądź głupi. Powiedziałeś, że z tego twojego pomysłu mogłyby być pieniądze. Robienie pieniędzy to moje ulubione zajęcie. Rodzinne sentymenty nie wchodzą w grę.

- Nie, nie, zbyt duże ryzyko - upierał się Richard.

- Powiedz to bankom. - Vincent był ubawiony. - Lubię ryzyko. Im większe ryzyko, tym większa przyjemność i - **Deo volente**

- większy dochód. Życie to hazard. Wygrywa ten, kto się nie boi grać. Nic, co ludzkie, nie jest mi obce, a już najbardziej pieniądze...

- Przestań - zaprotestował Richard. - Nie ufam ci, kiedy obracasz wszystko w żart. Ktoś kiedyś powiedział, że błyskotliwość umysłu oznacza ciemność w sercu. - Ale Vincent czuł, że Richard bardzo chce mu ufać. Tak samo jak wszystkim w swym miłym, dobrze usposobionym do niego świecie. - Zastanowię się.

- Nie - rzekł Vincent. - To ja się zastanowię.

Ale żaden się nie zastanawiał. Decyzję podjęli spontanicznie. Pozostało tylko opracować szczegóły. Richard sfinalizował zakup nowego biura i wyposażył je w połyskujący sprzęt. Ekran mrugał,

konsole mruczały, a cały ten gadżetowy świat nowoczesnej technologii ćwierkał, szczebiotał lub popiskiwał zależnie od temperamentu Młodziutkie sekretarki i prawie równi im wiekiem inżynierowie biegali w tę i z powrotem, podekscytowani przekonaniem, że to co robią, jest innowacyjne, warte wysiłku i na pewno odniesie sukces. Były późne lata osiemdziesiąte, okres prosperity, bogaci i nie tylko bogaci się bogacili (z wyjątkiem bardzo biednych, którzy nie wiadomo czemu jeszcze bardziej biednieli); wszystkich - brokerów, producentów, kupców, kombinatorów - niosła wysoka fala. Analitycy analizowali, odkrywcy odkrywali, a ekonomiści bimbali na ekonomię. Cały świat piał się do góry i miał tam już pozostać. Vincent przyglądał się posłusznie trójwymiarowym diagramom samolotu które kręciły piruety na ekranie komputera, patrzył na tasiemcowe równania i na wciąż zmieniające się kolumny małych zielonych cyferek. Wysłuchiwał dyskusji w żargonie technicznym, z których nic nie rozumiał, wtrącał swoje trzy grosze mając nadzieję, że nie mówi kompletnie od rzeczy. Potem zwykle obaj z Richardem udawali się do pobliskiego pubu na drinka, którego jeśli nie Richard to Vincent na pewno straszliwie potrzebował. Tam Richard jeszcze przez pół godziny mówił o swych planach zawodowych, póki się w końcu nie zreflektował. Wtedy przeproszał i zmieniał temat. W odpowiednim czasie drinki przechodziły w kolację, spożywaną w tym samym pubie, póki nie nauczyli się jadać w mieście, w Le Caprice", „Langan's Brasserie", „Orso". Vincent korzystał z mieszkania w Chelsea, które należało do znajomego pracującego w przemyśle filmowym. Pewnego razu obudzili się z Richardem na równoległych kanapach w salonie - obolali, nie ogoleni i skacowani mając w głowach zamglone wspomnienie rozwlekłej dyskusji filozoficznej, którą prowadzili poprzedniego wieczora.

- Następnym razem - rzekł Richard - zjemy kolację u mnie w domu.

- Najwyższy czas - odparł Vincent. - Bo już zaczynałem myśleć że jestem *persona non grata*. „Spotykajcie się na neutralnym' terytorium, ale me przyprowadzaj mi go do domu."

Zrozumiał wszystko, kiedy ujrzał Crystal. Występowała teraz w roli chłodnej, surowej, skrupulatnej gospodyni, która prowadziła nienaganną *nouvelle cuisine* i serwowała potrawy na pretensjonalnej porcelanie - znacznie cieplejszej od atmosfery przyjęcia. Wyjątkowo cienkie plasterki jakiegoś mięsa, z którego przed zrolowaniem

i marynowaniem wyjęto kości, ozdabiały jedną stronę eleganckiego półmiska, drugą zajmował wzór na porcelanie. Sezonowe warzywa, przykładnie zielone, pozowały w segmentach idiotycznego porcelanowego naczynia na środku stołu. Skąpym porcją jedzenia towarzyszyła jeszcze bardziej skąpa rozmowa. Vincent pomyślał, że Elizabeth Savage miała trochę racji - Crystal była *petite-bourgeoise* i za wszelką cenę starała się dorównać Sinclairom-Jonesesom. Nie wiedział, że jej kulinarne wysiłki i chłodna postawa były przeznaczone specjalnie dla niego. Richard, czując, że jeszcze siedem ósmym jego żołądka domaga się jedzenia i wiedząc, że żona byłaby bardzo niezadowolona, gdyby sięgnął teraz po krakersy i nieelegancki cheddar, usiłował zapłacić pustkę w żołądku (bez powodzenia) miętowymi tafelkami czekoladowymi i winem, którego otworzył już trzecią butelkę. Nikt się jednak nie upił. Crystal pochłonęła więcej alkoholu, niż miała w zwyczaju, ale wino jej nie rozmroziło ani nie zapaliło iskierki w oczach. Pod koniec wieczoru Vincent doszedł do rozsądnego wniosku, że choć Crystal jeszcze wyładniała, na niego przestała jakoś działać. Była chyba zanadto wystrojona jak na taką okazję - w stylizowany wieśniaczy zestaw od Ginocchetti. Do tego wyrafinowana fryzura z wysoko upiętych włosów, opadających z jednej strony grubą tresą z sobola. Pocałować jej nie miał ochoty, najwyżej w celach badawczych, ale chętnie rozpuściłby jej włosy, rozmazał makijaż, pogniótł ten afektowany strój. Usiłował sobie przypomnieć, jak wyglądała kiedyś, kiedy była podobna do innych dziewcząt, oddychających pośpiesznie, zgłodniałych, wzburzonych, wewnętrznie rozbitych. Pamiętał jednak tylko mglistą tęsknotę przed stosunkiem i mglistą tęsknotę po stosunku, oddzielone od siebie krótkim jak błysk orgazmem. Taka Richmond LeSueur miała w sobie nieporównanie więcej ikry, nawet o poranku.

Wyszedł przed północą. Przy pożegnaniu ujął chłodną dłoń Crystal, pocałował jej niechętny policzek. Richard odprowadził go do drzwi.

- Przepraszam cię - powiedział, kiedy Crystal nie mogła go już usłyszeć. - Chyba była bardzo zdenerwowana. Myśli, że to ona wtedy ciebie rzuciła. Jakoś nigdy nie miałem serca jej powiedzieć, że tobie wówczas też przeszło. Zresztą, to było tak dawno...

- Zbyt dawno, żeby mogło mieć jeszcze jakieś znaczenie. - Mina Vincenta była nieodgadniona. - Wspaniała kolacja. Jedzenia wprawdzie było trochę mało, ale za to smaczne. Masz wspaniałą żonę. Domyślam się, że jesteś kochającym mężem. Ja byłbym w tej roli do niczego.

- Pewnie tak - przyznał Richard. - Z drugiej strony, komu jeszcze zależy na kochających mezach? Odjechali powozami zaprzężonymi w konie. Vincent nie potrafił rozstrzygnąć, o co mu chodzi. Przy okazji kolejnych kolacji Crystal ciut ciut odtajała, a jej kuchnia stopniowo zaczęła odchodzić od *nouvelle cuisine*. Vincent złapał się na tym, że obraca w myślach różne drobne zdarzenia - wrażenia bardziej niż zdarzenia - usiłując je do siebie dopasować. Crystal uśmiechnęła się do niego i patrząc niezapominajkowymi oczami prosto w jego oczy na półodważnie, na półnieśmiało, z wahaniem przekazała mu wiadomość. Na Richarda patrzyła bez uśmiechu, tuląc usta w pączek, ale nie słodko, tylko z zakłopotaniem jak gdyby Richard był zamkniętymi drzwiami, do których dobijała się już od dobrej chwili. Zdaniem Elizabeth Savage Crystal wyszła za Richarda, bo nie zdołała wydać się za niego. Crystal odwraca twarz na pogrzebie, Crystal odwraca się ramieniem przy stole diament w jej pierścionku zaręczynowym błyszczy bezwstydnie by przypomnieć mu, że mógłby być od niego. Że powinien być od mego. Sięgając po bułki dotknęli się palcami i Crystal przebiegł dreszcz, a Vincent poczuł, jak ten dreszcz schodzi powoli ku jego łydźwiom. Obserwując ją, doszedł do wniosku, że wzięła Richarda me kierowana staroświeckim pragnieniem zrobienia dobrej partii lecz w akcie chytrej kobiecej zemsty. On nią pogardził - niewybaczalna herezja - więc na złość mu wyszła za męża za Richarda, czując nieomylnie, że jest to najpewniejszy sposób wbicia mu noża w serce. A teraz Vincent był tu znowu, w jej domu, w jej życiu, sprawiając, że jej puls przyspieszał, choć wcale tego nie chciała. Crystal z twarzą sfinksa i kocim instynktem zachowawczym. Wszyscy robimy z siebie głupców, pomyślał Vincent. Nawet Crystal. Pewnego popołudnia przyszedł bez Richarda. Crystal była sama Córeczka, jak wyjaśniła, poszła do koleżanki, a Jonasa piastunka zabrała na spacer. Vincent nigdy nie myślał o tych dzieciach, zwykle kiedy przychodził, usuwała je; zdziwiłoby go, gdyby było inaczej. Zapropnowała mu herbatę, odmówił. Usiedli w salonie, Crystal na kanapce, Vincent na krześle, w odległości dwóch metrów. Pewnie z powodu zdenerwowania zachowywała się w sposób mniej wystudiowany; raz po raz zmieniała położenie rąk, jak gdyby pozowała artyście, którego trudno zadowolić. Vincent był rozczarowany że nie udało mu się zaskoczyć jej z rozpuszczonymi włosami.

- Czym mogę ci służyć? - spytała z obowiązkową kurtuazją.
- Miałem nadzieję, że zastanę Richarda - skłamał Vincent. - Mówił, że zje lunch z klientem. Pomyślałem, że potem wpadnie do domu.

- Nie ma go - odparła Crystal bezbarwnie.

Taka zdenerwowana i naturalna wydała mu się bardzo młoda; przywodziła na myśl drżącą nastolatkę, która podjęła ważną decyzję, ale nie potrafi znaleźć właściwego gestu czy właściwych słów, by ją wyrazić.

Vincent powiedział:

- Lepiej pójdę. Przeszkadzam ci. Na pewno jesteś zajęta. Nie ruszył się.

- Nie jestem - rzekła Crystal.

Milczenie przeciągało się, dzwoniło w uszach.

- Porozmawiajmy o pogodzie - zaproponował Vincent.

- Nie wiem, co powiedzieć. - Głos Crystal był cichy, ale zabrzmiał jak płacz.

- Czemu wyszłaś za Richarda?

Zaskoczył ją tym pytaniem, tak jak chciał. Za maską, która była teraz czytelna, ujrzał, jak Crystal biedzi się nad znalezieniem szczerzej odpowiedzi. Nagle przyszło mu do głowy, że jej uroczysta pokerowa twarz to po prostu brak życia.

- Nie masz prawa mnie o to pytać - powiedziała w końcu.

- Nie mam, ale co z tego? I tak cię pytam. - Wstał i pochylił się nad nią, na półgroźnie, na półniedbale. Nie uniosła głowy. - No więc?

- Zakochałam się.

- Kłamiesz - stwierdził karcącym tonem. - Dla tego? - Wskazał fotografie na biurku. Domyślał się, co przedstawiają. Część z nich była w srebrnych ramkach. Ślub, dziadkowie, dzieci jako niemowlęta i później, ujęta w kadry, mieszczańska egzystencja.

- Miałam dużo szczęścia - odparła Crystal bezbarwnym głosem. - Dostałam od życia wszystko, czego chciałam.

- Przypominasz żonę z reklam - zauważył Vincent. - Ładny dom, przystojny mąż, jedna córka, jeden syn. Idealna jednostka rodzinna, według zaleceń Saatchich. Zachowałaś nawet urodę. Jeśli coś cię trapi, to jaki wybrać proszek do prania i czy nowe Volvo nie szkodzi środowisku. Crystal Winter, była modelka, gospodyni domowa, matka. Jesteś szczęśliwa? Znalazłaś - jak to się mówi - emocjonalne zaspokojenie?

- Odpieprz się - zdenerwowała się nagle.

- Spójrz na mnie. - Spróbował przyciągnąć ją do siebie, ale stawiała opór. Kręcąc głową, patrzyła na swe kolana. - Przyznaj się, kochałaś mnie. Dlaczego więc wyszłaś za Richarda?

Była zahipnotyzowana jego arogancją i pewnością siebie, bliskością jego ciała i hollywoodzką elegancją, którą zalatywało od niego jak zapachem wody po goleniu. Poczła bolesną tęsknotę za namiętnością i podnieceniem dziewiętnastolatki. Pozwoliła, by ją postawił. Spojrzała mu w oczy. A on, jakby mu tego nie było dość, zdjął gumkę z jej końskiego ogona, uwolnił jej długie jedwabiste włosy, pozwolił im spłynąć na plecy. W tamtej chwili pragnął jej - gdyż była żoną Richarda, bo wydawała się bezradna i bezbronna ponieważ poddawała mu się nie tylko fizycznie, ale i psychicznie.

- Naprawdę kochałam Richarda - upierała się. - Dzięki niemu poczułam się bezpieczna. Było mi z nim wygodnie. Z tobą nigdy nie czułam się ani wygodnie, ani bezpiecznie.

- Więc na to poleciałaś. - Ruchem głowy wskazał fotografie, pokój, dom, cały ten styl. - Bezpieczeństwo i wygoda. Naprawdę sądziłaś, że będę zazdrosny?

- Nie wiem.

- Czy nie było innego sposobu, żeby mnie odzyskać, jak tylko przez poślubienie Richarda?

- Nie wiem!

- Zawsze staramy się zadać ból ludziom, których kochamy. Miłość i ból idą w parze. Ból i miłość.

- Chcesz zadać mi ból? - spytała. - Teraz?

Było to zaproszenie i Vincent je przyjął. Całował ją długo i mocno, odkrywając na nowo znajome załamania jej ciała, małe krągłe piersi, małe napięte pośladki, uda, które rozsunęły się pod zadartą spódnicą, by mógł wyczuć wilgoć na figach między nimi. Chciał wziąć ją na miejscu, *in situ*, pod czujnym spojrzeniem fotografii w srebrnych ramkach, łącząc przyjemność z zemstą w jednym akcie nagłej nieopanowanej potrzeby. Przyjemność i zemsta, ból i miłość - sam już nie wiedział, co czuje, teraz jednak nie zamierzał tracić czasu na zastanawianie się. Chciał ją posiąść, sprofanować, wejść w nią- na tej nowej połyskującej tapicerce i drogim dywanie. Ściągając z niej figi, dotknął wilgotnego ciepłego wejścia do jej wnętrza i drżącej lechtaczki. Pomyślał, że bez problemu doprowadzi ją do orgazmu, gdy już sam będzie gotów. Ale jeszcze nie. Jeszcze nie...

- Na górę - wysapała. - Do sypialni.

- Tutaj - wyszeptał. - Tutaj!

Nie słyszeli chrobotania klucza w zamku. Usłyszeli za to, że drzwi się otworzyły, a potem kroki w hallu i cienki głosik Jonasa:

- Mamusiu, mamusiu, w parku pchnął mnie jeden duży chłopak i się przewróciłem. Chciałem mu oddać, ale Tilda mi nie pozwoliła...

Przez kilka sekund, które minęły, nim piastunka zawróciła Jonasa, by zdjąć mu kurtkę, Crystal doprowadziła do porządku ubranie z prędkością, którą pobijałaby rekord olimpijski, a Vincent przypomniał sobie, dlaczego unikał meżatek z małymi dziećmi.

- Przywitaj się z wujem Vincentem - pouczyła Crystal syna lekko drżącym głosem, kiedy chłopiec wdarł się do pokoju.

Jo rozdziawił buzię i znieruchomiał. Wuj Vincent obrzucił go krótkim spojrzeniem i zignorowawszy piastunkę powiedział, że właśnie zbierał się do wyjścia. Spojrzał wymownie na Crystal. Wydawało jej się, że zrozumiała mowę oczu Vincenta.

- Nie wygląda pani najlepiej - stwierdziła niania po jego wyjściu. - Taka pani blada.

- To nic - rzekła Crystal. - Nic mi nie jest.

Vincent powiedział Richardowi prawdę w wynajętym **mieszkaniu**, w pokoju z równoległymi kanapami, na których kiedyś obaj zasnęli.

- Wycofuję się.

Z twarzy Richarda odpłynęła krew, zabierając z sobą nie tylko kolor, ale wszelki wyraz. Nagle pobladły Richard wyglądał, jakby się postarzał, linie śmiechu zmieniły się w linie strapienia, uśmiech zamarł na jego wargach. r .

- Nie możesz - powiedział. - Ty chyba nie wiesz, co mówisz.

- Powiedział jeszcze wiele innych słów, które Vincent dokładnie przewidział. Prośby, oskarżenia, banały. - Jestem zrujnowany. Teraz już nigdzie nie zdobędę pieniędzy i ty dobrze o tym wiesz. Zbankrutuję. Nie możesz mi tego zrobić. Jesteś moim kuzynem. Byliśmy sobie bliżsi niż bracia.

- Uprzedzałem cię - rzekł Vincent - że nie ma to dla mnie znaczenia. Nie chciałeś grzeczności, pamiętasz?

- Przestań - odparł Richard. - Rób, co chcesz, ale nie baw się ze mną w ten sposób. Nie traktuj tego jak jakiejś gry, którą przegrywam, bo nie przeczytałem, co napisali na końcu instrukcji małymi literami.

- I dodał, gwałtownie: - Chce mi się rzygać.

- To jest gra - rzekł Vincent smętnie. - Życie jest grą. Zbankrutujesz. Wyrzuciłeś szóstkę, płacisz setkę. Ja kiedyś wyciągnąłem kartę „Idziesz do więzienia”.

- Na miłość boską! - wykrzyknął Richard. - To przecież me była moja wina. Czy o to ci chodzi? O jakieś nedorzeczne pseudogotyckie pojęcie zemsty? Naoglądałeś się zbyt wiele oper mydlanych. Wiesz, co zrobiłeś? Przeprowadziłeś remanent swych pretensji i postanowiłeś wystawić mi rachunek. Wiedziałem, że potrafisz być mściwy, ale nie sądziłem, że jesteś tak małostkowy. Byłem gotów oddać ci Uroczysko...

- Nie wziąłbym od ciebie niczego.

- Nie wierzę, że mówisz poważnie. Przecież nie jesteśmy w jakimś cholernym serialu telewizyjnym. Gdzie twoje poczucie proporcji? Gdzie twoje poczucie humoru?

- Śmieję się - odparł Vincent z poważną miną. - Oto pośliznąłeś się na skórcie od banana. Ze zdenerwowania Richard przemaszerował pokój, zderzył się z niskim stolikiem, na który spojrzął takim wzrokiem, jak gdyby mebel celowo wszedł mu w drogę. Vincent obserwując każdy jego ruch pomyślał, że zemsta wcale nie jest słodka - smakuje gorzko jak piołun, jak absynt alkoholikowi. Zbawienna trucizna.

- A co z innymi? - spytał Richard. - Moimi pracownikami... twoimi pracownikami, których pozbawiasz pracy? Rozmawiałeś z nimi, wiesz, z jakim entuzjazmem i wiarą pracują, jakie mają ambicje. Nic cię to nie obchodzi?

- Znajdą inną pracę - odparł Vincent. - Nie bądź hipokrytą. Oni ciebie akurat obchodzą tyle co mnie.

- Naprawdę tak myślisz? - spytał Richard. - Ty żałosny draniu.

- Napij się - zaproponował Vincent znudzony. - Użyłeś już prawie wszystkich argumentów. Jeszcze została ci tylko Crystal i dzieci.

- Tu cię mam. - Na wspomnienie o żonie Richard zbladł, jego twarz przybrała wyraz posepnej rezygnacji. - Crystal. Mogłem się być domyślić. Dziewczyna, którą porzuciłeś, a ja poślubiłem. Jak śmiałem, prawda? Powinienem był ją zostawić na wypadek, gdyby po wyjściu z więzienia zachciało ci się dupy. O nią ci chodzi tak? O Crystal.

- Nie bardzo. - Tym razem Vincent się roześmiał. Ostрым śmiechem, w którym nie było wesołości. - Bierz ją sobie.

Opakowanie

od Van Cleefa i Arpelsa, ale zawartość z taniego domu towarowego. Nie wątpię jednak, że smakuje ci jej kuchnia.

- Powinienem cię uderzyć.

- Spróbuj.

- Nie warto. Szkoda fatygi. Wysłuchaj jeszcze ostatniego banału, dobrze? W końcu to, co mówię czy robię, nie ma już żadnego znaczenia. Zamknąłeś uszy i rozum, zamknąłeś się w swym własnym światku. Jesteś w nim sam, ale kiedy to sobie uświadomisz, będzie już za późno. Wiesz, że ja naprawdę chciałem ci ufać. Pewnie byłem idiotą i będę jeszcze idiotą niejedną raz, ale zmusiłem się, żeby ci zaufać. Mogliśmy coś razem zbudować, coś niezwykłego.

Twoja firma, moja firma. Kawalek przyszłości. Marzyłem o tym. Dlatego że wychowywaliśmy się razem, razem chodziliśmy do szkoły, studiowaliśmy, byliśmy sprzymierzeńcami, byłem sentymentalny, chciałem, żeby to dalej trwało. Tak to się nazywa, prawda? Sentymentalizm. Miękkie serce. Miękki mózg. Idiotyzm.

- Ja nazywam to sprytem - odparł Vincent. - Otworzyłem portfel, a ty wsadziłeś do niego rękę. Nie widzę w tym żadnego sentymentalizmu.

- Mój Boże, żal mi ciebie - stwierdził Richard. Nie była to prawda, ale gniew mu minął, a zostało tylko wyniosłe politowanie. Czuł się rozczarowany i pusty w środku. Aż go mdliło od tej pustki.

- Wcale nie - warknął Vincent. - Tak się użalasz nad sobą, że na innych nie wystarcza ci energii.

Do głowy przychodziły Richardowi jedynie słowa czteroliterowe, więc nie odpowiedział. Wyszedł.

Crystal przyjęła wiadomość w całkowitym milczeniu. Następnego dnia udała się do adwokata. Nie była zapalczywa, nie śpieszyła się. Działała powoli, krok po kroku. Oszczędności z okresu, kiedy była dobrze opłacaną modelką, znajdowały się na różnych prywatnych kontach. Richard nie miał do nich dostępu. Nowy dom był na jej nazwisko - środek ostrożności, który sam zasugerował przystępując do swego przedsięwzięcia. Pod liną rozciągniętą była siatka bezpieczeństwa, na wypadek, gdyby powinęła się noga. Lecz Crystal nie sądziła, że spadnie. Od tamtego pocałunku minęło dziesięć dni, dziesięć dni nie widziała Vincenta. Myślała o nim jednak w każdej

wolnej chwili. A w obecnym życiu Crystal wolnych chwil nie brakowało. Bez względu na to, jakimi motywami kierował się Vincent finansując Richarda, zniszczył go z zazdrości, z zemsty którą z kolei podyktował mu żal. Na tę myśl serce zaczynało bić jej szybciej, a niebieskie oczy błyszczały. Zastanawiała się nawet czy może poprosić Vincenta, by oszczędził Richarda? Po co ma się mścić skoro ona do niego wróciła? Adwokat przejęty jej błyszczącym spojrzeniem od razu domyślił się, że chodzi o rozwód. Kobieta tak śliczna jak Crystal Winter zasługiwała na najlepszy los.

Tego wieczora Jonasa i Pénélope Snow wysłała pod opieką Tildy do swej matki, sama zaś taksówką udała się do mieszkania w Chelsea Adres już dziesięć dni wcześniej przepisała z notatnika Richarda W pustym salonie obok fotografii w srebrnych ramkach czekał na niego list, w którym informowała go, dokąd jedzie. Było jej smutno, naprawdę smutno, nigdy nie zamierzała go skrzywdzić - krzywdzi się jedynie ludzi, których się kocha - ale Vincent był tym właściwym od samego początku. Tak będzie dla wszystkich najlepiej. Dzieci zabierze. A do tego czasu pozostaje mu szczerze oddaną Crystal Potem, kiedy zdarzyło się to, co trudno było sobie wyobrazić, każda strofka tego listu przejmowała ją wstydem, paliła jej dumę.

Richard przeczytał list i przypomniał sobie śmiech Vincenta Poczł leciutkie zimne ukłucie wcale nie z żalu nad sobą.

Crystal weszła po schodach do tamtego mieszkania z bijącym sercem, a zeszła z martwym.

- Proszę - zaprosił ją do środka Vincent. - Czym mogę ci służyć? Przyszłaś mnie błagać?

Wiedział, po co przyszła.

- Rzuciłam Richarda - powiedziała. - Nie miałam racji wybierając bezpieczeństwo i wygodę. To było głupie i tchórzliwe. Nie mogę już wytrzymać. Nie potrafię dalej udawać. Tylko ty się liczyłeś, Vincente. Od czasu kiedy miałam dziewiętnaście lat. Tylko ty.

Vincent dolał toniku do dzinu i podał jej szklanekę.

- No to masz pecha - zauważył.

- Jak to, pecha? - zmieszła się. Vincent często się z niej nabijał - Nie widzisz? Wróciłam do ciebie. Wiem, dlaczego zrujnowałeś Richarda. Wiem, że zrobiłeś to dla mnie.

- Dla ciebie? - Śmiech, na który Vincent pozwolił sobie w tej sytuacji, był ostrzejszy niż poprzednio, pozbawiony radości, urągliwy -Dla ciebie!

- Przecież mnie kochasz - upewniała się. Ona, Crystal, która nigdy nie musiała prosić o miłość, a tylko brać, brać, brać. - Kochasz mnie, prawda?

- A co w tobie jest do kochania? - Vincent był celowo nonszalancki. - Jesteś zepsuta, samolubna, sztuczna - musnął jej policzek opuszką palca - z zewnątrz elegancka, ale w środku zupełnie pusta. Znam jedną taką w Los Angeles, która pochodzi z najgorszych slumsów, a zrobiła z siebie królową. Wygląd zawdzięcza salonom piękności, a konto w banku nieczystym interesom, ale jest warta miliona takich jak ty. Mógłbym znaleźć dziwkę na rogu ulicy w Soho o wiele bardziej uczciwą od ciebie i zdechłego królika, który byłby lepszy w łóżku. Kochać ciebie? - Jego głos zrobił się twardy. Vincent natychmiast się zreflektował i wrócił do nonszalanckiej. - Nie bądź śmieszna. Nie kocham imitacji szampana, robaka w jabłku. Wypluwam i idę dalej. Wypij ten dzin. Zdaje się, że jest ci teraz bardzo potrzebny. Trzęsała się tak silnie, że kostki lodu uderzały o ściankę szklanki.

- Nie... rozumiem - powiedziała słabym głosem.

- Wiem - przyznał Vincent. - Zawsze miałaś z tym trudności. Chętnie bym z tobą jeszcze pogawędził, ale rano odlatuję, a mam sporo do załatwienia. Musisz już iść. Wypij.

Crystal krzyknęła. Chlusnęła mu w twarz dzinem, potem rzuciła szklanką. Jeszcze nigdy nie czuła takiej wściekłości i nie wiedziała, co się z tym robi. Brakowało jej odpowiednich słów. Mogła tylko krzyczeć. Vincent podszedł do drzwi i otworzył je. Crystal zdusiła w sobie krzyk, usiłując odzyskać panowanie nad sobą. Syjamska kotka przeobraziła się w dzikiego kota. Oczy jak szparki, wargi jak kreski. Jej szept przypominał syk.

- Zapłacisz mi za to. - Scenariusz nie był specjalnie oryginalny, ale gra doskonała. - Pewnego dnia zapłacisz mi za to! Uprzejme nic, pomyślał po jej wyjściu. Drugorzędny melodramat. Nalał sobie burbona - przez ponad dziesięć lat w Stanach zdążył polubić jego smak - i wypił go jednym długim powolnym haustem. Zamknęło się błędne koło, historia skończona. Czas napisać *finis*. Nie czuł ani satysfakcji, ani żalu, jedynie tępe zmęczenie i pustkę w środku. Położył się na kanapie, lecz nie mógł zasnąć.

Czesc czwarta
Taniec w ciemnosci

Rozdział pierwszy

Na Dominikę przybyłam ledwie żywa po długim strasznym dniu. Z powodu awantur z kontrolerami ruchu transatlantycki samolot przyleciał z opóźnieniem. Film, który wyświetlili, już kiedyś widziałam. Siedzące za mną dziecko, mimo protestów matki, przez całą podróż kopało mój fotel, a siedzący obok mnie mężczyzna potwornie się pocił. Oto na co człowiek jest narażony podróżując samolotem. Kiedy na Barbados przesiadałam się na lokalne linie, upał i wilgoć otuliły mnie niczym lepki koc. To było gorsze od Londynu. „Huraganowa pogoda” - powiedział ktoś wesoło. Bar z kolei przypominał wnętrze lodówki, a mrożony napój, którym tam raczyli, obniżył temperaturę mego ciała tak gwałtownie, że poczułam się ciężko chora. Wiem, że powinnam być odporna na niewygody i przykrości związane z podróżami, ale nie jestem. Chciałabym tylko, żeby wszyscy

- stewardzi i stewardesy, personel lotniska, debil, który wybierał film
- zadali sobie mniej trudu, by uczynić z tej podróży taką nudę. Zanim dotarliśmy do lotniska w Praline, zdążyło się ściemnić.

Słońce w okamgnieniu rozpląnęło się w fioletowym morzu, a niebo zaczęło zapełniać się gwiazdami. Phyl wyjechała po mnie kabrioletem; z głośników ryczał Janaćek. Samochód należał do Ashleyów, gust muzyczny - do Wina.

Zgodnie z przyjętym zwyczajem przywitałyśmy się bardzo czule.

- To wszystko? - spytała Phyl, gdy wrzuciłam walizkę do bagażnika. Była autentycznie wstrząśnięta.
- Wiesz, że podróżuję z małym bagażem - odparłam. - Jestem dziennikarką, nie panienką z wielkiego świata. Zwykle mam tylko bagaż podręczny. Ta walizka to dla mnie bardzo dużo.
- W tę walizkę nie weszłyby nawet moje kremy do twarzy
- zauważyła Phyl.

Nie wyglądało, żeby potrzebowała jakichkolwiek kremów. W szkole zawsze budziła zazdrość mniej szczęśliwych koleżanek nękanych przez trądzik, tłustą cerę i rozszerzone pory. Jej twarz w dalszym ciągu miała ten brzoskwiniowy odcień, który inne kobiety osiągną za pomocą tubki. Oczy i rzęsy Phyl przypominały oczy i rzęsy gazeli Walta Disneya, a włosy, które przy naszym ostatnim spotkaniu mieniły się Złotem Łanów Pszenicy, teraz były Brązem Jesiennych Kasztanów. Figura tego liczącego sobie metr pięćdziesiąt dwa maleństwa kojarzyła się z różkiem podwójnych lodów i wydawała się nie tyle seksowna, co jadalna. Wsiadliśmy do auta. Phyl ruszyła z kopyta. Patrzyła więcej na mnie niż na drogę i przez cały czas rozmawiała. W oddali gwiazdy naprawdę mrugały, mile owiewało nas chłodne powietrze. Spotykane po drodze samochody omijały kabriolet wielkim łukiem; widocznie kierowcy z daleka poznawali Phyl. Pomyślałam, że jest to wyspa, o jakiej marzyłam, idylliczne małe królestwo pełne księżniczek. Wyciągnąwszy członki zdrewniałe od zbyt długiego siedzenia w klasie turystycznej, poczułam błogosławiony spokój. Za prędko.

- Byłoby cudownie - zauważyłam - gdyby ktoś wymyślił jakiś inny sposób siedzenia, nie na pupie.

Phyl nie słuchała.

- Więc zadzwoniłam dziś rano do Deirdre - powiedziała podejmując wątek rozmowy najwyraźniej prowadzonej przedtem z kimś innym. - Oczywiście, nie spytałam wprost, bo wiem, że nie byłabyś zadowolona, ale jestem prawie pewna, że Vincent tam będzie. Deirdre ogłasza listę gości z wyprzedzeniem... to są, Micky, same wielkie nazwiska, Farzad nazywa je grubymi rybami, i zapewniła mnie...

- Mówiłaś, że Vincent zawsze bywa na tym przyjęciu - przerwałam jej, bo ogarnęło mnie przerażenie. - Czy chcesz powiedzieć, że przeleciałam pół świata na koszt firmy, żeby wziąć udział w tym pieprzonym przyjęciu, a pieprzony Vincent Savage może się na nim nie pojawić?

Phyl poczuła się dotknięta.

- Przyleciałaś, żeby się ze mną zobaczyć.

- Alun mnie zabije.

- Nie żartuj, Micky. Bądź... bądź optymistką. Deirdre powiedziała, że Vincent należy do jej Absolutnych Pewniaków. Podobno zamówił dom Irvinga Bluma w West Point na co najmniej tydzień. Nie przyjedzie tylko wtedy, jeśli dostanie rozstroju żołądka, przegapi

samolot lub Bóg wie co jeszcze. A Bóg jest po twojej stronie, prawda? Bo ty należysz do porządnych ludzi. W każdym razie, gdyby zdarzyło się najgorsze, coś tam wykombinujesz. Twojego szefa tu nie będzie, więc się nie pozna.

- Nie wykombinuję taśmy - zauważyłam.

- Chyba nie zamierzasz obwiesić się kablami - nie na żarty zaniepokoiła się Phyl.

- Nie, oczywiście, że nie. W torebce mam malutki magnetofon. To wszystko. Do mojej sukienki nie mogłabym przypiąć mikrofonu, choćbym nie wiem jak chciała. To ta mała czarna od Rolanda Kleina, obcisła i rozcięta na bokach, znasz ją. Nawet pchłę w majtkach byłoby widać.

- To ty wciąż masz tę sukienkę?! - zdumiała się odchodząc od tematu. I dodała tonem Kasandry: - Wiedziałam!

- Na miłość boską, Phyllida, ja prawie nie noszę sukienek. Po co miałabym tracić pieniądze na nową?

- Nie mów „Phyllida”, kiedy zwracasz się do mnie takim tonem. Chcesz mnie spieszyć. - Wściekłym spojrzeniem obdarzyła nadjeżdżający samochód. Zjechał niemal na pobocze. - Kupiłaś tę sukienkę z dziesięć lat temu. I to pewnie z odrzutu.

- Nie dziesięć, tylko pięć. I wcale nie była z odrzutu, tylko trochę przeceniona. Ale jest w rwrządku. Miałam ją na sobie zaledwie dwa razy.

- Dobrze, już dobrze. Miałas ją na sobie zaledwie dwa razy. Nic więcej nie powiem! - Ale powiedziała. - Idziemy na doroczne letnie przyjęcie do Deirdre Langalaan i chociaż Deirdre jest zawodową lizuską pozbawioną smaku i poczucia humoru, a do tego ma kompletnie beznadziejnego męża, to jej przyjęcie jest Głównym Wydarzeniem w Życiu Wyższych Sfer. W zeszłym roku uczestniczyła w nim Madonna, Warren Beatty oraz ten pośrednik w handlu obligacjami, którego nazwiska nie potrafię jakoś zapamiętać, właśnie wsadzili go do więzienia i... na czym to ja stanęłam?

- Na Głównym Wydarzeniu w Życiu Wyższych Sfer.

- I ty masz zamiar włożyć starożytną, trochę tylko przecenioną sukienkę od Rolanda Kleina, bo twoim zdaniem jest w porządku! Micky, gdyby nie to, że jesteś jedną z moich najlepszych przyjaciółek, nie zawracałabym sobie tobą głowy. Kochanie, ten numer nie przejdzie. Absolutnie nie przejdzie. Ludzie natychmiast poznają, co to za sukienka.

- Niech poznają - odparłam. - Niech sobie o mnie myślą, co chcą. Mnie to obojętne.

- Ale mnie nie jest obojętne, kochanie - zawyła. - Nie jest mi obojętne co sobie o mnie pomyślą!

Kiedy dojechałyśmy do domu, nie traciła czasu na wyliczanie zasług Wina Ashleya. Trzydziestokilkuletni Win dzięki porcelanowej skórze, na której szkliwo zaczynało już trochę pękać oraz luźnym falom lekko pozłożonych włosów (Ombre d'Or No. 3) robił wrażenie wiecznego młodzieńca. Miał omdlewający sposób bycia rośliny inspektowej i delikatną ironię w głosie, niesłyszalną dla większości ludzi. Choć przez telefon zaprzeczyłam, że się już poznaliśmy, Win przypomniał sobie to wydarzenie tak szybko, że poczułam się pochlebiona. Jego wdzięk leżał w dolnym rejestrze tonów; Win był wolny od egzaltacji czy wylewności. Poczułam, że obie z Phyl jesteśmy na tajnej liście jego ulubionych ludzi i możemy liczyć, że zawsze będzie nam przysługiwało to skromne wyróżnienie. Nie błyszczał i nie fascynował; po prostu przygotowywał cudowne koktajle i współczuł mi z powodu niewygodnej podróży. Musiałam go polubić. To było nieuniknione.

Nieuniknione było też to, że Win stanie po stronie Phyl.

- Mała czarna? - zdziwił się, gdy Phyl poszperawszy w mojej walizce wyciągnęła z niej ów obraźliwy ciuch. - Nie, Micky, obawiam się, że nie jest to najlepszy pomysł. Phyl ma rację, to nie przejdzie. Chyba nie chcesz wzbudzać podejrzeń na tym przyjęciu? Miałaś wmieszać się w tłum. Ci ludzie będą ubrani w ostatni krzyk mody, a twój ciuch to praktycznie weteran. Mogłoby się udać, gdyby to było coś z domu towarowego. Wtedy nikt by nie poznał. Ale w tej sukni widziałem Dorothię Von Glynd na urodzinach Księżniczki - będzie z sześć lat temu. Wyglądała strasznie, co wszyscy na pewno zapamiętali. Będziesz musiała kupić coś nowego.

- A więc ustalone - podsumowała Phyl. - Jutro pojedziemy do Praline. Jest tam taki mały butik...

Pomyślałam, że mały butik na wyspie zamieszkaney głównie przez milionerów na pewno przekroczy kredyt na dowolnej z moich kart kredytowych.

- Nie stać mnie na to - jęknęłam. Nie poskutkowało. Phyl, uznawszy mnie za współczesnego Kopciuszka, masochistycznie trzymającego się swych łachmanów, uparła się, że choćby nie wiem co, ubierze mnie w kryształowe pantofelki i wsadzi do karety z dyni.

- Ja zapłacę - oświadczyła. - Proszę cię, kochanie, nie unos się ambicją. Nie sądź też, że jestem wspaniałomyślna i pomagam bliźnim. Kieruje mną najczystszy egoizm. Po prostu nie chce mi się

taszczyć cię na przyjęcie w tej niemodnej kiece. Tu chodzi o moją reputację.

Całkiem przyzwoita suknia z minuty na minutę traciła na wartości.

- Nie psuj jej przyjemności - szepnął mi Win na stronie. - Okazałabyś się niewdzięczna, gdybyś jej odmówiła.

W końcu trochę ze zmęczenia spowodowanego podróżą i przesunięciem czasu, trochę pod wpływem Wina, skapitulowałam.

Jedenasta godzina następnego ranka zastała nas przed „małym butikiem”. Miał skromną, praktycznie nie istniejącą witrynę oraz szklane drzwi, za którymi witał cię podmuch chłodnego powietrza i miękki dywan. Dumna ekspedientka, która do Phyl zwracała się per madame, prędko ustąpiła pola przystojnej szefowej, która do Phyl zwracała się per Phyllida Kochanie. Phyl wyjaśniła sytuację. Przyjęcie za niecałe trzydzieści godzin. Czy wystarczy nam czasu na śmiałe przedsięwzięcie, jakim jest wybranie Kreacji? Szefowa zapewniła ją, że wystarczy. Dumna ekspedientka przynosiła i odnosiła kolejne suknie, ja zaś - odarta z dżinsów i koszulki bawełnianej - posłusznie wkładałam, wciągałam, wsuwałam się i wciskałam we wszystkie po kolei. Ponieważ Phyl miała płacić, ona faktycznie wybierała, każąc mi przymierzać, co tylko wpadło jej w oko, od straszliwego dzieła z pawiowo-niebieskich cekinów po gwałtowne objawienie choroby umysłowej w wielowarstwowym szyfonie. Od lat nie kupowałam nic bardziej ekscytującego od swetra i choć się nie przyznawałam, cieszyłam się na tę wycieczkę, która okazała się jednak ciężką próbą.

- Nie, nie, byle nie czarna - stwierdziła stanowczo Phyl. - Czerń jest dobra na zimę. Nie znoszę czerni na letnich przyjęciach.

- Nie ty będziesz ją nosić - oponowałam. - Ja lubię czerń.

- Nie ma znaczenia, co ty lubisz - zmiażdżyła mnie Phyl.

W końcu zdecydowałyśmy się na Karla Lagerfelda - falisty srebrny futerał, który upodobił mnie do węgorza. Kiedy się poruszałam, światło załamywało się pod różnymi kątami i wysyłało refleksy, które się ślizgały od uda do kostki niby drobne fale na rzece o zmięczu. Szefowa pochwaliła ten wybór, a nastawiona bardzo krytycznie Phyl przyznała jej rację. Win przyjrzał mi się z beznamietną aprobatą zatwardziałego homoseksualisty.

- Cholernie efektowna - ocenił, dodając mi w ten delikatny sposób pewności siebie. - Będzie ci trudno wmieszać się w tłum.

Następnego wieczora w kryształowych pantofelkach dzieła jakiegoś mediolańskiego czarodzieja, z torebką wystarczająco dużą, by pomieścić mój magnetofon i elegancką na tyle, by spełnić wysokie wymagania mody, byłam gotowa. Phyl i Winowi najwyraźniej się wydawało, że biorą udział w czymś w rodzaju świetnej gry; niestety, część ich podniecenia udzieliła się również mnie. Próbowalam przywołać się do porządku mówiąc sobie, że ja tu podobno pracuję, ale bez skutku. W żołądku czułam dziwny niepokój, który pamiętałam z dzieciństwa, cykady stroiły się przywodząc na myśl zespół szalonych jazzmanów, leciutki wietrzyk niby dreszcz przebiegał ciepłe powietrze i jakby od niechcienia mierzwił czubki palm. Czułam, że oto znalazłam się w ekskluzywnym współczesnym zaczarowanym świecie, gdzie na śniadanie serwują marzenia, a zanim przyjdzie czas na kolację, wszystko może się wydarzyć.

Przyjęcie mogło być tylko rozczarowaniem.

- Bierzymy jakąś butelkę? - spytałam niewinnie.

- No wiesz - obruszyła się Phyl.

- Ałe możesz wziąć płaszcz przeciwdeszczowy - poradził mi dowcipnie Win. - Jeśli ten huragan tam dojdzie, koniec zabawy.

Dominikę, jak wywnioskowałam, mimo całej jej elitarności, od czasu do czasu nękały huragany. Zdarzało się to zwykle po sezonie, kiedy najbogatsi jej użytkownicy znajdowali się w bezpieczniejszym miejscu. Tego roku wszelako huragan Anneka, mały, lecz pełen energii sztorm z jakiegoś eolskiego kotła w sercu oceanu, pojawił się na scenie za wcześnie. Win przez cały dzień śledził raporty meteorologiczne, które zapewniały, że huragan przejdzie tylko nad południową częścią wyspy. Zresztą Deirdre Langelaan, jak utrzymywała Phyl, była w stanie stawić czoło dowolnej liczbie huraganów. Zaczęłam się zastanawiać, czy huragan nie przeszkodzi Vincentowi w przybyciu na przyjęcie - założywszy, że w ogóle miał taki zamiar - i czy Alun uzna huragan za usprawiedliwienie mojego niepowodzenia. Co do Vincenta - nie byłam pewna, za to doskonale wiedziałam, jak zachowa się Alun. Nie przyjmie żadnego usprawiedliwienia.

- Sądzisz, że tu dotrze? - spytałam Wina. - Ten huragan.

- Nie - odparł spokojnie. - Dominika jest małą wyspą. Każdy szanujący się huragan poszuka sobie czegoś większego do zniszczenia.

Zza głównej góry na wyspie wynurzył się niewielki obłoczek, puszysty i niewinny jak garść pierza, i płynął sobie spokojnie po

niebie. Ostrzeżenie. Lecz samochód już czekał - bladoliliowy Cadillac z szoferem w bladoliliowej liberii - i nie było czasu na wahania. Po drodze zapomniałam o huraganie; musiałam bowiem poinformować Phyl i Wina, jak mają mnie przedstawiać. Byłam Michelle Annesley, rzadko widywaną przyjaciółką szkolną Phyl. Pracowałam w telewizji. Nie należało mówić, czym dokładnie się zajmuję, można jednak było dać do zrozumienia, że piszę na maszynie jednym palcem, ewentualnie parzę herbatę.

- Niech to będzie coś prostego - powiedziałam. - Tak będzie bezpieczniej.

Phyl i Wina strasznie korciło, żeby tę moją pracę w telewizji jakoś upiększyć, ale byłam nieustępliwa. Nie chciałam, żeby spotkały ich później nieprzyjemności. Z drugiej strony niezbyt wierzyłam, że dokonam jakiegoś dramatycznego odkrycia. Nawet gdyby Vincent zlekceważył prognozy pogody i zjawił się na tym przyjęciu, trudno mi było sobie wyobrazić, że wciągnie mnie w hibiskusy i opowie historię swego życia.

Po niecałych dwudziestu minutach dojechaliśmy do domu Lan-gelaanów. Była to posiadłość w stylu kolonialnym z tyłoma francuskimi oknami co nie przymierzając Wersal i ogromnym tarasem, na którego jednym końcu grała orkiestra, na drugim znajdował się bar. W ogrodzie rosło mnóstwo tropikalnych roślin o ogromnych mięsistych liściach i jaskrawych kwiatach ze sterczącymi z nich w sposób niedwuznaczny fallicznymi pręcikami. Za ogrodem rozciągała się plaża; wyteżając słuch, można było usłyszeć szum morza. Goście kręcili się po tarasie, wirowali po ogrodzie, podtrzymując konwer-sacyjny harmider, który zmieniał się od cichego buczenia do szczebiotliwej kakofonii w zależności od tego, jak daleko człowiek znajdował się od centrum przyjęcia. Phyl przedstawiła mnie gospodyni, która nie raczyła nawet na mnie spojrzeć i gospodarzowi, który raczył. To naprawdę smutne, że ilekroć człowiek ubierze się olśniewająco, to zawsze olśni nie tego mężczyznę, którego by chciał. Usiłowałam odnieść z tej pogawędki jakiś pożytek, ale za każdym razem, gdy wchodziłam na nieruchomości, Pete Langelaan puszczał do mnie oko i mówił, że to urocze, taka mała śliczna główka, a jaki w niej mózg do interesów. On sam wcale nie był śliczny. Wstrząsająca różowa opalenizna brzydtko kontrastowała ze splewiałymi pomarańczowymi włosami, a z bliska okazało się też, że śmierdzi mu z ust. Niestety, staliśmy blisko. Kątem ucha dosłyszałam, jak Phyl opowiada,

że jestem współpracownicą Wogana (Wogan był jedynym prezenterem w angielskiej telewizji, o jakim słyszała), gdy tymczasem Win, podchodząc do sprawy bardziej ezoterycznie, wmawiał komuś, że garnirując jedzenie w programach o gotowaniu, by wyglądało bardziej apetycznie. Sprawdziły się moje najgorsze oczekiwania. A tymczasem Vincenta Scarpia Savage'a ani widu, ani słyhu.

Zjawił się dużo później, gdy słońce schowało się za chmurą podobną do kępki żółtej waty, a wśród tropikalnych roślin zapłonęły baśniowe lampy, oświetlając genitalia kwiatów. Zauważyłam go natychmiast, ale nie dlatego, że miał spektakularne wejście. Po prostu Phyl, starając się dyskretnie mi pomóc, przerwała flirtowanie i zaczęła dawać znaki oczyma i dziko gestykulować. Idąc wzrokiem za ostrym końcem jej wskazującego palca trafiłam na mężczyznę, który rozmawiał z Deirdre Langelaan, a raczej słuchał jej tokowania. Zaskoczyło mnie, że od razu go poznałam. Nie uświadamiałam sobie, że tak dobrze zapamiętałam z fotografii jego rysy - wyniosły nos, opadające brwi, usta, którym obcy był uśmiech. Doznałam wstrząsu stwierdziwszy, że utożsamiam się z nim, jak gdyby był bliskim znajomym, którego nie spodziewałam się tu spotkać, lub intymnym wrogiem, który przez jakiś czas był częścią mego życia. Przypomniałam sobie powieść Johna Dicksona Carra, którą czytałam w dzieciństwie - ***Diabeł w ubraniu z aksamitu***. Vincent Savage mógłby być diabłem w ubraniu od Armaniego. Tu, gdzie większość mężczyzn nosiła czarne krawaty i smokingi, on był ubrany drogo, lecz swobodnie, z niedbałą włoską elegancją i absolutnie angielską powściągliwością. Nie przypominał swego ojca, ale była w nim niczym nie zmięczona hardość Savage'ów. Nie potrafiłam rozstrzygnąć, czy ten niesmak, który malował się na jego twarzy, czuł tylko do gospodyni, do całego zgromadzenia, czy po prostu zastanawiał się, co też właściwie **tu** robi. Nie wyglądał na jakiegoś szczególnego łajdaka, ale to jeszcze niczego nie dowodziło. Wszyscy wiemy, że Adolf Hitler przypominał nerwowego bukmachera, Stalin bystrego chłopca, a Dżyngis-chan swój diaboliczny wygląd zawdzięczał głównie orientalnym wąsom. Chłód na twarzy Vincenta mógł skrywać zarówno siłę, jak i odwagę, było jednak jasne, w każdym razie dla mnie, że jego kodeks honorowy niedopuszczalnie różni się od przyjętej normy. Ten facet był nonkonformistą, gotowym każdego złożyć na ołtarzu swego prywatnego buntu. Jeśli chodzi o resztę, to tak jak powiedziała Phyl, był uprzejmy

w stopniu minimalistycznym. Spławił gospodynię, zlekceważył oszalamiającą brunetkę, wypił duszkiem dwa kieliszki szampana, co jakby wcale nie poprawiło mu nastroju, i wdał się w sprzeczkę z przechodzącym obok senatorem. Kiedy podeszłam bliżej, żeby coś podsłuchać, ścisnęło mnie w żołądku, bo elokwencja Vincenta przypomniała mi Patricka. Z tą tylko różnicą, że Patrick w danej chwili angażował się bez reszty w to, co mówił, a za zjadliwą wymownością Vincenta czaiło się głęboko zakorzenione przekonanie do cynizmu, będące paradoksem samym w sobie - niewiara jako credo, bezlitosna, demoniczna siła. Nie chciałam, żeby kojarzył mi się z Patrickiem. Założyłam, że jest łajdakiem, nie lawirantem.

Chwilę potem, dzięki zręcznemu manewrowi ze strony Phyl, zostaliśmy sobie przedstawieni. Vincent skłonił się lekko i obejrzał mnie bez zainteresowania. Powiedziałam, że mamy miły wieczór. Koniec rozmowy. Ruszył w jednym kierunku, został pociągnięty (przez Pete'a Langelaana) w drugim. „Micky!” - syknęła strofująco Phyl. Ale już nic nie mogłam zrobić. Tajemnicze prądy, które cyrkulują na wszystkich przyjęciach, uniemożliwiły mi osiągnięcie celu. Magnetofon - ten to się dopiero świetnie bawił! - odbył sobie krótką podróż w ładnej nowej torebce i wcale nie musiał pracować. Nie była to bynajmniej budująca myśl.

Gdy przyszła pora na jedzenie, zaproszono nas do domu.

- Deirdre nie pozwala nikomu jeść w ogrodzie. Ma fioła na punkcie okruszków - wyjaśnił mi Win. - Od czasu smutnego wypadku, kiedy to kazała służącej odkurzyć trawnik odkurzaczem. Rok trwało, nim trawnik przyszedł do siebie po tym zabiegu. - Nie wierzyłam ani jednemu jego słowu, ale ucieszyłam się na tę zmianę dekoracji.

Niespokojny wietrzyk nabrał siły i wiał teraz w nieregularnych porywach, co sprawiało, że baśniowe lampy tańczyły między liśćmi, a gołe ramiona i plecy pań pokryły się gęsią skórką. Długie języki chmur lizały księżyc; na połowie nieba zniknęły gwiazdy. Samo powietrze zrobiło się jakieś nieprzyjemne, jak gdyby zmierzająca na południe burza omiatała wyspę swym ciężkim skrzydłem. W salonie paliły się przyćmione światła, stały małe stoliki, do których goście dyskretnie się rzucili polując na najlepsze miejsca, a bufet z owocami morza przypominał chór z *Malej Syreny*. Usadawiłam się na jednym końcu pokoju z homarem, Vincent usiadł na drugim z krabem. Ponieważ wieczór uznałam już za stracony, w każdym razie z zawodowego punktu widzenia, zaniechałam

ostrożności i zaczęłam robić ostre podchody do szampana Pete'a Langelaana.

Orkiestra przeniosła się do środka za gośćmi, służba dyskretnie zamknęła okna na wypadek przeciągów. Muzyka i rozmowy zagłuszyły hałasy na zewnątrz. Minęło dużo czasu, nim ludzie spostrzegli, że dzieje się coś niedobrego, ale nawet wtedy nie wpadli w panikę. Żadnych dramatycznych scen. Stopniowo jednak w ich zachowanie zaczynał się wkradać się lekki niepokój, rozmowy się rwały, ucichła muzyka. Raptem usłyszeliśmy wiatr. Nie były to już nieregularne porywy, lecz wycie szaleńca, walenie pięściami w szyby i skarga wykrzykiwana w nocną ciemność.

Wyjrząwszy do ogrodu stwierdziłam, że baśniowe lampy pogasły. W krótkich błyskach światła księżycyca dojrzałam, że rośliny korzeniami trzymają się kurczowo ziemi, trawa zaś faluje niczym woda za motorówką. Z hallu wszedł majordomus i wygłosił ostatni komunikat meteorologiczny; później się dowiedziałam, że od wielu godzin meldował Deirdre Langelaan o zbliżaniu się huraganu, ona jednak zachowywała to dla siebie. Goście poczęli tłumnie opuszczać przyjęcie. Odszukał nas liliowy szofer, którego kasztanowa skóra nabrała odcienia kawy z mlekiem.

- Wracamy - zarządził Win. - Ten brzydki huragan zmierza w naszym kierunku, więc lepiej dłużej nie zwlekać.

Módlmy się, żebyśmy dojechali cali i zdrowi. - Położył mi ponagląco rękę na ramieniu.

Wypiłam o wiele za dużo szampana. Miałam już za sobą etap ożywienia i etap otumanienia, a zmiana atmosfery jakby wyostrzyła moje zmysły, doprowadziła mój umysł do stanu, który łatwo daje się pomylić z wytrzeźwieniem.

Człowiek wtedy myśli, że postępuje logicznie i rozsądnie, choć naprawdę kieruje nim brawura i szaleństwo.

Powiedziałam:

- Ja nie idę.

- Nie bądź głupia! - zdenerwowała się Phyl. - Chyba nie myślisz tu zostać, Micky?

- Mam inne plany.

Po drugiej stronie pokoju siedział Vincent. Samotnie. Ludzie, którzy wcześniej dzielili z nim stół, poszli już sobie. Vincent trzymał nogi na krześle. Przy jego łokciu stał kieliszek z czymś, co wyglądało na koniak, a także butelka, do której zdawał się rościć

sobie wyłączne prawo. Włosy miał zmierzwiłone, ale twarz spokojną. Ludzie zdążający do wyjścia pociągali go za rękaw i mówili coś z widocznym niepokojem - pewnie namawiali go, żeby jechał z nimi - ale on nie zwracał na nich uwagi. Wyglądał na zblazowanego do imentu, zamyślonego do granicy depresji i bardzo, bardzo pijanego. „Markiz Vidal z domieszką Heathcliffa” - powiedziała wtedy Crystal, lecz w tym stanie, mimo urody pumy, Vincent nie przedstawiał się szczególnie atrakcyjnie. Atramentowe brwi, zakapturzone oczy, zapadnięte policzki, wici przepoconych włosów - bardziej pasowałyby do rozpustnego diabła z powieści Edgara Allana Poe niż konwencjonalnego bohatera romansu. Bez wielkiego trudu wyobraziłam sobie, jak głuchy na głos sumienia oddaje się rozpuście albo zwabia swego najgorszego wroga do lochu pod pozorem zaproponowania mu wina dobrego rocznika. Miał w sobie coś ze złoczyńcy, co nawet najbardziej naiwnym dziewczynom kazałoby mieć się na baczności. Mnie natomiast przyszło do głowy, że oto mam przed sobą nieskrępowaną istotę ludzką, pozbawioną hamulców wbudowanych nam przez wieki nabierania cywilizacyjnej ogłady i niewykluczone, że nawałnica za oknami wyzwoli w nim szaleństwo. Jego obecny nastrój mógł być przysłowiową ciszą przed burzą.

Intuicja powinna była nakazać mi ostrożność. Powinnam być mądrzejsza. Nie byłam.

- To moja szansa - powiedziałam Phyl. - Jedźcie, ty i Win. Nie czekajcie na mnie. I nie martwię się o mnie. Jestem przyzwyczajona do radzenia sobie. Tak czy owak, to mała wyspa. Nie zgubię się.

- Micky! - Phyl, choć sama to wszystko wymyśliła, była przestraszona nie na żarty.

- To wprawdzie mały huragan, ale może cię porwać - przestrzegł mnie Win.

Ale na dyskusje i perswazje nie było czasu i Win o tym wiedział. W chwilę potem wyszli; na pożegnanie Phyl zdążyła jeszcze złapać mnie za rękę gestem bohaterki filmu wojennego. Zostałam sama, by odegrać swoją rolę.

Kiedy pokój już prawie całkiem opustoszał, podeszłam do stołu Vincenta. W żołądku ścisnęło mnie z podniecenia lub zdenerwowania, wiedziałam jednak, że w takich sytuacjach potrafię zapanować nad głosem. To moja szansa.

Moja chwila. Moja walka.

Kiedy patrzę wstecz, myślę, że byłam pijana jak bachantka na bachanaliach.

- Mogę? - spytałam pokazując na butelkę koniaku.

- Jasne.

Nalałam sobie do kieliszka i usiadłam na jednym z pustych krzeseł. Do tego czasu wszyscy goście zdążyli już sobie pójść. Opuszczony przez eleganckie towarzystwo olbrzymi pokój wyglądał tandetnie - ot, skacowany salon nazajutrz po przyjęciu. Pozostałości jedzenia wały się na stole-matce, brudne talerze, sztuce, wysokie kieliszki do szampana i niskie kieliszki do likieru zaśmiecały małe stoliki. Służba wynajęta na tę okazję najwyraźniej też związała. Za francuskimi oknami dwaj pozostali pracownicy starali się z godnością zamknąć okiennice. Z hallu dochodziły odgłosy wskazujące na to, że gospodyni wpadła w histerię.

Vincent na nic nie zwracał uwagi. Prawie na mnie nie patrzył, a ja, zdecydowana odpłacić mu taką samą obojętnością, wpatrywałam się jak nie w bursztynową głębię koniaku, to w czarną głębię nocy za oknami.

Wszedł Pete Langelaan. Na widok Vincenta zrobił zdziwioną minę, ale mną się kompletnie nie przejął. Najwyraźniej odeszła mu ochota do flirtowania.

- Michelle! Co ty tu jeszcze robisz? Myślałem, że wszyscy już pojechali. Chryste, ale bałagan! Deirdre poszła do łóżka, ale...

- Obawiam się - rzekłam wstając - że mnie zostawili. Widać Phyl uległa panice i po prostu całkiem o mnie zapomniała. - Pomyślałam, że Phyl będzie urażona, gdy się dowie, w jakim świetle ją przedstawiłam. Cóż, miała pecha. Nie należało się angażować w dziennikarskie spiski.

- Psiakrew! I co teraz zrobisz? Tutaj nie możesz zostać. To znaczy... od biedy gdzieś byśmy ciebie położyli...

Dom był jak pałac i bez trudu pomieściłby armię, ale on nie mógł dla mnie znaleźć jakiejś kozetki. Oczekałam, by jego niegościnnosc zapadła wszystkim obecnym w pamięć, po czym zwróciłam się do Vincenta. Jak ktoś, kogo trzymają na muszce.

- Czy może pan mnie dokądś podrzucić?

Vincent przyjrzał mi się, jak gdybym była koniem wyścigowym bez szans na wygraną w derbach.

- Dokąd?

Na szczęście uwagę Pete'a Langelaana przyciągnęło tamtych dwóch wciąż mocujących się z okiennicami - podszedł do okna i zaczął na migi dawać im zupełnie zbędne wskazówki.

- Dokądkolwiek - odparłam.

- Jadę do domu - oświadczył Vincent wstając z krzesła. - Zabiorę panią do siebie, chyba że woli pani wysiąść po drodze pod jakąś palmą.

- A ma pan łóżko dla gości? - Pod wpływem szampana przyszło mi do głowy, że powinnam jasno postawić sprawę.

- Bo tutaj

- dodałam - nie pościelę człowiekowi nawet siennika w kuchni na podłodze.

Wargi Vincenta skrzywiły się ni to w uśmiechu, ni to w szyderstwie, jak gdyby jeszcze nie rozstrzygnął, w jakim jest humorze.

- Myślę, że znajdę dla pani jakiś siennik - powiedział. - Słuchaj, Pete, zajmę się... Michelle, dobrze mówię? Niech ktoś przyprowadzi mój samochód. Twój człowiek zabrał mi kluczyki.

Pete'owi, który myślał już o czym innym, kilka sekund zajęło zrozumienie, o czym mówi Vincent. Na jego twarzy odmalowała się ogromna ulga.

- Wspaniale, wspaniale - powtórzył kilkakrotnie. A do mnie:

- Z Vincentem będziesz bezpieczna.

Jego pobożne życzenie odniosło zwycięstwo nad kłopotliwym faktem. Pognał sprowadzić samochód, a ja sobie pomyślałam, że z Vincentem żadna kobieta nie byłaby bezpieczna, a już na pewno nie w jego obecnym stanie.

- Jest pan pewny, że powinno się teraz jechać?

- Nie - odparł. - Na odwrót. Jestem pewny, że nie powinno się teraz jechać, ale mam to gdzieś.

- A jeśli szoferowi nie spodoba się ten pomysł?...

- Sam prowadzę - przerwał mi. - Żadnego szofera. Żadnej przyzwoitki. Tylko ja i huragan. Może się pani rozmyśliła?

- Nie.

- Co więcej - dodał Vincent - jestem w dupę pijany.

- Ja też - odparłam. - W przeciwnym razie nie byłabym taka głupia, żeby jechać z panem.

Tym razem roześmiał się, niechętnie, ale spontanicznie.

- Nie słyszała pani, co powiedział gospodarz? Ze mną będzie pani bezpieczna.

- Jak diabli.

Wyszliśmy do hallu, Vincent przede mną. Widać był zwolennikiem równouprawnienia płci, żadnych dwuznacznych gestów, staroświeckich dobrych manier. Pete czekał na nas.

- Twój samochód już stoi. Jesteś pewny, że chcesz jechać? Nie jest przyjemnie. - Był wyraźnie zaniepokojony. Poniewczasie.

Vincent nic nie odpowiedział. Wzruszył ramionami z pogardą, na którą takie traktowanie gości w pełni zasługiwało. Wziął kluczyki od szofera Langelaana, który miał niewyraźną minę i był o wiele bardziej zaniepokojony od swego chlebodawcy. Wyszliśmy.

Przede wszystkim zaskoczył nas hałas. W domu byliśmy częściowo odizolowani, tutaj, żeby być usłyszonym, należało przekrzyczeć wiatr, który wył, wrzeszczał, zawodził, niczym smażone na wolnym ogniu stado wilków. Powietrze zgęstniało - poruszanie się w nim było możliwe, o ile się napierało całym ciałem. Niewidoczne siły próbowały zbić mnie z nóg, samochód drżał pod wpływem obłąkanych cząsteczek uderzających o maskę. Raz po raz następowała krótka cisza, mikrosekunda ciszy; wiatr nabierał wówczas powietrza w płuca, a kiedy wznawiał atak, decybele miały podwójną wartość. Nad nami olbrzymie chmury przybierały rozmaite dziwne kształty, przetaczając się przez niebo niby fala powodziowa. Było zimno. Cienka suknia przykleiła mi się do ciała, które pokryło się gęsią skórą. Martwiłam się jednak głównie o samochód. Był to włoski model, długi, niski, czerwony niby wielka nierządnicą z Biblii, szybki, zrywny, falliczny i jakby zbyt oczywisty dla mężczyzny w rodzaju Vincenta Scarpia Savage'a; nie zdziwiłam się, gdy potem się okazało, że należał do Irvinga Bluma. Vincent nie zamierzał opuścić dachu, po prostu przeskoczył drzwi od strony kierowcy, nie martwiąc się o to, w jaki sposób ja wsiądę.

- Jeśli wiatr dostanie się pod spód - wyjaśnił - przewróci nas na drugą stronę jak naleśnik!

- Jednak się boisz? - wrzasnęłam. Było to idiotyczne z mojej strony, ale jego ostentacyjna nonszalancja zaczynała już działać mi na nerwy.

Vincent uśmiechnął się szerokim kocim uśmiechem, zupełnie do niego nie pasującym. Jego obnażone zęby błysnęły w świetle padającym z wciąż nie zasłoniętych okien, a oczy, zwężone z powodu wiatru, świeciły własnym światłem - albo przynajmniej tak mi się wydawało - zielonym i fosforyzującym niczym oczy kota. Gdybyśmy grali w filmie o wampirach, w tym momencie ujrzałabym jego wydłużone siekacze. Powiedziałam sobie stanowczo, że już za późno na wycofanie się. Vincent włączył silnik i wrzucił bieg. Przez szum powietrza przebił się chrobot opon, poleciał do góry żwir. I oto

jechaliśmy już po podjeździe, starając się wyminąć drzewa i ich cienie w kształcie cepów, ścinając rogi wypielegnowanej murawy. Przy każdym porywie wiatru samochód kołysał się niebezpiecznie. Przed nami majaczyły kamienne słupy, za którymi podjazd łączył się z drogą. Zamknęłam oczy, zaklęłam, otworzyłam je znowu. Vincent przejechał przez bramę bez wahania i znacznie za szybko. Na asfalcie zarzuciło nas, snop światła z reflektorów odbił się od brzegu zarośli i krawędzi drogi. Noga Vincenta opadła na pedał gazu, a ja poczułam przyływ energii zarówno w mężczyźnie, jak i w samochodzie, która jednak była niczym wobec siły żywiołu. Auto skoczyło do przodu i rzuciło się w ciemność.

Nie było sensu krzyczeć - Vincent albo by nie usłyszał, albo by się nie przejął. Wcisnęłam się w fotel i pomyślałam, że nadszedł czas na zmówienie modlitwy. Ojciec nasz, któryś jest w niebie, nie chcę jeszcze iść do Ciebie. Vincent prowadził tak, jakby chciał wyprzedzić huragan; eleganckie nadwozie trzęsło się i grzechotało niczym worek ze śrubkami i połamanymi sprężynami. Bezcielesne Furie, ryczące jak jelenie w czasie rykowiska, waliły w nas, okładały pięściami, miały samochodem, jakby to była zabawka, to spychając go na krawędź drogi, to wpędzając z powrotem na środek. Pędziliśmy jak liść unoszony wiatrem, ślizgając się na trzech kołach, na dwóch, na szczęście, na obłądnie, na nadziei. W ciemności prawie nie widziałam twarzy Vincenta, ale wydawało mi się, że dostrzegam ciągle przyklejone do niej resztki dzikiego śmiechu. Tak jakby ta burza była w nim, była częścią niego; Furie w środku i Furie na zewnątrz, walczące z nim, wypełniające go, szarpiące nim. Mnie przypadła rola samotnej przedstawicielki zdrowego rozsądku w sercu chaosu, wiezionej przez Diabła, ściganej przez wszystkie demony z piekła.

Do nieszczęścia doszło nagle. Droga obniżyła się i gwałtownie skrzyła w prawo. W tej samej chwili uświadomiłam sobie obecność innego dźwięku, cichszego, głębszego, bardziej złowróbnego - odgłosu morza. Po lewej stronie dojrzałam plażę, matową łąkę piasku, czarne ostre skały, białą pianę wsysaną przez usta fali. Przed nami błyszczał mokry asfalt. Vincent robił, co mógł, by zakręcić wraz z drogą, ale nie było to możliwe. Koła samochodu wjechały w wodę i zaczęliśmy się ślizgać na boki, do tyłu. W stronę plaży. W stronę morza. Kiedy zobaczyłam przetaczającą się nad nami olbrzymią falę, tak wysoką, że rozprysnięta woda wydawała się łączyć z kłębiącymi się na niebie chmurami i całym wszechświatem jak gdyby w jednej chwili

zawalił się na nas, przeżyłam chwilę prawdziwej grozy. Równocześnie uderzenie wody zamazało wszystko. Gdzieś w podświadomości błysnęła mi trzeźwa myśl. Stało się. Szkoda. Cholernie szkoda.

Ale ta sama fala ocaliła nas, bo popchnęła samochód z powrotem ku drodze. Z deszczu pod rynną. Vincentowi może daleko było do trzeźwości, ale tym razem zareagował bezbłędnie. Energicznie obrócił kierownicę i wcisnął pedał gazu, dzięki czemu znaleźliśmy się poza zasięgiem morza. Niestety, nie udało mu się zakręcić. Asfalt ślizgał się pod oponami, a szczególnie gwałtowny powiew wiatru pchał nas do przodu, z drogi, w nieznane. Naraz wyrosło przed nami drzewo - nie palma, coś bardziej masywnego. Z rozdzierającym zgrzytem, chrupnięciem, szarpnięciem - zatrzymaliśmy się. Pamiętam, jak z ulgą a zarazem zaskoczeniem pomyślałam: „Ciągle jeszcze żyję.” Wydawało się to wielkim osiągnięciem. Długa maska z drogiego metalu złożyła się w harmonijkę. Jeden reflektor ciągle działał, ale snop światła bił w niebo. Mnie uratował pas bezpieczeństwa, a Vincent, który oczywiście nie korzystał z tego niemieckiego urządzenia, nie wyleciał przez przednią szybę tylko dzięki kierownicy. Leżał teraz na niej, nieprzytomny. Pomyślałam, że nie byłoby w tym nic niewłaściwego, gdyby nie żył.

Przede wszystkim należało wydostać się z samochodu. Wiatr tak nami trząsł, że lada chwila mógł nas z tego drzewa odkotwiczyć, a żarłoczne morze było blisko i na domiar złego rozchodził się niepokojący zapach benzyny. W telewizji rozbite samochody eksplodują, ledwo bohaterce uda się znaleźć poza zasięgiem wybuchu, liczyłam jednak, że prawdziwe życie daje na ewakuację nieco więcej czasu. Poruszywszy nogami stwierdziłam, że są w całości, lecz kiedy spróbowałam się podnieść, wbiły mi się w nie jakieś kawałki wnętrza auta, od których uwolnienie się kosztowało mnie wiele zabiegów i dodatkowych zadrapań. Gdyby Karl Lagerfeld widział strzępy, jakie zostały z jego sukienki, szlak by go trafił. Ponieważ jeden ze srebrnych sandałów zginął bezpowrotnie w czeluściach samochodu, zrzuciłam też drugi i zostałam na bosaka. Zręczliwy Kopciuszek. Bieganie na wysokich obcasach w tych warunkach pogodowych i tak nie miało sensu. Tymczasem Vincent zaczął dawać znaki życia. Jednak nie umarł, pomyślałam zawiedziona. Tacy zawsze przeżywają. Zajęczał, uniósł głowę, spróbował odgarnąć

z oczu mokre włosy, lecz wiatr znowu mu je zwał. Z przecięcia przy wardze, tam gdzie wyrznął w kierownicę, sączyła mu się krew, ale poza tym nie miał widocznych zranień.

- Uciekaj! - wrzasnęłam mu w ucho. - Benzyna!

Chyba zrozumiał, bo bez chwili zwłoki zaczął gramolić się z samochodu, krzywiąc się i przeklinając, czego się domyśliłam po ruchu warg. Jego drzwi były wprawdzie unieruchomione, lecz pokonał je górą, a potem oparł się o wrak auta, walcząc z mdłościami i usiłując zebrać siły.

- Co teraz? - wrzasnęłam.

- Idziemy!

Pokazałam na moje bose nogi. Wzruszył ramionami. Oczywiście miał rację. Tam nie mogliśmy zostać. Vincent ruszył pierwszy, ja za nim, przystając jeszcze - nie wiem, kierowana instynktem dziennikarki czy odruchem kobiety - by wydobyć torebkę, którą następnie przewiesiłam sobie na ukoś. Utykając wyszłam na szosę.

Spacer, jak przewidziałam, był koszmarem. Gdyby samochód eksplodował za nami, nie obejrzałabym się nawet. Całą moją uwagę pochłaniało utrzymanie się w pozycji pionowej i posuwanie do przodu. Wiatr wydawał się wiać z każdej kwadry kompasu jednocześnie, ale główna siła uderzeniowa była za nami, popychając nas, chwilami niemal unosząc znad ziemi. Gdybyśmy szli w przeciwnym kierunku, posuwanie się byłoby praktycznie niemożliwe.

Wychodząc z założenia, że razem mamy większe szanse na utrzymanie równowagi, Vincent trzymał mnie za rękę, za ramię, a przy wzmaganiu się nawałnicy obejmował w pasie, częściowo podtrzymując, częściowo ciągnąc, gdyż nogi odmawiały mi posłuszeństwa, i nie szczędząc zgryźliwych uwag, które z pewnością nie dodawały mi otuchy.

Rycerski to on nie był. Jakoś jednak się posuwaliśmy i chyba w dobrym kierunku. Miałam nadzieję, że Vincent orientuje się w przestrzeni, bo ja już dawno przestałam. Byłam przemoczona do suchej nitki, trzęsłam się z zimna, szorstki asfalt ranił mi stopy. Zaczął też lać deszcz - łoił nam plecy z siłą armatki wodnej. Zerwane przez wiatr liście palm przelatowały obok nas niby ogromne nietoperze. Drzewa palmowe dzięki elastyczności konarów wytrzymały napór wiatru, lecz inne gatunki cierpiały; ciężkie gałęzie, zbyt sztywne, by się zgiąć, łamały się jak patyki i dryfowały w powietrzu. W końcu przyszedł moment, w którym pomyślałam, że nie dam już rady iść, ale ponieważ zatrzymanie się nie rozwiązałoby

moich kłopotów i nie ulżyłoby mojej niedoli, szłam dalej. Raz po raz dochodziłam do punktu granicznego, dawałam za wygraną i wlokłam się dalej, popędzana przez Vincenta, który nie krył swego niezadowolenia. Trwało to w nieskończoność. Wiatr wydawał piskliwe dźwięki, deszcz siekł mnie po nogach, w krótkich błyskach księżycy widać było kłębiące się chmury. Pomyślałam, że ten koszmar nigdy się nie skończy.

Nie zauważyłam, kiedy przeszliśmy przez otwartą na całą szerokość bramę. Nagle bez ostrzeżenia wyrósł przede mną dom. Kiedy się zbliżyliśmy, zabłyśły automatycznie włączające się światła, a naszym oczom ukazała się granica między oszalałą tropikalną roślinnością a geometryczną betonową sylwetką domu - nowoczesnego, solidnego domu. I drzwi. Drzwi, przez które można było wyjść z wiatru i deszczu. Schronić się w ciepłym wnętrzu, w świątyni. Znalezienie klucza zajęło Vincentowi wieki. Kiedy drzwi zostały wreszcie otwarte, ze szczęścia potknęłam się na progu i runęłam do środka.

Rozdział drugi

Pół godziny potem wyszłam spod prysznicy, pożyczyłam sobie płaszcz kąpielowy, który wisiał na drzwiach, po czym udałam się na poszukiwanie Vincenta i czegoś na wzmocnienie, niekoniecznie w tej kolejności. Vincenta znalazłam w salonie rozmiaru małego amfiteatru, o niewyobrażalnej powierzchni okien. Metalowe, elektronicznie sterowane okiennice chroniły szkło przed huraganem. Huragan był na zewnątrz, my wewnątrz, moje obolałe stopy z wdzięcznością stąpały po dywanach, zarówno tych o długim włosie, jak i o krótkim. Vincent leżał na sofie obok pokrzepiającej kolekcji butelek i nie troszcząc się o swą wątrobę popijał Wild Turkey, jak się okazało. Włosy miał jeszcze wilgotne. Przebrał się z myślą o wygodzie, a nie o stylu, czyli w sflaczałe ze starości džinsy i czarną bluzę zszarzałą od prania. Jedynym śladem wypadku była odrobina zaschłej krwi

1 spuchnięta warga. Chyba wypaliło się w nim tamto szaleństwo. Robił wrażenie zmęczonego i równocześnie czujnego, jak tenisista po wygraniu szczególnie ciężkiego meczu finałowego.

- Jeśli szukasz torebki - powiedział - to leży na tamtym krześle. Rozstałyście się ze sobą w hallu. Swoją drogą, czemu kobiety tak kurczowo trzymają się swych torebek? W dżungli, na pustyni w czasie pokoju i na wojnie ściskacie skórzany woreczek od Gucciego, jak gdyby w środku była wasza dusza.

- Póki kobieta ma swą torebkę, póty nie jest zgubiona - zaimprovizowałam, zanadto zmęczona, żeby się przejąć jego złośliwościami.

- Kto to powiedział?

- Margaret Thatcher.

- Co wy tam chowacie? - dopytywał się Vincent leniwie. - Co jest tak ważne, że nie możecie się z tym rozstać? Ta twoja torebka nieźle waży jak na samą szminkę i puderniczkę.

Byłam na to przygotowana.

- Portfel. Grzebień. Lusterko z rączką. Walkman. - Dla zmylenia przeciwnika mój magnetofon owinięty był paskiem i słuchawkami.

- Zestaw do makijażu. Pilniczek do paznokci. Kawałek sznurka. Rewolwer z masy perłowej. Stojak na kapelusze.

- Wierzę ci - odparł Vincent. - W torebce mojej matki jest to samo plus masa innych rzeczy. Fortepian, skrzynka szampana i co tam jeszcze chcesz. Napij się czegoś. Whisky? Gin? Szkocka?

- Herbata.

- Herbata, jakże by inaczej. Jesteś Angielką, prawda? Pod tą opalenizną masz ziemistą cerę ludzi z wyższych sfer. To jest, chciałem powiedzieć, brzoskwińową. Ładny okaz angielskiej porcelany, ale zupełnie nie w moim typie.

- Jakoś to przeżyję - odparłam z uśmiechem.

- Służba ma dziś wychodne. Tam jest kuchnia. Ale wątpię, czy znajdziesz jakąś herbatę.

Mimo jego pesymizmu znalazłam paczkę „Twinings Earl Grey”

- niestety w odmianie łagodnej, specjalnie dla amerykańskich podniebień - oraz garnek, którego użyłam w charakterze czajnika. W salonie dołałam sobie szkockiej. Pomyślałam, że to niezbyt mądrze pić szkocką po szampanie i koniaku, ale potrzebowałam jeszcze alkoholu.

- Nie wiesz, gdzie twój znajomy trzyma świece? - spytałam.

- Świece? Co ci przychodzi do głowy? Romantyczny nastrój?

- Znajdujemy się w środku huraganu. Prędzej czy później wysiądzie elektryczność. Lepiej być przygotowanym. - W pamięci miałam huragan w Anglii w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym roku, kiedy to pewne obszary na południowym wschodzie zostały bez elektryczności na wiele dni. - Czy to mocny dom? Nie grozi nam, że zostaniemy bez dachu?

- Nie sądzę. Irving cierpi na galopującą paranoję. Uważa, że cały świat sprzysiągł się przeciw niemu. Ten dom przypuszczalnie jest tak zbudowany, żeby wytrzymać uderzenie bomby atomowej.

- Mówisz poważnie? - Usiadłam na końcu sofy za jego stopami.

- Zawsze mówię poważnie. - W domu, wypoczywając po wcześniejszych przeżyciach, Vincent stał się jakby bardziej komunikatywny.

- Mały, łysiejący Irving jest tak żydowski jak karp po żydowsku. Po prześladowanych przodkach odziedziczył nieustanny gorączkowy niepokój. Teryści czy trzecia wojna światowa, zawsze jest pewien,

że będzie głównym celem. Na domiar złego ma fioła na punkcie wysokich jasnowłosych siks z Niemiec lub Skandynawii. To z kolei sprawia, że nęka go poczucie winy.

- Nie chodzi do psychoanalitka?

- Oczywiście, że chodzi. Jest Amerykaninem. Ostatnio miał ich pięciu na tapecie. Wszyscy Amerykanie są stuknięci. Wypiłam duży łyk pobudzającej whisky z herbatą.

- Amerykanie są stuknięci, Anglicy mają ziemistą cerę. A ty do których się zaliczasz? O ile się nie mylę, słyszę Albion w twojej wymowie.

- Jestem kundlem - odparł Vincent. - Ojciec Anglik, matka Włoszka. Mieszkam w Los Angeles.

- Obywatel świata - mruknęłam. - Nic nie mów, pozwól mi zgadnąć. Ukończyłeś Uniwersytet Życia - powiedziałam ironicznie.

Oczy Vincenta zwężyły się.

- Ściślej mówiąc, Cambridge - wycedził. - A także Wormwood Scrubs.

- To ci dopiero - zdziwiłam się. - Możesz przypomnieć mi, jak się nazywasz? - spytałam z uprzejmym znudzeniem. - Jakoś wypadło mi z głowy.

- Vincent. Scarpia. Savage - rzekł przez zęby.

Interesujące. Nie sądziłam, że taki sposób mówienia w ogóle jest możliwy. Uniósł brew.

- Ja twojego nazwiska też nie pamiętam.

- Michelle Annesley.

- Michelle. Każda cizia na Sunset Strip przedstawia się jako Michelle. Jakiego zdrobnienia używasz: Misha czy Shelley? Pretensjonalnie egzotyczne czy słodziutkie, aż się zbiera na mdłości?

- Micky. - Mimo wszystko dobrze się bawiłam. I on, zdaje się, też. Było to kłopotliwe, najeżone niebezpiecznymi możliwościami, położenie. - A na ciebie wołają Vince. Na pewno. Vince... - smakowałam to zdrobnienie nie kryjąc obrzydzenia. - Vince. Dobre dla sprzedawcy używanych samochodów.

- Nikt nie nazywa mnie Vince - jego głos chrząścił szronem i okapywał kwasem. - Znajomi mówią do mnie Vincent, matka nazywa mnie Vincente. Ty możesz zwracać się do mnie per pan.

Roześmiałam się. On po chwili też i przysunął się do mnie. Siedzieliśmy teraz o wiele za blisko. Jego podstawowym atutem był sex appeal - zwykły zwierzęcy popęd, w czasach Huna Attyli

ochrzczony męskością. Jedyne zdolność do żartowania z siebie i poczucie humoru sprawiało, że towarzystwo Vincenta było do zniesienia. W każdym razie tak sobie mówiłam. Jeśli coś mnie pociągało, to nie ten mężczyzna, tylko sytuacja - wyzwanie, element ryzyka, pikanteria. Jan Horrocks twierdziła, że Vincenta nie da się pokonać. Z pewnością, jeśli pozwoli mu się wybrać broń.

Od niechcenia, jakby głaskał zwierzę, a nie zalecał się do mnie, wysłał rękę na zwiady pod połę mojego szlafroka.

- Miły biust - zauważył. - Nie za duży i nie za mały. Akurat żeby się zmieścił w dłoni.

Ująwszy sutek kciukiem i palcem wskazującym, zaczął go delikatnie masować, a ja poczułam, jak z przepony brzusznej sływa mi do dolnej partii brzucha strumyk ciepła. Hm, co powiesz na małą przerwę, pomyślałam. Teraz.

- O ile sobie przypominam, nie jestem w twoim typie - przypominałam mu. - Zbyt angielska. Porcelanowa filiżanka z przestyła herbata.

- To prawda - przyznał. - Ale w tej chwili nie mam wielkiego wyboru. Rozsądny facet stara się jak najlepiej wykorzystać sytuację Daleko ci do ideału, skłonny jednak jestem obniżyć wymagania.

- Nader uprzejmie z twojej strony - odparłam. - Ja nie jestem skłonna.

Wymieniliśmy uśmiechy od oka do oka z całkowitym pominięciem warg. Pochylił się i pocałował mnie, nie namiętnie, lecz z pewnym zastanowieniem, jak gdyby smakował wino. Poczulałam stwardnienie zaschniętej krwi w miejscu, gdzie się skaleczył, oraz smak bourbona na jego języku. Potem nastąpiła przerwa, podczas której - jakby za obopólną zgodą - odchyliliśmy się do tyłu, żeby się sobie lepiej przyjrzeć. Mina Vincenta pozostawała nieodgadniona, moja - żywiłam nadzieję - była na tyle chłodna, na ile potrafiłam się zdobyć siłą woli i obłudą. Po czym wróciliśmy do całowania. Tym razem był bardziej natarczywy, oddychał szybciej, a moją pierś traktował z przyjemną szorstkością. Wreszcie odepchnęłam go, choć nie miałam na to ochoty, i wyjęłam jego rękę z mojego szlafroka.

- Świece - powiedziałam.

Za późno. Za późno było zresztą od samego początku. Powiedziałam sobie, że moje wygłodniałe libido rzuciło mi się na mózg, że postępuję wbrew wszystkim niepisanim zasadom i że poszukiwana przeze mnie prawda zostanie unieważniona przez ten akt hańby.

Zasady. Zasady uleciały z wiatrem, a sumienie dobrze się bawiło. Gdzieś się podziało zmęczenie. Poczułam się bardzo ożywiona, upojona samą magią istnienia, zdolna - o święta naiwności! - do wszystkiego. Zaczarował mnie mój fortel, wpadłam w sidła własnych machinacji. O ile pamiętam, zawsze za wysoko stawiałam sobie poprzeczkę. Teraz z przerażeniem odkryłam, że naganne zachowanie jest całkiem przyjemne. Świadoma cnotliwość często sprawiała, że czułam się nienaturalna i niespełniona, świadoma grzeszność dawała mi wewnętrzne ciepło, którego nie mógł doświadczyć żaden męczennik gorejący na stosie. Niewątpliwie w moim brzuchu płonął ogień piekielny. Jeśli spełniasz dobre uczynki, nie wolno ci się tym chwalić, bo stracisz prawo do cnoty, ale zepsuciem można się chełpić, ile dusza zapagnie. Szatan nie jest tak pedantyczny jak Bóg. Zwalmy to na huragan, na tropiki, szampana Pete'a Langelaana i whisky Irvinga Bluma. Moje credo pozbawione było etyki i czułam się z tym bardzo dobrze. W części jadalnej znalazłam w kredensie świece. Vincent, który ograniczył się do dawania mi wskazówek co do geografii pomieszczenia, obserwował, jak umieszczam je w lichtarzu i stawiam na stole, kładąc obok zapalniczki. Na zewnątrz huragan Anneka grzechotał metalowymi żaluzjami i szukał rozpaczliwie okapu, pod który mógłby się wcisnąć i podnieść dach. Znajdował nieprzejeźdny beton, aerodynamicznie wyprofilowane płaszczyzny, gładkie połączenia, na których kipiał i gotował się z bezsilną furją. W domu, dzięki chorobliwemu poczuciu zagrożenia jego właściciela, znajdowaliśmy się w przestrzennej celi ze zbrojonymi szybami w oknach i niewzruszonymi drzwiami. Powietrze, mimo wentylatora, było nieruchome, a temperatura umiarkowana. Nawet gdybyśmy znajdowali się w epicentrum nawałnicy i wokół wyłyby wiatry, to tu, w zalakowanym jądrze, panowałyby nienaturalna cisza. To była niemożliwa, niepojęta sytuacja. Oto Vincent, drapieżca, zażywał relaksu w pożyczonej jaskini, zastanawiając się prawdopodobnie, kogo by tu pożreć, a ja, Micky Murphy, wyzuta z moralności i rozsądku dziennikarka, wielka spryciara, weszłam z własnej woli do tej jaskini, by podjąć śmiertelną grę. Godny politowania wpływ brukowej literatury nowoczesnego społeczeństwa. Czułam się bohaterką hollywoodzkiej szmiry i tak też się zachowywałam. Prawdziwe życie z jego smutnymi konsekwencjami kiedyś dojdzie do głosu, ale chwilowo mogło poczekać. W środku następnego pocałunku zgasły światła. Doskonała syn-

chronizacja. Staliśmy udo w udo. Jeśli nie krocze w krocze, to dlatego, że Vincent był kilka centymetrów wyższy. W naglej ciemności rozwiązał mi płaszcz kąpielowy, przesunął rękoma po moim nagim ciele, objął dłońmi moje pośladki i mocno przyciągnął do siebie. Poprzez dżinsy, starte do jedwabistości i sprane do wyjąłowania, poczułam, jak wszystko, co w nich było, domaga się mojej uwagi. Pomyślałam, że cała jego kariera była wynagrodzeniem sobie wydziedziczenia, w przeciwnym razie nic go nie usprawiedliwiało. Nie było nic pomiędzy. Nic innego nie miał na swoje usprawiedliwienie. Ja też nie miałam. Jego ręce zacisnęły się wokół moich żeber, język był już w połowie drogi do gardła, moje hormony skoczyły i zaczęły taniec wojenny. Czułam siłę jego mięśni, tę samą siłę, która sprawiła, że huragan nie zwał nas z wytyczonej drogi. Teraz jednak już mnie nie podtrzymywał, lecz powodowany wrodzoną bezwzględnością i żądzą panowania próbował mnie ujarzmić. Powinam się zaniepokoić, jednak czułam wyłącznie podniecenie. Bezwzględność, ta prawdziwa, pozbawiona wyobraźni i współczucia, zawsze przeraża. Wierzyłam jednak, że w końcu rozum weźmie górę nad mięśniami. Toczyliśmy śmiertelny pojedynek, ale o ile jedyna broń była w posiadaniu Vincenta - obecnie niecierpliwie napierająca na moją miednicę - o tyle ja miałam tę przewagę, że z nas dwojga tylko ja wiedziałam, że w ogóle toczy się jakaś walka.

Z newną trudnością uwolniłam się i złapałam oddech.

- Światło.

- Gdzie postawiłaś te cholerne świece?

- Na cholernym stole. Widziałeś przecież. Znajdź je. Znasz to pomieszczenie lepiej ode mnie, więc może uda ci się na nic nie wpaść.

Nie udało mu się. Wyrznął palcami u nóg w jakiś mebel i zaklął szpetnie po włosku. Gdy okiennice były zamknięte, w pokoju panowała ciemność choć oko wykol. Uświadomiłam sobie, że wentylacja też się wyłączyła i nagle poczułam klaustrofobię - byłam uwięziona w ciemnej norze pozbawionej tlenu. Rozległo się trzaśnięcie zapalki i niedaleko ode mnie ożył mały płomyczek. Jego blask wydobył z ciemności twarz Vincenta i rzucił za nim jego cień. Zapaliwszy drugą świecę, Vincent podniósł butelkę, na szczęście zamkniętą, którą wcześniej musiał zrzucić na dywanik.

- Nie powiesz: „A nie mówiłam?”

- A nie mówiłam? - powiedziałam posłusznie.

- Zadowolona?
- Nie bardzo.
- To chodźmy do łóżka. Ty weź świece, ja wezmę butelki. Chyba nie taszczysz znowu tej torebki? Nawet Margaret Thatcher nie potrzebuje torebki w łóżku. .
- Pewnie, że potrzebuje. Wali nią Denisa po głowie, jeśli nie staje na wysokości zadania. - Zrzuciłam torebkę na ramię i z zimną krwią wzięłam od niego świeczki. - Kondomy - rzuciłam. - Gdzieś między pilniczkiem do paznokci a stojakiem na kapelusze. Zapomniałam o nich wspomnieć.
Zawsze nosiłam z sobą paczkę prezerwatyw, głównie po to, by dowieść, że jestem osobą inteligentną. Rzadko miałam okazję z nich korzystać.
- To dobrze - stwierdził Vincent. - Wprawdzie mam trochę koszernych specjałów Irvinga, ale jeśli huragan się przeciągnie i będziemy tu długo uwięzieni, mogłoby nam zabraknąć.
- Coś takiego - powiedziałam sucho. - Ciekawe, co przez ciebie przemawia? Męskość czy pobożne życzenie?
- Na górze po lewej stronie - zapowiedział, puszczając mimo uszu prowokację. - Idę za tobą. ,
Główna sypialnia miała wielki szklany dach dokładnie nad szerokim łóżkiem. Jakoś zapomniano zabezpieczyć go okiennicami, ale Vincent zapewnił mnie, że na pewno ma poczwórne szyby. Niewiele było przez nie widać poza ciemnością i odbiciem dwóch płomyczków, dwóch złotych łez, które jakby w niej pływały - bez łodyżki, każda otoczona własną aureolą. My byliśmy nieokreślonymi kształtami poza granicą ich światłości. Postawiłam po jednej świecy na każdym stoliku nocnym, zrzuciłam płaszcz kąpielowy na podłogę i weszłam do łóżka podczas gdy Vincent poszedł do przyległej łazienki się wysikać, co w ciemności było dość ryzykowną operacją. W drodze powrotnej rozebrał się pośpiesznie, po czym przystanął nade mną, by mi się przyjrzeć. Przez skórę rysowały się kości i mięśnie. Penis - imponująca kolumna, prosta, gruba i bardzo solidna - sterczał do góry. Zrozumiałam, że jest to zamierzone; chciał, żebym go podziwiała, wstrzymała oddech i wytrzeszczyła oczy.
- Pierwsza klasa - skomentowałam posłusznie przesuwając palcem w górę i w dół po wzmiankowanym obiekcie. - A co mówiły moje poprzedniczki? „Kochanie, jesteś po prostu kolosem.” „Signor, takiej oferty nie mogę odrzucić.”
„Cheri, quel truc que tu as.”

- Za chwilę dam ci lekcję dobrych manier - rzekł urażony, a jednocześnie pochlebiony.

- Do głowy by mi nie przyszło, że znasz się na manierach - odparłam.

Naciągnął kondom ze zręcznością nabytą wieloletnią praktyką.

- Do diabła z grą wstępną - powiedział. - Zawsze można wrócić do niej później. Chodź tutaj.

Pamiętam, że pomyślałam z nagłą jasnością: To niemożliwe, że ja to robię. Ale robiłam.

Tym razem nie było odpływu pożądania, żadnego chłodnego dreszczu rozprzestrzeniającego się od mózgu do łądźwi, żadnego psychicznego wycofania się, żadnego strachu, poczucia winy.

Spodziewałam się poczucia winy. Czekałam na nie, ale się nie zmaterializowało. Może dlatego, że byłam pod wpływem alkoholu, wystarczająco pijana, pijana w sam raz, zawieszona w magicznym stanie na granicy upojenia.

Może dlatego, że rozgrzał mnie tropik, rozpalila walka z wiatrem i deszczem. W każdym razie płonęłam od chuci, do której nie byłam przyzwyczajona. Vincent rozsunął mi nogi niemal od razu i zaczął wsuwać się we mnie - olbrzymi, sztywny, nieposkromiony penis otwierał mnie, rozciągał, wpychał się głębiej i głębiej, aż w końcu zaczęłam się obawiać, że przebije mi macicę i dotrze do kręgosłupa. Takie wtargnięcie teoretycznie powinno być bolesne, ale bólu prawie nie czułam, jedynie radość i rodzaj wolności mimo całkowitego poddania się. Nie panowałam nad sobą, nie wstrzymywałam się. Oddawałam się entuzjastycznie i całkowicie. To było jak ośmiodaniowy bankiet, zjazd na sankach z wysokiej góry. W świetle świecy widziałam, że Vincent krzywi się z przyjemności, walczy z sobą złapany w lukę między wiszącym nad nim niebem a utratą samokontroli. Ale jego penis był zbyt chętny, nie mógł oprzeć się pokusie - poczułam, że napiął się, a potem uniósł się i zaczął drzeć w ekstatycznej zmysłowej implozji. Vincent upadł na mnie. Dyszał, a od czasu do czasu gryzł mnie, bardzo delikatnie, nie raniąc skóry. Westchnęłam. Nie z powodu spełnienia, lecz z zupełnie innej satysfakcji, wciąż na niego nadziana, lecz paradoksalnie świadoma posiadania i zwycięstwa.

Seks daje władzę. Tej prawdy zbyt późno nauczyłam się od Patricka i nigdy poważnie nie wykorzystałam. Nie podniecony męski organ jest delikatnym małym stworzeniem, żalonym i nieco absur-

dalnym przywodzi na myśl luźny koniec rurociągu, który wysunął się z wewnętrznej kanalizacji Człowieka i dynda mu bez sensu między nogami. Lecz och, ta transformacja! Wystarczy, że na mego spojrzę, a już nabiera animuszu, oko mu błyszczy, głowa nabrzmiwa, staje się wieżą siły, pniem o obwodzie drzewa słupem który podtrzymuje wszechświat. Po konfrontacji z tym konkretnym fallusem zrozumiałam, czemu prymitywne plemiona czciły to cudowne urządzenie, budowały mu pomniki i obwieszały się jego podobiznami z okazji tubylecznych obrządków. Przez całą historię unieśmiertelnialiśmy go za pomocą Kolumny Nelsona, Igły Kleopatry, Empire State Building, rakiety Apollo, pocisków zdalnie sterowanych. Ta słaba miękka rzecz potrafi nagle stac się pięknym i okazałym symbolem przedsięwzięcia Człowieka i ewolucji, klamką do jego wnętrza, kluczem do jego duszy. Penis Vincenta w moich ustach dawał mi poczucie władzy. Istota jego męskości znajdowała się teraz między moimi wargami, na mojej łasce i niełasce, podsuwana mi w geście absolutnego poddania się. Vincent, ofiara z własnej woli, leżał na plecach na przemian jęcząc i łapiąc powietrze, pozwalając mi z sobą robić, co mi się żywnie podobało. Ta sytuacja była poza grą, poza fantazją, poza granicami pornografii. Rozkoszowałam się nią.

Prawdę mówiąc, nie oczekiwałam od Vincenta rewanzu. Seksualna szczodroblewość zwykle charakteryzuje osoby z natury szczodrobhwe, kochające i dające, jak mówi poeta, a Vincent, z tego co wiedziałam, rzadko kochał i na pewno nigdy niczego me dawał. Niektórzy mężczyźni jednak posiadają rodzaj dodatkowego zmysłu, „ucho do seksu, jak inni do muzyki - świetnie się na nim znają, a natchnienie czerpią nie z serca, lecz z trzewi. Vincent musiał się widać wcześniej nauczyć że do zapanowania nad kobietą nie wystarczy piękny profil i drogie dżinsy. On też był świadom swego potencjału posiadania władzy i zapewne karmił swą megalomanię przy każdej okazji - przymilał się pieszczotami do wahającej się, zniewalał niechętną, podporządkowywał silną. Zajął się mną powoli Bez pospiechu, z zaabsorbowaniem smakosza kosztującego rzadkiego delikatesu, otworzył moją łechtaczkę wyćwiczonym dotknięciem. O ile wzwiedziony członek, nabrzmiały daleko poza granicę swego normalnego rozmiaru i kipiący wigorem, często nie mającym związku z żywotnością swego właściciela, jest wykwitem żądzy, o tyle odpowiednik damski jest zamkniętym pakiem, jądrem superskoncentrowanej

wrażliwości, w którym nitki przyjemności wysnute ze wszystkich stref erogennych w ciele wiążą się w pojedynczy supeł błogosławionego delirium. Mężczyzna z epoki wiktoriańskiej, choć często zabierał swego penisa na spacer do najbliższego burdelu, o łechtaczce nie miał bladego pojęcia. Jego następcą posiada szersze horyzonty, jest lepiej wykształcony, dbały, przyzwyczajony do porządku, obeznany z genitaliami i okropnie skołowany. Vincent nie był bynajmniej tym Nowym Mężczyzną, lecz zgoła neandertalczykiem o ciekawości Casanovy i dociekliwości Sherlocka Holmesa. Z doświadczenia czy intuicyjnie wiedział dokładnie, jak używać swego języka, kiedy przestać, kiedy smakować, kiedy ssać i ssać... bym krzyknęła w cichym szaleństwie. Nie przewidziałam tego, dałam się zaskoczyć, już nie byłam w stanie stawiać oporu, uległam, nim się zorientowałam, co się dzieje, oddałam się, biorąc jego dar, odpłynęłam w euforię ze słabą zimną myślą: Nie powinnaś była tego robić. Za późno.

Zasnęłam jeszcze przed świtem. Spałam krótko i płytko, a gdy się budziłam, wpatrywałam się w szklany sufit i odbicie świecy po mojej stronie. Ta druga już się wypaliła. Zapadłam w półsen, wyobrażając sobie, że samotny płomień to zagubiona iskra mojej duszy, nie zdmuchnięta przez burzę, paląca się spokojnie, choć w tle wiatr rozwiewał noc i chmury. W pewnym momencie chyba zasnęłam. Przez sen poczułam jednak, że dzieje się coś niedobrego. Próbowałam się obudzić, przebijałam się mozolnie przez ciemność, czując się jak tonący człowiek, który dusi się z braku powietrza. Ostatkiem sił przebiłam się przez grubą skorupę snu. Usiadłam. Łóżko płonęło. To iskra mej duszy wymknęła się spod kontroli i spowodowała pożar. Płomienie oślepiły mnie. Otworzyłam oczy, teraz naprawdę, i odkryłam, że leżę blisko stolika nocnego, a świeca dopalając się płonie jaśniej niż przedtem. Za chwilę płomień zadrżał, zmalął i całkiem zginął w szarości poranka.

Ostatecznie wstaliśmy koło południa. Huragan zmierzał teraz w kierunku Haiti, ale elektryczności wciąż nie włączono, wobec czego nie byliśmy w stanie otworzyć żaluzji. Ponieważ nie działała klimatyzacja, było duszno. Od seksu w pokoju panował zaduch, jakby zaśmierdły się w nim ostrygi. Salon, mimo że nie naper-fumowany, był ciemnym dusznym pudłem, jednocześnie suchym

i wilgotnym. Otworzyliśmy wszystkie drzwi, ale z powodu paranoi Irvinga Bluma nie było ich wiele. Ogród przywoził na myśl teren zdeptany przez jakiegoś olbrzyma, lecz natura z definicji łatwo się adaptuje i łódzki już zaczynały się prostować i odżywać. Zresztą rośliny tropikalne są przyzwyczajone do silnych wiatrów - otrząsną tylko liście i wracają do przerwanej fotosyntezy. Ludzi niewoli ich własna technologia. Linie telefoniczne były w strzępach (liczyłam, że Phyl zanadto się o mnie nie martwi); z gorącego kranu leciała zimna woda, lodówka się rozmrażała.

- Jeśli mają tu zamrażarkę, to jeszcze trochę wytrzyma, ale potem trzeba będzie ją opróżnić i wszystko zjeść - powiedziałam.

- W spiżarni - poinformował mnie Vincent - są trzy zamrażarki, załadowane po sufit jedzeniem. Nie damy rady tego zjeść. Irving lubi mieć duże zapasy na wypadek oblężenia lub klęski głodu. Jakoś nie przyszło mu do głowy, że zwykle najpierw wysiada albo zostaje odcięta energia elektryczna.

Wypił duszkiem Alka-Seltzer, a ja poszłam w jego ślady. Wspólny kac. Nic tak nie pomaga przejść do porządku dziennego nad faktem, że się człowiek obudził obok kogoś dopiero co poznanego. Vincenta to wszakże nie dotyczyło - był nazbyt zajęty praktycznymi aspektami naszej sytuacji, by tracić czas na zmieszanie. Co do mnie, to myślałam wyłącznie o magnetofonie. W sypialni nagrałam już jedną taśmę, ale na samą myśl o przesłuchaniu jej, nawet w samotności, dostawałam takich dreszczy, że Vincent chyba musiał słyszeć, jak dzwonię zębami.

Przewinęłam ją i byłam gotowa nagrywać od początku, zdecydowana uzyskać coś, nim wyjdę. W miarę możliwości rozmowę, a nie przyspieszone oddechy. Byłoby więc absurdem, żebym w tych okolicznościach odstawiała rumieniącą się angielską panienkę.

Torebka była w salonie. Vincent już przestał robić uwagi na temat jej wszędobylstwa. Zasugerowałam, żebyśmy uratowali sałatę więdnącą w lodówce i wrócili na sofę, zamiast stać w przeciągu. Na zewnątrz panował jeszcze chłód, sporadyczne promienie słońca nie zdążyły ogrzać ogrodu.

- Chcę się napić kawy - powiedział Vincent. - Psiakrew! Dlaczego wszystko musi być na prąd? Co jest złego w gazie?

- Może znajdzie się tu gdzieś butla turystyczna - zaryzykowałam. Nie znalazła się, wszelako przeszukawszy magazyn i garaż Vincent odkrył jedną dużą latarkę i jedną małą, zapasowe baterie oraz puszkę

parafiny, którą, gdyby nie było innego wyjścia, moglibyśmy wykorzystać do rozpalenia ogniska w ogrodzie i urządzić sobie coś w rodzaju *barbecue*.

- Naprawdę? - spytałam sceptycznie. - A wiesz jak? Założę się, że nigdy nie byłeś skautem.

- Jeszcze czego - obruszył się i dodał z niezamierzoną złośliwością: - Ty to co innego. Wyglądasz mi na rasową skautkę.

Zasiedliśmy do sałaty, do której z braku kawy piliśmy wino. Sikacza.

- Następnym razem, gdy twój przyjaciel będzie przygotowywał się do oblężenia, poradź mu, żeby zrobił to z głową. Tego jedzenia z zamrażarki nie ma na czym ugotować. Niech zainstaluje własny generator - na przyszłość będzie jak znalazł.

- Na przyszłość - zauważył zjadliwie. - Teraz coś wymyśl.

- A może by ugotować czajnik wody na silniku jego samochodu? - podrzuciłam. - Czy raczej garnek?

- Odpada. Tym bardziej że jego samochód to ten, którym wczoraj jechaliśmy.

- O-la-la-la. - Zamyśliłam się. - Czy jesteście bardzo dobrymi znajomymi?

- Mam nadzieję.

- Jak on twoim zdaniem zareaguje?

- Będzie machał rękoma jak Woody Allen. Podnosił ramiona jak Jack Benny. „Co ty wyprawiasz, Vincent?” - zapyta. „Pożyczam ci dom na Dominice, wyspę niszczy huragan. Pożyczam ci samochód, zamieniasz go w kupę złomu. Muszę się pilnować, żeby przypadkiem nie pożyczyć ci kochanki. Przypuszczalnie musiałbym potem płacić jej alimenty.” Następnie wręczę mu gotówkę, żeby żaden z nas nie musiał zakłócać spokoju naszym szanownym towarzystwom ubezpieczeniowym, i na tym się skończy.

- Skąd go znasz? - spytałam, myśląc o magnetofonie i licząc, że takie podejście z boku dokądś doprowadzi.

- Interesy. On „robi” w nieruchomościach, podobnie jak ja. W Los Angeles są dwa obszary działalności - nieruchomości i filmy. Irving „robi” w tym i w tym. Produkuje filmy, w których jest dużo akcji, a mało treści, i posiada ulicę lub nawet dwie w Beverly Hills. Sklepy płacą mu astronomiczny czynsz, odbijając sobie to w astronomicznych cenach. Zarabia kilka milionów. Tamci podobnie. Rozkoszna sytuacja.

- A ty? - sondowałam. - Też robisz filmy, czy wolisz prawdziwe życie?

- Wolę życie - odparł Vincent.

Usiłowałam wyciągnąć z niego coś o nieruchomościach, chociaż ściśle mówiąc te sprawy leżały w sferze zainteresowań Aluna. Vincent był tajemniczy.

- Tanio kupuję, drogo sprzedaję. Do tego się wszystko sprowadza.

- To znaczy, że wiesz wcześniej, kiedy ceny nieruchomości skoczą do góry?

- Uhm.

- Ale skąd?

- Są różne sposoby. Jako Angielce nie spodobałyby ci się.

- Chyba nie - powiedziałam z ustami pełnymi sałaty. - Ale powiedz o tym coś więcej.

Obraz osoby jedzącej sałatę może zmylić - myślę, że kojarzyłam się z nieszkodliwym królikiem.

- Na przykład - tłumaczył Vincent - poprzednia moja współpracownica była w dobrych stosunkach z personelem Departamentu Wody i Energii. Richmond zawsze pierwsza wiedziała, kiedy zostanie uzbrojony dany kawałek pustyni i przekształcony w obszar nadający się do zamieszkania. To są nader użyteczne informacje.

- Richmond? - Już gdzieś słyszałam to imię. Ach tak, to ten informator Aluna. Myślałam jednak, że jest mężczyzną, a Alun nie wyprowadził mnie z błędu. Cały Alun.

- Richmond LeSueur - rzekł Vincent. - Powszechnie znana jako LeSutener. Dziwka ze slumsów, która zrobiła wielką karierę. Nie musisz zaraz robić takiej wyniosłej miny. W porównaniu z nią jesteś zimną herbatą przy amfetaminie. Nie ma z czego być dumnym. Gdybyś miała tylko dziesiątą część jej siły przebicia, byłabyś godna uwagi.

- Tutaj jest ciemno - zauważyłam. - Więc skąd wiesz, jaką mam minę? W każdym razie przypomina mi to szpiegostwo gospodarcze. Te same zasady, a raczej ich brak.

- To nie jest kwestia zasad. Jeśli jesteś w posiadaniu informacji, byłabyś kretynką, gdybyś jej nie wykorzystwała. Informacja to krew biznesu. Każdy, kto ma łeb na karku, kosi, co się da. Szpiegostwo gospodarcze to obraźliwe określenie przedsiębiorczości.

- Nie uczyli cię grać w krykieta w tych ekskluzywnych szkołach, do których niewątpliwie uczęszczałeś? - spytałam.

- Gordonstoun. Uczyli. Krykiet mnie usypiał. - Nalał mi wina.

- A czym ty się zajmujesz, Micky? To znaczy, kiedy nie balujesz na Karaibach?

Zignorowałam ironię, która - skoro sam balował na Karaibach

- była bardzo niesprawiedliwa.

- Pracuję w telewizji.

- Ojej. - Ku mojej radości Vincent ziewnął. - Mogłem się być domyślić. Zajęcie dla panienek z lepszych domów. I co konkretnie tam robisz? Kręcisz filmy dokumentalne? Pracujesz jako makijażystka przy tanim serialu? Parzysz herbatę?

- Parzę herbatę - odparłam. - To telewizja śniadaniowa. A tak naprawdę to biegam z notatnikiem i spełniam błahe polecenia mojego nieudolnego szefa, czekając, że pewnego dnia wejdzie Michael Grade i powie: „Micky, zabieram cię stąd”. - Mówiąc to złapałam się na tym, że mam przed oczyma dziewczynę ze studia piętro wyżej, która albo wbiegała do windy, albo z niej wybiegała, z notatnikiem przyciśniętym do dyszającej piersi i zmarszczką stałego zafrasowania na młodym czole. Nie wiedziałam, czym się zajmowała, ale była dokładnie osobą, jakiej potrzebowałam. Dla Vincenta mogłam być taką Caroline Portly-Smythe. Kłamstwo dobrze jest oprzeć na jakiejś formie prawdy.

- Wiesz, jesteś na to za inteligentna - zauważył Vincent bystro. - Tą drogą do niczego nie dojdiesz, chyba że przez łóżko, a to nie w twoim stylu.

- Skąd ty to możesz wiedzieć?

- Nie udawaj. - Jego oczy błyszczały w mroku, bo wpadł do nich jakiś zabłąkany promyk światła. - Spałem z tobą, to wiem. Takie rzeczy się od razu wyczuwa. Seksualna uczciwość. Sypialniami czystość. Cnotliwa panienska. Nigdy nie będziesz dziwką. To bynajmniej nie jest komplement. Brak ci biglu. Ja wykorzystuję seks jak wszystko inne, ty byś nie mogła. Ty się pieprzysz z miłości, dla przyjemności, ale nigdy nie pieprzyłabyś się, żeby dostać awans, podwyżkę czy lepszy samochód służbowy. Znam twoje środowisko, wychowałem się w nim. Wezmiesz wszystko od tatusia, nie pójdziesz sama tego zdobyć. Nazywasz to zasadami. Ja nazywam to łatwym życiem. Oczekujesz, że zawsze dostaniesz kolację na srebrnej zastawie.

Cokolwiek mu zrobię, myślałam, a ręka aż mnie świerzbiła, w pełni na to zasługuje. Za swą arogancję, bezczelność, bezwstydną

opowiadanie się po stronie nieuczciwości. Za pogardę dla ludzi i niedocenywanie mnie. Zasluguje na to, by się ugotować we własnej okrągłej wannie z masażem wodnym albo udławić się własnym lekarstwem. Zasluguje, żeby zrobić go na szaro.

- Od porcelany do srebrnej zastawy - powiedziałam. - Masz chyba obsesję na punkcie naczyń. Przepraszam, muszę do kio.

Musiałam zmienić taśmę.

Rozmawialiśmy przez całe popołudnie. Nie było nic innego do roboty. W normalnych warunkach musiałabym zawodniczyć z telewizją, wideo, płytami kompaktowymi i kasetami. („Tylko na miłość boską niech ci nie przyjdzie do głowy włączyć swego walkmana - powiedział Vincent. - Nie cierpię ich.”) Lecz bez elektryczności cywilizacja, jak wiemy, kompletnie leży. Radio było częścią wieży, więc nie docierały do nas żadne wiadomości. Nie mogliśmy spalić grzanki ani ochłodzić szampana. Ostatnie kostki lodu roztopiły się. W domu było zbyt ciemno na czytanie. Na dworze przekłety wietrzyk przewracał strony i jeśli się człowiek na chwilę odwrócił, nie wiedział potem, gdzie skończył, zresztą meble ogrodowe były zbyt wilgotne do siedzenia. Ponieważ nie da się uprawiać seksu przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, zmuszeni byliśmy rozmawiać. Nie chciałam zadawać zbyt wielu pytań, za to sprzeczałam się z nim, kłóciłam, sondowałam, stosowałam najdelikatniejszą ironię, najgład-szy sarkazm.

Pozwoliłam mu się wciągnąć w tę zabawę, dyskutowałam, zwierzałam się. Co mi tam, myślałam, nawet jeśli się o mnie czegoś dowie w ten sposób, to raz dwa zapomni. Opowiadał mi o sobie po kawałku, chaotycznie. Tę łamigłówkę będę musiała potem ułożyć sobie w całość. Dzieciństwo bez matki, wiarołomna niania, szkoła, college, oszustwo na hipotece, więzienie. Przyjaźń z Hannibalem Barkerem i powiedzonka Judasa Carsona.

- Ależ on cię oszukał! - zaprotestowałam. - Nie chciałeś się zemścić? Sądziłam, że dla ciebie wyrównanie rachunków to sprawa pierwszej wagi.

- Nie rozumiesz - powiedział Vincent. - Judas nie wystawił mnie do wiatru, lecz po prostu dał mi bardzo ważną choć nieprzyjemną lekcję. Przemyślałam czasem o zemście, bardziej w ramach ćwiczenia wyobraźni niż na poważnie. Kiedy w końcu mogłem wprowadzić ją w czyn, stwierdziłem, że mi nie zależy. Bez jego poparcia nie odniósłbym sukcesu. Zaslugi przerosły winę. Poza tym zemsta jest taka melodramatyczna. í czasochłonna. Musi ci naprawdę

na kimś bardzo zależeć, żeby w sprawę, która nie gwarantuje żadnego materialnego zysku, wkładać tyle cennego wysiłku i wyobraźni.

Richard, on pije do Richarda, pomyślałam. Jeśli to nie jest melodramat, to ja się pytam, co to jest? Ale nie powiedziałam tego głośno. Uznałam, że jeszcze za wcześnie naciskać go na sprawę tak bliską jego sercu.

Wieczorem słońce pojawiło się już naprawdę, znalazło jakieś drobne szczeliny w żaluzjach i wstrzeliło przez nie do ciemnego pokoju roziskrzone mikrokropki, wlało się przez tylne drzwi i skapało kuchnię w miękkiej złotej jasności. Wypęliśmy z pokoju jak krety, mrużąc oczy od światła. Było nie ciepło, ale po prostu upalnie; ogród odetchnął wreszcie z ulgą, insekty i inne drobne stworzonka wyczołgały się ze swych kryjówek i rozkoszowały odzyskanym latem. Chmury prawie się rozproszyły, zostało tylko troszkę maruderów. Zawieszona nisko nad horyzontem, spuchnięta do niesamowitych rozmiarów kula słońca pływała po niebie koloru likieru. Morze za West Point wyglądało jak poprózione ogniem.

- Co powiesz na kąpiel w morzu? - spytał Vincent.

Na końcu ogrodu znajdowały się schody, które z niskiej skały schodziły na prywatną plażę Irvinga, lizaną nieśmiało przez fale. Na skale i pod nią burza zostawiła nieporządek, ale morze zachowywało się grzecznie, jak gdyby starało się nadrobić poprzednie ekscesy. Weszliśmy do wody nago - ja, bo nie posiadałam kostiumu, Vincent, bo nie zwracał sobie głowy takimi rzeczami. Woda oblepiła moje ciało jak jedwab, zmyła ze mnie chłód i znużenie po długim dniu spędzonym w zamkniętym pomieszczeniu.

- Powiedz mi, że wyglądam jak syrena - zachęciłam Vincenta.

- To samo się narzuca.

- Syrena z krótkimi włosami? Nie słyszałem - burknął. Ale gdy już wracaliśmy do domu, ku mojemu zdumieniu powiedział nagle:

- Ty wyglądasz jak ty. Nimfa z nowoczesnej szkoły, szczupła, opływowa. Żadnych niepotrzebnych loków, które tylko by psuły tę pedantycznie prostą sylwetkę. To bardzo efektowne. Z czasem może mi się zacząć podobać.

Kochaliśmy się w świetle słońca na podłodze w kuchni, rozłożywszy na terakocie dywanik i kilka poduszek, wykorzystując jedyną część domu, gdzie dochodziło światło i powietrze. Na plaży mu odmówiłam, bo nie lubię piasku między pośladkami. Ze ściany

obserwowała nas jaszczurka, zielona mała jaszczurka nie większa od mego kciuka, jaskrawa jak broszka. Nagle myślami znalazłam się w Anglii. Przypomniałam sobie Penny Garoghan („Tata pisze, że po sypialni pełzają jaszczurki”), przyplływ moich nieracjonalnych uczuć oraz daną jej obietnicę. W uszach dzwonił mi jej głos, przed oczyma miałam jej skośne srebrne oczy. Niemożliwa do spełnienia obietnica nałożyła się w mej głowie na przysięgę, którą wiarołomna niania Vincenta złożyła Jolandzie, tyle lat temu, ucząc podsłuchujące w ciemnym kącie dziecko, że nawet najlepszym z nas nie można wierzyć. Był za młody na lekcję trudną również dla dorosłych. Ciężka na mnie odpowiedzialność - bolesna odpowiedzialność - za to, by przynajmniej Penny nie utraciła wiary w ludzi nim dorośnie, by ich zrozumieć.

Kochaliśmy się. Już poprzedniej nocy coś się zmieniło; uczyliśmy się siebie nie tylko fizycznie, ale i psychicznie. Niebezpieczna gra dla beznamietnej dziennikarki. Posuwałam się za daleko, o wiele za daleko, nie zawsze w tym samym kierunku, ale nie mogłam już zawrócić.

- Chcę cię widzieć - powiedział w pewnej chwili Vincent dotykając mnie palcem, fundując mi miękki nieprzerwany masaż, bez wychodzenia ze mnie. - Chcę na ciebie patrzeć, jak będziesz szczytowała.

Potem dumny ze swej władzy pocałował mnie. Czułam, jak ta duma rozchodzi się mu po żyłach niby adrenalina. To nie była miłość, ale smakowała podobnie. Kilka sekund orgazmu, krótkie osunięcie się w czułość, dwa ciała w banalnym połączeniu, dwa serca bijące... nie, nie bijące wspólnym rytmem. Pajęczyna kłamstw z rzadkimi pasmami prawdy omotywała nas uwodzicielskimi nićmi.

Przez całą okropną minutę trzęsłam się z zimna pod prysznicem, by zmyć z siebie sól. Wróciłam do sypialni.

- Ten świetlik pewnie się nie otwiera, co? - spytałam Vincenta.

- Oczywiście, że się otwiera. - W jego głosie była ponura satysfakcja. - Tyle że - jak? - elektrycznie. Jak wszystko w tym domu. Czyż nowoczesność nie jest wspaniała?

- Szlag by ją trafił. - Usiadłam na łóżku. - **A propos.** Chciałabym się ubrać do kolacji. Czy dostanę coś na zmianę?

- To będzie jakaś kolacja?

Ogołociłam jedną z zamrażarek z chleba, wątróbki i tłuszczów nienasyconych, ale rozmrożenie ich trwałoby kilka godzin. Był też mrożony jogurt i lody w dwóch smakach, jedno kaloryczne, bo z kawałkami czekolady, inne z dietetycznym prasowanym ciastem i syropem bez cukru. Podałam sałatę z resztek z lunchu, Vincent jak zwykle otworzył butelkę. Zapasy w piwniczce Irvinga starczyłyby mniej więcej na wieczność. W świetle latarki zrobiłam sobie jaki taki makijaż. Ubrałam się w koszulę Vincenta, na tyle długą, że wyglądałam w niej w miarę przyzwoicie. W pasie przewiązałam się jedwabnym krawatem od Diora, o którym Vincent powiedział, że woli go oglądać na mnie.

- Nienawidzę krawatów. To tak, jakby nosić stryczek. Wkładam je tylko na oficjalne spotkania w interesach - powiedział. Usiłując się ogolić tępą żyłką, pokancerował sobie brodę. Powierzchnownie. Siedzieliśmy przy małym stoliku i łyżkami na długich rączkach

- jakimi podobno należy jeść, biesiadując z diabłem - wyjadaliśmy z kartonu lody.

- Jeżeli jutro dalej nie będzie elektryczności, to co twoim zdaniem powinniśmy zrobić? - spytałam.

- Możemy zapalić latarnię morską na West Point w nadziei, że zwróci uwagę przepływającego statku - odparł Vincent. - Ty rękoma nadasz wiadomość. Uwięzieni na bezludnej wyspie. Brak elektryczności. Zamrażarka się rozmraża. Pomocy!

Roześmiałam się od niechcenia.

- Wiem, że nie jesteśmy w tragicznej sytuacji, ale chyba nie będziemy siedzieć tu w nieskończoność żywiąc się sałatą i alkoholem

- upierałam się. - Nie masz jakichś ważnych spotkań? Handel nieruchomościami w Los Angeles nie upadnie bez ciebie?

- Wziąłem tydzień urlopu - odparł Vincent. - Wprawdzie nie tak go sobie zaplanowałem, ale mogłoby być gorzej, o wiele gorzej. A co z tobą? Do kogo przyjechałaś?

- Do Phyllidy Khorman - odparłam. - Ale ona za mną nie tęskni.

- Już drugi raz obsmarowywałam Phyl. - Znamy się ze szkoły, potem przez wiele lat się nie widziałyśmy. Niedawno wpadłyśmy na siebie przypadkiem i na fali entuzjazmu zaprosiła mnie do siebie, nie bardzo zastanawiając się, co robi. Nie powinnam była skorzystać z jej zaproszenia, ale strasznie potrzebowałam małych wakacji, a ta propozycja wydała mi się okazją zesłaną z nieba. Jak przyjechałam, Phyl nie wydawała się już taka zachwycona. Zachowywała się mile,

owszem, ale z dystansem, jak gdyby moją obecność uważała za nieprzyjemność, którą postanowiła znieść z godnością. Myślę, że ulżyło jej, kiedy zniknęłam jej z oczu.

- Znam ją - rzekł Vincent. - Dekoracyjny bibelocik z rodzinną forszą i skłonnością do wychodzenia za mąż tak, by ją pomnażać. Obecny beneficjent to Farzad Khorman. Facet, z którym trzeba się mieć na baczności. Hm, nie pomyślałbym, że ta mała Phyllida może być w twoim guście. - Spojrzał na mnie z zamyśleniem. - O co chodzi, Micky? Znudziło ci się moje towarzystwo?

- Troszkę - przyznałam, nie chciałam jednak być nieuprzejma. - A co do tego jedzenia w zamrażarkach, to kiedy przychodzi służba?

- Kto to może wiedzieć? Po takim huraganie? Ale kiedy się zjawia, możesz podarować im to jedzenie. Wiesz, na razie mam dość rozmowy na ten temat. Grasz w trik-traka?

- Nie.

W szafie znaleźliśmy Trywialne Zajęcia w wersji amerykańskiej i zagraliśmy dwie partie. Vincent wygrał obie. Uważałam, że powinien dać mi fory. Później rozmowa naturalnie zesłała na sprawy osobiste i to bez specjalnej zachęty z mojej strony. Nagle złapałam się na tym, że opowiadam o ojcu, o jego niesłychanej dobroci, poezji, udziale w wojnie, o filozofii, którą od niego przejęłam.

- Ile miałaś lat, kiedy zmarł? - spytał Vincent.

- Jedenaście.

- To ci się udało. Mój prześladował mnie prawie aż do czterdziestki, a na koniec wydziedziczył, bo ubzdurał sobie, że podałem do gazet szczegóły jego romansu. Idiota. Wiedział, że nigdy bym czegoś takiego nie zrobił. To znaczy wiedziałby, gdyby kiedykolwiek zadał sobie trochę trudu, by zainteresować się, jaki naprawdę jest jego niekochany syn. Wystosował do mnie uroczy pośmiertny liścik, w którym wyjaśnił, czemu mnie wydziedziczył. Napisał, że zachowałem się jak „ostatni łajdak”. Żalotne. Zupełnie jakbym był jakimś szczeniakiem, brudnym i zasmarkanym, który polecał do nauczyciela naskarzyć na kolegów.

Zadrżał. Przysięgłabym, że ze złości i obrzydzenia.

- A jak to trafiło do gazet? - spytałam.

Opowiedział mi o raporcie „Quidnunca” i o Gerrym Hibbercie.

- Z pewnością bardzo kochałeś swego ojca, skoro mówisz o nim z taką goryczą - stwierdziłam. - Jeszcze teraz.

- Zupełnie jakbym słyszał Richarda. Zawsze chciał, żeby wszyscy

się kochali. Do tego jednak nigdy nie dojdzie. Mój ojciec był staroświeckim bigotem. A także hipokrytą. Uważał, że bogactwo da się pogodzić ze szlachetnością. *Fesserie*. Jeden się bogaci, drugi biednieje. Na tym polega ekonomia. On jednak nie chciał spojrzeć prawdzie w oczy. Truł o moralności, uczciwości i uprawianiu sportu w Eton. Założył się, że wybrali go do parlamentu, bo dużo mówił o społeczeństwie. To rzadkość w Westminsterze. Wierzył w Kościół i ojczyznę, i we wszystkie takie bzdury, a najgorsze, że wierzył w Człowieka.

- A ty nie wierzysz - powiedziałam. Nie było to pytanie.

- Adam i Ewa zostali wygnani z Raju, bo chcieli wiedzieć. Ten akt głupoty ze strony niebios stał się stałym trendem. Od tamtego czasu staczamy się w dół, ewolucja na wspak. Rozejrzyj się wokół, Micky, popatrz na te bezsensowne wojny, głód, zniszczenie środowiska, wszystkie te sprawy, którymi na pewno bardzo się przejmujesz. I co robisz? Nic. Bo co możesz zrobić poza chodzeniem na manifestacje? Ta małpa, ten głupi czerep, zwany Człowiekiem, zmierza do samounicestwienia. Nie przeciwstawisz się jego głupocie. Wiem, bo z niej żyję.

- A więc zawsze wiedziałeś, że cywilizacja to zdechła kaczka, ale nie próbowałaś jej reanimować, tylko po prostu oskubałaś. Bardzo sprytne.

Powoli się przyzwyczajał do mojego krytycyzmu. Nie obrażał się, czuł się nim stymulowany.

- Słuchaj, Micky - powiedział - chodzi o to, żeby przetrwać. Tylko to się liczy. Trzeba łapać, co się da. Choćby duszone jabłka do zdechłej kaczki. Pewnego dnia, zapewne bez uprzedzenia, ja też umrę. Wtedy wyjdzie na jaw cała bezsensowność tego, co robiłem, ale mnie już nie będzie. Życie, śmierć, podróż donikąd. Nikt nie będzie po mnie płakał, nikt nie zostanie wydziedziczony. Zapraszam cię na mój pogrzeb, Micky. Zmówisz za mnie pacierz, nawet nie mając pewności, czy jest gdzieś jakiś Bóg, który tego słucha. Ty jesteś po prostu takim zaplątanym pseudoniereligijnym liberałem.

- Po prostu - powtórzyłam. - Oczywiście, nie zgadzam się z tym, co powiedziałaś, ale ty o tym wiesz, prawda? Tak sobie mówisz, żeby nie zasnąć z nudów. Kiedy byłam dzieckiem, ojciec zapoznał mnie z własną wersją wydarzeń w Raju. Otóż Bóg właśnie narysował na tablicy Człowieka, kiedy banda zapchlonych drapiących się małą przelazła przez mur i dobrała się do jabłek przeznaczonych dla Adama i Ewy. Wtedy Bóg pokazał im rysunek i powiedział:

„Ukradłyście przeznaczenie Człowieka, więc wstańcie na dwie nogi i bądźcie Człowiekiem." Małpy stanęły na tylnych łapach, spojrzwały Bogu w oczy i poszły na spotkanie swego przeznaczenia. Jeszcze do niego nie dotarły, wciąż jesteśmy w połowie małpami, ale ważne jest -zgoła konieczne - żebyśmy mieli nadzieję. Kiedy umrę, świat będzie się dalej kręcił. Na tym polega nieśmiertelność. - I dodałam: - Ty myślisz tak samo. W przeciwnym razie nie zaprosiłbyś mnie na pogrzeb. Dobrze to sobie wymyśliłeś. Chciałbyś, żebym stała nad twą trumną...

- Urną - wtrącił Vincent.

- I przytykała do twarzy czarną koronkową chusteczkę. Jednak wybiegasz myślami poza swą śmierć. To właśnie jest ta ciągłość.

- Wielka optymistka z ciebie - stwierdził Vincent. - We wszystkim dopatrujesz się jakiejś nadziei, nawet we mnie. A ja jestem realistą. Nie zamierzam oszukiwać się kłamstwami. Nawet twoimi.

W tamtej chwili widziałam go bardzo wyraźnie. Światło świecy wydobywało z przepastnej czerni salonu jego twarz. Leżał na plecach z rękoma pod głową, jego profil - ostro zarysowany, bladzioty, obramowany ciemnością - przypominał kameę. Scena ta mocno zapadła mi w pamięć. Wiedziałam, że obraz ten wróci do mnie później, dużo później, kiedy sprawa zostanie zamknięta, robota zakończona i będę chciała o niej zapomnieć. To była chwila, w której prawda mieszała się z podstępem i stapiała tak ściśle, że zamazywała się granica między nimi.

Powiedziałam:

- Jesteś nihilistą. Odrzuciłeś etykę, bo uważasz, że już nic się nie liczy. Skreśliłeś cywilizację, skreśliłeś ludzkość. Co zostało? Armagedon?

- Nie sędzę. Rzeczywistość jest pasmem rozczarowań. Ludzkość nie odejdzie z hukem, lecz z sykiem. Zatruje się powoli, wymorduje w głupich wojnach. Ziemia będzie się obracać, póki jej szlag nie trafi. Armagedon to groteskowy pomysł. Zastanów się sama, Dobro przeciwko Złu, ostatnia wielka bitwa i koniec. Ale jeśli koniec, to po co ta bitwa? Wieczny zegar tyka, zostało jeszcze kilka sekund. Hej chłopaki, zwyciężyliśmy! W końcu zwyciężyliśmy!

Ostateczne zwycięstwo. - Strzelił palcami. - **Finis**. Dobrzy wygrali. Tylko po co? Żli im włali. Czemuż by nie?

Skończył się wieczny konflikt, jak gdyby nigdy się nie zaczął. Bezsensownie. Osobiście istnienie uważałem zawsze nie tylko za kaprys, ale za zuchwalstwo. Byłoby miło, gdyby winę dało się zwalić na Boga.

Co mi bez pytania czmychnęło? I co mi tu bez pytania szmyrgnęło? Zuchwalstwa tego przywołanie Utopmy prądki w wina dzbanie!

Na poparcie tych słów opróżniłam kieliszek do dna. Roześmiałam się.

- ***Pijany kiper*** - poznałam cytat. - To mi się podoba. Ale przyjmijmy roboczo, że doszło do tej ostatecznej bitwy między siłami dobra i zła. I tak się zdarzyło, że stanęliśmy twarzą w twarz...

- Po przeciwnej stronie, jak mniemam. - Vincent uniósł brwi.

- Naturalnie. Zgadnij tylko, kto po której.

- Ty z błyszczącym mieczem, ja z kałasznikowem?

- Właściwie. Mówisz o sobie, że chcesz przetrwać. Czy strzeliłbyś do mnie na końcu świata, w ostatniej minucie, tuż przed ostatnim uderzeniem serca? Zabiłbyś mnie dla samej tylko zasady? Zabiłbyś, prawda?

- Myślę, że tak. - Powiedział to dość lekko, ale minę miał dziwnie ponurą. - Czy to ma jakieś znaczenie?

- Jedynie dla mnie - odparłam.

Nad ranem poszliśmy trochę popływać, zabierając ze sobą latarkę, by oświetlić sobie drogę przez ogród i schody na plażę. Księżyc zaszedł, na niebie roilo się od gwiazd, dużo jaśniejszych i liczniejszych niż w Anglii. Nad migocącymi gwiazdami rzucającymi światło na krzak i skałę, za którymi czały się wieczne cienie, połyskiwały niczym pył diamentowy odległe konstelacje, niezliczone i nie nazwane. Obrysowane jasną pianą fale rozbijały się na piasku; czarna woda była ciepła jak w wannie. Vincent popłynął dalej, a ja patrząc na rozgwieżdżone niebo pozwoliłam fali unosić się, kołysać jak na hamaku. Nagle przyszło mi do głowy, że ta idylla doskonale nadawałaby się na film hollywoodzki, filmowy romans i po raz pierwszy zaczęłam doceniać ironię, obłąd mojego zawodowego zadania w zestawieniu z tym krótkim pobytem w zdradliwym Elizjum. To był paradoks równie magiczny co przerażający. Czulałam się jak hazardzista podczas gry - odwrócenie karty, upadnięcie kostki jest sprawą czystego przypadku, ale raz w życiu przychodzi moment, w którym nie można zrobić błędu. Los zesłał huragan, by rzucić mnie w ramiona Vincenta, zepsuł elektryczność, by zmusić go do rozmowy,

a teraz dla nas rozświetliły się niebiosy. Gdzieś musi być jakaś pułapka - los gra wyłącznie we własną grę i właśnie kiedy wydaje się, że masz go po swej stronie, trzeba zachować największą ostrożność. Ale ja się nie przejmowałam. Jeszcze nie. Jutro albo pojutrze naprawią elektryczność, życie wróci do normy, wtedy zacznę się gryźć, o czym świetnie wiedziałam. Oto jeszcze jeden powód, żeby się jeszcze nie martwić. Unosiłam się na fali, gwiazdy roniły na mnie łzy i nic poza tą chwilą się nie liczyło.

Potem w domu leżeliśmy syci pieszczot, a noc, nie rozmazana światłem świecy, spoglądała na nas przez szklany dach.

- Vincent - zaczęłam cicho. - Pamiętasz, o czym wcześniej rozmawialiśmy?

Wydał dźwięk, jaki zwykle wydają mężczyźni, kiedy już zasypiają i nie słuchają, co się do nich mówi.

- Armagedon - nie ustępowałam. - Ostateczna decydująca bitwa między siłami dobra i zła. Ty i ja w śmiertelnej potyczce.

- Tak? - mruknął Vincent. - No i kto zwyciężył?

- Głupi. Rozmawialiśmy o końcu świata. Nie pamiętasz?

- Ach, tamto. O co ci chodzi?

- Czy jesteś pewny - szepnęłam - że to właśnie ty będziesz trzymał kałasznikowa?

W odpowiedzi odwrócił się, przyciągnął mnie do siebie i umieścił mą głowę w zagłębieniu swego ramienia.

Pomyślałam, że jak nic zdrętwieje mu ręka. No cóż, ostrzegłam go - po prostu czułam, że powinnam to zrobić - ale on nie słuchał i nie usłyszał. Gwiazdy dalej obojętnie roniły łzy.

Rozdział trzeci

Słońce, wschodzące w świetliku, doszło najpierw do mnie. Gdy otworzyłam oczy, zobaczyłam, że mruga do mnie znad ramy. Vincent leżał jeszcze w cieniu; odsłonięty do pasa bronił się ramieniem przed nadchodzącym dniem. Twarz miał odwróconą, wciśniętą w poduszkę w instynktownej próbie zasłonięcia się przed światłem. Dzień drugi, pomyślałam. Odnosiłam wrażenie, że minął przynajmniej miesiąc. Okres poza czasem i poza moralnością. Dwa dni w krainie czarów równają się dwustu latom na ziemi. Kiedy wrócę, jak Rip Van Winkle niczego nie poznam. Okaze się, że uskok San Andreas pochłoniął Los Angeles, Phyl ma innego męża, a Alun Craig jest producentem teleturniejów. To ostatnie byłoby akurat sympatyczne. Wstałam, bo pod świetlikiem nie dawało się wytrzymać z gorąca, i poszłam pod prysznic. Dalej nie było elektryczności. Wstrząs spowodowany zimną wodą obudził najbardziej ospałe komórki mego mózgu, przypominając

0 czymś, co dręczyło mnie od poprzedniego wieczora. Kończyły mi się taśmy. Liczyłam, że Irving Blum ma gdzieś zapasowe kasety, które będę mogła sobie przywłaszczyć. Muszę tylko wyczekać, żeby Vincent się gdzieś odwrócił, a wtedy przeszukam parter.

Mając to na uwadze, pozwoliłam mu - kiedy się obudził - iść popływać samemu.

- Chciałabym się trochę poopalać. Chodzi o to, że jestem niby na wakacjach, a opalanie należy do programu. **Jak** tylko znajdę jakiś olejek, zaraz się do ciebie przyłączę - powiedziałam. Olejek znalazłam bez trudu, gorzej z kasetami. Na półkach obok wieży stały płyty

1 kasety ze wszystkim od Izaaka Perlmana po *Skrzypka na dachu*, ale były nagrane firmowo. Żadnych czystych. Nie upadłam tak nisko, żeby zniszczyć komuś część kolekcji. **Jeszcze** nie. Należało poszukać jakiegoś innego wyjścia. Wtedy odkryłam, że te regały dają się

przesuwać, a z tyłu znajdują się kolejne półki załadowane płytami kompaktowymi, rocznikami płyt długo- i krótkogrających oraz kasetami z nalepkami. Na niektórych widniały imiona dziewcząt: Use, Marika, Birgit, Inge. Aha, siksy Irvinga, domyśliłam się. Te taśmy to wiązanki ich ulubionych melodii, które nagrał w celach uwodzicielskich. Nalepki były ponadrywane i poplamione. E, te panny na pewno dawno mu uległy (lub nie), pomyślałam i przywłaszczyłam sobie, acz z wielkimi oporami, Ilse i Ingę. Zasunawszy ściankę zesłam na plażę.

Na plaży zabawiliśmy do popołudnia, pływając i leniuchując na piasku. Rozmawialiśmy o głupstwach. Słońce, które paliło jak to w tropikach, nieco dorywczą opalenizną Vincenta pogłębiło do odcienia, który złośliwie nazwałam brązem ratownika, a do mojej delikatnej pozłoty dodało niefortunną różową tonację. Opalenie się w tym klimacie jest bardziej torturą niż przyjemnością - dla ochłody człowiek zanurza się w wodzie, potem leży w słońcu, żeby wyschnąć, a jak wyschnie, namaszcza się od stóp do głów, przez pięć minut się smaży, po czym znowu musi wejść do morza. Zaczęłam się zastanawiać, co tam ostatnio słychać z powłoką ozonową - czy między mną a ultrafioletem na pewno jest jej miła gruba warstewka. Zimny prysznic w domu dostarczył nam nowej rozrywki. W miarę jak cienie się skracały, piasek stawał się bledszy i gorętszy, a morze zamieniało się w płynne światło pląsające na złotej posadzce. Parasol plażowy Irvinga odfrunął z huraganem, więc kompletnie nie było gdzie się schronić.

Zrejterowaliśmy do domu. Najgorętszą część dnia spędziliśmy w mroku, wyciągnięci na sofie i fotelu, popijając ciepłego szampana. Jeszcze trochę, pomyślałam, a nabawię się przypadłości wspólnej pisarzom i dziennikarzom na całym świecie, zwanej wątrową literata. W półmroku łatwo szperało mi się w torebce, naciskało guzik, wyjmowało mikrofon na wierzch. Przerazająco łatwo. Sprowokowałam Vincenta do rozmowy o matce, opowiadając trochę o swojej; wymienialiśmy się wspomnieniami z dzieciństwa, kompleksami. To był istny poker, w którym, by podbić stawkę, po trochu rzucałam na stół siebie. Moja matka w tych zwierzeniach wypadła na *femme fatale*, Jolanda na *femme formidable*. Była istotą o wyuzdanych namiętnościach, źle wykorzystywanym ognistym temperamencie, zamęczającą wszystkich wokół, a najbardziej siebie samą. Choć Vincent mówił o niej z cynizmem, w jego głosie pobrzmiwała smutna sympatia.

- Uwielbiasz ją - powiedziałam.

- Muszę - odparł. - Jestem wszystkim, co ma. Kiedyś otoczona

była przyjaciółmi i znajomymi, ale wszyscy gdzieś się pogubili. Kręcą się koło niej jeszcze jacyś starszankowie, całują w rękę i mówią, że jest piękna, a że są starzy i sentymentalni, pewnie mówią to szczerze. Inni, gdyby mieli okazję, na pewno zaczęliby się nad nią użalać, że straciła głos i urodę. Na to nie mogą się zgodzić.

- Uważasz, że jest cudowna - powiedziałam. - Sebastiano jak widać jest podobnego zdania. To dlaczego tamci mieliby myśleć inaczej?

Vincent wydał z siebie dźwięk przypominający coś między prychnięciem a westchnieniem.

- Nie spodobałabyś się jej - stwierdził z pozorną obojętnością.

- Zaliczyłyby cię do tych śniętych Angielek, które są bardzo dobrze wychowane, bardzo uprzejme, za to okropnie nudne w łóżku. Nawet gdybym zapewnił ją, że prędko się uczysz, nie uwierzyłyby. „Vincente

- powiedziałyby - tobie jest potrzebna prawdziwa *Italiana* o dużym biuście, śpiewnym głosie i lekkiej ręce do spaghetti. Lub Amerykanka

o szerokim uśmiechu i wielkim sercu. Ale nie mdła *Inglese* o bladych oczach i zimnych uczuciach." Matka nienawidzi Anglików.

Przez chwilę, słuchając, jak konfrontuje mnie z Jolandą, doznałam przedziwnego uczucia, że odpadło mi dno żołądka. Zaskoczenie czy coś podobnego. Przywołałam się do porządku.

- Za to ty spodobałbyś się mojej - powiedziałam. - Uznałyby cię za szalenie czarującego. Nie miałabym nic do gadania.

Roześmiał się, ja się roześmiałam. Ale to niczego nie oznaczało. Taka zabawa. Zresztą nie była to prawda. Matka prawie na pewno wyczułaby swym dodatkowym zmysłem braki moralne Vincenta. „Owszem, fascynujący - powiedziałyby - ale nie nadaje się na męża. Jeśli szukasz mężczyzny na życie, kochanie, musi to być ktoś, na kim można polegać. Jak te samochody, które reklamują w telewizji. Ktoś z dobrym silnikiem. I żeby nie wypadł na zakrętach. Ten jest ładny, ale nie jest bezpieczny. Czuję to."

Ten nie ma hamulców. Za duża moc pod maską. Słowem, kłopot.

- Co chcesz jeszcze wiedzieć? - spytał Vincent ostro, co zaniepokoiło mnie, a zarazem pobudziło. - Omówiliśmy już niemal wszystko. Rodziców, zasady moralne, moją nieciekawą przeszłość

i równie nieciekawą terażniejszość. Można by pomyśleć, że piszesz doktorat. Skąd to zainteresowanie?

- A co w tym złego? - skontrolowałam. - Kiedy człowiek się budzi w czyimś łóżku, to dość normalne, że chciałby się dowiedzieć, z kim ma do czynienia. Twoje życie to materiał na mydlaną operę, nie na doktorat.

- Lepszą od *Dallas*?

- Nie przesadzajmy. - Uśmiechnęłam się do niego. - Zapewniam cię, że wolałabym słuchać Mahlera, ale czy mam jakiś wybór?

Elektryczność została włączona wczesnym wieczorem. Podnieśliśmy żaluzje i słońce wlało się przez wszystkie okna; długie promienie napęliły pokój światłem zamglonym kurzem. Powietrze zaczęło cyrkulować, lodówka mruzcąc. Telefon, jak się okazało, odzyskał przytomność znacznie wcześniej, lecz Vincent prędko go wyłączył.

- Irving wie już pewnie o huraganie i zacznie wydzwaniać niespokojny, czy domowi nic się nie stało. Hannibal zacznie wydzwaniać niespokojny, czy mnie się nic nie stało. Nie mam ochoty tego wysłuchiwać. Chcesz może zadzwonić do swej niespokojnej przyjaciółki?

- Nie, dzięki - odparłam. To byłoby zbyt ryzykowne. Phyl musi mi zaufać i jeszcze trochę poczekać.

Vincent udał się do łazienki, żeby się oddać przyjemności golenia maszynką elektryczną, ja zaś z ociekającej wodą zamrażarki uwolniłam trochę łososia i zielony groszek, dwie pozostałe opróżniłam dla porządku (było zbyt późno, by je ponownie zamrażać), po czym przystąpiłam do odkodowywania urządzeń kuchennych. Nie jedliśmy cały dzień (było za gorąco) i perspektywa przyzwoitego posiłku sprawiła, że poczułam się straszliwie głodna. Potraktowałam sprawę poważnie - nakryłam koniec stołu w jadalni, a moje kulinarne dzieło uzupełniłam wysokim wazonem ze szkarłatnym kwiatem. Na deser schłodziliśmy butelkę Montracheta i bezcennego Château Yquem 1959. Nic innego nie było, bo resztki lodów rozpuściły się na amen, a dwa ciastka, które odkopałam w mrocznych czeluściach trzeciej zamrażarki, okazały się obrzydliwie mokre. Gdy zasiadaliśmy do kolacji, niebo robiło się zielone, a do pokoju zakradał się mrok, mimo że morze ciągle odbijało światło dzienne.

- *Saumon méduse* - zaanonsowałam. - Łosoś z rozbitego statku. Ziemniaczki à la Piętaszek z puszki w spizarni.

- Groszek à la Robinson? - Vincent włączył się do zabawy. - A po co świece? Nie są już potrzebne.

- Oszczędzam energię elektryczną - odparłam. - Całe przedpołudnie myślałam o efekcie cieplarnianym. Poza tym świece stwarzają romantyczny nastrój, nie sądzisz?

Vincent nie raczył tego skomentować. Pokazał kciukiem na wieżę.

- Mahler? - spytał złośliwie.

- Nie do kolacji.

- W Uroczysku zawsze mieliśmy kłopoty z elektrycznością

- zauważył przy końcu łososia. - Instalacja była zabytkowa. Ale nawet gdy działała, dom wydawał się okropnie ponury. Lampy świeciły nieśmiało, jak gdyby bały się wchodzić cieniom w drogę. Po czasie zrozumiałem, że ciotka oszczędzała nie na tym co potrzeba. Czterdziestowatowe żarówki, to bardzo w jej stylu.

- Byliście biedni w tamtych czasach? - spytałam. - Dorastałeś w arystokratycznym ubóstwie?

- Ciotka była biedna - odparł Vincent. - Tak wyszło. Inna sprawa, że jest osobą tego rodzaju, która luksus - a tak naprawdę, to zwykłą wygodę - uważa za drobnomieszczaństwo. Ojciec natomiast - chyba ci

o tym już mówiłem, był nieprzyzwoicie bogaty. I nie jestem arystokratą. Ojciec tytuł otrzymał, nie odziedziczył.

Tylko nie mów tego Amerykanom. W zasadzie im jest wszystko jedno, ale jakby się dowiedzieli, mogliby poczuć się zawiedzeni. Myślę, że jestem zbuntowanym szlachcicem, feudalizm przyczynił się rozpadu małżeństwa moich rodziców, a do więzienia poszedłem z powodu czarnych włosów, rzymskiego nosa i zbyt dużej liczby ciałek czerwonych we krwi.

- Sprzedaj to do filmu - zażartowałam. Nie zareagował.

- Pamiętam... ostatnie spotkanie z ojcem. Przypominało mi jakiś obraz. Szalała burza i wysiadła elektryczność.

Trochę jak tutaj. To była tylko burza, nie huragan, ale niczego jej nie brakowało. Grzmiało i błyskało, że hej. W Uroczysku zawsze panowała atmosfera sprzyjająca kłótniom. Spojrzałem na świeczkę i przypomniał mi się monolog z *Makbeta*...

- Jutro, jutro, jutro?

- ... tak... i wpadłem w szablonowe rozważania o kruchości ludzkiego życia...

- To normalne.

- Zamilcz, Micky. Nie spodziewałem się, że tak się skończy. W każdym razie, nie życie mojego ojca. Ot tak. - Złapał w palce jeden z płomieni i z poczeriałego knota uniosła się nitka dymu.

- Powiedzieliśmy sobie mnóstwo okropnych rzeczy, wściekłem się

1 wybiegłem z domu. Prosto w tę burzę. Nie wiedziałem, że niedługo umrze. Kiedy się dowiedziałem, wydało mi się to takie...

- Bezsensowne? - odpowiedziałam, zapalając z powrotem świecę.
- Życie, śmierć, podróż donikąd. Tak?
- Właściwie tak - odparł Vincent. - Chwilami, Micky, jesteś zbyt inteligentna. Powinnaś udawać głupią, byłabyś lepszym towarzystwem.

Po kolacji porzuciliśmy brudne naczynia i z winem przenieśliśmy się do sypialni.

- Potem będzie nam szkoda czasu - stwierdził Vincent. Leżeliśmy na łóżkach popijając nektar bogów i pozwalając rozmowie toczyć się według własnego widzimisie. Lub, przy odrobinie zabiegów, według mojego.

- Odnoszę wrażenie - oświadczyłam - że masz kłopoty z kochaniem ludzi. Tych nielicznych, których kochałeś, również nienawidziłeś. Nie potrafisz kochać nie nienawidząc, nie potrafisz nienawidzić, nie kochając. Z wyjątkiem matki. Czy kiedykolwiek kochałeś jakąś kobietę? - Niebezpieczne pytanie. Istniało ryzyko, że obudzi w nim czujność, ale liczyłam na wino. - Nie masz aż tak silnego kompleksu Edypa. Od czasu do czasu musi pojawić się jakaś kobieta w twoim życiu. A jak to było kiedyś? Kim była pierwsza kobieta, z którą spałeś?

- Tego nie pamiętam - odparł Vincent wymijająco. - Miałem dwanaście lub trzynaście lat. Wypiłem dwie szklanki jabłeczniaka i zrobiłem się bardzo odważny. Była czyjaś siostrą. Nie pamiętam już, jak miała na imię.

- To jasne.

- Pamiętam za to pierwszą dziewczynę, u której wywołałem orgazm - ciągnął Vincent patrząc na mnie spod zmrużonych powiek.

- Catherine, Katrina... już wiem, Catriona. Wiejska dziewczucha, którą przezywali Kocicą. Daleko jej było do niewiniątka. Gwałtowna, zmysłowa, prawdziwa ziemia-matka.

- Piersiasta, tak? Roześmiał się.

- Właśnie. Dobieraliśmy się do niej razem, Richard i ja. O ile pamiętam, obaj włożyliśmy rękę w jej majtki. Wynik był zaskakujący. Ziemia-matka poruszyła się w posadach. To całkowicie zmieniło mój światopogląd. Po powrocie do domu wrzuciłem D. H. Lawrence'a do ognia.

Czemu akurat D. H. Lawrence'a? Byłam jednak zmuszona pominąć ten kuszący wątek, bo Vincent stworzył mi sposobność, na którą długo czekałam.

- Wspomniałeś znowu o swym kuzynie - powiedziałam. - To ten, z którym się wychowywałeś, tak? Kontaktujecie się ze sobą?

- Nie.

Uodporniłam się już na jego opryskliwość. Odczekałam chwilę, dolałam mu do pełna, potem sobie. Też sporo.

- Byliście bardzo zżyci? - spytałam.

Zagryzł wargi w charakterystycznym grymasie. Jak zawsze w chwilach, gdy odczuwał potrzebę autoironii.

- Daj spokój, Micky - powiedział. - To nudna historia i niewykluczone, że już ją znasz. Chodźmy do łóżka.

- Jeszcze nie. Nie wiem, jakiej nazwy używa się na kompleks kuzyna, ale ty najwyraźniej go masz. Do pary z kompleksem Edypa. To mnie intryguje. Nigdy o nim nie mówisz, zatem sprawa musi być poważna. Połóż się na kozetce - aha, leżysz - i otwórz przede mną duszę.

- Nie mam duszy - odparł Vincent. - Wiesz, Pandora musiała być do ciebie podobna. Myślę, że wcale nie interesowała jej zawartość słynnej puszki, ją po prostu korciło, żeby uchylić wieczko.

Pocałował mnie, a ja się nie broniłam, tylko w myśli zacisnęłam kciuki. W odpowiednim czasie moja cierpliwość została wynagrodzona.

- Byliśmy jak bracia, Richard i ja - rzekł Vincent ze świadomym sarkazmem. - Wiadomo, co dalej, prawda? Widząc to zdanie na plakacie filmowym albo na okładce powieści od razu wiesz, czego oczekiwać. Skończą po obu stronach barykady w wojnie domowej, w pojedynku o kobietę lub poderzną sobie gardła na stole konferencyjnym walcząc o władzę w imperium stali ojca. To jest nieuniknione jak los. Byli jak bracia - główny motyw dwudziestowiecznej tragedii o zemście. Tak, Richard i ja byliśmy jak bracia. Kain i Abel. Ja byłem inteligentny, on moralny. Ja wygrywałem bijatyki, on przyjaciół. Ja miałem dziewczyny, on miał dziewczynę. W tym przypadku, moją dziewczynę. Chciałaś o dziewczynie, prawda?

- Jaka ona była?

- Tak piękna, że na jej widok stawały zegary. Jednym z tych zegarów był nasz braterski związek. Tykaliśmy sobie zgodnie od dzieciństwa, a tu nagle zjawiała się Crystal i brzdęk! - nie zostało nic poza kilkoma pękniętymi sprężynami. Kiedy ja się kisiłem w Wormwood Srubs, Crystal zamieszkała z Richardem. Pobrali się, żyli długo i szczęśliwie. Przynajmniej przez jakiś czas. Nie do wiary, jakie to było nudne.

- Kochałeś ją? - spytałam.

- Nie bardzo. Po prostu stanąłem. Jak ten zegar. Kiedy zaczął znowu tykać, nie mogłem sobie nawet przypomnieć, jak wyglądała.
- Ale nie zapomniałeś Richarda - rzekłam. - Rozumiem.
- Po prostu znałem go dłużej - obruszył się. - Pocziwy stary Richard. On taki jest, wiesz. Szczerze złoto, sól ziemi, kryształowy człowiek. Powinien mnie nudzić, ale nie nudził. Mówią, że ma wdzięk czy coś w tym rodzaju. W każdym razie coś, czego mnie brakuje.
- Najlepszą definicję wdzięku czytałam u Margery Allingham
- wtrąciłam. - Wdzięk to umiejętność sprawienia, że ludzie myślą, że ich lubisz. Ty rzeczywiście tego nie potrafisz.
- Kiedy Richard naprawdę lubi ludzi - rzekł Vincent. - Na tym polega kłopot. Obdarza ludzi sympatią zbyt łatwo i za często. Nikogo nie dyskryminuje, nie przeprowadza wstępnej selekcji. Nie wie, co to antypatia od pierwszego wejrzenia. Nawet mnie lubił, biedny sukinsyn. I, jak sądzę, lubił Crystal - jeśli można w niej znaleźć coś do lubienia. Wiesz, to dziwne. Przez pięć minut, a to dla mnie bardzo długo, byłem nią zafascynowany, ale nie umiałbym ci powiedzieć, czy była mądra czy głupia, co myślała i czuła. Woskowa figura, do złudzenia przypominająca żywą kobietę. Jej umysł był tak samo niezgłębiony jak kałuża odbijająca gwiazdy. Minęło trochę czasu, nim wsadziłem palec i stwierdziłem, że to woda o głębokości centymetra plus pięć centymetrów błota. Wątpię, czy w ogóle zależało jej na kimkolwiek, łącznie ze mną. Myślała tylko o tym, jak zapewnić dostatnie, wygodne życie Crystal Winter. Liczyła, że z Richardem ma to jak w banku. Mój ojciec - jakby to powiedzieć
- cenił Richarda wyżej ode mnie. Kiedy zababrałem sobie konto, Crystal pewnie oczekiwała, że Richard zgarnie kasę. Musiała mieć się z pyszna, kiedy się okazało, że dostał tylko Uroczysko. Myślę, że właśnie wtedy postanowiła puścić go kantem.
- A ty? - spytałam. - O czym wtedy myślałaś?
- Diabli wiedzą. - Zamilkł. Wydawało się, że na kilka minut.
- O czym byś myślała, Micky, gdyby twój ojciec zmarł i z za grobu jeszcze na ciebie splunął? A drogi kuzyn - brat i najlepszy przyjaciel w jednej osobie, który zwinął ci dziewczynę, kiedy chwilowo byłeś niedysponowany - sprzątnął ci przed nosa siedzibę przodków? W takim przypadku chce się gościa kopnąć okutym butem w jaja.
- Przerwał, mięśnie na twarzy napięły mu się, stwardniały. - Myślałem o wyrównaniu rachunków. O daniu mu nauczki, jaką mnie dało życie.
- Zemsta to strata czasu. Melodramat. Koniec cytatu.

- Pieprz to. Zawsze wszystko mu łatwo przychodziło. Los uśmiechał się do niego wielkim promiennym uśmiechem podobnym do jego własnego. Postanowiłem więc pokazać mu, że nawet uśmiechnięta opatrność miewa niekiedy zęby.

- Co zrobiłeś?

- Rozkręcał interes. Samotnie. Projektowanie samolotów, coś w rodzaju doradztwa technicznego. Zaproponowałem mu zabezpieczenie finansowe. Wiedziałem, że na to pójdzie. Uważał za rzecz naturalną - po tym wszystkim, co mi zrobił - że zechcę mu pomóc. Uśmiech opatrności. W ostatniej chwili się wycofałem, a on zbankrutował. Należało mu się za te wykłady z aeronautyki, którymi zanudzał mnie co wieczór. - Słowa brzmiały nonszalancko, ale na twarzy Vincenta malował się ból, jak gdyby celowo sam się karał, wpychał pod paznokcie rozżarzone do czerwoności igły. A może widziałam tylko to, co chciałam zobaczyć przez wypukłą przydymioną soczewkę mego stroniczego mózgu.

- A Crystal? - szepnęłam. - Mówiłeś, że puściła go kantem?

- Oczywiście, że go puściła. Ledwo mogła się doczekać. - Blask sadystycznej satysfakcji rozświetlił jego rysy. - Nie musiałem nawet specjalnie się starać. Rzuciła się w moje ramiona niczym wracający do domu gołąb. „Vincent, ach, Vincent, zawsze byłam twoja. Tylko twoja.” Chyba sama w to uwierzyła. Zagrała tak przekonująco. Kłopot polega na tym, że tajemnica, którą się rozwiązało, przestaje być tajemnicą. Chciałem odebrać ją Richardowi. To wszystko. Wiesz, jak się już zgłębi kałużę...

- Wyrzuciłeś ją - zakończyłam cicho. To tłumaczyło dziwnie ambiwalentne zachowanie Crystal podczas wywiadu. Jej oschłość, przemilczenia, wszystko nagle stało się jasne. Nie lubiłam jej, ale teraz doznałam niespodziewanego olśnienia. Oto krucha osobowość, traktowana z największą ostrożnością, starannie osłaniana przed twardą rzeczywistością, tym jednym brutalnym gestem została rozbita na drobne kawałki. Biedna Crystal. Dokąd pójdzie pozbawiona swego ja? Co zrobi? Nie miała wrodzonej odporności zwykłych śmiertelników. Crystal była jednocześnie bezbronna i zrozpaczona, a to jest potencjalnie bardzo niebezpieczna kombinacja. Ale Vincent się nad tym nie zastanawiał.

- Zakończyłem to, co było między nami nie zakończone - podsumował. - Jeśli chcesz, możesz nazywać to zemstą.

Musiało się tak skończyć, nie było innego wyjścia.

- Dobrze się bawiłeś?

- Co?

- Czy dobrze się bawiłeś? - Chciałam go zranić. Uderzyć pięścią w jakieś czułe czy obolałe miejsce, zanurzyć nóż w nie zabliźnionej ranie. - Czy wybuchnąłeś śmiechem? Otworzyłeś butelkę szmapana? Wręczyłeś sobie zasrany medal?

- Micky...

- A co mam powiedzieć? Ach, Vincent, jakiś ty sprytny? Ach, jakiś ty cudowny? Jak można być takim chytrym, zimnym, małostkowym, opętanym, podłym, niedorodłym, prymitywnym facetem? Zemsta to nic wspaniałego, to akt samozniszczenia. Oko za oko, aż cały świat zostanie oślepiiony. Mam cię szanować, bo nie kierowałeś się chęcią zysku, bo dla zasady niczego nie wzięłeś? Co ty wiesz o zasadach? Mógłbyś na nich usiąść i dopiero byś je poznał, jak ugryzłyby cię w tyłek. - Trzęślam się. W oczach miałam łzy. Zupełnie bez sensu.

- Dobry Boże, nie mogłeś skierować na coś innego tej energii i inteligencji? Ciemne drobne intrygi, zazdrość dzieciaka rozdmuchana do rozmiarów ogromnej pustej bani? Masz wszystko, co chcesz

- rozum, wyobraźnię, pasję - i to wszystko zostało zmarnowane. Zmarnowane! Mówisz, że twoja matka zamecza siebie samą, a ty? Ty trujesz się swą własną złością, zjadasz robaka, co cię gryzie. Pogardzasz Sebastiano, ale on przynajmniej kocha Jolandę. Kiedy już zrazisz do siebie wszystkich ludzi, którym na tobie zależało, będziesz zazdrościł jej tego Sebastiano. Zdajesz sobie z tego sprawę? Nie masz nic poza rozgoryczeniem. Nikt nie potrafi cię kochać. Nikt.

Nie wiedziałam, czemu właściwie tak to podkreślam, ale powtarzałam w kółko. Był takim, jakim chciał - podłym, niekochającym, niekochanym. Nikt nie potrafi...

- A ty? - Głos Vincenta był twardy i dziwnie surowy. - Ty ze swymi wysokimi ideałami. Ty też nie potrafisz? Anioł, która zbawia Szatana, albo coś w tym rodzaju. Brzmi to może trochę banalnie, ale niech cię to bynajmniej nie powstrzymuje.

- Anioły są na kartach bożonarodzeniowych - odparłam. - Nie potrafię żyć na wysokości swych ideałów, ale nie mogłabym zniżyć się do twoich. Nie ma przepisu na miłość, Vincent. Niestety nie wiem, czym jest miłość, wiem natomiast, czym nie jest. Zresztą ty wcale nie chcesz zostać zbawiony. Chcesz, żebym podziwiała cię bezkrytycznie, żebym trzymała twą stronę, tak jak w piosence. Nie potrafię, Vincent, nie potrafię. Takie kobiety odeszły w przeszłość

wraz z maszynami do pisania. Nie potrafię się zmienić i ty nie potrafisz. Jak dojdzie do Armagedonu, znajdziemy się - jak już mówiliśmy - po przeciwnych- stronach. To jest przeznaczenie. Nie wiem dokładnie, o co mnie prosisz... - O nic cię nie proszę! - Gwałtowność jego tonu zaskoczyła nas oboje. - To tylko hipoteza. Płaczesz. Płaczesz nad hipotezą. Głupia dziewczynka.

Palcem roztarł łzę złości pod mym okiem i równocześnie uświadomiliśmy sobie, że leżymy na łóżku, że on jest nagi do pasa, że ja mam na sobie luźną koszulę - jego koszulę - i niewiele poza tym. Nagi tors Vincenta składał się z samych żeber i mięśni; pod wytartymi dzinsami wyraźnie odznaczał się naprężony penis. Nie wiedziałam, co tym razem doprowadziło go do erekcji - zachowanie się męskiego członka zawsze stanowiło dla mnie zagadkę. Jako wskaźnik emocjonalny reaguje na znacznie więcej czynników niż tylko zwykłą żądę. Wiedziałam jedno, mianowicie, że z jakiegoś powodu kopulacja stała się nagle niezbędna i pilna. Przez moment patrzyliśmy na siebie, po czym Vincent zaczął prędko ściągać mi majtki, a ja nerwowo i niezgrabnie siłować się z jego suwakiem, czując, jak wybrzuszenie w jego spodniach puchnie i twardnieje pod moimi palcami. Pierwszą prezerwatywę rozdarł, po czym z dziwnym pośpiechem rzucił się na następną. Obróciliśmy się tak, że ja znalazłam się częściowo na nim, częściowo pod nim, uwięziona przez łokcie, kolana, splecione uda, nietrafione pocałunki. Gdy Vincent zlokalizował odpowiedni otwór, wsunął się we mnie w akcie posiadania, gwałtu, miłości - głęboko i energicznie, jak gdyby wsuwał miecz w pochwę albo włócznię w serce. Nie myślałam już o tym, kto nad kim panuje i że taśma się kręci, ani o grze prawd i kłamstw, lecz wyłącznie o absolutnym, wszechogarniającym znaczeniu faktu, że Vincent jest we mnie, pieprzy mnie. Fundamentalny akt. Jego przyjemność, moja przyjemność; nie istniała inna kolejność. Tymczasem tuż przed samym orgazmem wycofał się, przesunął w dół do ud, przewrócił się na plecy, odwracając mnie wraz z sobą.

- Usiądź mi na twarzy.

- Uduśisz się.

- Usiądź mi na twarzy.

Posłuchałam go, pozwoiliłam rozsunać sobie nogi, opuściłam się na jego język. Choć zajmowałam dominującą pozycję, czułam się dziwnie bezbronna, moje całe ciało poddało się władzy jego warg

i ręk. Zachowywał się niedelikatnie i nieelegancko, łapiąc mnie za pośladki i zmuszając, bym się na niego opuszczała, podczas gdy on myszkował we mnie, podgryzał mnie, smakował. W końcu tak pieszczona, zmuszona do pogrążenia się w rozdzierającej rozkoszy doszłam - i doszłam, i doszłam, i doszłam, łapiąc z trudem powietrze, cicho krzycząc, chwytając się poduszki jak tonący przysłowiowej brzytwy. Vincent wszedł we mnie od tyłu niemal natychmiast, ja zaś leżałam słaba w stanie skrajnego wyczerpania. Penetrował ostrożnie, starając się opóźnić nadciągający orgazm, obejmując mnie rękoma i nogami w chwycie niemal zapaśniczym. Czułam się, jakbym nie miała kości; nie stawiałam oporu, poddawałam się z własnej woli. W końcu Vincent nie mógł już dłużej się powstrzymać; jego ciało napięło się, zeszytywniało i zadrżało w ekstazie tak jak drży strzała w środku tarczy strzelniczej lub struna harfy wydając nieznośnie słodki dźwięk. Potem przez dłuższy czas nie poruszaliśmy się i prawie nic nie mówiliśmy, wycieńczeni, skąpani w pocie.

- Micky... -Tak?

- Jesteś okropna.

- Ty też.

- Cholernie cię lubię - powiedział niskim głosem, a właściwie mruknął pod nosem tak niechętnie, że zaczęłam zastanawiać się, komu to mówił poprzednio i czy w ogóle mówił.

- Daj spokój - odpowiedziałam automatycznie.

Cholernie cię lubię, Vincent. Jesteś legalnym oszustem, uczuciowym wandalą, wykształconym barbarzyńcą, mściwym bez potrzeby i szkodliwym dla otoczenia niczym przeciek radioaktywny. Jeśli sprowadzić wszystko do arkusza kalkulacyjnego, po jednej stronie „winien”, po drugiej „ma”, to zasługujesz na wszystko, co oboje z Ałunem Craigem chcemy ci zrobić. Ale lubię cię. Wolałabym, żeby było odwrotnie, ale lubię cię i to bardzo. Sprawiała mi przyjemność ta walka, ryzyko, huragan, łóżko. Szanuję cię, jak nigdy nie szanowałam żadnego obiektu „Śledztwa”. Lubię twoją siłę, którą źle pożytkujesz, opanowanie, które powinieneś już stracić, ironię, z którą podchodzisz do swych wad. Na swój pokrętny sposób jesteś uczciwy. Nie udajesz, nie starasz się zrobić wrażenia, nie zależy ci. A człowiek jest czymś więcej niż arkuszem kalkulacyjnym, więcej niż równaniem dobrego i złego. Lubię cię za pożar duszy, którego istnieniu zaprzeczasz, za płomień, który dostarcza paliwa twojej sile i trawi

twoje serce. Prędzej czy później - lepiej jak najprędzej - wyjdę stąd z tymi przekłętymi taśmami i rozpocznę proces niszczenia ciebie. Ale nie wygram. Ty będziesz walczył, ty przeżyjesz. Wiem o tym i cieszę się.

- Psiakrew.

- Coś ty powiedziała?

- Powiedziałam: psiakrew.

Vincent wysunął się ze mnie i sennie zwałił obok.

- Czemu?

- Naszło mnie jakoś. O czym to mówiliśmy?

- Kiedy?

- Przedtem.

- Powiedziałaś, że nie potrafisz podziwiać mnie bezkrytycznie. - Uśmiechnął się niewyraźnie. - Wygłosiłaś całą mowę. Potem znowu przyczepiłaś się do końca świata. Najwyraźniej masz bzika na tym punkcie.

- A ty masz bzika na punkcie porcelany, o ile dobrze sobie przypominam - odparłam. - To jasne, że zupełnie nie pasujemy do siebie. Od początku tak myślałam.

- **Stronzate** - rzekł Vincent. - Wiesz, jak dojdzie do tej ostatniej wielkiej bitwy, możemy rzucać w siebie talerzami. Przyciągnął mnie i objął, jak zwykle podkładając mi ramię pod głowę.

- Jeśli zaśniesz w tej pozycji, będziesz chrapał - ostrzegłam go. Myślę, że były to moje ostatnie słowa.

Obudziłam się przed świtem wiedząc, że czas odejść. Ta myśl czekała tylko, żebym otworzyła oczy, jak gdyby decyzja została podjęta przez moją podświadomość wcześniej, a podczas snu wydostała się na powierzchnię mego mózgu. Czas odejść. Myśl twarda jak rozkaz, ucisk w żołądku, którego nie potrafiłam wytłumaczyć. Miałam potrzebną mi informację, zadanie zostało wykonane. Poprzedniej nocy dotarłam do krawędzi. Ale czego? Góry czy przepaści? Jeszcze jeden krok i będzie za daleko. Muszę odejść. Teraz.

Wysunęłam się z łóżka możliwie jak najciszej, bojąc się, żeby Vincent się nie obudził, a zarazem marząc o tym.

Poruszył się, zmienił pozycję, podciągnęłam mu nakrycie na piersi. Żegnaj, Vincent. Życzę ci powodzenia i niepowodzenia. Chwyciłam jego

koszulę, moją bieliznę, torebkę, jej zawartość. Z pokoju naprzeciwko zabrałam pogniecione resztki mojej srebrnej sukni - nie chciałam zostawiać żadnych śladów po sobie. W jednej z szaf znalazłam parę tenisówek, przypuszczalnie Irvinga, tylko jakieś dwa-trzy numery za dużych dla mnie. Uciszyłam sumienie mówiąc sobie, że tylko je pożyczam i odeślę pocztą lub zostawię u Phyl. Ubrałam się w salonie, w ciemności. Panowała taka cisza, że w całym domu słyszałam powolny i równy oddech Vincenta, a w każdym razie tak mi się wydawało. Nie było innego dźwięku, jeśli nie liczyć porannego ćwierkania samotnego ptaka gdzieś w ogrodzie. Poczułam, że jest w tym coś złowróżbnego. Gwizdzący herald ogłaszał wschód słońca, mój odjazd, otwarcie drzwi, za którymi czekał realny świat.

Czyżbyś nie słyszał tej Ciszy,

w której nie ma ptaków,

a mimo to coś ćwierka jak ptak?

Stałam przy drzwiach - frontowych drzwiach - nieco drżąc, choć nie było zimno. Vincent ich nie zamknął, wystarczyło nacisnąć klamkę. Rozległo się lekkie trzaśnięcie, zagryzłam wargi, ale zawiasy na szczęście nie skrzypiały i nie trzeszczały. Chwilę nadśluchiwałam. Nic się jednak nie poruszyło, nikt się nie obudził i nie zawołał. Po schodach spłynęło jedynie westchnienie, podpowiadane mi przez wyobraźnię, westchnienie przez sen.

Wysunęłam się w półmrok jak duch, zamknęłam za sobą drzwi i pomaszerowałam podjazdem ku drodze tak szybko, jak pozwoliły mi człapiące buty.

Dotarcie do Ashleyów zabrało mi prawie godzinę. Przez pewien czas szłam kierując się na wschód, zresztą idąc z West Point nie miało się innego wyboru, aż wreszcie podjechał dżip z dwoma policjantami, którzy spytali, dokąd idę i czy nie potrzebuję pomocy. Wyjaśniłam, że w czasie huraganu uległam wypadkowi, potem zajęli się mną jacyś mili obcy ludzie, a teraz staram się wrócić do domu. Kiedy wymieniłam Wina Ashleya, policjanci zrobili się nader życzliwi i uparli się, że odwiozą mnie na miejsce, choć w związku ze szkodami poczynionymi przez huragan mieli mnóstwo innych rzeczy do roboty. Widząc, że przejęłam się oglądanymi po drodze widokami, zapewnili mnie, że mogło być znacznie gorzej. Jedną śmierć spowodowana przez przewrócenie się drzewa i sześć ofiar na morzu. Wyraźnie mieli za sobą niejednego huragan, mówili jak znawcy,

wspominali zniszczenia w przeszłości. Odpowiadałam machinalnie. Wsiadłam przy bramie, podziękowałam i podeszłam do domu.

Drzwi otworzyła służąca, która tak wrzasnęła, jakbym wróciła z zaświatów. Jej wrzask zapoczątkował reakcję łańcuchową - na schodach pojawił się Win w haftowanej pizamie wartej tyle co sztuka Noela Cowarda oraz Phyl zbyt przejęta, by pamiętać o włożeniu szlafroka. Rzuciła mi się w ramiona z piskiem syreny zwiastującej naloć.

Wspięła się, żeby mnie pocałować, Win objął mnie z prawdziwą ulgą.

- Micky, kochanie! - Słowa spadały z języka Phyl w większym tempie niż zwykle. - Co się z tobą działo? Gdzie byłaś? Tak się martwiliśmy, chciałam zadzwonić na policję, ale Puchatek mi nie pozwolił, powiedział, że możemy pokrzyżować ci szyki i że gdyby coś ci się stało, to i tak się dowiemy, na wszelki wypadek pojechał do Langelaanów, a Pete mu powiedział, że wyszłaś z Vincentem, i że byłaś pijana i Vincent był pijany, a on, Pete, jest taki głupi, strasznie głupi, że was puścił. Byłam bardzo niespokojna. Nie spałam całą noc, bez przerwy myślałam o tobie...

- Którą noc? - spytałam, by zatrzymać ten potok.

- Ostatnią, poprzednią, wszystkie noce. Kochanie, co się stało? Wyglądasz na opaloną, ale jednocześnie trochę bladą. Ciut zieloną. Nie czujesz się dobrze. Powinnaś napić się herbaty...

- Wyglądasz, jakbyś miała zemdleć - stwierdził Win. - Chodź, Micky.

Wziął mnie za rękę i zaprowadzili mnie do pokoju śniadaniowego, kazali przynieść herbaty, kawy i wszystko, co tylko przyszło im do głowy, a służąca Phyl, która nie chciała przepuścić mojego opowiadania, została niemal siłą wysłana po zapomniany szlafrok. Powiedziałam: czuję się dobrze, ale nikt nie zwrócił na to uwagi, a ja prawdę mówiąc czułam się jeśli nie bliska zemdenia, to w każdym razie miałam miękkie kolana, jak ktoś w szoku po przykrym wypadku.

- Phyl - powiedziałam, kiedy w końcu usiadła obok mnie - powiedz Patrice, żeby spakowała mi rzeczy. Muszę wyjechać. Muszę zniknąć z wyspy. Jeśli nie samolotem, to statkiem, albo popłynę wpław, albo już sama nie wiem, ale muszę stąd wyjechać.

- Co się stało? - zawyła Phyl. - Zwariuję, jeśli natychmiast mi nie powiesz. Chcesz, żeby trafiła do domu wariatów? Co się stało, co się stało?

- Uspokój się - rzekł Win. - Opowie nam, kiedy uzna za stosowne.

- Pojechałam z Vincentem - zaczęłam - tak jak powiedział Pete.

Chyba rzeczywiście byliśmy oboje nieźle pijani. To znaczy, ja na pewno. Vincent rozbił samochód i musieliśmy na piechotę dotrzeć do West Point. A potem ja... poszłam z nim do łóżka.

- Dobrze było? - spytała Phyl z niewybaczalną niecierpliwością.

- On jest stłumionym homoseksualistą - rzekł Win tęsknie.

- Założę się, że jego specjalnością jest sodomia.

- Jego specjalnością nie jest sodomia - odparłam - lecz seks oralny. W dużych dawkach.

- Było dobrze - stwierdziła Phyl z westchnieniem. - A potem? Czemu nie wróciłaś do domu?

- Nie było czym - odparłam. - Elektryczność wysiadła. Telefon wysiadł. Ugrzęźliśmy. Nie mieliśmy nic do roboty, więc... rozmawialiśmy. Przez dwa dni wyłącznie rozmawialiśmy. Opowiedział mi o sobie, a ja to nagrałam. Mata Hari. Wszystko poszło idealnie. Jak we śnie. Nawet huragan był idealny, jakbym go zamówiła.

- I dodałam: - Jest mi niedobrze.

To była prawda. Docierała do mnie rzeczywistość - w okrągłych oczach Phyl, w krzywym uśmiechu Wina. Idylla się skończyła

- brutalny fakt tego, co zrobiłam, spojrzał mi w oczy i rąbnął mnie w żołądek.

- Chcesz powiedzieć - rzekła Phyl - że wyciągnęłaś od Vincenta wszystko co chciałaś?

Przytaknęłam.

- Będzie mnie szukał - powiedziałam. - Ponieważ uważa cię za ptasi mózdzek, zdolny tylko do wychodzenia za mąż dla forsy, więc...

- O, dzięki - wtrąciła oburzona Phyl.

- ... więc udawaj osobę mało kontaktową i bądź nieco zaskoczona jego wizytą. Nie znasz mnie dobrze, nie widziałas mnie. Zniknęłam. O, oddaj mu to. - Zrzuciłam tenisówki. - Myślę, że należą do Irvinga. Powiedz, że zostawiłam je służącej.

- Nie wypada pewnie pytać, co się stało z twoimi pantoflami?

- zauważyła Phyl. - I z suknią? Czy to Vincent zerwał ją z ciebie w szale miłosnym?

- Nie - odparłam wyciągając srebrne strzępy z torby. Phyl obejrzała je ze smutną miną. - Podarła się w czasie wypadku. Tam też straciłam pantofle. Bardzo cię przepraszam. Zwrócę ci pieniądze.

- Nie bądź głupia - obruszyła się Phyl. - To tylko kiecka. Spełniła już swoje zadanie, prawda? Sprawimy jej piękny pogrzeb. Poległa w trakcie pełnienia obowiązków służbowych. O, dobrze, jest herbata. Kochanie...

- Nie mogę - odparłam. - Naprawdę muszę już iść. Boję się to opóźnić. Jeśli Vincent mnie znajdzie...
- Nie znajdzie. - Win wstał z miną świadcząca o podjętej decyzji.
- Siadaj, napij się herbaty. Zadzwoń na lotnisko, zamówię ci bilet. Dokąd chcesz lecieć?
- Barbados. Ale...
- Świetnie. Micky, powiedziałem: siadaj! I nie jęcz z powodu forsy. Jak to się mówi, jedziemy na jednym wozie. Wszyscy za jednego i jeden za wszystkich. To znaczy liczę, że nie wyłączysz nas, Phyl i mnie, z tej zabawy, skoro razem zaszliśmy już tak daleko. Wyobraź sobie, że jesteśmy trzema muszkieterami. Zawsze bardzo mi się podobały te ich luźne koszule i obcisłe satynowe spodnie do kolan. - Poklepał mnie po ramieniu swą wymanikiowaną dłoń.
- Siedz tu. Wynajdę ci samolot, a w odpowiednim czasie odwozę na lotnisko. Gdyby Vincent zjawił się tu przedwcześnie, schowasz się w tej orientalnej serwantce. Chyba nie będzie przeszukiwał domu.
- Jesteś cudowny, Puchatku - wyrwało mi się. Nie mogłam sobie tego darować, ślubowałam, że nigdy go tak nie nazwę. - Tylko... że ty czegoś nie rozumiesz. Kiedy telewizja pokaże ten program, Vincent się domyśli, że to ja zrobiłam. Nie chcę was w to wciągać. On musi myśleć, że was też nabrałam.
- To ładnie z twojej strony - stwierdził Win. - A teraz już przestań nudzić i zjedz śniadanie. Wyszedł, a ja siedziałam ze wzrokiem utkwionym w plasterku melona. Powinna napłynąć mi ślinka do ust, a tymczasem odnosiłam wrażenie, że mój układ trawienny zastrajkował.
- Co powiesz na bekon i jajka? - spytała Phyl. Skuliłam się.
- A na grzankę z masłem? Muesli? Wędzonego łososia?
- Dzięki - odparłam. - Po prostu nie jestem głodna. I dodałam, raczej bez sensu: - Przepraszam cię. Za wszystko.
- O, Micky. - Phyl wzięła mnie za rękę, pogłaskała po głowie. Było to możliwe, bo na siedząco byliśmy niemal równego wzrostu.
- Farzad miał rację - ciągnęłam. - Nie miałam prawa cię w to wciągać.
- Aleja się dobrze bawiłam! - zaprotestowała Phyl. Po chwili zaś spytała: - A ty?
- Pytanie nie na miejscu.
- Ale szczerze. - Tak bezlitosna szczerłość może istnieć tylko między kobietami, nigdy między mężczyznami. - No więc?

Nawet nie próbowałam odpowiedzieć. Wobec czego dla odwrócenia uwagi Phyl wdała się w opowieść o efektach ubocznych huraganu Anneka. Zmusiłam się do zjedzenia kawałka melona. Komórki smakowe powiedziały mi, że to melon, ale miałam wrażenie, że połykam surowe ciasto.

Po pewnym czasie wrócił Win.

- Załatwione - oświadczył. - Patrice pakuje ci walizkę. Odłożyliśmy trochę ciuchów, bo pomyślałem, że zechcesz się przebrać.

- Oczywiście. - Dość późno uświadomiłam sobie, że jestem boso i ubrana nieco nieodpowiednio.

- To koszula Vincenta? - zainteresował się Win. - Giorgio. Bardzo ładna. Co masz zamiar z nią zrobić?

- Zatrzymam na pamiątkę - odparłam.

- Skalp do twego wigwamu? Uśmiechnęłam się krzywo.

- Mało śmieszne.

Później, kiedy już byłam przebrana, obuta, zapakowana, gotowa i siedziałam w samochodzie Wina, Phyl jeszcze raz mnie gwałtownie przytuliła.

- Nie zrobisz sobie już żadnej krzywdy, prawda? - spytała porozumiewawczo, co zbiło mnie z tropu, bo uświadomiłam sobie, że ona myśli Bóg wie co.

Odjechaliśmy, żegnani przez machającą ręką Phyl. Chciało mi się płakać, chociaż nie należę do ludzi, którzy płaczą z powodu przyjaciół. Usiłowałam podziękować Winowi, a potem go przeprosić, ale on o niczym takim nie chciał słyszeć.

- Tylko nie zapomnij zadzwonić - powiedział. - Umieramy z ciekawości, jak to się skończy.

Na lotnisku w Praline piorunem sprawdzono mi paszport i wsadzono do czekającej Cessny. Do ostatniej chwili się spodziewałam, że Vincent zmaterializuje się niczym diabeł w pantomimie, zawoła do mnie po imieniu, krzyknie, żebym wróciła. Lecz samolot poderwał się i ta groźba - czy możliwość - została na dole wraz z pasem startowym.

Dominika malała, drogi zwężyły się, góry obniżały, poki nie stała się żywym kawałkiem mapy ziemi na tle morza.

Ryk silnika zagłuszał rozmowy i myśli. Siedziałam w miłym odrętwieniu, podczas gdy samolot przedzierał się przez chmurę i wzbijał jak Ikar ku słońcu.

Rozdział czwarty

Vincent spał długo. Roleta w oknie nie przepuszczała światła poza cienką złotą nitką wzdłuż krawędzi; ta nitka niby świetlisty napis przesunęła się w poprzek łóżka i wspięła na wzniesienie jego ciała. Sztucznie chłodzone powietrze zadawało kłam upałowi na zewnątrz. Około dziesiątej Vincent zaczął powoli się budzić. Przeciągnął się leniwie jak kot, przewrócił na wznak, uniósł powiekę na milimetr, opuścił ją i zapadł ponownie w drzemkę. Uświadomił sobie, że jest sam, czym się jednak nie przejął, bo z dołu dochodził go odgłos lecącej z kranu wody, cichych kroków, skrzypnięcia drzwi, które się otworzyły i zamknęły. Kiedy jednak Micky długo nie wracała do łóżka, zirytował się i obudził do końca. Wstał i nie zakładając szlafroka zszedł po schodach, nagi jak go Pan Bóg stworzył, licząc, że jeśli zademonstruje Micky swą erekcję, to nakłoni ją do powtórki ich wyczynów z poprzedniej nocy. Służąca, która właśnie stawiała się do pracy po przerwie spowodowanej huraganem, na jego widok wydała zduszony krzyk i wytrzeszczyła oczy.

- Gdzie jest Micky? - spytał ostro Vincent, nie tracąc czasu na fałszywą skromność czy zakłopotanie.

- Słucham? - Wpatrywała się jak zauroczona w męskość Vincenta.

- Micky. Dziewczyna, która tu była. Poszła popływać? - Mówiąc to rozglądał się po pokoju. Odnosił niejasne i męczące wrażenie, że czegoś w nim brakuje. No oczywiście. Torebki. Tej cholernej torebki, z którą nie rozstawała się ani na moment, wlokła za sobą przy każdej zmianie miejsca. Nie przypominał sobie, żeby ją widział w sypialni, a z całą pewnością nie było jej tutaj. Poczł ukłucie irracjonalnego niepokoju. Odsunął na bok zdumioną służącą i wybiegł, wciąż nagi, do ogrodu. Nikogo w nim nie było. Wyjrzał na plażę.

Długie cienie skały kładły się na pusty piasek. Po morzu zielonym niby szkło przesuwają się zmarszczki fal rzucając krótkie ostre refleksy. Żadnego porzuconego ubrania, ani śladu wiernej torebki. Ani śladu Micky.

Wrócił do domu, wziął prysznic, ubrał się. Nie był w stanie analizować, dlaczego Micky odeszła bez pożegnania, nie zostawiwszy jakiegokolwiek kartki czy adresu - wiedział tylko, że musi ją odnaleźć. Bez skrupułów objął w posiadanie starego „garbusa” służącej, wyjąwszy z jej nie broniącej się ręki kluczyki i nie zostawiając czasu na protest. Ruszając rzucił przez ramię:

- Te trzy zamrażarki w spiżarni się rozmroziły. Tego, co w nich jest, nie należy ponownie zamrażać. Proszę to potem zabrać z sobą i rozdać ludziom w wiosce. Niemądrze byłoby zmarnować tyle jedzenia. - I w tonie ustępstwa: - Jak wrócę, oddam samochód.

Zasłużył sobie na aureolę (lub złośliwy uśmiezek), robiąc coś, co Micky na pewno by pochwaliła. To głupio się wszystkim martwić, ale widać miała taką naturę. Należała do ludzi, którzy przejmowali się środowiskiem, ojczyzną, końcem świata, psującym się jedzeniem w trzech pękających od niego zamrażarkach. Nie była w jego typie.

Przypominała Jan Horrocks, żonę jednego z tych półgłówków w komitecie planowania, z którą przespał się przy okazji sprawy Walmsley. Tylko że tamta zaliczała się do tych wojowniczych i kochliwych kobiet, Micky natomiast - dzięki Bogu - była wesółą, swobodną, delikatną. Tylko raz rozgniewała się na niego, poprzedniego wieczora. Jej gniew tak ich oboje rozpałił, że doszło między nimi do gwałtownego zbliżenia. Potem już była spokojna. Dlaczego więc do diabła odeszła?

Szkoda czasu na takie pytania. Na pewno zastanie ją u Phyllidy Khorman. Tylko tam mogła się udać. Nagada jej, że wyciągnęła go z łóżka, kiedy akurat chciało mu się poleżeć i odbyć z nią leniwy stosunek. Cokolwiek nią powodowało, zbędzie to sarkazmem, wyśmiejem, nakłoni lub zmusi, by wsiadła z nim do Volkswagena i zawiezie z powrotem do West Point, gdzie pozostaną razem do końca jego wakacji. Może dłużej. Skoro jednak był tego pewien, to czemu do jego myśli zakradł się jakiś strach, znak zapytania? Raptem poczuł, że jego pewność jest bardzo powierzchowna.

Kilka razy źle skręcił, nim znalazł dom Ashleyów. Kamerdyner, który mu otworzył, wyrecytował wyuczoną odpowiedź, lecz Vincent puścił ją mimo uszu, wyminął go, przeciął salon, wyszedł na taras.

Nad basenem leżała Phyl. Ramiączka od bikini miała pod pachami, z bliźniaczych miseczek krezowanej Iycry wylewały się pokaźne piersi. Obrazu dopełniały ciemne okulary i otwarty numer *Cosmopolitan* - rekwizyt podkreślający ftywolność jej wyglądu. Na widok Vincenta usiadła, jedną ręką przytrzymała opadający stanik, drugą zanurzyła okulary w basenie. Niewielu kobietom manewr ten udałby się bez utraty równowagi lub przyzwoitości, lecz Phyl się udał. Uniosła brwi, jej wargi uformowały artystyczne „o!”.

- Vincent Savage - powiedziała. - To... to cudownie. Ale obawiam się, że...

- Szukam dziewczyny - przerwał jej Vincent. Phyl uległa swemu gorszemu ja.

- Naprawdę? - powiedziała z udanym zdumieniem. - Właśnie tutaj?

- Nie takiej dziewczyny - zdenerwował się Vincent. - Tej, która była z panią. Micky. Micky Annesley.

- Ach... rzeczywiście. - Zmarszczyła czoło, jak gdyby usiłowała coś sobie przypomnieć. Coś, co zdarzyło się dawno i zupełnie uciekło jej z pamięci. - Rzeczywiście, była tutaj. Pojęcia nie mam, dlaczego ją zaprosiłam, ale wie pan, jak to czasem bywa. Wyrwało mi się, a potem niezręcznie było się wycofać. Tak czy owak poznała kogoś na przyjęciu u Deirdre i się ulotniła. Ten ktoś to mężczyzna, ale ona nigdy tego nie robiła, jeśli pan się domyśla, o co mi chodzi. W szkole uważałyśmy ją za przeraźliwie nudną. Typowy kujon.

- Nie martwiła się pani o nią? - spytał Vincent zbity z tropu. - Że zniknęła w czasie tego huraganu?

- Nie, niby czemu? - Phyl miała rozbawioną minę. - Nigdy się o nikogo nie martwię. Od tego dostaje się zmarszczek. Zapanowała przerwa, w czasie której Phyl z osobistą satysfakcją zauważyła, jak Vincent zacisnął wargi. Oj, Micky, Micky, coś ty narobiła? - pomyślała.

- Mimo wszystko może panią zainteresuje, że to właśnie ze mną wyszła - rzekł Vincent. - Zaopiekowałem się nią. Miała cholerne szczęście. Gdyby nie ja, nie wiadomo, co by się z nią stało. - Sprawę rozbicia samochodu ominął jako nieistotną. - Na przyszłość radzę, żeby pani lepiej dbała o swych przypadkowych gości.

Phyl zrobiła minę małej dziewczynki przyłapanej na wkładaniu ręki do słoika z ciasteczkami.

- A teraz - ciągnął Vincent - znowu zniknęła. Pani jej nie widziała?

- Jak to jednak ludzie się nie zmieniają - wygłosiła Phyl podchwytyjąc szansę. - Kiedy byliśmy małe, też ciągle gdzieś uciekała. Raz zwiąła, gdy nauczyciel religii wyrzucił ją za drzwi za to, że powiedziała, że nie wierzy w piekło. Znaleźli ją kilka godzin potem. Siedziała pośrodku wielkiej łąki. Powiedziała, że chciała spokojnie pomyśleć. Może pan to sobie wyobrazić?

Vincent, który odnosił wrażenie, że trafił do całkiem innego świata albo został uwięziony między kartkami jakiejś szczególnie kretyńskiej współczesnej powieści, starał się jak mógł, by sprowadzić rozmowę na właściwe tory.

- Proszę mi tylko powiedzieć, gdzie ona jest? - dał za wygraną. - Czy wróciła? Przecież musiała mieć z sobą jakąś walizkę.

- Zabrała ją z samego rana - prędko odpowiedziała Phyl. - Ja się z nią nie widziałam, służąca mi powiedziała. Pomyślałam, że to trochę dziwaczne, nawet mi nie podziękowała. Aha, zostawiła parę butów. Tenisówki. Z pewnością nie należą do niej. To pana?

- Pewnie Irvinga. Czy pani...

- Dobrze nieba! - wykrzyknęła Phyl. - Nie miałam pojęcia, że to kleptomanka. Proszę, jakbym słyszała moją matkę. Żeby się nie wiem jak dobrze znało człowieka, nigdy nie można poznać go do końca.

- Głęboka myśl - zauważył Vincent. - Proszę posłuchać, ja muszę się z nią skontaktować. Czy pani ma jej adres w Anglii?

- Oczywiście - odrzekła Phyl. - To znaczy: miałam. Zapisałam go w różowym notesiku. A może w niebieskim? Szukałam go nie dalej jak wczoraj, bez skutku. To bardzo ważne?

- Bardzo.

- Dlaczego?

Vincent poczuł, że ma dość.

- Podwędziła srebrne łyżeczki - odparł krótko. - Irving się wścieknie. To były łyżeczki w stylu George'a IV. Nie do odkupienia.

- Nie może być! - Tę ostatnią piłeczkę Phyl odbiła z wielkim upodobaniem. - Rzeczywiście, w szkole raz zdarzył się taki incydent, ale to było zaraz po śmierci jej ojca, Micky była emocjonalnie zaburzona i po prostu nie panowała nad sobą. Wysłali ją do psychologa. Zastanawiam się... Boże, ona tutaj przebywała kilka dni! Moja biżuteria! Japońskie ryciny Wina! Patrice! Patrice!

Ale cyrk, pomyślała. Wiedziała, że Vincent bredzi, Vincent wiedział, że ona mówi od rzeczy, lecz oboje uparcie brnęli dalej.

Vincent najwyraźniej nie podejrzewał, że gospodyni **celowo** nie idzie mu na rękę. Bez wątpienia przypisywał jej popisy jednocyfrowemu ilorazowi inteligencji i skłonnościom do egzaltacji. W tych okolicznościach Phyl postanowiła sobie użyć. Dwadzieścia minut trwało sprawdzanie jej biżuterii i innych drogocenności, dalsze dziesięć zajęło poszukiwanie nie istniejącego notesu.

- Kiedy wróci Win? - spytał Vincent.

- Boja wiem. - Zachowanie Phyl sugerowało, że jej najmocniejszą stroną jest ignorancja. Dziwactwem - i impertynencją - było zakładanie, że może wiedzieć cokolwiek.

Vincent odjechał wściekły i rozdrażniony.

Pojechał na lotnisko. Przeprowadził wyczerpujące dochodzenie, ale nie dowiedział się niczego ani o rutynowych lotach, ani o godzinie odlotu taksówki powietrznej. Magia nazwiska Ashley i pokaźne łapówki Wina sprawiły, że wszystko zostało okryte welonem dyskrecji. Win, zdecydowany zatkać wszystkie miejsca potencjalnego wycieku, z lotniska udał się do miasteczka na pogawędkę z właścicielką butiku. Kiedy stamtąd wychodził, przejechał koło niego Vincent. O wiele za prędko jak na teren zabudowany. Pędził w stronę portu. Win pomyślał to samo co Phyl: „Oj, Micky, Micky...”

Spędziwszy nieproduktywny poranek Vincent nieproduktywnie marnował popołudnie. Po powrocie do West Point drugi raz zatelefonował na lotnisko, do portu, do strażników wybrzeża, do Hannibala w Los Angeles, a nawet do Pete'a Langelaana. Niestety odebrała Deirdre.

- Vincent, kochanie, nie jestem w stanie pamiętać wszystkich panienek, które przewinęły się przez moje przyjęcia. Wiesz, jak to jest. Starasz się nie przyjmować byle kogo, ale zawsze ktoś taki się wśliźnie. Przyszła z przyjaciółką? One zawsze tak mówią. Z Phyl Khorman? To mnie nie dziwi. Phyl jest strasznie kochana - szczerze, to jedna z moich najlepszych przyjaciółek - ale, jak o niej mówią, jest nieprzyzwoicie dobra. Potrafi zaprosić na kolację byle łazęgę, jeśli poskarży się, że jest głodny. Jak wyglądała ta dziewczyna? Krótko ostrzyżona blondynka? Tak, teraz ją sobie przypominam - miała suknię od Lagerfelda. Gdyby nie ta suknia, niczym by się nie wyróżniała. Nie, nie mogła jej kupić ze zwykłej pensji. Och, w telewizji? Nieprzyjemna sytuacja, kochanie. Stawiam dziesięć do

jednego, że pracuje w biurze jednego z tych ewangelickich kanałów. Pete mówił, że próbował ją poderwać, ale zupełnie nie zaskoczyła.

- Ona jest Angielką - rzekł Vincent. - Mówimy o angielskiej telewizji. W Anglii praktycznie nie ma religijnych kanałów. Jedną z niewielu pozytywnych stron mojego kraju jest to, że arcybiskup Cantenbury nie wpadł na pomysł, by prowadzić własny talk-show. Ale to tylko kwestia czasu.

Odwiesił słuchawkę. Zbyt obcesowo.

Jego rozmowa z Hannibalem pod pewnymi względami była jeszcze bardziej deprymująca.

- Co, zgubiłeś jakąś blondynkę? - nie mógł zrozumieć jego giermek. - Vin, odbiło ci? W Los Angeles mamy więcej blondynek niż robaków w trupie. Gubisz jedną, znajdujesz drugą. Czego jak czego, ale tego towaru tu nie brakuje. Zapakuję ci jakąś i wyślę ekspresem... dobrze, już dobrze. Zaczniemy od początku. Poszedłeś na przyjęcie i poznałeś dziewczynę. Znasz tylko jej imię i nazwisko... aha, opowiedziała ci o swojej rodzinie, o nudnej pracy i... o czym? O swej cholernej filozofii życiowej?! No niech ja skonam. Dobrze, dobrze, mów dalej. Wyszedłeś z nią w środku huraganu - jesteś pewny, że nie trzęsienia ziemi? - i ona była z tobą przez parę dni, po czym dała drapaką. Nikt nie wie, skąd przyjechała i dokąd odjechała. To brzmi jak bajka o tym zafajdanym Kopciuszku. Nie zauważyłeś gdzieś porzuconej dyni?

- Przestań się wygłupiać, dobrze? - zdenerwował się Vincent. - Ona pracuje w telewizji w jednym z tych programów dla masochistów, no wiesz, tych, co to oglądają telewizję do śniadania. Znajdziesz ją bez trudu. Zacznij od razu.

- W BBC czy 1TV?

- Tak. - Vincent nie był bardzo pomocny. - Michelle Annesley. Jej ojciec to poeta z okresu drugiej wojny światowej. Zdaje się, że był bardzo znany.

- Chcesz, żebym nadał sprawę „Quidnuncowi”?

- Nnie. Tego nie rób. Sam zajmij się jej znalezieniem. Powinno ci łatwo pójść. - Nalał sobie kieliszek bourbona i wypił go z roztargnienia bez lodu, choć nie brakowało go w lodówce. - Nie, nie przesadzaj. To tylko dziewczyna. Chcę wiedzieć, dokąd się udała i dlaczego. Nie lubię zagadek, ot co.

Kiedyś, sondując dno kałuży, rozwiązał tajemnicę Crystal, ale zajęło mu to trochę czasu. Micky wydawała mu się jeziorem bez dna,

a mimo to nawet w tak krótkim okresie udało mu się dobrze ją poznać - jej wytrawny humor, nieostrożne docinki, beznadziejne zasady - wiele różnych oblicz jej umysłu i nastroju. Nie miała nieruchomej twarzy sfinksa, maski, która prosiła się o zdercie. Na jej twarzy odbijało się szczęście i nieszczęście, odwaga i żal, słowem wszystko, co czuła. Dlaczego odeszła? Nie potrafię podziwiać cię bezkrytycznie...

- Vin - głos Hannibala przebił się przez jego myśli, by go dosięgnąć - zależy ci na tej dziewczynie, czy po prostu jesteś wkurzony, że sobie poszła?

- Jestem wkurzony - odparł Vincent i odłożył słuchawkę.

Ten wieczór spędził pijąc do lustra, czego nie miał w zwyczaju. Telewizja była nudna, a filmy Irvinga widział już wszystkie. Na chybił trafił wyjął płytę kompaktową i dopiero gdy ją włączył, uświadomił sobie, że niechcący wybrał Mahlera. Muzyka natarła na niego z dwunastu głośników, jak gdyby orkiestra była w pokoju wraz z nim, a Klaus Tendstedt walił go batutą po głowie. Znosił to stoicko, przeklinając technikę.

Następnego dnia poleciał do Los Angeles.

Poszukiwania Hannibala w angielskiej telewizji spełzły na niczym. Vincent nie mógł wyjść ze zdumienia. Czemu Micky miałyby go nabrać? Nawet nie udawała, że jej praca to coś wspaniałego czy interesującego. Nagle poczuł, że wraz z jej odejściem zatrzasnęły się przed nim drzwi, które niełatwo będzie otworzyć. Tym bardziej że nie miały dzwonka, kołatki, skrzynki listowej, klamki, dziurki od klucza. Bariera nie do przeniknięcia. Napotkawszy badawcze spojrzenie Hannibala, skrywane pod wyrazem absolutnego braku zainteresowania, zapewnił go, że ta sprawa w gruncie rzeczy nie miała dla niego znaczenia, dziewczyna była jedną z wielu blondynek (nawet niespecjalnie ładną) i że już o niej zapomniał.

- Połącz mnie z Londynem, mamy robotę.

- Nieładna, tak? - Hannibal popatrzył gniewnie. - Coś mi się tu nie podoba. Jeśli jest nieładna, to czemu tak panikowałeś?

- Nie panikowałem - odparł Vincent zimno - tylko byłem ciekawy. Zapomnij już o tym. I nie powiedziałem, że nie jest ładna, powiedziałem, że nie jest specjalnie ładna. Jest w porządku.

Tego wieczora poszedł do klubu z samymi blondynkami. .Były

ładniejsze od Micky. Lub po prostu uwierzył impresjonistycznemu oświeceniu, które większość szczegółów formy i rysów zostawiało domysłowi. Jednej postawił drinka, z drugą zatańczył, trzeciej utarł nosa. Żadna z nich nie miała nic oryginalnego do powiedzenia. Pamiętał mgliście, jak kiedyś Richard powiedział mu, że to on, nie kobiety, nie potrafi rozmawiać, nawiązać porozumienia, wczuć się w ich sprawy, zbudować związku. Z pewnością nigdy nie obnażył duszy przed Crystal, choć go niezgrabnie sondowała, pewnie uważając, że ma obowiązek wyciągnąć go z ponurego nastroju. Inna sprawa, że związek z Crystal oparty był właśnie na wzajemnej nieznajomości siebie - poznanie zabiło go. Od tamtego czasu zwierzał się jedynie Richmond, której rady, przynajmniej w niektórych sprawach, cenił wyżej od rad Hannibala czy Judasa Carsona. Ale to się zdarzało coraz rzadziej. W Micky natomiast znalazł idealną słuchaczkę, może zanadto krytyczną, trochę złośliwą, nie zawsze sympatyczną, zbyt obojętną, ale nie nudną i nie znudzoną. Powiódł spojrzeniem po sali zastanawiając się, czy wśród tych blondynek nie znalazłaby się jakaś Micky. Na pewno miały mnóstwo do opowiedzenia rzeczy wesołych i smutnych, ale co z tego, kiedy on potrafił powiedzieć im jedynie „hallo”, „dziękuję” i „odpieprz się”. Wcale nie miał ochoty przy nich trwać, wysłuchiwać ich historii. Po co zadawać pytanie, jeśli nie chce się poznać odpowiedzi? Wyszedł z klubu unosząc swe rozczarowanie. Na zewnątrz rzucił dwudziesto-dolarowy banknot żebrakowi, który wyglądał na ćpuna.

- Kup jednego na mój koszt - powiedział. - Strzel sobie i umrzyj, bo to najlepsze, co można zrobić.

Następnego ranka wściekł się na siebie za ten bezsensowny gest i banalne słowa. Na głowę upadł, czy co? Normalnie nie dawał niczego żebrakom. To denerwujące odstępstwo w swym zachowaniu złożył na karb słabości, głupoty, alkoholu.

- Trzymaj się zawsze zdrowego egoizmu - poradził zaskoczonej sekretarce. - Hojność może sprawić, że poczujesz się głównym, zwłaszcza jeśli zwykle nią nie grzeszysz.

- Dobrze się czujesz? - spytała sądząc, że ma kaca.

- Oczywiście, że dobrze - Vincent prawie wybuchnął.

Rozdział piąty

Po Dominice Barbados zaskakiwał ruchem, życiem, ale w moich oczach wypadał raczej tandetnie. Gdzie spojrzeć, restauracje szybkiej obsługi, bary dudniące muzyką, olbrzymie tablice z obrazami butelki Coca-Coli i popularnych papierosów. Po chodnikach snuli się ostentacyjnie przystojni młodzi mężczyźni w poszukiwaniu atrakcyjnych wczasowiczek, stada turystów wydających melodyjnie szpacze dźwięki i dziewczyny w dwu- i trzyczęściowych obcisłych kwiecistych sarongach, jedzące lody i oganiające się od podrywaczy. Na kruszejącej architekturze kolonialnej łuszczyła się migdałowa farba. Tubylcy niechętnym znużonym wzrokiem ludzi, którym permanentnie brakuje drobnych, patrzyli w ślad - choć bez złośliwości - za gromadami tych, którzy zawsze mają drobne i to w nadmiarze. Jedynymi oazami spokoju były drogie hotele; wszędzie poza nimi - na ulicy, plaży, dokądkolwiek się poszło czy zatrzymało na odpoczynek - ktoś nieustannie usiłował coś ci sprzedać. Nie miałabym żalu o to ciągle nagabywanie, gdyby nie to, że czułam się zmęczona i stopień mojej tolerancji znacznie się obniżył. Będąc znowu na własnym rozrachunku zameldowałam się w stosunkowo tanim hotelu, wzięłam prysznic marząc o wannie i na kilka godzin położyłam się do łóżka.

Wczesnym wieczorem wróciłam na lotnisko, by spytać o Windhover Air Taxis. Do biura telefonowałam bezskutecznie już kilka razy i obawiałam się, że recepcjonistka pozna mnie po głosie i potraktuje z rutynową wrogością. Przypuszczalnie Elizabeth Savage skontaktowała się z synem i zawiadomiła go, że nadała mi jego sprawę, on zaś stwierdził, że nie chce mieć nic wspólnego z dziennikarzami z telewizji. Podziwu godna postawa, którą będę musiała pokonać. Nie widziałam jego zdjęcia, nikt mi go nie opisał, spodziewałam się więc kogoś w rodzaju Bogarta. Kogoś, kto spędza

wolny czas w obskurnych barach, rozpamiętując grzechy młodości i ponuro wpatrując się w szklanę Jacka Danielsa. Od czasu do czasu rzuca barmanowi ciętą uwagę. „Był taki zabawny” - powiedziała o nim Crystal. Jakoś nie chciało mi się wierzyć, że Richard jest dalej zabawny. Pewnie nosi przy sobie jej fotografię i codziennie na nią zerka, a na jego wargi wypływa cyniczny uśmiezek, kuzyn tego Vincentowego. Opiewany przez wszystkich wdzięk z pewnością zwiądl, ciepłe serce oziębło, humor się skwasił. Podświadomie tworzyłam jego obraz na wzór i przeciwieństwo Vincenta, pozytywny wariant negatywnego osobnika, pokrewną duszę tego, z którym i mnie już wiele łączyło.

- Szukam Richarda Garoghana - wyjaśniłam, kiedy w końcu udało mi się dotrzeć do technika od Windhovera. - Leciłam z nim kilka tygodni temu. Zgubiłam notes, prawdopodobnie w tym właśnie samolocie. Chciałam spytać, czy go nie znalazł.

Grubymi nićmi szyte, ale co tam. Jeśli robiłam wrażenie, że szukam Garoghana z bardziej osobistych powodów, to jeszcze lepiej. Seks jest przyjętym usprawiedliwieniem niemal wszystkiego, a w tej podróży grałam prawie wyłącznie jokerami.

Technik okazał się nieużyty, odesłał mnie do biura, ale jeden z jego kolegów, otaksowawszy mnie wzrokiem, powiedział, że Richard wieczorami przesiaduje w barze w mieście. Nie mogłam wyciągnąć od niego nazwy tego baru, za to opowiedział, gdzie mniej więcej go szukać. Dla ułatwienia dodał, że nie jest to miejsce dla białych i dla dam.

- Richard jest biały - zauważyłam - a ja nie zaliczam się do dam. Richard, jak się okazało, był specjalnym przypadkiem. Barman go

adoptował. Był kumplem czyjegoś kumpla. Lubili go tu, chodził, dokąd chciał. Już to gdzieś słyszałam. Ten cały Richard ma znajomych na całym świecie, pomyślałam z przygnębieniem. Nieźle sobie radzi nawet w takich dość podejrzanych miejscach. Pewnie prostytutki mu matkują, a Jacka Danielsa dostarczają do domu. Podziękowałam mojemu informatorowi, zapisałam przybliżony adres na jakimś świstku, po czym ruszyłam do Bridgetown ściskając ów paperek jak plan, na którym zaznaczono, gdzie jest ukryty skarb. Po pół godzinie poszukiwań trafiłam do celu. Znałam podobne bary. W każdym turystycznym mieście jest jeden taki bez tablicy i nazwy, zwykle gdzieś w bocznej uliczce. Niczym nie wyróżniające się drzwi, wystrój podstawowy, klientela męska, często zramolała. Barmanka ucharakteryzowana na świeżą wdowę. Szafa grająca, jeśli jest, oferuje mieszankę przebojów z siedem-

dziesiątego ósmego roku. Żadnego wyszukanego oświetlenia, tańców, miniaturowych parasoli nad koktajlami w kolorze tęczy. Nawet jeśli mówisz płynnie językiem tubylców, to wymowa ludzi w tym szczególnym barze wyda ci się gęsta jak owsianka, a miejscowy dialekt kompletnie niezrozumiały. Zbici w grupki mężczyźni mruczą i popijają lokalne piwo, podejrzanie bezbarwne i zawsze grożące zatruciem. W tym przypadku pomieszczenie okazało się ciut większe niż zwykle, lada nieco czystsza. Ale atmosfera nikogo by nie zmyliła. To był bar dla tubylców, ich melina, azyl - potajemny, nędzny, ekskluzywny niczym loża masonów. Richarda, względnie niedawnego przybysza, tolerowali, bo zawarł właściwe znajomości. (Mówiono mi, że zawsze łatwo zawierał przyjaźnie.) Kiedy weszłam, wszystkie głowy odwróciły się w moim kierunku, rozmowy się urwały, po czym kontynuowano je, ale już ciszej. Rozejrzałam się wokół. Poza mną nie było tu żadnych turystów i tylko jedna biała twarz. To znacznie upraszczało sprawę.

- Dzień dobry - przywitałam się. - Pan musi być Richardem Garoghanem.

Nie był podobny do Bogarta. Ale też nie przypominał Vincenta. Jego twarz budziła zaufanie. Była ulepiona z dobrej gliny, w której przeżycia - dobre i złe - wyłobiły bruzdy, mimika ją poorwała, pofałdowała zmarszczkami - zmarszczkami uśmiechu i śmiechu, zdziwienia, figlarnego marszczenia czoła i głębokiego skupienia. Kurzymi stopkami wokół oczu, fałdką w kształcie motyla w kącie ust. Był ogorzały od słońca, zaczerwieniony od wiatru, z nosa schodziła mu skóra, włosy na ciemieniu wyblakły. Grzywka miała tendencję do spadania mu na oczy i ograniczania pola widzenia. Gdybym z nim leciała, trochę by mnie to denerwowało. Na tle opalenizny błyszczały oczy, szare z migdałowym jądrem, tak jasne, że widać w nich było ziarnistość tęczówki, tak jak widać wątek w surowym jedwabiu. Dwudniowy zarost był przypuszczalnie niezamierzony, pewnie nie zdążył się ogolić albo mu się nie chciało. Zaliczał się do niezbyt wysokich mężczyzn - jakieś metr siedemdziesiąt pięć - krępej budowy, z szerokimi ramionami. Która zrozpaczona dama nie chciałaby się w nich wyplakać? Może to zobaczyła w nim kiedyś zatrzymująca zegary Crystal - syrena z ogonem zaprojektowanym przez Cecila Beatona, która straciwszy swój syreni głos sama rzuciła się na skały. Zastanawiałam się, czy wiedział, a jeśli wiedział, to czy było to dla niego ważne. Spojrzenie miał otwarte, szczere, przyjazne, zdradzające jednak jakąś rezerwę,

podobnie jak dom-muzeum, w którym obok pokoi dostępnych dla publiczności kilka jest zawsze zamkniętych. W jego twarzy nie było ani śladu pielęgnowanej goryczy, urazy, tylko chroniczny optymizm, który jest jedynym sekretem wiecznej młodości. Ta otwartość, ta całkowita i beztroska szczerłość podziałała jednak na mnie zniechęcająco. Nie wyglądał na mężczyznę, którego zegar łatwo zatrzymać.

Przyjrzał mi się badawczo, jego spojrzenie na chwilę zatrzymało się na czapce RAF-u, która rzucała cień na moje czoło.

- Pani natomiast musi być tą dziennikarką mojej matki - stwierdził. Nie zamierzałam kłamać, ale poczułam zawód, że tak szybko mnie rozszyfrował.

- Nie - powiedziałam bez uśmiechu. - Z całym szacunkiem dla pana matki, ona mnie nie wynajęła. I żeby nie było nieporozumień: nie przysłała mnie tu.

- Wiem.

- Sama się przysłałam. Na koszt Thames Television. Czy mogę postawić panu drinka? - Wyciągnęłam portfel. - To znaczy nie ja, tylko Thames Television.

- Proszę im podziękować, ale nie - odrzekł Richard. Ten zamknięty pokój. - Muszą mieć gest, skoro wysyłają panią taki świat drogi na próżno.

- Mogę zamówić coś dla siebie? - spytałam. - Czy trzeba znać hasło? Barmanka do tej chwili nie zaszczyciła mnie drugim spojrzeniem ani też nie zaoferowała swych usług.

- Zafunduję pani drinka - powiedział Richard z niegodziwą kurtuazją, nie tylko stawiając mnie w trudnej sytuacji, lecz również czyniąc swą dłużniczką.

Trochę protestowałam, ale nieskutecznie. Barmanka przyjęła zamówienie z kapryśnym uśmiechem, mnie w dalszym ciągu ignorowała. Dwa schłodzone piwa pojawiły się w okamgnieniu. Nie przepadam za piwem, ale po pierwsze nie było wielkiego wyboru, po drugie liczyło się, że jest mokre i zimne.

- Podoba mi się ta czapka - zauważył Richard. - Miły dodatek. Zrobiła dobre wrażenie na mojej matce. Czy pani zawsze w trakcie wywiadu opowiada o swojej rodzinie?

Wyglądał na łatwiejszego od Vincenta, z czego wywnioskowałam, że czeka mnie ciężka przeprawa.

- Wolę opowiadać, niż pytać. Pani Savage opowiedziała mi o pana ojcu. - Podobnie jak ludzie w Ridpath, automatycznie

nazwałam ją panią Savage. - Uznałam za rzecz naturalną wspomnieć, że mój ojciec też służył w RAF-ie.

- Mój ojciec był dezserterem, biedny sukinsyn. Nie dostał medali za te niezliczone chwile, kiedy trzy tysiące metrów nad ziemią, w ciemności, panował nad nerwami, choć inny samolot pikował w niego, ostrzeliwał go. Wielka czarna plama za ten raz, kiedy nerwy mu puściły. Cóż, *c'est la guerre*. Nie dostaje się punktów za dobre chęci. Pani ojciec, jak się domyślam, był bohaterem. Niewiele mają ze sobą wspólnego.

W jego głosie nie było drwiny charakterystycznej dla Vincenta. Ton, jakim to powiedział, zostawił mi wybór - mogłam jego słowa potraktować jako powątpiewanie albo jako lekceważenie.

- I to jeszcze jakim - odparłam. - Latał tak samo jak pana ojciec i tak samo się bał. On pierwszy by przyznał, że miał szczęście, że nerwy mu nie puściły. Kiedy nastał pokój, nie podliczał punktów - sobie ani nikomu innemu. Starał się żyć z połową twarzy i pisać o tym wiersze. Może nie była to dobra poezja, ale płynęła z serca. Mnie w każdym razie się podoba. On też miał dobre chęci. Na wojnie starał się walczyć, a potem usiłował powiedzieć coś ważnego o tym chaosie. Zawsze starał się zrozumieć innych. On by zrozumiał pańskiego ojca, przypuszczalnie nawet bez trudu. Nie wiem, czy był bohaterem, ale starał się najlepiej jak potrafił, i to jego najlepiej było cholernie dobre. Dla mnie jest to wystarczającym bohaterstwem.

Cierpiałam na moralnego kaca. Dlatego traciłam panowanie nad sobą z najdrobniejszego powodu. Jak pijak, który następnego ranka wypił szklanekę wody, a ta cały alkohol skierowała z powrotem do krwi. Pobyt na Dominice osłabił we mnie latami ćwiczoną samokontrolę, zniszczył lodowatą fasadę, spowodował, że wewnątrz jak nie topniałam, to się kruszyłam. Stałam się nadwrażliwa, niestabilna, idiotycznie uczuciowa. Gdybym zrobiła to celowo, nie uzyskałabym lepszego efektu. Richard zmiękł.

- Przepraszam - powiedział. - Pomyślałem, że pani to wymyśliła, żeby nabrać moją matkę. O, do diabła! Proszę chustkę. Niech pani uważa, bo jest w smarze. Nie wygląda na chustkę, lecz na szmatę, ale wchłonie łzy. Nie wolno pani płakać, raz, że to nie w pani stylu, a dwa, że kiedy pani płacze, czuję się jak ostatni drań. Nie chciałem pani zdenerwować. Dziennikarze podobno są twardzi, przynajmniej tak sądziłem. Matka powiedziała, że pani jest inna. Jak widać, miała rację.

- Jestem twarda - warknęłam wściekła na siebie. - Zresztą już nie płaczę. Nie musiałam nabierać pana matki, nie było to potrzebne. Ale

gdyby było, nie zawahałabym się przed niczym. Na tym polega moja cholerna praca.

- Jak pani się nazywa? Murphy?

- Micky Murphy.

- Ładnie. Pasuje do czapki. - Tym razem nie było w tym ani cienia sarkazmu. - Niech pani posłucha, pani Murphy - panno Murphy...

- Micky.

- Niech będzie, choć to niczego nie zmieni. Tracisz czas, Micky. Moja droga matka bardzo mnie kocha, co pewnie nie jest niczym niezwykłym u matek, z wyjątkiem złych matek, niestety wierzy w stare porzekadło mówiące, że matka wie najlepiej. Jej kurczątko wyrosło i wyfrunęło z gniazda. Zrobiło sobie krzywdę, ale to już jego sprawa. Tymczasem ona wierzy, że wszystko załatwi łyżeczka syropu od kaszlu i kilka stron ***Kubusia Puchatka***. - Roześmiałam się, ale zabrzmiało to raczej jak czkawka. - Matka traktuje siebie bardzo poważnie, lecz muszę powiedzieć, że nie spodziewałam się, że tą powagą zarazi ekipę sensacyjnego programu dochodzeniowego nadawanego w porze największej oglądalności. Nie chcę przez to powiedzieć, że wyglądasz na dziennikarkę goniącą za sensacją, w każdym razie nie w tej chwili.

- Jestem tu w przebraniu - odparłam. - Zwykle mam na sobie skórzany gorset z wbudowaną kamerą, wycięte w kroku kalesony i pejcz kupiony w sklepie Hermesa. To odpowiednio nastraja ludzi.

- Nie wątpię.

- A co do twojej matki - ciągnęłam, starając się być tak samo szczerą - to kiedy z nią rozmawiałam, sprawiała wrażenie jakby myślała, że mój szef i ja zaangażowaliśmy się w tę sprawę z czystym rycerskim zamiarem przywrócenia ci twego dobrego imienia. Nie muszę ci chyba mówić, że to bzdura. Owszem, gonimy za sensacją. Czemu nie? Jeśli prawda budzi sensację, uważamy, że to pożądaný efekt. Nie interesują nas jednak tanie kłamstwa, które łatwo obalić. Wyłącznie prawda. Dlatego potrzebujemy ciebie. Dla ciebie twój kuzyn jest po prostu facetem, który cię zrujnował. Faktycznie jest on niemoralnym, działającym quasi-legalnie oszustem na międzynarodową skalę. Bardzo dba o swój ***image***, a Amerykanie są tak oślepieni jego pochodzeniem, że zostawiają go w spokoju. Ostatnio jednak zaczyna działać w Anglii, w każdym razie bada teren. Pewnie tęskni za krajem. W Kalifornii robi, co mu się żywnie podoba. Nie chcemy, by w Anglii był równie bezkarny. Mógłbyś pomóc.

- Nie słuchałaś - odparł Richard. - Nie chcę, żebyście załatwiali moje porachunki. Bez względu na to, jakie kierują wami intencje.

- Kto tu mówi o załatwianiu twoich porachunków? - skontrowałam. - Chcemy, żebyś ty załatwił z nim nasze porachunki.

- Dobre podejście - rzekł Richard z prawdziwą aprobatą - ale nie przejdzie. Chcecie, żebym zeznawał w czymś w rodzaju telewizyjnej rozprawy sądowej, w której mój kuzyn nie będzie miał szansy obrony, wyrok zaś jest z góry przesądzony. Wiesz, ja inaczej pojmuję czystą walkę. I sprawiedliwość. Jestem staroświecki. Wierzę w tradycyjny sąd z togami i perukami, nie w światła studia telewizyjnego. Przykro mi.

- Auć - przerwałam mu. - Tak, myślę, że to bardzo dobre podsumowanie. Mała poprawka. Nie udajemy sądu. Robimy tylko wywiady ze świadkami i przedstawiamy dowody. Za i przeciw. Nie ferujemy wyroków. Czy to coś zmienia?

- Nie - stwierdził Richard. - W kwestii formalnej...

- Tak?

- Dla mnie mój kuzyn nie jest facetem, który mnie zrujnował. Dla mnie to przede wszystkim człowiek. Przy okazji kuzyn. Wątpię, czy twojemu programowi by się to podobało.

- W kwestii formalnej - powiedziałam. - Ja też staram się zobaczyć w nim człowieka. Całego człowieka, nie tylko zarys, krople żółci, kawałek śledziony. Nie interesują mnie papierowi dranie. W „Śledztwie” staramy się w miarę możliwości przeanalizować motywy. Jak do tego doszło, że policjant dał się skorumpować, jakie są mechanizmy szpiegostwa gospodarczego, czemu milioner wsadza łapę do podręcznej kasy sklepowej, jaka muza inspiruje demagoga?

- Pazerność - odpowiedział Richard. - Żądza władzy. To nic nowego. Przytaknęłam.

- Owszem, wszyscy kryminaliści mają podobną mentalność. Wielokrotnie zwróciłam na to uwagę. Normalnie ludzie w swym działaniu kierują się różnymi motywami, ale kiedy przyjrzymy się motywom przestępców, to się okazuje, że są do znudzenia podobne. Czasami myślę, że przestępcom czegoś nie dostaje, nie tylko w sensie moralnym. Czegoś fundamentalnego dla człowieczeństwa, jakiejś zasadniczej składowej jestestwa. Są jak ciała bez duszy, mądre, silne ciała, zaprogramowane na przetrwanie i automatycznie sięgające po pieniądze innych ludzi, bez jakiegoś głębokiego uczucia. Ich żądza nie jest niczym innym jak apetyt. Nie chodzi o to, że nie troszczą się

o tych, których krzywdzą - oni nie rozumieją, że krzywdzą. Wiem, że generalizuję, lecz... - przerwałam szukając właściwych słów, lub niewłaściwych, wykrętu, odpowiedniego wyrażenia. - Widzisz, moim zdaniem Vincent, twój kuzyn, należy do innej kategorii. Mam trochę materiałów na jego temat - wywiady, których kiedyś udzielił, nagrane rozmowy. Wydają się one wskazywać, że Vincent kieruje się czymś więcej niż tylko pazernością, czymś w rodzaju negatywnej ideologii. On jest nie tyle moralnie niedorozwinięty, co celowo spaczony. Samokorupcja.

Samodestrukcja. Samounicestwienie.

Richard patrzył na mnie z zainteresowaniem. Wiedziałałam, że posunęłam się za daleko, że powiedziałam za dużo.

- Znowu mnie zaskoczyłaś - powiedział spokojnie. - Powiedz mi jeszcze raz dokładnie, jaki program zamierzasz zrobić?

- Tragedię - odparłam zuchowato. Naszych prawników obchodziły wyłącznie fakty, Alun Craig uważał tragedię za domenę Szekspira, ale tym razem ja pisałam scenariusz, co już postanowiłam.

Brwi Richarda uniosły się. Na czole pojawiło się tuzin sceptycznych znaków zapytania.

- Moją tragedię?

- Nie. Vincenta. Brwi opadły.

- Możemy zrobić ten program bez ciebie - powiedziałam w końcu - ale wolałabym, żebyś wziął w nim udział. Dla pełniejszego obrazu.

- Nie uda ci się - odparł Richard. - W charakterze Vincenta jest zbyt wiele mrocznych miejsc. Nie uda ci się dotrzeć do nich z reflektorem. Wszelako... możemy porozmawiać. Nie mam żadnych planów na dzisiejszy wieczór, a poza tym, jak powiedziałem, podoba mi się twoja czapka.

- Czy zgodzisz się, by Thames Télévision postawiła ci kolację? Odpowiedź Richarda była do przewidzenia.

- Nie, dziękuję. Ja zapraszam.

Jedliśmy tanio, jak turyści, w restauracyjce, gdzie Richard najwyraźniej był stałym bywalcem, bo został obsłużony natychmiast, podczas gdy wcześniej przybyli musieli czekać. Menu było uniwersalne i uniwersalnie nudne: hamburger z frytkami, kurczak z frytkami, frytki.

- Przyzwoite jedzenie jest tu bardzo drogie - wyjaśnił Richard.

- Moje diety zniosłyby szok - powiedziałam.

- Jeśli chcesz, żebym z tobą porozmawiał, musisz przystać na

moje warunki. Ja płacę, zrozumiano? - powiedział Richard z uśmiechem.

Nie włączyłam magnetofonu. Raz, że zapomniałam zaopatrzyć się w nowe kasety, a te, które miałam, wystarczyłyby na godzinę nagrywania, a dwa, czułam, że z Richardem należy postępować możliwie jak najuczciwiej. Szczerość rodzi szczerość. Pod jego jasnym denerwującym spojrzeniem czułam się jak uczennica, która ma niezbyt czyste sumienie. Z Vincentem byłam na ogół dość swobodna, nurzając się wesoło w subtelnym oszustwie. Prawda jest trudniejsza i dlatego stawia wyższe wymagania.

- Sądziłam, że pilotom nieźle płacą - zauważyłam kilka frytek później.

- Nieźle. Mam parę długów do spłacenia. Bankructwo. Oczywiście.

- Jestem głupia - stwierdziłam. - I jak... i jak ci idzie to spłacanie?

- Wiesz, jakie są banki. Płacę, płacę, a oni doliczają coraz większe odsetki. To długa droga. Czasami czuję się jak postać z bajki. Muszę podnieść za pomocą pincetki wszystkie ziarenka piasku na plaży i muszę zrobić to przed zapadnięciem zmierzchu, bo w przeciwnym razie zostanę do końca życia niewolnikiem złej wiedźmy. Jak do tej pory wiedźma jest górą.

- Tak, ale jeśli ci się uda - przypomniałam - ożenisz się z księżniczką.

- To już mam za sobą.

Cenna uwaga. Podchwyciłam ją skwapliwie.

- Tak ją widziałeś? - spytałam. - Crystal jako księżniczkę, a Vincenta jako smoka? Czarny charakter?

- Niezupełnie. - Uśmiechnął się smutno. - Vincent był księciem, ja tylko... miłym facetem.

- Opowiedz.

- Aleś ty wścibska. Wiem, wiem, na tym polega twoja praca. Ale czy to ma jakiś związek ze sprawą?

- Opowiedz, to zobaczymy.

Zawahał się, sięgnął po swój napój. Awansowałam do ponczu ramowego, niespecjalnie wyszukanego, z mnóstwem alkoholu, za to bez parasola, Richard trwał uparcie przy piwie.

- Poznałaś moją byłą żonę?

- Robiłam z nią wywiad.

- To powinnaś sama zrozumieć.

- Jest bardzo ładna - powiedziałam, starając się wykrzesać z siebie więcej entuzjazmu - bardzo, bardzo ładna. Ale to nie wystarczy, żeby się ożenić, żeby się zakochać.

- Vincentowi wystarczyło. - Usłyszałam w głosie Richarda rozbawienie. - Była najładniejszą dziewczyną w okolicy. To oczywiste, że musiał ją mieć. Niewykluczone, że wziął to za miłość. Nie od razu udało mu się zaciągnąć ją do łóżka, więc... Po aresztowaniu jednak wołał, żeby się usunęła. Chętnie uwierzyłbym, że był to rycerski gest z jego strony, ale nie mogę. Chciał, byśmy wszyscy się usunęli. Nie mógł znieść, że jesteśmy świadkami jego upokorzenia. Chyba nigdy nie przyznał przed sobą, że postąpił źle. Doskonale wiedział, że to co robił, było nielegalne, wierzył jednak, że jest sprytny. Trochę kręci, owszem, ale zręcznie. Nie tyle wykracza poza prawo, co je przeskakuje. Swój błąd widział w fakcie, że dał się złapać. Gdyby wuj mu pomógł, Vincenta pewnie by to nie zmieniło, ale ich stosunki mogłyby się poprawić. Wuj go jednak wyrzucił. Crys natomiast postąpiła bardzo lojalnie, uczciwie i dzielnie.

Vincent zaś odwrócił się od niej, praktycznie ją spoliczkował. Gdy ogłosiła ich zaręczyny niczym bohaterka jakiejś powieści, Vincent się jej wyparł, ot tak, po prostu. Biedna dziewczyna, naprawdę mężnie znosiła swą sytuację.

Pamiętam jej zdenerwowanie, kiedy zabrałem ją do Uroczyska. Okropnie się starała, żeby zachować się jak trzeba, powiedzieć co trzeba. Pozowanie bez aparatu fotograficznego, gra bez scenariusza. Było mi jej cholernie żal.

- Fatalna sprawa - powiedziałam. - Jeśli żal ci ludzi, to pomagaj sierotkom, starszym paniom i włóczęgom. Użalanie się nad pięknymi dziewczynami kończy się zwykle kłopotami.

- Mnie to mówisz. - Wesołość przeszła jednak zaraz w nostalgię. - Vincent ją fascynował - ciągnął - ale w jego towarzystwie nigdy nie czuła się swobodnie. Nie znał jej dobrze, ona nie знаła jego. Przy mnie była sobą. Cały ten blask i tajemniczość szły w kąć i rozkwitała...

niczym kochany mały kwiatusek - dokończyłam, zamiast w porę ugryźć się w język.

- Nie kpij sobie, Micky. Tobie też musiało się to zdarzyć i chyba niezbyt dawno. Młodość. Wiosna. Kiedy zaczynamy sobie z tego kpić, to najwyraźniej się starzejemy.

- Bardzo przepraszam - powiedziałam. - To było głupie. Chyba poczułam się zazdrosna. Mnie wiosna ominęła. Zwarzył mnie mróz, nim zdążyłam rozkwitnąć. Co zaś do Crystal... wydała mi się zimna.

Sztuczna. Wszystkie gesty wystudiowane. Nie potrafię wyobrazić sobie, jak rozwija płatki. Musisz być nie lada ogrodnikiem.

- Wiesz, te czary działają w obie strony - rzekł tonem zwierzenia Richard. - Na tym rzecz polega. Mieć taki wpływ na drugą osobę to wielka odpowiedzialność, ale i przyjemność. Uległem jej. Wiosna potrafi być bardzo zaraźliwa. Ani cienia rozczarowania, żalu.

- I co, nie przeszło ci? Dalej ją kochasz? - spytałam. - To znaczy, spróbowałbyś jeszcze raz?

- Nie przeszło - odparł Richard. - Nie wolno przestać kochać. Ale próbowanie od nowa nie wchodzi w rachubę. Nie da się wskrzesić trupa.

- Kiedy cię opuściła - mruknęłam, stąpając na palcach w tym składzie porcelany - dokąd poszła?

- Z pewnością wiesz - odparł Richard. - Musisz wiedzieć.

- Staram się być taktowna.

Mina Richarda wyrażała uprzejme niedowierzenie.

- Zostawiła list - rzekł. - Słów już dokładnie nie pamiętam, ale wynikało z niego, że nasze małżeństwo było błędem. Liczył się tylko Vincent, zawsze tylko Vincent. Jej prawdziwa miłość. - Przez chwilę milczał. - Nie mogłem jej zatrzymać, zresztą już odeszła. Ale wiedziałem, co on robi. Pogardzał nią. Wyobraziłem sobie, jak odrywa jej płatki, jeden po drugim, i przepuszcza przez maszynkę do mięsa. Wiedziałem, że Crys nie będzie z nim walczyła, nie potrafiła walczyć. Nigdy nie zrozumiała, co się właściwie stało. Myślała, że Vincent puścił mnie z torbami z zemsty, że mu ją ukradłem. Tani melodramat.

- Tymczasem Vincent nienawidził Crystal za to, że ukradła mu ciebie - odpowiedziałam.

- Jesteś bardzo spostrzegawcza. - Zdziwione spojrzenie nie było pantomimą. Wziął skrzydełko i zaczął ogryzać kości, oblizując palce, jakby stawiał przecinki. Ja prawie nic nie tknęłam, Richard zjadł wszystko, łącznie z pełniącym rolę dekoracji liściem zwiędłej sałaty i połówką pomidora, których normalnie nikt nie je. Gdy skończył, miał minę, która mówiła, że chętnie by coś jeszcze zjadł, ale nie frytki.

- Byliście z Vincentem bardzo zżyli, prawda? - spytałam. Rutynowe pytanie. - Jak bracia.

- Nie lubię tego określenia. Bracia niekoniecznie muszą się wzajemnie lubić. Byliśmy cholernie dobrymi przyjaciółmi. W dzieciństwie bardzo się z nim liczyłem. Był starszy, większy, silniejszy,

odważniejszy. Często wpadałem przez niego w tarapaty, ale też mnie z nich wyciągał. Tłukł każdego, kto mi dokuczał. Mnie zresztą od czasu do czasu też. Miał tyle dobrych cech, że powinien wyrosnąć na kogoś wspaniałego, niezwykłego, lecz... Nie wiem, jak to się stało, że się zmienił. Jeśli w ogóle się zmienił. Bo może już taki się urodził, z czarną plamą w duszy, fatalną skazą, pęknięciem w samym fundamencie. Może zawiniła jego matka, która uciekła, kiedy był zbyt mały, żeby dać sobie z tym radę. Może winę ponosi mój wuj, bigot ze starej szkoły, który uparł się, by nigdy nie okazywać mu ani miłości, ani aprobaty. Bóg jeden wie. Tak czy owak, Vincent nauczył się bać miłości. Nie tylko romantycznej miłości, ale wszelkiej miłości - do ojca, kochanki, przyjaciela. Uważał miłość za słabość, akt zdrady wobec siebie, niepotrzebną rozrzutność. Ilekroć stwierdził, że budzi się w nim uczucie, zaraz wyrwał je z korzeniami albo truł, nawet jeśli wymagało to rozerwania własnego serca lub zażycia cyjanku. Nie wierzę, że kochał Crystal, ale z pewnością kochał swego ojca, a kiedyś kochał i mnie. Był taki czas. Potem obraził się na wujka Johna, a mnie zrujnował, gdy tylko nadarzyła się ku temu okazja. To tyle *à propos* miłości. Jak na inteligentnego faceta jest nieprawdopodobnym głupcem.

- Jeśli go tak dobrze znasz - spytałam - to czemu mu zaufałeś?

- Nie zaufałem. - Na jego twarzy zakwitł i zaraz zwiądł słoneczny uśmiech, którym rzucał wyzwanie opatrności. - Mam nadzieję, że to koniec. Razem tyle mogliśmy dokonać. Zdałem się na jego rozsądek, głupota jednak wzięła górę. Moja strata. Ale również jego.

- On dla ciebie dużo znaczy - zaryzykowałam. - Nawet teraz. Jak to powiedziałeś? Nie wolno przestać kochać. To cię dręczy, prawda?

Trącenie łokciem, natchnienie, ryzykowny krok. Twarz Richarda stężała.

- Nie, wcale mnie to nie dręczy - odparł. - Niech ci będzie, że Vincent dużo dla mnie znaczy. Czemu nie? Dużo czego? Coś ci powiem. Vincent tyle dla mnie znaczy, że najchętniej złapałbym go za kark i wytrząsł z niego flaki. To by mu dobrze zrobiło. Inna rzecz, że pewnie to ja bym oberwał. Jak wiesz, Vincent wygrywał wszystkie bójki.

- Zwycięstwo w bójce - zaczęłam ostrożnie - w dużej mierze zależy od tego, czy się walczy na własnym gruncie. A także czy potrafisz narzucić własne reguły.

- Mówiłem ci już: nie idę na to.

Ale zanim to powiedział, zrobił krótką przerwę.

Mając w pamięci niefortunną obietnicę złożoną Penny Garoghan, zebrałam się w sobie, by go trochę nacisnąć.

Prawdziwy świat

- z poczuciem winy, skrupułami, wątpliwościami, samoudręczeniem

- był tam, gdzie Penny. Lekkoduszność - i lekkomyślność - zostały na Dominice. Mimo to nie przypominałam mu o córce, nie zrobiłam do niej żadnych wyraźnych aluzji. Właśnie dlatego, że ją widziałam, rozmawiałam z nią, dałam jej tę obietnicę, jakoś nie do pomyślenia wydawało mi się, by wywrócić wszystko do góry nogami i użyć jej jako przynęty.

- Po co tu przyjechałeś? - spytałam w końcu. Postanowiłam podejść go z boku i bardzo ostrożnie.

- Pracować.

- Z pewnością znalazłbyś coś bliżej domu.

- Z pewnością.

- Więc co to jest? - naciskałam. - Dobrowolne wygnanie?

- Możesz tak to nazwać. - Za każdym razem odnosił się do swych niedoskonałości z wielką uczciwością. - Chciałem wyjechać możliwie najdalej. Narobiłem bałaganu i czułem, że muszę zmienić otoczenie. Kiepski pomysł, ale każdy postąpiłby podobnie w tej sytuacji, nie sądzisz? Dzięki temu Crys odzyskała wolność i może zorganizować sobie życie na nowo. Crys ma dużo pieniędzy, więc nie muszę... Posyłam pieniądze na utrzymanie dzieci. Moi prawnicy nad tym czuwają. Wszystko zostało dokładnie obmyślane.

- A kiedy już oczyścisz swe nazwisko z piętna bankructwa, kiedy skończysz przekładać ziarenka piasku pincentką, to czy wtedy wrócisz?

- Taki mam zamiar.

Wzięłam głęboki oddech i zanurkowałam.

- Myślę, że głupio robisz - stwierdziłam. - Zupełnie jakbyś się zaciągnął do Legii Cudzoziemskiej, bo rzucono na ciebie fałszywe oskarżenie, że ukradłeś rodzinne klejnoty. Crystal nie jest tu jedyną osobą, która ma skłonność do melodramatu. Co ty chcesz zrobić? Stawić czoło tubylczym hordom i walecznie zginąć, by pokazać światu, jaki jesteś wspaniały? Marne szanse. Będziesz siedział tu w nieskończoność, sypał się, spłacał dług i cały czas wmawiał sobie, że cierpisz w słusznej sprawie. Ale poza spłacaniem długu masz jeszcze inne obowiązki. Czy może myślisz, że w tym również wyręczą cię prawnicy? Co tam rodzina i przyjaciele! Ważne, żebyś ty mógł leczyć swe zranione ego w idealnej izolacji. To nie Crystal potrzebuje wolności - co za wyświechtany frazes! - To ty. Po-

trzebujesz jej, nie tylko po to, żeby odseparować się od przeszłości, ale i od teraźniejszości. Uciekasz, chowasz głowę w piasek. Wiem, to zużyta metafora, lecz taka jest prawda. Ekspiacja jest cudowną rzeczą, ale nie masz prawa karać innych za zbrodnie, których nie popełniłeś.

- Czy przypadkiem się nie zagalopowałaś? - spytał Richard, starając się nie stracić panowania nad sobą.

- Nie dbam o to. - Znowu nie byłam w stanie się pohamować i dałam się ponieść emocji. Wygodnie byłoby zrzucić winę na poncz rumowy, jednak miałam już za sobą trzy dni zwalania winy na szampana Pete'a Langelaana. - Podjąłeś decyzję, więc szkoda strzepić sobie język, próbując cię przekonać. Ty nie zmięknieš, nie ustąpisz. Będiesz po prostu spokojnie siedział na dupie i nie pozwalał nikomu ani sobie pomóc, ani zaszkodzić. Chcesz wiedzieć, co myślę? W głębi duszy jesteś właściwie bardzo dumny z siebie, że znosisz swój los tak dzielnie. Tak szlachetnie. Nie ma jednak nic bardziej egoistycznego niż bezsensowne męczeństwo. Postanowiłeś, że będziesz leżeć na prokrustowym łożu, nawet gdybyś miał sam podkręcać śruby. Twój bliscy muszą się z tym pogodzić. Kiedy tu jechałam, myślałam, że jesteś kimś godnym szacunku, bez względu na to czy zgodzisz się wystąpić w programie, czy nie. Nie wzięłam jednak pod uwagę, nie wiedziałam, że tak cholernie trudno jest szanować kogoś, kto z radością pozbawił się własnego ja, kto upiera się jak osioł przy swym wyborze, wbrew zdrowemu rozsądkowi i wbrew własnym uczuciom...

Przerwałam, o wiele za późno, próbując zapanować nad sobą. Początkowo chciałam go dyskredytować w sposób chłodny, wyciszony, bez namiętności i wstrząsów. W Richardzie było jednak coś takiego - przypuszczalnie właśnie ta jego prostolinijność - co mnie jakby destabilizowało, zmuszało do podobnej szczerości, która mogła okazać się zgubna w skutkach. Nie miałam nic na swoje usprawiedliwienie. Nie dostałam fioła z powodu huraganu, nie rozkrochmalił mnie seks. W którymś momencie jednak się zaangażowałam, zaplątałam, wciągnęłam. Straciłam równowagę na dobre.

Obracałam pustą szklankę w pustych rękach i czułam się okropnie. Kiedy uniosłam głowę, ku mojemu zdumieniu Richard się śmiał.

- Ach ci dziennikarze! - powiedział. - Jeśli w ten sposób rozmawiacie z ludźmi, którym chcecie pomóc, to co na Boga ojca mówicie tym, których chcecie załatwić?

Przypomniałam sobie, jak wrzeszczałam na Vincenta - zaledwie dwadzieścia cztery godziny wcześniej, a wydawało się, że rok temu - ale zdusiłam w sobie to wspomnienie i też się roześmiałam. Byłam mu wdzięczna za tolerancję. Nagle poczułam się zbyt zmęczona, żeby martwić się wynikami tej rozmowy.

- Chodź - powiedział. - Zaczerpniemy trochę powietrza.

Mało pamiętam, co było potem. Zmęczenie zamazało wszystko, poza jednym czy drugim obrazem. Zaszliśmy do paru barów, wysłuchaliśmy karaibskiej hałaśliwej muzyki z szaf grających lub na żywo. Migotały gwiazdy, świeciły się baśniowe lampy, w niezbadanym rytmie poruszały się figury malowane słońcem, drukowane cieniem, z refleksami wirujących lusterek przysiadających na ich ciałach niczym robaczki świętojańskie. Taniec w ciemności. Nie istnieje nic bardziej zmysłowego ani bardziej magicznego. Jakiego mężczyzny nie pożałowałabym pod płaszczem tropikalnej nocy z biciem czarnoksięskich bębnow i fruwaniami pijanych świetlików, tańcząc w ciemności? Ale nie tańczyliśmy. Richard spytał, czemu wybrałam dziennikarstwo, ja - czemu wybrał samoloty. Opowiedziałam mu o Leo Sandsie z „Ely Watchman” - stuk, stuk, stuk patyczkiem w kształcie miecza, służącym do mieszania koktajli - i z gorącym entuzjazmem opowiedziałam mu o moim zimnym postanowieniu poszukiwania prawdy. Richard opowiedział mi o radości latania

1 potrzebie człowieka panowania nad maszyną.

- Czy obserwowałaś kiedykolwiek wschód słońca na wysokości dziesięciu tysięcy metrów? Oczywiście, że nie. Spałaś za zaciągniętą zasłoną lub jadłaś pakowane śniadanie: bułka, sok pomarańczowy, plasterki bekonu, gumowe jajko. Powinnaś zobaczyć wschód słońca, ale nie przez szybę Boeinga, lecz w małym samolocie, będąc sama wysoko nad bezbrzeżnym, przygnębiającym niby Antarktyka, morzem chmur, kiedy słońce pokazuje się nad horyzontem niczym język czerwonego płomienia, a po chwili wypływa na niebo, które straciło swój błękit. A kiedy już się nacieszysz tym widokiem, możesz opaść kilka tysięcy metrów i znowu obejrzeć wschód słońca, i znowu, i znowu. Odnosisz wrażenie, że słońce wstaje na twój rozkaz. Czujesz, że masz władzę nie tylko nad powietrzem i grawitacją, lecz nad rankiem i nocą, przestrzenią i czasem. Nigdzie indziej nie doznasz czegoś podobnego.

- Władza - rzekłam sennie - to jest to, co nas wszystkich pociąga. Władza, jaką dają pieniądze, władza, jaką daje technologia. Małe przyczółki władzy w miasteczkach i wioskach i ogromne sieci

komunikacyjne opasujące świat. Wiejscy intryganci, którzy rządzą wieczorami przy herbatce i zebraniach w kościele, i premier, który jednym okiem sprawdza wyniki badań opinii publicznej, drugim obserwuje tylne ławki i stwierdza, że wcale nie ma takiej wielkiej władzy. Władza nad kimś, kogo kochasz, i władza, którą mają nad tobą. Społeczeństwo jest jedną wielką siłownią, ogromną maszyną, która tu ma wielkie koło, tam małą zębatkę i stukocząc, furkocząc przebija się przez historię. Trzask, prask, dzyń, dzyń, prask, trzask. Władza. To jest to. O to w tym wszystkim chodzi. - Oczy mi się raz po raz zamykały. - Gdybyś zdecydował się na rozmowę, zanim wyjadę, to znaczy tę rozmowę do „Śledztwa”, możemy przeprowadzić ją tutaj. Lub opłacimy ci podróż do domu. W klasie turystycznej, niestety. Tylko jeden wschód słońca. W przeciwnym wypadku...

- W przeciwnym wypadku?

- Odleczę jutro. Nie, dziś. Po południu. Przejadły mi się tropiki. Tęsknię za prawdziwym angielskim deszczem. Choć, jak się dobrze zastanowić, to w Anglii właśnie panują upały i susza. Ale przynajmniej nie będzie palm, huraganów czy...

- Jedź do domu - powiedział Richard. - Czepianie się mnie nigdzie cię nie doprowadzi.

- Doprowadziło mnie tutaj - powiedziałam. - Gorzej być nie może.

- Odwiozę cię do hotelu.

Wzięliśmy taksówkę. Oczywiście Richard znał kierowcę. Nie pocałował mnie na dobranoc, choć trochę na to liczyłam. Ale tylko trochę. I bardzo dobrze. Miałam już dość kłopotów.

- No i co? - spytałam na progu.

Richard opierał się o taksówkę. Miał skrzyżowane ręce na piersi.

- Jeszcze przemyślę - odparł.

- Znasz mój numer. W sprawie opłaty za przelot...

- Płacę za siebie. Powinnaś już się tego nauczyć.

W zasadzie wszystko zostało już powiedziane. Może jeszcze tylko jedno:

- Jeśli w końcu się zdecydujesz, to wystąpisz w programie pod jednym warunkiem. Mianowicie dasz się zaprosić na kolację.

Richard roześmiał się.

- Przemyślę to.

Czesc piata

Armagedon

Rozdział pierwszy

Samolot do domu miałam wieczorem, do Londynu zaś przyleciałam około siódmej rano. Wschód słońca zasłoniło mi skrzydło samolotu. Po konsultacji z kalendarzem stwierdziłam, że mamy piątek. Minał zaledwie tydzień od mego wyjazdu. Wystarczył mi tydzień, żebym obniżyła wymagania wobec siebie, sprzeniewierzyła się swym zasadom. Ale oczywiście nie zmieniłam się, bo ludzie się nie zmieniają; mogłam osłabnąć lub nabrać krzepy, zahartować się lub dać się złamać, ale nie mogłam się zmienić. Ostateczna analiza wykazała, że pozostałam sobą nieodwołalnie i na zawsze. Nie wiedziałam, cieszyć się czy płakać.

Z domu zatelefonowałam do biura. Fizzy poinformowała mnie, że Alun Craig jest jeszcze w Los Angeles. Miał wrócić w następnym tygodniu. Pomyślałam, że pewnie nagrywa wywiad z Richmond LeSueur - kobietą, której charakter, przedsiębiorczość i bezwzględność Vincent tak podziwiał, z którą, rzecz jasna, sypiał i którą, jak się wydawało, wciąż jeszcze lubił. Zastanawiałam się, jak zareaguje na jej zdradę. Wzruszy ramionami, parsknie pogardliwie, czy będzie mu przykro? Znadto lubi pan mieszać interesy z przyjemnościami, panie Savage, pomyślałam. Tym razem to pan zostanie użądłony. Przekona się pan, jak to boli.

- Będę w biurze w poniedziałek - powiedziałam Fizzy. - W tej chwili jestem wykończona, niewyspana i nie mogę patrzeć na palmy. Mam również górę taśm do spisania. Zajmie mi to pewnie cały weekend.

Fizzy spytała, czy nie chciałabym porozmawiać z Jeffem.

- On tam jest?

- Nie.

Powiedziałam, że nie chciałabym porozmawiać z Jeffem i od-

wiesiłam słuchawkę. Cały dzień upłynął mi na pracy. Na wszelki wypadek skopiowałam taśmy, po czym zabrałam się do wpisywania do komputera tego, co mogło mieć jakieś znaczenie dla programu. Liczyły się wszystkie niuanse charakteru Vincenta, każde skrzywienie jego osobowości. Pracowałam bez wytchnienia nie dając sobie czasu na myślenie, celowo doprowadzając się do skrajnego wyczerpania. Od czasu do czasu nad wałami obronnymi ukazywała się głowa jakiegoś natarczywego wspomnienia. Wtedy moje palce nieruchomiały na klawiaturze, a spojrzenie zaczynało błądzić po pokoju. Ale prędko wysyłałam w jej kierunku strzały o metalowych grotach, spojrzenie kierowałam z powrotem na ekran komputera, zawężałam pole widzenia, zamykałam umysł, zmuszałam się do skupienia na swym zadaniu. Praca, praca, jeszcze raz praca, powtarzałam sobie. Co się stało z prawdą? To pytanie powracało do mnie, wykorzystując każdą chwilę przerwy na taśmie. Stawało na przeszkodzie mojej pracowitości, zmuszało do szukania odpowiedzi, usprawiedliwienia; wciągało na bagnisty grunt Skrupułów. Wiedziałam, że później będę musiała stawić im czoło albo pokazać plecy, że będę się z nimi spierać, będę cierpieć, zaglądać do swej duszy. Ale jeszcze nie teraz. Proszę, jeszcze nie teraz. Najpierw się przez to wszystko przekopię, a dopiero potem zagubię się w labiryncie konsekwencji. Pracowałam, póki słowa nie zaczęły mi się rozplýwać przed oczyma. Zasnęłam, nie wyłączwszy magnetofonu. Do mych snów wdarły się słowa Vincenta. „Armagedon to groteskowy pomysł... ostatnia wielka bitwa... koniec... Armagedon...” I oto staliśmy, z armiami zwróconymi przeciw sobie - Vincent w skórze lamparta od Armaniego (z pazurami) i zatkniętą w hełm gałązką palmy. Niósł nieprawdopodobnych rozmiarów dzidę z brązu, która się jeszcze wydłużyła, gdy skierował ją w moją stronę. „Gdzie twój kałasznikow?” - krzyknęłam i wtedy okazało się, że to ja trzymam kałasznikowa, jak zresztą przewidziałam. Koniec świata zbliżał się wielkimi krokami, musiałam strzelać i strzelać. Na lamparciej skórze ukazały się czerwone plamy, czerwone plamy na przemian z czarnymi... szarpnęłam się - to głowa opadła mi na rękę - i obudziłam. Serce biło mi jak szalone, w ustach miałam sucho. Sen był tak sugestywny, że musiałam się dobrze zastanowić, gdzie właściwie jestem. Nie w samolocie, nie w barze na Barbados i nie w łóżku Irvinga Bluma. Komputer, barykada szuflad na akta, kubek zimnej kawy, słoneczny obraz na ścianie... dom. Zegar pokazywał dziesiątą trzydzieści. Mięśnie mnie bolały,

umysł ziewał. Obok na taśmie chrapał Vincent. Znowu spał na plecach. Wyłączyłam, co tylko się dało, położyłam się do łóżka i osunęłam się w czarną otchłań. Nawet jeśli miałam sny, to ich nie zapamiętałam.

Przepisywanie skończyłam w nocy z soboty na niedzielę. Liczyłam, że będę zbyt wykończona na poszukiwanie duszy, że przez kolejne zanurzenie się w sen uda mi się uniknąć Skrupułów, ale wypięłam mnóstwo kawy i choć ciało odczuwało zmęczenie, umysł się nie poddawał. Przyszedł taki moment, że ku swemu niezadowoleniu raptem wytrzeźwiałam i znalazłam się w stanie jakby nadświadomości, w którym każdy szczegół widziałam z wyostrzoną ostrością, każdy dźwięk działał na moje zmysły jak dotknięcie lodem. Mieszkanie skurczyło się do wymiarów pojedynczej jasnej komórki ciemnego organizmu miasta, czyli Londynu, tego rozwalonego lewiatana, który deptany bezlitośnymi stopami, nękany muzyką, ruchem ulicznym, tajemniczą nocną działalnością, ożywa, oddycha, poci się, patrzy milionami oczu - neonówkami i argonówkami, żarówkami, żółtymi oknami, jasnymi prześwitami między kotarami. Odczuwałam wyobcowanie, samotność. Ja, istota ni to nocna, ni to dzienna, czuwająca, kiedy inne śpią, pogrążona w pracy, kiedy inne się bawią, odnosiłam wrażenie, że znajduję się poza miejscem i czasem. Puls miasta zatrzymywał się na moim progu - tę komórkę wypełniał tylko dźwięk stukania w klawiaturę, a kiedy stukanie ustawało, zapadała pusta, przeznaczona wyłącznie dla mnie, cisza. Samotna, wyizolowana, uwięziona w swym jestestwie podchodziłam do wykonywanego zadania niechętnie, ale tak samo uparcie i desperacko, jak Richard do swego męczeństwa, a Vincent do bezsensownej zemsty. Raptem zaczęły się odzywać Skrupuły. Wtedy odkryłam, że chociaż imitowały głosy mojej matki, ojczyma, ojca, tak naprawdę były głosami mojej jaźni, odszczepieńcami mojej psychiki, udającymi tamte osoby, by mnie wyśmiewać, krytykować, oskarżać. Każdy z nich był moim własnym głosem, słowa odzwierciedlały mój brak pewności siebie. Ojciec od dawna nie żył, ojczym od niedawna, a matka świetnie się nadawała do tego, by zwalić na nią obowiązek kontynuowania ich dzieła. W rzeczywistości pewnie żadne z nich nie zechciałoby grać roli, którą im wyznaczałam. Uświadomiłam sobie, że ja się po prostu oszukiwałam, nadając moim Skrupułom duże S, różne twarze, różne głosy, oddzielając je od siebie. Faktycznie byłam sama.

Zawsze wierzyłam, że charakter jest czymś niezmiennym, obrazem na płótnie, na którym kolory ustaliły się we wczesnym stadium i chociaż czas może rozjaśnić to czy tamto miejsce, ewentualnie dodać kilka szczegółów, to zasadnicze zarysy nie ulegną zmianie. Nagle jednak zobaczyłam, że obraz nie tyle się zmienił, co po prostu nigdy nie został skończony, ot zwykła sobie mazanina, pobieżny szkic mojego charakteru, słabego jak papier, na którym został narysowany. Osoba, której dotyczył, pozostała nie uformowana, nie miała charakteru, ugięła się pod wiatrem, zmieniała barwy jak kameleon. Z Vincentem posłużyłam się moim ciałem i czerpałam z tego przyjemność, udając przed sobą samotnego wojownika, choć przeciwnik nawet nie wiedział, że toczy się walka. Z Richardem wdrapałam się z powrotem na swój piedestał, wracając do zasad, które przedtem beztrudno porzuciłam. Bawiłam się w uczciwość z kimś, kto nigdy nie uciekał się do kłamstwa. Udawanie, zawsze udawanie. Konwencjonalne gry, w których grałam znaczącymi kartami i chętnie pozbywałam się uczciwości. Gdzie w tym wszystkim była prawdziwa Micky, istota jej charakteru, właściwe ja? Nie było wyjścia, musiałam znów zajrzeć do swego wnętrza, poszukać pustki i iskry, która na Dominice zapłonęła tak gwałtownie, że podpaliła łóżko. Ale cały widok zasłoniły duchy mojego braku pewności siebie i nie znalazłam ani ciemności, ani światła, a jedynie szare cienie lęku. Wynurzyłam się wstrząśnięta, od przedawkowania kofeiny buzowała mi krew, czaszkę miałam jak z ołowiu. W końcu, żeby coś zrobić, zdecydowałam się położyć do łóżka. Sen przyszedł niechętnie. Ostatnie co zapamiętałam, to postać Jan Horrocks między Skrupułami. Jan Horrocks, bojowniczką z Walmsley Village, zdyskredytowana bohaterka przegranej sprawy. „Teraz to już pani walka” - powiedziała wtedy. Przynajmniej ona nie potępi moich czynów, pomyślałam na krawędzi świadomości. Muszę kiedyś do niej wpaść i porozmawiać.

Pojechałam następnego dnia. Mając za sobą jakieś dwadzieścia kilometrów autostrady straciłam ochotę na tę eskapadę. Powietrze wpadające przez otwarte okno wydawało się jałowe jak chamsin i w najmniejszym stopniu nie łagodziło mojej chandry. Przedtem zatelefonowałam do niej i spytałam, czy zgodzi się ze mną zobaczyć. Przystąpiła na moją propozycję bez entuzjazmu, po prostu odbiła piłeczkę.

- Dawid wyszedł z dziećmi - powiedziała na przywitanie, - Był

przeciwny tej rozmowie. Boi się, że znowu narobię zamieszania. Od tamtej rozmowy z panią między nami trochę się ułożyło. On jest szczęśliwy, a mnie tak jest wygodniej. Nie chcę nic zepsuć. Z jej zachowania zniknęła nerwowość i niezadowolenie. Była rozluźniona. Widać romans z Vincentem ożywił ją tylko na chwilę, na chwilę zawirował jej światem. Dla bezpieczeństwa, żeby pozostać na miejscu, w domu, utrzymać swój status, wybrała pozycję kobiety w średnim wieku. Jak tylko ją zobaczyłam, przeszła mi ochota na zwierzenia. Pomyślałam, że nie zrozumiałaby, o czym mówię. Pewnie zapomniała już o tej całej historii. Zastanawiałam się, czy mnie też to się uda.

- Zrobimy ten program - oświadczyłam jej. - Pomyślałam, że może to panią zainteresuje.

- Jednak zrobicie? - powiedziała z zrezygnacją. - Wspomnicie w nim o nas?

Uśmiechnęłam się blado.

- No nie. Pani przecież nie zgodziła się nic powiedzieć.

- Nie lubię publicznego obnażania się. Byłam już sławna, teraz wolę przebywać poza sceną. - Mimo upału podała herbatę - hinduską, ciemną i gorzką. Piłam przez uprzejmość. - Jeśli nie przyjechała pani po moje zeznanie, to po co? Zaczęłam szukać w głowie jakiegoś pytania, które usprawiedliwiłoby mój niepotrzebny przyjazd.

- Kiedy rozmawiałam z pani przyjaciółką panną Arbuckle - zaczęłam, a ona słowo „przyjaciółką” skwitowała śmiechem - odniosłam wrażenie, że działa na czyjeś polecenie. Że ktoś nią manipuluje czy podpowiada, jak ma postępować. Wiem, że brzmi to jak spiskowa teoria dziejów, ale w tej robocie jest się podejrzliwym. Pewnie nie jest to wcale ważne. Tym doradcą może być jakiś miejscowy świętoszek, który nie może przeżyć, że w jego zagrodzie nie wszyscy żyją po bożemu, lub inny spekulant, który ma własne plany wobec tych terenów. Tak czy owak... chciałabym to zbadać.

- Rzeczywiście był ktoś taki - przyznała. - Ralph Planterose. Pasuje do obu tych obrazków. Miejscowy świętoszek, mieni się przedsiębiorcą budowlanym, ale chyba niczego jeszcze nie zbudował. Wymyślił, że postawi tu hotel i założy ptasi rezerwat, którym przyciągnie ornitologów. Bardzo popieraliśmy jego zamiary, ale chyba na nich poprzestał. Nie widziałam żadnych planów, nie słyszałam, ile to przedsięwzięcie miałoby kosztować i kto by je

finansował. Ralph ma zawsze wspaniałe pomysły i zanudza nimi każdego, kto zgodzi się go słuchać, ale muszę powiedzieć, że trudno byłoby mi wyobrazić go sobie jako manipulatora.

- Miał jakiś wspólników?

- W każdym razie ja o nich nic nie wiem. Owszem, przyjeżdżał do niego z Londynu pewien znajomy, którego raz czy dwa spotkałam, nie sądzę jednak, by łączyły ich interesy. Ów znajomy - niejaki Percival - wydawał się na to zbyt inteligentny. Myślę, że Ralph usiłował zainteresować go swym projektem, ale bez skutku. Ten cały Percival robił wrażenie mnicha estety, który nie musi liczyć się z pieniędzmi, wobec czego wydaje je na obrazy zbyt kosztowne, żeby mogły wisieć na ścianie, i porcelanę zbyt kruchą, by można z niej jeść. Biedny stary Planterose bardzo liczył na jego dobrą radę.

- Przerwała, ważąc słowa, które się jej wyrwały. Spojrzała na mnie pytająco.

Ale ja zwróciłam uwagę na coś innego.

- Percival?

- Tak się nazywał. Percival... Percival Pierce? Zapamiętałam aliterację. Pani go zna?

- Pierś Percival?

- Eureka.

- Nie znam, ale coś mi dzwoni - odparłam. Dzwonek alarmowy. Pierś Percival, ojciec chrzestny Richarda, człowiek, z rozmowy z którym świadomie zrezygnowałam, pociągał sznurkami. Może nawet posunął się dalej. Do tej pory nie wiedziałam, kim był informator Aluna, poza tym, że był to ktoś dobrze zorientowany, kto dostarczył mu danych na temat Vincenta. Pierś Percival pasował mi do tej roli. Nie byłam pewna, czy moje odkrycie ma duże znaczenie - o ile w ogóle to było jakieś odkrycie - ale pomyślałam, że sprawdzenie tego dobrze mi zrobi na chandrę.

- Dzięki. - Zaczęłam zbierać się do drogi. - Powiedziała mi pani coś, co mi uświadomiło, że jest jeszcze pewna sprawa, którą powinnam zbadać.

Uścisnęłyśmy sobie ręce. Była zadowolona, że odjeżdżam. Wątpię, czy pamiętała jeszcze, że porównała Vincenta do huraganu - metafora, która miała w sobie coś z przepowiedni - czy też że przekazała mi pałeczkę. „To teraz pani walka... powodzenia... choć nie sądzę, że można go pobić.” Nie chciała pamiętać, a ja nie chciałam jej przypominać. Odjechałam do Londynu z innymi sprawami na głowie.

Alun Craig wrócił do biura dopiero w środę, dzięki czemu miałam dwa dni, żeby usatysfakcjonować Biuro Legalności i dogadać się z Jeffem Salterem. Naszym głównym prawnikiem była zagorzała feministka i żelazna lesbijka, która czuła wstręt do płci przeciwnej dla samej zasady. Nienawidzili się z Alunem, więc współpraca z nią przypominała chodzenie po polu minowym. Mnie na ogół traktowała dość sympatycznie, ale tym razem nie byłam pewna, jak odniesie się do moich seksualnych skłonności, o których dowie się wysłuchawszy odpowiednich fragmentów taśm. Okazało się jednak, że nie miała nic przeciwko eksploatowaniu mężczyzn w łóżku (w latach siedemdziesiątych była zwolenniczką SCUM¹) i przejrzała transkrypcję taśm bez zwykłych fochów, a na koniec wydała z siebie pomruk, który wzięłam za aprobatę. W tym przypadku, powiedziała, gotowa była nadstawić karku.

- Nie będzie skarżył, nawet jeśli taki kauzyperda jak Carter-Ruck powie mu, że ma sprawę w kieszeni. Jego męska ambicja tego nie zniesie - stwierdziła.

Przyznałam jej rację. Chyba uznała, że wyznania Vincenta zdobyłam z mężnym poświęceniem siebie, bo w efekcie jakby nabrała o mnie lepszego zdania. Wolałam nie wiedzieć, co pomyśli o mnie zespół „Śledztwa”. Postanowiłam więc, że nikt poza Biurem Legalności nie wysłucha tych taśm. Do zrobienia programu powinna wystarczyć moja transkrypcja. Ufałam, że taśmy, które zostawiłam prawniczce, nie trafią w niepowołane ręce, zwłaszcza w łapska Aluna; moje były w mieszkaniu i tam miały pozostać. Chłodno potraktowałam podejrzliwe spojrzenie Jeffa.

- Tu nic nie mówili o żadnym huraganie - stwierdził.

- Naprawdę?

- Musiało dobrze wiać. - Przerwał delektując się własnymi słowami. - Micky, jak to zrobiłaś, że Savage się przed tobą otworzył? Ty chyba nie... nie wierzę, żebyś była zdolna...?

Z jego zachowania było głębokie niedowierzenie. Nie byłam taką dziewczyną.

- Przywiozłam, co trzeba - odparowałam. - Są jakieś reklamacje? Zamilkł.

Derek aż się palił do wulgarnych domysłów, ale obie z Fizy łatwo

¹ISCUM (dosł. męty) - Society for Cutting Up Men, czyli Towarzystwo Odrzucania Mężczyzn (przyp. tłum).

go uciszyłyśmy. Nasi pozostali współpracownicy, Malcolm i Ranjit, nie mieli nic wspólnego z tym dochodzeniem; ostatnie osiem tygodni zeszło im głównie na dojazdach do Birmingham, gdzie trafili na ślad korupcji miejscowych władz. Jeszcze przez jakiś czas będą się tym bawić. Z Ałunem jednak nie pójdzie tak łatwo, myślałam z obawą. Jak się okazało, źle go oceniłam. Z Los Angeles wrócił zgodnie z planem, ze śladami oparzenia słonecznego na policzkach i kasetą filmu z Richmond LeSueur w bagażu podręcznym. Okulary przeciwsłoneczne zostawiły na jego twarzy coś w rodzaju białej maski, w której jego oczy błyszczały zwykłym żwirowatym blaskiem. Oznajmiłam mu, że dzięki katastrofie meteorologicznej zdołałam spędzić z Vincentem - w porę oprzytomniałam i dodałam: Savage'em - trochę czasu na osobności, a okoliczności sprawiły, że poczuł ochotę do zwierzeń. Dodałam, że widziałam się również z Richardem Garoghanem, który być może, ale to jeszcze nic pewnego, weźmie udział w programie. To ostatnie zostało przyjęte - jak było do przewidzenia - z szyderstwem. Przy okazji zaproponowałam, by pokazać Vincenta w tragicznym świetle, gdyż taka prezentacja podniesie artystyczną stronę programu. Zaintrygował go ten pomysł. Artystyczna strona była czymś, czego do tej pory nie brał pod uwagę. Na zakończenie stwierdziłam, że zamierzam sama napisać scenariusz. Wszystko, żeby powstrzymać go od zadawania niewłaściwych pytań. Lecz facet, który kiedyś poradził mi, żebym przespała się ze świadkiem, wcale nie zamierzał ich zadawać. Przepuszczalnie uważał to za rzecz tak naturalną, że nie wartą wzmianki. Miał zresztą co innego na głowie. Domagał się akcji, domagał się Richarda Garog-hana, kategorycznie zabronił mi pisania scenariusza i zażądał kopii taśm. Natychmiast. Gdy odmówiłam, wpadł w furję. Ślady oparzenia słonecznego zaczerwieńczyły się. Przypominał teraz wściekłego szopa pracza o purpurowych policzkach, którego pozbawiono upatrzonego na śmietniku kęsa. Bądź rozsądna, Micky, bądź racjonalna, bądź posłuszna, bądź uległa, bądź potulna, bądź grzeczna. Przystawiał się z piskliwej oracji na łagodną perswazję i z powrotem. Słuchałam go nieporuszona. Ostatecznie stwierdził, że jeśli nie dostanie taśm, to bez względu na opinię naszych doradców prawnych odwoła całą sprawę. Odparłam, że świetnie. Mnie nie zależy. Nie wierzyłam mu. Klóciliśmy się przez cały dzień. W końcu wyciągnęłam Piersa

Percivala i zagroziłam, że się z nim skontaktuję. Alun kategorycznie się temu sprzeciwił, czym potwierdził moje domysły.

- W porządku, ale ja też mam prawo do tajemnic - powiedziałam. Z rozpaczy zaprosił Jeffa i mnie na lunch. Bał się, że pójdziemy

w różnych kierunkach i przerwiemy tę ważną dysputę. Odrzuciłam pizzę, hamburgery i curry jedzone z ręki, dzięki czemu mieliśmy przyjemność zostać zaproszeni do świetnej chińskiej restauracji. Ciekawe, jak się wytłumaczy księgowym, pomyślałam. Kontynuował swą tyradę między kolejnymi kęsami i w trakcie. Byłam irytująco spokojna i wybredna. Jeff nawet nie próbował się wtrącać. Tego wieczora po powrocie do domu schowałam kasety w plastikową torebkę i wetknęłam je do dziury pod wanną, za obluzowanym fragmentem obudowy. Udzieliła mi się paranoja Irvinga Bluma.

Przez parę tygodni na przemian kłóciliśmy się i przygotowaliśmy program. Na wizję miał iść we wrześniu jako pierwszy odcinek nowej serii i chociaż to Alun zdemaskował metody, jakimi Vincent prowadził interesy, nagrał wywiady z jego ofiarami na Zachodnim Wybrzeżu i z Richmond LeSueur, program był zasadniczo mój.

Uzgodniliśmy, że podzielimy się pracą nad scenariuszem - Alun napisze część dotyczącą przeprowadzonych przez niego badań. Kiedy odwrócił się plecami, zajrzałam do jego materiałów i stwierdziłam, że jest to mniej więcej to, co sobie zamyślałam.

- Dobrze rozłożone akcenty dramatyczne - orzekł po przeczytaniu mojego scenariusza. - Rzeczywiście czuje się tragedię grecką. Dobry pomysł, Micky. Dobra telewizja.

Wprawdzie nie powiedział: „Wpadłem na dobry pomysł, Micky”, ale widać było, że zamierza przypisać sobie wszystkie zasługi. Jak zawsze. Nie był świadomie skąpy, jemu po prostu nie przychodziło do głowy, że można być innym. Alun miał siłę wiertarki firmy Black and Decker, a skalę uczuć termita. Tak powiedziałam Jeffowi, gdy stwierdził, że mój wkład zasługiwał na większe uznanie.

- Nie chcę większego uznania - odparłam grzmocąc w komputer. - Jeśli o mnie idzie, to moje nazwisko może znaleźć się za technikami, małym drukiem. Niech sobie napisze: program Aluna Craiga, produkcja Alun Craig, reżyseria Alun Craig, dodatkowe materiały Alun Craig. Gównu mi na tym zależy. Ważne tylko, żeby niczego nie przekreślił. Następnego dnia pojechałam do Ridpath nakręcić wywiad z Elizabeth Savage.

- Jak rozumiem, wytropiła pani mojego syna - powiedziała, gdy skończyłyśmy.
- Zgadza się. - Wolałam o tym nie mówić w obecności kamerzystów. A najlepiej wcale.
- Pani mu się podoba - ciągnęła. - Wiedziałam, że tak będzie. Pani jest z naszego środowiska.
- Nie o to chodzi, żeby mi się podobała, ale żeby wystąpił w programie - odparłam.

Nie powiedziała, czy syn zamierza przyjechać, a ja nie pytałam. Wierzyłam, czy raczej miałam nadzieję, że ściągnę go z wygnania, ale choć telefon na moim biurku brzęczał z dokuczliwą regularnością, dzwonili wszyscy, tylko nie Richard. Biuro Legalności z jakimś pytaniem, Annabel Purdey poplotkować, ekspert z centrum, amator z prowincji, Los Angeles, Mediolan, Kensington, matka, sprzątaczką, moje nerwy.

- Idź do domu - powiedział Jeff.

- Nie, jeszcze nie - powiedział Ałun.

Żyłam kanapkami i oganiałam się od Skrupułów. Ponieważ w biurze wysiadła klimatyzacja, na biurku miałam wiatraczek, który owiewał moje rozgorączkowane czoło. Gdybym zamknęła oczy, mogłabym wyobrazić sobie, że siedzę pod palmą. Ale nie zamykałam oczu. Moje włosy prosiły o podstrzyżenie, opalenizna zbladła, żeby nie powiedzieć zszarzała. Na spotkanie z Crystal Winter poszłam czując się jak zwiędły liść.

Zapomniałam już, jaka była piękna. Od czasu naszego pierwszego spotkania dużo się o niej dowiedziałam. Kałuża nabrała głębi - osobowość Crystal w mej wyobraźni została wyposażona w próżność Salome i słabość Ewy. Trochę mnie zaskoczyło, że jej idealna fizjonomia wciąż jest bez skazy i bez wyrazu, delikatna, ale nie krucha i nie zmięczona bezbronnością. Zniszczenie bariery ochronnej, wstrząs i ból nie pozostawiły w niej żadnego widocznego śladu. Powitała mnie pięknym, instynktownie promiennym, iluzorycznie ciepłym uśmiechem. Niezwykle niebieskie oczy trzepotały jak skrzydła motyla. Streściłam, czego się dowiedziałam, i wyjaśniłam, że przed kamerą powinna się bardziej otworzyć, nieco się wahać, wycofywać, akcentować słowa i zmieniać pozę, wrócić do walki jak éma do ognia lub modelka do kamery. Miała aspiracje do aktorstwa. Pomyślałam, że nie przepuści okazji, żeby trochę zagrać. Uciekłam się do usprawiedliwionego pochlebstwa, dając jej do zrozumienia, że

to ona będzie bohaterką programu. Ponieważ widziała siebie jako jedną z wielu kobiet, ofiarę mężczyzn (co uświadomiłam sobie poniewczasie), podsunęłam jej, że właśnie ma szansę się na nich odegrać. Opowiedzieć swą historię i zdemaskować Diabła. Powiedzieć światu prawdę i niech się dzieje wola nieba. Przyznaję, że poczęstowałam ją dość nieudaną kombinacją banałów. Na szczęście Crystal nie dostrzegła, że prowadzą do sprzecznych wniosków. Oddzwoniła i wyraziła zgodę. Dowiedziałam się potem, że zasięgała rady swego agenta, tego krętacza Brendana, który widać powiedział jej, żeby nie była naiwna - ten program zrobi jej reklamę i niech się stara zagrać w nim jak najlepiej.

Lecz Crystal była marną aktorką. Nie grała godności, ona się jej uczepiła. Każde silniejsze uczucie w jej głosie brzmiało fałszywie, jak gdyby symulowała cały asortyment emocji, chcąc pokazać, że to właśnie powinna czuć. Tylko dzięki temu, że wyrecytowała swą smutną historię lekko drżąc, zrobiła wrażenie jeśli nie szczerzej, to w każdym razie przekonującej, nieco patetycznej, odważnej.

- Proszę opowiedzieć to jak najprościej - przekonywałam ją, niczym Coppola początkującą Meryl Streep. - Bez przesadnej egzaltacji. Nie załamuj się. Ludzie i bez tego będą pani współczuli. Będą po pani stronie. - Oni, nie ja. Nie mogłam powiedzieć „Bądź sobą”, ponieważ wciąż nie wiedziałam, jaka jest naprawdę. Dla mnie była zamkniętym przed światem na cztery spusty pokojem, w którym ukryto połamane graty. Powiedziałam to, co mogłam.

- Proszę zachować zimną krew. Niech pani po prostu opowie swą historię. Świetnie pani pójdzie.

Poszło świetnie. Crystal zachowała zimną krew. Jej głos raz czy dwa zadrżał, ale się nie załamał. Z jej odętych warg tchnęła wrażliwość, z uniesienia wspaniałej brody czytało się dumę. Przyszła mi do głowy brzydka myśl, że w ten sposób Przyroda kompensuje braki emocjonalne. Znowu jestem dla niej niesprawiedliwa, skarciłam się bez przekonania.

- Kochałam mego męża - powiedziała patrząc w kamerę niewzruszona. - Bardzo go kochałam, ale... tak naprawdę nigdy nie wyleczyłam się z Vincenta. W Richardzie byłam szaleńczo zakochana, taka miłość jednak nie trwa wiecznie. Wiecznie trwa chyba tylko poczucie winy. Po aresztowaniu Vincenta, kiedy się nie zgodził ogłosić naszych zaręczyn, pomyślałam, że mnie odrzucił. Nie przyszło mi do głowy, że po prostu chciał mi oszczędzić nagabywania przez

dziennikarzy. Powinnam była jednak stać przy nim, czekać na jego wyjście. Gdzieś w głębi duszy czułam to. Kiedy Vincent wrócił do mego życia, kiedy został współnikiem Richarda, musiałam stawić czoło uczuciom, które dusiłam w sobie przez tyle czasu. Byłam rozpaczliwie zagubiona, a Vincent wydawał się taki pewny siebie. Zawsze był pewny siebie. Poprosił, żebym z nim uciekła, powiedział, że wciąż mnie kocha, że nigdy nie przestał mnie kochać. Uwierzyłam mu. Dlaczego miałby kłamać? Wahałam się i wahałam... ale kiedy Richard oznajmił, że Vincent zamierza doprowadzić go do bankructwa, pomyślałam, że muszę coś zrobić. Ta praca tak wiele dla Richarda znaczyła, o wiele więcej ode mnie. - To był pretekst, to był banał, ale brzmiał dość prawdziwie. - Wiedziałam, że Vincent robi to z zemsty, bo porzuciłam go dla Richarda. W każdym razie on to tak widział. Był bardzo niebezpiecznym facetem. Wiem, że to, co teraz powiem, zabrzmii głupio, ale wtedy pomyślałam, że jeżeli opuszczę męża, jeżeli wrócę do tamtego... - po raz pierwszy opuściła oczy i wpatrywała się w swoje konwulsyjnie splatające się i rozplatające palce. Wreszcie zmusiła się, by znowu spojrzeć w kamerę. - Vincent to silna osobowość, charyzmatyczna. Myślę, że byłam nim zauroczona. Vincent i ja, znowu razem... Myślałam, że tak właśnie powinno być. Liczyłam, że jeśli do niego wrócę, to on zmieni swój stosunek do Richarda i zgodzi się dalej go finansować. Naprawdę miałam taką nadzieję.

„Naprawdę” było jej ulubionym słowem, choć pewnie używała go w kontekście dalekim od prawdy. Stwierdziwszy, że potrzebuje suflera, powiedziałam:

- Proszę kontynuować.

- Byłam głupia. - To szokujące zdanie zabrzmiało szorstko, zgrzytliwie, jak objawienie. - Vincent nie potrzebował powodu, żeby nienawidzić. Nienawiść była jego naturalnym stanem. Nienawidził Richarda, ale przede wszystkim nienawidził mnie. Nigdy mi nie wybaczył, że wyszłam za Richarda. Vincent nie potrafi wybaczać. Przez te wszystkie lata hodował w sobie nienawiść, odliczał czas do dnia zemsty. Kiedy powiedział, że mnie kocha, kiedy mnie całował, nienawiść tkwiła w nim głęboko, za kłamstwami, za pocałunkami...

Wzdrygnęła się, jak gdyby przypomniawszy sobie chwilę, w której pozwoliła sobie spróbować czegoś obrzydliwie cuchnącego. Ale nie ze mną takie numery. Ten dreszcz, pomyślałam, to nie grymas wstrętu, lecz lęk, lęk przed kontynuowaniem opowiadania, przed

następnym jego rozdziałem, następnym horrorem, przed wdepnięciem we wspomnienia ostre jak tłuczone szkło.

Stąpaj ostrożnie, bo stąpasz po sobie samej. Powiedziałam bardzo delikatnie:

- A więc wróciła pani do Vincenta. Co się wtedy stało?

- Nie chciał mnie.

W tym krótkim stwierdzeniu faktu wydała mi się żalosna i dzielna. Tak, dzielna. Kiedy była dzielna, podziwiałam ją.

Gdyby się jeszcze uśmiechnęła na wspomnienie swej głupoty... Ale Crystal się nie uśmiechnęła.

- On chciał mnie tylko zranić. Myślałam, że mnie kocha, ale w nim nie było miłości. Wyłącznie nienawiść. Planował zemstę od dnia, w którym go porzuciłam. Marzył o zemście. Trudno mi w to uwierzyć. Trudno mi uwierzyć, że ktoś potrafi aż tak nienawidzić. - Zabrzmiało to nader przekonująco. W jej głosie słyszało się prawdziwe zdumienie, echo niedowierzania i przerażenia. Pamiętam, że zaskoczyło mnie to, choć nie wiedziałam czemu.

Był to dobry moment, żeby skończyć.

Później, kiedy wynoszono z pokoju sprzęt do filmowania, przyłapałam się na oglądaniu fotografii na biurku. Jonas - cztero- czy pięcioletni aniołek o wydatnych wargach matki. Tak niewinnie może wyglądać tylko chłopiec, który jest wcieleniem świętego, pomyślałam i poczułam do niego sympatię. I Penny, po drugiej stronie Crystal, młodsza i okrągłejsza na buzi od dziewczynki, którą poznałam. Patrzyła na mnie swymi skośnymi oczyma i z odziedziczonym po matce nieodgadnionym wyrazem twarzy.

- Jak się mają dzieci? - spytałam Crystal.

Spojrzała zaskoczona, przybierając na kilka sekund wyraz twarzy córeczki.

- Ach, rzeczywiście, pani przecież poznała Snow. Oboje mają się świetnie.

- Nie ma ich tutaj? - Wyobrażałam sobie, że Penny mając w pamięci mą obietnicę, przestępuje z nogi na nogę w sąsiednim pokoju. Zewsząd patrzyły na mnie oczy ze zdjęcia.

Z drugiej strony, z dziećmi nigdy nic nie wiadomo. Równie dobrze mogła o wszystkim zapomnieć.

- Są u mojej matki - wyjaśniła Crystal. - Pomyślałam, że lepiej będzie, jeśli je usunę z domu. Nie chciałam, żeby się plątały pod nogami.

Usunąć z domu. Z oczu. Z głowy. Znowu byłam dla niej niesprawiedliwa. Crystal kochała dzieci po swojemu i okazywała im przywiązanie, kiedy uznała za stosowne.

- O wszystkim pani pomyślała - powiedziałam.

r program nabierał kształtów, wywiady i komentarze zaczynały się dobrze komponować. Gdy pozwoliłam, żeby Alun był narratorem, Jeff znowu zaprotestował.

- Powiedziałam ci już, że to nie jest ważne - uspokoiłam go. Chciałam pozostać anonimowa, w tle, minimum praw, zero oklasków. Vincent domyśli się, co zrobiłam, gdy tylko usłyszy głos Aluna denuncjujący go jego własnymi słowami. Może nawet już wyczuł zdradę. Węszył ją często, nawet nie mając ku temu powodu, a ja mu dałam dość powodów. Nie uciekałam od odpowiedzialności za swe czyny, ale też nie chciałam ciągnąć z nich korzyści, wykorzystywać do zrobienia kariery. Wtedy byłaby to rzeczywiście zdrada. Wiem, że brzmi to nielogicznie, ale przygotowując ten program, mimo licznych rozterek duchowych, nie myślałam, że postępuję niemoralnie.

Traktowałam go jako konieczność, spełnienie przepowiedni. Czulałam, że był nam pisany - Richardowi, Vincentowi i mnie. Aleś to sobie sprytnie wymyśliła, ty hipokrytko, wyśmiewało się moje sumienie. Nie łudź się, już Vincent nada temu odpowiednią nazwę. Zdrada była częścią jego przeznaczenia. Najpierw ojciec, potem kuzyn, Crystal, a teraz ja. Nawet Richmond LeSueur. Nie pierwszy raz. Swoją drogą ciekawe, co ją do tego skłoniło. Oglądałam ją na filmie. Kobieta pięćdziesięciokilkuletnia, o twarzy, która uległa spetryfikowaniu w wieku trzydziestu pięciu, z burzą natapirowanych włosów i oczami jak szparki. Nie wyglądała na kobietę, która uległaby perswazji Aluna. Vincent mówił o niej jak o kimś, z kim dzielił łóżce i salę narad, o dawnym sojuszniku i wciąż serdecznym przyjacielu. Alun twierdził, że obraziła się na Vincenta i Carsona o to, że wypchnęli ją z triumwiratu. Ale aż tak by się obraziła? Teraz, kiedy tamta sprawa należała już do przeszłości? Nawet jeśli przyjąć, że ta cała pani LeSueur jest osobą zawziętą, to przecież z jej pozycją w tym biznesie miała mnóstwo okazji zemsty, nie musiała czekać na jakiegoś dziennikarzynę, żeby zrobił z nią wywiad. Można by pomyśleć, że zależało jej na piętnastu minutach sławy, lecz na taką z kolei nie wyglądała. Coś mi się tu nie zgadzało, zresztą nie tylko

tu. Nie byłam jednak ani Poirotem, ani Wexfordem, a jedynie dziennikarką mającą do wykonania robotę, pamiętającą przy tym, że liczy się przede wszystkim oglądalność. Zwykle coś się nie zgadzało. Już przywykłam. Każde dochodzenie zostawiało sto lub więcej małych znaków zapytania, które wciskałam do szuflad na akta i zostawiałam dla potomności. Tę wątpliwość schowałam do moich mentalnych akt i zepchnęłam ją do podświadomości wraz z innymi.

Ale był jeden znak zapytania, którego nie zamierzałam tak zostawić. Sprawdziwszy, że szmatławcem, który aktualnie zatrudnia Gerry'ego Hibberta, są „Wielkie Słowa”, zadzwoniłam i zaprosiłam go do baru na drinka. Musiałam sprawdzić twierdzenie Vincenta, że przeciek do prasy na temat prywatnego życia ojca był rzeczywiście przypadkiem. Zawarte w ostatnim liście ojca oskarżenie popchnęło Vincenta do samozniszczenia. Musiałam mieć pewność, że było bezpodstawne. Stanowiło to dla mnie sprawę niezwyklej wagi, zasadnicze ogniwo, bez którego cała reakcja łańcuchowa się rozpadała. Postawiłam Gerry'emu dwie podwójne whisky pod rząd i zaczęłam negocjacje.

W swojej klasie Geny Hibbert zaliczał się do najlepszych. Przed niczym się nie wahał, uważał, że chwytaki poniżej pasa są dozwolone. Jeśli opuszczał polowanie, to tylko na początku. Obaj z Ałunem byli pozbawieni skrupułów, ale na tym kończyło się ich podobieństwo. Ałun był szczurem-idealistą, Geny tylko szczurem. Miał czterdzieści parę lat i żyłki na nosie, włosy mu rzedły, grubiał w pasie, zezował. Udawał jowialnego komiwojażera i sympatycznego wścibskiego gościa. Ale sympatyczna w nim była tylko skłonność do krzywego noszenia krawata. Kumple nadali mu przydomek Żebraka Hibberta, żeby zacytować uprzejmą wersję; niektórzy przedstawiali pierwsze litery jego imienia i nazwiska i nazywali go Hairy Gibbert, czyli Włochaty Gibbert. Jego najbardziej pamiętne kawałki opatrzone były nagłówkami w rodzaju *Cztery padalce martwe w erotycznym wyścigu gwiazd*, *Prywatny panometr Paynea*, *Poślubiłam papieża* i *Księżę ugryzł Corgi*. Poznaliśmy się już wcześniej, kiedy odbywałam staż na Fleet Street, a on próbował zaciągnąć mnie do łóżka. Na szczęście nie zapamiętał, jakimi słowami go spławiłam.

- Micky, staruszko, ale ty świetnie wyglądasz - przywitał mnie jak zwykle. - Co mogę dla ciebie zrobić? I co za to będę miał?

Nie traciłam oddechu na podchody. Z Gerrym trzeba było prosto z mostu, coś za coś, ty mi daj to, ja ci dam tamto. Tylko że nie miałam wiele do zaoferowania. Ale chociaż prasa brukowa teoretycz-

nie pozostaje w wojnie z telewizją, często czerpie natchnienie z naszych programów, zbiera po nas resztki, goni zające, które zostawiliśmy w spokoju. Oznajmiłam mu, że dobieramy się do skóry Vincentowi Savage'owi i dałam do zrozumienia, że potem pewnie będzie o nim głośno, więc niech już zaczną kopać coś dla siebie. Hibbert był nieporuszony.

- Savage - powtórzył. - Vincent Scarpia Savage. Znam go. Kutas z wyższych sfer, wygląda jak Italianiec. Tak, znam go. Kombinuje w Kalifornii, prawda? Tutaj nikogo nie zainteresuje. Ten twój Craig się na nim przejedzie.

- Ałun nie popełnia takich błędów — stwierdziłam. - A poza tym Savage zamierza wrócić do Anglii. Mamy dużo materiału o jego prywatnym życiu. Nigdzie do tej pory nie publikowanego. Wierz mi, kiedy z nim skończymy, będzie sławny, czy chce tego czy nie. Broń Boże, nie namawiam cię, żebyś się zabrał tym wozem, ale...

- Opuść sobie. - Z roztargnienia Gerry sam zamówił sobie następną kolejkę. Jego zainteresowanie wyraźnie rosło. - Wskoczę na każdy wóz, jeśli tylko jedzie w moim kierunku. W dowolnym kierunku. - Puścił do mnie oko. Bez żadnych intencji. - Co chcesz ode mnie, kwiatuszku?

Figę z makiem z pasternakiem. Takie ludowe powiedzonko.

- Widzisz, chodzi o to, co kiedyś napisałeś o jego ojcu. Ogólnie szanowanym sir Johnie, jego rzekomej kochance, jej rzekomej ciąży i jego rzekomej nieskazitelnej opinii...

- Dlaczego „rzekomej”? Kochanka nie była rzekoma, jej ciąża też nie. On jechał w aucie, ona szła piechotą, a potem on z auta wyrzucił ją w błoto. Co sądzisz o moim talencie poetyckim?

- Odjazdowy. W jaki sposób się o nich dowiedziałeś?

- Jakby ci powiedzieć... - Jego oczy zwęziły się nad szklanką whisky. - Od pewnego czasu miałem na niego oko. Aż w końcu przyłapałem staruszka. Nie wiesz, jak to się robi?

- Ktoś puścił farbę? - spytałam spokojnie.

- Mam ci podać nazwiska moich informatorów? Nie żartuj sobie, Micky. - Dał nieprzekonujący popis dziennikarskiej uczciwości.

Tym razem ja byłam nieporuszona.

- Puścił ktoś farbę czy nie? - molestowałam go. - Przekupiłeś starego kamerdynera, pracującego niegdyś u Savage'ów? Siedziałeś pod biurkiem doktora, kiedy zjawiała się tam kochanka sir Johna?

Chcę to wiedzieć na mój prywatny użytek, Gerry. To przecież nie ma już żadnego znaczenia.

- Co ci tak zależy? - Zmarszczył czoło. Był skonfundowany, czujny. Czuł, że coś się kryje za moimi pytaniami.

- Muszę to wiedzieć - odparłam. - Tyle tylko mogę ci powiedzieć.

- Ile to dla ciebie warte? Przysługa za przysługę?

To mi się nie podobało. Zupełnie. Żebrak Hibbert nie był facetem, który nie odebrałby długu, albo przyjąłby zapłatę w zwykłej walucie. Ale nie miałam wyboru. Pokiwałam głową na zgodę. Zamówiłam następne drinki. Pamiętam, że czułam idiotyczne zdenerwowanie.

- No więc? - spytałam.

- Masz rację, nikt nie puścił farby - przyznał. - To była koperta, która trochę... zabłądziła. Mieszkałem w pubie, kiedy zjawił się tam Vincent Savage. Miejscowi mówili, że się poprzytykał z ojcem. Noc była dość okropna. Przyszedł przemoczony do suchej nitki. Rankiem wyszedł, a wtedy zjawił się posłaniec i zostawił tę kopertę. Zaopiekowałem się nią, jak przystało na odpowiedzialnego obywatela.

- Odpowiedzialnego za co? Puścił koło uszu moje pytanie.

- Mówię ci, Micky - ciągnął - jak mnie zatkało, kiedy otworzyłem tę kopertę. Czy wiesz, że ten skurwysyn kazał śledzić własnego ojca? I tę kobietę również? Wynajął prywatnych detektywów. Co za świństwo. Szpiegować własnego ojca. Człowiek się zastanawia, gdzie taki chodził do szkoły. - Gerry był z tych, co uczęszczali do gorszych szkół prywatnych, do których ambitni rodzice posyłają synów, gdy nie stać ich na te najlepsze. - Najpierw zamawia to gównem specjalną pocztą, a potem zostawia kopertę na wierzchu, żeby każdy mógł zobaczyć, co w niej jest. To tak, jakby dał ją mnie. Mówię ci!

- Twoje moralne oburzenie - powiedziałam - jest tak samo przekonujące jak wilk, który się przebrał w owczą skórę. Ale dzięki.

- Jesteś mi coś winna - rzekł Gerry wysuszając szklanekę. Zamówiłam jeszcze jedną podwójną whisky. Ale nie łudziłam się, że to wyrówna nasze rachunki.

Lato ciągnęło się niemiłosiernie. Program był już skończony i leżał na półce czekając na kosmetyczne poprawki. W Soho temperatura dochodziła do trzydziestu kilku stopni. Londyn pogrążył

się w szarej ospałości, budynki garbiły się nad parującymi ulicami, mury pękały, trotuary się zapadały. Cień nie dawał chłodu, noc przynosiła niewielką ulgę. Nieznany satyryk z Kentu utrwalił tę sytuację w wierszu:

Spryskaj trawnik w swym ogrodzie, Póki woda z kranu leci. Dziś podlewać ogród w modzie, Jutro my uschniemy, dzieci.

Tymczasem Saddam Hussein zaatakował Kuwejt. Trzecia wojna światowa wisiała na włosku. Narody wstrzymały oddech. W Szarych Facjatkach matka wydała uroczysty lunch. Wspomniała coś o synu znajomej, któremu świetnie szło w Wenezueli. Nie spytałam, co mu tam tak świetnie szło. W biurze dalej się ścieraliśmy z Ałunem nie bacząc na upał. On był nieugięty, ja uparta. Wpadł na pomysł, by program o Savage'u poszedł po programie o inżynierze projektującym broń dla Iraku. Jego argumenty wydawały się nie do odparcia, na szczęście skandal z bronią wymagał jeszcze dopracowania i Ałun musiał się wycofać. Przestał domagać się kopii moich taśm, demonstrując w tej kwestii całkowitą obojętność, która budziła we mnie mgliste podejrzenia. Któregoś dnia po powrocie do domu zastałam kartkę od sprzątaczk, która informowała mnie, że był u mnie kolega z pracy zabrać jakieś taśmy. Sprzątaczk szanowała mój artystyczny nieład i odkurzała niczego nie ruszając, lecz Ałun o tym nie wiedział. Poprzestawiał książki, pomieszał kasety magnetofonowe, porozrzucił kasety wideo. Na szczęście nie przyszło mu do głowy zajrzeć pod wannę. Postanowiłam jednak więcej nie ryzykować. Następnego ranka oddałam taśmy do depozytu w banku, a po przyjeździe do biura rzuciłam od niechcenia, że nie trzymam w domu żadnych cennych rzeczy, bo włamywacze w dzisiejszych czasach potrafią sforsować każdy zamek. A przy okazji, czy Ałun znalazł to, czego szukał?

Pomyślałam, że lepiej nie wymieniać nazwy banku, w którym zdeponowałam taśmy, bo gotów był zorganizować napad z bronią w rękę. To do niego bardzo podobne.

Pewnego popołudnia, niecały tydzień przed dniem, w którym program miał pójść na wizję, zostałam sama w biurze. Jeff poszedł na urlop, Fizy na „chorobowe”, a innych dokądś wymiotło. Pilnowałam interesu, siedząc przy biurku pod elektrycznym wiatraczkiem i czekając, żeby zadzwonił telefon. Zadzwonił.

To był Richard.

Nowa emisja „Śledztwa” zaczęła się na początku września. Program o Vincencie sprzedaliśmy Amerykanom w ramach jednostkowej transakcji, nie obejmującej innych odcinków. Mieli pokazać go w Kalifornii tego samego wieczora. Synergia, modne słowo. Pracowałam jak szalona do ostatniej minuty, nagrywając wywiad z Richardem, tnąc, wstawiając, przestawiając. Do domu wróciłam w stanie kompletnego wyczerpania i od razu weszłam do wanny. Richard przypomniał mi, że dla uczczenia (czego?) obiecałam mu kolację, ale byłam zanadto zmęczona. Co chwila patrzyłam na zegarek. Program zaczynał się o dziewiątej. Cienkie czarne wskazówki przesuwwały się ospale po jajowatej twarzy zegara, nowoczesnej tarczy z czterema cyframi i ostrymi kreskami dla zaznaczenia pozostałych godzin. Żadnych złowieszczych kurantów, tylko nieubłagane tykanie. Fala zawróciła i zaczął się odpływ. Przyszłość skurczyła się do wymiarów pojedynczej chwili, czkawki, kropki. Godziny dziewiątej. Czułam się samotna bez mych Skrupułów, siedząc w pustym mieszkaniu, kołysząc jeszcze głębszą niż przedtem wewnętrzną pustkę. Moje serce biło szybciej niż zegar, szybciej niż czas. Zostało pięć minut. Cztery. Trzy...

Nie włączyłam telewizora. Nie chciałam oglądać egzekucji. Tylko barbarzyńcy to robią. Pomyślałam o podekscytowanej konspiracji Phyl, o dłoni Wina na moim ramieniu i bliźniaczych płomieniach świec odbitych na wzburzonym niebie. Pomyślałam o jaszczurce na ścianie, o uśmiechu Richarda, oczach Penny, spadających gwiazdach, zupie szparagowej. A potem nie byłam już w stanie myśleć o niczym. Program trwał godzinę z dwiema przerwami na reklamy. O dziesiątej miało być po wszystkim.

O dziesiątej włączyłam wiadomości.

Rozdział drugi

Środek sierpnia zastał Vincenta na wyspie San Giulio położonej na jeziorze Orta. Los Angeles przeżywało tak straszne upały, że zamarł niemal ruch uliczny, a ponieważ warunki nie sprzyjały siedzeniu ani w biurze, ani w restauracji, Vincent wyjechał do Włoch, zamieniając zamglony smogiem horyzont swego przybranego kraju na lukrowane szczyty i połyskliwe sklepienie nieba. Leżał sobie w ogrodzie nad brzegiem jeziora, zaopatrzony w szklankę zimnego piwa i dostarczone mu z Mediolanu świeże numery „The Economist”, „Financial Times”, „Herald Tribune” oraz wczorajsze „Corriere della Sera”. Jego własna motorówka była zacumowana w jego własnej przystani nie opodal. Od gór wiał delikatny wietrzyk i marszczył gładką, zgoła jedwabną powierzchnię wody falami tak delikatnymi jak cienie na tafli lustra. Z domu dochodził głos matki do wtóru z głosem Mariangeli, spierających się o coś z miejscową kucharką. Świeże powietrze i kojący dźwięk języka włoskiego działały na Vincenta usypiająco. Willę na San Giulio kupił i odremontował przed kilku laty jako prezent na urodziny Jolandy. Które urodziny - tego nie dało się z niej wyciągnąć. Zawiózł ją tam bez uprzedzenia i oświadczył, że najwyższy czas, by zamieniła rudere w Mirafiore-Tripodina na coś wygodniejszego. Może zabrać ze sobą Mariangelę i Tommasa, a także - jeśli koniecznie chce - Sebastiano. Remont był na ukończeniu, mogli przeprowadzić się choćby zaraz. Jolanda wpadła w zachwyty.

- Ach, *bellissimal* Mój Vincente daje mi najlepsze prezenty. Żadna matka nie może się pochwalić takim cudownym synem - *naturalmente* z wyjątkiem *Santa Vergine*, ale ona to co innego.

Teraz mam dom nad jeziorem jak *aristocratichi* i *arrivisti*. Sprawiasz, że jestem *molto, molto contenta*, Vincente, ale...

- Ale?

- Nie mogę porzucić Villa Mirafiore. Rozumiesz, prawda? Wiem, że rozumiesz. Tyle lat tam mieszkałam, że aż trudno policzyć. To jest mój dom, dom Sebastiano. Możliwe, że się starzeję. Gdy człowiek się starzeje i jest gdzieś szczęśliwy, to nie chce zmian. Kiedy byłam młoda, *constatemente* coś zmieniałam. Dom, kraj, kochanka. Teraz już nie jestem taka *volatile*. Także Sebastiano...

- Si? - syknął Vincent przez zamknięte zęby. - *Sssi?*

- Myślę, że cię w końcu polubił. Si *abitua a te*. Przekonał się, że jesteś dobrym synem, że mnie kochasz. Nie zechce jednak zamieszkać w twoim domu. Sebastiano jest bardzo dumny, *capisci*, zdaje sobie sprawę, że jest dość biedny, podczas gdy ty jesteś strasznie bogaty, jak Agnelli, jak Berlusconi. Boli go, że nie może mi kupić takiego pięknego *palazzo*, że stać go tylko na Villa Mirafiore, gdzie kapie z kranów, a dach przecieka...

- Jeśli chcesz, załatwię naprawę tego cholernego dachu! - wybuchnął Vincent.

- Nie, *caro*. Siostrzeniec Tommaso obiecał, że zajmie się tym w wolnej chwili. Może w przyszłym tygodniu. *Magari*. To już umówione. Sebastiano zapłaci za ten dach, a potem przyjedziemy tu na wakacje. Chcesz? Ilekroć odwiedzisz Włochy, przyjedziemy tutaj. Sebastiano nie będzie miał nic przeciwko temu. Będę pić najlepszego szampana i żyć jak królowa! Tak się cieszę, że kupiłeś ten dom, Vincente. Będiesz czuł się w nim lepiej niż w Villa Mirafiore. Teraz będziesz przyjeżdżał do Włoch częściej, prawda?

Tym sposobem dom na San Gulio stał przeważnie pusty, zamieszkały jedynie przez małżeństwo, które się nim opiekowało. Czasami wynajmowano go lub zatrzymywali się w nim jacyś znajomi. Raz czy dwa razy do roku, kiedy Vincent przyjeżdżał do Włoch, Jolanda przenosiła się na San Giulio z całą świtą - z wyjątkiem Tommaso, który nigdy nie zapomniał Vincentowi ich pierwszego spotkania i wykręcał się od tych przenosin sztywnymi stawami. Zachowywali się zawsze według tego samego wzoru: Jolanda kipiała radością, Sebastiano boczył się, a Mariangela ucierała nosa tamtejszej gospodyni przygotowując - na polecenie signory - pyszności kuchni toskańskiej, z którą nieszczęsny Lombard nie mógł konkurować. Ubodło Vincenta, że matka nie chce zamieszkać w tym domu na

stałe, ale już się przyzwyczał do jej narwanego charakteru i nie upierał się. Podobnie rzecz się miała z biżuterią. Choć regularnie kupował jej prawdziwe kamienie, ona ciągle nosiła swoje szklane podróbki; na szponiastych palcach tłoczyły się fałszywe i prawdziwe brylanty.

- Kiedy byłam gwiazdą w Hollywood, brylanty uważałam za *molto importanti*. Byłam jak Elizabeth Taylor, Zsa-Zsa Gabor. Wielka gwiazda musi mieć mnóstwo klejnotów, prawdziwych klejnotów. Nieprawdziwe brylanty są dla nieprawdziwych gwiazd. Teraz nie jestem już taka wyrachowana. Prawdziwe czy fałszywe, byle były ładne. A poza tym zapominam, które są które.

Upuścił gazetę i przez moment myślał o matce ze zwykłym rozdrażnieniem, kiedy w domu rozległ się dzwonek telefonu. Chwilę potem Jolanda go zawołała.

- To do ciebie - powiedziała. - Ktoś z Ameryki. Zdaje się, że bardzo zdenerwowany.

Vincent wziął od niej słuchawkę.

- Słucham?

- Cham! - usłyszał głos Irvinga Bluma.

- Słucham?

- Cham! Drań! Łobuz! Pożyczam ci dom - mój własny dom, mój zamek - i co ty robisz? Najpierw sprowadzasz huragan, potem rozwalasz mi auto, a na koniec, jakby ci było mało, okradasz mnie! Tak to jest zaufać gojowi. Cholera, wiedziałem, w jaki sposób prowadzisz interesy, ale nie mogłem uwierzyć, że tak samo postępujesz ze znajomymi. Ja do ciebie z sercem na dłoni, a ty...

- Irving...

- Nie przerywaj. Powiedziałem ci, używaj mojego domu, czuj się jak u siebie. Ale nie powiedziałem ci, żebyś ukradł mi moje pamiątki, bardzo osobiste, bardzo prywatne pamiątki, których nie da się niczym zastąpić. Aj, waj, a ja do ciebie z sercem na dłoni...

- Irving, przestań odstawiać Żyda.

- Jestem Żydem! - Dzięki pozatelefonicznej percepcji Vincent był świadom jego gwałtownej gestykulacji. - Ty nie rozumiesz, co to znaczy być Żydem. Dobrze, mam poczucie winy, mam paranoję, ale również mam duszę. Jestem uczuciowy, emocjonalny. Ty jesteś zwichniętym protestantem i nie praktykującym katolikiem. Ale to ci nie przeszkadza żyć. Dla ciebie to tylko religia. Dla mnie żydostwo

to krew. Jesteś zamrożoną grudą angielskiej obojętności. Ja jestem Żydem, jestem wrażliwy, jestem...

- Emocjonalny, wiem. Słuchaj, dom zostawiłem w porządku, z huraganem nie miałem nic wspólnego, za samochód zapłaciłem. Opróżniliśmy zamrażarki, bo musieliśmy, mówiłem ci już. Niczego nie zabrałem. Do cholery, nie liczysz chyba gorzały.

- Gorzała! Zamrażarki! Przecież ci powiedziałem, że mój dom jest do twojej dyspozycji. Jedz, co chcesz, pij, co chcesz, ale moje taśmy, Vincent, moje taśmy! Dla ciebie to może pornografia, ale dla mnie to czysta poezja, romans. Kiedy ich słucham, wydaje mi się, że jestem znowu z nimi, że jestem w nich, w lizie o jasnych włosach, w Inge o biuście jak Walkiria i nogach konia wyścigowego. Seks jest ulotny, ale dzięki tym taśmom mogłem moje dziewczyny wciąż trzymać w ramionach, mogłem! o nich dalej marzyć. Nie jesteś Żydem, nie rozumiesz. Ty, Vincent, zaspokajasz żądzę, a ja kocham! Te taśmy są dla mnie jak... jak płatki zerwane z róży namiętności, jak zapach wina w pustym kieliszku...

Irving, jak się okazało, miał zwyczaj nagrywania na magnetofon odgłosów swych zbliżeń seksualnych z siksami, a kasety trzymał w domu na Dominice, żeby przypadkiem nie wpadły w ręce jego byłej żony. (Od dziesięciu lat usiłowała, we wszystkich możliwych sądach, udowodnić, że Irving nie nadaje się na ojca, a jednocześnie podnieść i tak już bardzo wysokie alimenty.) Teraz dwóch z tych kaset brakowało. Irving właśnie wyjaśniał, dlaczego nie trzymał ich w sejfie. Otóż lubił ich słuchać, kiedy czuł się samotny, by - jak powiedział - reanimować swe uspione serce. Często czuł się samotny.

- Nagrywałeś siebie? - spytał Vincent z niedowierzaniem. - Mój Boże, czemu nie poszedłeś na całość i nie używałeś kamery?

- Szlemiel! Nie chcę występować w pornosach! Świńskie filmy są po prostu... świńskie. Wiesz, co ci dolega, Vincent? Brak ci subtelności, wyobraźni i...

- Duszy. Wiem, wiem. Między nami mówiąc, to nawet niegłupie, że ograniczasz się do efektów dźwiękowych. Daleko ci do muskulatury Sylvestra Stallone.

- Stallone, sralone! Jestem intelektualistą. Nie potrzebuję mus-kułów. Ciągłe zmieniasz temat. Gdzie, do cholery, są moje taśmy?

- Powiedziałem ci, że ich nie wziąłem - odparł Vincent z naciskiem. - Chyba nie myślisz poważnie, że jestem do tego zdolny.

Miałem tam własną sikse - nogi i wszystko co potrzeba - i sami zadbalismy o efekty dzwiekowe. Nie potrzebowalismy twoich. Jesteś pewny, że te kasety zginęły? Może je gdzieś przełożyłeś? Albo służba...

- Niczego nie przełożyłem. Służba też nie. Już z nimi rozmawiałem. Zresztą kasety były w szafce, a żadne z nich nie miało powodu tam zaglądać. Tak czy owak nie rusziliby moich rzeczy, oni są inni niż ty. Do diabła, oni są lojalni, tacy jak ja. A skoro już jesteśmy przy nich, to czy musiałeś, świntuchu, obnażać się wobec służącej? Od tamtego dnia nie wychodzi od psychoanalityka.

- Kto jak kto, ale ty nie powinieneś robić mi uwag na temat skromności - odciął się Vincent.

- No dobrze. A ta siksa, która była z tobą? Może ma lepkie paluszki? Moza ona je wzięła?

- Odpada - uciął Vincent.

- Słuchaj - powiedział Irving - te taśmy były tam przed twoim przyjazdem, a jak wyjechałeś, okazało się, że zniknęły. Dobrze, ty ich nie podpieprzyłeś. Czy mógł to zrobić ktoś inny? Nikt cię nie odwiedził? Ta wścibska jędra Deirdre Langelaan? Mogła wysłać te taśmy do Esther. Były bliskimi przyjaciółkami. Vincent...

- Uspokój się. Jej tam nie było. Nikt mnie nie odwiedzał. Tylko jedno było mi w głowie - pieprzyć się w spokoju.

- A więc wróciliśmy do tej dziewczyny. Co o niej wiesz? Nie była przypadkiem kimś w rodzaju detektywa? Może pracuje dla Esther? Mówiłeś, zdaje się, że cię poderwała.

- Nie. - Vincent był już znudzony. - To był czysty przypadek. Jeśli już ktoś kogoś poderwał, to raczej ja ją. W każdym razie... - Stały mu przed oczyma ostatnie minuty przyjęcia u Langelaanów. Przebiegł go lekki dreszcz. Ależ nie, pomyślał, to ona mnie poderwała. Liczyła na brak gościnności Pete'a. Przysiadła się do mnie, wprosiła się do mojego domu. Poderwała mnie...

- Irving - powiedział zmienionym głosem. - Źle cię słyszę, a poza tym jestem umówiony na obiad z tutejszym bonzą. Oddzwonię do ciebie.

Odłożył słuchawkę. Jolanda czekała na niego.

- Kim jest ta dziewczyna? - spytała. - Nie opowiadałeś mi o żadnej dziewczynie.

- Nie spodobałaby ci się - odparł. - Zanadto angielska. Sałata bez winegretu. Mrożony napój bez dżinu. Zupełnie nie w twoim typie.

- Ach, Anglicy! - skrzywiła się Jolanda. - Miałam ich po uszy. Twój ojciec i ta jego siostra. Sebastiano nienawidzi Anglików bardziej niż ja. Czasami mówi o tobie, że jesteś Anglikiem, ale mu zabraniam. Ty jesteś *vero italiano*.

Difatto, on to mówi tylko wtedy, gdy jest na ciebie zły. Angielka do ciebie nie pasuje. Dokąd dzwonisz?

- Do Hannibala - odparł Vincent. - W sprawie tej dziewczyny. Nie wierzył, że Micky była zawodowym detektywem na pensji

Esther Blum. Ani w to, że ukradła dwie pornograficzne taśmy. Ale należało coś z tym fantem zrobić. Tak go to swędziało, że musiał się podrapać, bo inaczej chyba by zwariował. Pamiętał, czym grozi drapanie - najpierw zrobi się bąbel, a potem zacznie krwawić. Kiedy Hannibal odebrał telefon, Vincent nie wdając się w szczegóły poinformował go, że z domu Irvinga zginęły pewne rzeczy, wobec tego najwyższy czas wprowadzić do akcji „Quidnunca”. Mają natychmiast, bez względu na koszty, dowiedzieć się, kim jest Michelle Annesley. Odwiesił słuchawkę, nim Hannibal zdążył się odezwać. Nie czuł się na siłach z nim dyskutować. Nagle przypomniał sobie bajeczkę o zniknięciu srebrnych łyżeczek, którą wymyślił na użytek Phyllidy Khorman. Phyllida powiedziała, że coś podobnego wydarzyło się w szkole, kiedy Micky była dzieckiem. Wtedy uznał to za jej wymysł, lecz... nie, nie, Micky nie była kleptomanką. Kleptomani nie kradną kompromitujących taśm. Cóż za nedorzeczny pomysł. Postanowił na razie o tym nie myśleć, tylko czekać, co się zdarzy.

Pierwszy o programie dowiedział się Judas Carson. Dostał cynk od starego znajomego, który obecnie miał jakieś powiązania z telewizją. Gdy Vincent wrócił do Los Angeles, Carson przyszedł do niego i powiedział:

- Wpadłeś w tarapaty, mały. - Vincent miał trzydzieści dziewięć lat, ale dla Judasa wciąż był „małym”. - Wstrętna robota Anglików, typu: najpierw obsmarujemy gościa, a za szkody zapłacimy potem. Mówią, że producent programu jest największym wszarzem w tym biznesie. Nie wiem dokładnie, co na ciebie ma, ale nie jest dobrze. Usiłuję załatwić taśmę. Jak zobaczymy, o co chodzi, to może nasi

prawnicy znajdą jakąś dziurę, zaskarżą, coś w tym guście. Siedzą na tych taśmach jak wiewiórka na orzechach, ale jedną jakoś się spod nich wyciągnie. Powinieneś jednak... Myśli Vincenta krążyły gdzie indziej.

- Chcą zmacić wodę. Niech sobie macą. Nie szkodzi.

- Oczywiście, że szkodzi. Co z tobą, Vincent? Przez te wszystkie lata odstawiasz twardego i nagle stajesz się sentymentalny? Weź swych eleganckich znajomych. Lubią cię, bo masz klasę, ale jeszcze bardziej lubią twój szmal. Szastasz nim na prawo i lewo, dajesz na te ich akcje charytatywne, co sprawia, że uważają cię za równego gościa. Nie pytają, skąd bierzesz forszę, może się domyślają, ale oficjalnie wolą nie wiedzieć. Mają dwie twarze. Jedną deklamują z zamkniętymi oczyma o moralności, drugą mówią z uśmiechem czule słówka, wyciągając przy tym rączkę. Taki program otworzy im oczy, nie będą mogli dalej się oszukiwać. Twoja forsa nagle okaże się zbyt brudna dla ich białych jak lilie paluszków. Staniesz się problemem. Problem psuje interesy.

- Ależ z ciebie filozof - stwierdził zmęczony Vincent. - Posłuchaj. Może to i oniśmieli na chwilę moich tak zwanych eleganckich znajomych, ale kiedy sprawa ucichnie, wrócą. Ci, co nie wrócą, nie są mi potrzebni. Ludzie dają się unosić fali opinii publicznej, ale opinia publiczna nie będzie na mnie tracić dużo swego cennego czasu. Z drugiej strony, choć nie mam pojęcia, czego się te dranie uczepliły, wiem, że nie może to być nic rewelacyjnego. Moje życie jest zamkniętą książką.

- Właśnie do tego zmierzałem. - Judas nie miał szczęśliwej miny. - Częściowo są to podobno jakieś sprawy osobiste, rodzinne porachunki, coś w tym rodzaju...

Vincent musnął spojrzeniem twarz swego eks-mentora.

- ...zgadnij jednak, kto rozpuścił jadaczkę na temat twoich interesów? - Przerwał, widząc, że Vincent znowu błądzi gdzieś myślami, zajęty mieszanym drinkiem w szkance. - Zawsze mówiłem, że ta LeSutener to wąż - zakończył Judas.

- Powinieneś być mnie słuchać, mały. Przytulasz do piersi grzechotnika, to cię w końcu ukąsi. Taka jego natura.

- Rich? Grzebie się w brudach w jakimś zasranym programie telewizyjnym? - spytał Vincent z niedowierzaniem. - Nie, to niemożliwe.

- Taaa. Człowiekowi nie chce się wierzyć, że może umrzeć od

ukąszenia węża. Lepiej spytaj, kto jej zapłacił. Ona nie robi niczego za darmo. Gdybyśmy mogli udowodnić, z czyich rąk przeszły do niej pieniądze, złapalibyśmy skurwiela za jaja.

- Jesteś tego pewien? - spytał Vincent powoli.

- Tak, jestem pewien. Choć wolałbym nie być. Jakkolwiekby na to spojrzeć, miłe to nie jest.

- Jeśli ktoś jej zapłacił - Vincent zmarszczył czoło - musiał wyłożyć na stół straszną kupę forsy. To nie jest w jej stylu. Gdyby miała coś do mnie, to przecież mogła załatwić mnie na rynku, wyprzedzić z jakąś transakcją, przerobić na milion czy dwa. To bym zrozumiał. Ale tak... Jak to się mówi, zjedliśmy razem beczkę soli. Wiesz o tym. Zawsze sądziłem...

- Wiem, mały. Wiem, co sądziłeś. Sam widzisz, że jesteś sentymentalny. A nie trzeba było jej tak ufać.

Przestrzegałem cię od samego początku.

Po tej rozmowie Vincent poszedł do łóżka, żeby odespać podróż, ale spał źle, dręczony nie rozwiązanymi sprawami. Gdyby był mniej zmęczony, może dodałby dwa do dwóch i otrzymał sześć, ale po pierwsze samolot się spóźnił, po drugie poprzedniego wieczora pożarł się z Sebastiano, nie miał więc głowy do arytmetyki. Ciągłe myślał, że dziennikarze dzielą się na oportunistów w rodzaju Hibberta, czyli takich, co to nie przepuszczą żadnej okazji zdobycia informacji, i na *paparazzi*, którzy z aparatami fotograficznymi w ręku tłoczą się przy wejściu do sądu, na przyjęcie, na każdy jubel w Beverly Hills. W jego podświadomości fakty dodały się do siebie, dając równanie z gotowym rozwiązaniem. X równa się Micky. Micky równa się X. Jak to się czasami zdarza, sny z tej nocy wróciły tydzień później czy coś koło tego, jako kalejdoskop obrazów, w których twarz Richmond, powiększona na ekranie telewizora, nagle zmieniła się w twarz Micky. Micky leżała obok niego w łóżku i trzymała nie jego penis, jak mu się początkowo zdawało, lecz mikrofon. „Jeszcze jedno pytanie, panie Savage” - powiedziała i w tej samej chwili mikrofon ejakulował, co jednak nie sprawiło mu żadnej przyjemności, Micky zaś śmiała się, kręciła głową i krzyczała: „Nikt nie potrafi cię kochać...”

Obudził się wcześniej, wciąż zmęczony. Czuł się gorzej, niż gdyby miał kaca. W listopadzie wypadały jego czterdzieste urodziny, co oznaczało, że technicznie był w średnim wieku. Przygnębiająca myśl. Nie pragnął bynajmniej być znowu młodym i głupim, ze

starzeniem potrafił dać sobie radę, w każdym razie tak myślał, ale średni wiek... brzmiał „średnio” - jak średnia jakość, średnia inteligencja, średnia przyjemność. Zarobił dużo pieniędzy, wyrównał porachunki, ale co poza tym zrobił? Co zamierzał zrobić? Nic nie zrobił i nic nie zamierzał zrobić. Znajdował się w środku niczego, egzystencjalista w próżni. Choć takie było jego credo, jądro jego filozofii, po raz pierwszy, chyba po raz pierwszy, poczuł smak wyizolowania i stwierdził, że w nim nie gustuje. Patrząc przy goleniu w lustro zobaczył posępną twarz, czarne brwi nisko nad pozbawionymi słońca oczyma, wargi dawno odzwyczajone od uśmiechu, zapadnięte policzki pod kozuchem pianki do golenia. Siła i bezwzględność tego odbicia wydała mu się tylko fasadą, lichą maską łatwą do zerwania, niezbyt dokładnie zasłaniającą nagą rozpacz. Dawno już nie czuł się tak zagrożony. Powrót jego młodzieńczej wrażliwości zbiegł się ze zmęczeniem związanym z wiekiem. Okropne. Nie dokończywszy golenia zmył piankę i poszedł do biura.

Na biurku zastał raport „Quidnunca”. Michelle Annesley Cloud, urodzona w 1957 roku. Obywatelka brytyjska. Adres londyński. Matka: Veronica Annesley, później Cloud. Ojciec: Michael Annesley. Poeta. Agencja dołączyła kilka linijek jego najbardziej znanego wiersza.

***Niosąc nasiąkłe krwią chorągwie odchodzą w blednący zachód słońca; trajkot werbli i karabinów ustępuje miejsca westchnieniom morza i oddechowi wiatru -Noc spiesznie roztacza całun nad spustoszoną ziemią.
Z „ Ostatniej Bitwy ”.***

Wstatnia bitwa. Armagedon. Vincent wyobraził sobie Micky na białym rumaku, w srebrnej kolczudze błyszczącej w słońcu jak łuska węgorza i z Ekskaliburem w ręku. X-kaliber, nieznaną miecz. Zabolało go jej wspomnienie. Czytał dalej, pośpiesznie przeskakując szczegóły, nie mogąc się doczekać, kiedy dotrze do sedna. Ojczym Jolyon Cloud. Uniwersytet Hrabstwa Sussex. Wczesne małżeństwo z Patrickiem Murphy, następnie rozwód. W zawodzie posługuje się nazwiskiem Micky Murphy. Fotografia. Krótkie włosy, czapka z daszkiem włożona na bakier. Ciekawe, skąd ją wytrzasnęli. „Praca

na Fleet Street: fotokopie starych artykułów. Poważne tematy, dochodzenia, rewelacje. Wreszcie jej obecne zatrudnienie. „Śledztwo”. Producent - Alun Craig. Streszczenie dotychczasowych osiągnięć programu. Nowa seria rozpoczyna się piątego września. Tytuł pierwszego odcinka *Vincent Scarpia Savage. Studium zemsty*.

Vincent przed długi czas siedział bez ruchu. Wiedział, że powinien się wściec - i niedługo pewnie się wścieknie - ale w tej chwili czuł się pusty, głupi, niezbyt zdrowy. Usiłował przypomnieć sobie dokładnie, co jej powiedział, jak daleko się zdradził - sam się zdradził - lecz jego mózg nie był w stanie porządnie pracować, zaciął się na jednej myśli. Micky. Z otwartej teczki patrzyła na niego spokojnie i niby szczerze. Była ładna w ten modny, wysmakowany chłodny sposób. Ładny okaz angielskiej porcelany. Co on powiedział? „Można by pomyśleć, że piszesz doktorat...” Nie mógł dalej myśleć. Czuł się otepiały z bólu. Pusty. Głupi. Głupi. Pusty. Złość, oto czego potrzebował. Ślepej furii, nienawiści, żądy zemsty. Te proste uczucia nadawały wartość życiu i rozgrzewały, kiedy przychodziła era lodowcowa. W tej chwili jednak czuł złość tylko do siebie. Smagał się nią jak biczem. Ależ byłem głupi...

Sekretarka zapukała, weszła, zatrzymała się przy biurku.

- Co z dzisiejszą pocztą?

- Wyjdź.

Wyszła. Bez słowa. Vincent został sam ze swą głupotą.

Nie powiedział prawdy Hannibalowi. Ani Judasowi. Nie zadzwonił do Irvinga. Teraz był już pewny, że to Micky wzięła taśmy, choć wciąż nie pojmował po co. Jedyne wytłumaczenie, jakie przychodziło mu do głowy, to to, że była dziennikarką i brała, co tylko wpadło jej w rękę. Wystarczający powód. Kiedy obiecana taśma wideo przybyła, dzień przed emisją, obejrzał ją dokładnie, wysłuchał komentarza, poznał kilka cytatów. Na końcu znajdowało się nazwisko Micky, Micky Murphy, umieszczone skromnie wśród innych nazwisk. Jak gdyby jej wkład w program ledwo zasługiwał na wspomnienie. W jakiś sposób ten fakt jeszcze bardziej pogłębił jego smutek. Lepiej by zniósł, gdyby domagała się zapłaty, wielkich liter w czołówce, pyszniła się swym zwycięstwem, dmuchała w trąbę. Niewątpliwie uważała, że działa w imię wyższych zasad, oszukiwała go dla dobra sprawy. Zwyciężyła słuszość i sprawiedliwość, a nie ona osobiście. Wykrzywił usta w złośliwym uśmiechu, choć nikt nie mógł go

zobaczyć. Micky w swym paradnym stroju ścisnęła błyszczący miecz. Hipokrytka jak wszyscy. Zniszczy ją. Podobnie jak zniszczył Richarda. Wyczeka na odpowiedni moment i uderzy. Chciał wyobrazić sobie Micky zalewającą się łzami, ale nie potrafił. Płakała w jego łóżku, kiedy kłócili się na temat miłości, ale wobec zniszczonej reputacji i kariery jej oczy pozostawały oczyma z fotografii, nieruchomymi i nieustraszonymi. „Mówiłam ci, że się nie zmienisz”

- powiedziała. „Ludzie się nie zmieniają.” Przyjął to z rezygnacją, z niechęcią, z irracjonalną wściekłością. Zatrzyma tę fotografię, a pewnego dnia, gdy złamie ją (jeszcze nie wiadomo, w jaki sposób), a ona zacznie na niego krzyczeć histerycznie jak niegdyś Crystal, podstawi jej pod nos tę fotografię i powie: „Spójrz, taka kiedyś byłaś.” Nareszcie poczuł satysfakcję, która jednak wypełniła go taką ciemnością, że o mało się nie rozplakał, *lacrimae rerum*, łzami złości, goryczy i żalu.

Ale to była tylko chimera. Zatelefonował do Judasa.

- Nie ma się czym przejmować. Burza w szklance wody. Sztorm w kieliszku szampana. Zaskarżając ich przyznałbym, że mają rację. Nie warto.

- Jak uważasz - odparł Judas. I dodał: - Mam nadzieję, że masz rację.

Po programie następowały wiadomości.

Bogate panie skreśliły go z listy uprzywilejowanych gości. Dawni znajomi odwrócili się do niego plecami. Śliczna gwiazdeczka, którą kiedyś przeleciał, zadzwoniła i powiedziała, że zrywa z nim raz na zawsze. Ale Vincent ledwo to zauważał. Działając raczej instynktownie, na razie bez specjalnych zamiarów czy planów, przesłał „Quidnuncowi” instrukcje. Potem dowiedział się, że Piers Percival spłacił długi Richarda, uzasadniając swój gest słowami przytoczonymi przez „Sunday Times”: „Richard to mój syn chrestny. Zaniedbałem go w sposób karygodny. Jestem starym człowiekiem, nie mam własnych dzieci...” I tak dalej, i tak dalej. Z tego, co Vincent pamiętał, takie głodne kawałki nie były w guście Piersa Percivala. Miały jednak odbicie w faktach. „Quidnunc” potwierdził, że Richard mieszka obecnie w jego domu w Surrey, dojeżdża do Londynu do dzieci i na rozmowy w sprawie zatrudnienia na odpowiedzialnym stanowisku w dziedzinie projektowania samolotów. (Normalnie Piers

- poza sir Johnem - nie uznawał gości, twierdząc, że najlepiej bawi

się we własnym towarzystwie.) Do raportu dołączono też zdjęcie wycięte z jakiegoś pisma ilustrowanego, wykonane przez dyżurnego reportera w londyńskim zoo. Richard z małym chłopcem i dziwną dziewczyną, a pod spodem podpis: „Micky Murphy, dziennikarka telewizyjna, której żmudne dochodzenie pomogło Richardowi Garog-hanowi odzyskać dobre imię i rozpocząć nowe życie. Czy zanosi się na romans?" Nie panując nad sobą Vincent przedał zdjęcie na pół, precyzyjnie rozdzielając Micky i Richarda. Przez kilka minut patrzył tępo na te kawałki. Potem wezwał poprzednio źle potraktowaną sekretarkę.

- Zarezerwuj mi bilet na samolot - polecił. - Lecę do Anglii.

Rozdział trzeci

Jakieś dwa tygodnie po programie znowu wpadłam na Shirley Posser - tym razem nie u Sainsbury'ego, lecz w dziale spożywczym Harrodsa. Wpadłam na nią dosłownie. Odskoczyłyśmy od siebie, prześcigając się w przeprosinach, i wtedy dopiero się poznałyśmy. Spięłam się oczekując napaści. Przypuszczalnie twarz mi stężała. Okazało się jednak, że Shirley radykalnie zmieniła poglądy. Na jej twarzy zakwitł radosny uśmiech.

- Panna Murphy! Jak się cieszę, że znowu panią spotykam!

- Złapała mnie za ramię, żebym przypadkiem jej nie uciekła.

- Szukałam sposobności, żeby przeprosić za tamtą historię. Muszę pani powiedzieć, że niewiele brakowało, a napisałabym do tego pani programu, tylko że nie byłam pewna, czy... w każdym razie bardzo panią przepraszam.

Byłam wtedy okropnie zdenerwowana tym, jak dzieci potraktowały Marka. Teraz już bym się nie przejęła. W końcu to wina ich rodziców, prawda? Tylko że Mark jest takim delikatnym dzieckiem.

- Czy jego sytuacja już się trochę poprawiła? - spytałam, dochodząc do siebie po początkowym zaskoczeniu. - Nie przyszedł tu dziś z panią?

- Nie, nie, został u kolegi. Odkąd chodzi do nowej szkoły, wszystko się zmieniło. Między nami mówiąc, w tej szkole dzieciom strasznie imponuje, że jego tata jest w więzieniu. Dziadek jednego z nich uprawiał szpiegostwo przemysłowe, a wuj drugiego zdefraudował pieniądze banku. Tak że sama pani widzi! Ma pani duże pole do popisu. Oczywiście to jest o wiele lepsza szkoła.

- Jak widać - mruknęłam, lekko oszołomiona.

- Ładnie, że się pani nim zainteresowała, zwłaszcza po tym, jak się zachowałam. Ale wie pani, nie myślałam wtedy jasno. Nie

chciałam przyjąć do wiadomości prawdy o Guyu. Mówił, że robił wszystko z myślą o mnie i Marku. Tym się usprawiedliwiał. Dopiero gdy się dobrze zastanowiłam, zrozumiałam, że to idiotyczne. No bo co dziecku po ojcu zamieszonym w sprzedaż narkotyków, prawda? Steve mówi, że każdy może się w coś zamieszać, bo prawo jest tak skomplikowane, że czasami człowiek nie wie, że je złamał, ale narkotyki to co innego.

- Kto to jest Steve?

Steve, jak się okazało, był nowym mężczyzną w jej życiu. Właśnie rozwodziła się z Guyem i przenosiła w inny świat. St John's Wood zamieniała na podmiejską osadę w Bucks, BMW na Range Rover, przystań w Brighton Marina na jacht w Marbelli. Scaletrix Marka pewnie zostanie zastąpiony jakąś inną tego typu zabawką. Póki nie dostała wyroku tymczasowego w sprawie rozwodowej, wynajmowała mieszkanie w Knightsbridge, czekając, aż Mark na tyle przywyknie do nowej szkoły, by mógł zostać w tygodniowym internacie. Czynyś płacił Steve, który był „grubą rybą w City, zrobił znacznie lepszą karierę od Guya i mówił, że jeśli jest się naprawdę bystrym, nie trzeba uciekać się do przestępstwa". Poznała go, kiedy przyjechał, żeby kupić dla córki Porsche Guya Possera. Jakie to wszystko do siebie podobne. Nie mogłam oprzeć się złośliwej myśli, że nie od rzeczy byłoby sprawdzić, czy Steve Marchant nie nadawałby się do naszego programu. Biedna Shirley nigdy by mi nie wybaczyła. Tak ładnie wyglądała - włosy utlenione po same cebulki, tusz świeżo nałożony na rzęsy. Należała do kobiet, które się nie uczą, wychodzą za mąż za określony typ mężczyzn, a potem gorzko tego żałują. Zraniona niewinność, która bez względu na pogodę trwa przy swej naiwności.

Mimo wszystko życzyłam jej powodzenia w życiu. Uwolniła moje ramię i złapała dłoń.

- Pani była taka miła, to znaczy wtedy, gdy mnie wzięło. Czułam się potem okropnie. Teraz nie potrafię wyrazić, jak bardzo jestem pani wdzięczna. Wszystko się dobrze skończyło, jestem taka szczęśliwa. Gdyby nie pani i pani program, ciągle bym tkwiła z Guyem w St John's Wood. A wie pani, ja nigdy nie lubiłam tego domu. Z obu stron mieszkali Arabowie i kuchnia była za mała. Niech pani spojrzy - to mój nowy pierścionek. Markiza.

Wyraziłam zachwyt pierścionkiem i rozstałyśmy się w przyjaźni. Ten dzień był pod znakiem szczęśliwych zakończeń. Żli ludzie

zostali ukarani, dobrzy nagrodzeni. Guy Posser siedział w więzieniu, Shirley dostała pierścionek z brylantem. Vincent Scarpia Savage stał się dyżurnym tematem magazynów ilustrowanych; szczegóły na temat jego życia seksualnego, prawdziwe czy wyssane z palca, stanowiły miłą odmianę po doniesieniach o wojnie na Bliskim Wschodzie. Z każdego stoiska z gazetami patrzyła na mnie Crystal. Te gazety, które niegdyś wyniosłym tonem pisały o oszustwie na hipotece, teraz klepały się nawzajem po ramieniu i triumfowały. Richard wrócił z narzuconego sobie wygnania, połączył się z dziećmi, zaś Piers Percival, którego wyobrażałam sobie jako nieco ponurą, choć działającą w dobrej woli szarą eminencję - czy raczej beżową eminencję - najwyraźniej zasmakował w roli dobroczyńcy. Jeszcze raz uśmiechnęło się szczęście do Richarda, tym razem nie złośliwie. Nawet mógłby mieć dziewczynę, o ile można było nazwać mnie dziewczyną. To znaczy, oczywiście gdyby chciał, gdybym ja chciała i gdybym mogła się zdecydować. Za dużo tego gdybania. Raptem dwa razy jedliśmy w mieście, raz na mój rachunek, raz na jego, i spędziliśmy jeden dzień w zoo z dziećmi. Jonas, jak się spodziewałam, był urwisem o twarzy anioła, o niebieskich oczach Crystal i rozbajającym uśmiechu Richarda. Na okrągło lizał lody na patyku i trzeba było siłą powstrzymać go od podania ręki goryłowi. Oboje z Penny akceptowali mnie z pewną dozą obojętności. Richard, wierzyłam, nie był tak obojętny, ale najwyraźniej uważał, że nie należy się śpieszyć, że dobrze poczekać na odpowiedni moment, albo że trzeba trzymać płęć przeciwną w napięciu. Do tej pory mnie nie pocałował. Podeszłam do tortów. To z ich powodu znalazłam się w dziale spożywczym Harrodsa. W piątek wypadały dwunaste urodziny Penny. Zapropnowałam urodzinowy podwieczorek u mnie, co stanowiło bohaterski gest z mojej strony, zważywszy że wymagał dokonania pewnych zmian w moim mieszkaniu, przesunięcia książek, teczek, kaset, które dopiero co zdążyły wrócić do stanu sprzed wizyty Aluna. Życie postanowiło nie dać mi spokoju. Nie dość, że poruszało we mnie uczucia dawno uspione, to jeszcze uzurpowało sobie prawa do mojego prywatnego czasu, wpychając się w każdy zakamarek i szczelinę mojej egzystencji. Wielu z moich znajomych ma dzieci, ale nigdy nie zapraszałam ich na podwieczorek. Zachowywałam się jak osoba w szoku pourazowym.

- Mamusia zwykle wydaje przyjęcie dla moich koleżanek -, wyjaś-

niła Penny - ale w tym roku byłoby to trudne. Tak powiedziała. Myślę, że ma to coś wspólnego z twoim programem. Od tamtego czasu ciągle przychodzą do nas dziennikarze. Brendan mówi, że mamusia nie była taka sławna, nawet kiedy była sławna. Sprzeda swoją historię czasopismu, ale jeszcze nie wie któremu. Wszystkie proponują jej dużo pieniędzy.

- A ty oglądałaś ten program? - spytałam. Penny skrzywiła się.

- Mamusia mi nie pozwoliła. Powiedziała, że to nie dla dzieci i że wuj Vincent postąpił bardzo niegodziwie.

Na przykład nie uciekł z twoją mamusią, pomyślałam. Penny zadumała się. Nie nazwana niegodziwość miała dla niej urok, który

- tego byłam pewna - nie mógłby równać się z jej klinicznym obrazem.

- Niegodziwy wuj - powiedziałam. - To brzmi jak bajka.

0 Penelope zwanej Śnieżką i Niegodziwym Wuju. Znasz wuja Vincenta?

- Czasami do nas przychodził, zwykle na krótko. Jeszcze zanim tatuś wyjechał. Nie wyglądał na bardzo niegodziwego - dodała sprawiedliwie mimo rozczarowania tym faktem. - Chyba nie lubi dzieci, bo zupełnie nas nie zauważał, ale to było dawno, kiedy byliśmy bardzo mali. Jo raz spytał go, czy w Ameryce są jeszcze czerwonoskórzy i czy kiedyś spotkał któregoś z nich, a on powiedział, że czerwonoskórzy nie zajmują się handlem nieruchomościami. Poznał za to wielu kowbojów. - Uśmiechnęłam się. - Chyba nie chodziło mu o kowbojów z westernów, prawda? - ciągnęła Penny.

- Wiem, że nie. Teraz na oszustów mówi się „kowboje”. Czy wuj Vincent jest kowbojem?

- Bardzo wytwornym - odparłam. - Takim *gauchero* od Gucciego.

- Co to jest *gauchero*?

- Kowboj po hiszpańsku.

- Wuj Vincent jest pół-Włochem, nie Hiszpanem - uściśliła Penny. Nie spytała wszelako, co znaczy Gucci. To wiedziała od Crystal. - W każdym razie wuj Vincent nie targał mi włosów. Brendan targa nam włosy, a ja tego nienawidzę. Zaczęłam czesać się w koński ogon, żeby nie mógł tego robić. Jo nie ma końskiego ogona

1 musi znosić Brendana. Raz chciał go ugryźć.

- Twój tata czasem mierzwi ci włosy - zauważyłam. - Nie masz nic przeciwko temu, prawda?

- Pewnie, że nie. Tata to co innego. Ale nie lubię, kiedy robi to obcy.
 - Wiem - rzekłam. - Tak zachowują się ludzie, którzy chcą pokazać, że lubią dzieci. Zobaczyli, że rodzice to robią i myślą, że właśnie tak trzeba. Dla dzieci musi to być straszne. - Napastowanie włosów, pomyślałam frywolnie.
 - A wracając do twoich urodzin, czy byłoby ci przykro, gdybyśmy uczcili je we czwórkę? Mogłybyśmy połączyć twoje urodziny z moimi, które miałam w zeszłym tygodniu. - Trzydzieste trzecie, długa droga od dwunastu i niezbyt ważne wydarzenie. Z kolegami z pracy siedzieliśmy w pubie już ponad godzinę, gdy Ałun spytał, z jakiej to okazji.
 - Urodziłam się na... na przełomie Panny i Wagi - wygłosiła Penny poważnie. - A ty co jesteś?
 - Panna - odparłam. - Krytyczna perfekcjonistka. W każdym razie byłam.
- W efekcie zabawa się udała. Zrezygnowałam z rozmaitych rokokowych słodkości na rzecz zwykłego ciasta czekoladowego, wychodząc z założenia, że ciasto czekoladowe jest czymś, co dzieci na pewno jedzą, a z innymi smakołykami można nie utrafić. Sprawdziło się.
- Nie jemy często słodczy - wyjaśnił Jo przy trzecim kawałku. - Mama mówi, że rośnie od nich brzuch.
- Jo odziedziczył kręłą sylwetkę po Richardzie i pewnie dlatego Crystal, która przywiązywała wielką wagę do wyglądu, odmawiała mu przyjemności. Westchnęłam. Cokolwiek o niej myślałam, nie miałam prawa ani ochoty podważać jej autorytetu.
- To jest specjalna okazja - powiedziałam. - Specjalna okazja, specjalne jedzenie. Nie, nie, czwarty kawałek to byłaby jednak lekka przesada.
- Po cieście oglądaliśmy prezent Penny - nie autoryzowane wideo wyciętych scen z filmów dla dzieci, zbyt gorszących, by znaleźć się w kolekcji o Denisie Nordenie i jemu podobnych. Kupiłam je „na lewo” od obsługi technicznej. Penny straciła zwykłą sobie powagę i co chwila wybuchała śmiechem, a Jo narzekał na ból brzucha.
- Wydaje mi się, że nie wszystkie dowcipy rozumieją - rzekł Richard na stronie.
 - Ja też ich nie rozumiem - zgodziłam się gorliwie. - Strasznie mi przykro. Nie sądziłam, że to będzie takie...
 - Nieważne. - Niespodziewanie Richard pocałował mnie w poli-

czek. - Cenzura bardziej szkodzi niż kilka nieprzyzwoitych dowcipów. Muszę zabrać brzdące do domu. Lubisz je, prawda?

- Tak - odparłam. - Ale... nie zamierzam zamienić się w gdaczącą kure, jeśli o to ci... Słuchaj, im nie jest potrzebna zastępcza matka. To są dzieci Crystal. Na zawsze.

Rozmowa stała się zawikłana. Z Richardem wszystko się jakoś tak komplikowało.

- Nie wyciągaj zbyt pośpiesznych wniosków - odciął się. - Za wcześnie.

Wyszli rozpluwając się w podziękowaniach. Zostawili mnie rozgrzaną i czerwoną na twarzy.

Później nad butelką wina z moich awaryjnych zapasów („Tylko, na miłość boską, nie Vihno Verde!”) Richard wrócił do tematu. Byłam już dość podchmielona, a tym samym odważniejsza. Siedzieliśmy obok siebie na sofie i nie chciało się nam ani pójść gdzieś coś zjeść, ani gotować. Nasiąkaliśmy więc alkoholem pod resztki ciasta czekoladowego.

- Czemu nie powiedziałaś, że masz urodziny? - spytał Richard. - Kupiłbym ci prezent. Nic drogiego, nie podniecaj się. Póki nie mam pracy, nie dysponuję dużą gotówką. Ale coś małego, taniego i niesłychanie oryginalnego.

- Liczą się dobre chęci - powiedziałam. - Co byś mi dał?

- Przyniesie bezprzewodowy. Kukielkę Saddama Husseina. Torebkę... herbaty. - Uśmiechnął się, ja wybuchnęłam śmiechem. - Trzydzieści trzy lata to poważny wiek. Mówiąc poważnie, jakie masz plany na przyszłość? Czy w ogóle masz jakieś plany? Czy twój zawód zostawia ci miejsce na... związki z mężczyznami, własne dzieci, cokolwiek? - Stuknął palcem w kasetę wideo kołyszącą się na kolumnie innych. - Ten świat przesłonił ci, zdaje się, całe życie. Nawet twoje mieszkanie jest nim zarażone. Do czego doszłaś, Micky?

- Kiedy to właśnie jest Micky - powiedziałam smutno wskazując na otoczenie.

- Tylko to?

- Może. Nie wiem. Nie wiem. Czy to pytanie ogólne czy osobiste?

- Jedno i drugie.

Zadawał pytania, do których nie miał prawa. Zachowywał się jak słoń w składzie porcelany, który proponuje, że zapłaci za straty, przyznając jednocześnie, że nie ma przy sobie karty kredytowej. Nie zgódź się na to, sprzedawco. Powinnam go przepędzić.

Nie przepędziłam.

- Crystal często mi zarzucała, że praca zdominowała moje życie - dodał tonem wyjaśnienia - szczególnie w tym krótkim okresie, kiedy byłem własnym szefem. Mówiła, że to nie w porządku w stosunku do niej i nie w porządku w stosunku do dzieci. Może dlatego, między innymi, poszła do Vincenta. Teraz szkoda czasu na snucie domysłów, ale jedno wiem na pewno - drugi raz nie popełnię tych samych błędów. Inne tak, ale nie te same. Jeśli będę musiał, pójde na kompromis. Nie chciałbym mieć już własnej firmy, zbyt wielka odpowiedzialność, zbyt wielkie zaangażowanie. Nie chcę, żeby moje życie było tylko pracą, bez zabawy, rodziny, miłości. Dlatego muszę wiedzieć... - przerwał smutny, ale nie zmieszany. - Wiem, że to nierozsądne - poprawił się. - Zdaję sobie z tego sprawę. Przecież nawet nie powiedziałeś, że mnie lubisz. Ja zresztą chyba też nie. Ale zanim wejdę, muszę... sprawdzić teren, określić niebezpieczeństwa...

- Wycofać się, jeśli to zbyt niebezpieczne? - spytałam. - W porządku. Wycofaj się. To jest zbyt niebezpieczne. Dla mnie najważniejsza jest praca i nie zamierzam tego zmienić. Jako dziewczyna byłabym złą inwestycją. Jestem kotem, który zawsze chadza własnymi drogami, a tobie potrzebna jest kotka domowa.

Uniósł brew na moją zagadkową terminologię. Ale Richarda niełatwo było odstraszyć.

- Słabo znasz Kiplinga - stwierdził. - Dopiero co przeczytałem *Takie sobie bajeczki*. Kot, który zawsze chadzał własnymi drogami, za spodek mleka zgodził się spędzać połowę czasu przed kominkiem i bawić się z dzieckiem. Czy coś w tym rodzaju. Mogłabyś zmieścić trochę domowego życia.

- Nie lubię mleka. Co jeszcze zawiera oferta? Ach, wiem, prysznic bezprzewodowy - żeby inżynier miał takie pomysły! - rękawiczkę-kukiełkę dla megalomana i torebkę... herbaty. Bez tego też potrafię się obejść.

- Moglibyśmy się zakochać - rzekł Richard. - W swoim czasie.

- Naprawdę? - spytałam siląc się na obojętność.

Pochylił się nade mną i pocałował mnie. Było to bardzo przyjemne. Żadnej dzikiej namiętności, gier o seksualną dominację, jedynie ciepło bliskości, próba intymności, początek zmysłowego kontaktu. Bardziej zapowiedź niż rzeczywistość.

- Długo się wahałeś - powiedziałam, kiedy skończył.

- Jeśli dwoje ludzi wskakuje natychmiast do łóżka, to znaczy, że

zamierzają z niego natychmiast wyskoczyć - rzekł Richard. - Jeśli sprawa jest poważna, zabierasz się do niej powoli. Widzisz czekające cię kłopoty i próbujesz z góry jakoś im zaradzić. Tak czy owak, wszystkie związki wymagają pewnego oczekiwania. Vincent... Vincent ledwo poznał jakąś dziewczynę, zaraz szedł z nią do łóżka. Pewnie dalej tak robi. I nie może zrozumieć, dlaczego jego związki z kobietami krótko trwają.

Wiem, pomyślałam. Poczułam nagłą ochotę, żeby opowiedzieć mu całą historię, zobaczyć, jak się ode mnie odwróci, zaszokowany, napełniony wstrętem lub zwyczajnie zawiedziony, wrzasnąć z rozgoryczeniem: „Na tym polega moja praca, wykonałam ją na piątkę z plusem. Gdybym tego nie zrobiła, program do dziś by nie powstał, a ty byś wciąż użalał się nad sobą na Wyspie Męczenników.” Oczywiście opanowałam się. Phyl mawiała, że historie miłosne potrzebują szczypty nieszczerości podobnie jak *cappuccino* potrzebuje szczypty cynamonu. Ale z Richardem nie wolno mi było postępować nieuczciwie, uniemożliwiła mi to jego własna uczciwość. Nie mogłam go okłamywać, nie mogłam powiedzieć mu prawdy, nie wolno mi było się zaangażować. Dryfowałam tam, gdzie głupcy rzucają się na łeb, na szyję, unosiłam się na fali swych emocji, tonęłam w pobożnych życzeniach. Richard miał rację - mogłam zmieścić pół etatu domowego życia, pół etatu macierzyństwa. Gdybym chciała. Gdybym oszukiwała. Gdyby kasety - a także przeszłość - mogły pozostać w sejfie bankowym na zawsze.

Zaczęliśmy się znowu całować i odkrywać siebie fizycznie. W końcu jednak odsunęłam się. Rozum zwyciężył materię - naturalna barwa żądy została złagodzona bladym odcieniem myśli. Nie mogłam poddać się uniesieniom z Richardem, jak kiedyś z jego kuzynem; powstrzymywała mnie przed tym moja własna nieszczerłość. Tym razem nie znajdowałam się w raju, to tutaj miało być prawdziwe. Richard nie spytał, co się stało. Siedział obejmując mnie, podczas gdy ja zastanawiałam się, co by tu powiedzieć.

- Przepraszam - spróbowałam w końcu. - Nie mogę dać ci wszystkiego, a nie chcę cię oszukiwać. Jestem kobietą pracującą i tyle.

- To było ulubione zdanie Crystal - zauważył Richard. - Częstowała nim Vincenta, a także mnie, ze dwa razy. Zwykła wymówka. Przecież wiem, że jesteś kobietą pracującą. I co z tego? Nie czytasz pism ilustrowanych? W dzisiejszych czasach daje się wszystko pogodzić. Pod warunkiem, że stać cię na gosposię.

- Nie bądź taki cyniczny - powiedziałam. - Jestem dziennikarką, to dla mnie najważniejsze. A skoro mówimy o tym, na co kogo stać, to powiedz, czy twój ojciec chrzestny przypadkiem nie zdecydował się uczynić cię swym spadkobiercą? Bo jeśli w grę wchodzi duży spadek, to - kto wie? - może uda ci się osłabić mój opór.

- Dorobkiewiczka - zażartował Richard. - W tym przypadku oboje mamy pecha. Pierś dużo nie mówi, ale wiem, że jest zdania, iż pieniądze rodzinne powinny zostać w rodzinie. Nie zarobił ich, lecz odziedziczył. Ma jakichś powinowatych w Mongolii czy gdzieś tam. Być może zapisze mi w spadku parę jedwabnych krawatów. Mówi, że źle się ubieram.

- Lubisz go? - Zapanowała chwila milczenia, podczas której Richard chyba się zastanawiał. - A on ciebie? Wiedział, co Vincent zrobił, a jednak zostawił sprawy własnemu biegowi. - Nie chciałam bynajmniej robić aluzji do mojego podejrzenia, że to właśnie Pierś pierwszy wysłał psy tropem Vincenta.

- Wiesz, on nie lubi się wtrącać - rzekł Richard marszcząc czoło. - Tak naprawdę, nigdy go nie rozumiałem. Nie jesteśmy sobie bliscy. Czy go lubię? Chyba po prostu jestem mu wdzięczny, a on... sam nie wiem. Być może działał powodowany czymś w rodzaju... poczucia obowiązku. Przypuszczam, że matka wypłakiwała się na jego ramieniu, kiedy mnie tu nie było. Przyjaźnili się z wujem. Może więc uznał, że powinien mi pomóc, bo jest to winny wujowi. Traktuje mnie uprzejmie, ale z dystansem. Wyprowadzę się, jak tylko dostanę pracę. Zamierzam też oddać mu pieniądze, bez względu na to, co powie. - Po chwili dodał: - A tak przy okazji, to Pierś chciałby cię poznać.

- Naprawdę? - spytałam sucho. - Ja też chcę go poznać.

- Będziesz musiała przyjść na obiad, najlepiej jeszcze przed przyjęciem. Pierś twierdzi, że na przyjęciu trudno kogokolwiek poznać.

- Co to za przyjęcie? - spytałam obojętnie.

- Nie mówiłem ci? To pomysł matki. Rytualny ubój tłustego cielca na przywitanie syna marnotrawnego. Z wiekiem staje się sentymentalna. Nie wiadomo, kto tam będzie. Mnóstwo ludzi, których od dawna nie widziałem i prędko znów nie zobaczę. Dostała listę moich starych znajomych od Crystal, więc musiała ją też zaprosić. Miała jednak nadzieję, że Crys taktownie odmówi. Nie wzięła pod uwagę nowoczesnych obyczajów. Tak więc na tym przyjęciu będzie

moja była żona, moi byli znajomi, znajomi matki z czasów jej młodości, to znaczy ci, którzy jeszcze żyją, oraz kilku znajomych Piersa od sztuki. W tej sytuacji rozumiesz chyba, że będę rozpaczliwie potrzebował moralnego wsparcia. Przyjdiesz, prawda? Postawmy sprawę jasno: zrobiłaś program, sprowadziłaś mnie do Anglii, tak więc wszystko to twoja wina. Możesz przynajmniej przyjść na przyjęcie.

- Czasami chodzę na przyjęcia - odparłam. - Ostatnie, na którym byłam, zostało zerwane przez huragan.

Zapadła niezręczna cisza, ale Richard jej nie usłyszał.

- Wiesz bardzo egzotyczne życie towarzyskie - rzekł z uśmiechem. - Ale nie martw się, w Surrey nie było huraganu od...

- Trzech lat - dokończyłam. - To Hertford, Hereford i Hampshire nie hańbią się huraganem. O Surrey nie słyszałam.

- No... ale mamy dopiero wrzesień. Monsuny zaczną się niedługo, a do huraganów został jeszcze co najmniej miesiąc. Żyj na całego, Micky. - Przejechał palcem po moim czole, odgarnął z uszu kilka kosmyków. - Dobrze się czuję w twoim towarzystwie. Muszę mieć kogoś inteligentnego do tańca.

- O Boże, to jeszcze trzeba będzie tańczyć? - rozsądnie ignorowałam dotyk jego palca.

- Jeśli dokucza ci reumatyzm, to nie - zgodził się uprzejmie. - Znajdę ci jakieś krzeselko w kątku i od czasu do czasu podejść poklepać cię po dłoni.

- Nie powiem, żeby mnie to bardzo pociągało. Wszystko zależy od sytuacji w pracy. Ciągle jeszcze trochę majstruję przy innych programach obecnej serii, a już zaczynamy przygotowania do następnej, tak że...

- Naprawdę, Micky. Możesz przecież wziąć wolne na jeden wieczór. Obiecuj mi. - A po chwili zastanowienia dodał:

- Wiem, że dotrzymasz obietnic.

Spojrzałam na niego przerażona. Penny nie rozmawiała ze mną na ten temat, doszłam więc do wniosku, że albo zapomniała, albo obietnice dorosłych w jej świecie nie miały wielkiej wagi.

Kolejny błąd.

- Powiedz mi, dlaczego tam na Barbados nie zrobiłaś z tego użytku. Wystarczyło, żebyś powiedziała „Dałam słowo pana córce.” Mogłaś zagrać na moich uczuciach jak Nigel Kennedy na spaczonych skrzypcach. Żaden ojciec nie oparłby się takiej gadce.

Oparłbyś się, pomyślałam. Upór Savage'ów wzięłyby górę nawet nad uczuciami do córki.

- To byłby uczuciowy szantaż - odparłam. - Poza tym chciałam, żeby sprawa została między Penny a mną.

- Nie tylko potrafisz dotrzymać obietnicy, ale także dochować tajemnicy.

Zbyt wielu tajemnic.

- Co zaś do przyjęcia...

- Tak?

- Przemyślę to.

Powinłam była powiedzieć „nie”. Wiedziałam o tym od razu. Posuwałam się w kierunku związku z mężczyzną, kiedy powinłam była odwrócić się na pięcie i uciekać. Droga do piekła jest wybrukowana wahaniem.

Tydzień później udaliśmy się na obiad do Piersa Percivala. Powiedziałam sobie, że idę nie dla Richarda, ale po to, by poznać informatora Aluna, manipulatora Jan Horrocks, człowieka, który - o tym byłam przekonana - rzucił kamień wywołując lawinę. Jego dom, ukryty w załomie wiejskiej okolicy niedaleko drogi M23, stanowił wytworny przykład georgiańskiej architektury; godności starego wieku ujmowały może tylko urządzenia alarmowe, które spełniały rolę odganiających złe duchy współczesnych rzygaczy. Aperitif piliśmy w eleganckim ogrodzie, którego puszysty trawnik, bujne klomby, feeria kwiatów tańczących z motylami lub uginających łodyżki pod ciężarem trzmieli świadczyły o nielegalnej działalności zraszacza. Woda tryskała z czegoś, co wyglądało na kamienny obwarzanek trzymany przez młodocianego Pana, a w basenie, pod pływającymi liśćmi lilii wodnych, przemykały ryby niczym złote cienie. Pierś twierdził, że ogród był dziełem wyłącznie ogrodnika.

- Na kwiatkach się nie znam - obstawał. - Interesuje mnie twórczość Człowieka, nie uboczna działalność Przyrody.

Był mi potrzebny jako oprawa dla kilku rzeźb.

Wrześniowe słońce wlewało się do domu przez wysokie okna, niewątpliwie szkodząc perskim dywanom.

Wykwintne jedzenie podano na pięknej porcelanie. Czując się ograniczona obecnością Richarda, zachęciłam Piersa, by opowiedział mi o swej kolekcji.

- Ach, nie jestem prawdziwym kolekcjonerem - bronił się. - Nie

mam obsesji na punkcie żadnej szczególnej epoki czy szkoły artystycznej, jestem dyletantem we wszystkich epokach, człowiekiem uniwersalnym. Oczywiście, mam pewne preferencje - obrazy renesansowe, meble z okresu regencji, ale nie nazwałbym siebie koneserem, lecz zwykłym nabywcą. Lubię otaczać się pięknymi rzeczami, nie mam jednak na ich punkcie manii. Poznałem ludzi, którzy sprzedaliby własne babki, ba, kochanków i najlepszych przyjaciół za młynek naszkicony przez Leonarda da Vinci lub jakiś bibelot Celliniego. Poznałem też takich, którzy nie mogąc ich kupić nie cofnęliby się przed kradzieżą. W ciągu ostatnich dwóch lat zdarzyły się nam trzy próby włamania. Mój lokaj zaczął przez to sypiać co noc w innym pokoju. Nie rozstaje się z dubeltówką - niby z powodu szczurów. Powiedziałem policji, że mamy kłopoty ze szczurami, zwłaszcza w głównej galerii.

Po obiedzie Pierś zabrał mnie na wycieczkę z przewodnikiem, by pokazać mi swe „ulubione skarby”. Richard nam towarzyszył. Chodziło jednakże o coś innego niż krótki rekonesans czy zrobienie na mnie wrażenia. Owszem, odpowiadał uprzejmie na moje uprzejme pytania, ale jego wyjaśnienia były nader zwięzłe. Przez większą część tego obchodu zachowywał się jak osoba, która myślami jest gdzie indziej. Może rzeczywiście o czymś myślał. Był wysokim mężczyzną, nawet nie bardzo zgarbionym jak na ową bliżej nie określoną kontuzję, z powodu której, jak powiedział mi Richard, nieustannie cierpiał. „Jakieś obrażenia wewnętrzne” - wyraziła się kiedyś Elizabeth. Był chudy jak szkielet, zamiast twarzy miał czaszkę obciążoną skórą przypominającą źle przyklejony papier mache, ściągnięty i pomarszczony wokół dziwnych występów. Miał za to piękne ręce, ręce z obrazu El Greca; wrażliwe w widoczny sposób długie palce z delikatnym wdziękiem tancerza akcentowały jego rzadkie gesty. Zapamiętałam, jak wziął do ręki pistolet do pojedynków, jeden z dwóch zawieszonych na ścianie, które podobno kiedyś należały do lorda Castlereagha.

- Od czasu ostatniego włamania jest zawsze naładowany - wyjaśnił. - Żyję spokojnie wiedząc, że gdybym został zaskoczony przez włamywacza, mam pod ręką broń. Richard, kochany chłopak, twierdzi, że to nielegalne.

Podniósł pistolet jak do strzału, jego członki zeszywniały, rysy zastygły w surowym wyrazie. Odniosłam wrażenie, że udzieliła mu się siła i potencja broni - razem stali się aktywnie niebezpieczni, niemal przerażający.

- Widok szalonego starca wywijającego staroświeckim pistoletem chyba by go odstraszył, nie sądzisz? Wyglądam nie tylko śmiesznie. A poza tym ta broń pasuje do mnie lepiej niż te nowoczesne wymyślne pukawki, które wszystko w zasięgu wzroku zamieniają w proszek.

- Zabicie włamywacza jest poważnym przestępstwem - westchnął Richard. - Czy to śrutówką, czy zabytkowym pistoletem inkrustowanym macicą perłową.

- Jeszcze większym przestępstwem jest dać się komuś zabić - rzekł Pierś spokojnie. - W dzisiejszych czasach włamywacze zwykle są uzbrojeni, jeśli nie w broń palną, to w noże, siekiery, kije do golfa. Żyjemy w okropnym świecie. W zasadzie zawsze tak było, ale kiedyś mogliśmy się ukryć w niszach cywilizacji, spychając brzydotę i przemoc na margines, za mury naszej uprzywilejowanej enklawy. Teraz przekopali do nas tunel. Należy ich obłaskawić, w każdym razie tak twierdzą socjologowie, ale mnie już to nie dotyczy. Jestem za stary na przegrane sprawy. Będę się bronił na mój kiepski sposób, a wasze pokolenie niech się dalej martwi. Starość ma swoje zalety, a jedną z nich jest to, że wolno robić błędy. Jeśli stanę przed sądem, zwałę wszystko na wiek. Nie wyobrażam sobie, by wsadzili mnie do więzienia.

Uśmiechnęłam się, Richard zmarszczył czoło. Pierś pokazywał mi właśnie rapier ostry jak brzytwa i wąski jak trzcina, kiedy Richarda poproszono do telefonu.

- Pewnie jego matka - domyślił się Pierś. - Droga Lizzy. Nie mówił ci czasem, że namówiła mnie, bym wydał przyjęcie na jego cześć? Mam wstręt do przyjęć. Zawsze podobało mi się to, co mówili komuniści, a mianowicie, że więcej niż trzy osoby to zgromadzenie stanowiące społeczne zagrożenie. („Zdaje się, że to nie było całkiem tak” - mruknęłam.) Czego się nie robi dla starych przyjaciół? Przez całe lata wolałem nic dla nikogo nie robić i dalej tak wolę. Oto przepaść między teorią a praktyką! Elizabeth potrafi trzymać Richarda przy telefonie godzinami.

Chodźmy do gabinetu.

Gabinet ku memu zdziwieniu nie był ani mroczny, ani obity skórą, jak zwykle bywa, lecz dobrze oświetlony i pogodny, z kremowymi ścianami i regałami, na których nowe pozycje o jaskrawych grzbietach walczyły o miejsce z bardziej antycznymi tomami. W alkwie stał dyskretnie mały telewizor, a na starym biurku komputer. Na drucianej tacce oznaczonej etykietką „Do wysłania” leżało kilka listów, których

niezwykły wygląd przyciągnął mój wzrok - na kopertach koloru bladej kawy adresy wydrukowane były ciemnobrązową kursywą. Nie potrzebowałam dalszych potwierdzeń dla moich podejrzeń - widziałam już taką papeterię i czcionkę. W poczcie Aluna Craiga. Nie było powodu, żeby robić podchody.

- Używa pan papeterii, która się łatwo rzuca w oczy - powiedziałam, dotykając rogu jednej z kopert. - Zdaje się, że już gdzieś widziałam identyczną kopertę.

- Na pewno. - Pierś robił wrażenie lekko zdziwionego. - A co, może miałem ukrywać, że piszę do waszego producenta, podpisywać się szyfrem? To dopiero byłoby melodramatyczne. Nie sądzę, by dziennikarzom zależało na teatralnych efektach.

Pierś najwyraźniej myślał, że o wszystkim wiedziałam. Ze Alun, zamiast trzymać karty w rękawie, położył je na stole. Zdusiłam uśmiech.

- Proszę usiąść. - Pierś wskazał mi krzesło, a sam zasiadł za biurkiem, co sprawiło, że poczułam się, jak na rozmowie w sprawie pracy.

- Nie powiedział pan Richardowi - stwierdziłam.

- Ty też nie - odciął się. - Jak wnioskuję. Nie traćmy czasu na szermierkę słowną. Richard potrafi być bardzo denerwujący. Jest przeczulony na punkcie pewnych gestów, które uważa za dobroczynność, więc lepiej, żeby nie wiedział wszystkiego. Zresztą to nonsens. Nie jestem człowiekiem o skłonnościach charytatywnych. Richard jest moim synem chrzestnym i dlatego do pewnego stopnia ponoszę za niego odpowiedzialność, o czym Elizabeth słusznie - i nader często! - mi przypominała. To oczywiście był pomysł Johna. Sądził, że dobrze mi zrobi, jeśli się trochę wysilę. Byłby zachwycony, gdyby mógł zobaczyć, jak się teraz wysilam na rzecz Richarda. Jeśli istnieje jakaś forma życia po śmierci, w co bardzo wątpię, to odnajdę go na Polach Elizejskich i uderzę.

Chciałam się roześmiać, ale jego uśmiech skrzywił ból.

- Posłuchaj mojej rady, moja droga - zakończył. - Nie pożądam długiego życia. Niewiele rzeczy jest gorszych od przeżycia przyjaciół.

- Ale nie chce pan zostać zastrzelony przez włamywacza - powiedziałam cicho.

- To sprawa zasad - odparł.

Otworzył srebrną papierošnicę, która, jak się okazało, zawierała rosyjskie papierosy. Odmówiłam.

- Kiedyś miałem wiele nałogów - rzekł tonem skargi. - Teraz niewiele ich zostało. Niebawem, rzecz nie do uniknięcia, nie będę miał żadnych. Richard, obawiam się, nie ma żadnych słabości, niczego wartego wspomnienia. To nie moja sprawa, ale domyślałam się, że lubi ciebie. Czy ty... go lubisz?
- Tak - odparłam. - Ale nie powinno to pana martwić. Nie zamierzam... nie chcę...
- Dobrze nieba, czemu miałyby mnie martwić? Wydajesz mi się najbardziej odpowiednią młodą kobietą. Jesteś, to oczywiście, bardzo inteligentna, masz doskonałą prezencję i najwyraźniej dobre zdrowie. Nawet gdybym się martwił o Richarda, a nie martwię się, to nie widziałbym powodu do niepokoju w jego związku z tobą. Jestem po prostu ciekawy. Elizabeth wyraża się o tobie z aprobatą. Co myśli o aprobacie Richarda, to już inna sprawa. Czasami jest... odrobinę nadopiekuńcza w stosunku do niego.
- Czy pan go lubi? - spytałam nagle.
- Richard jest wspaniałym chłopcem. Wspaniałym. Nie mogę się doczekać, kiedy się wyprowadzi. Proszę, nie bądź zaszokowana. Wiem, że jest bardzo czarujący, ale czar to jest coś, na co zawsze byłem odporny. Nie to, że go nie lubię - nie, to nie to - ale jego towarzystwo drażni mnie. Jest taki przyjazny, tolerancyjny, eks-trawertyczny, szczery. Wnosi ruch, radość życia w moją chronicznie nieaktywną i cokolwiek pozbawioną życia egzystencję. Ale ja nie chcę ani ruchu, ani radości. Wybacz. Jesteś młoda, lubisz to.
- Chciałby pan, żeby wykazała zrozumienie dla kaprysów starszego pana? - zaryzykowałam tłumiając ironię.
- Właśnie.
- Zastanawiało mnie tylko, dlaczego tak długo trwało, nim pan... się wysilił.
- Mam temperament Hamleta - rzekł Pierś. Zaciągnął się papierosem, a jego już zapadłe policzki jeszcze bardziej się zapadły tworząc leje pod kośćmi policzkowymi.
- Kiedy Richard wpadł w kłopoty, nawet mnie nie poinformowano. Wyjechał z kraju, zanim się o czymkolwiek dowiedziałem i chociaż z Elizabeth utrzymywał kontakt, dla innych życzył sobie pozostać nieosiągalny. Początkowo szanowałem jego życzenie. Ale Elizabeth była nieugięta - zawsze taka jest - więc w końcu zacząłem rozpytywać. Nie będę nudził cię szczegółami. Kiedy odkryłem, że zdarzyło się nieszczęście, może nawet tragedia, którą powinienem

był przewidzieć, którą chyba przewidziałem dawno, dawno temu, kiedy obserwowałem, jak ci chłopcy razem rośli, nie mogłem darować sobie, że rzecz zlekceważyłem. Nie lubię działać, ale kiedy trzeba, robię, co do mnie należy. Zapalczywość wszelako pasuje bardziej do młodości. Starość jest ostrożna i powolna. I dlatego, jak mówisz, długo to trwało.

- Rozumiem - rzekłam uprzejmie, choć nie byłam całkiem pewna, czy wszystko rozumiałam.

- Przyprowadziłem cię do tego pokoju - ciągnął - bo pomyślałem, że może zainteresowałby cię ten obraz. - Wskazał na ścianę za sobą. Zauważyłam go wcześniej, ale nie przyglądałam mu się. Spojrzałam posłusznie. - **Achilles i Patroklos**. Pędzła artysty, który przyjął dość intrygujące imię - Sodoma. Takie donkiszotowskie **nom de pinceau**, nie sądzisz? Naprawdę nazywał się Giovanni Antonio Bazzi, pracował zaś w Sienie na początku szesnastego wieku.

Dostrzegasz oczywiście wpływ Leonardo?

- Oczywiście - zgodziłam się uprzejmie.

- Często myślałem... ale popatrz sama. Trochę za dużo tych draperii i obrusów, Sodoma nie przejmował się też dochowaniem wierności historycznej - czuje się, że jego bohaterowie ubrani są w kostiumy z garderoby teatralnej - ale to drobne uszczypliwości. Do tego obrazu pałam szczególnym uczuciem. Wszedłem w jego posiadanie... zresztą nieważne. Nie zaskakuje cię w nim nic?

- Vincent i Richard, czy tak?

Na obrazie Achilles dąsał się w swym namiocie; długie czarne włosy opadły mu na twarz, której posepna ciemna uroda przypominała Vincenta. Artystycznie pofałdowana szkarłatna tunika zsunęła mu się z jednego muskularnego ramienia, odsłaniając prawie cały tors; na drugie zaś miał zarzuconą wilczą skórę z pazurami i kłami. Z boku nachylał się nad nim Patroklos i wyraźnie o coś go prosił - jasnowłosy, szczery, w jeszcze większej ilości artystycznych cynobrowych i zielonych fałd. W tle wisiała słynna zbroja, złota jak należy, lecz niezbyt podobna do zbroi, jakie nosili starożytni Grecy. Patroklos, jak pamiętam, miał ją na sobie, gdy w zastępstwie przyjaciela prowadził do walki Myrmidonów, nim został zabity prawdopodobnie przez Hektora.

- W ten sposób ich zawsze widziałem - rzekł Piers. - Czuję, że Richard jest zdolny do impulsywnego poświęcenia siebie, Vincent zaś ma tyle zuchwałej pewności siebie połączonej z lekceważeniem

innych, żeby go do tego doprowadzić. Okazało się, że byłem w błędzie, ale może nie do końca. Elizabeth utrzymuje, że Richard był zbyt ufny. W to potrafię uwierzyć.

- A co pan myślał o Vincencie? - spytałam.

- Poznałaś go?

- Przelotnie. - Trzy dni można nazwać przelotną znajomością.

- I jakie zrobił na tobie wrażenie?

- To ja spytałam.

Piers zduśił papierosa w ciężkiej szklanej popielniczce, obserwując przez chwilę cienką strużkę dymu unoszącą się do góry.

- Podczas wojny - powiedział w końcu - byłem we Włoszech. Znałem szefa tamtejszego ruchu oporu, bandytę, jak się domyślałem, który walczył z Niemcami nie z przekonania politycznych, ale z czystego okrucieństwa, a także dlatego, że nie lubił wykonywać ich rozkazów ani nikomu salutować. Antyhitlerowiec, antymusolinista, anty-każdy, kto miał władzę i rybackie buty. Jak na bandytę był dość wykształcony, przyjął nazwisko Luigi Vampa. Nie wiem, jak się naprawdę nazywał.

- Dumas - odparłam. - Jak na dziennikarkę jestem dość wykształcona.

Piers nie uśmiechnął się.

- W końcu oczywiście Niemcy go złapali. Torturowali, a potem zastrzelili. A może zmarł podczas tortur, tego nie pamiętam. W każdym razie nie wydał przyjaciół i nie zdradził swego prawdziwego nazwiska. Żył i zmarł jako Luigi Vampa. Nie dowiedziałem się, jak się naprawdę nazywał.

Sodoma? - zastanawiałam się, ale nie powiedziałam tego głośno.

- Vincent trochę mi go przypominał. Mógł łatwo zostać bohaterem, a okazał się łotrem. Achillesem, który poświęcił Patroklosa, kimś o naturze *banditti*... Może to też jedna z przyczyn, dla których nie od razu pośpieszyłem Richardowi z pomocą. Zawsze miałem słabość do Vincenta. Nie miękkie serce, nie, nie nazwałbym tego w ten sposób. Ale słabość, tak. Oczywiście, nie chciałbym, żeby mieszkał w moim domu, a jeśli już, to też krótko. Promieniował ciemną witalnością. To by mi bardzo przeszkadzało. Wolałbym, żeby pewnych spraw mi nie przypomiano... z bliska. Zostawmy ten temat. Powiem tylko, że żywię do obu chłopców... pewne uczucia, choć zupełnie różne. Na dłuższą metę wolałbym jednak obraz niż rzeczywistość. Artysta uchwycił ideał, prawdziwe życie nie umywa się do niego. Jestem

zbyt wielkim tchórzem, by poradzić sobie z tym wszystkim. Co innego ty, ty jesteś praktycznym dzieckiem. Ty pewnie lepiej dałabyś sobie radę.

- Wątpię - odparłam. - Ja chyba też trawiłam czas na uganianie się za złudnym ideałem. Nigdy go nie osiągnęłam. A tak przy okazji, co tutaj wisiało? I co się stało z tym obrazem? Skradziono go? - spytałam, wskazując blady czworokąt na bocznej ścianie, żeby skłonić go do zmiany tematu.

- Och, nie. To był Veronese. Jeszcze nie zdecydowałam się, co powiesić na jego miejsce? Szkoła współczesna uznałaby tę pobieloną łatę gipsu za dzieło sztuki samo w sobie. Pomnik małej ofiary z mojej strony. Ich argumenty czasami przynoszą korzyść.

- Ofiary? - powtórzyłam. Jakiś instykt ostrzegł mnie, że powinnam sondować ostrożnie i udając obojętność.

- Nie nazwałabyś tego ofiarą? - spytał głosem, w którym dało się słyszeć zmęczenie. - Zresztą może masz rację. W końcu był to tylko szkic. Studium godów w Kanie Galilejskiej. Pewnie jest ich tysiące. Mimo wszystko żałuję, że go straciłem.

- Był cenny? - sondowałam ostrożnie. Piersowi wydawało się, że wiem, o czym mówi. Pomyślałam, że lepiej nie zdradzić się ze swą ignorancją.

- Niewątpliwie. Nie umiem podać właściwej ceny, bo rynek sztuki fluktuuje jak każdy inny, ale oceniałbym go na... nie to jednak było ważne. Nie mierzyłbym mojej straty pieniędzmi. Podobnie jak Madame LeSueur, żeby oddać Diablicy sprawiedliwość, nie mierzyła swego zysku pieniędzmi. Jest prawdziwym kolekcjonerem, obsesyjnym, pozbawionym skrupułów, smokiem rozkoszującym się zgromadzonymi przez siebie skarbami. Veronese'a może przynajmniej powiesić na widocznym miejscu. W przeciwieństwie do Palma Vecchio...

Richmond LeSueur. W głowie zadźwięczało mi zdanie wypowiedziane przez niego przy obiedzie: „Poznałem ludzi, którzy sprzedaliby własne babki, ba, kochanków i najlepszych przyjaciół...” Sprzedała Vincenta. Za obraz. To dlatego zgodziła się rozmawiać z Ałunem. Nie skłonił jej perswazją, lecz po prostu łapówką, którą Piers uznał za uzasadniony wydatek w sprawie o rehabilitację syna chrestnego. Mała ofiara.

I on myślał, że ja o tym wiedziałam.

Ciekawe, o czym jeszcze nie wiem, zastanawiałam się.

Powiedziałam z chłodnym spokojem:

- Alun nie był skąpy, gdy w grę wchodziły pana pieniądze, prawda?

- Nie zapłacisz, nie kupisz, moja droga - odparł Piers. - Uświadomiłem to sobie, kiedy go wybrałem. Wiedziałem, z kim mam do czynienia. Oglądałem „Śledztwo” ze trzy- cztery razy. Sprawa Possera, dajmy na to. Bardzo pouczająca. Craig, jak mi powiedziano, to człowiek bez sumienia i zasad moralnych. By dopiąć swego, nie cofnie się przed niczym, nawet przekupstwem. Z tego wywnioskowałem, że jego też da się przekupić. Stało się dla mnie jasne, że jest to jedyny człowiek, który może się podjąć tego zadania. Na przynętę pomachałem mu przed nosem wypadkiem w Walmsley - obwąchał, ale nie ugryzł. Musiałem więc podrzucić mu więcej szczegółów. Powiedział mi wtedy, jak pamiętam, że osobnik działający w Stanach nie zainteresuje brytyjskiej opinii publicznej, a poza tym przeprowadzenie dochodzenia jest procesem dość kosztownym. Dodałem coś na zachętę. Uznałem, że pięćdziesiąt tysięcy nie będzie sumą zbyt wygórowaną. Drobną kwotę, mówimy. Na dodatkowe koszty.

- Nie wiedziałam, że tego było aż pięćdziesiąt tysięcy - powiedziałam bezbarwnie.

Czułam się otepiąta, wewnętrzności mi zlodowaciały, ale nie miało to znaczenia, póki nie zawodziły mnie struny głosowe. Richard wciąż rozmawiał przez telefon. Dzięki Bogu.

- Myślę, że wiele z tego nie zobaczyłaś - stwierdził Piers. - **Jesteś**, jeśli mogę się tak wyrazić, z innej gliny niż twój zwierzchnik. Uwierzyłbym, gdyby się okazało, że zrobiłaś to za darmo.

- Bo tak było - przyznałam. Zrobiłam to za darmo.

Piers przyjrzał mi się badawczo, pajęczne linie wokół jego oczu i ust nabrały głębi rozpadlin. Wstałam z wysiłkiem, który zdawał się wyczerpać moje ostatnie zapasy energii.

- Dziękuję - powiedziałam z mechaniczną kurtuazją - za informacje. Możemy teraz zejść na dół?

Przez całą sobotę i niedzielę czułam się bardzo podle. Wiedziałam, co muszę zrobić - nie istniała szansa na odwołanie ani zawieszenie wyroku - lecz to bynajmniej nie ułatwiało sytuacji. Spędziłam w „Śledztwie” ponad cztery lata. Kochałam tę pracę. Lubiłam

kolegów. Czulałam nawet podstępna sympatię dla Aluna Craiga, walijskiego Machiavellego o hojności Szkota. Wszystko to tylko utwierdzało mnie w przekonaniu, że powinnam odejść, zanim będzie za późno. Dotknij gówna, powiedziała kiedyś matka. Niech ją diabli. Mimo całej płycizny duszy i lekkomyślności, zawsze miała rację. Tylko że już było za późno. Historia mojego życia. Dotknęłam gówna. Wszystkie wonności arabskie nie zmyją go z moich zbruka-nych rąk.

W poniedziałek rano poszłam do biura, uprzątnęłam biurko i wręczyłam Ałunowi wymówienie. Natychmiastowe.
- O co ci do diabła chodzi? - zapiszczał. **Jego** głos wspinał się po skali, w miarę jak rósł jego gniew. - Żeby z powodu głupiego...

Założyłabym się, że **Jeff**, Ranjit i Fizzy, wyrzuceni bezceremonialnie z pokoju, podsłuchiwali pod drzwiami. Było mi wszystko jedno.

- O pięćdziesiąt tysięcy funtów i rysunek Veronese'a - powiedziałam monotonnym głosem.

- I tylko o to? - Widać było, że poczuł ulgę. - A więc rozmawiałaś z Piersem Percivalem. Mogłem się tego być domyślić. Słuchaj, jeśli daje innemu kolekcjonerowi jakiś bohomas Starego Mistrza, to jego sprawa, nie nasza. Ważne, że LeSueur zdecydowała się mówić. Nie obchodzi mnie dlaczego i ciebie to też nie obchodzi. Liczy się tylko, że powiedziała stuprocentową prawdę. Nie odsyłasz zmywarki do fabryki, jeśli pracuje bez zarzutu. Zejdź z chmur, Micky. Zagrałem nieczysto, zawsze tak gram, ale nie sfałszowałem dowodu. Kto jak kto, ale ty nie masz prawa robić mi uwag. Nie pytałem cię, gdzie twoje dowody, prawda? Prawda? Zaufałem ci i oczekiwałem od ciebie tego samego. Naprawdę cholernie głupio wyglądasz włączając na wysokiego konia, kiedy jesteś naga niczym lady Godiva, a twoje włosy są daleko za krótkie, żeby zasłonić ci cycki. Nie bądź tak cholernie nielogiczna.

- No to wyglądam głupio - powiedziałam przez zęby. - Mam to w dupie. Robię, co mi się podoba, ale nie jestem do wynajęcia. Sprzedałeś nas - pozwoliłeś wykorzystać mnie do prywatnej wendety! Nie spodziewam się, że to zrozumiesz - kim jestem, żeby przecenić twą inteligencję? - ale na to się nie zgodzę. Nie zgadzam się być wykorzystywana.

- Sama się wykorzystwałaś - rzekł Ałun brutalnie. - Daj spokój, Micky. Ważne są tylko wyniki. Każde pojedyncze słowo w tym

exposé na temat Savage'a był prawdą. Żadnego podjudzania, same fakty. **Jest** skurwysyńskim oszustem, który wali poniżej pasa, i żeby faceta unieszkodliwić, musieliśmy złapać go za jaja. W miłości i telewizji wszystkie chwytły są dozwolone. Wiesz, jesteś jedną z lepszych - naprawdę - póki nie zaczniesz mieć wyrzutów sumienia. Stanowimy zgrany zespół. Będę cię bronił po samą rękę.

- Wszyscy za jednego i jeden za wszystkich? - roześmiałam się prawdziwie rozbawiona, pierwszy raz od piątkowego wieczora. Naładowany hipokryzją, oszustwami, szykanami - naładowany aferą Watergate lub zabójstwem prezydenta Kennedy'ego - Alun na zawsze pozostanie gówniarzem. Uczciwym w swej nieuczciwości, nieodpartym gówniarzem. Pokrzepiające. - Nie, Alun. Nie przełknę tego. Sprawa twojej pensji...

- **Jeśli** ktoś mi wciska pięćdziesiąt kawałków, to co, mam nie brać? - spytał z oburzeniem. - Chcesz jakąś dolę? W porządku, dostaniesz dziesiątkę. Większość tej forszy i tak poszła na twoje cholerne podróże. Oraz lunch u Poona. Ach, ty i twoje zasady.

- Nie przejmuj się. **Już** cię nie będą denerwować - odparłam. Wzięłam rzeczy, zarzuciłam torbę na ramię. Alun gapił się na mnie z niedowierzaniem. **Jego** twarz, do tej pory też nie rumiana, straciła cały kolor i wyglądała jak ser.

- Micky!

- Żegnaj na zawsze, Kasjuszu - powiedziałam.

Wysłałam. Była to najtrudniejsza rzecz, jaką zrobiłam od opuszczenia Patricka.

Rozdział czwarty

Przyjęcie zaplanowano na kolejną sobotę. Miałam tydzień na rozpoczęcie szukania nowej pracy, unikanie Richarda i wymyślenie prawdopodobnego wytłumaczenia - na jego użytek - dlaczego rzuciłam „Śledztwo”. Na wszystkich trzech polach osiągnęłam zaledwie średni sukces. Na froncie pracy, owszem, robiono mi nadzieję, ale nikt niczego nie obiecywał. To ciekawy acz niezbity fakt, że kiedy masz robotę, wszyscy cię pożądamy - w konkurencyjnych sieciach telewizyjnych, w serwisach informacyjnych, w innych programach dochodzeniowych, ale z chwilą gdy jesteś do dyspozycji, ich entuzjazm dla twojej osoby jakoś dziwnie spada. Cóż, prawo Murphy'ego, a raczej prawo Micky Murphy. Nagle stwierdzili, że muszą skonsultować się ze zwierzchnikami, przeprowadzić ze mną rozmowę kwalifikacyjną, przeanalizować mój życiorys i opis przebiegu kariery zawodowej. Do znudzenia słyszałam, że wszyscy wyjechali do Zatoki Perskiej - jakby nie mieli zamiaru nigdy stamtąd wrócić. Znęcona porównaniem z Legią Cudzoziemską powiedziałam, że chętnie wyruszę za nimi, ale okazywało się, że to wcale nie takie proste. Czy mówię po arabsku, kurdyjsku, persku? Czy studiowałam islam na uniwersytecie i uzyskałam stopień naukowy? A tak przy okazji, to dlaczego puściłam kantem Aluna Craiga? Jedyna zdecydowana oferta pochodziła od Annabel Purdey, która przekonała redaktorów swego pisma, by przyjęli mnie do pisania na poważne tematy. Matka była cała w skowronkach. Zawsze marzyła, żebym pracowała w magazynach wydawanych na błyszczącym papierze.

- O czym będziesz pisać, kochanie? O pannach młodych na Filipinach, znerwicowanych nianiach, czy powrocie kapelusza? - spytała.

- Nie, nie. Napiszę o prostytutce w wyższych klasach społecznych. Ścisłej, na mojej ulicy - odparłam z odrobiną drwiny głównie pod swoim adresem.

Unikając Richarda, zdałam się całkowicie na automatyczną sekretarkę; odzywałam się dopiero wtedy, gdy już wiedziałam, kto telefonuje. Udawało się tak aż do czwartku, kiedy to - ominąwszy telefon - zadzwonił prosto do drzwi i oświadczył, że porywa mnie na lunch.

- Czemu odeszłaś ze „Śledztwa”? - spytał nad sałatką w pobliskiej winiarni.

- Odkryłam, że producent dopuścił się czegoś nieetycznego - wyjaśniłam możliwie jak najogólniej.

- To znaczy?

- Zmieńmy temat.

- Słuchaj, z tego, co opowiadałaś o swym producencie, wynikało, że nieetyczne postępowanie jest dla niego normalne. Musiało wydarzyć się coś drastycznego, w przeciwnym razie nie zachowałabyś się tak melodramatycznie.

Czy to miało coś wspólnego z Vincentem i ze mną?

- Nie - skłamałam. - Chodziło o zupełnie inne dochodzenie. Odkryłam, że wziął łapówkę za zatajenie nazwiska pewnego wysokiego dyplomaty zamieszanego w sprzedaż broni do Iraku. Więcej nie mogę ci powiedzieć, to wszystko jest cholernie tajne. Nie jestem w stanie nic udowodnić, więc nie wolno mi tego rozgłaszać. To by było mniej więcej na tyle. Porozmawiajmy o czymś innym.

Posłusznie zaczęliśmy rozmawiać o czymś innym - konkretnie o przygotowaniach do przyjęcia i o pewnych sprawach, które wynikły w ostatniej chwili, a w które Richard postanowił koniecznie mnie wciągnąć. Mianowicie Crystal w niezwykłym dla siebie napadzie złego humoru wyrzuciła aktualnie zatrudnianą opiekunkę.

- Podejrzewam, że ta głupia dziewczyna powiedziała dzieciom coś o związkach mamy z niegodziwym wujem Vincentem - rzekł Richard. - Niedużo, bo dzieci dalej nie mają pojęcia, co się naprawdę zdarzyło, ale Crys ma ostatnio skłonności do przesadnych reakcji. Wiesz, myślę, że cała ta historia odbiła się najbardziej na niej.

Biedaczka, nie jest przyzwyczajona do wystawiania na pokaz swego życia. Ten wstrętny Brendan namawia ją, żeby opowiedziała swoją historię jakiemuś szmatławcowi - „Hullo Ullo” czy jak go tam

nazywają - ale ona ciągle się waha. Takie obnażanie duszy nie jest w jej stylu. Widziałem się z nią wczoraj. Nie do mnie należy udzielanie jej rad, ale powiedziałem, żeby się bardzo dobrze zastanowiła, nim zacznie wywnętrzać się przed jakąś gazetą. Jeśli posunie się za daleko, będzie potem czuła wstręt do siebie.

Milczałam. Według mnie Crystal mogła się wahać z dwóch powodów: albo proponowali jej za mało pieniędzy, albo saga jej życia nie nadawała się do tego, by przedstawić ją w dostatecznie korzystnym świetle. Może znowu byłam dla niej niesprawiedliwa.

- Wracając do bardziej aktualnych kłopotów - rzekł Richard - to w sobotę nie mamy z kim zostawić dzieci. Crys i ja będziemy na przyjęciu, a jej rodzice wyjechali na wakacje. Najprostsze jest zabranie dzieci do Surrey. Przywiozę je po południu, mogą wcześniej zjeść kolację, a potem pójść do swego pokoju pograć w Węże i Drabiny, czy w co tam zechcą. W razie czego będę niedaleko. Crys oczywiście po przyjęciu wraca do domu, ale będzie zbyt późno, by wozić dzieci. Matka zatrzyma się u przyjaciółki w Wimbledonie, której nie widziała dwadzieścia lat, więc miałem nadzieję... byłoby nam miło, gdybyś z nami została. Nie zechcesz chyba o świcie prowadzić samochodu, a taksówka stamtąd do Londynu kosztowałaby majątek. Poza tym przydałby mi się ktoś, kto przy śniadaniu porozmawia z Jo, bo ja na pewno będę miał kaca.

- Nie wiem - powiedziałam. - Zaczynam się czuć, jakbym już należała do twego życia. Mówiłam ci, nie jestem na to gotowa.

- Nie wpadaj w panikę. Nie zamierzam skradać się po korytarzu i trafić do niewłaściwej sypialni, jak w jakiejś farsie. Nawet gdyby udało się nam zlokalizować swoje sypialnie, to ledwo byśmy się trochę rozgrzali, przybiegłoby któreś z dzieci i oświadczyło, że chce z nami spać. Zwłaszcza Jo źle sypia w obcych domach.

Roześmiałam się.

- Nie tego się obawiałam - powiedziałam.

- Zostaniesz więc?

- Chyba tak. - Miał rację, komu chciałoby się prowadzić samochód bladym świtem?

- Pierś się ucieszy - stwierdził niespodziewanie Richard. - Zdaje się, że zapalał do ciebie sympatią, choć zrobił dziwną minę, kiedy mu powiedziałem, że rzuciłaś swego szefa.

- Na pewno jest zachwycony, że będzie miał tylu gości - zauważyłam sucho. - W tym dzieci.

- Niezupełnie - uśmiechnął się Richard. - Powiedział, że postanowił zachować stoicki spokój, ale dom Anglika jest jego twierdzą i przydałby się jakiś loch. Cóż, w końcu to tylko na jedną noc i jeśli będziemy tam oboje, to na pewno uda się nam uchronić go od towarzystwa małolatów.

- Mam cię zastępować, tak? - zrozumiałam.

- Coś w tym rodzaju. Dałam się namówić.

Pomyślałam, że dzięki Richardowi, Penny i Jo mogę zakosztować życia, które byłoby moim udziałem, gdybym wyszła drugi raz za mąż, „ustatkowała się”, robiła rzeczy, których wciąż oczekuje się od kobiet, mimo całej tej dumnej gadki o równości i wyzwoleniu. Wyzwolona bohaterka z filmów telewizyjnych i powieści sprzedawanych na lotniskach weszła na szczyt sukcesu zawodowego, ale odrzuca zdobytą wielkim wysiłkiem pozycję na rzecz małżeństwa, dzieci i Ukochanego Mężczyzny. Kariera zawodowa, zapewnia się nas, nie spełni naszych biologicznych potrzeb, nie nakarmi naszego ducha. A co najgorsze, ci grafomani, autorzy tych śmieci mają rację. W ciągu jednego pokolenia nie jesteśmy w stanie odrzucić małżeństwa i macierzyństwa. Dawno dawno temu zostawałyśmy same przy ognisku z dzieckiem lub dwojgiem przy piersi, żeby piec udziec mamuta, a Mężczyzna Łowca szedł tymczasem w dzicz. Kiedy zwabiony zapachem świeżego mięsa zbliżał się do jaskini jakiś niedźwiedź lub tygrys szablozębny, brałyśmy do ręki płonącą gałąź lub prymitywną dzidę i broniłyśmy naszych młodych przed drapieżnikami. To zajęcie nigdy nie uchodziło za synekurę. Gdy jaskinia stała się bezpiecznym miejscem, odłożyłyśmy płonącą gałąź i zasiad-łyśmy przy kądzieli, dzidę zamieniłyśmy na szydełko. Mężczyzna obudował nas ścianami, odgrodził od świata zewnętrznego - zamknął w komnatach dla kobiet, w seraju, w więzieniu. Teraz znowu chcemy wziąć do ręki dzidę i powrócić w dzicz. Jesteśmy jednak osłabione długim uwięzieniem, nasze członki drżą, nasze nerwy kurczą się, a od powietrza i otwartej przestrzeni kręci się nam w głowach. Łykamy pigułkę, nosimy w torebkach kondomy, ale seks ciągle oznacza dla nas zaangażowanie, kobiecość i prokreację. Skoro jednak nie możemy odciąć się od swej historii, musimy wyciągnąć z niej wnioski i wyrosnąć w inną przyszłość. Na razie znajdujemy się w rozpadlinie między ucieczką od przeszłości a bardzo wyczekiwany wyzwoleniem, które dopiero ma nadejść. Męczymy się

z naszą niedowarzoną wolnością, odrzucamy nasz socjalny status i niemal w tej samej chwili domagamy się go z powrotem. Nic dziwnego, że nasz ongisiejszy partner, Mężczyzna Łowca, Mężczyzna Broker, Mężczyzna Górnik, Mężczyzna Właściciel Domu, Mężczyzna Bezrobotny, jest w stanie szoku. Przez stulecia współzawodniczył tylko z innymi mężczyznami, a kobiety patrzyły na niego z niemym podziwem. Teraz sam już nie wie, czy ma z nami walczyć, czy nas pieścić. Społeczeństwo znalazło się w tyglu i nikt jeszcze nie wie, co się w nim wytopi. Mury zostały zburzone, więc - bojąc się zmiany widoku - budujemy nowe mury, ruchome przepierzenia, zachodzące na siebie przegródki.

Jestem typowa dla mojego gatunku. Seks pociąga mnie intymnością, dzieci wywołują we mnie tęsknotę. Moje sny zdradzały mnie z Richardem, ale ciało tęskniło do Vincenta, gdy w ciche godziny nie kończącej się nocy traciłam czujność. Nie pracowałam do późnego wieczora, nie musiałam wstawać wczesnym ranem, nie padałam na twarz ze zmęczenia. Między drzemki dawało się wcisnąć sto lat myślenia. Pomysł z Richardem lubiłam w taki sam sposób, jak lubi się miraż, wiedząc jednocześnie, że jeśli spróbujemy go uchwycić, to rozplynie się w nicość. Jego szare oczy i ustalone zasady przypominały mi ojca, którego blednącego obrazu już od jakiegoś czasu nie starałam się ożywić. Zaczęłam więc go szukać, by poprosić o radę, ale zniknął. Choć recytowałam jego wiersze, nie udawało mi się usłyszeć jego głosu czy choćby zobaczyć blizn. Nie poskutkowało nawet wywoływanie zwężającego się strumyczka dymu z fajki. Byłam sama. Puste miejsce zajął huragan, wachlując płomieniem w ciemności, napełniając mnie zapamiętanym ogniem. Przez chwilę byłam samym uczuciem, samym głodem. Zastanawiałam się, czy z Richardem moje zaniedbane łądzwie zapomną tamte gry o dominację, oddanie się, posiadanie, konflikt, namiętność, których nie opatrzyłabym zaszczytnym mianem miłości. W tamtej chwili myślałam, że najszlachetniejsze nawet przeżycia nie byłyby w stanie zapaść we mnie tak głęboko lub wynieść mnie tak wysoko. Co też mi po głowie chodziło? Przecież ani seks z Vincentem, ani życie rodzinne z Richardem nie wchodziły w rachubę; jedno i drugie było zamkniętymi drzwiami, marzeniem nie do ziszczenia, zakazanym owocem. Gdyby Richard poznał prawdę, odeszłaby mu na mnie ochota. Co zaś do Vincenta, to domyślałam się, że często ogląda program o sobie i ta myśl napełniała mnie bólem, który - o dziwo!

- sprawiał mi zadowolenie. Wiedziałam, że mnie nienawidzi - zdecydowanie, jadowicie - bardziej niż nienawidził Crystal, bardziej niż Richarda, bardziej niż kogokolwiek. Uznałam to wyróżnienie za prawie tak wspaniałe jak miłość.

Wstałam, zrobiłam sobie herbatę, potem siedziałam nad nią przez pół godziny nie wyjmując torebki z kubka. Odmierzałam swoje życie wyschniętymi saszetkami herbaty. Błady ze zmęczenia świt wciskał się przez szparę między zasłonami. Październik wkradał się w moje łaski, najdłuższe jak sięgałam pamięcią lato miało się ku końcowi; uporczywa susza sprawiała, że liście szybko opadały. Zmieniłam się, świat się zmienił, nic już nigdy nie będzie takie samo. Za kulisami czekała wojna. Moje małe romanse skarłowaciały wobec widma nadciągającego kataklizmu. Nagle zaczęłam być go świadoma, tego widma obecnego ze mną w pokoju - widma nie odległego horroru wydarzeń na Środkowym Wschodzie, lecz czegoś bliskiego i namacalnego, znajdującego się tylko o krok ode mnie, jakiejś ciemności na krawędzi myśli, której nie rozproszył poranek. Przeczucie było tak silne, jeśli było to przeczucie, że zrobiło mi się zimno, wstrząsnął mną silny dreszcz, poczułam niewytłumaczalny lęk. Nie miałam pojęcia, o czym to ewentualnie świadczy; moje życie, owszem, znajdowało się w stanie płynnym, ale nic nie zwiastowało zbliżającego się nieszczęścia. Wreszcie moje myśli skupiły się na bankiecie. W końcu pozostało do niego już niewiele czasu, a tam mogły się zbiec wszystkie nici. Z drugiej strony nie było to doroczne przyjęcie u Langelaanów, nie spodziewano się przybycia sław, nie zapowiadano huraganu. Vincent Scatpia Savage nie otrzymał zaproszenia. Co za absurdalny pomysł, żeby przeżywać agonie Kasandry, kiedy jedyną ponurą - ponurą, nie śmiertelną

- perspektywą był wieczór, na którym towarzystwo będzie liczne, rozmowa mikra i według wszelkiego prawdopodobieństwa będę zmuszona patrzeć, jak Richard tańczy z Crystal. Nie było co szaleć. Lecz widmo pozostało ze mną, zaciemniając krawędzie mojej świadomości.

Dwie filiżanki herbaty później wzięłam prysznic, umyłam twarz i ubrałam się przedkładając wygodę nad elegancję. Moja wierna automatyczna sekretarka przyjęła telefon od Jeffa Saltera, trzeci w tym tygodniu, a ja znowu mu nie odpowiedziałam. Następnym głosem, który przerwał moją samotność, był Geny Hibbert. Słuchałam ze ściśniętym żołądkiem. Nie miał mojego domowego numeru

i musiał zadać sobie wiele trudu, żeby go zdobyć. Ergo chciał czegoś. Rewanżu. Niechętnie podniosłam słuchawkę przerywając nagrywanie.

- Geny? Jestem przy telefonie.

- Micky, staruszko - powiedział. - Słyszałem, że rzuciłaś wreszcie tego skurwysyna Craiga. Kłótnia kochanków?

- Prawdę mówiąc - rzekłam sztywno - to on sypia ze swym komputerem. Komputer przechowuje tajemnicy i nie żąda orgazmu częściej niż dwa razy do roku. To jedyny Amstrad, jakiego znam, zarażony wirusem przeniesionym drogą płciową.

Moje poczucie humoru było zbyt subtelne jak na Gerry'ego, ale roześmiał się.

- No więc jak ci się powodzi? - spytał niemiłosiernie serdecznym tonem. - Masz już coś na widoku?

- Rachunek za telefon. - Uznałam, że czas skończyć tę pustą gadaninę. - Czego chcesz?

Chciał, ku mojemu niechętnemu zdziwieniu, zaproszenia na sobotnie przyjęcie.

- Zapowiada się nader obiecująco - powiedział. - Ekskluzywna posiadłość wiejska nafaszerowana dziełami sztuki, na liście gości lepszy świat...

Erotoman-gaduła. Najwyraźniej miał delirium tremens, o czym mu nie omieszkałam powiedzieć.

- Widzisz różowe słonie na łące pełnej białych królików - błysnęłam dowcipem. - Z tego, co wiem, to towarzystwo będzie równie szacowne co na Dorocznym Zjeździe Zasłużonych Staruszków. Zgrzybiali wieśniacy, którzy niegdyś znali matkę Richarda, młodzi zdolni, którzy niegdyś znali Richarda i, ach, już wiem: producent bardzo interesującego programu o starych monetach, który pokazywano na czwartym kanale w godzinie najmniejszej oglądalności. To przyjaciel Piersa Percivala. Słaby materiał do rubryki towarzyskiej.

- To znaczy, że idziesz - wywnioskował Geny.

- Nie mogłam odmówić, żeby ich nie urazić. Współpracowałam z tymi ludźmi.

- Słyszałem - odparł Geny z naciskiem. I: - Wnoszę, że będzie tam była żona Garoghana. Crystal Winter, ta minimodelka o szczupłej budowie ciała i kocich oczach. Bardzo mi zależy, żeby ją poznać.

- Jeśli liczysz na scenę między eks-małżonkami - warknęłam - to odRuść sobie. Są ze sobą w dobrych stosunkach.

- A ty? - spytał Geny. - Czy ty i śliczna Crystal jesteście również w dobrych stosunkach?

Nie próbowałam niczemu zaprzeczać; byłoby to tylko stratą energii. Geny zmierzał do celu z opuszczonym ryjem i mętnym spojrzeniem dziennikarza, który idzie śladem swych domysłów. Jeśli miał ochotę marnować czas i energię, to co mi do tego?

- Jesteś mi coś winna, Micky - przypomniał mi. - A ponieważ przyjaźnisz się z tymi ludźmi, możesz bez problemu załatwić mi zaproszenie. Usługa za usługę, pamiętasz? Zresztą jesteśmy starymi kumplami. Ufasz mi, prawda?

- Może i jestem ci winna przysługę - odparłam - ale ufać to ci nie ufam. Jeśli jednak chcesz iść na ten straszny wieczorek - powiedziałam tonem sugerującym wielką nudę - to chyba mogę ci to załatwić. Oddzwonię do ciebie.

Zatelefonowałam do Richarda, który właśnie otrzymał dwie propozycje pracy i był w nastroju do świętowania.

- Przynajmniej jedno z nas spada z zasiłku - powiedział, a ja domyśliłam się na jego twarzy uśmiechu. - Oczywiście, nie mam nic przeciwko żadnemu znajomemu, o ile nie jest zbyt bliskim znajomym.

- W ogóle nie jest znajomym - odparłam. - To kanalia. Znam takich zbyt wielu. Ale wątpię, żeby przeszkadzał. Ma, zdaje się, zupełnie mylne pojęcie na temat tego przyjęcia, myśli, że to spęd supergwiazd i węszy skandal za każdym krzakiem. Nie potrafiłam odebrać mu złudzeń. Jedno jest pewne, dziennikarz, który wchodzi drzwiami z oficjalnym zaproszeniem, jest o wiele mniej niebezpieczny od takiego, który zakrada się tylnymi drzwiami - powiedziałam.

Nieprawda. Szczur to szczur, bez względu na to, którądy wemknie się do twego domu. Upiększałam rzeczywistość, bo miałam dług do spłacenia, a to wydawało się stosunkowo łatwym sposobem.

- Załatwione, Kopciuchu - powiedziałam Gerry'emu. Kopciuchu... nie powinnam była tego powiedzieć. Niedawno sama

grałam rolę Kopciuszka, który wybrał się na bal w srebrnej sukience, żeby wypróbować swe wdzięki na nader wątpliwym księciu. Co tam bajka, ważne, że zdobyłam informacje. Nie lubiłam jednak precedensów. Jeśli moje przeczucia były słuszne, wołałabym, żeby przeznaczenie nie ujawniło się w obecności Gerry'ego Hibberta.

Ale tak naprawdę nie wierzyłam w percepcję pozazmysłową.

Zbliżała się pora lunchu. Spaliłam grzanekę, przygotowałam duży zimny napój. Wodę mineralną. Nie miałam niczego, na czym

mogłabym się skoncentrować poza przepisaniem po raz setny życiorysu, więc z braku laku mój umysł zajął się przeglądem zawartości mojej szafy. Tym razem to już na pewno będzie Roland Klein. W końcu miałam tę sukienkę na sobie zaledwie dwa razy. Roland Klein z powodzeniem wystarczy. Nieszczerólna sukienka na nieszczerólnie przyjęcie. Miałam dość innych zmartwień, żeby jeszcze zawracać sobie głowę czymś tak przyziemnym jak ciuchy. Dopóki nie znajdę pracy, muszę się pilnować z wydatkami, poza rym wydawanie dużych sum na frywolny strój wieczorowy kłóciło się z moimi zasadami. Zauważyłam ironicznie, że na każdą okazję mam inne zasady, które wyciągam, gdy potrzebuję wykrętu, żeby nie robić czegoś, na co nie mam ochoty, a chowam, gdy wymaga tego oportunizm. W stosunku do Vincenta użyłam podstępu bez mrugnięcia okiem, za to w sprawie sukni zajmowałam mocne moralne stanowisko. Nie mogłam się nadziwić mojej uczciwości. Do diabła z tym wszystkim! Moje fundusze były ograniczone, a wróżbita w głowie ostrzegł mnie przed idami październikowymi. Wtedy przypomniałam sobie ulubione powiedzenie Phyl: „A na frasunki nie ma jak sprawunki.” Potrzebowałam czegoś, co by mnie uspokoiło, małą dawkę dekadencji, zmianę upierzenia. W etycznej terminologii, staczałam się do rynsztoka, ale - znowu! - wcale się tym nie przejmowałam.

Pojechałam do Hanodsa i kupiłam sukienkę. Długą obcisłą „montanę”, która miała więcej wycięć niż pocziwy Roland Klein, a dekolt na plecach sięgał aż do pupy. Okoliczności wymagały czerni, zresztą, jak wyjaśniłam nieobecnej Phyl, lato mieliśmy już za sobą. W podwójnym lustrze nie zobaczyłam ani Kopciuszka, ani srebrnego węgorza, lecz pajęczą sylwetkę zwieńczoną krótką fryzurą, blednące na łopatkach resztki opalenizny, małą wymizerowaną twarz. Czarna Wdowa. W sam raz. Potrzebny mi był róż na policzki, odpowiednie oświetlenie i sen - niekoniecznie w tej kolejności.

Tej nocy, zmęczona poprzednią *nuit blanche*, spałam.

Nazajutrz przyjechał po mnie Richard razem z dziećmi i pojechaliśmy do Suney. Dzieci dostały wczesną kolację, po czym zostały zainstalowane w wielkiej sypialni wraz z wybranymi przez siebie książeczkami, pudłem herbatników, czego Crystal by na pewno nie

pochwaliła, pracą domową Penny i specjalnie dla nich wstawionym telewizorem. Udałam się do przydzielonego mi buduaru, żeby się przygotować. Morfeusz zrobił swoje, oświetlenie było przyjemnie miękkie, a umiejętne zastosowanie różu złagodziło moje ostre rysy. Twarz mogła od biedy ujść. Tymczasem dojechała Elizabeth z ową przyjaciółką z Wimbledonu - *grandę dame* z nosem Sitwella i kilkoma sznurami pereł, niezaprzeczalnie prawdziwych, na wysuszonej szyi. Kiedy weszłam do salonu, uniosła brwi; byłam niemal pewna, że przystawi do oczu lorgnon.

- To ta dziennikarka. Ale nie przejmuj się, ona jest naprawdę bardzo miła - powiedziała Elizabeth teatralnym szeptem, który usłyszeli wszyscy bez wyjątku.

Pierś Percival ubrany był w smoking, co dziwniejsze Richard też, choć bardzo prędko rozstał się ze swą czarą muszką. Weszliśmy po głównych schodach do sali, w której w dawnych czasach odbywały się bale; specjalnie opróżniono ją z zawadających mebli, by przywrócić do stanu przypominającego jej oryginalną funkcję. Specjalne urządzenia techniczne sączyły z kątów muzykę. Na jednym końcu stał wspianały bufet z nielegalnie złowionym łososiem - łosoś w miseczkach, galantyny z łososia i żadnych tartyniek, na drugim eleganckie kelnerki krzątały się z tacami pełnymi kieliszków szampana. Bollingera, jak bystro zauważyłam. Goście może nie zaliczali się do pierwszorzędných, ale alkohol był bez zarzutu. Popijaliśmy z wdzięcznością, uprzejmie gawędząc. Mało jest rzeczy gorszych od przybycia na bankiet, nim się zacznie na dobre. Zaczęłam się zastanawiać, czy by nie pójść do dzieci. Godzinę później wieczór zaczął się rozkręcać. Goście przybywali strumieniami, potem nastąpił prawdziwy ich zalew. Na wszystkich tego rodzaju imprezach cyrkulują niezbadane prądy, które wywołują coś w rodzaju przyplływów i odpływów gości. Ujrzałam Gerry'ego Hibberta, który - dobrze mu tak! - konwersował z biskupem. Nieszczęsnemu duchownemu, oczywiście, mogło przyjść do głowy zwierzyć się, że w Swiss Cottage ma kochankę i nieślubne dziecko, którego się wyparł, ale to raczej mało prawdopodobne. Geny miał minę wielkiego myśliwego, który gdzieś koło Afryki pomylił się i źle skręcił, przez co znalazł się na Antypodach wśród kangurów. By wetrzeć trochę soli w jego rany, przedstawiłam go dyrektorowi Tate Gallery, który wywnioskował, że Gerry pisze o sztuce i przywitał się

z nim bardzo entuzjastycznie. Przyjęcie było zabawniejsze, niż przewidywałam. Pierś stał z boku i palił z elegancją, której dodała mu fifka z kości słoniowej. Przyjawszy na siebie rolę gospodyni, Elizabeth trzymała się w pobliżu schodów i witała nowo przybyłych bez względu na to, czy ich znała, czy nie. Podejrzewałam, że Pierś był jej za to głęboko wdzięczny, bo oszczędzała mu mnóstwa pracy. Niżej Richard rozmawiał z sympatyczną parą, która zapewne zaliczała się do kategorii „starych przyjaciół”, gdyż otwarcie cieszył się z ich obecności. Crystal spóźniła się; przypuszczalnie chciała wywołać większy efekt. Zaopatrzona w nową porcję Bollingera rozmawiałam ze znajomą Elizabeth na temat przez nią wybrany, czyli o hodowli róż.

Crystal przybyła niedługo potem. Nie była dość wysoka, więc by dokonać spektakularnego wejścia, musiała zejść ze schodów. Dlatego udała się najpierw do kio, jedno piętro wyżej, a dopiero potem zeszła do sali balowej. Ta suknia jest zbyt piękna, by mogła być prawdziwa, pomyślałam. Crystal miała na sobie istną symfonię skromności i prostoty, uszytą z jakiegoś niemnącego krepdeszynu, niebieskiego jak jej oczy. Efekt był taki, jakby zamówić u Bruce'a Oldfielda strój dla Świętej Dziewicy. Jedyne nie zasłonięte części jej anatomii były dłonie; przy szyi i obrąbku połyskiwał jak poranna rosa delikatny pył świecidełek, którymi poproszono również torebkę. Po plecach spływały włosy, zamienione w burzę prerafaelickich fal. Na jej widok w całym pomieszczeniu wstrzymano oddechy. Jedną Elizabeth nie dała porwać się jej urodzie, choć oczywiście przywitała się z nią z bezlitosną uprzejmością i przedstawiała każdemu, kto się napatoczył. Odnosiłam wrażenie, że uroda i elegancja Crystal zmarnuje się na tym zebraniu towarzyskim, gdzie poza kilkoma parami młodych zdolnych przeważały głównie muzealne okazy minionej epoki i kustosze dawnych talentów, prawie wszyscy po mrocznej stronie średniego wieku. Wielu z tych mężczyzn było niestety za starych na to, żeby stanęły im zegary - bez fatalnych konsekwencji. Przypuszczalnie Crystal pomyślała coś podobnego, bo kiedy fala zbliżyła nas do siebie, przywitała mnie z przyjemnym zaskoczeniem, bez wątplenia dlatego, że byłam znajoma i współczesna. Podszedł do nas Richard, a ja zastanawiałam się, czy obserwuje nas Geny i jaki z tego użytek. Bohater przyjęcia, jego była żona i zaprzyjaźniona dziennikarka, a kto wie czy nie przyjaciółka, cała trójka w cywilizowanym uścisku, dobrze skrywającym ciemne namiętności.

Tak naprawdę to nie zauważyłam żadnych ciemnych namiętności. Nasza pogawędka była niewinna do imentu. Crystal spytała, kim są ci wszyscy ludzie, Richard odparł, że nie ma bladego pojęcia. Na to ja powiedziałam, że nie należy się tym przejmować, bo jedzenie jest wspaniałe i spytałam Crystal, jak jej idzie aktorstwo. Pytanie miało dobre intencje, lecz zabrzmiało dwuznacznie i Crystal popatrzyła na mnie, jak mi się wydało, trochę ze znużeniem. Zignorowała jednak jego niezręczność i zaczęła opowiadać o wiszącej w powietrzu propozycji prezentowania telewizyjnego pokazu na temat makijażu i mody (o Boże, jeszcze jeden), a także o roli w filmie, która była absolutnie pewna, jeśli tylko producentowi uda się zebrać pieniądze. W jej głosie i zachowaniu nie było żadnej desperacji, ale pamiętam, że nagle poczułam do niej cień sympatii, coś jakby pokrewieństwo. Nie byliśmy znowu tak bardzo różne. Ja doszłam do kryzysu w życiu, do punktu bez wyjścia, Rubikonu bez mostu czy fortu. Moja kariera znalazła się w martwym punkcie, moje uczucia zostały zlekceważone. Crystal kiedyś powiedziała, że pragnie podniecenia i stymulacji, ja zaś miałam jednego i drugiego w nadmiarze, ale tak czy owak obie się potknęłyśmy, wpadłyśmy we własne sidła, a teraz same musiałyśmy się z tego wykaraskać. Zaplątałyśmy się w tych samych mężczyzn, Savage'ów z dwudziestego wieku, silnych macho, postfeministów, antyseksistów. Mogłam nie lubić Crystal, ale w tamtej chwili chciałam ją rozumieć, wykonać jakiś gest solidarności. Usłyszałam, jak Richard mówi:

- Mogłabyś pójść na chwilę do dzieci. Nieprędko zasną. Powinno się pozwolić im przyjść tutaj, ale skoro Pierś sam nie zaproponował... nie chciałem się narzucać. Stara się być bardzo uprzejmy, nieborak, ale myślę, że już się dość nacierpiał. To nie są ludzie w jego guście.

- Ani w moim - rzekła Crystal. - Przed chwilą poznałam producenta filmowego, ucieszyłam się, a tu się okazuje, że robi filmy numizmatyczne. - W jej głosie nie było ani krztyny rozbawienia. - Zaraz do nich pójde.

- Grzeczna dziewczynka - pochwalił ją Richard.

Odchodząc uściśnął mi ramię. Obudziło to we mnie nieracjonalne rozdrażnienie - to było moje ramię, nie miał prawa go ścisnąć, w ogóle nie miał żadnych praw. Crystal spojrzała na mnie z miną bardziej niż obojętną.

- Podobno... dość się zaprzyjaźniliście - powiedziała jakby od niechcenia.

Zrezygnowałam z gestu solidarności. Nie wiedziałam, czy trapiło ją złamane serce, czy urażona próżność, ale za jej obojętnością wyczułam usuwanie się gruntu spod nóg, dezintegrację jestestwa. To nie była chwila na siostrzane awanse.

- Dość - odparłam wzruszając ramionami. Chciałam wydać się znudzona, niezaangażowana, chłodna. Wypadłam kompletnie nienaturalnie.

- Richard mówi, że to nie moja sprawa. - Jej wzrok prześliznął się po pokoju nie trafiając na mnie. - Myślę, że ma rację. Ale jednak chciałabym wiedzieć...

- Jest tu pewien reporter - zauważyłam ostrzegawczym tonem.

- Niewykluczone, że właśnie nas obserwuje.

- Rozumiem. - Dobierała słowa z właściwą sobie starannością.

- Będę... ostrożna.

- Jesteśmy wyłącznie przyjaciółmi - rzekłam. Nie musiałam się jej opowiadać, ale czułam, że potrzebuje pewności. Okup dla jej ego.

- Nic więcej. Nie będzie nic więcej, bez względu na to, co się zdarzy. Obiecuję. - A ja dotrzymuję obietnic, pomyślałam. ***Quod erat demonstrandum.***

- Nic mnie to nie obchodzi. - Ostrość w jej głosie zaskoczyła nas obie. - Richard i ja to już przebrzmiała historia - ciągnęła już spokojniej. - Porzuciłam go. Zraniłam. Mam wielką nadzieję, że ktoś inny spróbuje... mu to wynagrodzić. On panią bardzo podziwia.

- On mnie nie zna - odparłam nieszczęśliwa.

Crystal przez minutę patrzyła na mnie bez słowa. Potem odwróciła się i odeszła. Teraz zobaczyłam, że Gerry Hibbert nie spuszczał z nas wzroku. Ale zgiełk przyjęcia zagłuszył większość naszej rozmowy i w tej chwili, jak sądziłam, moja twarz była równie nieczytelna co twarz Crystal. Uśmiechnęłam się do niego promiennie, a kiedy poszukałam wzrokiem Crystal, już jej nie było.

Dalszy przebieg wypadków nie został nigdy dokładnie odtworzony. Część kłopotów wzięła się stąd, że dzieci nie zawsze są tam, gdzie się je zostawiło. Penny, onieśmielona Piersem Percivalem i nie znanym otoczeniem, zachowywała się poprawnie, ale Jo był jeszcze w tym wieku, kiedy ciekawość bierze górę nad strachem. Znudzony książkami, herbatnikami i złym odbiorem telewizora, pod pozorem, że idzie do łazienki, wybrał się na wycieczkę krajoznawczą, zostawiając siostrę nad pracą domową z geografii. Jego uwagę

przyciągnęły, rzecz jasna, pistolety do pojedynków. Crystal ku swemu przerażeniu zastała go stojącego na krześle i podziwiającego radośnie ten, który udało mu się już zdjąć. Później twierdziła, że natychmiast zagoniła dziecko do łóżka, pistolet zaś schowała do torebki, bo nie potrafiła odwiesić go na ścianę tak, jak wisiał poprzednio. Jej torebka, bynajmniej nie przepastna, była jednak na tyle duża, by zmieścić wszystko, czego potrzebuje kobieta na przyjęciu, czyli zestaw do makijażu, pudełeczko kondomów, stojak na kapelusze. Pistolet też się zmieścił, choć lufa wystawała. Powiedziała, że nie zdawała sobie sprawy z tego, że broń była naładowana

- dla niej był to wyłącznie dekoracyjny antyk, który Jo z jego chłopięcymi skłonnościami do wandalizmu mógł nieodwracalnie uszkodzić. Brzmiało to dość prawdopodobnie. Zapakowała dzieci do łóżka, poczytała im do snu i z pistoletem w torebce wróciła do sali balowej.

Gorszego momentu nie mogła sobie wybrać.

Przyjechał gdzieś koło dziesiątej, dobrze po tym, jak straciłam z oczu Crystal. Wskoczył jak diabeł z pudełka. Nie spodziewałam się go, choć powinienam. Byłam tak zaabsorbowana moimi dylematami i zmianami w życiu codziennym, że zapomniałam lub nie wzięłam pod uwagę jego skłonności do drastycznych posunięć. Nawet w najśmielszych snach nie marzyłam, że będzie starał się mnie znaleźć. Skąd dowiedział się o przyjęciu, pojęcia nie mam

- w grę wchodziło wszystko, od zwykłych plotek po informację od kogoś z wewnątrz. W przeciwieństwie do Crystal nie starał się zrobić wejścia, po prostu wszedł. Nieproszony, za to w najbardziej formalnym smokingu. Straszna postać o kamiennym wyrazie twarzy. Był wyższy od otoczenia i spostrzegłam niemal natychmiast, jak przepychał się przez tłum. Na moment przystanął, by wymienić spojrzenie z Elizabeth, która na jego widok oniemiała. W miarę jak uświadamiano sobie jego obecność, tłum zaczął się przemieszczać, usuwać się z niebezpiecznej strefy, zbijać w porozumiewające się ściszym głosem koterie. Rozmowy w moim sąsiedztwie stopniowo zamierały, przechodziły w szepty, trącania łokciem, mamrotania. Ci, którzy go nie rozpoznali, pytali, kto to jest; ci, którzy rozpoznali, milkli. Od wszystkich bez wyjątku emanowała dezaprobata.

Gdzieś za sobą usłyszałam głos Piersa Percivala:

- Dobry Boże. Kto by się spodziewał? Trędowny na jarmarku. Dojrzał mnie. Szedł teraz w moim kierunku, a jarmark odsuwał się, by uniknąć zarażenia. Aura, która go otaczała - nienawiść, obraza, tłumiona brutalność - nie pasowała do tego miejsca; skurczyli się jak od wyziewu. Nie zauważał tego. Może już się przyzwyczaił do takich reakcji we własnym kręgu towarzyskim. Zatrzymał się przede mną, jakby zamierzał wyzwać mnie na pojedynek. Domyśliłam się, że nie będzie uprzejmych wstępów. Nie wie, co robić, nie zaplanował tego, kierują nim emocje, pomyślałam. W jego kamiennym spojrzeniu dojrzałam coś, co mnie zaszokowało - ciemność bólu przełożoną na ciemność gniewu. Przypominał zranionego śmiertelnie tygrysa, który w ostatnim ataku furii szykuje się do skoku. A stał tak blisko... Kochałam go. Ta prawda objawiła mi się niczym wielka jasność, iluminacja serca, w beznadziejnie złym momencie, niestosownie, bez sensu. Chciałam przecież kochać Richarda - Richarda, który w życiu kierował się ideałami i który spełniłby tyle moich marzeń. Richard był jednak mrzonką, uboczną grą, sentymentalnym blaskiem księżyca. To z Vincentem, nie z Richardem, tańczyłam w ciemności. Stał teraz przede mną, patrzył ze śmiertelną wrogością, a ja doświadczałam czegoś w rodzaju rozpoznania, jak gdybym w tłumie nieznanymi twarzami trafiła na znajomą, postać w technicolorze w świecie jednostajnie szarym. Kochałam go i zdradziłam, i gdyby sytuacja się powtórzyła, niewątpliwie zrobiłabym to samo. Moja dusza płonęła triumfalnie.

Powiedziałam cicho:

- Dzień dobry, Vincencie. Niezbyt udany początek.

- Dzień dobry. Przepraszam, że się spóźniłem. Pewnie już się bałaś, że nie przyjadę. - Oddychał ciężko, jak biegacz. Jego ironia była postrzępiona, ale przynajmniej zachował resztki opanowania.

- Nie szkodzi - powiedziałam lekko. - Domyślałam się, że mgła nad Heathrow zatrzymała twoje latające smoki.

Z nieprzewidzianą łatwością przeszłam na stare znajome przekomarzanie się. Wpłynęło to na nastrój Vincenta - kamień popękał, gniew przerodził się w zdziwienie.

- Coś... w tym... rodzaju. - Mimo woli jego napięcie zmalało o oczko. - *A propos*, nie wysłałaś mi zaproszenia. Na pewno przez

przeoczenie. Bo przecież ta mała uroczystość jest z mojego powodu, nieprawdaż?

- Masz rację - odparłam. - Ale wiesz, jak to jest. Trzeba przestrzegać tradycji. Niegodziwy czarnoksiężnik nie otrzymuje zaproszenia na bal. Dzięki temu może wtargnąć w najmniej oczekiwanym momencie, wlokąc za sobą nietoperze i pająki - z pająkami nie przesadzaj, bo za nimi nie przepadam - i rzucić klątwę na księżniczkę. Chcesz rzucić na mnie klątwę od razu, czy przedtem się czegoś napijesz?

- Nie widzę tu żadnej księżniczki - odciął się Vincent. - Wydaje mi się, że ty jesteś tą w szpiczastym kapeluszu. Gdybyś ukłuła się w palec, lekarza sprowadziłbym nie do ciebie, lecz do wrzeciona.

Roześmiałam się, prowokując tygrysa. W jego oczach, choć zaciemniała je wściekłość, dojrzałam błysk rozpoznania, podobny do mojego.

Kelnerka, nie orientując się w sytuacji, podsunęła mi tacę. Podałam Vincentowi kieliszek szampana. Chlusnął nim we mnie.

Richard zmaterializował się w niewłaściwym momencie. Skoczył mi na pomoc. Nie potrzebowałam pomocy.

- Micky...

- Nic się nie stało. - Płyn rozlał mi się na piersi, przesiąknął przez cienki czarny materiał, oziębził sutki, które stały dęba. Czulałam się jak lady Caroline Lamb w wilgotnym muślinie.

- Wytrawne od wytrawnego znawcy? - próbowałam obrócić zajście w żart, ale nikt tego nie zauważył.

Vincent oderwał ponure spojrzenie od moich sutków i przeniósł je na Richarda.

- Gratuluję - powiedział. - Ty ze wszystkiego wychodzisz szczęśliwie i z uśmiechem na twarzy. Jak zwykle. Nie musisz nawet sam dowodzić swej niewinności, bo zajmuje się tym banda nieuczciwych dziennikarzy, a łaskawy ojciec chrzestny w odpowiedniej chwili przypomina sobie o twoim istnieniu i spłaca twoje długi. Jeszcze raz los uśmiechnął się do Richarda Garoghana. Wypiłbym za twoje zdrowie, lecz wylałem wszystko do rynsztoka.

- Odczep się od Micky! - Richard zamachnął się na Vincenta, ale go powstrzymałam. - Ta sprawa jest między tobą a mną, jeśli upierasz się przy podtrzymywaniu tej głupiej wendety. Bo jeśli o mnie chodzi, to skończyliśmy. Ty zrobiłeś najgorszą rzecz, na jaką

było cię stać, ja zrobiłem najlepszą i jesteśmy kwita. Jeśli jednak chcesz zacząć nową rundę, to zacznij ją ze mną. Ale od Micky się odczep!

- Odczep się - powtórzył Vincent. - To bardzo trafne. A może ci nie powiedziała? Oczywiście, że ci nie powiedziała. Przybyła ci na pomoc, przynosząc wraz ze swym mieczem prawdy i tarczą uczciwości malutki magnetofon. Ty jednak o nic nie pytałeś. Żyjemy w czasach odwrócenia ról. Uratowała twą dupę, a ty się w niej zakochałeś.

Wzruszająca historia ze szczęśliwym zakończeniem. Szkoda, że nie wiesz, co było wcześniej. Jak myślisz, w jaki sposób, zdobyła te wszystkie świństwa na mój temat? Czy może powiedziała ci, że mówiłem do drzew, a ona przypadkiem to usłyszała?

- Stare wywiady... - Richard zmarszczył czoło.

- Nie udzielam wywiadów - odparł Vincent. - Nigdy.

Patrzył na mnie przez długą chwilę zimnym wzrokiem, zaciskając wargi. Wiedziała, na co się zanoszi. Nie mogłam go powstrzymać i głupotą byłoby próbować. Mogłam jedynie zagryźć zęby i czekać.

- Poznałem ją na przyjęciu na Karaibach - rzekł nie odrywając oczu od mojej twarzy. - Poderwała mnie. Zabrałem ją do domu i poszliśmy do łóżka. Spędziliśmy razem trzy dni, dochodząc do siebie po tym przekłętym huraganie. Trzy dni - los się naprawdę na mnie zawziął. Gdybym wierzył w Boga, zostałbym satanistą. Rozmawialiśmy aż do wypalenia się świec - nie było elektryczności - i pieprzyliśmy się, bez końca się pieprzyliśmy. Z pewnością nagrywała wszystko, co mówiłem - o swym życiu, o tobie, o Crystal. Była lepsza od psychoanalityka. Wyrzygałem swą duszę, a ona po prostu zebrała rzygowiny. Miły sposób zarabiania na życie.

- Chrzaniś. - Richard był celowo pogardliwy. - Wiesz, gdybyś nie odniósł tylu sukcesów, byłbyś żaloszny. Ty po prostu chcesz ściągnąć wszystkich do swego poziomu. Micky nie jest taka. Myślisz, że jej nie znam?

- Nie tak dobrze jak ja. - Spojrzenie Vincenta przesunęło się na kuzyna. - Chyba że... spałeś z nią? Nie spałeś, prawda? Zawsze dżentelmen. Cierpliwość to cnota, ale szkoda jej dla kurwy.

- W szkole nauczyłeś się wszystkiego poza manierami.

- Nauczyłem się wszystkiego poza nieszczerością. Obawiam się, że znowu trafiły ci się resztki po mnie. Z drugiej strony, ona jest lepsza od Crystal. Każda jest lepsza od Crystal. Nieźle wychodzi jej mineta.

Richard uderzył go. Powinam była to przewidzieć, ale właśnie zbierałam się w sobie, nie żeby zaprzeczyć oskarżeniom, lecz żeby je potwierdzić, nadrobić bezczelnością, zachować godność, odstawić Joannę d'Arc lepiej, niż kiedykolwiek udało mi się to w tak nie sprzyjających warunkach. A zamiast tego ścisnęłam ramię Richarda, patrząc, jak Vincent pada na podłogę z czerwonymi śladami knykci na policzku. Smoking Richarda podzielił los muszki. Vincent podniósł się i zrobił to samo - cisnął zbyteczną odzież na podłogę.

- Richard - krzyknęłam zapominając o godności - nie ma o co się bić! To prawda, ty idioto! Spałam z nim, słyszysz, spałam z nim i gwizdę na to!

Ale Richard nie słyszał mnie. Byli znowu w klasie, na boisku, w pokoju dziecięcym. Zwarli się niczym Tytani, jelenie na rykowisku, napastnicy w meczu rugby. Pośliznęli się na parkiecie i pozęglowali w tłum. Ludzie zaczęli się rozstępować, unosząc suknie, gubiąc szczęki, nic nie robiąc. W takich okolicznościach zwykle nikt nic nie robi. Goście stali zamrożeni w stanie rozmyślnej bezczynności, niczym widzowie obserwujący krwawy sport, który podobno potępiają; zbyt zaskoczeni lub przestraszeni, by interweniować. Zobaczyłam przerażoną minę Elizabeth, ruch jej warg: Zróbcie coś! Ci wokół niej nadal nic nie robili. Vincent i Richard potknęli się o krzesło, zawadzili o dywan. Pomrukiwali niczym zapaśnicy Sumo, tańczyli niczym bokserzy wagi ciężkiej, zataczali się, potykali, młócili powietrze. Jak na walkę, za wiele było efektów dźwiękowych. Odniosłam wrażenie, że dostaje się Richardowi.

- Proszę przynieść mi syfon z wodą! Kubełek z lodem. Cokolwiek! - zażądałam od najbliższej kelnerki, tej, która podeszła przedtem do nas z szampanem. Barman usłużnie podał mi butelkę szampana, nie otwartą. Odkręciłam drucik, skierowałam szyjkę w stronę sufitu, potrząsnęłam butelką. Korek eksplodował, a strumień alkoholu oblał wojowników.

- Zuch dziewczyna! - powiedział Pierś Percival.

- ... *che cazzo!* - warknął Vincent.

W tym właśnie momencie wróciła Crystal.

Zobaczyła walkę ze schodów, zbiegła na dół, rozepchnęła gości torując sobie drogę. Jej twarz była dość blada, ciemne włosy unosiły się za nią jak dym. W odróżnieniu od mojego mokrego przodu suknia Crystal przylegała wdzięcznie do jej szczupłego ciała nawet w biegu; tylko torebka - przeciążona! - dziwnie obijała się na jej biodrze.

Pamiętam, że zadałam sobie pytanie, co też takiego ciężkiego może w niej mieć.

- Vincent! - krzyknęła. - Skąd się tu wziąłeś? Richard! Na miłość boską, chyba powariowaliście.

- Crys, kochanie... - Richard już był na nogach i starał się za wszelką cenę usunąć ją z pola walki.

- Odpieprz się, Crystal. - Vincent nie grywał w krykieta. Wykorzystał fakt, że kuzyn miał odwróconą uwagę i zaskoczył go ciosem w głowę, od którego tamten zachwiał się do tyłu.

- Przestańcie! - wrzasnęłyśmy obie jednocześnie, ona z przerażeniem, ja z rozdrażnieniem.

- Debile! - kontynuowałam. - Neandertalscy fallokraci! Grube czaszki, mózg wielkości zielonego groszku, głupi... - Z wyrazem dezaprobaty na twarzy kelnerka wręczyła mi kolejną butelkę. Wylewać na podłogę taki drogi alkohol? Zatrzymał mnie głos Piersa, tak ostry, jakiego jeszcze nigdy nie słyszałam.

- Co w imię szatana...

Crystal wyciągnęła pistolet. Załadowała go po amatorsku, wycelowała z ciut histeryczną determinacją. Jej usteczka miały rezolutny wyraz, szafirowe oczy błyszcząły.

- Przestańcie! - powtórzyła. - Przestańcie, bo będę strzelać! Nie bijcie się! Nie jestem tego warta!

Szczyt banalności. Vincent odepchnął Richarda i obrócił się do niej.

- Pewnie, że nie jesteś warta, ty głupia suko. Nie tracilibyśmy energii na walkę o ciebie. Micky może jest kurwą, ale przynajmniej jest w tym dobra. Ty w niczym nie byłaś dobra poza noszeniem szminki. Teraz nawet do tego już się nie nadajesz. Odłóż ten wyszukany pistolet - nie jest naładowany. To tylko dekoracja. Wyglądasz śmiesznie odgrywając Sarę Bernhardt, kiedy talentu masz tyle co chórek dziewcząt z kabaretu. - Odwrócił się do niej plecami, by podjąć znowu walkę, nie zadając sobie fatygi, by zainteresować się jej reakcją.

Zobaczyłam jej twarz - nie była już nieczytelna. Zobaczyłam, jak podnosi pistolet. Jej ręka drżała, ale na twarzy malowało się zdecydowanie, odbite na jej rysach niczym piętno. W tym ułamku sekundy przed nieszczęściem zobaczyłam wszystko. Ale poruszałam się za wolno, ostrzegłam za późno, niczego nie zmieniłam, nikogo nie uratowałam.

- Jest naładowany! - wrzasnęłam. - Na miłość boską... Crystal strzeliła.
Ciało Vincenta szarpnęło się, rzuciło się do przodu, w ramiona Richarda.

- O, kurwa - powiedział. - Kurwa...

Mimochodem pomyślałam, że te ostatnie słowa akurat nie nadają się do zapamiętania. Bardzo trafne, owszem, ale zupełnie nie nadają się do zapamiętania. Takie to głupoty przychodzą człowiekowi do głowy w krytycznych momentach. Richard powiedział: - Crys....

Pierś powiedział:

- Dobry Boże.

Zobaczyłam, że z twarzy Crystal zniknął tamten wyraz, co upewniło mnie raz na zawsze, że kiedy pociągnęła spust, doskonale wiedziała, co robi. Z tyłu niektórzy goście wpadli w panikę i zdenerwowanie.' Richard położył Vincenta na podłodze, ja zaś uklękłam obok niego i zaczęłam krzyczeć, żeby mi dali serwetki, ściereczki do naczyń, cokolwiek, bym mogła zatamować krwawienie; krew była na moich rękach, sukni, błyszczącym parkiecie. Szkarłatny wachlarz rozkładał się na bieli jego koszuli. Kula weszła pod prawą łopatką, ale nie było widać, którą wyszła. Powiedziałam:

- Wezwijcie pogotowie.

Ale Richard już pobiegł do telefonu. Pierś podał mi serwetkę, którą zwinęłam w coś, co miało być solidną kulą, i przycisnęłam ją do rany.

- Złóżcie je - zażądałam. - Jak najwięcej. - Nie miałam pojęcia, co robię. Vincent oddychał z trudem, dyszał prędko, ciężko, łapał powietrze, zaczął kaszleć. Na wargach pokazała się krew. - Ma przestrzelone płuco - powiedziałam do Piersa. Vincent leżał na lewym boku, a ja czułam, że powinien leżeć na prawym, bo wtedy miałby przynajmniej jedno płuco czyste i byłoby mniej prawdopodobne, że utopi się we własnej krwi. Tak mi wypadło z logiki i chłodnego myślenia, na jakie mogłam się zdobyć w tamtej chwili. Z pomocą Piersa przewróciłam go na drugi bok, ostrożnie, podpierając własnym ciałem. Kelnerka, zorientowawszy się, co trzeba robić, składała serwetkę po serwetce i podawała mi je. Podsunąwszy rękę pod załamanie jego pleców, przyciskałam do rany zaimprovizowane tampony. Po twarzy spływała mi jakaś ciecz. Nie szampan. Łzy. Nie wiedziałam, że płacę - te łzy jakby nie były moje. Jedna spadła na policzek Vincenta.

- On coś mówi - stwierdził Piers i pochylił się nad Vincentem. - To brzmi jak... Armagedon?

- Kretyn - powiedziałam. Do Vincenta, nie do Piersa. - Nic nie mów. Oddychaj.

Coś różowego pochyliło się nade mną. Biskup.

- Są w drodze - potwierdził, mając na myśli ambulans. - Czy on jest w stanie napić się koniaku?

- On nie, ale ja jestem - odparł Piers.

Richard nie wrócił. Potem domyśliłam się, że zaopiekował się Crystal. Podobno była „w szoku”. Nic dziwnego.

- To moja wina - oświadczył Piers głosem, w którym brzmiało hamowane samooskarżenie. - Nie powinienem był zostawiać naładowanego pistoletu w tak łatwo dostępnym miejscu. Ale co opętało tę dziewczynę, że go wzięła...

Vincent oddychał coraz gorzej. Każdy oddech wiązał w jego żebrach, jak gdyby zasysał próżnię. Jego klatka piersiowa unosiła się niczym zepsuty miech kowalski. Nie sądziłam, że umrze. Ani razu tak nie pomyślałam. Krew przeciekała uparcie przez warstwy serwetek - miałam od niej śliskie palce. Rozejrzałam się po pokoju i stwierdziłam, że oprócz Elizabeth, jej znajomej oraz biskupa wszyscy się zdematerializowali. Zadałam sobie pytanie, dokąd poszli. Wydawało mi się, że od postrzelenia Vincenta upłynęła co najmniej godzina, w rzeczywistości minęło tylko dziesięć lub piętnaście minut. Wreszcie przybył ambulans i Vincenta przejęły kompetentne ręce - przełożono go na nosze i zabrano do ambulansu. Wysłałam za nimi.

- Czy pani jest jego dziewczyną? - spytał pielęgniarz.

- Nie, największym wrogiem - odparłam. Pielęgniarz uznał, że trzymają się mnie żarty.

Nie bardzo pamiętam tę podróż. W szpitalu Vincenta powieszono na salę operacyjną. Mnie zostawiono przypuszczalnie w poczekalni; zapamiętałam pisma, doniczki z kwiatami, automaty z napojami. Robiłam to, co ludzie zwykle robią w takiej sytuacji: siedziałam, wstawałam, chodziłam, patrzyłam na zegarek. W toalecie umyłam ręce; krew na sukni zaschła w sztywne, pozbawione koloru łaty. Wątpiłam, czy dadzą się sprać. Wydawało się, że nad moimi nielicznymi wycieczkami do krainy elegancji ciąży jakieś fatum. Co włożę jakąś nową suknię, to albo zostaje podarta na strzępy w wypadku samochodowym, albo wymazana krwią w strzelaninie.

Z tego na pewno płynął jakiś morał, ale nie chciało mi się nad nim zastanawiać. Powiedziałam sobie, że w przyszłości będę się ubierała wyłącznie w dżinsy i w mojego starego Rolanda Kleina. Nie chodziło mi nawet o te suknie, a raczej o to, że nie potrafiłam wyobrazić sobie żadnej przyszłości. Nie spytałam o szanse Vincenta i nikt nie pofatygował się, by mi coś powiedzieć. Patrzyłam na zegar, spacerowałam w tę i nazad, siadałam, wstawałam. Automat reklamował kawę, ale kiedy wrzuciłam monetę i nacisnęłam odpowiednie guziki, maszyna wydała syk, prysnęła śliną, dmuchnęła parą. Czas biegł o wiele za wolno.

Nie miałam pojęcia, gdzie jestem. Spytałam pielęgniarkę.

- W Guildford - padła odpowiedź.

Musiałam mieć dziwną minę, bo spytała, czy dobrze się czuję. Pierś Percival... Surrey... Guildford. Oczywiście.

Odparłam, że czuję się dobrze. Pomyślałam, że powinnam wykonać kilka telefonów do bliskich Vincenta. To nie w porządku, żeby o tym, iż jest w szpitalu

i walczy o życie, wiedziała tylko zniechęcona przez niego dziennikarka. Powinnam skontaktować się z Jolandą, Hannibalem Barkerem, może Judasem Carsonem. Ale nie znałam ich numerów, a poza tym byli zbyt daleko, by móc skwapliwie stawić się przy łóżku Vincenta. Zadzwońię do nich rano, a do tego czasu ja muszę mu wystarczyć.

Zresztą, nie był w stanie protestować.

Sekundy tykaniem przechodziły w minuty, minuty ciągnęły się w godziny. Stałam na podłodze, obserwowałam krzesło, odmierzałam krokami czas.

W końcu wyszedł do mnie lekarz. Młody, ciemny i bardzo poważny. Może jednak zawsze był taki poważny.

- Ciężka sprawa - powiedział. - Pistolet do pojedynków, jak rozumiem, wystrzelił przez przypadek. Te zabytkowe pistolety są bardzo groźne. Kula przeszła przez jego płuca niczym dum-dum i uwięzła między żebrami. Narobiła straszego bałaganu. Niewiele brakowało, żeby się źle skończyło.

- Niewiele brakowało...

- Może pani do niego wejść - rzekł lekarz.

Vincent miał tors zawinięty w taką ilość bandaży, że wystarczyłoby dla mumii. Wystawiono go na widok publiczny w otoczeniu nowoczesnego sprzętu medycznego; girlandy rurek i przewodów

zwisały nad nim jak różnobarwne spaghetti, z przezroczystego pęcherza płyn ściekał do żył. Obok, na dwóch małych ekranach, wyświetlała się praca serca i oddech; zygzakowate błyszczące linie z uspokajającą monotonią przebiegały ekrany. Linie życia. Pipipim, pipipim, pipipim - pracowało jego serce. I rrraz, i rrraz - pracowało to, co zostało z jego płuc. Ani jeden z ekranów nie zarejestrował zaburzenia rytmu w związku z moim wejściem. Od idealnej bieli poduszki odcinała się brudnoszara twarz kogoś, kto właśnie stracił kilka litrów krwi. Plamiste siniaki - efekty walki - nie dodawały mu urody. Potrzebował golenia. Patrzyłam w dół, on patrzył do góry i przez długą chwilę żadne z nas się nie odezwało. Zauważyłam, że ma szarą bruzdę na lewej skroni i ciemnozielone oczy jak butelki po winie. Uświadomiłam sobie, że ja również muszę wyglądać dość kiepsko. W toalecie próbowałam zmyć resztki makijażu, ale na pewno zostało trochę tuszu rozmazanego na powiekach i resztki pomadki w kącikach warg. Nie wydawało mi się to zbyt ważne.

- Powiedzieli, że moja dziewczyna jest tutaj - rzekł w końcu. Głos miał słaby, ale pewny. - Od razu pomyślałem, że to ty.

- Jasne. Pauza.

- Dlaczego przyszedłeś? Odpowiedziałam lekko:

- Żeby rozkoszować się twoją śmiercią.

- Zawiedziona?

- Przeżyjesz.

Przyciągnęłam krzesło i usiadłam.

- To tyle jeśli chodzi o ostateczną bitwę - mruknął Vincent.

- Dobro triumfuje, Zło leży i krwawi. Do głowy by mi jednak nie przyszło, że to Crystal będzie trzymała kałasznikowa.

- Tak się jakoś zawsze dzieje, że głupim ludziom potrzebne są wielkie karabiny - odparłam.

- Tak. Szkoda jednak, że nikt nie uprzedził mnie o wojnie. Ty miałaś Ekskalibura, ja tylko swego kutasa. Nierówne siły.

- Penis - powiedziałam - może więcej niż miecz.

- No, nie w tej chwili - odparł Vincent. Roześmiałam się.

Poprosił o wodę. Uniosłam mu głowę, pomogłam się napić.

- Przychodzi mi do głowy wiele ładnych imion dla ciebie

- stwierdził. - Przeważnie włoskich. **Cagna. Puttana. Troia.**

- Daruj sobie. Seks jest legalnym ruchem w grze. Sam się do niego często uciekałeś. Weźmy na przykład Jan Horrocks z Akcji na Rzecz Ochrony Środowiska w Walmesley, czy jak ich tam zwą?
- Skąd o niej wiesz?
- To pierwsze z twych świństewek, na które trafiłam.
- I dlatego postanowiłaś przed złapaniem rekina naostrzyć zęby?
- Nnnie - odparłam. - Niczego nie planowałam. Przyjęcie u Langelaanów samo weszło mi w drogę. Uznałam, że to dobra okazja, żeby się tobie przyjrzeć. Nie oczekiwałam niczego więcej. Kiedy nadciągnął huragan - kiedy wyszliśmy razem - zdałam się na instynkt. To nie był plan przygotowany z zimną krwią. Poszłam z tobą do łóżka, bo miałam na to ochotę. - I dodałam szczerze: - Poza tym byłam pijana do nieprzytomności.
- Ten walkman, którego ani razu nie użyłaś - rzekł Vincent.
- Domyślałam się, że to nie był walkman?
- Nie.
- Włączałaś magnetofon, ilekroć my...
- Ilekroć rozmawialiśmy.
- Niezwykły przykład zachowania przytomności umysłu w każdych okolicznościach - rzekł Vincent z ironią. - Odchodząc zabrałaś z sobą swe uczucia, prawda? Jesteś chodzącym sercem.
- Powiedziałam ci, że nie mogę podziwiać cię bezkrytycznie. Mamy lata dziewięćdziesiąte. Od kobiet już się nie wymaga, żeby były głuche i ślepe. Jak to Byron powiedział? „Miłość mężczyźnie nie jest życiem całym, Dla kobiet miłość - jedyne istnienie".² Przez tysiące lat tak było. Nie miałyśmy wyboru. Mąż, dzieci, panowanie w domu - tylko na tyle mogłyśmy liczyć. Musiałyśmy marzyć o bohaterze, bo nie wolno nam było marzyć o bohaterce. Teraz wszystko się zmienia. Kształtujemy swoje życie, zamawiamy sobie marzenia. Nie chcę podziwiać małego cynowego bożka i przymykać oczu na to, że rdzewieje. Chcę...
- Do kurwy nędzy - zdenerwował się Vincent. - Wychodzi na to, że zostałem złożony w ofierze na ołtarzu równości seksualnej. *Heil Germaine*. Chcesz...?
- Chcę być uczciwą wobec siebie i nie iść na kompromis. - Te słowa wymówiłam powoli, ostrożnie, jak gdybym czytała swój wyrok.
- * **G.G. Byron, *Don Juan*, przekł. E. Porębowicz.**

² W. Szekspir *Hamlet*, przekł. J. Paszkowski.

- „A jako po dniu noc z porządku idzie, Tak za tym pójdzie, że i względem drugich Będiesz rzetelnym?" 3
- Tak. - odparłam. - Chyba... właśnie w to wierzę. Nie oczekuję, że zrozumiesz. Zdradziłam cię. Ale większą zdradą byłoby kochać cię i kłamać ci.
- Byłaś więc oślepiająco uczciwa. Od samego początku. Tak mnie oślepiłaś, że nie dojrzałem uczciwości.
- Zgoda, narobiłam zamieszania - powiedziałam wracając do łżejszego tonu. - I co z tego? Robienie zamieszania leży w naturze człowieka. W życiu trudno jest zachowywać się logicznie. Zwłaszcza kiedy...
Zwłaszcza kiedy w grę wchodzi uczucia.
- Kiedy?
- Nieważne.
- Jak tylko stąd wyjdę - rzekł Vincent tonem pogawędki - zniszczę cię. Wiesz o tym, prawda? To będzie koniec twojej kariery zawodowej, nikt nie zechce cię znać czy to zawodowo, czy to towarzysko...
- Proszę cię bardzo - powiedziałam ugodowo. - Domyślam się, że planowanie zemsty poprawi ci samopoczucie. Przez kilka minut patrzył na mnie złym wzrokiem.
- Ty i Richard to już przeszłość.
- Tak.
- Koniec romansu i koniec ze zbieraniem tego, co rzuciłem. Nie popełni dwa razy tego samego błędu.
- To ja rzuciłam ciebie - zauważyłam.
- Daj mi jeszcze pić.
- Spełniłam jego prośbę. Kiedy położyłam go z powrotem na poduszkę, jego wolna ręka zamknęła się na mojej dłoni. Uścisk zmiażdżył mi palce, syknęłam z bólu.
- Boli? Przytaknęłam.
- To dobrze.
- Po chwili puścił mnie. Odgarnęłam włosy z jego czoła, choć tak po prawdzie nie było takiej potrzeby.
- Muszę już iść - powiedziałam. - Przyślę ci kwiaty.
- Wiązanekę czy wieniec?

- Och, chyba wieniec. W takiej sytuacji nie wypada być skąpym. Tak sobie myślę...
- Co?
- Chciałbyś, żebym do kogoś zadzwoniła? Do matki, do Ameryki... Nie trzeba kogoś zawiadomić?
- Nie zwracaj sobie tym głowy. Wolę nikogo nie zawiadamiać. Z drugiej jednak strony...
- Słucham.

Podał mi kody, numery i związane instrukcje.

- Wracaj do zdrowia - powiedziałam na odchodnym.
- Po co? - spytał. - Żebyś mogła dokręcić epilog?

W drzwiach jeszcze raz się obejrzałam. Znowu wszystko zostało niedopowiedziane. Nawet „do widzenia”.

Pozwolono mi zatelefonować z gabinetu lekarza, gdy zapewniłam, że Vincent zapłaci za te rozmowy. W Los Angeles była jeszcze poprzednia noc. Hannibal Barker słuchał moich wieści z rosnącym poruszeniem i jak było do przewidzenia, z trudem dał sobie wyperswadować wskoczenie do najbliższego samolotu do Londynu.

- Przyznaj się, ty jesteś tą cizią - rzekł oskarżycielskim tonem. - Tą blondynką, o której tyle nawijał. Mówisz jak ktoś z wyższych sfer. Nie słyszałem już takiej gadki, od kiedy opuściłem tę cholerną Anglię. Na pewno jesteś tą cizią.

We Włoszech zgodnie z instrukcją poprosiłam do telefonu Sebastiano Dandoliniego. Trochę trwało, nim wytłumaczyłam mu, że Vincentowi nie grozi niebezpieczeństwo i przyjazd Jolandy jest zbyteczny. (I tak przyjechała.) Kiedy skończyłam, była prawie ósma. Lekarz spytał mnie, czy zechcę porozmawiać z prasą, bo niektórzy rozbili już obozowisko przed głównym wejściem.

- Sama jestem prasą - odparłam z oburzeniem.

Co więcej, za chwilę miała przyjechać policja. Rutynowe postępowanie, gdy w grę wchodziła strzelanina. Będą potrzebować mego oświadczenia.

Nie byłam w stanie stawić czoła ani reporterom, ani policjantom.

Lekarz, choć wciąż bardzo poważny, pozwolił sobie na współczucie. Przepisał mi cały dzień snu i zapewnił, że obowiązki obywatelskie mogą poczekać. Dzięki współdziałaniu pomocnego portiera zostałam przeszmyglowana przez boczne drzwi do taksówki. Zatrzymałam się przy stoisku z gazetami, żeby sprawdzić poranną prasę. Byłam przygotowana na najgorsze. Kilka gazet dowiedziało

się widać za późno i nie zdążyło zamieścić reportaży, ale w nagłówkach można było przebierać jak w ulęgalkach. ***Dzika strzelanina*** informował jeden. ***W Surrey padły strzały*** deklarował inny, dając do zrozumienia, że w spokojnym świecie bogaczy doszło do zbrodni. ***Savage postrzelony przez byłą modelkę; Vincent Savage - stan krytyczny; Krwawy koniec bijatyki na przyjęciu.*** Niewątpliwie na skutek niejasnych wypowiedzi gości przyjęcia oszołomionych Bol-lingerem większość z dziennikarzy zrozumiała, że powodem bijatyki była Crystal. Tylko jeden gość zachował jasność umysłu. ***Świadek wydarzeń informuje!*** - krzyczały triumfalnie „Wielkie Słowa”. „Nasz reporter był przy tym! SAVAGE POSTRZELONY NA EKSKLUZYWNYM PRZYJĘCIU. Biskup Latimer: Padł u mych stóp.” A na dole grubą czarną czcionką: „Telewizyjna dziennikareczka oddała się za wywiad: patrz strona 2.”

Gapiałam się na gazetę, chwilowo niezdolna do myślenia. Głowa kołysała mi się na wszystkie strony wraz z samochodem i przez minutę czułam mdłości. Ale nie mogłam wymiotować, bo miałam pusty żołądek. Byłam tak zaaferowana wydarzeniami, że zapomniałam o obecności Gerry'ego Hibberta. Ależ ze mnie kretyńka. Kiedy znowu byłam w stanie myśleć, przyszło mi do głowy, że Vincent nie musi już wymyślać zemsty. Byłam skończona.

Czesc szosta

Kto czym wojuje...

Rozdział pierwszy

Uprzątnięcie bałaganu po przyjęciu wymagało dużo czasu. Ze szpitala pojechałam do domu Piersa Percivala, żeby się przebrać i wziąć swoje rzeczy. Do Londynu miałam wrócić pociągiem, bo Richard z dziećmi już wyjechał. Okazało się, że pojechała z nim Crystal, która po zażyciu środków uspokajających przespała noc w pokoju przeznaczonym w pierwszej wersji dla mnie.

- Może się znowu zejść - powiedziałam nad nader upragnioną filiżanką mocnej czarnej kawy. - Richard ma słabość do dam w opałach.

- Wątpię - stwierdził Piers. - Richard jest szarmancki, ale nie głupi. A poza tym co z uczuciami do ciebie?

- Uczucia zawsze można odsunąć na bok. Zresztą ta historia była różą, która się nie rozwinęła, winem, które nie przefermentowało. Myślę, że w końcu uwierzył w to, co powiedział o mnie Vincent. A to oznacza koniec. Richard jest człowiekiem z zasadami.

- To nic złego mieć ideały, o ile się nie usiłuje żyć na ich wysokości - westchnął Piers. - Nie jestem jednak pewien, czy masz rację. Richard potrafi wybaczać.

- Wybaczać, ale nie zapomnieć - odparłam. - Zresztą nie chcę, żeby mi wybaczył.

- Rozumiem - rzekł Piers.

Może rzeczywiście rozumiał. Odmówiłam śniadania, ale mimo to lokaj przyniósł rozkosznie pachnący gorący tost z masłem, który zjadłam z wdzięcznością. Poprzedniego wieczora nie zdążyłam zawrzeć bliższej znajomości z łososiem i mój żołądek był już tak pusty, że przypuszczalnie zaczął trawić sam siebie. Piers dolał mi kawy.

- Policja zadzwoniła o niecywilizowanej godzinie - poinformował.

- Crystal, rzecz całkiem zrozumiała, przed złożeniem zeznania postanowiła poradzić się adwokata. Dzieci miały zostać z Elizabeth. Mnie policja złoży wizytę tutaj, po południu. Domyślam się, że będą też chcieli porozmawiać z tobą.

- Tak sędzę. Myśli pan, że ją oskarżą? - wciąż trudno było mi pojąć, że ktoś tak powściągliwy jak Crystal potrafił nawarzyć tyle piwa.

- Niewątpliwie. Pytanie tylko, o co. Pistolet odebrała bawiącemu się nim Jonasowi, który zdjął go ze ściany. Aż zimno mi się robi, kiedy o tym myślę. Urządzając ten dom nikt nie przewidział w nim dzieci. Crystal mówi, że próbowała pistolet odwieścić, ale nie potrafiła, więc dla bezpieczeństwa zabrała z sobą. Nie wiedziała, że był naładowany. Zaprezentowała go tak sensacyjnie podczas bójki, licząc na wywołanie wrażenia. Dla większego efektu odbezpieczyła, czego ją nauczono na kursach teatralnych, na które obecnie uczęszcza. Jest aktorką, więc grała. Brzmi to trochę fantastycznie, ale równie dobrze może być prawdą. Muszę przyznać, że nabrałem lepszego zdania o jej dramatycznych zdolnościach.

- Stanisławski byłby z niej dumny - mruknełam.

- Policja wszelako - ciągnął Pierś - jest jak najgorszego zdania o aktorkach, które strzelają do swych byłych kochanków, na niby czy naprawdę. Nie mają też dobrego zdania o pistoletach, nawet takich jak weteran Wogden, z którego kiedyś raz wystrzelił lord Castlereagh. Duża część winy spada na mnie, czego pewnie nie omieszkają mi dokładnie uświadomić. Myśl, że będzie mnie pouczał jakiś głupek z miejscowej policji, napawa mnie ogromnym wstrętem, tym większym, że niestety będzie miał rację.

- Do diabła, chyba pan im nie powie, że zamierzał pan strzelać do złodziei.

Pierś wzruszył ramionami.

- Może nie będę musiał. Mój praworządny chrześniak zapewne zrobił to już za mnie.

- Nonsens - odparłam. - Richard nie lubi kłamać, ale świadomie nie wpakuje pana w taki pasztet. Powie, że o niczym nie wiedział. Zatai prawdę. Nie zrobiłby tego, gdyby doszło do czegoś nieodwracalnego.

- Mam nadzieję - rzekł Pierś. - Jednakże...

- Moglibyśmy powiedzieć, że naładował go pan w zeszłym tygodniu podczas mojej wizyty - zaproponowałam. - Richard o tym

nie wiedział, bo rozmawiał akurat przez telefon. Pan naładował pistolet, żeby mi pokazać, jak to się robi, potem się zagadaliśmy i pan zapomniał wyjąć nabój. Lekkomysłność to nie to samo co rozmyślne działanie.

- Ale jak mogłem zapomnieć o czymś tak ważnym? - zastanawiał się Piers.

- Starość - przypominałam mu. - Ostatnio ciągle pan o czymś zapomina. To jedna z uciążliwości podeszłego wieku.

- Świetnie. - Piers pozwolił sobie na uśmiech. - Dzięki ci, Micky. Jesteś takim dobrym dzieckiem. Nieustraszonym, pozbawionym skrupułów, straszliwie nowoczesnym, ale dobrym. Jeśli wolno mi tak powiedzieć, cieszę się, że cię poznałem.

Kiedy wychodziłam, pocałował mnie w czoło.

Złapałam pociąg do domu, myśląc tylko o położeniu się do łóżka. Bo o czym jeszcze miałam myśleć? Ledwo jednak weszłam do domu, zadzwoniono z policji, że wysyłają do mnie kogoś na rozmowę. Chwilę potem zadzwonił Ałun Craig i kipiąc gniewem szcztura zaatakowanego w swym własnym rynsztoku zapewnił mnie, że nie jestem sama, bo wszyscy za jednego i jeden za wszystkich i on osobiście przypilnuje, żeby te gnidy w „Wielkich Słowach” udławiły się swymi dziesięciocentymetrowymi nagłówkami. A tak przy okazji, to kiedy wracam do pracy?

Jakoś łatwo oparłam się jego wzruszającej lojalności. Weszłam z powrotem do łóżka, naciągnęłam na głowę kołdrę.

Wczesnym popołudniem pod mój dom dotarli pierwsi reporterzy. Rozdzwonił się dzwonek, rozkołatała kołatka, rozskrzypiała skrzynka na listy. Później, jeśli zaraz się ich coś radykalnie nie zniechęci, przybędą z wieżami obleźniczymi i taranami. A w lodówce już kończyło się mleko.

Matka zadzwoniła koło czwartej.

- To nieprawda, kochanie, wiem o tym. Powiedziałam Charlesowi, że masz takie silne zasady. Życzyłabym sobie tylko...

- To jest prawda - powiedziałam odważnie. - Oczywiście, że prawda. Czemu nie? Czy to nie ty przypadkiem namawiałaś mnie na mały flirt?

Przez kilka sekund matka milczała ja grób. A potem:

- Czy do ciebie ktoś nie dzwoni?

- Nie - odparłam. - To znaczy tak, ale nie zamierzam otwierać. Brukowa prasa domaga się mojej krwi. Niczego tak nie lubią, jak

dyskredytować swych rywali z telewizji. Nie mogą się doczekać, kiedy rozerwą mnie na strzępy.

- Przyjeżdż do domu - rzekła matka kategorycznym tonem. - Nie kłóć się ze mną, kochanie, tylko natychmiast przyjeżdż. Wyślę... wyślę po ciebie Charlesa. Tutaj będziesz bezpieczniejsza. Pożyczymy od Kendallów rottweilera, choć właściwie to nie jest rottweiler, lecz bokserka i do tego bardzo łagodna, ale jestem pewna, że też się nada.

Boksery wyglądają dość nieprzystępnie, a poza tym ci brukowi dziennikarze pewnie nie znają się na psach. Spróbuję przemówić im do rozsądku, a jeśli zaczną się pchać do środka, to Pompeja będzie warczeć, a Barraclough odganiać ich grabiami. Nie wyrzuciliśmy tych starych grabi, jeszcze jakieś pół roku temu widziałam je w składziku.

- Mamusiu - powiedziałam słabym głosem - za nic w świecie nie wysyłaj po mnie Charlesa. Wikary jest ostatnim człowiekiem, którego życzę sobie widzieć w tej chwili.

- Dobrze, kochanie, jak chcesz. Ale przyjedziesz?

- Na razie nie mogę opuścić Londynu - odparłam. - Czekam na policję.

- Pomogą ci?

- Chcą porozmawiać na temat tej strzelaniny. Matka jęknęła.

- Zawsze się sprzeciwiałam temu, żebyś była dziennikarką - zauważyła. - Wiedziałam, że to się źle skończy.

- „Człowiek rodzi się na niedolę, jak iskry z pożogi, aby wysoko wzlatać” 4 - odparłam.

- To dotyczy mężczyzn.

- Nie różnię się niczym od mężczyzn - odparłam. - W ten właśnie sposób pojmujemy wyzwolenie kobiet.

Wkrótce przyjechała policja. Złożyłam oświadczenie mając nadzieję, że nie przeczę temu, co powiedział Richard i nie robię kłopotów Piersowi. Spytana, co sądzę o tym wydarzeniu, odparłam kłamliwie, że w moim przekonaniu był to zwykły wypadek. Crystal jest kobietą z temperamentem, aktorką i ma skłonności do melo-dramatycznych wystąpień. Brzmiało to dość prawdopodobnie. Nie chciałam jej pogrążyć, bez względu na to, jaki miałam do niej stosunek. Do katastrofy doszło zresztą częściowo z mojej winy; była

* **Biblia, Księga Hioba (przyp. tłum.).**

4 // *fuoco nell' anima nostra* (wł.) - płomień naszej duszy (przyp. tłum.).

ni mniej, ni więcej tylko odpryskiem moich ćwiczeń z telewizyjnej pseudosprawiedliwości. Wrobienie Crystal niczego by nie odwróciło.

Czy jednak Vincent będzie tego samego zdania, to już osobna sprawa.

Kolejne dni zasnuły się mgłą, prześliznęły się niczym sekwencja nie połączonych z sobą wydarzeń w jakimś dziwnym śnie. Piekielne przymierze Aluna Craiga z byłą sympatyczką SCUM z Biura Legalności zmusiło „Wielkie Słowa” do zamieszczenia sprostowania. Tym bardziej że jedynym posiadanym przez nich dowodem moich seksualnych szaleństw było niczym nie poparte słowo Gerry'ego Hibberta, ponieważ świadkowie widowiska okazali się albo zbyt dyskretni czy zawstydzeni, albo nie dość wiarygodni. Gerry napisał do mnie liścick, w którym tłumaczył się, że zrobił to dla chleba, a nie kierowany wrogimi uczuciami. Odpisałam mu, że jest naprawdę słodki. Kilka propozycji pracy rozplynęło się we mgle, lecz ja ciągle odmawiałam powrotu do „Śledztwa”. W telewizji pokazano Jolandę - spektakularny wrak kobiety o olbrzymich oczach - jak śpieszyła do rannego syna. Pochlebiona zainteresowaniem, które nie towarzyszyło jej już od lat, zatrzymała się, by porozmawiać z reporterami. Szminka rozmazana na promiennym uśmiechu, biżuteria wszelkiej maści i ogromny kapelusz, przypominający do złudzenia ten, który miała na głowie Sofia Loren, rzucając się w *Milionerach* do Tamizy. Sądząc po stopniu zniszczenia mógł to być ten sam kapelusz.

- Mój syn mnie potrzebuje - powiedziała do mikrofonów, łapiąc za ramię najbliższego reportera. - Zawsze przyjadę, gdy Vincente będzie mnie potrzebował. To najlepszy syn na świecie. Dał mi piękny dom, brylanty, szampana i wszystko, czego pragnęłam. To, co o nim mówią w telewizji, nie jest prawdą. Anglicy po postu go nie rozumieją. Są tacy zimni, tacy *insensibili*, nie pojmują *U fuoco nell' anima nostra*⁵. Vincente chce być milionerem, by móc opiekować się swą *mamma*. Wy Anglicy nosicie wysoko głowę, gracie w krykieta, ale nie kochacie swych matek. Najpierw obrażacie mojego Vincente, potem do niego strzelacie. Udajecie takich szacownych, staroświeckich, dobrze wychowanych, a niczym nie różnicie

5 // *fuoco nell' anima nostra* (wł.) - płomień naszej duszy (przyp. tłum.).

się od mafii, od Cosa Nostra. Ach, ci angielscy *ipocriști* Zadzwoń do waszego słynnego Scotland Yardu, żeby aresztowali tych producentów telewizyjnych i *giornalisti*, którzy usiłowali *assassinare* mojego Vincente! Pan jest takim młodym chłopcem - zwróciła się ciepło do właściciela ramienia - więc pan jeszcze nie wie, jacy okropni ludzie żyją na tym świecie. Pan jest Irlandczykiem, nie? Nie, nie może być pan Anglikiem, pan jest zbyt *simpático*, oczy ma pan zanadto niebieskie. Irlandczycy są jak Włosi, porywcy, *impetuosi*...

W tle zauważyłam mężczyznę pięćdziesięcioletniego o przerzedzonych włosach i kapryśnych ustach, zbyt młodzieńczych w stosunku do reszty. Później dowiedziałam się, że to był właśnie Sebastiano, maskotka Jolandy. Ze słów Vincenta, który patrzył na niego oczyma zazdrosnego syna, wynikało, że jest przystojnym, co najwyżej trzydziestopięcioletnim playboyem, tymczasem okazał się zmęczonym, podstarzałym, żalonym idywiduum. Vincent widział w nim Piotrusia Pana, który nie zmieniał się z wiekiem. Typowe, pomyślałam i prawie się uśmiechnęłam.

Po wiadomościach zadzwoniłam do kwiaciarni i zamówiłam dla Vincenta wieniec. Czerwone róże i obramowana na czarno karta z napisem „In Memoriam”. Miałam nadzieję, że przypadnie mu do gustu.

W środę pojechałam do Szarych Facjatek.

Matka namówiła wikarego Charlesa, bokserkę Pompeję, zramola-łego Barraclougha oraz kilku innych jej starszych adoratorów, by pełnili funkcję moich goryli. Z mrocznych otchłani składzika na narzędzia ogrodowe wydobyto grabie - groźną broń, na której zardzewiały zębach aż się roziło od bakterii tężca. Musiałam niestety zepsuć im zabawę, tłumacząc, że ponieważ tamta gazeta odwołała swoje rewelacje, reszta prasy brukowej straciła zainteresowanie dla mojej osoby; ktoś może zatelefonować, ale nie najadą nas tłumnie. Wierni przyjaciele matki odeszli z opadniętymi czubami i zawiedzionymi minami. Pompeja naraziła na szwank reputację groźnego psa liżąc mi rękę, kiedy głaszcząc jej uszy płakałam w filiżankę herbaty. Wszyscy byli tak idiotycznie mili, tak cholernie stronniczy, tak wzruszająco rycerscy i tak beznadziejnie niekompetentni. Matka zdobyła się na maksimum taktu, trzymając na wodzy swą ciekawość.

- Michelle, kochanie - powiedziała tylko i poklepała mnie po ramieniu.

Tego wieczora w wiadomościach podano, że Crystal została oskarżona o spowodowanie poważnych uszkodzeń ciała. Nie wiadomo było, co powiedział Vincent, czy czego nie powiedział, ale policja robiła wrażenie wyraźnie niezadowolonej.

Minał prawie rok, nim sprawa trafiła na wokandę.

W ramach trwonienia oszczędności pojechałam do Nowego Jorku odwiedzić Phyl. Opowiedziawszy jej wszystko, znowu się rozplakałam, tym razem w koktajlu. Na to wszedł Farzad i powiedział, że doigrałam się za swoje. Miła dziewczyna powinna dawno temu wyjść za mąż, a nie zajmować się prowadzeniem kruczaty i wsadzaniem nosa w nie swoje sprawy. Szczęśliwie dla spokoju domowego następnego ranka poleciał do Riyadh, gdzie w jakiś niesprecyzowany sposób wspierał wysiłki wojenne Sił Sprzymierzonych. Jedno było pewne, mianowicie, że bez względu na to, co stanie się z Irakiem - czy z Siłami Sprzymierzonymi - Farzad wyjdzie z tego znacznie bogatszy.

- Jest bardzo kochany - powiedziała Phyl - ale nie rozumie ciebie. Zaczynam się obawiać, że i mnie nie rozumie.

W mojej głowie zadźwięczały dzwonki ostrzegawcze. Ilekroć Phyl mówiła o jakimś mężu, że „jest bardzo kochany” jednocześnie lamentując nad brakiem zrozumienia z jego strony, kończyło się to rozstaniem. O rany, Farzad jeszcze gotów mnie zaskarżyć.

Pod jego nieobecność Win zabrał nas do „Elaine”, gdzie zostaliśmy posadzeni przy stoliku dla uprzywilejowanych gości i wymienialiśmy słowa i gesty powitania z różnymi znakomitościami. W każdym razie Win je wymieniał, bo Phyl tylko mówiła z mechanicznym entuzjazmem: „O, Woody, kochanie... o, Warren, kochanie” - ja natomiast mieszałam w talerzu, wypijałam wino za winem i zapewniałam ich, że świetnie się bawię.

- Wcale nie - zaprzeczyła Phyl. - Wyglądasz na bardzo nieszczęśliwą. Nie widziałam cię w takim stanie, od kiedy rzuciłaś Patricka.

- Nie jestem nieszczęśliwa, lecz przygnębiona.

- Czemu zrobiłaś ten program, skoro się zakochałaś? - spytała Phyl. - Nie mogłaś podrzeć taśm i wrzucić ich do śmieci?

- Nie wiedziałam, że się zakochałam. Zresztą wyrzucenie taśm niczego by nie zmieniło. Dwoje ludzi nie może zbudować związku

na wzajemnym oszukiwaniu się. Tak, wiem, ty możesz, zawsze to robisz, ale ja nie potrafię. Potrzebowałam... bardziej potrzebowałam pokonać go, niż pokochać. Gardzę tym, czym jest i co robi. Nie potrafię przymknąć oczu na dwie trzecie jego osobowości tylko dlatego, że ma duży członek i cięty dowcip. Sądziłam, jak mi się wydaje, że jeśli go zniszczę, to tym samym oczyszczę go z win - wobec Richarda, wobec innych przypadkowych ofiar - zbilansuję jego księgi, skwadratuję koło, umożliwię mu rozpoczęcie życia z nieco czystsza kartą. Idiotyczny pomysł, prawda?

- Tak - rzekł Win. - Zwłaszcza że natychmiast zabrudzi tę kartę. On się nie zmieni.

- Wiem. Ale mój mózg nie funkcjonował poprawnie. Nie mogłam go pokochać, więc... dałam mu, co mogłam. Nie doceni tego, ale bez względu na to, co do mnie czuje - wstrzeźliwy szacunek, niezłomną nienawiść, gniew czy pogardę - mój dar na zawsze zostanie jego częścią. Nie jest dobry w miłości, o wiele swobodniej czuje się z negatywnymi uczuciami. Powinien być mi wdzięczny, że nie zażądałam od niego niczego, co byłoby mu trudno unieść.

- Żałujesz tego, co zrobiłaś?

- Nie, niczego nie żałuję - odparłam. - Chciałabym tylko, żeby to tak bardzo nie bolało.

Po powrocie do Anglii zaczęłam pracować w serwisie informacyjnym, który z miejsca wysłał mnie za granicę. Nie do Bagdadu, lecz do Brukseli. Podczas gdy moi koledzy wystrojeni w maski przeciwgazowe i wojskowe kurtki w ciapki uskakiwali przed pociskami SCUD lub machali do przepływającego statku, ja znalazłam się na froncie eurokracji i obserwowałam francuskich farmerów demonstrujących w obronie nie pasteryzowanego sera. Przywieźli ze sobą makietę gigantycznego camemberta zrobioną na drutach przez wierne żony i wypchaną starymi skarpetami, przypuszczalnie dla uzyskania właściwego bukietu. Gdy się zbliżyli, oddziały do walki z demonstrantami zbladły, a ja pomyślałam, że maski gazowe przydałyby się bardziej tu, w Belgii, niż w Iraku. Wszelako nie była to Legia Cudzoziemska. Jedyne „Sun” porównał Jacquesa Delorsa do Saddama Husseina. Skandale zostały zawinięte we flagę Unii Europejskiej, opasane czerwoną taśmą i chociaż proces odwijania ich był zarówno cenny, jak i interesujący, odnosiłam wrażenie, że znajduję się daleko od centrum wydarzeń. Ponadto szanse, że w Brukseli umrę bohaterską śmiercią, sprawiając tym chwilowy ból Yincementowi, były bliskie

zeru. Wiedziałam, że to idiotyczne, ale od czasu do czasu, przy końcu drugiej butelki, myślałam, podobnie jak Richard na Barbados, że bohatera śmierć to w sumie niezłe wyjście.

Saddama Husseina zatrzymała chwilowo Matka Wszystkich Bitew, eurokraci natomiast maszerowali dalej. Późnym latem na mocy specjalnego urlopu wróciłam do Anglii na proces. W samolocie wyobraziłam sobie, że moja matka, Jolanda Scarpia, Elizabeth Savage i nie znana mi jeszcze Mona Winter stoczą przed budynkiem sądowym Bitwę Wszystkich Matek, ale na szczęście do tego nie doszło. Na okres swej nieobecności wynajęłam komuś mieszkanie i teraz, gdy mój lokator się wyprowadził, wyglądało nieprzytulnie, goło, bo ubrania, taśmy, teczki i komputer znajdowały się w pudłach w Szarych Facjatkach. Pobiegłam kupić Vihno Verde i Pouilly Fuisse dla ożywienia pokoju, po czym rozłożyłam, gdzie tylko się dało - na krzesłach i stole - książki, rozczłonkowany „Independent”, postawiłam kubek zimnej kawy, a w kuchni i łazience rozwiesiłam ociekającą wodą bieliznę. Potem obdzwoniłam wszystkich znajomych.

- Twoja następczyni cię nienawidzi - poinformował mnie Jeff Salter. - Ałun zrobił z ciebie coś w rodzaju świętej, bohaterskiej dziennikarki, która dla programu zrobi wszystko. Ona nie może z tobą konkurować. Ałun wciąż jej powtarza, że nie dorówna nigdy Micky Murphy.

- A niech go diabli - powiedziałam z przekonaniem.

- Wpadnij na drinka - zaproponował. - Podokuczaj mu. Jak cię zobaczy, przejdzie mu trochę to uwielbienie, ale i tak będzie cię namawiał, żebyś wróciła. Do tej pory nie pojął, czemu go rzuciłaś.

- Typowe - odparłam.

Annabel Purdey dostarczyła mi wiadomości na temat Crystal.

- Grozi jej, że stanie się bohaterką lobby feministycznego. Jak ta ...zapomniałam, jak się nazywa... która, obcięła mężowi rękawy od garniturów, gdy się dowiedziała, że ją zdradzał. To się nazywa Odwet. Przez duże O. Ostatni krzyk mody. - Annabel zawsze wiedziała, co jest ostatnim krzykiem mody. - Podobno Crystal twierdzi, iż nie miała pojęcia, że pistolet był naładowany, ale nikt nie zwraca na to uwagi. Może dojść do unieważnienia procesu, jeszcze przed jego rozpoczęciem. Sprawa jest opatrzona klauzulą tajności, ale gazety już grzeją silniki. Na razie piszą o tle, o karierze Crystal, karierze Vincenta, takie rzeczy. Crystal wyparła nawet księżniczkę Karolinę z okładki „Hello”. Bez względu na wyrok sądu ta historia

może uczynić z niej gwiazdę. Na miesiąc lub dwa. Zatrudniła już lepszego agenta. ³

- A wszystko dzięki temu, że prawie zabiła swego eks-kochanka -zauważyłam. - Czynniki x. Mówiłaś kiedyś chyba, że go jej brakuje

- A co z tobą? - spytała Annabel. - Czy tym razem zamierzasz trzymać się z boku?

- Zdecydowanie.

Nikommu, nawet matce, nie przyszło do głowy spytać, czy się denerwuję. Jeśli nie liczyć jazdy podczas huraganu, do tej pory w kontaktach z Vincentem zachowywałam zimną krew, tym razem jednak bałam się, że na jego widok zareaguję napiętymi nerwami, miękkimi kolanami i przyśpieszonym pulsem, słowem zachowaniem z którego dawno wyrosłam. Kiedy nadszedł ten dzień, zrobiłam wyjątkowo staranny makijaż do dzinsów, kurtki lotniczej i czapki KAR-u. Zapomniałam, że mój kostium jest dobrze znany, zwłaszcza w środowisku. Gdy wchodziłam do sądu, flesze błyskały i wołano za mną po imieniu, choć nie wszyscy należeli do moich znajomych. Sąd pękał w szwach. Czekalam wraz z innymi świadkami, w tym Piersem Percivalem, który pocałował mnie w rękę i Richardem, który uściśnił mi rękę. Ponieważ wszyscy troje unikaliśmy aluzji do tamtych wydarzeń, w rozmowie raz po raz zapadało długie niezręczne milczenie. Vincenta z nami nie było.

Angielska machina sprawiedliwości ruszyła wreszcie w swój ociężały sposób; całe przedpołudnie zajęło jej przejście za pierwszą bazę. Brałam już udział w wielu dramatach sądowych i wiedziałam że to normalne. Crystal postanowiła wykorzystać tę okazję do zaprezentowania swego talentu teatralnego. Z włosami ściągniętymi w przesadnie skromny węzeł na czubku głowy, w czarnym kostiumie będącym majstersztykiem umyślnej powściągliwości sztuki krawieckiej, cerą w odcieniu nieosiągalnej do tej pory błości, usteczkami *au naturel* stanowiła uosobienie delikatności i kruchości, co sprawiało że wiekowy - nawet jak na Sąd Najwyższy w Londynie - sędzia zwracał się do mej tonem ni to dobrego wujaszka, ni troskliwego tatusia. Prokurator z kolei bez względu na zasadność swych argumentów zachowywał się jak Basil Rathbone w roli złoczyńcy. Przed sądem przy każdym wejściu i wyjściu Crystal wiwatowali na jej cześć demonstranci z Klubu Zwolenników Shere Hite, Kampanii na Rzecz Każdego Możliwego Rodzaju Równości oraz - Bóg jeden wie czemu - Stowarzyszenia „Kobiety Przeciw Gwałtowi” Na sali

rozpraw, w loży dla prasy dziennikarki w rodzaju Lyndy Lee Potter i Anne Robinson pisały pilnie sprawozdanie do swych rubryk. Zeznanie złożyłam na początku drugiego dnia, omijając prawdę, ilekroć uznałam to za konieczne, ufając, że Bóg, o ile wciąż jeszcze interesował się sądownictwem, pozwoli mi na małą swobodę ruchów, gdy będę zeznawała pod przysięgą.

W przerwie na lunch Richard zaproponował, żeby pójść razem coś przegryźć. W porównaniu z poprzednim wrzeźniem było dość chłodno, więc zdecydowaliśmy się na pastę i *spaghetti carbonara* we włoskiej knajpce w stylu amerykańskim. Spaghetti nie żalowali, gorzej z węglarzem. Uzupełniliśmy informacje o tym, co robiliśmy przez ten rok, opowiedzieliśmy sobie anegdoty - ja o Brukseli, Richard o nowej pracy, nowym mieszkaniu, nowej dziewczynie. Nie wrócił jednak do Crystal.

- Mam nadzieję, że tym razem dokładnie sprawdziłeś teren - powiedziałam. - Upewnij się, że nie spotkają cię żadne przykre niespodzianki.

- Ta znajomość to czysty przypadek - odparł i dodał z krzywym uśmiechem: - Wciąż sprawdzam.

- Powodzenia.

- Dzięki. A tak przy okazji, to Penny ciągle o ciebie pyta. Postanowiła zostać dziennikarką.

- Zniechęć ją do tego pomysłu - odparłam. - Jak mówi moja matka, to się zawsze źle kończy.

- Penny robi wrażenie dość zdecydowanej. W szkole mówią, że jest niezła z angielskiego...

- To ją z góry dyskwalifikuje.

Richard roześmiał się, wrócił do swego talerza, wytarł resztki węglarza kawałkiem wczorajszego chleba. Przy kawie spytałam:

- A co sądzisz o sprawie? Jak oceniasz szanse Crystal?

- Sam nie wiem. Jej adwokaci zdają się być dobrej myśli. Z drugiej strony, za to się im płaci. Nawet gdyby sąd uznał Crystal za winną, to adwokaci uważają, że wyrok zostanie zawieszony. Bo zrobiła to pierwszy raz i tak dalej. Dużo zależy od Vincenta. Jeśli będzie się mścił, to ławie przysięgłych zrobi się żal Crystal. Jeśli zachowa się wielkodusznie...

- Już na samą myśl o wielkoduszności Vincenta odbiera mi mowę. Świat by się chyba zawalił - powiedziałam.

Richard przez kilka minut przyglądał mi się w milczeniu; uniesione brwi marszczyły jego czoło aż po nasadę włosów.

- Sądysz że wiedziała? - spytałam ostro. - To znaczy o pistolecie Czy domyśliła się, że jest naładowany?
- O tak, wiedziała. - Richard westchnął. - Jo mi powiedział On się zna na pistoletach, bo niestety czyta komiksy. Uprzedził ją, że pistolet jest naładowany, kiedy mu go odebrała. Dlatego go nie zostawiła, tylko wzięła ze sobą. Bała się, że Jo się znowu do niego dobierze. Przyniosła pistolet na dół, żeby oddać Piersowi Pech chciał że trafiła na naszą małą... dyskusję. Vincent ją obraził, sama słyszałaś. Na ułamek sekundy straciła głowę... wystarczyło. Strzeliła zanim zdążyła pomyśleć, co robi. Gra stała się okropną rzeczywistością. Szkoda, że nie widziałaś jej potem - była sztywna z przerażenia chodziła za mną niczym zombie, nie mogła spać, jeść, nawet siusiać! Gdyby zobaczył ją wtedy jakiś psychiatra... W każdym razie postanowiliśmy nie zostawiać zbyt dużo wyobraźni policji. Ponieważ Crystal w pierwszym odruchu stwierdziła, że nie wiedziała iż pistolet był naładowany, wydało się nam rozsądne trzymać się tej mu. Tym bardziej że podobno system sprawiedliwości w naszym kraju jest uprzedzony do kobiet.
- To niestety prawda - przyznałam.
- Paradoks polega na tym - ciągnął Richard - że dziennikarze zachwycają się, że Crys postrzeliła Vincenta. Gdyby machała pustym pistoletem, nie blysnąłby ani jeden flesz. Nienawidzi furory, jaką zrobiła.
- Jasne.
- ...z drugiej jednak strony może jej to pomóc w tej zabawie w aktorkę. Nie sądziłem, że podchodzi do tego aż tak poważnie ale zatrudniła nowego agenta - o niebo lepszego od tego koszmarnego Brendana. Załatwił już jej rolę w filmie detektywistycznym dla telewizji. Przypuszczalnie rolę morderczyni. Ten facet mówi że zaszufładowali ją jako ładną laleczkę, której nikt nie brał poważnie to wydarzenie jednak sprawiło, że nabrała intelektualnej wiarygodności, o czym sama się przekonałaś. Bardzo się z tego cieszy W głębi duszy jest dzieckiem, które lubi się przebierać. Modelka czy aktorka wszystko jej jedno. Dla niej więc wszystko dobrze się skończy '
- Pod warunkiem, że nie wsadzą jej do więzienia - zakończyłam - Więzienie pokrzyżowałoby jej plany, nie sądzisz?
- Micky, ty nie...
- Nie nie narobię jej w kapelusz. Jaki miałabym w tym interes? Jo na Vincenta trzeba uważać. Przyznasz, że nie ma szczęścia do

kobiet. Jedna robi jego wiwisekcję na małym ekranie, druga przestrzela mu płuco. Coś mi mówi, że wspaniałomyślność nie wchodzi w grę. Ale nie jest głupi, domyśla się, że zawziętością nie zjedna sobie przysięgłych. Szczególnie po kilku dniach występów udreżonej Crystal.

- Daruj sobie - rzekł Richard. - Ona jest strasznie zdenerwowana. Tak jak ja, pomyślałam, ale nic nie powiedziałam.

Vincent zeznawał trzeciego dnia. Spodziewałam się okrzyków i sykania, ale przyjęto go w ciszy najeżonej wrogością. Gdy zajął miejsce dla świadka, rozśmigały się nad blokami rysunkowymi ołówki rysowników z Wiadomości kanału czwartego. Jak na kogoś z prawym płucem związanym sznurowadłem, wyglądał całkiem nieźle - szybkie ruchy, opalenizna. Ciemna żywotność, o której mówił kiedyś Pierś, emanowała z niego w sposób jak najbardziej opanowany. Napięcie zdradzała jedynie drobna zmarszczka między brwiami. Butna nonszalancja została zrównoważona przez pełne zrezygnowania podporządkowanie się obowiązkowi obywatela. Mnie na tę obywatelską postawę oczywiście nie nabrał. Na jego widok przebiegł po mnie dreszcz, jakbym znalazła się w przeciągu. Uprasza się o zachowanie spokoju, pomyślałam z irytacją. Zauważyłam, że chociaż Vincent patrzył na sędziego, ławę przysięgłych,uczonych doradców i, od czasu do czasu z ograniczonym zainteresowaniem na oskarżoną, starannie omijał ławki, gdzie siedziałam wśród innych znajomych twarzy na czele żadnej sensacji publiczności. Ale musiał wiedzieć, że tam jestem. Automatycznie powtórzył słowa przysięgi. Na wszystkie pytania dawał zwięzłe, zgoła lakoniczne odpowiedzi. Nie okazywał ani wielkoduszności ani zawziętości, co najwyżej *ennui* biznesmena, którego zmuszono do przerwania interesów i przebycia pięciu tysięcy kilometrów dla wypełnienia obywatelskiego obowiązku. Rozprawa, polegająca głównie na braniu przez, obronę w krzyżowy ogień pytań świadków, którzy zeznawali bez entuzjazmu przed prokuratorem, niespodziewanie uległa ożywieniu, gdy Vincent oświadczył, że według jego rozeznania pistolet ten normalnie nie był naładowany, co też powiedział wtedy Crystal, i nikt nie był bardziej zdumiony od niego, gdy kula ugodziła go w plecy.

- Zdumiony? - powtórzył sędzia patrząc na niego znad swych okularów w złotych oprawkach. - Czy to nie zbyt łagodne słowo?

- Wtedy użyłem o wiele ostrzejszego - odparł Vincent - ale Wysoki Sąd nie chciałby chyba, żebym je tu powtórzył?
- A więc był pan w stanie mówić - skorzystała z okazji obrona - Czyi, że nie było to zranienie, które by spowodowało utratę przytomności lub niemożność wysłownienia się?
- Najwyraźniej - rzekł Vincent.
- Czy odniósł pan wrażenie, że strzelając do pana pani Winter celowała w jakieś szczególne miejsce pana anatomii?
- Byłem odwrócony do niej tyłem - przypomniał mu Vincent
- Ale zanim się pan odwrócił, zobaczył pan, że celuje do pana z pistoletu?
- Tak.

- Nie pomyślał pan wtedy, że celuje na przykład w pana serce?

- Nie przyszło mi do głowy, że w ogóle w coś celuje - odparł krótko Vincet. - Znaleźć pusty pistolet i wymachiwać nim teatralnie to było bardzo w jej stylu. Nie odważyłaby się wystrzelić z naładowanego pistoletu.

On w to wierzy, pomyślałam. Znudzenie mogło być powierzchowne, ale pogarda pochodziła z duszy. Teraz stało się dla mnie jasne że nie zależało mu na zemście, prawnej czy osobistej, po prostu chciał jak najszybciej z tym skończyć. Żaden powód do chwały zostać postrzelonym w plecy przez byłą narzeczoną, nawet jeśli jej uroda powoduje katastrofę chronometrów. Nagle przyszło mi do głowy, że Vincent odczuwa przede wszystkim coś w rodzaju zawstydzenia, które było dla niego zupełnie nowym doznaniem Przedziurawione płuco to nic wobec wyszczerbionej dumy.

Opuścił sąd, nie zaszczycał mnie ani jednym spojrzeniem nie zamieniwszy ze mną słowa. To tyle jeśli chodzi o hołd większy od miłości. Moja duma też wymagała remontu.

Następnego dnia wrócił. Siedział na końcu sali w okularach słonecznych, przypominających okulary Zaphoda Beebleboxa w *Autostopowiczu*, które w obliczu niebezpieczeństwa zaczerniały się Pomyślałam, że okulary Vincenta też pewnie posiadają tę zdolność' Obrona wezwała przed oblicze sądu grono ekspertów, którzy w nudny sposób wypowiadali się w sprawach medycznych, psychologicznych i antykwarycznych, mając za zadanie obalić ekspertyzy specjalistów prokuratora. Tych ostatnich nie było mi dane wysłuchać, bo zeznawali przede mną, więc dopiero teraz mogłam się czegoś dowiedzieć o dziewiętnastowiecznej balistyce czy ostrej odmie opłucnej Vincenta

Dowiedziałam się też, że przestrelone płuca kurczą się jak balony i że pociągnięcie za spust nie naładowanego pistoletu jest rzeczą całkiem naturalną dla znerwicowanej kobiety egzorcyzmującej swe urazy. Potem obrońca wytoczył swe najcięższe działo w osobie biskupa, którego określił jako niekwestionowany autorytet moralny - czemu nawet prokurator nie śmiał się sprzeciwić - a którego raczej mało znaczące zeznanie zakończyło się konkluzją, że natura ludzka jest ułomna, Crystal była przemęczona, nikt naprawdę nie miał złych zamiarów. Ku mojemu osłupieniu dodał, że jego zdaniem do tragedii nie doszło jedynie dzięki zdrowemu rozsądkowi i prędkiej reakcji młodej damy w czarnej sukni. Przepraszał, że nie zapamiętał, jak się nazywała.

- Panna Michelle Murphy - rzekł sędzia poszperawszy w notatkach. - Czy panna Michelle Murphy jest na sali?

- Tak - odparłam, czując się nagle idiotycznie onieśmielona. Wszyscy na mnie patrzyli, a to nie jest miłe.

Wyobraziłam sobie,

że okulary Vincenta robią się na przemian białe ze wstępu, fioletowe z furii, zielone z wrogości. Jeśli teraz udowodnią, że na domiar złego uratowałam mu życie, będzie to ostatnia kropla. Już nigdy nie da się przebłagać.

- Jego wielebność ma rację - stwierdził sędzia poważnie. - Powinienem skorzystać z tej okazji, żeby skomentować pani zachowanie. O uratowaniu życia pana Savage'a zdecydowała prędką interwencją pogotowia ratunkowego, jednakowoż pani działanie było ważnym wkładem w ten proces. Jak rozumiem, udało się pani... yyy... zablokować dopływ powietrza do jamy opłucnej, czymkolwiek to jest. Bardzo chwalebne. Z pewnością ukończyła pani kurs pierwszej pomocy w nagłych wypadkach. Co do mnie, to uważam, że powinno się je wprowadzić do naszych szkół jako przedmiot obowiązkowy.

Szkół?! Czy jemu się wydaje, że jestem uczennicą?

- Nnnie - wyjąkałam. - Działałam instynktownie.

- Instynktownie. Dobre nieba. - Przyjrzał mi się z wyraźną dezaprobatą. - Latami uczymy lekarzy i pielęgniarzy, organizujemy nic nie warte kursy pierwszej pomocy, a pani ratuje życie człowieka instynktownie. No dobrze. Na czym to stanęliśmy?

Stanęliśmy to, dzięki Bogu, mniej więcej na końcu procesu. Prokurator i obrońca wygłosili swe mowy, a nam kazano przyjść następnego dnia na podsumowanie sędziego, w czasie którego zamknięci w pokoju obok przysięgli zastanowią się nad wyrokiem.

Wymknęłam się z sali uciekając przed reporterami, którzy zaniechali pościgu, gdy pojawiła się Crystal. W oddali zobaczyłam Vincenta nurkującego do limuzyny, której szyby były jak jego okulary - czarne. W domu zajęłam się zgadywaniem nagłówek w prasie. ***Dziennikarka ratuje życie mężczyzny, którego przedtem zrujnowała; Savage uratowany przez dziennikarkę ze „Śledztwa”; Instynktownie uratowałam mężczyznę, którego nienawidzę, powiedziała Murphy.*** Gerry'ego Hibberta i jego bandy nie zniechęcił fakt, że z mych ust nic takiego nie padło. W roztargnieniu otworzyłam butelkę Vihno Verde i nalałam sobie do kieliszka. Po drodze zgarnęłam listy i zaczęłam je mechanicznie przeglądać wyrzucając do śmieci broszurę z ofertami wakacji w przerwie zimowej, katalog bielizny, wyciąg z karty kredytowej. Przeczytałam list, który pozostał, odstawiłam kieliszek, przeczytałam go jeszcze raz, zapominając o bożym świecie. Była to propozycja pracy. Robert Brink, prezenter słynnego „Raportu Brinka” poszukiwał nowej asystentki, ponieważ poprzednia wyszła za mąż i chciała mieć więcej czasu dla rodziny. (Złowróźbne.) O Brinku mówiono, że jest twardy i prawdopodobnie równie bezwzględny jak Alun Craig, najgorsze jednak zarzuty wysuwano pod adresem jego czarującego uśmiechu. W przeciwieństwie do Aluna uprawiał kult osobowości, lansując nie tylko swe ofiary, ale również siebie, rażąc swym wdziękiem jak śmiercionośną bronią. Miał obfity brzuch, dudniący głos, który wydobywał się z głębin brody, i maleńkie połyskujące oczka rabusia w skarbcu banku. Po Alunie praca dla Brinka będzie po prostu kolejnym piekielnym kręgiem. Odczuwałam ogromną pokusę. Następnego ranka sędzia wygłosił swoje podsumowanie. Zreka-pitulował przytoczone przez obie strony dowody tak drobiazgowo, że wszyscy niemal posnęli. Mnie spotkała umiarkowana pochwała, Piersa ostra nagana. Crystal, zachęcona dobroduszością Sprawiedliwości, ograniczyła się do średniej żałoby - bladoszarego zestawu i włosów zebranych w kok, z którego wysunęło się jedno pasmo i zwisało na jej plecach niczym czarna jedwabna kitka. Stojąc w miejscu dla oskarżonych wyglądała jak arystokratka wieszona na ścięcie. Pomyślałam, że przysięgli, kiedy się obudzą, nie pozostaną obojętni na ten widok. Wreszcie sędzia skończył, przysięgłych

dyskretnie ozywiono i zesłano do ich pokoju. W przerwie unikałam Vincenta lub Vincent unikał mnie, trudno dociec. Jego okulary wylwały się jeszcze czarniejsze. Richard dodawał otuchy Crystal, Piers stwierdziwszy, że dalej go ta sprawa nie interesuje, pojechał do domu. Reporterzy układali nagłówki na każdą ewentualność, sprawozdawcy moralną ocenę. W odpowiednim czasie sąd wznowił posiedzenie, przysięgli wrócili. Niewinna. Wyrok większości. Przed sądem aktywistki ruchu kobiecego wiwatowały, mimo że Crystal nie nadawała się do roli bohaterki feministek. Najeżone mikrofony powitały nasze wyjście. Wymknęłam się z tłumu. Gdy na prozno wyglądałam jakiejś taksówki, wypożyczony Rolls Vincenta minął mnie pędem, przejeżdżając mi niemal po palcach. Nie zatrzymał się.

Rozdział drugi

Po powrocie do mieszkania stwierdziłam, że trudno mi je poznać. Zniknęły sympatyczne palisady szuflad na akta, które trzymały świat na dystans - zawały się ściany, bezpieczne miejsce przestało być bezpieczne, samotna cela wypełniła się pustką, która wdarła się do niej z zewnątrz. Skrupuły nie potrzebowały wyczekiwać pod drzwiami. Towarzyszyły mi teraz stale, dały się wciągnąć w zmienny tryb mojego życia. Dorastanie, które trwa od urodzenia do śmierci, polega na stopniowej akceptacji niepewności. Dorastanie jest długim powolnym procesem pojednania z całkowitą niewytłumaczalnością wszystkiego. Dojrzałość to po prostu zdolność życia w zgodzie z samym sobą albo z tym, co się wie o sobie, w tym niepewnym świecie. Wiedziałam, że dorastam, bo czułam się młodsza, bardziej naga, bardziej bezbronna i mniej pewna siebie niż półtora roku wcześniej, a zarazem silniejsza i odważniejsza. Siedziałam na brzegu sofy - jeden but na nodze, jeden zdjęty - wspominając dzień, w którym Shirley Posser nawymyślała mi w sklepie Sainsbury'ego. Wtedy to wszystko się zaczęło. Byłam zamknięta w sobie i pewna siebie. Polegałam tylko na sobie. Zosia Samosia. Widziałam siebie jako wysłanniczkę Pallas Ateny, bystro-oką, nieugiętą, nie mieszającą się z ludzką cizbą. Teraz... ach, teraz zniosło mnie z kursu, byłam upadłym aniołem, kobietą lekkomyślną, sprzedającą ludzką jak Ewa. Mogłam się bać wielu różnych rzeczy, ale nie obawiałam się już przepaści duszy. Potrafiłam przeżyć miłość, ból i beznadziejność, potrafiłam nawet się z tego śmiać. (Na dowód czego roześmiałam się głośno.) Nie ma żadnego „i żyli długo i szczęśliwie”. Pozostaje tylko odkurzyć odwagę i kontynuować.

W tej pozycji - z jednym butem na nodze, drugim zdjętym - zaskoczył mnie dzwonek do drzwi. Zrzuciłam z nogi but i podreptałam do domofonu obmyślając zwykłą odpowiedź dla natarczywego dziennikarza. Nie mam nic do powiedzenia, mnie tam nie było, nie zrobiłam tego, o niczym nie wiem.

- To ja...

Zakręciło mi się w głowie. Vincent.

Moje serce, ten niezawodny organ, który rzadko się ścisnął i nigdy nie skakał, ze strachu podeszło mi do gardła, a wróciwszy na swoje miejsce zaczęło łomotać w żebra.

Powiedziałam:

- Przyszedełś mnie udusić. Nie wpuszczę cię.

- Miałem w planie inny rodzaj gwałtu - odparł Vincent.

Jeśli kryła się w tym pogroźka, zlekceważyłam ją. Zadzwoił jeszcze raz, ja tymczasem wahałam się, czekałam, żeby wyrównał mi się puls. Nie wyrównał się.

W końcu i tak go wpuściłam.

- Napij się Vihno Verde - zaproponowałam. - Otworzyłam wczoraj, żeby się trochę przewietrzyło.

Vincent przyjął ode mnie kieliszek bez mrugnięcia okiem. Zapewne myślał o czym innym.

- Uratowałeś mi życie - zaczął oskarżycielsko.

- Bardzo cię przepraszam. Zresztą tak naprawdę to nie uratowałam. Dokonałam tylko „znacznego wkładu”. Koniec cytatu.

- Wszyscy sędziowie są strasznie głupi - zauważył Vincent abstrakcyjnie. - Wtedy w szpitalu mogłaś mi o tym powiedzieć.

- Nie sądziłam...

- Bawi cię to, co? Odstawiasz niewiniątko, a w rękawie zawsze masz jakąś szokującą wiadomość. Gdyby wybuchła trzecia wojna światowa, nie puściłabyś pary z ust, żeby zobaczyć, jaki będę miał wyraz twarzy, gdy bomba spadnie mi na głowę.

- Wracamy do Armagedonu - powiedziałam. - Czemu w rozmowie ograniczamy się wyłącznie do militarnych metafor?

- Życie to wieczna walka - odparł Vincent. - Czas, żebym znowu był górą.

Aluzja jasna jak słońce. Nie mogłam jej zignorować.

- Dopiero co wszedełś - rzekłam słabym głosem. - Co się stało z subtelną sztuką konwersacji?

- Zostawmy ją na później - odrzekł. - Zawsze tak robiliśmy.
- Minął prawie rok, odkąd widziałam cię po raz ostatni.
- Za długo.
- Tak - przyznałam. - Za długo.

Obiektywne stwierdzenie. Wzięłam od niego kieliszek, żeby odstawić na stół, ale nim zdążyłam to zrobić, zaczął mnie całować. Wino wylało się, kieliszek potoczył się po dywanie. Toczył się i toczył. Wszystko się toczyło; czas i pamięć, uczucia i doznania przetaczały się po mnie jak fala, przewracając mnie na sofę, na poduszki, na podłogę. Miłość i nienawiść, dzień i ciemność, słońce i księżyc wirowały we wszechświecie, pokój wirował - ściany, obrazki, książki, regały - przewracając się, usiłując nadażyć za siłą grawitacji czy siłą namiętności, która sprawiała, że pokój, ziemia i gwiazdy kręciły się wokół jednej osi. Diabelski młyn, karuzela miłości. Co ten Tennessee Williams naprawdę wiedział o mistycznym powiązaniu ciała i duszy, żądzy i miłości? Tyle że potrafił pisać gwarą Południa. Ja też nic nie wiedziałam, ale czułam to powiązanie, i to uczucie - ochrzczone za pomocą Vihno Verde - porwało mnie i uniosło, sprawiło, że toczyłam się jak kieliszek po dywanie, wirowałam jak planeta w przestrzeni. Przeżyliśmy to jeszcze raz, grę dominacji i grę wstępną, wsuwanie i wysuwanie członka, zaspokojenie gwałtownej natychmiastowej potrzeby, powolne narastanie przyjemności. Penis Vincenta wydawał się Słupem Herkulesa podtrzymującym niebiosy - czciłam go pocałunkami. Potem Vincent wszedł przede mnie i tak długo ssał mi łechtaczkę, aż napęczniała i rozwinęła się w ekstazie. Wiedziałam, że ta godzina to tylko jedno poruszenie serca w wieczności, chwila, która zblednie i skurczy się z czasem, którą wieki zamienią w mikrokropkę ognia, a mimo to odczuwałam ją jako triumfalny, nieprzemijający, wyższy akt życia. Po wszystkim leżeliśmy na podłodze między poduszkami, które spadły z kanapy, a książką, strąconą w szaleństwie, piliśmy wino, bo tam było, rozmawialiśmy, dotykaliśmy się, przeszliśmy na lżejsze słowa, by przykryć ciemne myśli.

- Jak tam interesy? - spytałam uprzejmie. - Bardzo podejrzane?
- Wracam do domu - oświadczył Vincent. - Na dobre, jeśli tak można powiedzieć. W Los Angeles będę miał bazę, ale chcę mieszkać w Anglii. Kupiłem dom w Chelsea.

- A to czemu?
- Czemu w Chelsea? - Vincent myślał o czymś innym.
- Czemu w Anglii?
- Nie wiem. Bo nudna. Bo korzenie. Mam już dość słońca, morza i pięknych kobiet. Tęsknię za szarymi ulicami, szarymi twarzami, deszczem w niedzielę. Może się starzeję.
- Wybrałeś sobie dobry moment - zauważyłam. - Społeczeństwo faktycznie szarzeje. John Major idzie kaczym chodem Margaret Thatcher. Na deszcz możesz liczyć piątek, świątek. Ale tak naprawdę? Mamy okropną recesję. Czyżbyś nie słyszał?
- Wiem. To właśnie dobry czas na kupowanie. Kiedy ceny są niskie, można być uczciwym. Rynek zrobi za mnie całą czarną robotę. - Usiadł, napełnił znowu kieliszek. - Nie wyszłabyś za mnie?
- spytał unikając mego wzroku.
- Zwariowałaś? - odpowiedziałam. - Za sześć tygodni byśmy się rozwiedli.
- Za sześć dni raczej. Ale przynajmniej byśmy spróbowali. Ktoś niedawno mi powiedział, że małżeństwo to błąd, który należy raz popełnić.
- Ale ja już tam byłam. Lody jadłam i wino piłam. Mówisz poważnie?
- Tak - odparł. - To znaczy nie. Nie i tak. Ale jak sama mówisz, nic by z tego nie wyszło. Zamordowalibyśmy siebie, nie zdążywszy wziąć rozwodu. Obawiam się jednak, że cię kocham. Myślę o tobie bez przerwy. Cały rok myślałem o tobie. To bardzo wyczerpujące. A kiedy jestem w tobie, to odczuwam niemal całkowitą fizyczną satysfakcję, jakiej nigdy z nikim nie doświadczyłem. Micky...
- Mmm?
- Wracasz do Brukseli?
- Skąd wiesz, że byłam w Brukseli? Kazałeś mnie śledzić, tak?
- zaniepokoiłam się.
- Wpadłem tu po wyjściu ze szpitala - wyjaśnił. - Facet, który u ciebie mieszkał, powiedział, że jesteś w Brukseli.
- Bardzo ładnie jego strony.
- No więc wracasz?
- Nie - odparłam. - Tak się składa, że znowu zmieniam pracę.
- Podjęłam decyzję, wychodząc z niewłaściwych przesłanek. - Będę aysentką producenta „Raportu Brinka”. Może o nich słyszałeś.

Jeśli nie, to lepiej się nimi zainteresuj. Niech „Quidnunc” ma na nich oko. Dobrze, żebyś wiedział, co ci grozi. Kiedy wrócisz do Anglii, będę czekała. Jeśli się poprawisz, zjemy razem kolację. Jeśli nie, też zjemy, ale bacz na swoje słowa. Magnetofony są coraz mniejsze.

- Skąd weźmiesz huragan? - spytał. - Nie ma ich tu w nadmiarze.

Uśmiechnęłam się.

- Coś się wymyśli.

Leniwie ubraliśmy się, odłożyliśmy na miejsce poduszki, wytarliśmy Vinho i przestawiliśmy się na *vin*. Spaliłam omlet, na co Vincent stwierdził, że wycofuje propozycję małżeństwa.

- Co znaczy, wycofujesz? Przecież cię odrzuciłam - kłóciłam się.

- A skoro mówiliśmy o taśmach...

- Mówiliśmy o jakichś taśmach?

- Nie, ale teraz mówimy. Podpieprzyłaś parę kaset Irvinga. Pojęcia nie mam dlaczego. Nie sądziłem, że pracownicy „Śledztwa” zniżają się do kradzieży. Możesz mi je oddać? Z powodu tych kaset stan serca Irvinga znacznie się pogorszył.

- Przepraszam, ale je zużyłam. Zabrakło mi kaset. Były aż takie ważne? Stały w szafie, gdzieś w kącie, i tylko zbierały lcurz.

- Zużyłaś je? - powtórzył Vincent. - Zabrakło ci kaset? A niech to diabli!

Opowiedział mi ze szczegółami pomysł Irvinga na romantyczne pamiątki. Jeszcze się śmiałam, kiedy wstał.

- Wrócę za jakieś trzy- cztery tygodnie - powiedział. - Ale nie rób sobie wielkich nadziei, nie poprawię się.

- Nigdy na to nie liczyłam.

- Może się spotkamy. Zjemy razem kolację.

- Może.

Wyszedł bez pocałunku. Mieszkanie nie wydawało mi się już takie puste. Pocałunki są na dzień dobry i na do widzenia, a my tych słów nie używaliśmy. Przedtem byłam sama dla siebie, a teraz byłam jedną z dwojga, nie połową pary, lecz stroną pojedynku, duetu. Armagedon, pomyślałam, trwa wiecznie i nie tylko między ludźmi, ale wewnątrz nas wszystkich; walka na noże dobra ze złem, prawdy i kłamstw, nigdy nie wygrana ani nie przegrana, w której - jeśli się bardzo staramy i nie ulegamy słabości - daje się uzyskać chwiejną równowagę. Nie

mam fałszywych nadziei, ale też już się nie boję. W konflikcie z Vincentem uzyskałam coś w rodzaju równowagi. I niech tak będzie. Szale mogą się wahać to w jedną stronę, to w drugą, lecz musiałam podjąć to ryzyko. Życie bez ryzyka jest nic nie warte.

Szczęśliwe, ale nie zakończenie. Nie należy patrzeć za daleko w przyszłość. Śmierć jest opadnięciem liścia, który odradza się na wiosnę. Śmierci nie da się pojąć.

Nie wiemy, czy dokądś idziemy, czy idziemy donikąd. Wielcy filozofowie też nie wiedzą, co najwyżej zgadują.

Jedna rzecz jest pewna - dano nam życie, byśmy je maksymalnie wykorzystali. Łapmy chwilę.

Chwila jest wszystkim.